

MAGDALENA PIORUŃSKA

TWIERDZA KIMERYDU

NOVAE RES

MAGDALENA PIORUŃSKA

TWIERDZA KIMERYDU



NOVAE RES

SPIIS TREŚCI

WSTĘP

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

EPILOG

WSTĘP

Twierdza Kimerydu jest efektem mojej pracy nad warsztatem, którą wykonałam w trakcie studiów w Studium Literacko-Artystycznym w Krakowie. To wtedy ostatecznie postawiłam na kreowanie pierwszoosobowych narracji, ale nauczyłam się też omijać dłużyzny i skupiać się tylko na tym, co popycha akcję do przodu. *Twierdza Kimerydu* jest więc powieścią przygodową, może nawet awanturniczą, a jej bohaterowie zostali obdarzeni specyficznymi cechami charakteru, które czynią z nich postacie wielowymiarowe i wyróżniające się z tłumu.

Ta książka nie powstałaby jednak, gdyby nie wsparcie kilku osób. Przede wszystkim dziękuję zatem mojemu promotorowi Jerzemu Franczakowi za jego wrażliwość, otwarty umysł i cierpliwość wobec mojej wybujałej wyobraźni i wrodzonej pomysłowości. Dziękuję również moim koleżankom i kolegom ze studiów za wsparcie i wszystkie te bajeczne wieczorki w Krakowie, kiedy zagłębialiśmy się w oparach intelektualizmu, ale nie tylko. Nie ma większej inspiracji dla pisarza niż inspirujący ludzie. Duże podziękowania składam także pani profesor Gabrieli Matuszek, założycielce i kierownicze Studium Literacko-

Artystycznego w Krakowie, osobie niezwykle charyzmatycznej i upartej. Dzięki jej życzliwości fantastyka trafiła na krakowskie salony i wieczorki poetyckie. Z perspektywy czasu myślę, że to jedno z najbardziej rozwijających mnie doświadczeń w życiu.

Szczególne miejsce w moim sercu ma jednak mój magazyn literacko-artystyczny Szuflada.net. Pięć lat pracy w roli redaktor naczelnej nauczyło mnie bardzo dużo o życiu, ludziach i przede wszystkim o pisaniu. Dziękuję zatem moim redakcyjnym kolegom i koleżankom, a przede wszystkim Magdalenie Sułek-Jabłońskiej, naszej redakcyjnej korektorce. Jeszcze nikt mnie tak nie ścigał za błędy językowe, jak Magda, jeszcze nikt mnie tak ostro nie pilnował i nie dręczył przecinkami, wielokropkami i poprawnym stosowaniem kolokacji i przysłów. Szczególnie ciepłe podziękowania przesyłam też Kindze Młynarskiej, redaktorce działu poezji, która jest naszym dobrym duchem i jak nikt inny ze spokojem i cierpliwością wczytywała się w moje wiersze o dinozaurach. Teraz zaowocowały one powieścią.

Dziękuję Annie Niemczak, uzdolnionej graficze, odpowiedzialnej za powstanie okładki i grafik zawartych w *Twierdzy Kimerydu*. Ania zupełnie bezinteresownie uwierzyła w moją powieść i za to będę jej już zawsze dozgonnie wdzięczna. Podobnie dziękuję redaktorce *Twierdzy Kimerydu* Aleksandrze Machłaj za jej cierpliwość do mnie i rzetelną pracę. Mam nadzieję, że to początek większej współpracy.

Za szczególne i bardzo efektywne wsparcie dziękuję

mojej drogiej trenerce personalnej Joannie Godeckiej za ten ogrom wykonanej nade mną pracy i za ponowne poszerzenie mojej życiowej perspektywy aż po sam horyzont i jeszcze dalej. Za pierwsze czytanie i kąśliwe komentarze, a także za skuteczną motywację dziękuję mojej przyjaciółce Aleksandrze Adamczyk, a za wysłuchiwanie moich pomysłów i podążanie ich śladem z otwartym umysłem – mojej drugiej przyjaciółce, Ewie Nastuli. Pisarce Małgorzacie Wardzie dziękuję za to, że parę lat wstecz we mnie uwierzyła i wskazała mi skuteczną drogę rozwoju, choć jestem raczej krnąbrną uczennicą.

Na zakończenie chcę jeszcze wspomnieć osobę o niezwykle barwnej osobowości i wielu talentach, także tym do przyciągania mojego niewyczerpanego zainteresowania. W takim momencie pisarz nie może zapomnieć o źródle swojej odnawialnej inspiracji. A zatem dziękuję i Tobie.

ROZDZIAŁ 1

Anna

Pustynia ciągnęła się już od dwóch upalnych dni. Na mojej skórze kruszył się pot, gładko zaczesane rude włosy pokrywał słony kurz. Tylko na pustyni kurz jest słony. Pozostawia irytujący posmak na języku. Wiedziałam, że nie było odwrotu. Mogłam tylko maszerować przed siebie, znosząc gorący piasek wsypujący mi się do butów i pod nogawki jeansów. Czułam zwiększające się zmęczenie w mięśniach. Piekły mnie oczy, a pod powiekami zakwitły pustynne róże. A zatem śmierć. I to znajome poczucie paniki, że jeszcze tego nie chcę, że jestem zbyt młoda, aby po prostu utonąć w piasku. Ciekawe: czy przylecą dimorfodony? Rozerwą moje ciało na strzępy i żyłka po żyłce, kostka po kostce przedrą się do prawdziwej mnie, schowanej we wnętrzu różowej skorupy powszechnie zwanej ciałem?

- Zamknij się, Anno - powiedziałam sama do siebie; mój zachrypnięty głos przyniósł mi ukojenie. - Jakby to kogoś obchodziło! Zostawili cię na pewną śmierć!

Przyspieszyłam kroku, oblizując spieczone wargi. Kapelusz z szerokim rondem nie dawał mi już wystarczającego cienia, sprane tenisówki obcierały

wysuszone pięty, a ramiączka plecaka boleśnie wbijały mi się w barki. Jeszcze jakąś godzinę temu prawie nie zwracałam na niego uwagi - teraz wydawało mi się, że dźwigam kamienie.

Mapa wskazywała, że od następnego miasta dzieliło mnie pięćdziesiąt kilometrów - niby nie była to wielka odległość, ale na pustyni łatwo się zgubić. Krajobraz prawie się nie zmieniał, kompas prowadził mnie w wyznaczonym kierunku, ale nie do końca mu ufałam. Wiele razy słyszałam przerażające opowieści o ludziach, którzy ginęli w trakcie transportu z jednego miasta do drugiego, bo kierowca tracił orientację w terenie albo na drodze stanęło mu dzikie zwierzę.

Pustynia była terenem łowieckim tutejszych gadów; pod wpływem prowadzonych przez europejskich naukowców eksperymentów powstawały nowe gatunki - krzyżówki zwierząt występujących współcześnie i tych prehistorycznych, powołanych do życia dzięki naszej świetnie rozwiniętej genetyce. Musiałam przespać lekcję historii, na której dokładnie tłumaczono nam, kto był za to odpowiedzialny. Fakt pozostawał faktem, że tereny dawnej afrykańskiej Namibii nie były teraz najbezpieczniejszym miejscem na Ziemi. Nie wiedziałam, kto był większym drapieżnikiem: zmutowany raptor czy agent specjalnych służb cesarza. Chyba wolałam raptora.

Chociaż w tym konkretnym momencie nie powinnam kusić losu podobnymi myślami. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zanim wykończy mnie upał, zrobią

to właśnie raptory. Albo, nie daj Boże, dimorfodony. Zgadzałam się, żeby mnie pożarły dopiero po mojej smutnej śmierci. A na razie żyłam i nie mogłam sobie pozwolić na luksus utraty nadziei.

W tym momencie, jakby na moje specjalne życzenie, znalazłam się w cieniu. Natychmiast zadarłam głowę. Dokładnie nade mną krążył wielki ptak – podejrzewałam, że to jednak pterodaktyl. Dimorfodony były znacznie mniejsze. To mnie trochę uspokoiło – tutejsze pterodaktyle latały w pojedynkę, ale z drugiej strony nigdy nie rezygnowały z raz upatrzonej ofiary. Miałam tylko sekundę na podjęcie decyzji. Jeśli pobiegnę wystarczająco szybko, jeśli okaże się, że mam lepszy refleks...



Nie skończyłam myśleć, kiedy nogi same poniosły mnie

do przodu. Moje ciało zareagowało instynktownie, wciąż chciało pozostać całe, podobało mu się posiadanie wszystkich kończyn. Tych samych, które teraz wyły z wysiłku. Ból w zmęczonych łydkach był nie do wytrzymania. Tak bardzo spięłam mięśnie ramion, że drżały jak skrępowane pasami. Oddech uciekł mi w głąb płuc, ale parłam do przodu, ignorując zlewające mi się przed oczami połacie piachu: niekończącą się pustynię, mój grobowiec.

Cień zwierzęcia przesuwiał się razem ze mną bez względu na to, jak szybko biegłam. Czułam na skórze chłodniejszy podmuch, kiedy stwór opadał. Prawie dawał mi ukojenie - prawie. A gdyby się tak po prostu zatrzymać? Pozwolić mu, żeby mnie porwał? Jedno celne uderzenie dziobem i moje cierpienia się skończą. Popłynie krew, otworzą się pode mną piaski...

Nie, ciało wiedziało lepiej. Pozwoliłam mu podjąć decyzję. Biegłam coraz szybciej, choć protestowały we mnie najmniejsze mięśnie. Zmieniłam się w drgający, napięty nerw, ale moje serce wypełniał spokój. Tak, wiedziałam, jak walczyć o życie.

Pterodaktyl był już tak blisko mnie, że widziałam zarys jego rozpostartych skrzydeł. Zacisnęłam powieki i... nagle zabrakło mi ziemi pod stopami! Spadłam w dół, a pterodaktyl przeleciał tuż nade mną, złośliwie skrzecząc. Rozpaczliwie młóciłam dłońmi powietrze, aż z głośnym pluskiem wylądowałam w wodzie. Tak samo słonej jak piaski pustyni. I cudownie chłodnej.

Oswobodzone spod kapelusza włosy otoczyły moją twarz aureolą czerwieni. Woda przesiąknęła przez materiał moich jeansów i podkoszulka, a nawet znalazła dojście do wnętrza plecaka. To mnie otrzeźwiło - strach przed zalaniem zapasów żywności i przyrządów do krzesania ognia. Nie byłam też do końca pewna, czy woda nie uszkodzi mojego browninga. Czułam się pewniej, wiedząc, że w ostateczności mogę po niego sięgnąć. Ponowne zmuszenie ramion do wykonania ruchu wydawało się ponad moje siły, ale zaczął dokuczać mi brak tlenu. Wynurzyłam głowę na powierzchnię i złapałam szybki, urywany oddech. W pierwszej chwili krople wody przysłoniły mi widok. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Przede mną rozpościerało się seledynowe morze, albo raczej zatoka, ze wszystkich stron ograniczona stromym wąwozem. Słońce wciąż niemiłosiernie prażyło, słaby wiatr przynosił z pustyni chmury kurzu, które barwiły szarością jasny błękit nieba. Znajdowałam się przy jednym z brzegów zatoki - niestety, żeby się z niej wydostać, musiałam wspiąć się po skalnej półce.

Na domiar złego chwila orzeźwienia i radości z cudem uratowanego życia minęła, kiedy zauważyłam smukłe szyje elasmozaurów krążących mniej więcej w środku zatoki. Byłam od nich oddalona, ale kto wie jakie inne morskie stwory czyhały na mnie przy samym brzegu. W pobliżu znajdował się ocean. Najprawdopodobniej żadne wielkie ryby tutaj nie wpłynęły - chociaż przesmyk łączący zatokę

z oceanem wydawał się bardzo wąski, to same elasmozaury były już wystarczająco zabójcze.

- Dzisiaj trafili nam się ochotnicy - usłyszałam nad sobą szyderczy głos.

Na skraju wąwozu stał młody mężczyzna, opierając jedną dłoń na biodrze, a drugą na wysokim łuku, który wbił w piasek. Postać wydawała mi się znajoma, ale nie umiałam sobie przypomnieć skąd.

- Ochotnicy do czego? - odkrzyknęłam.

- Do bycia karmą dla naszych zwierząt.

Rozejrzałam się z niepokojem. Przestrzeń wokół mnie zaroila się od długich szyj elasmozaurów. Mieniły się opalizującymi łuskami. Powróciła znajoma, dławiąca panika. Zdałam sobie sprawę, że wołałam śmierć z ręki człowieka, najlepiej na polu bitwy. Nigdy nie jako ofiara pogody, krajobrazu albo - co najbardziej upokarzające - pożywienie dla prehistorycznych gadów.

- Pomocy! - poprosiłam żalonym głosem.

- Za bardzo mi się taka podobasz.

Słońce raziło mnie w oczy. Twarz chłopaka rozmazała mi się w jasnej poświacie.

- Błagam o pomoc! Zrobię dla ciebie wszystko! - obiecałam w desperacji.

- Wszystko? Laskę też? - zaciekawił się uprzejmie.

Z wrażenia zabrakło mi słów. A potem po prostu się wściekłam.

- Pieprz się! - krzyknęłam.

- Jesteś kiepska w prowadzeniu negocjacji...

- Ogłuchłeś? Pierdol się, chuju!

Podpłynęłam bliżej skał i chwyciłam się ostrej krawędzi. Skała wyslizgnęła mi się z dłoni i runęłam do tyłu, kurczowo zaciskając powieki. Wynurzyłam się znowu i podciągnęłam. Tym razem skała przecięła mi dłoń. Krwawiący ślad pulsował otrzeźwiającym bólem. Oparłam nogę na płaskiej ścianie i uparcie uczepiłam się skały dłońmi, rozmazując na niej krew. Połowa mojego ciała wciąż znajdowała się w wodzie. Organizm protestował przeciwko kolejnemu wysiłkowi, który przekraczał jego siły.

Kiedy spróbowałam się podciągnąć, coś dziwnego wydarzyło się za moimi plecami. Nadeszła wysoka fala, która za jednym zamachem zmyła mnie ze skały i pociągnęła w stronę głębin. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi, woda zalała głowę i wypełniła oczy żrącą morską solą. Sekundę potem zabarwiła się na czerwono. Nadeszła następna fala. Krzyknęłam ze strachu, gdy czyjeś ramię mocno objęło mnie w pasie.

- Umiesz nurkować? - zapytał chłopak tuż przy moim uchu.

Pokręciłam głową.

- To się nauczysz.

Przebudzenie tak bardzo mnie zaskoczyło, że przez chwilę nie wiedziałam, gdzie się znajduję i co się wcześniej wydarzyło. Z sufitu kapłała woda. Powietrze przesiąkała wilgoć i nieszczęsna sól, w której już prawie czułam się

zamarynowana. Podłóże, na którym leżałam, było chłodne i twarde. Przed oczami tańczyły mi mroczki, przypominając złociste motyle. Na chwilę skoncentrowałam myśli na wydarzeniach, które wyгнаły mnie na pustynię; znowu widziałam browninga w dłoni żołnierza sił cesarskich mierzącego prosto w moje czoło. Rozległ się trzask. Żołnierz docisnął spust i kula strzaskała mi lewy obojczyk. Od tamtej pory nie spuszczałam z oczu tej broni. Przypominała mi o tym, co wydarzyło się na Uniwersytecie Krokodyli, o tym, jak brak konsekwencji doprowadził mnie do tragedii, a moich przyjaciół do śmierci.

- Obudź się, rudzielcu.

Uniosłam się na łokciach, szukając wzrokiem mojego samozwańczego wybawcy. Siedział obok mnie ze skrzyżowanymi nogami i przyglądał mi się z zaciętą miną. Miał na sobie tylko sięgające kolan szerokie spodenki spięte pasem, do którego przypiął pokrowiec na nóż. Nie wiedziałam, gdzie się podziały jego zbroja i łuk. Obie jego ręce w całości ozdobione były wielokolorowymi tatuażami układającymi się w fale i morskie symbole.

- Dziękuję - powiedziałam cicho, odwzajemniając jego wzrok. Starłam się nie gapić na tatuaże.

Chłopak nieznacznie się skrzywił.

- Nie ma za co. A teraz wstawaj i ruszaj w swoją stronę.

Oparł dłoń na kolanie i powoli się podniósł. Przeczesał palcami krótko ostrzyżone czarne włosy, strząsając z nich kropelki wody. Chciałam wstać, ale ciało ostatecznie odmówiło mi posłuszeństwa. Było mi wszystko jedno.

- Dobrze, ale najpierw jeszcze chwilę tutaj poleżę...

- Jesteśmy w podwodnej jaskini, która prowadzi z powrotem do wąwozu. Raptory lubią tutaj wypoczywać, kiedy dokucza im zbyt duży skwar. Radzę ci więc szybko zregenerować siły.

Zniknął mi z pola widzenia. Przekręciłam się na brzuch i podparłam głowę na rękach. Musiałam coś powiedzieć, żeby go zatrzymać.

- Zawsze jesteś taki uprzejmy?

- Zawsze - burknął, rzucając mi gniewne spojrzenie przez ramię.

Jego skóra miała kolor mlecznej czekolady, co w połączeniu z tatuażami czyniło go bardzo charakterystycznym młodym człowiekiem. Byłam pewna, że gdzieś go już widziałam, choćby przelotem w Mieście Krokodyli.

- Nie umiem wstać - poskarżyłam się otwarcie.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Chłopak nadal nie zamierzał mi pomagać.

- Co się właściwie wydarzyło? - zmieniałam więc temat.

- Strzeliłem do jednego z elasmozaurów. Reszta rzuciła się na niego i go pożarła.

- Łuk i zbroję zostawiłeś na brzegu. - Zrozumiałam.

Pokiwał głową.

- Naprawdę muszę już iść. Powodzenia.

Postanowiłam zrobić to szybko. Dźwignęłam się do pozycji stojącej i sięgnęłam po swój plecak. Wylałam z niego wodę, ze smutkiem odnotowując, że krzesiwo i resztki

suchego prowiantu przestały do czegokolwiek się nadawać. Chłopak był moją ostatnią deską ratunku.

Powlokłam się jego śladem. Rana na dłoni nie przestawała mnie piec. Poruszałam się jak sparaliżowana. Kiedy opadło napięcie, coraz wyraźniej czułam zakwasy w łydkach i na ramionach. Byłam okropnie zmęczona.

- Proszę, zaczekaj. - Dogoniłam go w wejściu.

Zasłoniłam twarz przed słońcem, żałując, że zmusił mnie do opuszczenia jaskini. Świat na zewnątrz wydawał się teraz rozgrzaną sauną w porównaniu z wcześniejszym chłodem i wilgocią.

- Nie zmuszaj mnie, żebym użył wobec ciebie siły. - Coś w jego oczach powiedziało mi, że był gotowy to zrobić.

- Uciekłam z Miasta Krokodyli. Zrobiłam to, zanim sami mnie znaleźli. Zgubiłam się już parę mil stąd. Chciałam dojść do Twierdzy Kimerydu i stamtąd wsiąść na statek do Europy. Mam pieniądze... - Pokazałam mu smętny zwitek mokrych papierków.

Przewrócił oczami.

- Dlaczego uciekłaś? - Wykazał odrobinę zainteresowania; może wciąż istniała dla mnie nadzieja.

Musiałam powiedzieć mu prawdę i musiałam być przy tym niezłomnie przekonywająca, tak aby w nią uwierzył.

- Byłam jedną z organizatorek konferencji asymilacyjnej dla Ludu Pustyni i obrońców dinozaurów... - Urwałam.

Wreszcie lepiej przyjrzałam się mojemu wybawcy. A dokładnie jego oczom. Były pomarańczowe. Jak oczy raptora.

- Tyrś Mollina! - krzyknęłam.

Skrzywił się, jakbym powiedziała coś wulgarnego, ale skinął głową.

- Do tej pory nie wierzyłem, że jestem sławny na Uniwersytecie. Czyli jesteś tą profesorką, która zapoczątkowała ruchy asymilacyjne w Mieście Krokodyli?

- Nie tylko ja...

- Ale to ciebie widziałem w telewizji. - Tyrś zmarszczył brwi. - Antropolog Anna Guiteerez.

Górował nade mną wzrostem i siłą. Nagle poczułam się przy nim nieswojo. Do tej pory był dla mnie tylko legendą, migoczącym zdjęciem na ścianie wyświetlanym z projektora.

Jego babka urodziła dwójkę dzieci raptorowi. Tyrś Mollina był więc w prostej linii potomkiem człowieka i bestii. Wybrykiem natury, który wymykał się wyobraźni nawet genetykom cesarza. Zdobył sławę jako najskuteczniejszy strażnik wąwozu Twierdzy Kimerydu. Sprzedawał swoje usługi Teobaldowi, burmistrzowi Twierdzy, za co ten otaczał go opieką, a jego wielodzietna rodzina miała dach nad głową i nie głodowała.

Niezwykłe umiejętności Tyrśa w zjednywaniu sobie dinozaurów i jego prowokująca odwaga sprawiły, że poruszył ludzi w całym kraju Złocistych Piasków. Na moich wykładach asymilacyjnych podawałam go jako jeden z przykładów skutecznej symbiozy świata dinozaurów i ludzi. Zawsze budził wielkie kontrowersje wśród studentów.

- Moi przyjaciele wykładowcy nie żyją - powiedziałam powoli. - Burmistrz Miasta Krokodyli, wspierany siłami

cesarza, wymordował wszystkich uczestników naszej asymilacyjnej konferencji. Chcieli dopaść przywódców Ludu Pustyni, ale oni przewidywalnie nie dotarli na moje zaproszenie. Wysłali jedynie swoich przedstawicieli. Ja przeżyłam, bo straciłam przytomność od postrzału i zakopali mnie pod stosem trupów.

- Wciąż nie rozumiem: dlaczego tutaj jesteś? - zapytał bez mrugnięcia okiem.

Nie wydawał się wzruszony losem ludzi, którzy opowiedzieli się po stronie jego i Ludu Pustyni, płacąc za to najwyższą cenę. Wzbierał we mnie gniew. Zaczęłam coraz jaśniej dostrzegać, że Tyrs Mollina był niewdzięcznym sukinsynem.

- Nie chcę więcej uczestniczyć w tym zbiorowym szaleństwie. Musimy się nauczyć współpracować, zamiast między sobą walczyć. To jest tylko korzyść dla cesarza, który trzyma łapę na Afryce.

Niespodziewanie dla mnie Tyrs parsknął śmiechem.

- Więc tupnęłaś nóżką i uciekłaś na pustynię? I jak ci się podoba rzeczywistość? Jest dość odległa od twojego akademickiego dyskursu, co?

Prawie zadławiłam się własnymi słowami. Trafił w samo sedno, choć nigdy bym się do tego nie przyznała. Zwłaszcza przed samą sobą. Definitywnie niewdzięczny sukinsyn!

- Tyrs, zginę tutaj, jeśli mi nie pomożesz - spróbowałam jeszcze raz, choć coraz bardziej narastał we mnie sprzeciw. - Jesteśmy tutaj sami...

- Nie, nie jesteśmy. Gratuluję, dotarłaś do Twierdzy

Kimerydu - przerwał mi i wyszedł na słońce.

Ruszyłam jego śladem. Z wrażenia zaparło mi dech. Po przeciwległej stronie wąwozu wybudowano kolonię składającą się z kilku domostw i willi. Wcześniej ich nie zauważyłam skupiona na ucieczce i niebezpiecznej kąpieli. Mimo wszystkich przeciwności udało mi się dotrzeć do celu.

- Jestem pewien, że znajdziesz tu ludzi bardziej chętnych do współpracy - dodał, nawet się za siebie nie oglądając.

Lecz ja nie zamierzałam tak łatwo się poddawać. Od zabudowań dzieliło nas jeszcze parę dobrych metrów i wolałam je pokonać w towarzystwie Tyrsa Molliny niż sama, wystawiona na atak raptorów. I nie obchodziło mnie, czy to mu się spodoba, czy nie.

Tyrs zmienił taktykę - przestał się do mnie odzywać. Stałam blisko niego, kiedy ponownie wkładał naramienniki i zbroję. Miał problem z zawiązaniem jej na bokach, więc pomogłam mu zapiąć tasiemki. Również tego nie skomentował. Wciąż na mnie nie patrzył. Sięgnął po swój długi łuk i zarzucił kołczan na plecy. Jego strzały kończyły się błękitnymi i czerwonymi lotkami, co przywiodło mi na myśl upierzenie papug. Ugryzłam się w język, żeby go o to nie zapytać. W końcu chciałam, żeby pomógł mi dostać się do miasta, a dokuczanie mu raczej by mi w tym nie pomogło.

- Zabiorę cię do Twierdzy za pięćset cesarek - powiedział w końcu.

W pełnym słońcu lepiej widziałam jego twarz. Na jego

opalonych policzkach wyraźnie odznaczały się piegi, co zdumiało mnie bardziej od kolorowych lotek przy jego strzałach.

- Jeśli tylko nie przeszkadza ci, że są mokre...

- Pieniądz to pieniądz. - Posłał mi twarde spojrzenie, które ostatecznie zamknęło mi usta.

Rozprostowałam pieniądze, ale się posklejały.

- Zaczekaj, aż wyschną - poradził. - Nie będę honorował podartych banknotów.

Cesarz Brytanik spoglądał na mnie z żalną miną z pogniecionych cezarek. Odwzajemniłam mu się bladym uśmiechem. Chyba wolałam uciekać przed pterodaktylem.

Bez słowa ostrzeżenia Tyrś ruszył w kierunku zabudowań. Przeciągnęłam się tak, że aż coś przeskoczyło mi między łopatkami. Wcześniej wyrzuciłam z plecaka zamoczone krzesiwo i prowiant. Dwie książki i teczkę z dokumentami czekało porządne suszenie, kiedy tylko zatrzymam się w jakimś hotelu. Hotel. Łóżko. Kąpiel. Ten ciąg myślowy dodał mi sił. Zrównałam się z Tyrsem w marszu. Weszliśmy na wąską ścieżkę prowadzącą wzdłuż wąwozu. Z początku była zasypana piaskiem, ale potem zauważyłam, że pokrywały ją kamienne płyty. Pierwszy przejaw cywilizacji od dłuższego czasu.

- Co to za zbroja? - zapytałam.

- Pewnie pamiętasz, że należę do Straży Wąwozu - odpowiedział bezbarwnie. - Pilnujemy naszych terenów łowieckich, opiekujemy się zatoką i zwierzętami. Przynajmniej urząd płaci regularnie, choć to niewielka

stawka w porównaniu z niebezpieczeństwami, na które jesteśmy tutaj narażeni.

- Na przykład?

- Zbiegowie. - Spojrzał na mnie wymownie. - Dinozaury, burze piaskowe, partyzantka Ludu Pustyni, choroby...

- Ile właściwie osób liczy Straż Wąwozu?

- Mamy cztery oddziały po dwadzieścia osób. Straż jest odłamek Policji, ale bezpośrednio podlega Urzędowi Twierdzy i burmistrzowi. Jednakże nasi dowódcy są zwykle policjantami z miejskiej komendy. Wszyscy deklarowali wierność Urzędowi, ale w praktyce nie stronią od interesów z partyzantką Ludu Pustyni. Można się w ten sposób szybko dorobić.

- Ale dla ciebie to mało kuszące - zaryzykowałam.

Zmarszczył brwi.

- Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

- Na przykład co? - Zaciekawiał mnie.

- Na przykład honor. Nie zrozumiesz tego, pani antropolog.

- Myślę, że mogę cię wyprowadzić z błędu.

- Nie za bardzo mi na tym zależy.

Między nami zapadło kłopotliwe milczenie. Chciałam go jeszcze wypytać o Twierdzę, ale jego opryskliwe zachowanie nie nastrajało mnie do niego zbyt przyjaźnie. Owszem, uratował mi życie, a teraz zgodził się doprowadzić mnie do miasta, mimo to wciąż nie czułam się przy nim bezpieczna.

Tymczasem moje zmęczenie znowu dało o sobie znać. Szłam bez pośpiechu, zostając w tyle. Ubranie powoli na

mnie schło. Niebo od strony Twierdzy mieniło się pomarańczem i fioletem, jakby zasnuła je polarna zorza. Słońce bezlitośnie prażyło mi w oczy, a pod powieki wróciły znajome mroczki - złote motyle znad plantacji mojego ojczyma. Nagle zatęskniłam za domem. Tak naprawdę wcale nie byłam zbyt odważna. Trudny wybór wymagał ode mnie wręcz nadludzkiego wysiłku. Nie byłam gotowa na akceptację śmierci moich przyjaciół, nie byłam gotowa na tę morderczą wędrówkę przez pustynię i desperacką walkę o życie.

Nie wychwyciłam momentu, w którym nogi się pode mną ugięły i bezwiednie poleciałam na twarz. Nabiłam sobie guza, ale nawet to nie mogło zmobilizować mnie do wstania. Kompletnie wyczerpałam zapas sił.

Tyrs podszedł do mnie, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Widziałam tylko czubki jego skórzanych sandałów. Podniósł mnie i zarzucił sobie na ramię. Nie chciało mi się protestować. Nie chciało mi się nic. Opuściłam głowę i liczyłam chodnikowe płyty, aż opadły mi powieki i straciłam przytomność.

Śniłam o morskich potworach i zorzy polarnej nad pustynią pociętą zatokami. Śniłam o moich przyjaciółkach maltretujących żołnierza służb cesarza. Młody Tytus niedawno przyплыł do nas z Europy. Był uprzejmym sierżantem świeżo po szkole oficerskiej. Widziałam, jak miażdżą mu paznokcie ciężkimi butami, rozbierają do naga

i planują na nim zbiorowy gwałt. Wtedy się ich wystraszyłam, wtedy pomyślałam, że muszę coś powiedzieć, coś bardzo ważnego, albo nawet pobiec do dziekana i wszystko mu opowiedzieć.

Zamiast tego przyglądałam się, jak biją go batem po plecach, a krew płynie mu z kącików ust. Tytus był przystojny i lubiany w mieście – taka nasza miejscowa gwiazda, która wręcz emanowała swoją innością. Doskonale nadawał się na ofiarę. I zrobiliśmy z niego ofiarę. Miażdżyliśmy go psychicznie i fizycznie, aż w końcu wyszarpnął mi browninga, kiedy przyszedłam go nakarmić. Strzelił mi w pierś, a potem uderzył w głowę kolbą. Kiedy się ocknęłam, znajdowałam się już w zbiorowym grobie. Zakopana pod ciałami moich przyjaciół. Wrzeszczałam jak opętana, odgarniając przygniatające mnie trupy. Cuchnęłam rozkładem, krwią i rozlanymi wnętrznościami.

Kiedy mnie znaleźli, byłam nieprzytomna z bólu i wściekłości. Nienawidziłam Tytusa, lecz bardziej nienawidziłam samej siebie.

W końcu się obudziłam – tylko po to, żeby odkryć, że wbiłam paznokcie w lewą rękę, orząc nimi skórę. Czasami sprawiałam sobie ból we śnie. Ale teraz szybko się uspokoiliam. Nad moją głową rozpościerał się sufit, a nie nocne, rozgwieżdżone niebo. Leżałam pod kocem w cudownie miękkim łóżku, z głową wygodnie złożoną na poduszce. Nie wiedziałam, gdzie się znajdowałam i dlaczego, i zamierzałam pozwolić sobie na ten słodki, beztroski stan braku wszelkiej świadomości. Niestety razem

z przebudzeniem powrócił ból. Miałam zakwasy dosłownie w każdej części ciała, rwało mnie w kościach i w kręgosłupie.

Coś poruszyło się z prawej strony mojego łóżka i zobaczyłam nad sobą starszą kobietę. Czekiała z przygotowanym zastrzykiem. Ujęła moją rękę i wbiła w nią igłę, szepcząc uspokajające słowa. Moje powieki ponownie zrobiły się ciężkie, ale tym razem majaczył pod nimi obraz siwowłosej pielęgniarki o gadzich oczach połyskujących pomarańczem jak zorza nad niewidocznym wodospadem.

Drzwi mojego pokoju prowadziły prosto na klatkę schodową wyłożoną czerwonym dywanem. Balustrada była metalowa, pokryta złoceniami i falbaniastymi ornamentami, które przypominały mi tatuaże na ręce Tyrsa. Na półpiętrze znajdowała się mała biblioteczka i ołtarzyk z figurką w kształcie raptora, a nad nimi mauretańskie łuki i okno z witrażem.

Rozejrzałam się zdezorientowana, ale mogłam pójść tylko w górę lub w dół, wolałam jednak nie ryzykować kolejnej nieprzemyślanej wycieczki. Ołtarzyk z raptorem przyprawił mnie o gęsią skórkę. Starannie zamknęłam za sobą drzwi, a potem wyszłam na balkon i wróciłam do podziwiania krajobrazu. Nad zatoką zapadał wieczór. Niebo zmieniło kolor na głęboki granat barwiony smugami czerwieni. W blasku zachodzącego słońca zatoka wyglądała jak pociągnięta srebrem. Z jej odmętów wynurzały się długie szyje elasmozaurów wydających śpiewne dźwięki. Kiedy

lepiej się w nie wsłuchałam, wychwyciłam pewien rytm i pozwoliłam mu się uwieść.

Szybko odkryłam, że mój pokój znajdował się w jednej z wysokich twierdz o grubych murach, wybudowanych najbliżej zatoki. Nade mną umieszczono kolejny balkon, podobnie jak i pode mną. Obudziłam się już dobre dwie godziny temu i zaczęłam się niecierpliwić – byłam głodna i gotowa do konfrontacji. Z kimkolwiek by ona była.

- Witaj, Anno.

Obróciłam się i zamarłam. Zacisnęłam palce na barierce, ignorując przejmujący ból w lewej dłoni.

- Przecież ty nie żyjesz – wychrypiałam.

- Podobno.

Teobald Elasmus nonszalanckim krokiem podszedł do barierki i przesunął wzrokiem po malowniczej okolicy. Według oficjalnej wersji burmistrz Twierdzy Kimerydu zginął w trakcie zamieszek na Uniwersytecie. Był jednym z zaproszonych przeze mnie gości. A teraz stał przede mną w rozchełstanej koszuli i spodniach koloru khaki, przypalając papierosa. Nie umiałam opanować drżenia dłoni. Gdzieś na skraju umysłu świtała mi okropna prawda, ale nie byłam w stanie jej sformułować. Język odmówił mi posłuszeństwa.

- Pytaj, o co chcesz.

Staął obok mnie, tęsknie obserwując elasmozaury. Papierosowy dym unosił się wokół jego twarzy.

- Dlaczego?

- Bo władza cesarza i propagowany przez niego totalitaryzm muszą w końcu upaść. Zobacz, co jego

szaleństwo zrobiło z tą ziemią. - Pokazał ręką zatokę. - Walczymy o przetrwanie ze zmutowanymi bestiami i nigdzie nie jesteśmy tutaj bezpieczni. Ale najgorsze jest to zniewolenie, niekończące się wojny, iluzja bezpieczeństwa, która zamyka nam usta. Czasami żeby rozpętać wielki ogień, potrzeba małej iskry. Takie było zadanie Ludu Pustyni.

Miał czarne, lekko kręjące się włosy i ciemnoniebieskie oczy, z których wyzierała jego wrodzona ironia. Patrzyłam na potwora, który powołał do życia dobrze działającą organizację terrorystyczną i poświęcił życia wielu ludzi, żeby rzucić wyzwanie cesarzowi. Na moim gardle zacisnęły się niewidoczne palce żalu. Oto kolejna ikona moralności runęła. Teobald Elasmos i jego Straż Wąwozu byli dotąd kojarzeni z ruchem oporu przeciwko wszelkiej wojnie - Straż zawsze formalnie propagowała neutralność.

- Było warto? - zapytałam.

Pociemniały mu oczy i to tak bardzo, że przypominały teraz dwie czarne dziury. Jego twarz się skurczyła i jakby wydłużyła. Wyglądał staro - dokładnie na tyle, ile miał lat, może nawet na więcej. Wystarczyło zedrzyć z niego romantyzm szlachetnego rycerza i oto stał przede mną czterdziestolatek z brodą posrebrzaną siwizną i siecią mimicznych zmarszczek wokół ust i w kącikach oczu.

- Nie życzę ci, żebyś kiedykolwiek musiała podejmować taką decyzję.

Nie mogłam tego dłużej znieść.

Wymownie mi się przyglądał i znowu poczułam tamten odór na swoim ciele - odór rozkładających się

poćwiartowanych szczątków. Nerwowo podrapałam się po nagich ramionach.

- Przetrwałaś to, tak jak ten nieprzemyślany spacer po pustyni. Dlatego jeszcze trochę pożyjesz - obiecał. - Chcę się przekonać, z jakiej gliny jesteś ulepiona. Nie licz jednak na to, że pozwolę ci odpłynąć do Europy. Przyszedłem ci powiedzieć, że teraz jesteś moją zakładniczką, a ponieważ musisz zarobić na swoje utrzymanie, wcielam cię do Straży Wąwozu. Przyda nam się wszelka pomoc w naszej miejskiej szkole. Co prawda nie jest to Uniwersytet, ale na pewno się tam odnajdziesz. - Teobald uśmiechnął się wymownie, czym jasno sygnalizował, że raczej będzie zupełnie na odwrót. - Tulia i Tycjan we wszystko cię wprowadzą.

- A Tyrs Mollina? Czy dziecko raptorów wie, kim jesteś?
- zaciekałam się.

- Tyrs jakoś sobie z tym radzi. Nie musisz się o niego martwić. Jest w tym dobry. Martw się lepiej o siebie. Straż Wąwozu nauczy cię pokory.

Zostawił mnie samą na balkonie. Miałam kompletny mętlik w głowie, ale jedno wiedziałam na pewno - znowu znalazłam się w potrzasku.

W środku nocy wyszłam na klatkę schodową i zaczęłam schodzić na dół. Skompletowałam wszystkie rzeczy z plecaka - ktokolwiek się mną zajmował po przyniesieniu do twierdzy, nie zainteresował się jego zawartością, a co więcej, wysuszył papiery i książkę. Na nocnej szafce leżały też zwinięte

cezariony. Policzyłam - niczego nie brakowało. A zatem Tyrś Mollina był gentlemanem. Poza tym, że był niewdzięcznym sukinsynem. Dobrze wiedzieć. Wpakowałam do plecaka kilka czystych rzeczy z szafy, opatrunki z szuflady i tabletki przeciwbólowe; wszystko mogło mi się przydać. Zakładałam, że droga do portu będzie tak samo wyboista jak droga do Twierdzy. Tylko że tym razem musiałam poradzić sobie z ludźmi, a nie ze zwierzętami.

Wciąż poruszałam się z trudem i nie wiedziałam, ile czasu minęło, odkąd Tyrś przyniósł mnie do miasta. Teobald nie raczył też zdradzić, gdzie się znajdowałam. Sądząc po złożonych ornamentach na ścianach i ręcznie malowanych tapetach, nie był to hotel. A jeśli już, to taki czterogwiazdkowy. Klatkę schodową rozjaśniał blask pochodni. Przy figurce raptora kopciło się kadzidło. Jego duszący zapach wypełnił mi nozdrza. Zakaszlałam, zakrywając usta dłonią. Nie chciałam, żeby ktoś mnie usłyszał.

Schodziłam po schodach, czując każdy najmniejszy mięsień. Całe moje ciało pokrywały siniaki, a zakwasy usztywniały krok. Nie wyobrażałam sobie, jak ostatecznie uda mi się wsiąść na statek i czy w ogóle tam dotrę, biorąc pod uwagę moje obrażenia, mimo to nie mogłam tak po prostu pozwolić Teobaldowi zwyciężyć.

Schody zdawały się nie mieć końca. Wreszcie dotarłam do przedsionka, na który padał snop światła z pomieszczenia. Drzwi do niego były uchylone. W pierwszej chwili zamierzałam przemknąć obok, ale głos Tyrśa osadził mnie na

miejscu.

- Dzisiaj nie spotkałem ani jednego.

- To jeszcze nie oznacza, że raptory opuściły Twierdzę - odpowiedziała mu najprawdopodobniej kobieta; mimowolnie nadstawiłam uszu.

- Wiesz, jak Teobald nie lubi raptorów...

- I ciebie.

- Właśnie.

- Pewnie sądzisz, że dlatego urządził na nie polowanie?

- Ja bym tak zrobił na jego miejscu.

- Na szczęście na nim nie jesteś.

Zaschło mi w gardle. Przypomniałam sobie jego misterny tatuaż. Wcześniej nie poświęciłam mu wystarczającej uwagi. Teraz zaczęło mi się wydawać, że jego faliste, błękitno-seledynowe wzory układały się w łuski...

Otrząsnęłam się z odrętwienia i bezszelestnie ruszyłam przed siebie. To już nie miało znaczenia. Żałowałam tylko, że nie zapłaciłam Mollinie, ale nie mogłam ryzykować, że będzie próbował mnie zatrzymać. Zresztą pieniądze na pewno mi się jeszcze przydadzą.

Krok za krokiem schodziłam coraz niżej, starając się wstrzymywać oddech. Moja paranoja sięgnęła właśnie zenitu. Kołatało we mnie przekonanie, że i tak byłam obserwowana, że i tak nie uda mi się po prostu wyjść z tego domu na ulicę i dotrzeć do portu. To wydawało się po prostu zbyt łatwe.

Mimo to pokonałam dwa kolejne piętra, zanim zza rogu wyłoniło się pulsujące światło. W pierwszej chwili chciałam

rzucić się do ucieczki, jednak tym razem zdrowy rozsądek wziął nade mną górę. Po pierwsze znajdowałam się w domu, a nie na pustyni, i nie groziło mi niebezpieczeństwo ze strony zwierząt. Po drugie prawdopodobieństwo, że zmierza ku mnie Teobald, było raczej niewielkie. Najwyżej zamknie mnie w pokoju na klucz. Ponieważ do tej pory tego nie zrobił, mogłam przecież uważać, że pozwolił mi swobodnie spacerować po rezydencji. Rozejrzałam się wokół siebie w poszukiwaniu ewentualnej broni - niestety browning spoczywał na dnie mojego plecaka, a otaczały mnie tylko schody.

Z cienia wyłonił się ubrany na czarno mężczyzna. Jego proste, sięgające ramion włosy miały niespotykany, ołówkowy kolor, który był efektem albo farbowania, albo podrasowania genetycznego. Skuliłam się w sobie, lecz dostrzegł mnie w świetle naftowej lampy, którą trzymał w dłoni.

- Dokąd się pani wybiera? - zapytał, uśmiechem rozkruszając śmiertelną powagę zastygłą na jego pociągłej twarzy.

- Jak najdalej stąd - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Tyrs będzie niepokieszony.

- Wiesz, kim jestem? - zdziwiłam się.

Uśmiechnął się szerzej, błyskając bielą zębów.

- Tycjan - przedstawił się, przysuwając lampę do mojej twarzy.

Ach, Tycjan. I wszystko jasne. Odsunęłam się od światła, ale on był uparty. Przyglądał mi się z natrętnym

zainteresowaniem. Czuję od niego zapach morza i ryb.

- Nic szczególnego - stwierdził ostatecznie, kręcąc głową. - Nie rozumiem, dlaczego poświęcił dla pani elasmozaura. Mojego elasmozaura. Jest pani moją dłużniczką, Anno Guiteerez.

- Nie, raczej nie - burknęłam. - Nie znam cię. Przepuścisz mnie?

- Dlaczego zadaje mi pani tak nierozsądne pytanie?

W mgnieniu oka wyraz twarzy mężczyzny całkowicie się zmienił. Naturalna kokieteria ustąpiła miejsca niechęci. Coś w jego oczach sprawiło, że się go wystraszyłam - prawie tak bardzo, jak lecącego nade mną pterodaktyla. Gardziłam sobą za to, że bez słowa protestu zawróciłam, a moje ciało pokryła gęsia skórka na myśl, że za mną podążał. Światło płynące z lampy na tyle mnie oślepiło, że zapamiętałam tylko jego wygięte łuki brwi nad nisko osadzonymi oczami i biel zębów.

W milczeniu przebyliśmy drogę do pokoju o uchylonych drzwiach. Zamierzałam go minąć, ale Tycjan wskazał mi dłońią wejście.

- Zapraszam do siebie. Mamy parę spraw do omówienia.

Tyrs siedział w fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami. Bezwładnie opuścił ręce na podłokietniki i spoglądał na skwierczący w kominku ogień. Prawie się ucieszyłam na jego widok, choć moją uwagę kompletnie pochłonęła osoba, która dotrzymywała mu towarzystwa. Na kanapie leżała długowłosa, ruda kobieta odziana w zwiewną szatę, która

opinała jej wąskie biodra i płaską klatkę piersiową, odsłaniając fragment wytatuowanego ramienia. Wyrzeźbiony biceps podpowiadał mi jednak, że być może spoglądam na mężczyznę. Zamrugalam kilkakrotnie, skonsternowana tym spostrzeżeniem. Jakby na moje specjalne życzenie ruda podniosła się z kanapy i przespacerowała w stronę barku. Jej sukienka połyskiwała granatowym brokatem, jak łuski elasmozaurów. Gęste włosy zwijały się w niewielkie spiralki.

- Napijecie się? - zaproponowała miękkim głosem, sięgając po karafkę z ciosanego szkła.

- Nie zaszkodzi - odparłam.

- Wieczorny spacer? - zagaił Tyrs, ale wciąż nie patrzył w moim kierunku.

- Próbowала uciec. - Tycjan odpowiedział za mnie, posyłając Mollinie karcące spojrzenie. - Miałeś jej pilnować...

- Nie jestem niańką. Muszę zajmować się prawdziwą pracą.

- Wszyscy musimy, ale tylko ty lekceważysz polecenia Teobalda.

Między młodymi mężczyznami zawisło dobrze wyczuwalne napięcie. Ruda wkroczyła w sam jego środek i podała szklanki Tycjanowi i mnie.

- Wyglądasz na wystraszoną. Jestem Tulia.

Jednym haustem opróżniłam szklankę. Było mi to teraz potrzebne. Zapiękło mnie gardło, ale znowu poczułam, że żyję. Przez cały ten czas unikałam kontaktu wzrokowego z moimi gospodarzami, oni za to nie przestawali mnie obserwować. Miałam już pewność, że Tulia była mężczyzną -

chód i sylwetka ją zdradziły. Uprawiała też jakiś lekki sport, o czym świadczyły jej zarysowane mięśnie.

- Ja bym ją zostawił na pożarcie elasmozaurów i jeszcze bym się temu przyglądał - zawyrokował w końcu Tycjan.

Świetnie.

- Nie będę ci się tłumaczył - odparł Tyrs.

Nagle wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Odprowadzę ją do pokoju. Jest mi winna pieniądze.

Tycjan zrobił minę, jakby zamierzał się sprzeciwić, więc szybko się zreflektowałam i nawet minęłam Mollinę w drzwiach.

- Dziękuję - powiedziałam, posyłając mu niepewne spojrzenie.

Ujął mnie pod ramię.

- Mam nadzieję, że masz dla mnie pieniądze.

Zaczęliśmy wspinać się dalej po schodach. Właściwie Tyrs niedelikatnie ciągnął mnie za sobą. Nie miałam siły, żeby protestować, zresztą wołałam jego szorstkość niż podejrzliwą ogładę Tycjana. Musiałam w końcu wziąć się w garść.

Tyrs kilka razy obszedł mój pokój, jakby czegoś szukał. Odłożyłam plecak na fotel i wyciągnęłam z niego zwinięte pieniądze. Kiedy już miałam mu je wydać, zawahałam się; potrzebowałam informacji.

- Kim jest Tycjan? - zapytałam.

Mollina obrócił się w moją stronę. Jego oczy błyszczały

pomarańczowo.

- Nie mam ochoty z panią rozmawiać. Proszę o moje pieniądze.

- A ja proszę cię o pomoc. Dzisiaj odwiedził mnie Teobald i powiedział, że nie wypuści mnie z Twierdzy. Może ci się przydać taki sojusznik jak ja...

Patrzył na mnie z politowaniem.

- Co może mi pani zaoferować? W czym jest pani lepsza od burmistrza Teobalda albo komandora Zadara?

- Mówisz o kierowniku portu? - zainteresowałam się.

- Oczywiście, a o kim by innym? W każdym razie Teobald i Zadar są siebie warci. Będzie pani do nich pasować. Tycjan jest dowódcą mojego oddziału w Straży Wąwozu i przewodniczącym naszej szkoły. Opiekuje się elasmozaurami z zatoki, dlatego jest teraz na mnie wściekły za to, że zabiłem jednego z jego pupilków, ale bardziej na panią. Powinna się pani trzymać od niego z daleka...

Wyciągnął dłoń po pieniądze.

- Jeszcze nie wiem, co mogę ci zaoferować - powiedziałam, spoglądając mu w oczy; nie zobaczyłam w nich nic ludzkiego, raczej wyważoną, gadzią kalkulację.

Podalam mu zwinięte banknoty między dwoma palcami. Przeliczył je w blasku lampy. Ta krótka chwila wystarczyła, żebym zwróciła uwagę na jego ostre paznokcie. Jeden z nich zostawił krwawą ryse na wewnętrznej stronie mojego palca.

- Ustalmy jedną rzecz. Nic mnie pani nie obchodzi - rzucił przez ramię, z satysfakcją chowając pieniądze do kieszeni wytartych jeansów.

- Uratowałeś mi życie. Nie mogłeś wtedy wiedzieć, że mam przy sobie jakąś gotówkę...

Znowu na mnie spoglądał tym nieruchomym, szacującym wzrokiem. Poczułam się przez niego nieswojo. Tyle razy opowiadałam o nim studentom, że zaczęło mi się wydawać, że go znam. Teraz przypominał mi, że nie miałam racji, że to tylko złudzenie.

- A co, jeśli ja też wcześniej o pani słyszałem? A co, jeśli obserwowałem pani marsz przez pustynię i pilnowałem, żeby moje raptory się do pani nie dobrały? A co, jeśli Teobald sownie mnie za to wynagrodził?

Zanim odpowiedziałam, posłał mi enigmatyczny uśmiech i odwrócił się do wyjścia.

- Ty sukinsynu! - krzyknęłam za nim.

Jego śmiech był głęboki i ponury, jakby wydobywał się spod ziemi. Z wrażenia usiadłam na łóżku, bezwładnie opuszczając ręce na kolana. Na domiar złego usłyszałam zgrzyt przekręcanego klucza w zamku.

ROZDZIAŁ 2

Tulia/Tuliusz

Wstałam rano, czując się całkiem dobrze. Jakbym znowu była jedną osobą, jakby ta druga zamieszkująca moje ciało w końcu mnie opuściła, pozostawiając mi wolność wyboru. Podobno nie jestem szczególnie inteligentna, ale za to ładna. Podniecam mężczyzn mimo słodkiej niespodzianki, którą znajdują między moimi nogami. Albo właśnie z jej powodu. Pozwalam sobie na daleko posunięte igraszki, jak to zwykle celnie komentuje Tycjan, żeby tylko tego drugiego bolał tyłek; żeby następnego dnia znalazł się w moim ciele za karę, żeby ustąpił mi miejsca i poddał się temu, co jest nieuniknione. W końcu to ja zwyciężę, ja go stąd wypędzę. A kiedy odejdzie na dobre, pozbędę się tego kawałka mięsa spomiędzy moich nóg i nikt już nie będzie ze mnie drwił. Nawet Tycjan. Chociaż jemu pozwoliłabym na wszystko. Kocham go bardziej niż seks. Bardziej niż upojny lot na grzbiecie pterodaktyla.

Nazywam się Tulia i nikt mnie nie prosił, żebym została pterodaktylem. A już na pewno nie moja matka. Po prostu któregoś dnia wstrzyknęła mi geny dinozaura. Mnie i paru innym dzieciakom podlegającym pod jej poradnię. Tylko ja

przeżyłam. Podobno już się taka urodziłam – miałam silny organizm, odporny na wszelkie infekcje. Ale zaczęłam się zmieniać. Albo raczej zaczęłam się rodzić, wychodzić ze swojej skorupy we wnętrzu Tulusza.

Oddajmy mu w końcu sprawiedliwość. Tulusz pojawił się jako pierwszy. Do czternastego roku naszego życia był tutaj jedynym gospodarzem. Nie spodziewał się mnie. Ale w końcu sam często się poddaje, sam często usuwa się w mrok swoich myśli. Wtedy grozi mi samobójstwem, więc ja też muszę zagłębić się w cień. Boję się, że naprawdę to kiedyś zrobi – jest zdesperowany, choć na co dzień nikomu tego nie okazuje, nawet Tyrrowi i Tycjanowi. Wiem, że są jego najlepszymi przyjaciółmi. Wiem, że Tycjan lubi go bardziej ode mnie, i jestem o to szalenie zazdrosna. Mimo to żal mi mojego Tulusza. Jest dobry, ale słaby. I przeszkadza mi w przysłowiowym rozłożeniu skrzydeł. A w końcu jestem pterodaktylem.

Po południu też czułam się całkiem dobrze. Zrobiłam już rundkę do garnizonowego baru. Umówiłam się na randkę z tym przystojniakiem z sąsiedniego oddziału, żeby zrobić na złość Tycjanowi – ostatnio widziałam, jak się pokłócili. Całe moje życie kręciło się wokół dręczenia Tulusza, uwodzenia Tycjana (bez żadnych sukcesów) i przyjaźni z Tyrsem. Trzymaliśmy się we trójkę. Albo raczej w czwórkę, gdy wracał Tulusz i w najmniej spodziewanym momencie przerywał mi zabawę.

Teobald wysłał Tyrsa na zwiady. Podobno zmierzała do nas *ta* kobieta. *Ta* kobieta podobno była *kimś*. Tyrś nie starał

się nawet ukryć swojego zainteresowania. To ona sprawiła, że z dnia na dzień stał się popularny, a los jego i jego rodziny znacznie się polepszył. Przyjechali do nas naukowcy i dziennikarze z Europy. Pisali o nim artykuły, przeprowadzali badania, pokazywali w europejskiej telewizji, Teobald zaś spoglądał na rodzinę raptorów coraz bardziej przychylnym okiem. Wszyscy w kółko powtarzali: „To zasługa Anny Guiteerez. Gdyby nie ona, nikt by o nas nie usłyszał, nikt by nas nie docenił”. Tak, Straż Wąwozu kochała Annę Guiteerez, więc kiedy zorganizowała tę fatalną konferencję, Teobald musiał pojechać do Miasta Krokodyli. Ona bardzo nalegała na Tyrsa, ta pani profesor od relacji między ludźmi i dinozaurami, pożałuj Boże badaczka, antropolog, błada Europejka o przezroczyście sercu... Miałam nadzieję, że zginęła, ale cóż, moje przewidywania rzadko się sprawdzają. Podobno nie jestem szczególnie inteligentna, ale za to ładna.

Wydawało mi się, że Anna Guiteerez była ode mnie ładniejsza. Bez większego entuzjazmu wzięła ode mnie drinka. Zignorowała mnie wpatrzona w Tyrsa. Tycjan wyraźnie budził jej antypatię i za to ją polubiłam. Nie będzie dla mnie konkurencją, choć mogła mu się podobać z tą lekko opaloną, delikatną skórą, wydatnymi piersiami i nierówno przyciętymi, kasztanowymi włosami. Moje były zdecydowanie bardziej rude.

Robiła maślane oczy do Tyrsa, co rzucało się w oczy tak bardzo, że aż śmieszyło. Współczułam jej, bo robienie maślanych oczu do Tyrsa zwykle nie kończyło się zbyt

dobrze. On był po prostu dziwny z tymi swoimi poglądami na temat kobiet i związków i z panicznym strachem przed spłodzeniem potomka, kolejnej istoty obciążonej genami raptorów. A poza tym... nad czym się tutaj zastanawiać? Babka miała już pewnie ponad trzydzieści lat, a cała nasza trójka kończyła dopiero dziewiętnaście. Co prawda wyglądaliśmy na starszych, niż byliśmy w rzeczywistości, jednak służba w Straży Wąwozu zobowiązywała do pracy nad sylwetką.

Ale wracając do tematu - Tyrś chyba nie lubił kobiet. Przenosił na nie swoją niechęć wobec matki i babki. Zapamiętałam, żeby następnego dnia zapytać go o jego stosunek do pani profesor. O ile obudzę się Tulią. Miałam nadzieję, że Tulusz znowu zaśpi...

- Tym razem Tyrś przesadził. - Tycjan usiadł okrakiem na krześle.

Dolałam mu alkoholu do szklanki. Nawet tego nie zauważył. Z ponurą miną kontemplował zgięcia na srebrzystej zasłonie broniącej dostępu do jego sypialni. Byłam ciekawa, czy mnie tam dzisiaj zaprosi. Ostatnio zachowywałam się wobec niego zbyt natrętnie, dzięki czemu teraz już wiedziałam, że z pewnymi mężczyznami powinnam postępować zdecydowanie bardziej subtelnie. Zatem trzymałam między nami stosowny dystans i to zdawało się go intrygować.

- Tyrś nie miał wyboru. Teobald nie musiał karać go wypędzeniem raptorów ze strefy Twierdzy. Lud Pustyni będzie tym zaniepokojony. Na pewno babka pośle po Tyrśa

i będzie go dręczyć godzinami śledztwa, aż dowie się o przybyciu Anny Guiteerez do miasta. A wtedy wszystko może się wydarzyć.

- Myślę, że Teobald był tego w pełni świadomy. Chce wywabić Lud Pustyni z nory.

Tycjan odłożył szklanę na stolik. Przyglądał mi się tym ciężkim spojrzeniem, którym zwykle obdarzał niesfornych kadetów. W wieku dziewiętnastu lat rozstawiał już po kątach starszych od siebie zawadiaków i kryminalistów, chcących dołączyć do Straży. Kusila ich finansowa stabilizacja i amnestia gwarantowana przez burmistrza Teobalda. Pod koniec rekrutacji do oddziału wcielano może pięciu kadetów z dwudziestu pretendujących. Tycjan pomagał naszemu komendantowi Treweriuszowi przy dokonywaniu ostatecznego wyboru. W praktyce - od dwóch lat robił to za niego.

- Przykro mi, kochana, ale potrzebuję teraz Tulusza.

Uprzedził mnie. Jak miło z jego strony!

Pomyślałam, że jestem masochistką, bo wciąż go kocham, mimo że bywa wobec mnie naprawdę okrutny. Złapał mnie przy drzwiach i uderzył o nie moją głowę z taką siłą, że na chwilę mnie zamroczyło. Bezwładnie uwiesiłam się jego ramienia.

- Przepraszam, Tuluszu, tak bardzo cię przepraszam... - szeptał mi do ucha, dotykając ustami moich rozczochranych włosów.

Automatycznie się odprężyłam, a on, wykorzystując to, przycisnął mój lewy policzek do ściany i potarł nim o jej

chropowatą powierzchnię. Łzy stanęły mi w oczach. Zaczęłam się szarpać, ale bez skutku - tylko sprawiłam sobie większy ból. Tycjan trzymał mnie w żelaznym uścisku, jedną ręką ciągnąc za włosy, a drugą mocno trzymając za biodra.

- Walcz z tym, tchórze! - krzyknął. - Jeśli się nie przebudzisz, zrobię ci trwałą krzywdę i obaj będziemy tego żałować!

- Próżny trud. Tulusz tobą gardzi. Do niczego go nie zmusisz, a ja tak łatwo nie odejdę! Wystarczyło, żebyś mnie tylko poprosił!

Tycjan wydał z siebie niezadowolony pomruk. Głośno płakałam wiotka i bezbronna w jego bezlitosnych rękach. Oczekiwałam kolejnego uderzenia, ale on niespodziewanie mnie puścił. Ze złością zrzucił za to książki i wazon z regału.

- Nie mogę na ciebie patrzeć! - warknął. - Do niczego się nie nadajesz, puszczasz się ze wszystkimi facetami w porcie i marnotrawisz czas na spaniu. Myślisz, że będę się nad tobą rozczulał jak wszyscy inni i nawet cię stuknę, gdy łaskawie nadstawisz tyłek? Ja wiem, że wykorzystujesz swoją chorobę po to, żeby uciec od odpowiedzialności, i nie będę tego tolerował! Zbyt mocno cię szanuję, Tuluszu!

Po chwili już go nie było. Słyszałam tupot jego stóp na schodach. Nie wiedziałam, dokąd zmierzał, ale Tulusz pewnie tak. Nie mogłam swobodnie przełykać. Siedziałam na dywanie skulona przy ścianie, z krwawiącym policzkiem i cicho płakałam. Tusz wpłynął mi do oczu. Moje płuca nabrzmiały bólem, który rozprzestrzenił się na całe ciało. Zanosilałam się płaczem, choć i tak w niczym mi to nie

pomagało. Wracał Tulusz. Musiał policzyć się z Tycjanem. Oczywiście.

Trwało to zaledwie chwilę. Grunt uciekł mi spod stóp i spadłam prosto na ziemię z dużej wysokości, łamiąc przy tym wszystkie kości.

Kurwa, jak ja tego nienawidzę. Nie wiem, gdzie jestem, nie wiem, czym jestem, nie wiem, czy chcę wiedzieć... I trwa to całą sekundę. To o sekundę za długo.

Policzek napierdalał mnie niemożliwym bólem. Oblizałem fragment górnych zębów, sprawdzając, czy są całe. Przez chwilę podejrzewałem nawet, że wdałem się w bójkę. Wymacałem guza na czole. Z przeciętej skóry płynęła krew. Kląłem pod nosem niezdolny do zmuszenia mojego nędznego ciała do ruchu. Wreszcie podniosłem się na drżących nogach, zadzierając suknię.

O Boże, znowu założyłem suknię! Nie powinno mnie już to za bardzo dziwić. Zwykle budziłem się w sukni i z bolącym tyłkiem. Ponoć byłem niezłą suką. Dobrze, że chociaż Tulia umiała czerpać z życia pełnymi garściami to, co było w nim najlepsze. Ostatnio jednak rytuał mojego powrotu się powtarzał. Jeśli nie budziłem się w swoim cieple, Tycjan mnie do niego sprowadzał. Był przy tym bardzo dosadny. Sprawiał, że czułem się jak gównno, jakbym i bez tego nie zdawał sobie sprawy, w jakiego złamasa się przeistoczyłem.

Nie miałem ochoty schodzić do Tycjana i udawać, że nic się nie stało, albo co gorsza pocieszać go z tego powodu, że

mi wpierdolił. A kto będzie, kurwa, pocieszał mnie? Miałem kiedyś wielkie plany - najlepszy uczeń, syn znanej lekarki, nowy medyczny talent w Twierdzy Kimerydu. A potem matce odwalilo i zostałem pterodaktylem. Nie, już nie narzekam, skończyłem z tym dawno temu. Jestem tym, kim jestem. Moja druga natura często przejmowała nade mną kontrolę, a ja dryfowałem w nieznanym. To świetne określenie: dryfować. Tak to właśnie wygląda od czterech lat - dryfuję. Gdyby nie Tycjan i Teobald, już dawno bym ze sobą skończył. Śmierć jest właśnie dryfowaniem. Niezbyt wiele by dla mnie zmieniła, ale może przynajmniej przestałbym się siebie wstydzić.

Na miękkich nogach zawlokłem się do łazienki Tycjana. Tam wpakowałem się pod prysznic, najpierw zdzierając z siebie tę brokatową szmatę. Zmyłem z twarzy krew i resztki makijażu, a potem uważniej przyjrzałem się swojemu ciału. Tulia nie poczyniła w nim większych spustoszeń, jednak przy najmniejszym ruchu bolały mnie mięśnie karku i kręgosłup w okolicach krzyża. Pewnie narobiłem się lasek jak rasowa prostytutka. Tulia mogłaby przynajmniej inkasować za to pieniądze; nie musielibyśmy się wtedy utrzymywać z mojej ciężkiej pracy w Straży Wąwozu w charakterze pomocnika garnizonowego lekarza. Byłem w ostatniej klasie liceum, ale już kończyłem dodatkowy kurs medycyny. Teobald bardzo na to nalegał, a ja w ten sposób miałem przynajmniej godne zajęcie - babrałem się w ranach i wnętrznościach albo pracowałem nad antidotum na jad pustynnych węży. Oczywiście jeśli

akurat nie wypinałem się przed pacjentami i nie robiłem im loda.

Odwzajemniłem mój wzrok w lustrze. Wyglądałem żałośnie. Opalona, pociągła twarz, spiczasty nos z kolczykiem w prawym nozdrzu i para dużych oczu o odcieniu zatoki późnym popołudniem. Kiedyś obcinałem włosy na krótko. Były ciemne, nic szczególnego. Odkąd pojawiła się Tulia, farbowała mi je na wściekły rudy kolor i zakręcała na wałki. Na początku walczyłem z jej upodobaniami, ale zaczęła jeszcze bardziej robić mi na złość – na przykład wytatuowała ramiona, plecy i brzuch. Tyrs uważał, że to zabawne. Był w tym odosobniony. Przynajmniej Tycjan się oburzył. Ach, Tycjan. Westchnąłem głęboko. Co ja bym bez niego zrobił?

Wytarłem włosy ręcznikiem, a potem bezwiednie sięgnąłem do kosza z suchymi ubraniami, gdzie Tycjan zostawił dla mnie moje ulubione czarne spodnie i zieloną koszulę. Na koniec posmarowałem policzek maścią i założyłem opatrunek na czoło. Byłem sobą, ale jakby nie sobą. Kurwa, żebym chociaż pamiętał coś z tego seksu... Może czułbym się odrobinę lepiej. Przed przemianą nieszczególnie interesowałem się mężczyznami. Ba, w ogóle nie interesowałem się seksem. Ciągle siedziałem w książkach.

- Dosyć tego, Tuluszu! - powiedziałem do swojego odbicia. - Pora wrócić do gry!

Tycjan pływał w jaskini pod willą. Kochał wodę. W wodzie

mógł poddać się swojej prawdziwej naturze i wyłączyć ludzkie emocje. Przyglądałem mu się znad brzegu, ostrożnie siadając na wysokim kamieniu.

Powietrze pachniało solą i rybami. Gdzieś w pobliżu musiały bawić się małe elasmozaury, jako że tylko one mieściły się w szczelinie łączącej jaskinię z zatoką. Zamoczyłem koniuszki palców stóp i zmąciłem nimi nieskazitelną tafłę. Jaskinia Tycjana dziwnie mnie uspokajała. Przypominała mi ten łatwiejszy okres mojego życia, kiedy byłem tylko grzecznym Tuliuszem, synkiem słynnej pani doktor Arabelli Donner z Europy, która na stałe osiadła w Twierdzy Kimerydu, żeby drażnić groźnego Teobalda i zawstydzić komandora Zadara. Nie wiedziałem, kto był moim ojcem. Przyplłynąłem tutaj z matką z Europy, mając pięć lat.

Nagle Tycjan wynurzył się tuż obok mnie i oparł zgięte łokcie o brzeg. Strumień wody spływał mu wzdłuż karku i potem przez kręgosłup aż do talii. Włosy przykleiły mu się do ramion i policzków - były proste jak strąki. W przeciwieństwie do moich nie kręciły się nawet pod wpływem dużej wilgoci. Z perspektywy kamienia widziałem dokładnie zarys jego twardych mięśni, wystające łopatki i krzywą bliznę na prawym boku. Złapał mnie za kostkę, jakby zamierzał wciągnąć mnie pod wodę. Lubił to robić, ale tym razem się powstrzymał i tylko pieszczotliwie pomasował mi stopę. Nie podniósł głowy, żeby na mnie spojrzeć.

- Kiepski sposób na przeprosiny - zauważyłem od razu.

Przytulił twarz do mojej łydki i przez chwilę trwaliśmy

tak bez ruchu. Położyłem dłoń na jego włosach. W zaległej ciszy słyszałem nawet, jak fale polerowały ściany jaskini. Traktowałem Tycjana jak starszego brata, choć mieliśmy po tyle samo lat, jednak z wielu względów był ode mnie po prostu dojrzały i silniejszy psychicznie. Moja matka i jego ojciec przez jakiś czas się spotykali, lecz ich związek nie przetrwał próby czasu.

- Jedyne, jaki przychodzi mi do głowy - odezwał się w końcu Tycjan.

- Uwielbiam twoją wrażliwość. Zwłaszcza jak bijesz mnie po głowie.

- Przepraszam.

- Wiem, rozumiem, nie musisz mi się znowu tłumaczyć. Kolejny siniak nie robi mi większej różnicy.

Tycjan odsunął się ode mnie i odchylił głowę. Jego spojrzenie było straszne. Zawierało w sobie tyle samo smutku, co złości. Bardzo przeżył moje przeobrażenie w pterodaktyla. Wiedziałem, co myślał. Przerabialiśmy to tysiące razy i wydawało mi się, że od czterech lat nie prowadziłem z nim żadnych innych rozmów poza tą jedną, podczas której wyrzucał mi brak szacunku do własnego życia. Uważał, że świadomie pozwalałem Tulii, żeby mnie niszczyła.

W żaden sposób nie umiałem odeprzeć jego argumentów - fakt pozostawał faktem, że gdyby nie jego determinacja i troska, byłbym rzadkim gościem w moim własnym ciele. Czasem korciło mnie, żeby powiedzieć mu prawdę - że odkąd władze powiesiły moją matkę, nie miałem dla kogo żyć, nie

chciałem żyć tylko dla siebie i nie wiedziałem więcej, kim byłem. Może krwiożerczym stworem, może tylko chłopakiem z DNA pterodaktyla, a może portową dziwką, która uwielbiała ostre rżnięcie, bo wtedy czuła, że naprawdę żyje, że jeszcze jest komuś potrzebna; choćby pijanemu marynarzowi, który zaraz potem ruszał w długi, niebezpieczny rejs do Europy. Może podniecało mnie to, że na oceanie mogła spotkać go szybka i gwałtowna śmierć ze strony zmutowanych ryb bądź oceanicznych elasmozaurów i mój tyłek będzie ostatnią rzeczą, którą wspomni wtedy z rozrzewnieniem.

Tycjan wierzył, że zostało we mnie jeszcze coś z moich starych ambicji, jakieś niedorzeczne marzenia grzecznego chłopca w za dużych okularach. Chyba drażniło mnie to bardziej niż nonszalancja Tulii. Ale tego też nie zamierzałem mu mówić – ja również chciałem go chronić.

- Jestem zmęczony – powiedziałem więc asekuracyjnie, zanim Tycjan rozpoczął swoją zwyczajną tyradę. – Opowiedz mi, co się działo.

Odpłynął na środek jeziora, kładąc się na plecach. Wzburzył przy tym większą falę, która zamoczyła mi nogawki spodni.

- Tyrs zastrzelił mojego elasmozaura.
- O kurwa – zakląłem mimowolnie. – Dlaczego?
- Ratował kobietę.
- Tyrs ratował KOBIECĘ? – powtórzyłem kompletnie zaskoczony.

Tyrs Mollina nie cierpiał kobiet. Twierdził, że miał przez

nie same problemy, co zresztą było prawdą. Jego matka źle znosiła bliskie pokrewieństwo z raptorem i często popadała w depresyjne stany zubożenia. Była wtedy bezwolna, jakby sparaliżowana. Prawie nie mówiła, nie myślała się, nie przebierała i sama nie jadła. W przeszłości ludzie wykorzystywali to przeciwko niej, a już szczególnie mężczyźni.

Adelajda Mollina była elektryzującą piękną, łączącą wdzięk Mulatki z gadzią zwinnością. Kiedyś uważano ją za własność miasta i zanim Teobald wziął Tyrę pod swoje skrzydła, sypiała z różnymi mężczyznami. W ten sposób została matką pięciorga dzieci, z czego każde miało innego ojca; oczywiście do tego ojcostwa nikt się nie przyznawał. Rodzina Mollinów sypiała więc na ulicy albo w przytułkach, jeśli miejscowi mnisi odważyli się ich przyjąć. Adelajda urodziła więcej dzieci, lecz nie wszystkie przeżyły okres niemowlęcy.

Druga ważna kobieta w życiu Tyrę, jego wyrodna babka Abba, do tej pory żyła na pustyni z raptorami i nieformalnie przewodziła Ludowi Pustyni. Uważała, że wnuk był jej winien posłuszeństwo i lojalność wobec rasy swojego dziadka. Tyrę szczerze nie cierpiał zarówno matki, jak i babki. Przejawiało się to również jego podskórną wrogością i podejrzliwością wobec innych kobiet, które zjawiały się w jego życiu.

- Też by mnie to zdziwiło, gdyby tą kobietą nie była Anna Guiteerez.

- Ach, pani antropolog... Czyli w końcu do nas trafiła.

- Teobald to zaplanował.

- Teobald, mistrz strategii - zakpiłem, ale Tycjan nie był w humorze do żartów.

- Musiałem przedsięwziąć pewne kroki przeciwko Tyrswi. Lojalność wobec stada jest u mnie na pierwszym miejscu.

- Co zrobiłeś? - zapytałem przez zaciśnięte gardło.

- Zmusiłem Teobalda, żeby przepędził raptory Tyrsa w głąb pustyni.

- Wiesz, co się teraz stanie? Abba przybędzie do miasta...

- Nie mogę się już doczekać. - Tycjan uśmiechnął się jednym ze swoich najbardziej złośliwych uśmieszków. - Teobaldowi przyda się konkretna rozrywka.

- I Tyrś nie wie, że ty za tym stoisz?

- Nie musi wiedzieć. Mam już wystarczającą satysfakcję.

Tycjan zanurkował i przez dłuższą chwilę pozostawał pod wodą. Naprawdę zaczynałem się na niego złościć i żałowałem, że nie było mnie przy nim, kiedy dowiedział się o tym, co zrobił Tyrś. Może udałoby mi się powstrzymać go przed głupią zemstą, której i tak pewnie będzie żałował. Czasami bywał bardzo porywczy.

Woda zabulgotała tuż pod powierzchnią i wyłoniła się spod niej łabędzia szyja małego elasmozaura. Dobrze znałem jego łagodne oliwkowe spojrzenie. Wydłużony pysk kończył się garniturem ostrych zębów, dzięki którym bez problemu rozrywał ryby i łapał nieuważne ptaki szybujące zbyt blisko fal.

- Tulllllliusz - przywitał się ze mną, jak zwykle przeciągając l.

- Miło cię znowu zobaczyć, Tacjanie - powiedziałem szczerze, choć elasmozaury były naturalnymi wrogami pterodaktyłów.

Tycjan wypłynął tuż obok gada i objął go ramionami za długą szyję. Przez chwilę obserwowałem, jak się razem pluskają i ścigają po całej długości jaskini. Zastanawiałem się, jakby się potoczyło moje życie, gdybyśmy ja i Tulia urodzili się jako bliźnięta w dwóch odrębnych ciałach. Ona pewnie bardziej przypominałaby pterodaktyla, tak jak Tacjan prawie całkowicie wdał się w elasmozaura. Niestety nie miałem tyle szczęścia co Tycjan, chociaż jego gadzie geny także stanowiły wynik nieplanowanego medycznego eksperymentu. Tulia była wytworem mojego umysłu i teraz, gdy obserwowałem pływającego przyjaciela, po raz kolejny pomyślałem, że może miał rację, może sam ją stworzyłem, żeby mieć kogo winić za utratę kontroli i eskalację moich pragnień.

Ten wniosek sprawił, że znowu odechciało mi się żyć, więc postanowiłem jak najszybciej o nim zapomnieć. Szybko się rozebrałem i wskoczyłem do wody. Tycjan otoczył mnie ramieniem i znowu poczułem się kompletny.

Garnizon Straży Wąwozu mieścił się w pobliżu naszego liceum. Dyrektorka Aspazja Bree wielokrotnie na to narzekała i pisała skargi do Teobalda. Niestety bezskutecznie. Burmistrz miał swoje argumenty - część uczniów Liceum nr 1 imienia wicecesarza Sina pracowała

również w Straży Wąwozu. Silniejsi, niezdyscyplinowani chłopcy zapisywali się do kadetów, dziewczyny pomagały w garnizonowym szpitalu i wybierały się na praktyki do garnizonowych urzędów. Życie Twierdzy Kimerydu kręciło się wokół Straży Wąwozu lub w porcie komandora Zadara. Zwłaszcza ci, którzy marzyli o wypłynięciu do Europy, starali się o pracę w którymś z portowych Domów Rozrywek. Zadar był mecenasem sztuki i zarazem królem hazardu, Teobald zaś skupiał się na zarządzaniu i ochronie Twierdzy przed dinozaurami i napadami ze strony Miasta Krokodyli, w całości przejętego przez przedstawicieli cesarza. Kiedyś bardzo żałowałem, że nie mieliśmy uniwersytetu. Chciałem studiować medycynę i nie wyobrażałem sobie wyjazdu do Miasta Krokodyli.

Garnizon Straży Wąwozu składał się z pięciu długich budynków, między którymi w zależności od ich zastosowań mieściły się albo baseny z ciepłą wodą, albo park. Z okna mojego laboratorium miałem akurat widok na fontannę otoczoną ławkami i latarniami. Dzisiaj znowu pracowałem nad antidotum na jad węży, korzystając z tego, że nie obudziłem się Tulią. Przy okazji obserwowałem ogólną mobilizację w budynku oficerów mieszczącym się dokładnie naprzeciwko mojego. W pewnym momencie zauważyłem nawet Tyrsa maszerującego z budynku kadetów do budynku oficerów – i tak w kółko. Jakby Treweriusz zrobił sobie z niego chłopca na posyłki, co w sumie nie było takie nieprawdopodobne.

W końcu Tyrś podszedł do fontanny i pomachał w stronę

mojego okna. Wychyliłem się przez uchyloną szybę.

- Co tam, stary? - zapytałem.

- Skąd ci się wzięła ta paskudna blizna na policzku? - Kochany Tyrs, jakże się za nim stęskniłem!

- Nie gadam z tobą!

- To niedobrze, bo zabieram cię ze sobą w teren.

- Co? Dlaczego akurat mnie?! Rzadko wychodzę w teren...

- Wiem, ale nie wyobrażam sobie nikogo innego w roli lekarza mojego oddziału.

- Szykuje się jakaś walka? - Nie wierzyłem własnym uszom; od razu ogarnęło mnie podekscytowanie.

- Powiedziałbym, że raczej bitwa...

- Regularna bitwa?!

- Miasto Krokodyli upomniało się o Annę Guiteerez. Teobald wysłał nas na zwiady. Podobno Krokodyle szykują zbrojny odwet.

- I ty mówisz to tak spokojnie! Musimy natychmiast porozmawiać!

- Niby o czym? - Tyrs z przekąsem wzruszył ramionami.

- Tycjan naopowiadał ci jakichś bzdur. Zresztą nie mamy teraz czasu. Szykuj się, czekam na ciebie przy bramie!

- Akurat! Mnie tak łatwo nie oszukasz.

Wydawało mi się, że Tyrs przewrócił oczami, ale z tej odległości nie byłem tego pewien.

- Cieszę się, że przynajmniej ty się dobrze bawisz, Tuluszu.

GARNEZON STRAŻY WĄWOZU-LABORATORIUM.

TULTUSZU!

CO TAM, STARY?

SKĄD MASZ TĄ PASKUDNĄ BLIZNĘ
NA POLICZKU?

NIE GADAM
Z TOBĄ!

TO NIEDOBRE, BO
ZABIERAM CIĘ W TEREN.

SZYKUJE SIĘ JAKAŚ WALKA??

DŁACZEGO MNIE?
RZADKO WYCHODZĘ W TEREN!

POTRZEBUJĘ LEKARZA
W MOIM ODDZIALE.

POWIEDZIAŁBYM, ŻE REGULARNA
BITWA...

Komendant Treweriusz hodował własne korytozaury w stajniach Straży. W dzień pasły się na boisku Liceum nr 1 i na głównym placu, gdzie Tycjan lubił też zmuszać nasz oddział albo jego nowych kadetów do wykańczających ćwiczeń fizycznych.

Oswojone korytozaury służyły grupom zwiadowczym jako główny środek transportu. Te kaczodziobe gady były pokryte połyskującymi łuskami, które mieniły się w słońcu; zwykle poruszały się na dwóch tylnych łapach, rzadziej na wszystkich czterech. Żywiły się szyszkami i szkolnym żywopłotem, co niezmiernie wściekało dyrektorkę. Niestety, jej protesty trafiały w próżnię – Treweriusz nie miał u nas wystarczająco dużo miejsca, żeby zakazać korytozaurom obiadowania na boisku. Poza tym uczniowie uwielbiali te stworzenia i dokarmiali je mimo zakazu.

Tyrs zabrał ze sobą tylko sześciu strażników i mnie. On też jechał na plecach korytozaura, chociaż zwierzę wykazywało wyraźną nerwowość i co chwila potrząsało głową, jakby nie dowierzało, że ten raptor go jeszcze nie rozszarpał. Zresztą mój dinozaur też wyczuwał we mnie drapieżnika, choć był z tego powodu raczej bardziej zniesmaczony niż wystraszony. W sumie racja – kto by się tam bał pterodaktyłów? W końcu wolą ryby... od czasu do czasu.

Jechałem na przodzie obok Tyrsa, jego ludzie trzymali się od nas na dystans. Tyrs nigdy nie silił się na uprzejmość. Wiedział, że cokolwiek by zrobił, i tak będzie budził strach, a w niektórych przypadkach niedowierzenie. Ostatnio też

zyskiwał coraz większy szacunek, bo był naprawdę sprawnym i zdyscyplinowanym strażnikiem.

- Musisz coś zrobić z Tycjanem - powiedział teraz, posyłając mi przelotne spojrzenie spod rzęs; prowadziliśmy miłą, niezobowiązującą konwersację, wymieniając szkolne plotki i naśmiewając się z kaprysów Treweriusza.

Zmiana tonu nieco mnie zaskoczyła, ale zachowałem czujność. Zrobiło mi się gorąco na samą myśl, że Tyrs domyślał się wkładu Tycjana w zniknięcie raptorów z okolicy wąwozu. Nie chciałem znowu znaleźć się w samym środku ich konfliktu.

- Co masz na myśli? - zapytałem niewinnym tonem.

Wyjechaliśmy poza obręb Twierdzy. Przygotowywałem się psychicznie na uderzenie pustynnego gorąca. Najbardziej przerażało mnie, że byłem skuty zbroją strażnika i miałem przy sobie za dużo broni, która już zaczynała mi ciążyć. Na domiar złego przy siodle wiozłem lekarską torbę.

- Określ z nim jasno relacje, bo w tym swoim egoistycznym akcie autodestrukcji pociągniesz go za sobą. O ile już tego nie zrobiłeś.

Pierwszy raz, odkąd opuściliśmy garnizon, Tyrs spojrzał na mnie uważniej. Pomarańcz jego oczu na początku zawsze wydawał mi się trudny do odczytania. Po chwili zauważyłem w nim autentyczną troskę, a także pewien wyraz dezaprobaty.

- Świetnie. Ty też jesteś przeciwko mnie? - burknąłem. - Kiedyś obiecałeś, że nie będziesz podejmował ze mną tematu Tulii.

- Bo nie będę. Chodzi mi o Tycjana. Nie widzisz, jak on się stara? To już trwa od pewnego czasu. Jesteś wręcz wpisany w jego napięty harmonogram. Poranek - skopać tyłek kadetom, drugie śniadanie - skopać tyłek nauczycielom w szkole, pora obiadowa - skopać tyłek Tulii, żeby wrócił Tulusz, podwieczorek - skopać tyłek Tyrswi, bo za bardzo przymila się do Tulusza... Rozumiesz?

- Chyba tak, choć twoja sugestia wydaje mi się co najmniej absurdalna.

- Tylko mi potem nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Tyrs pospieszył swojego korytozaura i wybił się na prowadzenie. Kolejne dwadzieścia minut jechaliśmy oddzielnie, jakby dawał mi czas na rozmyślenia. Ale ja miałem ich dość przez minione dwadzieścia cztery godziny i nie zamierzałem psuć sobie humoru. Pierdoliło mnie, kogo i kiedy pociągnę za sobą na dno. Równie dobrze mogłem zabrać tam też Tyrsa, żeby za nami nie tęsknił. Czasami uwielbiałem moje lekceważenie - pozwalało mi przetrwać takie absurdalne sytuacje.

Tymczasem upał coraz bardziej dawał się we znaki. Pot lał mi się ciurkiem po plecach. Mimo że miałem na sobie lekką kolczugę, i tak nie chroniła mnie przed słońcem. Metalowe naramienniki nagrzewały się za to w błyskawicznym tempie i dosłownie czułem, jak moja skóra płonie. Zerknąłem na towarzyszących nam strażników. Oni też męczyli się upałem, choć starali się tego po sobie nie pokazywać. Co chwila sięgali po bukłaki z wodą, ale nie przyspieszali korytozaurów. Posłusznie czekali na rozkazy.

Prawie wszystkich kojarzyłem z twarzy. Treweriusz przydzielił Tyrsowi największych rozrabiaków w Straży: byłego przemytnika, zbiega Ludu Pustyni (pewnie nie wytrzymał gorąca albo towarzystwa złośliwej Abby), syna komendanta miejskiej policji, Europejczyka, który wcześniej odsiadywał karę w portowym więzieniu, dowódcę oddziału C (nasz oddział tytułował się literką A i dowodził nim Tycjan) i jeszcze jednego, którego nie znałem. Za to wszyscy oni przyglądali mi się z krzywymi uśmiechami na twarzach i mogłem się tylko domyślać, że swego czasu mieli do czynienia z Tulią. Może któremuś z nich niedawno robiłem laskę. Ta myśl sprawiła, że spałem stopami korytozaura i dogoniłem Tyrsa.

Akurat wspinaliśmy się po wysokiej wydmie. Korytozaury porykiwały niezadowolone tym nadmiernym wysiłkiem. Odkręciłem bukłak z wodą i dałem się napić mojemu wierzchowcowi. Tyrs zatrzymał się na szczycie wydmy, co od razu wydało mi się podejrzane. Podjechałem do niego ostrożnie, najpierw widząc tylko kawałek błękitnego nieba i kolorowe lotki jego strzał, które razem z łukiem wiózł na plecach.

Tyrs ostrzegawczo uniósł prawą rękę, zmuszając nas do pozostania na miejscu, jednak ja zdążyłem już się obok niego zatrzymać. Przy sąsiedniej wydmie formował się kilkusobowy dywizjon pancerny Krokodyli. Nie mieliśmy czasu przed nim uciec, nie mieliśmy też wystarczających środków, żeby podjąć walkę z wrogiem. Byliśmy tylko małym oddziałem zwiadowczym, chociaż dobrze uzbrojonym, ale nie

w typowym europejskim stylu, w którym celowali Krokodyle.

Z początku w ogóle nie uczestniczyłem w krótkiej naradzie wojennej. Może gdybym nie wjechał za Tyrsem na szczyt wydmy, nie zostalibyśmy zauważeni przez forpoczte dywizjonu wroga. Oddali kilka strzałów w naszą stronę. Najpierw ze zwykłej broni, a potem z działa, które wzbilo chmurę piachu. Pył podrażnił mi oczy, więc spokojnie przemywałem je wodą z bukłaku. Mój korytozaur nerwowo pode mną tańczył, jakby chciał jak najszybciej zerwać się do ucieczki. Byłem pewien, że zaraz ona nastąpi. Mieliśmy tylko obserwować wroga i policzyć jego siły – nikt nie wymagał od nas walki przekraczającej nasze możliwości. Dlatego nie mogłem uwierzyć własnym uszom, kiedy Tyrs postanowił poprowadzić nas do ataku. Co więcej, cały oddział wydawał się zadowolony z jego decyzji.

- A co z ich przewagą liczebną? – zirytowałem się. – Nie masz raptorów, żeby wsparły cię w walce. Chcesz wysłać ludzi na pewną śmierć?

Tym komentarzem zasłużyłem sobie na pogardliwe uśmiechy.

- Po co go zabierałeś, dowódco? – zapytał dawny więzień.
- Nie mamy teraz czasu, żeby nam obciążał.

Zrobiło mi się gorąco z wrażenia. Poczerwieniałem na twarzy – mogłem się łudzić, że z powodu upału. Wzbierała we mnie agresja.

- Tuliusz wróci do garnizonu powiadomić Treweriusza –

odparł Tyrs, nawet na mnie nie patrząc.

- Chwileczkę! Jestem lekarzem, a na pewno będziecie potrzebować medycznej pomocy!

- Nie, jesteś tylko pomocnikiem lekarza - uściślił dowódca oddziału C. - Wątpię, że kiedyś skończysz medyczny kurs. To dla ciebie zbyt duże wyzwanie.

Strażnicy jawnie się ze mnie naśmiewali, a Tyrs nawet nie skinął palcem. Wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo przyzwyczajony byłem do ingerencji Tycjana; nikt nie odważyłby się ze mnie kpić w jego obecności. Ze względu na mnie Tycjan nie narażałby się też teraz na niebezpieczeństwo i natychmiast zarządził odwrót do Twierdzy.

„Tylko mi potem nie mów, że cię nie ostrzegałem”.

Tyrs zawrócił swojego korytozaura, uznając naradę za skończoną. Z oburzenia zabrakło mi słów. Słuchałem, jak wydawał dyspozycje podwładnym: zamierzał wziąć wroga z zaskoczenia, od wschodu okrążyć wydmę i podziemnym przejściem znanym tylko raptorom przebyć drogę na tyły dywizjonu. Jedynie w ten sposób mógł zapewnić oddziałowi przewagę. Strażnicy nie byli zadowoleni, że musieli przemykać podziemiami, nad głową mając rozgrzaną pustynię. Obawiali się, że mimo daleko zakrojonej akcji Teobalda z przepędzeniem raptorów z okolicy Twierdzy i tak natkną się na bestie. Obecność Tyrsa nie do końca ich uspokajała. Po krótkiej wymianie zdań doszli jednak do wniosku, że walka z Krokodylami i tak była nieunikniona.

- Nie wrócę do Twierdzy - odezwałem się, kiedy

skończyli rozmawiać.

- Ktoś musi sprowadzić posiłki. Ten dywizjon to na pewno nie jedyny, który wysłali.

- Tyrs, bez wsparcia dinozaurów ta misja to samobójstwo - powiedziałem przez ściśnięte gardło. - Raptory opuściły wąż. Jesteś zdany tylko na własne siły. Pomijam przewagę liczebną wroga, ale widziałeś ich uzbrojenie...

- Co zatem proponujesz? - przerwał mi stanowczym tonem.

- Zaatakujemy ich, ale w asyście pterodaktyłów.

Nigdy nie walczyłem w asyście pterodaktyłów. Czasami używałem ich do latania nad oceanem, niekiedy podrzucały mnie do szkoły z willi Teobalda i płoszyły korytozaury w garnizonie. Wystraszyłem się tego, co powiedziałem, już w momencie gdy otworzyłem usta. Dotarło też do mnie, że Tyrs od początku mnie podpuszczał. Pewnie pozostali strażnicy byli z nim w zмовie. Oczywiście, że nie odważyłby się zaatakować pancernego dywizjonu bez przewagi, którą gwarantowały nam drapieżne dinozaury. A ponieważ jego raptory zostały przepędzone...

- Ty sukin... - Nie skończyłem mówić, gdy w pobliżu eksplodował pocisk.

Drobinki piasku wbiły mi się w skórę twarzy i podrażniły ranę na policzku.

Nad pustynią zwykle krążyło kilka pterodaktyłów, ale nie - jak sądziła większość - żeby żywić się padliną, tylko dlatego,

że patrolowały w ten sposób teren i potem wracały nad ocean. Bardzo rzadko atakowały przemierzające pustynię kawalkady i kursujące między miastami transporty żywności bądź materiałów budowlanych. Odkąd jednak doszło do krwawego stłumienia pokojowych manifestacji przeciwko dyskryminacji dinozaurów i Ludu Pustyni na Uniwersytecie Miasta Krokodyli, ta komunikacja kompletnie zamarła.

Zanim dotarliśmy do podziemnego korytarza, przyzwałem do siebie jednego z patrolujących pterodaktyłów i przekazałem mu instrukcje. Całe stado portowych pterodaktyłów miało przylecieć nad pustynię. Nie za bardzo wiedziałem, jak mam nimi potem kierować, ale liczyłem, że Tyrs udzieli mi jakichś wskazówek. Moi towarzysze spoglądali na mnie z niepokojem. Nagle nabrali do mnie niejakiego szacunku, choć kiedy skrzeczałem do gada, niektórzy z powątpiewaniem kręcili głowami. Tyrs uśmiechał się arogancko i gdyby nie dokuczający mi upał, chętnie bym mu wybił te śnieżnobiałe ząbki.

Nasze korytozaury wpadły w szal. Były już wystraszone gradem spadających na nas pocisków, a teraz musiały jeszcze wejść do korytarza, który aż cuchnął raptorami.

- Nie da rady, nie wepchniemy ich tam siłą - warknął Tyrs i wskazał na tego strażnika, którego nie znałem. - Teodor, wrócisz do Twierdzy i przekażesz Treweriuszowi, żeby szykował posiłki. Zaopiekuj się korytozaurami!

Mężczyzna niechętnie zawrócił, a my, obładowani bronią, zaczęliśmy powoli schodzić do podziemia. Oczy Tyrsa świeciły fosforyzującym pomarańczem. Zazdrościłem mu

teraz, że tak dobrze widział w ciemnościach - ja byłem prawie ślepy. Potykałem się o własne nogi, wpadając na idącego przede mną przyjaciela, który znosił to z godną pozazdroszczenia cierpliwością. Za mną szedł były członek Ludu Pustyni i choć w moich żyłach krążyła adrenalina przed czekającą nas walką, nie mogłem przestać myśleć, że mógł być kochankiem Tulii i teraz w duchu się ze mnie naśmiewał. Na szczęście korytarz skończył się szybciej, niż przypuszczałem. Tyrs zatrzymał się i spojrzał na nas.

- Jesteście gotowi?

Oczywiście, że nie byliśmy. Przynajmniej nie ja. Ogarnął mnie strach i przez chwilę stałem bez ruchu sparaliżowany świadomością, jak wielką odpowiedzialność na siebie wzięłem. Nie chodziło tylko o życie moje i moich towarzyszy, ale o honor Straży Wąwozu.

- Rusz się, panienko! - prychnął strażnik za moimi plecami.

Śladem Tyrsa wyszedłem więc na powierzchnię prosto w oślepiającą jasność.

W lewej dłoni trzymałem puginał, a w prawej pistolet na gazowe naboje, z których słynęła Straż Wąwozu. Zadawały ogromny ból - trafiony przeciwnik praktycznie od razu był wyeliminowany z dalszej walki. Element zaskoczenia dał nam znaczną przewagę, chociaż szybko okazało się, że dywizjon liczył co najmniej trzydziestu ludzi okutych w łuskowate zbroje i zaopatrzonych w ciężką amunicję. Dużo ciężkiej

amunicji.

To była właściwie moja pierwsza tak duża bitwa. Tyrs bez przerwy strzelał z łuku, osłaniając walczący oddział. Jego strzały w zależności od koloru lotek powodowały wybuchy albo rozpuszczały trujący gaz - te drugie wypuszczał na dużą odległość na tyły walczących Krokodyli.

Poruszałem się jak podczas jakiegoś wytwornego tańca, choć zostawiałem po sobie krwawe ślady. Spodobało mi się, że o niczym nie myślałem, a mój dojmujący wstyd wreszcie się ulotnił. Byłem tylko tu i teraz. I ciąłem, i strzelałem, i ciąłem, i strzelałem... Krew pryskała na moją kolczugę i twarz. Chwilami prawie nic nie widziałem. Pociągałem za spust i od razu dobijałem ofiarę pugiinałem. Celowałem w gardła sam nie do końca świadomy własnej siły. Zabiłem chyba sześciu Krokodyli, ale wciąż ich przybywało, więc ani na moment nie zwalniałem tempa.

Byłem cały oblepiony piaskiem, słońce wypalało mi oczy, wzrastał się ból kręgosłupa i pieczenie poharatanego policzka. Tak bardzo skupiłem się na moim destrukcyjnym dziele, że nie zwracałem uwagi na towarzyszy. W końcu mój taniec został brutalnie przerwany. Silna eksplozja dosłownie zwała mnie z nóg i odrzuciła do tyłu. Z głośnym jękiem wylądowałem na plecach. Nieznośne gorąco rozlało się na mój prawy bok. Wydawało mi się, że straciłem nogę - ból w łydce przypominał żarłocznego pająka oplatającego moje mięśnie paraliżującą siecią.

Nic nie widziałem, w powietrzu unosił się pył. Zewsząd rozlegały się jęki rannych. Zachowałem na tyle przytomności

umysłu, żeby unieść się na łokciach.

- Gdzie one są? - Tyrś się nade mną pochylił.

Kaszłał, zasłaniając twarz ręką. Stracił lewy naramiennik, jego ramię było całe we krwi - jak podejrzewałem, nie tylko wroga.

Nie wiedziałem. Do oczu napłynęły mi łzy. A zatem tak wyglądał nasz koniec. Tycjan nigdy mi tego nie wybaczy, ale przynajmniej uwolnię ten świat od Tulii.

Tyrś przykucnął przy mnie i pomógł mi usiąść. Teraz już wyłem z bólu; jak nic miałem otwarte złamanie. Kość piszczelowa na wylot przeszła przez skórę. Tyrś wbił pazury w moją dłoń, żeby przywołać mnie do rzeczywistości. Prawie tego nie zauważyłem. Głosy wokół nas się nasiliły. Chyba otoczyli nas wrody żołnierze.

Następne parę sekund zagłębiałem się w czerwonej mgłę eskalującego bólu. Docierały do mnie pojedyncze obrazy, ale nie potrafiłem odróżnić jawy od snu. Wydawało mi się, że byłem w gnieździe pterodaktyłów i pozwalałem, żeby małe żarłoczne pisklaki szarpały moje ubranie kłapiącymi dziobami. Jeden z nich zranił mnie przy tym w nogę i z irytacją go od siebie odepchnąłem. Było mi potwornie gorąco, pot zalewał mi oczy, tak że traciłem ostrość widzenia. Chciałem, żeby już przyleciała samica i swoimi skrzydłami dała nam choć odrobinę cienia. Gdzieś w oddali dobiegały mnie niewyraźne krzyki wzburzonych ludzi. Mieszały się z piskiem małych pterodaktyłów, tworząc

wibrującą kakofonię dźwięków. Drażyły mi dziurę w czaszce, przenikały mózg, aż cały stałem się nadwreżonym nerwem wyczulonym na najmniejsze drganie powietrza.

Ktoś uniósł moją głowę. Przed oczami mignęły mi złocone wykończenia kolczugi Tyrsa. Przykucnął ze mną w gnieździe. Nie pamiętałem, kiedy się na nie wdrapał, ale podobno wbrew obiegowym opiniom raptory potrafiły świetnie się wspinać. Uniósł dłoń i wbił mi w szyję cienką igłę. Poruszyłem ustami. Desperacko chciałem mu coś powiedzieć, coś ważnego. Zabrakło mi sił. Mały pterodaktyl znowu zacisnął szczęki na mojej łydce. Tyrs zniknął z pola widzenia, ale za to w końcu zakrył mnie cień. Odetchnąłem z ulgą, kiedy samica pterodaktyla rozpostarła nade mną skrzydła i pomachała nimi, wzbijając obłok kurzu.

Ocknąłem się nieprzyjemnie świadomy swojego położenia. Wiedziałem, że jasność umysłu wróciła mi dzięki zastrzykowi, który zaaplikował mi Tyrs - zapewne znalazł go w mojej lekarskiej torbie. Lekarze Treweriusza stworzyli narkotyzujące serum, które wyłączało nocycceptory, czyli receptory bólowe. Układ przeciwbólowy przez co najmniej dwie godziny pracował na pełnych obrotach, a dodatkowo zmieszany z serum narkotyk wzmacniał koncentrację i szybkość reakcji. Dzięki niemu ranni strażnicy wąwozu walczyli bardziej zażarcie niż zdrowi.

Uklęknąłem na jedno kolano - drugie było całkowicie niesprawne. Otwarte złamanie wyglądało paskudnie, jednak

ze wszystkich sił starałem się o nim zapomnieć, skoro chwilowo nic nie czułem. Nie potrafiłem określić, ile czasu minęło, ale widok, który się przede mną rozciągał, przypominał pobojowisko. Wszędzie leżały fragmenty rozszarpanych ciał w łuskowatych zbrojach Krokodyli, a pomiędzy nimi obiadowały pterodaktyle, wspierając się na zgiętych skrzydłach. Tuż obok mnie tkwił ten, którego wysłałem po posiłki. Nie rzucał się do ataku ani nie wykazywał chęci do żerowania. Pilnował mnie, co chwila chowając dziób w zgięciu skrzydła. Dokuczał mu upał.

Zapach krwi i śmierci uderzył we mnie ze zdwojoną siłą. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Tyrsa i innych strażników, lecz zniknęli gdzieś wśród tego przerażającego galimatiasu. Kilku niedobitków wroga strącało bestie z przestworzy, strzelając z jeszcze nieuszkodzonych dział. Jęki bólu i wrzaski przerażenia górowały nad natrętnym skrzeczeniem gadów i suchym dźwiękiem łamanych kości. Spojrzałem w górę. Niebo było aż czarne od szybujących nad pustynią pterodaktyłów. Wygraliśmy, ale gady nie zamierzały przerywać swojego krwawego dzieła.

Nie miałem pojęcia, jak je powstrzymać, więc zrobiłem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy: złapałem mojego pterodaktyla za grzbiet i zacząłem się na niego wspinać. Z początku protestował, irytująco skrzecząc. Nie dawałem jednak za wygraną. Ogromnie bałem się o życie Tyrsa – w końcu pterodaktyle nie odróżniały wrogów od przyjaciół. Za chwilę mogły zwrócić się również przeciwko mnie. Za chwilę to wszystko mogło wymknąć się spod kontroli. Już

byłem współodpowiedzialny za wielką rzeź i na razie nie mogłem sobie wyobrazić, jak będę z tym dalej żył. Jak Tyrs żyje z tym, że koordynuje atakami raptorów na wrogów Twierdzy – tych prawdziwych i domniemanych, wskazywanych palcem przez Teobalda.

Uparcie szarpałem się z pterodaktylem, aż w końcu pozwolił mi usadowić się na swoim grzbiecie. Szybko oddychałem, wydawało mi się, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. Ścisnąłem jego boki kolanami – nie wiem, jak zmusiłem moje ciało, żeby użyło niesprawnej kończyny. Gad rozłożył skrzydła i wzbiliśmy się w górę. Zacisnąłem palce na jego delikatnej szyi. Pęd powietrza przytkał mi uszy i rozwiewał włosy, które już nijak nie chciały trzymać się w warkoczu.

Kierowałem się w stronę Twierdzy. Musieliśmy wrócić nad ocean. Przelatując między pterodaktylami, skrzeczałem jak one, upajałem się lotem i bliskością chmur. Brakowało mi tchu. Gdzieś wśród nich, skazany na samotność i pobudzony serum, zapomniałem, że byłem człowiekiem. Rozumiałem już, dlaczego Tulia zatracala się w naturze pterodaktyla. Nic nie dało się porównać z pierwotnym zewem wolności, precyzyjnym lotem i wzmagającym się głodem.

Z trudem oderwałem moich współbraci od ich posiłku. Chcieli więcej, potrzebowali więcej, należało im się więcej. Miałem ochotę pozwolić im nadal ucztować, lecz resztki mojego człowieczeństwa wykrzeszały we mnie odrobinę współczucia dla pożeranych ludzi. Po chwili do lotu podrywały się kolejne pterodaktyle. Nawet się na nie nie

oglądałem; instynkt podpowiadał mi, że polecą za mną. Byłem od nich mądrzejszy, sprawowałem kontrolę - to ja je tutaj przyzywałem, równie dobrze mogłem je odwołać. Nie wiedziałem, dlaczego to wiem. Tak po prostu było. Wypełniała mnie harmonia i orzeźwiający spokój, jakiego nie czułem, odkąd matka wstrzyknęła mi geny pterodaktyla. Byłem na swoim miejscu. Byłem na swoim miejscu nawet bardziej niż w ramionach Tycjana.

Wspomnienie Tycjana ukłuło mnie mocno w okolicach serca, burząc poczucie wspólnoty z latającymi gadami. Jednak wciąż parliśmy do przodu. Upał nieco zelżał. Wychyliłem się zza kostnego grzebienia mojego towarzysza i zobaczyłem pod sobą zarys wąwozu. Zbliżaliśmy się do Twierdzy. Potem przelecieliśmy kolejno nad miastem i nad portem. Owiąła mnie rześka bryza.

Pamiętałem moment, gdy mój pterodaktyl wylądował na jednym ze skalnych występów. Ześlizgnąłem się z jego grzbietu. Miałem na tyle miejsca, żeby rozprostować nogi - zwłaszcza tę złamaną. Wciąż zostało mi jeszcze trochę czasu. Serum działało bez zarzutu.

Słońce powoli kładło się na powierzchni wody, barwiąc ją pomarańczem. Prawie takim samym, jak pomarańcz oczu Tyrsa. Chciałem, żeby żył, choć mogłem mu tego nigdy nie wybaczyć. Pogrzebał mnie. Zrobił to, co umiał najlepiej.

Pterodaktyle powracały znad pustyni. Część siadała na skalnych półkach, niektóre wracały do swoich młodych do gniazd, a jeszcze inne szybowały nad oceanem, poprawiając obiad rybią przekąską. Promienie słoneczne padały na moją

twarz, wydawało mi się, że mógłbym tutaj pozostać na zawsze, wreszcie jako część czegoś większego - członek stada. Odczekałem jednak, aż ostatnie gady wrócą do domu, i dopiero wtedy ponownie wspiałem się na grzbiet mojego towarzysza. Więcej się przede mną nie wzbraniał. Po prostu rozpostarł skrzydła i ruszyliśmy w drogę powrotną do Twierdzy.

ROZDZIAŁ 3

Tyrs

A wydawało mi się, że byłem jedynym drapieżnikiem w okolicy.

Serum z zastrzyków nadal działało, kiedy obserwowałem odlatujące pterodaktyle. Tulusz leciał na ich czele. Stałem wsparty na łuku i zadzierałem głowę, dłonią chroniąc oczy przed słońcem. Byłem z niego dumny. Sam poradził sobie z przejęciem kontroli nad pterodaktylami; okazał przy tym przytomność umysłu, o którą go nawet nie podejrzewałem. Pewnie mogłoby się obyć bez tak dużego rozlewu krwi, gdyby był przygotowany do zadania. Rzecz jednak w tym, że Tulusza nie dało się do niczego przygotować – zwyczajnie dlatego, że nie akceptował swojej zwierzęcej osobowości, wypychał ją na obrzeża umysłu i uciekał przed instynktem w *alter ego*.

Treweriusz nie był do końca przekonany do mojego planu. Walczyliśmy o ogromną stawkę, główną linię obrony opierając na najsłabszym ogniwie naszego zespołu. Wpadłem na ten pomysł z samego rana, gdy dowiedziałem się, że Tulusz przyszedł jednak do pracy i udawał, że po tygodniu balangowania wszystko wróciło do normy.

- W przeciwieństwie do ciebie i Tycjana Tulusz jest tylko nieudanym eksperymentem genetycznym. Gdyby nie wyrzuty sumienia Teobalda i głupie sentymenty Tycjana, dawno by go tutaj nie było - burknął Treweriusz z za swojego wielkiego dębowego biurka.

- Najwyższa pora do czegoś go wykorzystać - uparłem się przy swoim.

- Nudzi ci się, Tyrs, prawda?

Tylko się uśmiechnąłem. Treweriusz nie przestawał z dezaprobatą kręcić głową.

- Przydzielę ci najtwardszych skurwieli.

- Jestem zobowiązany, dowódco.

- Masz mi ich zwrócić w jednym kawałku!

Chuj bombki strzelił. Nie wiedziałem nawet, gdzie leżały ich ciała. Jednego rozerwał pocisk, który dosięgnął też Tulusza, drugiego dopadł pterodaktyl, inny poległ w bezpośredniej walce z wrogiem i chyba tylko Tabor, były członek Ludu Pustyni, jeszcze nie wykrwawił się na śmierć. Ale niewiele mu już brakowało. Zwykle nie przejmowałem się losem pozostałych strażników, jednak ta bitwa była inna. Udowodniła przewagę Twierdzy Kimerydu nad pozostałymi miastami Żłocistych Piasków i naszą hegemonię w rejonie Afryki Południowo-Wschodniej. Garstka strażników wąwozu kontra dywizjon Krokodyli. Dinozaury kontra amunicja.

Krwawiła mi ręka, miałem połamane żebra i wstrząśnienie mózgu. Wstrzyknąłem sobie aż trzy serum naraz. Na początku serce chciało wyskoczyć mi z piersi. Nawet mój odporny organizm półraptora nie potrafił się

ustabilizować po podaniu mu tak dużej dawki adrenaliny. Walczyłem jak szalony, upajając się zapachem krwi i szybkością, z jaką się poruszałem. Wypuszczałem bestię, żeby mogła się do woli wyszaleć. Wyłączałem przy tym resztki wrażliwości, dzięki czemu pamiętałem walkę tylko jako rozmazaną smugę drgających obrazów – wszystkie były do siebie podobne i spływały czerwienią.

Nie czekałem, aż ostatnie pterodaktyle wzbiją się do lotu. Ruszyłem przed siebie przez bitewne pobojuwisko, starając się nie deptać po ludzkich szczątkach. Moje raptory nigdy nie zostawiały takiego bałaganu.

Tabor dźwignął się na kolana i to było chyba wszystko, na co mogłem z jego strony na tę chwilę liczyć. Dostrzegłem go z daleka i przyspieszyłem kroku. Niedobitki wroga rzuciły się do ucieczki, pozostawiając za sobą niezniszczone działa. Widok lecących pterodaktyłów do końca ich wystraszył. Przewidywałem, że gdzieś w pobliżu musiała stacjonować cała armia Krokodyli i już niedługo tutaj wrócą, uzbrojeni po zęby, ale bardziej skłonni do negocjacji.

Teobald będzie ze mnie bardzo zadowolony. Dostanę co najmniej jedną premię. W tym miesiącu wystarczy mi na opłacenie opiekunów dla Taniela i Anety (choć ona już nie potrzebowała niańki, tylko raczej surowego nauczyciela, który utrzyma ją w ryzach – kolejna sprawa do przemyślenia), pełne wyżywienie i opłacenie domu, a może nawet na wysłanie Alicji na kolonię na sawannę w głębi kraju. Ciągle marudziła, że chce się w końcu zintegrować z dziewczynami ze swojej klasy.

Byłem temu stanowczo przeciwny – nie ufałem ludziom i ich udawanym dobrym intencjom. Byliśmy rodziną półraptorów i nigdy nas nie zaakceptują, choćby dlatego, że nas nie znają i nie rozumieją. A jeśli ludzie czegoś nie znają i nie rozumieją, zwykle się tego boją, a gdy się boją – niszczą. Kiedy raptory się boją, sprawdzają teren i zastanawiają się, jak odwrócić sytuację na swoją korzyść. Nie byłem ani jednym, ani drugim, i w przeciwieństwie do moich dwóch przyjaciół akceptowałem swoją inność. Tulusz chciał być tylko człowiekiem, a Tycjan – tylko dinozaurem.

Uklęknałem obok Tabora i objąłem go ramieniem. Ciężko oddychał. Krew sączyła mu się z nozdrzy i kącików ust. Miał paskudną ranę na piersi.

- Twoja babka wybierze kogoś innego.

- Co? – Myślałem, że majaczy.

- Abba chce cię zdetronizować jako naczelnika twojej rodziny. Wyberze Alicję albo Terrę.

Parsknąłem śmiechem. Nie była to najlepsza pora i miejsce, żeby śmiać się z mojej zachłannej babki, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać.

- Tabor, odpoczywaj. Za chwilę przyjedzie po nas Treweriusz. Nie męcz się wspomnieniami tej kobiety.

Tabor zacisnął palce na mojej ręce.

- Nie, słuchaj! Abba w tajemnicy kontaktuje się z Alicją i Terrą. Zamierza się ciebie pozbyć...

- Ta durna starucha może się co najwyżej pozbyć krost na swoim tyłku! – Odezwała się we mnie złość; na szczęście moja bestia była nakarmiona, więc szybko się

zreflektowałem. - Jestem ci bardzo zobowiązany, ale będziemy mieć jeszcze wiele okazji, żeby o tym porozmawiać. Teraz odpoczywaj.

Tabor pokręcił głową. Usta mu drgały. Przyglądałem się, jak jego twarz sinieje, a urywany, nieregularny oddech przestaje unosić jego pierś. Umierał na moich rękach, a ja nie mogłem nic dla niego zrobić. Gdyby chociaż zjawił się Treweriusz... Nie wiem, co by to zmieniło. Może któreś z leczniczych serum zadziałałoby na tę ranę...

Jego oczy nieruchomo wpatrywały się w błękit nieba. Pterodaktyle odleciały, odsłaniając słońce.

Leżałem na piasku i zaciskałem dłonie w pięści. Mijał czas, a Treweriusz nie przyjeżdżał. Zdążyłem wdrapać się na sąsiednią wydmxę, z której pierwszy raz zauważyłem wroga, zanim powrócił ból i zmiażdżył mnie jednym potężnym ciosem w szczękę.

Słońce chyliło się ku horyzontowi, powietrze zdawało się nieco ochładzać, chociaż była to tak subtelna różnica, że prawie jej nie odczuwałem. Ramię pulsowało mi rwącym bólem. Z trudem łapałem oddech. Raptory lubiły wylegiwać się na słońcu. Ja jednak już dawno osiągnąłem limit mojej wytrzymałości na upał. Moje ciało lepilo się od potu, zmęczenie i liczne kontuzje dawały o sobie znać. Pewnie jeśli bym się zmusił, powędrowałbym jeszcze parę metrów, ale raczej nie dotarłbym do Twierdzy przed zmierzchem. Znalazłem się w tej rzadkiej sytuacji, kiedy to ja

potrzebowałem pomocy.

Moje myśli nieuchronnie krążyły wokół babki i jej zakusów na moją rodzinę. Tylko ona mogła nazwać mnie naczelnikiem. Nie byłem żadnym naczelnikiem, po prostu jako najstarszy syn psychicznie chorej kobiety wziąłem na siebie odpowiedzialność za młodsze rodzeństwo. Byłem pierwszym dzieckiem Adelajdy, które przetrwało okres niemowlęcy mimo jej kompletnego braku zainteresowania i licznych kochanków, którzy ją utrzymywali. Alicja urodziła się dwa lata po mnie. Byłem już na tyle świadomy, że rozróżniałem, kiedy dziecko jeszcze oddycha i można je karmić. Siostra miała tę samą wolę życia co ja. Trzymaliśmy się razem przez następne sześć lat, żegnając po drodze kolejne martwe dzieci zagłodzone przez Adelajdę. Musieliśmy troszczyć się o siebie. Albo raczej ja musiałem wybrać - zaopiekować się silniejszą Alicją i podzielić się moim jedzeniem z nią czy raczej z maleństwem bez szans na przeżycie. Byłem wciąż za młody, żeby podjąć pracę zarobkową. Razem z małą Alicją zebrałem więc na ulicach, tylko czasami trafiając na dobrych ludzi - większość była dla nas wyjątkowo okrutna.

Nie, to nie Anna Guiteerez pierwsza podała mi rękę, tylko Tycjan Elamos. Poznaliśmy się w drugiej klasie szkoły podstawowej. Obowiązek szkolny obejmował w Twierdzy nawet sieroty i uliczników. Nawet nas. W szkole dzieci raczej się mnie bały, za to nauczyciele uwielbiali się nade mną znęcać. Od tamtej pory nienawidzę nauczycieli, nienawidzę się uczyć. Zresztą nie mam na to czasu. A gdybym go miał,

wykorzystałbym go na sen.

- Zazdroszczę ci tych łusek. - Tycjan usiadł ze mną pierwszego dnia i rozłożył przed sobą zeszyt i starannie obłożone kolorowym papierem książki.

Nie mogłem uwierzyć, że ktoś się w końcu do mnie odezwał. A już tym bardziej w to, że ktoś ze mną usiadł. Kontrastowaliśmy pod każdym względem - jasnowłose Tycjan był schludnie ubrany i pewny siebie, podczas gdy ja byłem obdartym brunetem o odrzucających pomarańczowych oczach, który kulił się w ostatniej ławce pod ścianą. Nie miałem nawet książek, a za zeszyt służył mi stary notes jednego z kochanków mojej matki.

- Nie jesteś zbyt rozmowny, co? - zapytał, kiedy nie odpowiedziałem. - Chcę z tobą siedzieć. Mogę?

- Dlaczego ze mną? - Odważyłem się odezwać, wciąż nie patrząc mu w oczy.

Wydawało mi się, że jak tylko zobaczy ich wściekły pomarańcz, ucieknie ode mnie z krzykiem.

- Bo jesteśmy do siebie podobni.

Nie wytrzymałem i spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Nie wystraszył się moich oczu. Wręcz przeciwnie - spodobały się mu.

- Niemożliwe - burknąłem na odczepne.

- Przekonasz się, Tyrsie Mollina.

Od tamtej pory zawsze siedzieliśmy razem w ławce. Ja nigdy nie miałem książek i z prawdziwą rozkoszą lekceważyłem obowiązek szkolny, Tycjan wręcz przeciwnie: odrabiał wszystkie prace domowe i zgłaszał się do

odpowiedzi. Byliśmy duetem nie do pokonania i nic nie mogło tego zmienić - nawet nasze kretyńskie pojedynki o dominację w Straży Wąwozu.

Teraz skupiłem wszystkie moje myśli na Tycjanie. Idiotycznie wyobrażałem sobie, że to pomoże mu mnie znaleźć. Choćby tylko po to, żeby mi dokopać za to, jak wykorzystałem Tuliusza.

Przymknąłem powieki, choć z całych sił starałem się nie zasypiać. Byłem w takim stanie, że mogłem się już więcej nie obudzić. Przypomniałem sobie tę obrzydliwie przekonaną o własnej wyższości kobietę z uniwersytetu, tę żalonną profesorkę z Miasta Krokodyli, która lubiła się wtrącać w nie swoje sprawy. Marzyła jej się wielka integracja i spijanie miodu z dzióbeków. Proszę bardzo, oto, do czego to doprowadziło. Co prawda awansowałem w Straży Wąwozu, ale Europa dowiedziała się o istnieniu hybryd ludzi i dinozaurów, a Miasto Krokodyli prawie się rozpadło. Teraz rozpoczęliśmy wojnę, bo wszyscy chcieli mieć Annę Guiteerez. Nie zamierzałem ustawiać się w tej kolejce. Chociaż podobały mi się jej piersi. Lubiałem seks, ale chyba nie aż tak bardzo...

Ktoś z całej siły wbił mi igłę w szyję. Z wrażenia otworzyłem oczy i krzyknąłem. Nade mną pochylał się Tycjan odziany w zbroję strażnika wąwozu.

- Tym razem naprawdę ci tego nie daruję - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Wstawaj, gnido.

- Odnieśliśmy piękne zwycięstwo...

- Piękne? Tuliusz wciąż nie wrócił do garnizonu. Ty

jesteś za to odpowiedzialny!

- Za to i za wszystko, co tylko chcesz. Jestem odpowiedzialny za cały świat!

Podał mi rękę. Podniosłem się z wielkim trudem. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Tycjan był na mnie wściekły, ale nawet on nie umiał przekreślić doniosłości tego, co się dzisiaj wydarzyło. Zyskaliśmy nowego drapieżnika w stadzie.

- Tyrs, gdybym cię tak nie kochał, to chyba bym cię teraz zabił.

Wiedziałem, że to prawda.

Jechałem z Tycjanem na jednym korytozaurze. Nie miałem siły wdrapać się na swojego, choć znowu podano mi serum zagłuszające ból. Przekroczyłem jednak moją przyswajalność tego leku i nadawałem się tylko do przewiezienia mnie do Twierdzy.

Tycjan zabrał ze sobą cały oddział A. Część żołnierzy została na polu bitwy, żeby przynosić ciała poległych, a część towarzyszyła nam w powrocie. Treweriusz nie ruszył się z za swojego biurka. Otyła gnida. Pewnie bał się, że dostanie odłamkiem w głowę. Już prawie chciałem to powiedzieć Tycjanowi, ale w porę przypomniałem sobie, jak bardzo go szanuje i jak wdzięczny mu jest za tolerowanie Tuliusza. W przeciwieństwie do mojego przyjaciela nie słuchałem żadnych autorytetów, największy wpływ na moje decyzje miał jednak Teobald. Pewnie dlatego wydawało mu się, że wie, jak ze mną postępować.

- Twierdza aż huczy od plotek - odezwał się Tycjan.

Jedną ręką trzymał mnie na wysokości talii, a drugą zebrał lejce korytozaura.

- Nawet ty musisz przyznać, że Tulusz pokazał, na co go stać.

- Nie byłbym aż takim optymistą.

- To tylko stwierdzenie faktu. Minęły już cztery lata, odkąd został pterodaktylem, a dopiero teraz wyzwolił w sobie zew. Musisz pozwolić mu dorosnąć.

- Nic nie rozumiesz, Tyrs.

- Ja miałbym nie rozumieć ciebie?

Tycjan ironicznie prychnął, ale tego nie skomentował. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Nie martwiłem się o Tulusza, chociaż powinienem; otwarte złamanie mogło znacznie spowolnić jego powrót. Odrobina samodzielności mu jednak nie zaszkodzi - w końcu tak jak my był strażnikiem wąwozu, a to zobowiązuje.

- Zadar przyjechał do Twierdzy.

- Kiedy?

- Chwilę po moim wyjeździe. Widziałem jego powietrzny samochód.

Zachichotałem. Tycjan też, choć wyraźnie się powstrzymywał. Obaj nie cierpieliśmy Zadara, tego kretyna o niebieskich włosach, któremu wydawało się, że rządzi całą Afryką. Chyba nie całą, skoro cesarz obsadził Miasto Krokodyli swoimi agentami, a nowym burmistrzem został jego poplecznik, specjalnie w tym celu ściągnięty z Europy. Teobald wspomniał mi ostatnio jego imię, ale nie

zapamiętałem. Byłem wtedy zajęty innymi sprawami - na przykład niańczeniem Anny Guiteerez.

- Teobald pewnie pławi się w samouwiebieniu - powiedziałem. - Zadar nie ma żadnych argumentów. Tylko w siódemkę wypatroszyliśmy dywizjon Krokodyli. To co możemy zrobić całą jednostką?

- Wyprzeć Zadara z portu...

- Właśnie. Wyobraź to sobie. Port Twierdzy w rękach miejscowych.

- Cesarz oficjalnie powiesiłby za to Zadara. Zamierzam się dzisiaj przyglądać, jak ten niebieski truposz będzie się wił u stóp Teobalda.

- Bardzo żałuję, że nie będę w tym uczestniczył, ale jak widzisz, przyda mi się parę dni urlopu.

Tycjan skinął głową, a ja mocniej oparłem się o jego pierś. Mógłbym tak jechać w nieskończoność i drzemać. Umknął mi moment, w którym dotarliśmy do Twierdzy. Pod powiekami tliły mi się promienie zachodzącego słońca. Powietrze nie cuchnęło już krwią, ale rozgrzanym miastem, parzoną kawą i zapachem ostrych przypraw z bazaru. Byłem w domu.

Obudził mnie szum deszczu. Nad oceanem często padało. Nawet w kwestii pogody port Kimerydu rządził się swoimi prawami. Śniłem o dawnym spotkaniu z babką w jej namiocie w Lesie Kalahari, ale na szczęście nie pamiętałem szczegółów. Obudził mnie przejmujący ból ramienia.

Zerknąłem na nie spod przymkniętych powiek i zobaczyłem, że zostało ciasno obandażowane, tak że przylegało do mojego tułowia. Właściwie od pasa w górę cały byłem w bandażach. Dobrze, że chociaż swobodnie poruszałem głową. Kiedyś wybiłem sobie kręg szyjny - nic mnie jeszcze tak kurewsko nie bolało, a usztywnienie szyi doprowadzało do szału. Co najmniej na tydzień wyłączyło mnie to z życia. Nie cierpię bezczynności - daje powody do rozmyślenia, a ja już dawno przekonałem się, że myślenie donikąd mnie nie doprowadzi. Co najwyżej do szaleństwa. Miałem szczęście, że nie byłem sam na świecie. Moja rodzina stanowiła moją słabość, ale też największą siłę.

Okno na balkon pozostało uchylone. Wiatr szarpał długą firankę, a siekący deszcz zmoczył jej skraj. Widziałem krzywo rosnące sosny przed moim domem, kawałek skały i zachmurzone, burzowe niebo. Miałem nadzieję, że ulewa dotrze do Twierdzy i dalej na pustynię, gdzie pterodaktyle żerowały na ludziach. Nie wiedziałem, ile czasu minęło, odkąd Tycjan zostawił mnie w garnizonowym szpitalu, ale chyba sporo, skoro znajdowałem się we własnym łóżku.

Dwa lata temu w końcu udało mi się kupić dom. Zbierałem pieniądze na ten cel, odkąd Tycjan wkręcił mnie do Straży Wąwozu, gdy miałem dziewięć lat. Jako świeżo upieczony kadet dostawałem tylko skromne kieszonkowe, ale i tak uważałem to za majątek. Własne pieniądze otworzyły mi oczy na to, jak skonstruowany był ten świat i jak wyrwać z niego kawałek dla siebie. Od tej pory własny dom stał się moim największym marzeniem.

Teobald szybko zaczął wysyłać mnie na drobne misje w głąb pustyni, za które płacił mi dodatkowe pieniądze. To wtedy nauczyłem się współpracować z raptorami. Pierwszy raz spotkałem też Abbę. Na początku zrobiła na mnie niesamowite wrażenie, otrzymałem od niej duże wsparcie, nauczyła mnie kierować stadem, zachęcała do przeprowadzki do Lasu Kalahari i przystąpienia do Ludu Pustyni. Był taki czas, że prawie się na to zdecydowałem. Wówczas matka urodziła Taniela i moja perspektywa znowu się zmieniła.

Miałem zaledwie czternaście lat, a już poznałem piekło prawdziwej biedy i głodu; od raptorów nauczyłem się zabijać, a Straż Wąwozu dawała mi pewną finansową niezależność. Nagle pojawiło się kolejne dziecko, na które po prostu nie miałem pieniędzy. Pamiętam, jak wściekły wtedy byłem. Razem z Alicją bardzo dbaliśmy o antykoncepcję matki. Dostała zatrudnienie w Straży Wąwozu jako sprzątaczką w garnizonowym szpitalu i urzędzie przyjmującym kadetów. Jej skromna pensja wzmocniła nasz domowy budżet, a ja mogłem mieć ją na oku. Mimo to ukryła przede mną kolejną ciążę. Pracowała prawie do samego rozwiązania. Gdyby nie Tycjan, chyba odebrałabym sobie życie w akcie sprzeciwu i ostatecznej desperacji. To był ten jeden jedyny moment w moim życiu, kiedy dotknęło mnie załamanie nerwowe. Na domiar złego do Twierdzy zaczęli zjeżdżać się dziennikarze i turyści z Europy, poruszeni losem „dziecka raptorów”, jak nazwała mnie Anna Guitierrez w swoim naukowym artykule z dziedziny antropologii.

Teobald był wniebowzięty. Wszelkimi sposobami podkreślał zainteresowanie opinii publicznej - nie tylko Cesarstwa Europy, ale też Złocistych Piasków i sąsiednich krajów afrykańskich. Poruszałem się jak w gorączce, ciągle na lekach psychotropowych - cyrkowy raptorek, nowa afrykańska atrakcja. Za to pieniądze nieprzerwanym potokiem płynęły do kasy Straży Wąwozu i Twierdzy, która z otwartymi ramionami powitała turystów.

Niestety, razem z nimi pojawili się cesarscy szpiedzy, a w ramach wymyślonych sankcji nałożonych na Twierdzę port został przejęty przez Cesarstwo, które umieściło w nim swojego namiestnika - komandora Zadara. Może i był najzabawniejszą personą w okolicy i rozwiązywał sukinsynem, ale to on sprzedał mi kawałek ziemi przy samym oceanie, gdzie zleciłem wybudowanie mojego domu. Okazało się, że pieniądze raptora nie śmierdzą, chociaż on sam tak. Teobald nie chciał mi sprzedać ziemi na terenie miasta i to nas mocno ze sobą poróżniło. Nigdy nie będę mu już ufał tak jak kiedyś, gdy wyciągnął mnie z rynsztoku i wcielił do kadetów Straży.

Babka Abba nie wybaczyła mi, że zostałem cyrkowym raptorkiem Teobalda i że zamiast pozornej wolności, którą oferował mi Lud Pustyni, wybrałem pozorną niewolę Straży Wąwozu. Nie rozumiała, że nie byłem sam. Nikt tego chyba nie rozumiał, może poza Tycjanem i Tuluszem. Bo to przecież niemożliwe, że półraptory tworzą zgraną rodzinę. Miałem nadzieję, że ostrzeżenia Tabora, które przekazał mi przed śmiercią, okażą się mocno przesadzone. W moim życiu

wreszcie zawitał względny spokój - po paśmie niebezpieczeństw, upokorzeń i mroku, który prawie mnie pochłoniął. Abba była ostatnią osobą, której sobie w nim życzyłem.

Ktoś uchylił drzwi do mojego pokoju. Usłyszałem tupot małych stóp na podłodze. Najpierw zobaczyłem wyglądającą zza skraju łóżka burzę czarnych loków Taniela, zanim ten wpakował mi się na kołdrę. Jęknąłem z bólu. Usiadł centralnie na moich złamanych żebrach. W tym miesiącu kończył pięć lat, ale wciąż uwielbiał wdrapywać mi się na kolana i spać ze mną w jednym łóżku - w przeciwieństwie do stale nadąsanej Anety, która była zaledwie o dwa lata od niego starsza. Zresztą Taniel był ulubieńcem wszystkich. Najbardziej z nas podobny do człowieka, nie miał nawet zaostrzonych pazurów, tylko fragment gadziej skóry na plecach, ciągnący się wzdłuż kręgosłupa. Rzadko płakał, umiał znaleźć sobie zajęcie i kochał spacerować po mieście - zwłaszcza między straganami na rynku. Chociaż cieszył się z każdego spaceru w jakimkolwiek miejsce w okolicy. Wniósł spokój i beztroski śmiech do naszego życia. Czułem wyrzuty sumienia, że przeklinałem chwilę jego narodzin. Lubiłem myśleć, że to dzięki niemu uniknąłem służby u babki i tak szybko zarobiłem na nasz dom.

- Wiedziałem, że w końcu wstaniesz! - powiedział typowym dla siebie radosnym tonem. - Nie można tyle spać, dużo przegapiłeś!

- Na pewno twoje przytulanie.

Posmyrałem go po brzuchu zdrową ręką, żeby ze mnie

zszedł. Przypominanie mu o moich połamanych żebrach nie miało najmniejszego sensu. Był bardzo ekspansywny w okazywaniu uczuć, co trochę mnie martwiło, choć Alicja twierdziła, że niedługo mu to przejdzie i że wszyscy byliśmy kiedyś tacy spontaniczni i nieokiełznani. Ja nie pamiętałem siebie takiego. Pewnie już urodziłem się nudziarzem.

Łaskotki odniosły odpowiedni efekt i Taniel zsunął się ze mnie. Przytulił się do mojego zdrowego boku, opierając mi głowę na piersi. Jego loki łaskotały mnie w nos. Najwyższa pora mu je obciąć.

Deszcz nadal padał. Niebo przecięła pojedyncza błyskawica.

- Ala i mama bardzo się o ciebie martwiły.

- Na pewno. Wszyscy się martwią, kiedy stoją w obliczu utraty swojego głównego źródła utrzymania - odparłem z przekąsem.

- Nie musisz być taki cyniczny przy Tanielu - usłyszałem Alicję z prawej strony mojego łóżka i dopiero wtedy skonstatowałem, że cały czas przebywała ze mną w pokoju.

Po prostu się nie odzywała i obserwowała mnie ze swojego miejsca w fotelu. Była mistrzynią wtapiania się w tło, jak rasowa raptorzyca. Od niedawna pomagała również w Straży Wąwozu. Miała już siedemnaście lat, ale długo trzymałem ją z daleka od pracy. Podzieliliśmy się rolami - ja wymyślałem sposoby naszego przetrwania, a ona pilnowała, żebym jak najlepiej wykorzystywał nadarzające się okazje. Zajmowała się też dziećmi i podejmowała heroiczne gesty porozumienia się z matką. W naszych rękach

spoczywał los trójki naszego młodszego rodzeństwa i upośledzonego rodzica. Zastanawiałem się, czy miała mi za złe swój pozorny brak samodzielności i dlatego podjęła rozmowy z Abbą.

- Masz rację. Przepraszam - odpowiedziałem, kierując się tą myślą.

- Czy ty właśnie kogoś przeprosiłeś, Tyrs? Musisz być naprawdę poważnie ranny - zakpiła. - Idź spać, obudzę cię przed wieczorem i w końcu coś zjesz.

Nie zamierzałem się z nią kłócić. Było mi dobrze we własnym łóżku, z małym braciszkiem przytulonym do boku. W oddali wzburzone fale uderzały o skalisty brzeg. Alicja podeszła do okna i zostawiła tylko uchylony lufcik. Była ubrana w jeansy i krótki top z frędzlami, który odsłaniał kawałek pleców na wysokości krzyża i fragment gadziej skóry znikającej pod jeansami. Jej pośladki też pokrywała gadzia skóra, za to kręgosłup kończył się niewielkim ogonem. Nie dało się go usunąć chirurgicznie - według lekarzy istniała poważna szansa, że znowu jej odrośnie, dlatego w ogóle zrezygnowała z robienia z nim porządku. Twierdziła, że lubi swój ogon. Odróżniał ją od innych dziewczyn.

- Chodź, Taniel. - Skinęła dłonią na małego.

- Taniel może zostać.

- Jeszcze narobi ci dodatkowych siniaków. Wiesz, jak on się wierci!

- Nie szkodzi. Niech śpi ze mną.

- Przez chwilę. Potem go zabiorę.

W niemym proteście Taniel bardziej się we mnie wtulił. Czasami wydawało mi się, że Taniel i Alicja nie do końca się lubili. W każdym razie tylko ona mu dokuczała czy też go strofowała. Nawet kłótlivy Terra i pochmurna Aneta byli bezsilni wobec jego wrodzonego uroku.

- Do wieczora - powiedziała, zanim zatrzasnęła za sobą drzwi.

Taniel nakrył się moją kołdrą. Pachniał cynamonem i goździkami. Pewnie wcześniej kręcił się w kuchni. Matka piekła ciasto. Cóż za gest.

- Nie pozwól mnie zabrać - poprosił.

- Absolutnie nie pozwolę!

Kolacja była wspaniała. Alicja wzbiła się na szczyty swoich kulinarnych umiejętności. Podała mi żeberka zapiekane w piwie razem ze skromną sałatką. Zajadałem się mięsem. Zresztą cała moja rodzina zajadała się mięsem. Nasza raptorza natura dawała o sobie znać.

Wygrzebałem się w końcu z łóżka i wyszedłem na taras. Terra pomógł mi pokuśtykać do stołu. Zjedliśmy wspólnie, morderczo skupieni na posiłku. Nawet Taniel zamieniał się w drapieźnika, kiedy jadł. Nie dbaliśmy zbyt o maniery i dopiero przy deserze zebrało nam się na przyciszone rozmowy. Matka nie jadła z nami przy stole, tylko z boku przy dostawionym stoliku. Zawsze czekała też na moje pozwolenie, czy mogła sięgnąć po dokładkę. Nikt tego od niej nie wymagał, a już na pewno nie ja, ale ona bardziej od nas

poddawala się raptorzej hierarchii stada.

- Musimy załatwić Anecie nowego dentystę - powiedziała poważnie Alicja i cały zamieniłem się w słuch. Nadszedł czas zdawania raportu z ostatnich paru dni.

- To nie moja wina, że ten pan nie umiał zalakować mi zębów! - wtrąciła Aneta, od razu nastawiona defensywnie.

To była jej ulubiona śpiewka. Wypierała się wszystkiego, nawet jeśli coś jej bezpośrednio nie dotyczyło - tak na wszelki wypadek.

- Aneta odgryzła mu palec - kontynuowała Alicja tym samym beznamiętnym tonem.

Terra parsknął śmiechem, lecz ucichł, kiedy skarciłem go wzrokiem. Gówniarz miał już dziesięć lat, a ciągle zachowywał się, jakby był w przedszkolu. Nauczyciele skarżyli się na niego i akurat w tym wypadku się z nimi zgadzałem. Terra był porywczy z natury i nie za bardzo chciało mu się też brać za jakąś robotę. Alicja często gasiła go tekstem, że ja w jego wieku zaczynałem już zwiadowcze misje dla Teobalda na pustyni, żeby on teraz mógł się wyklócać o każdą najmniejszą rzecz, zamiast żebrać przed ratuszem.

- Jak to? - zapytałem głupio, jakbym nie wiedział, że moja mała siostra urodziła się z pełnym raptorzym uzębieniem.

W wieku siedmiu lat zęby już nie mieściły jej się w ustach. Wielokrotnie boleśnie ugryzła się w język, aż krew płynęła jej po brodzie. Wydawałem mnóstwo kasy na opłacenie jej dentystów. Wszyscy byli przerażeni

dziewczynką z kłami raptora i mało zainteresowani tym, jak pielęgnować takie uzębienie.

- Wsadził mi go do gardła! TO NIE MOJA WINA! - Aneta była bliska łez, rozpoznawałem ten jej paskudny grymasik.

Kobietom wydaje się, że wszystko załatwią płaczem. Przynajmniej tym małym. Te większe myślą, że laską, ale to już historia do opowiedzenia przy innej okazji.

- Musisz panować nad swoimi instynktami - skomentowałem po prostu, patrząc jej w oczy.

- Kiedy to bardzo trudne...

Wierzyłem jej, że przypadkiem odgryzła lekarzowi palec, ale z takim uzębieniem nie mogła sobie pozwalać na przypadki. Od jej samokontroli zależało, czy w ogóle stanie się częścią społeczeństwa, na razie zaś ciągle przegrywała ze swoimi kłami. Była urodziwą dziewczynką, tak jak nasza matka - ciemnoskóra z bujnymi, kręcącymi się włosami i hipnotyzującymi zielonymi oczami. Urok pryskał, gdy tylko otwierała usta. Każde z nas miało innego ojca i dlatego odcienie naszej skóry znacznie się między sobą różniły. Aneta była właśnie najciemniejsza, a ja i Taniel - najjaśniejsi. Taniel jeszcze bardziej ode mnie, rysy jego twarzy nosiły też wyraźnie europejskie cechy. Czasami myślałem więc złośliwie, że ostatni błąd naszej matki był najbardziej egzotyczny.

- Znajdę ci nowego dentystę, Ane, razem coś poradzimy. Od nowego roku idziesz do szkoły. Do tego czasu musisz sobie z tym poradzić. Pamiętaj, że to tylko zęby!

Mała pokiwała głową, ale ciasto nagle przestało jej

smakować. Westchnąłem ciężko - kończył mi się spis miejscowych dentystów. Chyba nie zaprowadziłem jej jeszcze tylko do lekarza garnizonowego Straży Wąwozu, którego funkcję *notabene* pełnił Treveriusz. Przynajmniej tytułarnie. W praktyce wszyscy medycy wykonywali pracę za niego. Gruba gnida była mistrzem zrzucania obowiązków na innych. Ciekawe, czy Aneta jemu też odgryzie palec...

- Musimy zapłacić za zabieg chirurgiczny tego dentysty, inaczej poda nas do sądu. - Alicja jak zwykle najlepsze zostawiła na koniec.

Stłumiłem w sobie przekleństwo.

- Ile?

- Tysiąc cesarionów.

- Jasna cholera!

Aneta cicho chlipała i dla jej dobra głęboko odetchnąłem. Starałem się nie krzyczeć przy dzieciach.

- Tobie to tylko pieniądze w głowie - wtrącił Terra.

Zdecydowanie nie powinien był tego robić. Rozpoczął tym dyskusję, która zwykle źle się kończyła dla nas obu.

- Idź i je zarób, wtedy porozmawiamy - warknąłem.

- Wszystko przeliczasz na pieniądze - ciągnął Terra, przyglądając mi się z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Pieniądze wyciągnęły nas z bagna. Urodziłeś się w dobrym momencie, kiedy zacząłem zarabiać i nie musiałem cię zmuszać do żebrania.

- Ale to nie pieniądze określają prawdziwą wartość człowieka.

- Oczywiście, że określają. Po to zostały stworzone. Nie

odwracaj mojej uwagi od ważniejszej sprawy.

- To dlaczego Teobald nie dał ci ziemi w mieście? - Terra pewnie cały czas czekał na wypuszczenie tego pocisku samonaprowadzającego.

- Bo jest draniem.

- Ale nawet on współpracuje z babcią.

Zatkało mnie z wrażenia i milczałem, z niedowierzaniem spoglądając na brata. Wytrzymał moje spojrzenie. Terra zaplatał włosy w warkoczyki, ostatnio przebił sobie też brew, czym chciał podkreślić swój nowy *image* buntownika. On dla odmiany miał zdeformowane dłonie, które swoim kształtem przypominały łapy raptora. Nie umiał schować pazurów, jednak szybko nauczył się sobie z nimi radzić. W ogóle był zdolny i ciągle czytał jakąś nową książkę - pasjonował się literaturą europejską.

Przełknąłem złość. Byłem głową tej rodziny, nie mogłem sobie pozwolić na demonstrację złego humoru, chociaż miałem na to ochotę. Terra niemiłosiernie mnie drażnił. Był już w wieku, w którym coraz częściej przychodziło mu do głowy rzucać mi wyzwanie.

- Nieoficjalnie - skwitowałem krótko.

- Taniel potrzebuje nowych spodni. Wszystkie ma przetarte - ciągnęła Alicja, jakby nie słyszała mojej wymiany zdań z Terrą. - A ja chcę wyjechać na obóz na sawannę, ale o tym ci już mówiłam.

- A czego chce mój niewydarzony brat? - zapytałem, zwracając się znowu do Terry.

- Terra zapisał się na dodatkowe zajęcia z języka

globalnego. Chce płynnie mówić w oficjalnym języku Cesarstwa. Przydadzą mu się słowniki – odpowiedziała za niego Alicja.

Terra spoglądał na kawałek swojego ciasta. Nie odważył się podnieść na mnie wzroku.

- Dobrze, kupię mu słowniki – zdecydowałem bez mrugnięcia okiem. – Coś jeszcze?

Nie chciało mi się wracać do łóżka, więc zostałem na tarasie z filiżanką parującej kawy w zdrowej dłoni. Alicja przyniosła mi koc. Na dworze było chłodno po deszczu. Rozkoszowałem się przyjemną pogodą, starając się wyprzeć z pamięci upał pustyni. Na niebie szybowały pterodaktyle, co w końcu przypomniało mi o Tuluszu. Założyłem jednak, że skoro wciąż żyję i moja rodzina pozostaje w dobrym zdrowiu, szczęśliwie wrócił do domu. W przeciwnym wypadku Tycjan udusiłby mnie poduszką w trakcie snu.

Zapach oceanu przebijał się przez aromat kawy. Miałem nadzieję, że uzdrawiające serum szybko zadziała i w ciągu paru dni będę mógł zejść na plażę i popływać. Raptory nie były dobrymi pływakami, ale ja to po prostu lubiłem. Tylko Taniel dotrzymywał mi wtedy towarzystwa. Reszta naszego rodzeństwa unikała wody.

Ściemniało się, na stole płonęły świece. Chociaż słyszałem ocean, to go nie widziałem. Wolałem wybudować dom na skale z daleka od niebezpiecznych przypiływów, żeby przypadkiem nie podtopiła go woda. Zalegająca cisza wręcz

orzeźwiała. Wszyscy sobie gdzieś poszli, ale liczyłem, że za chwilę wróci Alicja i będziemy mogli porozmawiać w cztery oczy. Po małej kłótni z Terrą miałem już pewność, że pod moją nieobecność Abba robiła podchody pod moje rodzeństwo. Zacząłem się tym nawet trochę denerwować, lecz w końcu stwierdziłem, że musieli na własnej skórze przekonać się, jaka ona była naprawdę. W przeciwnym wypadku zawsze będą podważać moje zdanie.

Ktoś zajął miejsce obok mnie przy stole. Nie obróciłem się od razu, spodziewając się Alicji.

- Świetne przedstawienie, Tyrs. Gratuluję.

Zerknąłem na niego kątem oka.

- Witaj, Teobaldzie. Przyjechałeś odpocząć nad oceanem?

Teobald bardzo rzadko przychodził do mojego domu. Właściwie był tutaj drugi raz.

- Nie odpoczywam, odkąd razem z Treweriuszem postanowiliście zakpić sobie z mojej władzy, a przy okazji wywołać wojnę z Miastem Krokodyli.

- Oni strzelali pierwsi.

- Powinieneś być wtedy zawrócić do Twierdzy.

- I zmarnować tak dobrą okazję na kontratak?

- Tuliusz Donner nie nadaje się do bezpośredniej walki.

- Obaj wiemy, że się nadaje. Ba, myślę, że już cała Twierdza o tym wie.

- Od tamtej pory ciągle jest Tulią.

- Przejdzie mu i wróci. Nie rozumiem, dlaczego ty i Tycjan tak się nad nim roztkliwiacie. Jest dorosłym facetem,

a do tego wytrawnym drapieżnikiem. Zaakceptujcie to i pozwólcie mu być sobą.

- Chciałeś się zemścić, że przepędziłem twoje raptory w głąb pustyni.

- Możliwe, ale bardziej chciałem się zabawić i dostać premię.

- Oficjalnie nie dostaniesz żadnej premii, Tyrs. Jesteś zawieszony w obowiązkach strażnika wąwozu. W najbliższym czasie musisz się skupić na nauce i ukończeniu szkoły. Mam dość Aspazji Bree i jej zawodzenia, jakim to jesteś potworem i nieukiem. To twój ostatni rok, nie każ mi zdawać za ciebie egzaminów!

A zatem karą było chwilowe odsunięcie mnie od obowiązków i przymus nauki. Mogło być znacznie gorzej. Poza tym...

- A nieoficjalnie? - zapytałem, unosząc brew.

- Sześć tysięcy cezarionów.

- Siedem. Muszę zapłacić tysiąka dentyście Anety za to, że odgryzła mu palec.

Teobald parsknął śmiechem. Aż się przy tym zatrząsł.

- No co? Ty nie masz gromadki dzieci do wykarmienia.

- Siedem i ani cezariona więcej.

- Dziękuję.

- Źle się czujesz, Tyrs?

Przewróciłem oczami.

- Alicja powiedziała mi dzisiaj to samo.

Teobald zapalił papierosa. Zawsze to robił, kiedy zbierał myśli. Przyglądałem mu się w blasku świec i nikłym brzasku

wczesnego wieczoru. Burmistrz był swobodnie ubrany w swoją ulubioną skórzaną kurtkę i żołnierskie spodnie. Jak na swój wiek dobrze się trzymał. Jego ciemne kręjące się włosy jedynie na skroniach zdobiła siwizna.

- Teraz się skup, Tyrs. To bardzo ważne. Zawarłem ugodę z Zadarem. Zażyczył sobie, żeby Tulliusz zabawiał jego gości w porcie pterodaktyłami. Musiałem się na to zgodzić, co, jak się pewnie domyślasz, rozwścieczyło Tycjana.

Tak, mogłem to sobie wyobrazić.

- Od tej pory opiekujesz się Tycjanem. Ty nawarzyłeś piwa, ty je będziesz spijał.

- Mówisz tak, jakby Tycjan był małym chłopcem albo zrobił coś... - Urwałem. - Pokłócił się z Zadarem?

- Gorzej. Uderzył go.

- O cholera.

- Mhm.

Teobald wypuścił dym.

- Sam rozumiesz, że w tej sytuacji musiałem go zdegradować i zawiesić w obowiązkach strażnika, tak jak ciebie.

- Robi się coraz rozkoszniej.

- W istocie, bo przechodzimy do najważniejszego. Aspazja Bree zatrudniła Annę Guiteerez w waszej szkole.

- W Liceum nr 1 imienia wicecesarza Sina? - upewniłem się, bo nie wierzyłem własnym uszom.

- Nie zadawaj mi głupich pytań, Tyrs. Nie, kiedy dałem ci siedem tysięcy cesarionów.

- Noż kurwa. I co teraz?

- Nic. Będzie was uczyć literatury europejskiej.
- Z tego są przecież egzaminy?
- Są.
- Teobald, jasna cholera! Anna Guiteerez będzie moją nową nauczycielką? Na miejscu tej krowy z zeszłego roku, którą wykończyliśmy na spółkę z Tycjanem?
- Właśnie. Aspazja mnie zabije, jeśli zrobicie to samo z Anną. Ona jest nietykalna, rozumiesz? Dużo jej zawdzięczamy, a możemy zawdzięczać jeszcze więcej...
- Muszę się napić czegoś zdecydowanie mocniejszego niż kawa...
- Najgorsze jest to, że jesteście we trójkę w jednej klasie. Aspazja chciała cię rozdzielić z Tycjanem i Tuliuszem, ale jej nie pozwoliłem, obiecując, że w tym roku będziecie wyjątkowo grzeczni. Więc tacy właśnie będziecie - albo nie wypłacę ci premii za dywizjon Krokodyli.
- Nie lubię cię.
- Wykorzystaj ten czas, żeby odpocząć od Straży. Kiedy to wszystko ucichnie, znowu będę cię potrzebował.
- Dobrze, będę spał na jej lekcjach i na wszystkich innych też.
- Wiesz, że to nie pora na żarty?
- Wiesz, że ja nie żartuję?

Okazało się, że cały tydzień byłem nieprzytomny. Innymi słowy - przespałem największą zawieruchę i może dobrze się stało, bo tylko pogorszyłbym sytuację. Nowy ambitny

wysłannik cesarski z Miasta Krokodyli nie chciał ustąpić, więc byliśmy z nim teraz w stanie wojny. Na szczęście Zadar, jak zwykle przekupiony przez Teobalda, opowiedział się po stronie Twierdzy i wysłał cesarzowi pismo potępiające decyzje swojego kolegi z lądu. Miasto Krokodyli nie dostało więc militarne wsparcia z Europy, którym zaczęło nam już grozić, i sytuacja utknęła w martwym punkcie. Nikt z kraju Żłocistych Piasków solidarnie nie opowiedział się za Krokodylami, a my mieliśmy nad nimi znaczą przewagę liczebną. Poza tym dysponowaliśmy dinozaurami. Po ostatniej krwawej jatce na pustyni stanowiło to argument nie do przebiccia.

Po weekendzie rozpoczynała się szkoła i moim jedynym zmartwieniem była teraz Anna Guiteerez w roli naszej nauczycielki literatury europejskiej, zdesperowany Tycjan i nowy dentysta dla Anetki. Nie mogłem w to uwierzyć. Życie nagle stało się podejrzenie proste. Przynajmniej na parę minut. Teobald wypalił jeszcze jednego papierosa i pożegnał się ze mną, tłumacząc się obowiązkami. Zgasły świece. Siedziałem sam na tarasie opatulony kocem. Na horyzoncie pojawiły się pojedyncze gwiazdy i półokrągły księżyc. Nie miałem siły się ruszać, zagłębiony w niknącym papierosowym swądzie i świeżym zapachu oceanu.

- Mówię ci, że układ z Abbą to jedyna opcja, żeby usunąć Tyrsa w cień. - Głos Alicji dobiegał gdzieś z dołu i zmroził mnie do szpiku kości.

Przy okazji uświadomiłem sobie, że siostra nie przyszła ze mną porozmawiać, choć na nią czekałem.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z Abbą - odpowiedział jej Tycjan i zmroziło mnie jeszcze bardziej. - Poza tym, że napsuje trochę krwi Teobaldowi, a ja będę mógł się temu przyglądać.

- Tyrs nie znosi Anety, a Terrę wręcz upokarza, chociaż chłopak jest od niego inteligentniejszy. W końcu jakoś musi sobie radzić ze swoimi kompleksami. Chyba nie może znieść myśli, że któreś z nas wreszcie radzi sobie w szkole. Najbardziej martwi mnie jednak jego wpływ na Taniela. Dzieciak jest słaby psychicznie i szuka w nim oparcia. W odpowiednim momencie Tyrs wykorzysta to przeciwko niemu. Nie zamierzam mu na to pozwolić.

„A może raczej: Tyrs nie ma złudzeń co do Anety i mała nie wchodzi mu na głowę? A co do nauki Terry, to akurat jedyna rzecz, którą w pełni popieram, nawet kiedy do końca nie wiem, czego się uczy i jaki język mu się spodobał. Niby za czyje pieniądze kupuje sobie te wszystkie książki, co? Natomiast Taniel zdecydowanie nie jest słaby psychicznie - wręcz przeciwnie. Ma w sobie na tyle odwagi, żeby pozostawać zadowolonym nawet z bycia półraptorem”, zripostowałem w myśli.

- Tyrs dużo dla was poświęcił...

- Wiem, ale z tego powodu czuje się upoważniony do kierowania naszym życiem. Moim w szczególności. - Alicja na chwilę przerwała. - Ożeń się ze mną, Tycjanie.

Zakryłem usta dłońmi, żeby nie parsknąć śmiechem. Nie musiałem widzieć miny Tycjana, żeby wiedzieć, jak jego ogromne zmieszanie ustępuje teraz miejsca irytacji. Alicja

chodziła z nim od dwóch lat, odkąd przeprowadziliśmy się do nowego domu nad oceanem, ale podkochiwała się w nim już od czasów podstawówki. Ostrzegałem ją, że mimo układnej maski świetnie trzymającej się twarzy, Tycjan był niezłym skurwielem. Oczywiście mnie nie posłuchała i stała się powodem krępujących chwil milczenia między mną a nim, bo nagle przestał opowiadać mi o swoich kolejnych randkowych podbojach. Nie pomogły moje zapewnienia, że właściwie jest mi wszystko jedno, a jego związek z Alicją mało mnie interesuje, dopóki nie wpływa negatywnie na funkcjonowanie naszej rodziny. W sumie obaj tak robiliśmy, odkąd tylko zaczęły nas podniecać dziewczyny – braliśmy sobie jedną oficjalną, a na boku kręciliśmy z innymi.

- Nie rób sobie ze mnie żartów – prychnął Tycjan. - Nie mam do tego nastroju.

- Nie, musimy wziąć ślub.

- A co? Jesteś w ciąży?

„O kurwa! O nie! Następna ciąża! Następne dziecko?! I kto niby będzie za to płacił?! Znienawidzony wujek Tyrs, tak?”

- Nie, na razie nie chcesz mieć dzieci...

„Przynajmniej jeden mądry!”

- Nigdy nie chcę mieć dzieci, a już tym bardziej żony. Co cię napadło?

Ta rozmowa zdecydowanie kosztowała mnie zbyt dużo nerwów, ale nie mogłem się ujawnić. Nie, kiedy dowadywałem się z niej tylu ciekawych rzeczy.

- O czym ty mówisz, Tycjanie? - Alicja była wyraźnie

skonsternowana, chyba nie spodziewała się aż tak ostrej odpowiedzi.

- Jesteś moją oficjalną dziewczyną. Poza tobą spotykam się też z innymi, a ostatnia rzecz, o której mógłbym marzyć, to ślub z którąkolwiek z was, a już w szczególności z tobą. Jesteś raptorzycą, ja jestem... synem Teobalda. Jeśli się kiedyś ożenię, to pewnie będzie to małżeństwo polityczne i w żaden sposób nie zmieni mojego stylu życia.

W normalnych okolicznościach byłoby mi żal Alicji i demonstracyjnie obraziłbym się na Tycjana, jednak po tym, co usłyszałem z jej ust na mój temat, było mnie stać tylko na pusty śmiech. Wstałem więc z krzesła i starając się narobić przy tym jak najwięcej hałasu, pokuśtykałem do pokoju, przytrzymując koc zdrową ręką. Rozmowa na dole ucichła. Może domyślili się mojej obecności na balkonie.

W moim łóżku spał Taniel. „Pewnie to objaw psychicznej słabości”, pomyślałem złośliwie i położyłem się obok niego. Popołudnie dostarczyło mi wielu emocji i byłem pewien, że nie zasnę, lecz sapanie Taniela przez sen i ciepło, które wydzielało jego małe ciało, zadziałały na mnie jak najlepszy środek nasenny. Mocno postanowiłem, że jutro zacznę się martwić Alicją i Tycjanem, a teraz zasłużyłem sobie przynajmniej na odrobinę przyjemności, jaką dawało mi wygodne łóżko i osobisty termoфор. Taniel pachniał Tanielem i kwiatowym mydłem. Wszystko było na swoim miejscu.

ROZDZIAŁ 4

Tycjan

Domyśliłem się, że Tyrs nas podsłuchuje. Byłem mniej skupiony na macankach niż Alicja i w pewnym momencie usłyszałem jego prychanie. Kochany Tyrs – zawsze miał tak cholernie wyjebane. To była dobra strategia. W pewnym sensie podziwiałem ten jego obrzydliwie prosty, wręcz prostacki, system. Pieniądze i rodzinne bezpieczeństwo, a z drugiej strony przygoda, adrenalina i dobry seks. Po jego wielkim załamaniu nie pozostał już nawet najmniejszy ślad. Właściwie znałem dwóch Tyrsów – tego sprzed załamania i tego po nim. Spotkałem wystraszzonego chłopca, który pod moim wpływem zmienił się w twardego mężczyznę; dałem mu wynikającą ze wspólnoty doświadczeń pewność siebie. Obaj byliśmy inni w ten sam sposób. Tylko z Tyrsem nawiązałem ten specyficzny rodzaj porozumienia, charakterystyczny dla ludzi dzielących śmiertelny sekret. Mogliśmy być zarówno najlepszymi przyjaciółmi, jak i największymi wrogami. Po trochu byliśmy jednymi i drugimi. Rozgrywaliśmy swoje małe intrygi, bawiliśmy się własną wyższością i jednocześnie tęskniliśmy za naszym poczuciem humoru, które scalało nas bardziej niż wspólnie

przelana krew.

Wiele nas różniło. On pochodził z rynsztoka, a ja z salonów, i choćby dlatego wyznawaliśmy odmienne wartości, pasjonowaliśmy się odmiennymi rzeczami, wybieraliśmy inne dziewczyny do łóżka. Ja lubiłem się trochę przy tym zmęczyć, żeby potem cieszyć się nagrodą za poniesiony trud. Parę randek, parę wytwornych kolacji, kwiaty, romantyczne słówka, spacery brzegiem oceanu i w końcu seks w jakimś dogodnym miejscu - w jedwabnej pościeli albo przy zachodzącym słońcu na plaży. Pełen wypas.

A Tyrś od razu zabierał się do rzeczy i szybko zapominał o swoich laskach. One za to nie zapominały o nim. Nawet po dłuższym czasie dopominały się o więcej. Wnioskowałem, że musiał być naprawdę dobry w te klocki, albo po prostu jak zwykle miał rację i kobiety uwielbiały prostolinijność. Ostry seks bez zobowiązań, bez lukru, bez pudru, bez blasku świec... No cóż, to nie było dla mnie. Urodziłem się zdobywcą i strategiem. Już samo wypełnianie powziętego planu mnie podniecało.

Alicja mnie znudziła. Za daleko posuwała się w swoich zamiarach wobec Tyrśa i Abby, a ja nie zamierzałem zostać jej współnikiem. Mimo to raczej na długo ją zapamiętam. Była pierwszą kobietą, która zaproponowała mi małżeństwo. Wzbudziło to we mnie ogromny niesmak. Zostawiłem ją na bujanej ławeczce przed wytwornym domem Tyrśa (to ja załatwiłem mu architekta, w przeciwnym wypadku pewnie zamieszkaliby w lepiance) i zszedłem po skarpie na plażę,

aby pooddychać świeżym powietrzem.

Wiało od oceanu, ale lubiłem ten rodzaj wiatru, który przynosił wspomnienie niedawnej ulewy. W oddali słyszałem śpiew elasmozaurów i w pierwszej chwili chciałem poddać się swojemu zewowi i dołączyć do nich, miałem jednak parę spraw do przemyślenia. Chciałem wrócić do domu z pustym umysłem, tak żeby Teobald nie mógł się do niego włamać i zasiać we mnie ziarna wątpliwości.

Wiedziałem, że odwiedził Tyrsa i zaproponował mi następne pieniądze, w końcu triumf na pustyni był spektakularny. Wzmocnił Straż mimo ogromnego poświęcenia ze strony Tulusza i wysłanego oddziału, który cały się wykrwawił. Oczywiście Tyrś prawie nie ucierpiał. Te jego drobne kontuzje nie mogły się równać z otwartym złamaniem Tulusza i jego kompletnym emocjonalnym zdewastowaniem. No tak, ale przecież trzeba pomóc Tuluszowi dorosnąć. Jakby bez tego nie był wystarczająco popierdolony.

Usiadłem przy samej wodzie, gdzie chłodny przyływ obmywał mi stopy. Przygryzłem paznokieć, starając się nie wyobrażać sobie Tulusza; nie skończyłem zabawiać się z Alicją i nadal byłem nieprzyjemnie pobudzony. Ostatnio samo myślenie o Tuluszu sprawiało mi ból. Albo coś jeszcze innego. To była wina Tulii - za bardzo się do mnie przymilała. Starła się być tak przekonywająca, żebym nie umiał jej odtrącić, lecz paradoksalnie sprawiała tym, że coraz bardziej ceniłem sobie Tulusza i szukałem jego towarzystwa i fizycznej bliskości. Tulia popychała mnie

w stronę Tulusza. Byłem tego świadomy, choć różnymi sposobami starałem się z tym walczyć. Tulusz zawdzięczał mi prawie tak dużo jak Tyrs, więc głównie wmawiałem sobie, że to przejaw mojej troski o niego po jego niespodziewanym przeistoczeniu się w pterodaktyla. Prawda była jednak taka, że to coś między nami zaczęło się dużo wcześniej, kiedy wprowadził się do willi Teobalda razem ze swoją matką.

Nie wiem, co napadło ojca, żeby po czternastu latach samotności znowu spróbować związać się z kobietą, jednak aż tak bardzo go za to nie winięm – Arabella Donner była naprawdę pojętna. Rudowłosa pani doktor z Europy, która wspierała miejscowy szpital i pomagała leczyć nasze dzieci. Dużo czasu spędzała też w laboratorium.

Nikt nie przypuszczał, że cały czas eksperymentowała z genami dinozaurów. To ona odpowiadała za wstrzyknięcie mojej matce zapłodnionej komórki jajowej elasmozaura – zapłodnionej plemnikiem mojego ojca. Miała z tego niezły ubaw, zwłaszcza gdy wprowadziła się do naszego domu. Od początku wiedziała, kim byłem. Obserwowała, jak ja i ojciec przywiązujemy się do idei posiadania pełnej rodziny. To był czas, kiedy prawie mu wybaczyłem, że ukrywał Tacjana i nie utrzymywał z nim bliższych kontaktów, a mnie traktował jak zło konieczne, istotę, która nigdy w pełni nie zasłużyła na miano jego syna.

Bardzo zaprzyjaźniłem się też z Tuluszem. Jego spokój i pogoda ducha wydawały mi się bardzo kojące. Lubiłem z nim rozmawiać. Wymienialiśmy się książkami, chodziliśmy razem na spacer i do kina na europejskie filmy; dawał mi

namiastkę normalności. To była nowość w moim życiu. Syn burmistrza, przyjaciel raptora, wieczny lider w Straży w końcu mógł być po prostu Tycjanem. Przyłgnałem do tej myśli jak ćma do lampy - a ćma zwykle płonie w ciepłe ognia. To samo spotkało i mnie. Arabella wszystkich nas zniszczyła. Surowica, którą podała własnemu synowi, na zawsze go zmieniła, tak że stał się cieniem mojego Tulusza i samo patrzenie na niego zapierało mi dech w piersi, jakbym tracił zdolność oddychania płucami. Pływałem więc wtedy jak szalony, godzinami nie wynurzając głowy na powierzchnię. Wolałem oddychać skrzelaми.

Alicja podrapała mi policzek, ale najgorsze było to, że nieprzerwanie chciało mi się seksu. Byłem głupi, że pozwoliłem jej się wciągnąć w tę rozmowę. Mogłem wzorem Tyrsa konkretniej zabrać się do rzeczy i zerwać z nią dopiero po fakcie. Kolejny dowód na wyższość jego nieskomplikowanej strategii nad moją...

Skoro nie miałem z kim się kochać, a wolałem nie zaspokajać się sam, gdyż istniało wtedy duże prawdopodobieństwo, że będę sobie wyobrażał Tulusza, rozbierałem się i wskoczyłem do zimnej wody. Od razu podziałało.

W trakcie pływania wspominałem wydarzenia ostatnich dni. Szczególnie moją kłótnię z Zadarem. Ojciec przyjął go w świątyni wielkiego boga pustyni z głową raptora, któremu kiedyś społeczność Twierdzy złożyła Abbę w ofierze. Teobald

był jednym z pierwszych miejscowych zaproszonych do Europy na dwór cesarza w ramach śmiałego projektu „Oswoić Afrykę”. Przywiózł stamtąd między innymi nowe obyczaje religijne zabraniające składania ofiar z ludzi. Twierdza Kimerydu przyjęła je z wyraźną ulgą – zwłaszcza że Abba przeżyła spotkanie z raptorami. Kapłani boga-raptora bali się narastającego buntu, bo skoro bóstwo przyjęło ofiarę i jeszcze uczyniło ją swoją oblubienicą, dla innych wyznawców też przewidywało zbawienie. Cały kult opierał się bowiem na Wielkim Oczyszczeniu, czyli likwidacji jednostek, które odstawały od społeczności i przynosiły mu hańbę.

Teobald zwalczył miejscową histerię, otrzymując błogosławieństwo kapłanów. Ci szybko zmienili szaty i z radością powitali uniwersalnego boga z Europy. Właściwie to nowa religia wyniosła mojego ojca na szczyty władzy. W Twierdzy krążyły plotki, że podczas swojego pobytu w stolicy Cesarstwa, Vintage, poznał samego cesarza i grywał z nim w szachy. Mogłem w to uwierzyć. W okolicy nie było lepszego polityka niż on, choć czasami myślałem, że Abba dzielnie dotrzymuje mu kroku.

Świątynia boga-raptora mieściła się w samym centrum miasta. Została zamieniona na Dom Kultury, gdzie wystawialiśmy własne teatralne sztuki, oglądaliśmy filmy w kinie na parterze i urządzaliśmy bankiety z okazji świąt. Może stara religia upadła, ale nie byliśmy w stanie zrezygnować z naszych ulubionych pogańskich świąt. Uniwersalny bóg nas nudził. Pomijając fakt, że był tylko

jeden, co znacznie zawężyło pole naszej wyobraźni, to zezwalał tylko na dwa oficjalne święta w roku: zimą z okazji swoich urodzin i wiosną z okazji swojej śmierci. Na szczęście my mieliśmy tylko dwie pory roku - porę deszczową i porę suchą - co posłużyło nam za pretekst do ignorowania religijnych reguł.

Lubiłem to w polityce Teobalda - jego otwartość na nowości i skłonność do bezustannego kompromisu, który czynił z nas jedyne miasto na kontynencie ściśle współpracujące z przedstawicielem cesarza. Mimo że nasz przedstawiciel okazał się skończonym kretynem. Zadar Mellanito, potomek jednego z wielkich arystokratycznych rodów Europy, wylądował na zesłaniu w Afryce z powodu swoich specyficznych upodobań erotycznych i zbyt liberalnych poglądów, które na tyle przeszkadzały cesarzowi Brytanikowi, że na stałe pozbył się go ze swojego otoczenia. Ojciec tysiąc razy przerastał go intelektem, co może również było ukłonem cesarza w jego kierunku. „Kolego od szachów, muszę nadać ci namiestnika w porcie, ale nie martw się: będzie tylko naszą wspólną marionetką”.

Zadar sypiał z Tulią. Wiedziałem o tym, bo przy paru okazjach nie omieszkał mi się tym pochwalić. Zresztą lubował się w seksie z transwestytami, Tulia była więc jego naturalnym wyborem. Nic nie mogłem na to poradzić. Ani ja, ani Tyrs. Na domiar złego Tyrs miał dług u Zadara, bo ten po przystępnej cenie sprzedał mu ziemię nad oceanem.

Teobald i Zadar spotkali się w głównej sali, gdzie kiedyś kapłani składali dary przed posągiem boga-raptora. Teraz

służyła nam jako sala bankietowa i balowa. Towarzyszyłem ojcu, choć trzymałem się z tyłu, żeby nie rzucać się Zadarowi w oczy. W mojej obecności wpadał na dziwne pomysły. Podejrzywałem, że byłem jednym z ulubionych tematów jego rozmów z Tulią.

- Twierdziłeś, że dzieciak Donnerki jest całkowicie nieprzydatny - zaatakował Zadar z tym swoim świszczącym europejskim akcentem, który tak bardzo bawił rdzennych mieszkańców Twierdzy.

- Jak sam wiesz, to nie do końca prawda. - Teobald wzruszył ramionami i mimo że jego błyskotliwość jak zawsze zasługiwała na uznanie, miałem ochotę stanąć w obronie przyjaciela.

Nic mnie tak nie wyprowadzało z równowagi, jak mówienie z pogardą o Tuluszu, nawet gdy wcielał się w Tulię.

- Myślę, że zdolności Tulusza, które ja znam, niezbyt korespondują z tym, co zrobił na pustyni. Miasto Krokodyli przysłało mi oficjalne pismo w tej sprawie. Odbyłem też bardzo nieprzyjemną rozmowę z nowym burmistrzem tego miasta drogą internetową. W tym momencie cesarz już o wszystkim wie. Radzę ci więc być ze mną całkowicie szczerym, w przeciwnym razie obaj znajdziemy się w patowej sytuacji.

Zadar miał niebieskie włosy i zmodyfikowane genetycznie oczy. Jeszcze w Vintage wszczepił sobie źrenice dzikiego kota, chyba jaguara. Zanim raptory na dobre rozpanoszyły się w okolicy, my też mieliśmy stado lwów na

pobliskiej sawannie. Żałowałem, że przegrały z większym drapieżnikiem.

Nie lubiłem ludzi, którzy sami ingerowali w swój wygląd i sztucznie go ulepszali – żeby stać się silniejszymi czy po prostu dla urody. Zadar robił to raczej z tego drugiego powodu i moim zdaniem odnosił skutek odwrotny do zamierzonego. Na domiar złego ubierał się w długie cesarskie szaty, na pierwszy rzut oka przypominające strój kapłana. Złudzenie wzmacniał ich błękitny kolor, tylko o ton jaśniejszy od jego włosów. Zadar był starszy od Teobalda najwyżej o pięć lat, jednak za sprawą odmładzającego serum czas się dla niego zatrzymał. Jego twarz była pozbawiona zmarszczek, ale również bardziej ekspresyjnej mimiki, dlatego dzieciaki w Twierdzy wołały na niego „niebieska mumia”. Jego sztuczność miała najciemniejsze odcienie plastiku.

- To był pomysł Tyrsa – wyjaśnił burmistrz, jakby to nagle odwracało bieg wydarzeń.

- Chłopak znowu cię ubiegł. Mnie zresztą też. – Zadar z zadowoleniem pokiwał głową; z niezrozumiałych dla mnie powodów cenił sobie Tyrsa. – A teraz płąć.

- Ile? – zapytał Teobald z kamiennym wyrazem twarzy.

- Chcę pterodaktyla.

- Co? – Teraz obaj z ojcem zamarliśmy z wrażenia.

- Chcę Tulusza Donnera. Ma dla mnie wykonać kilka sztuczek z pterodaktylami. Zapowiem go w porcie i zaproszę kilku znajomych z Europy. I nie, w tym wypadku nie interesuje mnie Tulia. Tulusz ponoć w ogóle jej nie

przypomina i nie sądzę też, by ona umiała przyzywać pterodaktyle i nimi kierować. Pożyczysz mi Tuliusza, a ja złożę odpowiedni raport cesarzowi.

- Dobrze. - Ojciec nawet dla zachowania pozorów przyzwoitości nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

Od tego momentu ciągle popełniałem błędy.

Woda rozmiękczała mi skórę. Wydawało mi się, że za chwilę zaczniesz mi schodzić płatami z pleców i z ramion. Wciąż bolały mnie kłykcie prawej dłoni.

Uderzyłem Zadara pięścią w twarz, aż się zatoczył i przewrócił na stół, ściągając z niego obrus ze świeżą zastawą. Kieliszki z winem potłukły się w drobny mak. Na błękitnej szacie Zadara wykwitła czerwona plama, jak pustynna róża w ogrodzie rodziny Mollinów. Tak niefortunnie upadł, że uderzył głową o kant blatu i na chwilę stracił przytomność.

- Wynoś się! - warknął do mnie Teobald, zanim zdążyłem ochłonąć.

- Dłużej tego nie zniosę!

- Widzę. Wynoś się, bo do niczego mi się więcej nie przydasz.

Zanurkowałem. Płynąłem w stronę piaszczystego dna z szeroko otwartymi oczami. Moje skrzela wydeły się i delikatnie załopotwały. Pęd wody odrzucał mi włosy do tyłu. Było coraz chłodniej, traciłem rachubę, ile już przebywałem pod powierzchnią.

Następnego dnia spotkałem się z Tulią. Leżała w garnizonowym szpitalu i co chwila przyjmowała nowego wielbiciela, który składał jej gratulacje z powodu wygranej bitwy z udziałem pterodaktyłów. Nie miała ochoty ze mną rozmawiać.

- Jeśli znowu spróbujesz mnie uderzyć, zawołam ochronę. Nie pomoże ci nawet to, że jesteś Tycjanem Elasmosem.

- Chcę porozmawiać z Tuluszem.

- To masz pecha, kolego. Nie ma go tutaj i nie za prędko wróci.

- Nie możesz tak po prostu go wyrzucić...

- Mogę i właśnie to robię. A ty nic na to nie poradzisz. Nigdy więcej nie pozwolę ci się do mnie zbliżyć.

Bez makijażu, blada i zmęczona, Tulia wyglądała jak Tulusz na tle szpitalnych poduszek. Jej policzek wciąż szpeciło obtarcie, miała też kilka siniaków wokół szyi i obojczyka. Oddychała z trudem, podłączona pod kroplówkę, wiotka i bezbronna. Mogłem z łatwością wybić jej z głowy te głupie dąsy, ale coś mnie powstrzymało - nagła, elektryzująca myśl, że Tulusz nie chciał wrócić, że dla samobójczej misji Tyrsa otworzył się na zew pterodaktyla, że nie lubił rozmawiać ze mną o swojej przyszłości, że starał się bardziej dla zaspokojenia mojej potrzeby bycia blisko niego, a niekoniecznie dla siebie.

Położyłem się na dnie, nad sobą mając warstwy wody przecinane ławicami kolorowych ryb, a pod sobą mokry piasek, który odkształcił się pod moimi plecami. Ocean

pachniał jak skondensowana woń wszystkich kwiatów z ogrodu Mollinów, a może raczej był to po prostu ostatni zapach, jaki czułem przed wejściem do wody. Tak naprawdę ocean nie miał zapachu – ani smaku, choć dla mnie zawsze smakował posiekanymi ziołami dodawanymi do ulubionych zup Teobalda. Nauczył się je jeść w Europie.

Do domu wróciłem przed północą – zziębnięty i zubożniały. Po drodze odczytałem SMS od Tyrsa, jakby nic się między nami nie wydarzyło.

„Zabawimy się z Anną?”

Wzruszyłem ramionami.

„Dlaczego nie?”, wystukałem lewą ręką, prawą wciąż zaciskając na kierownicy mojego powietrznego samochodu.

„Uniwersytet się przy nas schowa!”

„Gratuluję ci dobrego humoru”.

„Daj spokój. Chyba nie jesteś zły?”

„A jak ci się wydaje?”

„Wydaje mi się, że nie masz o co. Tuliusz sam dokonał wyboru. Gdyby zawrócił, pojechałbym razem z nim”.

„Wiem, Tyrs. Nie chcę o tym rozmawiać”.

„Wracaj bezpiecznie do domu. Widzimy się po weekendzie;)”.

„Dzięki, pa!”

Tyrs miał wyrzuty sumienia – przynajmniej tyle. Wjechałem do naszego garażu pod willą i zgasłem silnik. Odliczyłem do trzech i otworzyłem drzwi. Owiał mnie chłód

z jaskini elasmozaurów. Powinienem odwiedzić brata, ale nie miałem do tego siły. I bez niego byłem dziś wystarczająco obciążony psychicznie. W oknie antropolożki paliło się światło. Ciekawe, co myślała o akcji Straży przeciwko żołnierzom Miasta Krokodyli. Bądź co bądź, to ona była powodem tej krwawej jatki. Postanowiłem, że zapytam o to ojca, o ile w ogóle uda mi się z nim dzisiaj porozmawiać.

Na szczęście zastałem go w jego gabinecie. Siedział pochylony nad stosem papierów i bawił się piórem ze złotą stalówką. Najwidoczniej przymierzał się do złożenia paru podpisów. Jego biblioteczka zawsze robiła na mnie duże wrażenie: zgromadził sporą kolekcję książek z Europy i z Afryki, niezbyt lubił za to literaturę amerykańską. Cywilizacja tamtejszych Indian nadal utrzymywała krwawe zwyczaje swoich przodków i składanie ofiar z ludzi było tam na porządku dziennym. Mimo to trzymali się na dystans wobec Europy i co najważniejsze – nie rościli sobie praw do Afryki.

- Cześć – rzuciłem od progu.

Teobald posłał mi jedno badawcze spojrzenie, którym oszacował mój nastrój. Lekko się przy tym uśmiechnął.

- Wyglądasz fatalnie – oznajmił na powitanie.

Przyjrzałem się jego jedwabnej koszuli od pizamy i starannie ułożonym włosom.

- Chciałbym to samo powiedzieć o tobie.

- Usiądziesz?

- Chętnie.

Od pływania bolały mnie nogi i mięśnie pleców.

Z przyjemnością zagłębiłem się więc w miękkim skórzanym fotelu ojca.

- Ty się do tego nie nadajesz. Wiem, że próbujesz, i jestem ci zobowiązany, ale to nie jest twoje miejsce - powiedział teraz, jakby nawiązywał do wcześniej przez nas prowadzonej rozmowy.

- Do czego się nie nadaję? - zapytałem.

Teobald odłożył pióro i wyrównał brzegi dokumentów.

- Do polityki. Jesteś świetnym liderem, ale to nie wystarczy.

- Sprzedałeś Tuliusza - warknąłem coraz bardziej zirytowany jego protekcjonalnym tonem.

- Tak, i zrobiłbym to jeszcze raz. Widzisz między nami tę różnicę, Tycjanie?

- Aż zbyt wyraźnie - zadrwiłem. - Nie wiem, co chcesz mi przez to powiedzieć.

- Nic, po prostu zamierzam cię odsunąć od głównej linii zadań Straży. Twoje nieprzewidywalne zachowanie naraża moje plany na niepowodzenie.

- Rozumiem, że teraz twoim genialnym planem jest manipulowanie Anną Guiteerez? Jak jej się podobały ostatnie manewry wojskowe?

- Muszę przyznać, że jej płochliwość mnie rozczarowuje.

- Teobald wzruszył ramionami. - Słuchaj, wiem, co o mnie myślisz. Nie byłem dla ciebie dobrym ojcem. Często zostawiałem cię samego z twoimi problemami, które mnie przerastały. Wiesz, to żadne wyjaśnienie dla kogoś takiego jak ja - osoby, która zawsze chce więcej i na końcu zgarnia

wszystko. Powinienem być mądrzejszy, dać ci więcej opieki i wsparcia, kiedy szukałeś swojej tożsamości. Ale przerosłeś mnie. Nie wiedziałem, co mam począć z własnymi dziećmi. Szukałem więc winnych. Wytoczyłem wojnę genetykom cesarza stacjonującym w naszym mieście. Zwróciłem się nawet do Abby, żeby pomogła mi dokonać zemsty. Koniec końców śmierć Arabelli Donner nie przyniosła mi ukojenia. Dlatego wciąż walczę. Ale ty nie musisz.

- To nie twoja decyzja - odpowiedziałem po chwili namysłu. - Bez względu na to, co zrobisz, i tak nie masz wpływu na to, co ostatecznie zadecyduję.

- To tak, jak ty nie masz wpływu na Tulusza. Gorzka lekcja, prawda?

Patrzyliśmy sobie w oczy. Przygryzłem wargę do krwi. Jej cierpki smak otrzeźwił mnie na tyle, żebym się podniósł i bez słowa ruszył do wyjścia.

- Dobranoc - powiedział za mną Teobald, ale już się nie obróciłem.

„Możesz być pewien, że się zabawimy”, napisałem do Tyrsa, zanim jeszcze dotarłem do swojego pokoju.

„To mi się podoba. Poza tym musimy poszukać ci nowej dziewczyny”.

„A tobie w ogóle jakiejś”.

„Myślałem o córce dyrektorki”.

„Świetny pomysł!”

„Myślisz, że to się spodoba Aspazji i twojemu ojcu?”

„Sama myśl poprawia mi humor!”

„Czad!”

We wtorek przed rozpoczęciem lekcji dyrektorka zawołała mnie na rozmowę. Poza standardową pogawędką na temat obowiązków przewodniczącego szkoły i złożeniem gratulacji za moje osiągnięcia w Straży poprosiła mnie, żebym w tym roku szczególnie uważał na Tyrsa, bo oboje doskonale wiedzieliśmy, że jego wiedza była skromniejsza od wiedzy przeciętnego czwartoklasisty, który w czerwcu miał zdawać egzaminy.

- I zapowiadam ci, że jak się doczepicie do Anny Guiteerez, będę zmuszona przedyskutować z burmistrzem obecność Tyrsa w tej szkole.

- Nie doczepimy się. Przysięgam - zapewniłem, bo w naszym slangu „czepianie się” było o parę piętér niżej niż „zabawianie się”.

Innymi słowy: wcale nie skłamałem. Aspazja nie była przekonana, ale posłałem jej jeden z moich najpiękniejszych uśmiechów, czym zamknąłem jej usta.

- W takim razie życzę ci powodzenia w nowym roku szkolnym.

- Serdecznie dziękuję, pani dyrektor.

Tyrs czekał na mnie przed gabinetem, opierając się zdrowym ramieniem o ścianę. Uniosłem kciuk, a on zachichotał. Wciąż miał rękę w gipsie i do szkoły nosił ją na temblaku. Z tego powodu do czarnych jeansów założył tylko szpanerski podkoszulek w kolorowe kwiaty, który współgrał z jego tatuażami. Rozpoczynaliśmy nowy sezon.

Lekcje z Anną miały być dopiero w czwartek. Do tego czasu zabawialiśmy się na inne sposoby. Po pierwsze - pierwszoklasistki. Płochliwe to takie, nieopierzone, dla mnie w sumie nic ciekawego. Za to Tyrś szybko upatrzył sobie ofiary i stwierdził, że jedną odstąpi mnie. W sumie mogła być. Postanowiłem, że dla odmiany spróbuję wyznawać jego nieskomplikowaną filozofię. Byłem zniesmaczony, że tak łatwo nam poszło. Wystarczyło opowiedzieć parę anegdotek ze Straży, pochwalić się muskułami i trochę laski popieścić. Mieliśmy swoich przeciwników, ale też wierne fankluby, a te dziewczyny zdecydowanie zaliczały się do drugiej grupy.

„Mam nadzieję, że nie są dziewicami”, napisałem Tyrśowi, zanim w ogóle zabraliśmy się do rzeczy.

Przyjaciel zabrał swoją laskę na szkolny strych, ja moją dla odmiany do mieszczącej się w piwnicy szkolnej spiżarni.

„Kurwa, nie strasz mnie, stary!”

Jak ognia unikaliśmy dziewic, bo był z nimi potem problem - nie dało się w cywilizowany sposób zerwać, a do jednorazowego seksu kompletnie się nie nadawały.

„Zapytaj swoją”.

„Dlaczego ja?”

„Bo jesteś bardziej bezpośredni”.

„Laluś!”

Pisałem SMS-y za plecami mojej dziewczyny, drugą ręką trzymając ją w pasie. Przez cały ten czas całowałem jej szyję, zostawiając na niej czerwone ślady.

„Moja nie wie”.

Z wrażenia opadły mi ręce i odechciało mi się baraszkowania.

„To powiedz jej, że wróćcie do tematu, jak sprawdzi!”

Potem spotkaliśmy się z Tyrsem na głównym holu, obaj nieziemsko wkurwieni i mrukliwi.

- Ja nam załatwię dziewczyny - burknąłem w końcu po dłuższej chwili milczenia.

- Nie będę recytował wierszy!

- Nawet erotycznych?

Więc po drugie - moje koleżanki z kółka teatralnego. Z jedną spotykałem się wcześniej, kiedy jeszcze chodziłem z Alicją. O drugiej wiedziałem, że od pierwszej klasy podkochiwała się w Tyrse. Sprawdzony towar. Brunetka i szatynka, obie ciemnoskóre i chętne. Ja byłem zadowolony, Tyrs umiarkowanie, ale w sumie nie narzekał. Zaliczyliśmy z nimi trzy rundki między lekcjami i jedną po lekcjach. Uznałbym wtorek za całkowicie udany, gdyby Tyrs nie rozpraszał się obserwowaniem antropolożki na przerwach. Rozpoznawałem, kiedy podobała mu się jakaś dziewczyna, mogłem zatem z czystym sumieniem stwierdzić, że za niechęcią Tyrsa do Anny kryło się coś więcej. Na razie zostawiłem go w spokoju, ale w mojej głowie zaczynał świtać pewien pomysł.

Po trzecie - narkotyzujące papierosy. W środę napaliliśmy się na boisku w towarzystwie skonsternowanych korytozaurów, zanim poszliśmy na lekcję matematyki. Baba od matmy była naszą zniechęconą nauczycielką. W drugiej

klasie robiliśmy jej numery na lekcjach i poskarżyła się mojemu ojcu. Za podpalenie jej klasówek i porysowanie powietrznego samochodu pazurami Tyrsa Teobald obciął nam comiesięczną pensję w Straży. Mnie to mało obeszło, ale Tyrś się wściekł i od tamtej pory na matmie już tylko spał.

Tym razem zgotowaliśmy psorce gorące powitanie. Ja się śmiałem jak szalony i nie mogłem przestać, a Tyrś bardzo chciał rozwiązywać zadania na tablicy. Klasa miała z nas ubaw, chociaż niektórych nie cieszyła perspektywa wojny z matematyką. Zwłaszcza w obliczu egzaminów. Ale i tak „się zabawiliśmy”. Niestety, Aspazja od razu się dowiedziała i zapowiedziała tylko, że czeka mnie kolejna rozmowa następnego dnia, kiedy wytrzeźwieję; zapewne znacznie ostrzejsza od pierwszej. W każdym razie postanowiliśmy iść z Tyrsem na imprezę do portu, skoro już i tak byliśmy nawaleni jak korytozaury po zjedzeniu trującej trawy. Wieczór zdecydowanie nam się udał - poderwaliśmy turystyki z Europy i robiły z nami takie rzeczy, że miejscowe dziewczyny mogły się schować.

- Myślisz, że Anna też lubi anala? - zapytał mnie nad ranem napruty Tyrś, kiedy już jechaliśmy do domu powietrzną taksówką.

Było gdzieś po piątej.

- Możliwe. W końcu też przyjechała z Europy - zaśmiałem się cicho.

- Ta Europa to piękny kontynent.

Czwartek zastał nas słabych, skacowanych i pokornych. Tyrs zaczął się przejmować Aspazją i jej groźbami. Zawsze działał na niego argument finansowy.

Ja spokojnie skupiłem się na lekcjach. Lubilem historię i geografę, a tak naprawdę lubiłem też literaturę europejską i warsztaty z literatury afrykańskiej. Wszystkie te przedmioty mieliśmy akurat w czwartek. Tyrsa nic nie interesowało, albo po prostu za szybko się zniechęcał. Obstawiałem, że w czerwcu nie zda tych cholernych egzaminów. Nauczyciele przepychali go ze strachu przed Teobaldem, któremu zależało, żeby Mollina skończył szkołę. Nie było to do końca sprawiedliwe wobec innych uczniów, więc niektórzy wyżej postawieni rodzice pisali petycje do dyrektorki – oczywiście nie przynosiły one żadnych rezultatów. Byliśmy bezkarni, choć gdyby mnie przycisnęli do ściany, zawsze mogłem się wybronić wiedzą. Tyrs już nie.

Aspazja nie miała z nami łatwego życia. Na domiar złego była naszą wychowawczynią i uczyła nas biologii. Wzięła nas na siebie, bo wiedziała, że nikt inny nie poradzi sobie z klasą, do której chodzili: raptor, elasmozaur i pterodaktyl. Co przypomniało mi, że od poniedziałku Tuliusz nie pojawił się w szkole. Był na zwolnieniu lekarskim i bardzo mnie to cieszyło, gdyż nie chciałem go oglądać. Wolałem „się zabawić”, idiotycznie łudząc się, że w ten sposób ukoję mój ból. Nie ukoilem. Wystarczyło, że wrócił Tuliusz; pojawił się tuż przed lekcją z Anną. Nikt do niego nie podszedł, inni po prostu obserwowali, jak niezdarnie się poruszał, podpierając się na kulach. W normalnych okolicznościach już bym się nim

zaopiekował, teraz zaś zastanawiałem się tylko, cóż to za nadzwyczajne wypadki sprowadziły go z powrotem. Pewnie Tulii nie chciało się przychodzić do szkoły. Nie lubiła tego miejsca i ostracyzmu otoczenia, więc łaskawie pozwalała Tuliuszowi korzystać z ciała.

Tyrs zamknął się w ubikacji. Miał gorszy metabolizm od mojego i nadal nie umiał do końca wytrzeźwieć. Nie było go, kiedy Tuliusz potknął się i upadł, osłaniając twarz rękami. Co ciekawe, wszyscy koledzy z naszej klasy skierowali na mnie wzrok. Czekali, aż mu pomogę, ale nie ruszyłem się z miejsca, udając, że niczego nie zauważyłem. Wciąż nikt nie reagował, a Tuliusz nie umiał wstać – gips zbyt mocno mu ciążył. Chyba też nadwerężył sobie nadgarstek, gdy się na nim podparł. Ostateczną siłą woli powstrzymałem się przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu. Sytuacja była co najmniej patowa. Nie spodziewałem się, że moi koledzy z klasy okażą się aż tak koleżeńscy, i starałem się zdusić w sobie narastający sprzeciw. Obiecałem sobie, że przestanę zajmować się Tuliuszem. W końcu miałem pozwolić mu dorosnąć.

- Chyba trzeba mu pomóc. - Akcję ratunkową jak zwykle rozpoczęła Arleta Bree, córka dyrektorki.

- Boję się, że się czymś zarazę, i to niekoniecznie genem pterodaktyla - zadrwił Tymon Railey, syn przełożonego urzędników w ratuszu.

Parsknęli śmiechem. Tuliusz musiał to słyszeć równie dobrze co ja, bo w pewnym momencie przestał się w ogóle poruszać i zastygł w jednej pozycji z opuszczoną głową.

Włosy zasłoniły mu twarz.

Byłem już o krok od złamania mojego postanowienia, kiedy na korytarz wyszła Anna Guiteerez. Założyła dzisiaj zieloną sukienkę z krótkim rękawem i skromnym dekoltem, wyszywaną pomarańczową nitką, która idealnie harmonizowała z jej kasztanowymi włosami zebranymi w mały kucyk na czubku głowy. Na prawym ramieniu niosła prostokątną torbę z książkami. Emanowała od niej pozytywna energia, tak rzadka wśród nauczycieli w tej szkole. Dzisiaj Anna wydała mi się całkiem ładna. Zniknął gdzieś jej strach i brak pewności siebie, które wykazała przy naszym pierwszym spotkaniu.

Przystanęła obok Tulusza, spojrzała wymownie na klasę i pokręciła głową. Niektórzy ze wstydem odwrócili wzrok, jednak inni nadal się śmiali. Ona tymczasem przykucnęła przy Donnerze, zamienili parę zdań i w końcu podała mu rękę. Wbrew pozorom Tulusz był ciężki, więc miała problem z postawieniem go na nogi.

- Co jest z tobą, stary? - usłyszałem za sobą głos zdumionego Tyrsa.

Wyminął mnie, posyłając mi groźne spojrzenie, i podszedł do Anny. Pomógł jej podnieść Tulusza, po czym przejął go od niej, opierając na swoim zdrowym ramieniu. Wtedy wreszcie ruszyłem się z miejsca.

- Dziękuję, panno Guiteerez - powiedziałem, wciąż nie patrząc na Tulusza.

- Słyszałam, że jesteś przewodniczącym szkoły. Tymczasem stałeś sobie pod ścianą i razem z innymi

obserwowałaś całe zdarzenie – zaatakowała.

- Po prostu pozwalałam Tuluszowi dorosnąć. Jak go pani lepiej pozna, zrozumie pani, o co chodzi. - Uśmiechem zamaskowałam irytację.

- Masz dziwne pojęcie dorosłości, Tycjanie Elasmosie. Zapraszam do klasy.

Nasi koledzy byli zdenerwowani tym zajściem i może niepotrzebnie skłonili Annę do dyskusji. Ja się do niej nie wtrącałem. Usiadłem w ostatniej ławce, zostawiając wolne miejsce dla Tyrsa pod ścianą, lecz on demonstracyjnie usiadł z Tuluszem w pierwszej. Świetnie. Niech się obraża.

Starałem się skupić na kontemplowaniu ścian w klasie i czytaniu biografii znanych pisarzy europejskich, które je zdobiły. Przez okno miałem widok na boisko, gdzie obok pasących się korytozaurów dziewczyny z II B grały w siatkówkę. Zwierzęta były umiarkowanie zainteresowane postęпами w grze, nawet gdy piłka poleciała w ich kierunku, za to dziewczyny bały się wejść pomiędzy nie i zabrać piłkę. Nauczycielka od WF-u musiała iść po nią sama przy akompaniamencie pisków i dopingujących okrzyków.

Nagle zapadła cisza, która uświadomiła mi, że dyskusja zabrnęła tak daleko, że czekali, aż wypowiem swoje zdanie. Obróciłem głowę w stronę Anny, która spoglądała prosto na mnie, zakładając ramiona na piersi.

- O co mnie pani pytała? - Nieznacznie wzruszyłem ramionami.

- Dlaczego nic nie zrobiłeś?

- Czy ja jestem jedyną osobą w tej klasie? Może tym razem chciałem pozwolić wykazać się innym.

Znowu zapadła cisza. Tym razem ciężka, aż nabrzmiała od niewypowiedzianych słów. Nasza klasa składała się w większości z dzieciaków z dobrych rodzin o określonych poglądach. Aspazja dołączyła nas do nich w ramach małego eksperymentu integracyjnego. Najbardziej kojarzeni strażnicy wąwozu mieli nauczyć się współpracować z przedstawicielami miejscowych urzędów i firm. Jak się niestety okazało, z marnym skutkiem. Część z nich z trudem nas tolerowała, milczeli tylko ze względu na Teobalda. Z drugiej strony Aspazja nie chciała nas połączyć z innymi strażnikami, bo słusznie sądziła, że razem stworzymy front nie do przebicia i rozniesiemy całą szkołę.

- Przepraszamy - odezwała się w końcu Arleta, wstając z ławki. - Nasze zachowanie było niedojrzałe i płytkie.

- Mnie nie musicie przeproszać - odpowiedziała Anna.

- Czy możecie przestać? - warknął Tulusz, przesuwając po klasie rozognionym wzrokiem. - Nie chcę tego dłużej słuchać. Po co się pani wtrąca? Chyba mieliśmy mieć lekcje z literatury europejskiej...

Guiteerez nabrała powietrza w płuca i po prostu je wypuściła. Przyjrzałem jej się z perspektywy ostatniej ławki. Była zarumieniona z przejęcia. Z tego, co się zdążyłem zorientować, wynikało, że zrobiła dobre wrażenie na naszych kolegach. Nie podejrzewałem jej o zdolności liderkie.

- A zatem literatura europejska. Zapomniałam

wspomnieć, że nazywam się Anna Guiteerez, z wykształcenia jestem antropologiem i literaturoznawcą. Wszyscy zapewne wiecie, że wcześniej wykładałam na Uniwersytecie Krokodyli, ale zanim przyjechałam do Kraju Żłocistych Piasków, skończyłam studia w stolicy Europejskiego Cesarstwa, Vintage. Jestem tutaj, ponieważ z jakiegoś powodu musiałam uciekać z Europy, albo dlatego, że nie umiałam tam znaleźć dla siebie pracy. Jestem tu, bo chciałam lepiej poznać Afrykę, szczególnie pod kątem antropologicznym. Mam nadzieję, że moja wiedza w dziedzinie literatury będzie dla was satysfakcjonująca.

Czekałem na wielki popis Tyrsa, jednak mnie rozczarował, z zastanowieniem wpatrując się w Annę.

- Panowie, zostaniecie na chwilę po lekcji. - Guiteerez postanowiła wykonać pierwszy krok.

Zaczekałem, aż wszyscy wyjdą, i przeniosłem się do przodu. Tulusz położył się na ławce, chowając twarz w zgięciu łokcia, a Tyrś łypał na mnie groźnym spojrzeniem. Beznamiętnie je odwzajemniłem.

- Dajmy sobie spokój, dobrze? - zaczęła Anna. - Mówię wprost: nie jestem waszym wrogiem. Poznaliśmy się w trudnych dla mnie okolicznościach i bez względu na wasze intencje jestem wam wdzięczna za tamtą pomoc. Szczególnie tobie, Tyrś. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Wiem o waszym poświęceniu w walce z Krokodylami. Oficjalnie ja jestem przyczyną tej wojny i...

- Dobra, dobra, i tak będziemy utrudniać pani życie - przerwał jej Tyrś, nawet na nią nie patrząc; wciąż był skupiony na mnie. - Niech się pani nie wysila i oszczędza siły na przyszły tydzień.

- Jesteś wyjątkowo nieuprzejmy - zakpiłem.

- Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Nadal jesteś naćpany?!

- Miałem cię spytać o to samo.

Tyrś emanował agresją podsycaną moją obojętnością.

- Nie przerywaj mi, kiedy mówię, panie Mollina - wtrąciła Anna.

- Bo co mi pani robi? - zapytał, zerkając na nią kątem oka.

- Urwę ci głowę.

Groźba była tak nieprawdopodobna i niespodziewana, że Tyrśa na chwilę zatkało, ale za to Tuliusz się ożywił i wyprostował na krześle.

- A dokładnie jak pani to zrobi? - prychnął w końcu Mollina.

- Użyję tępego noża. Wykrwawisz się szybciej, niż ją odetnę.

- To było prawie poetyckie - zauważył Tuliusz i uśmiechnął się do niej.

Jego oblicze się przy tym rozpromieniło, a mnie zalała fala wstydu, że nie pomogłem mu na korytarzu. Wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpi i że nie będę umiał ze sobą wytrzymać. Byłem bezbronny wobec jego słabości.

- Bardzo się staram. Dziękuję. - Guiteerez odwzajemniła jego uśmiech. - Jak twoja noga?

- Fatalnie.
- Dlaczego więc wróciłeś do szkoły?
- Nudziło mi się. - Tuliusz wymownie na mnie zerknął.
Nie mogłem tego dłużej znieść.
- Przepraszam, ale muszę iść. Mam sprawę u dyrektorki.
- Pójdziemy z tobą - zaofiarował się Tyrs i wziął Tuliusza za rękę. - Pomożesz mi?

W tej chwili szczerze go nienawidziłem.

Zaczęła się następna lekcja. Akurat mieliśmy biologię z Aspazją i mogłem sobie wyobrazić, jak wściekła na nas była. Tymczasem staliśmy we trójkę na korytarzu przy oknie i unikaliśmy swojego wzroku. Trwało to już dobrych parę minut. Cisza przerywana tylko szmerem płynącym z za drzwi sal powoli stawała się trudna do zniesienia. Tuliusz oparł się biodrem o parapet, jedną rękę wciąż zaciskając na uchwycie kuli. Tyrs stał obok mnie, trzeci dzień paradując w tym samym podkoszulku w kwiaty, któremu zdecydowanie przydałoby się pranie - zwłaszcza po naszej wczorajszej balandze w porcie. Miałem wyczulony węch i zapach jego potu drażnił mi nozdrza. Wnioskowałem z tego, że Alicja strajkowała i nie odzywała się do Tyrsa. W przeciwnym wypadku miałaby dzisiaj świeżą koszulę z rękawami porządnie zapiętą pod samą szyję.

- Mówcie coś, do cholery! - Oczywiście to Mollina pierwszy nie wytrzymał.

- Niby co mam mówić? - burknął Tuliusz.

- Musimy sobie wyjaśnić parę spraw. - Tyrs zmienił ton na pozornie opanowany.

- Nie mam z wami nic do wyjaśniania. W sumie to, jak dogorywałem w szpitalu po dokonaniu pokazowej jatki na pustyni, a wy pozwoliliście mi wypoczywać w samotności, jest mało interesujące - zakpił Donner.

- Byłem ranny i przez cały tydzień leżałem nieprzytomny w domu. Przepraszam. Powinienem był cię odwiedzić w miniony weekend. Miałem czas - usprawiedliwił się Mollina.

- Nie szkodzi, stary. W ogóle fajnie, że wciągnąłeś mnie w bitwę w asyście pterodaktyłów. Czekałem na to, odkąd zamieniłem się w jednego z nich.

- Weź, kurwa, nie pierdol! W nic cię nie wciągnąłem - miałeś wybór. Mogłeś wrócić do garnizonu. Widziałeś, że raczej nie będziemy grali z Krokodylami w szachy! Już cię przeprosiłem. Nie wiem, co mam jeszcze zrobić. Uklęknąć? Ale ty też jesteś dobry, nawet nie wysłałeś nam SMS-a, że dzisiaj będziesz w szkole! Podjechalibyśmy po ciebie powietrznym samochodem...

- Mam nadzieję, że nie masz na myśli mojego samochodu? - wtrąciłem.

Obaj spojrzeli na mnie równocześnie. Tyrs bezradnie zamrugał.

- A, kurwa, czyj?

Chciało mi się z nich śmiać, ale najbardziej z siebie samego.

- Tuliusz musi radzić sobie sam. Cały czas mi to

powtarzasz.

- Istnieje, kurwa, zasadnicza różnica między akceptacją czyichś wyborów i zachowań a nieudzieleniem mu pomocy w potrzebie! - ryknął na mnie Mollina tak głośno, że aż podskoczyłem z wrażenia. - Jesteś tępą, Tycjanie!

Tuliusz spuścił głowę, spoglądając na czubki swoich butów. Miałem ochotę odgryźć sobie język, żeby się nie odezwać. Słowa jednak same popłynęły mi z ust.

- Myślę, że to ty jesteś tępą, Tyrs, bo tylko dzięki protekcji mojego ojca kończysz szkołę średnią. Dzięki protekcji mojego ojca dotąd nie umarłeś z głodu i możesz też wykarmić swoje upiorne rodzeństwo.

- A twoje niby jakie jest? Pluszowe?!

- Przestańcie! Wystarczy! - Tuliusz podparł się na kuli i stanął między nami, unosząc jedną rękę w obronnym geście. - Cokolwiek się wydarzyło, musimy o tym zapomnieć. Wszyscy dużo zawdzięczamy Teobaldowi, ale też sobie nawzajem. Nigdy bym nie przetrwał śmierci matki i zamiany w pterodaktyla, gdyby nie ty, Tycjanie. Nigdy bym nie uwierzył w siebie i nie wyzwolił zewu pterodaktyla, gdyby nie ty, Tyrs. Jesteśmy od siebie zależni, a nasza wzajemna lojalność to tak naprawdę jedyna rzecz, której możemy być w stu procentach pewni. I nie obchodzi mnie, jak bardzo jest to czasami toksyczne. Tyrs, ty masz swoją rodzinę, Tycjan, ty masz ojca, którego zawsze ci zazdrościłem. Ja mam tylko was, dlatego wreszcie się zamknijcie.

Przygryzłem wargę. Chciałem się z nim kłócić, chciałem mu powiedzieć prawdę - że na niego nie zasługujemy, że

obaj jesteśmy skończonymi sukinsynami i drapieżcami, że JA na niego nie zasługuję i że Tyrs miał rację: jestem tępy emocjonalnie. Nie wiedziałem, co zrobić, żeby go uszczęśliwić. Nie wiedziałem nawet, co zrobić, żeby uszczęśliwić samego siebie, i tak - byliśmy toksyczni, bo każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu nie akceptował tego, kim był. Chciałem mu też powiedzieć, że w żadnym wypadku nie powinien mi wybaczać, że dzisiaj odtrąciłem go w najgorszy z możliwych sposobów, chociaż on nigdy mi tego nie zrobił. Tak, oddalał się ode mnie, lecz mnie nie odtrącał.

Zamiast tego mocno go objąłem i przytuliłem. Drżał ze zdenerwowania i strachu, ale wciąż był moim słodkim Tuluszem i bardzo mi go brakowało.

- Ale się wkurwiłem. Chodźcie do Aspazji, muszę się wyżyć - skwitował Tyrs.

ROZDZIAŁ 5

Anna

Ogród przed willą Teobalda Elasmosa był tak zwyczajny, że aż nie pasował do tego nietuzinkowego mężczyzny, który znał rozwiązanie każdego, nawet najbardziej skomplikowanego, problemu. Dla mnie znalazł Aspazję. Pierwszy raz spotkałyśmy się właśnie w jego ogrodzie pod jedną z pomarańczy. Jej gałęzie aż uginały się od owoców. Ich skórka nie była jednak nawet w połowie tak pomarańczowa jak oczy Tyrsa. Głęboko zapadły mi w pamięć po ostatnim wieczorze, kiedy wyłudził ode mnie pieniądze za misję już z góry opłaconą przez Teobalda. Byłam bezradna wobec tego małego oszustwa. Nastroju nie poprawiło mi nawet opowiedzenie tego burmistrzowi. Tylko go rozbawiła, jak to określił, „przedsiębiorczość chłopaka” i wrócił do swoich spraw.

Nadal mieszkałam w jego willi, bo nie miałam gdzie się podziać, a w toku rozwoju wydarzeń okazało się, że nie miałam też dokąd uciec. Krokodyle wystosowali pismo do Teobalda, żeby mnie wydał pod groźbą rozpętania wojny. Pokazał mi je pewnego wieczoru i zapytał, czy na pewno chcę wracać do Europy. Nowe cesarskie władze w Mieście

Krokodyli pozbyły się wszystkich sympatyków i popleczników Ruchu Obrony Ludu Pustyni. Byłam ostatnią osobą, której nie dosięgnęła karząca dłoń cesarza.

- Jestem teraz twoją jedyną opcją. Jeśli jednak mam w twoim imieniu narażać życie moich strażników, muszę mieć pewność, że nie zrobisz czegoś głupiego - poinformował bez ogródek Teobald, po czym na cały wieczór zostawił mnie samą.

Gardziłam nim po tym, jak dowiedziałam się, jaki był jego wkład w pacyfikację mojej pokojowej konferencji; jednak widząc podpisany przez Tytusa Beringa dokument, czułam, że moje szanse na samodzielność zmalowały do zera. Tytus kierował się nie tylko cesarską sprawiedliwością, ale również osobistą zemstą. Jeśli ktoś mógł mnie przed nią ochronić, to tylko Teobald Elasmos i jego wojownicza Straż Wąwozu.

Powiedziałam „tak” Teobaldowi, w duchu licząc, że gdy lepiej poznam tutejsze środowisko, rozwiązanie nasunie mi się samo. Najbardziej przerażała mnie moja bezczynność i ewentualne upokarzające zajęcie w Straży Wąwozu, które nie uśmiechało mi się, odkąd poznałam Tycjana i Tulię. Zresztą od tamtej pory Tycjan komunikował się ze mną tylko półsłówkami i ignorował moje istnienie, chociaż wiedziałam, że podobnie jak ja był rezydentem willi Teobalda. Tulia czasami się u niego pojawiała, ale jak zauważyłam, bywały takie dni, że przychodziła ubrana jak chłopak i zachowywała się wtedy zupełnie inaczej. Zaczęłam więc podejrzewać, że Tulia miała brata bliźniaka albo cierpiała na rozdwojenie jaźni.

Więcej na jej temat dowiedziałam się tego upalnego popołudnia, kiedy Aspazja Bree przyszła do mnie z propozycją pracy w roli lektora w szkole średniej Twierdzy. Siedziałam na ogrodowym krześle i spoglądałam na spienione wody zatoki w oddali. Na ogród Teobalda składało się kilka drzew cytrusowych zasadzonych na schludnie utrzymanym trawniku, dokładnie co godzinę zraszany automatycznym węzem ogrodowym, a także małe jeziorko z tryskającą pośrodku fontanną. Ostatnio z kuchennego okna widziałam, jak Tycjan i Tulia się w nim pluskali, głośno się przy tym śmiejąc. Tycjan wrzucił ją tam w ubraniu, a ona pociągnęła go za sobą. Chociaż właściwie nie wiem, czy to była Tulia, bo była ubrana po męsku i nie mówiła z tym irytującym akcentem parodiującym francuskie aktorki ze starych filmów europejskich.

Aspazja Bree była zwolenniczką szybkiego załatwiania spraw, podobnie zresztą jak Teobald, i zaczęłam się nawet zastanawiać, czy to taka ogólna cecha mieszkańców Twierdzy.

- Zakładam, że ma pani wysokie kwalifikacje, przerastające stanowisko, które pani oferuję. Zakładam też, że pani zarobki będą niewspółmierne do pani kwalifikacji i trudu wkładanego w edukację tej młodzieży. Ale nie ma pani innego wyboru. Albo zostanie pani nauczycielką literatury europejskiej w mojej szkole, albo Elasmus wciśnie panią gdzieś do garnizonu Straży Wąwozu, gdzie na pewno pani wiedza i talent się zmarnują. Nazywam się Aspazja Bree.

Podawała mi rękę. Odwzajemniłam uścisk, przyglądając się jej nienaturalnie wydłużonym rzęsom i krzywemu uśmiechowi kobiety pozbawionej wszelkich złudzeń. Miała duże niebieskie oczy i włosy obcięte na krótko, farbowane na ciemny blond. Wysoka i koścista, w młodości musiała być niezłą pięknoscią. Bez pytania usiadła obok mnie na sąsiednim krześle. Otworzyłam teczkę i przejrzałam umowę.

- Dużo o pani słyszałam. Tymczasem wydaje mi się pani całkiem normalną osobą.

- Cóż, dziękuję - odparłam niepewna, co miałam na to odrzec. - Ma pani rację, nie mam innego wyboru. Wezmę tę pracę. Mam nadzieję, że dzięki temu zapomnę o tym, jak się tutaj znalazłam i co mnie tutaj trzyma.

Aspazja parsknęła gorzkim śmiechem.

- Zapewniam panią, że moja szkoła dostarczy pani wielu ciekawych rozrywek.

Jej pośpiech był zastanawiający. Podawała mi pióro i kazała natychmiast podpisać papiery. Dopiero gdy to zrobiłam, odezwała się ponownie:

- Ostatnia nauczycielka literatury europejskiej zrezygnowała głównie z powodu trójki uczniów, którzy na szczęście są już w ostatniej klasie.

Wzruszyłam ramionami. Na Uniwersytecie nie miałam problemów z dyscypliną na zajęciach. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak można zrezygnować z pracy z powodu studentów. Aspazja znowu się roześmiała. Z niezrozumiałego dla mnie powodu bardzo ją bawiłam.

- Zauważyła pani stado pterodaktyłów przelatujące nad

Twierdzą?

- Tak, to było niesamowite.

Nagle niebo zasłoniły niezliczone skrzydła pterodaktyłów, które wydawały przejmujący dźwięk, gdy przecinały powietrze. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Stałam w ogrodzie, przysłaniając dłonią oczy, i podziwiałam ich triumfalny lot.

- Cieszę się, że się pani podobało. Jednakże tymi pterodaktyłami dowodził Tulusz Donner, jeden z naszej trójcy. Jest z pozoru najmniej szkodliwy, ale to on odpowiada za masakrę żołnierzy Krokodyli na pustyni, do której doprowadził praktycznie w pojedynkę, oczywiście przy wsparciu Tyrsa Molliny. Zostali wysłani razem jedynie na patrol zwiadowczy, ale Tyrś wpadł na pomysł, że dobrze będzie dać Krokodylom nauczkę. Tylko dobre relacje Teobalda z komandorem Zadarem uchroniły nas przed otwartą wojną z Cesarstwem. Chciałaby pani, żeby Twierdza rozpoczęła wojnę z Cesarstwem?

- Nie... - mruknęłam oszołomiona.

- Właśnie, ja też nie. Ale oni o tym nie pomyśleli. Chodziło im tylko o zabawę i adrenalinę. O tym musi pani pamiętać, bo będzie pani uczyć w ich klasie. Tulusz, Tyrś i Tycjan lubią się ostro bawić. Nie mają nic do stracenia, a na domiar złego uwielbiają prowokować. Kiedy nauczyciele usłyszeli o wybryku Tulusza, dostałam trzy wypowiedzenia z pracy. My się ich boimy.

Słuchałam jej w osłupieniu, porządkując w głowie informacje. Okazało się, że osobiście poznałam już tę trójkę

w dniu mojego przybycia do Twierdzy. Ba, Tyrs praktycznie mnie tutaj przyniósł. Co więcej, założyłam Ruch Obrony Ludu Pustyni zainspirowana odważnymi poczynaniami Straży Wąwozu i losem autentycznego dziecka raptorów. Organizowałam antropologiczne wykłady poświęcone Tyrsowi Mollinie i jego babce Abbie Mollinie, która w heroicznym geście sprzeciwu wobec krwiożerczej religii Twierdzy w najmniej spodziewany sposób oswoiła raptory, stając się protoplastą rodu hybryd ludzi i dinozaurów.

Uważałam, że to niesamowity krok w dziedzinie badań genetycznych i pociągnęłam za sobą innych ludzi, którzy prawie dwa miesiące temu oddali życie w imię idei asymilacji i wzajemnego szacunku. A teraz znalazłam się w Twierdzy i po raz kolejny przekonywałam się, że tak naprawdę podejmowałam działania w imię bliżej nieokreślonych mrzonek. Z trudem przełknęłam ślinę.

- Nie rozumiem dlaczego...

- Szkoła ściśle współpracuje ze Strażą Wąwozu. Praktycznie połowa moich uczniów to młodzi strażnicy albo kadeci. Dziewczyny zatrudniają się w szpitalu Straży lub pomagają im w urzędach. Druga połowa to dzieci wysoko postawionych urzędników i kapłanów Twierdzy, którzy z definicji nie przepadają za Strażą. Akceptują Teobalda, lecz nie akceptują hołoty stanowiącej naszą najskuteczniejszą ochronę. Taki paradoks, ale cóż począć. Lepiej to pani zrozumie, gdy pozna pani naszą miejską śmietankę. Na domiar złego do mojej szkoły zaczęły też chodzić dzieci osadników z portu, wspierane i dopingowane przez Zadara.

Sama pani widzi, że to już niezła mieszanka kulturowa, ale i tak na jej tle wyróżniają się: półraptor, półpterodaktyl i półelazmozaur.

- Tyrs jest półraptorem... - Nagłe zrozumienie sytuacji wyprowadziło mnie z równowagi. - Tycjan jest półelazmozaurem, a Tulusz... czyli Tulia, półpterodaktylem!

Aspazja zapaliła papierosa. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, obie skupione na swoich myślach. Na horyzoncie słońce chyliło się ku zachodowi.

- Nie wiedziałam, że macie tutaj więcej hybryd! - nie wytrzymałam.

- Tycjan i Tulusz są unikatowi. Raptorów mamy więcej.

- Jak to: więcej?!

Aspazja obdarzyła mnie ciężkim spojrzeniem.

- Tyrs bardzo chroni swoją prywatność i stara się, żeby informacje o jego rodzeństwie nie wypłynęły poza mury Twierdzy. Teobald go w tym wspiera.

- Tyrs ma rodzeństwo? - Ucieszyłam się jak głupia podekscytowana perspektywą badań antropologicznych.

- Całą czwórkę. Na szczęście na razie do naszej szkoły chodzi tylko jego siostra Alicja. Ma siedemnaście lat i w porównaniu z Tyrsem jest prawdziwym aniołem. Niestety nie ma na niego żadnego wpływu. Jego poruszają tylko pieniądze, ewentualnie reprimenda ze strony Teobalda, ale też nie w każdym wypadku.

- A Tycjan i Tulusz?

- Na pewno słyszała pani o lekarce Arabelli Donner. Została wygnana z Cesarstwa za kontrowersyjne eksperymenty na ludziach i przeniosła się z nimi do Twierdzy. Jej pierwszą ofiarą była żona Teobalda, Anita. Nie przeżyła porodu bliźniaków. Tycjan urodził się praktycznie bez skazy, ale jego brat Tacjan prawie niczym nie różni się od elasmozaura. Ta informacja jest tylko dla pani. Teobald nie afiszuje się z tym, co się stało, ani nawet z tym, że Tycjan jest jego synem.

A więc Tycjan był synem Teobalda. Fizycznie byli do siebie niepodobni. Nigdy bym na to sama nie wpadła. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie podpisałam z Aspazją cyrografu.

- Jak to jest możliwe? Co zrobiła Arabella? - dopytywałam jednak wiedzona narastającą ciekawością.

- Zapłodnienie in vitro. Anita miała problem z zajściem w ciążę. Arabella podmieniła jej komórkę jajową na komórkę jajową samicy elasmozaura...

Ogrom tego szaleństwa był dla mnie niewyobrażalny. Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby to ogarnąć umysłem.

- Bestialstwo. Dlaczego akurat Teobald i Anita?

- To jest bardziej złożona historia. Jeśli zaprzyjaźni się pani z Teobaldem, może ją kiedyś pani opowie. W każdym razie Tulusz przemienił się w pterodaktyla, gdy miał już piętnaście lat. Arabella wstrzyknęła mu geny razem ze szczepionką. Zresztą nie tylko jemu - jeszcze paru jego kolegom. Oni tego nie przeżyli; Tulusz tak, ale zachorował psychicznie. Ma teraz dwie osobowości: raz jest Tulią, a raz

Tuliuszem, i niestety Tycjan i Tyrs to jedyne osoby, które potrafią się z nim dogadać. Niech pani pamięta, że Tulia nie jest Tuliuszem, różnią się jak noc i dzień. Osobiście wolę Tuliusza, bo jest mniej konfliktowy i zachował pełną pamięć sprzed przemiany. Natomiast Tulia jest odrębnym bytem. Bardzo zależy jej na samodzielności. Niestety jest częstą bywalczynią portu, gdzie para się prostytutką.

Poczęstowałam się papierosem z paczki Aspazji. Paliłyśmy teraz razem.

- Jest pani moją ostatnią deską ratunku. Teobald żąda ode mnie niemożliwego: Tyrs Mollina ma zdać egzaminy - kontynuowała. - Zrzucam na panią część odpowiedzialności. W końcu chciała się pani z nim asymilować. - Dyrektorka znowu ironicznie się uśmiechnęła.

- Dlaczego ciągle się pani ze mnie naśmiewa? - zapytałam w końcu. - Przyszła pani do mnie z propozycją pracy, ale mam wrażenie, że nie do końca traktuje mnie pani poważnie.

- Powiem tak: pewnego dnia Teobald wymyślił, że puści u nas w szkole transmisję jednego z pani wykładów na temat Tyrsa i tej starej dziwki Abby. Moi nauczyciele prawie pospadali z krzeseł ze śmiechu. Śmiał się nawet sam Tyrs Mollina. Nigdy nie widziałam go tak rozbawionego. Teobald skomentował to jednym stwierdzeniem: „Szanowni państwo, ale to się sprzedaje!”. Więc gratuluję pani dobrej promocji.

Poczułam się urażona. Nie chciałam dać tego po sobie poznać, mimo to Aspazja parsknęła śmiechem.

- Powiem to pani tylko jeden raz. Tyrs Mollina jest

niebezpieczny. Zabija za pieniądze. Jest drapieżnikiem, w jego żyłach płynie krew prehistorycznego gada. W szkole jest fatalnym uczniem. Nie nosi nawet zeszytu, nie miał książki w ręce, odkąd zaczął liceum. Przepychamy go, bo nie chcemy go więcej oglądać. Dodatkowo burmistrz na mnie naciska, mam związane ręce. Jest mało zdolny i leniwy. Może i sprawdza się w Straży, ale pisze dosłownie jak raptor pazurem; nie jestem do końca przekonana, czy umie czytać. Prace domowe odrabia za niego Tuliusz albo Tycjan. Na pewno nie warto się z nim asymilować pod kątem naukowym czy społecznym, a już najbardziej antropologicznym. Wciąż zamierza pani u mnie pracować?

Zgasiłam papierosa w popielniczce. Narastała we mnie złość.

- Tak. Poza tym mam do pani jedną uwagę: łatwo jest oceniać kogoś z góry i nim pogardzać z powodu jego inności. O wiele trudniej jest coś zrobić i realnie wpłynąć na jego zmianę.

- To prawda. Zwłaszcza gdy zostaje się ich wychowawczynią. Codziennie rano gdy się budzę, dziękuję za to uniwersalnemu bogu Europy i naszym pomniejszych bóstwom domowym. I tym pozytywnym akcentem się z panią pożegnaj.

Nie odprowadziłam jej do drzwi. Trafiła sama i jak zauważyłam, od razu poszła prosto na piętro do Teobalda zdać mu relację z rozmowy ze mną.

A więc podpisałam cyrograf. Mimo to wróciła moja dawna energia i poczułam przyływ sił do pracy. Aspazja rzuciła mi wyzwanie. Nie, właściwie to Tyrś Mollina mi je rzucił tamtego wieczoru, gdy przyszedł do mnie po pieniądze. Nie dało się ukryć, że był sukinsynem, i wierzyłam, że jego charakterystyka nakreślona przez dyrektorkę nie odbiegała od prawdy. Z całej tej rozmowy wyłonił się jednak jeszcze jeden jego obraz. Sam Tyrś był słaby. Pozbawiony protekcji Teobalda, przyjaźni Tycjana i Tuliusza oraz szorstkiego wsparcia Aspazji od razu wylądowałby na bruku. Innymi słowy: postrach Twierdzy Kimerydu był tak naprawdę zależny od ludzi, którzy go otaczali – na pewno finansowo, możliwe, że również emocjonalnie. W grę wchodziła jeszcze jego rodzina. Strzegł swojej prywatności, co aż krzyczało, że była dla niego bardzo ważna. Intuicja podpowiadała mi, że czwórka jego rodzeństwa zajmowała centralne miejsce w życiu Tyrśa. A co do jego umiłowania pieniędzy, przypominałam sobie naszą rozmowę, gdy eskortował mnie do Twierdzy.

„- Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

- Na przykład co?

- Na przykład honor. Nie zrozumiesz tego, pani antropolog”.

Na czym polegał honor Tyrśa Molliny? Musiałam się tego jak najszybciej dowiedzieć.

Tycjan i Tuliusz byli odrębną historią. Pamiętałam, jak serdecznie powitała mnie Tulia, i postanowiłam, że po prostu będę okazywać jej sympatię. Podobnie zamierzałam

potraktować Tulusza. Najbardziej niepokoił mnie Tycjan - zwłaszcza teraz, gdy wiedziałam, że to syn burmistrza. Tylko tyle przekazała mi o nim Aspazja. Tyrs był samotnym wojownikiem i zapewne też lojalnym przyjacielem i bratem. Tulia miała ze sobą poważne problemy na tle seksualnym i tożsamościowym, a Tycjan... no właśnie, Tycjan był przezroczysty. Nie lubiłam takich ludzi.

Zanim nastął czwartek, nabyłam raczej pozytywnego doświadczenia z młodzieżą Twierdzy. Klasy były w miarę zdyscyplinowane i bardzo mną zaciekawione. Dzieciaki ze Straży wydawały mi się najbardziej przychylne, co sprawiło mi dużą przyjemność. Okazało się, że nie wszyscy sztydziłi z moich asymilacyjnych wystąpień, postanowiłam zatem, że nie będę więcej opierać mojego zdania na temat szkoły na zdaniu Aspazji. Najwidoczniej odmiennie postrzegaliśmy pewne kwestie.

Poznałam też siostrę Tyrsa - Alicję. Chodziła do drugiej klasy. Urodziwa, wysoka dziewczyna w krótkich jeansach i topie z frędzlami miała długie, ciężkie loki, które opadały jej na ramiona czarną kaskadą. Zwracała na siebie uwagę uwodzicielskim uśmiechem i śmiałymi wypowiedziami. Jak zauważyłam, jej klasa ją lubiła i śmiała się z jej komentarzy.

- Witamy w Twierdzy Kimerydu - powiedziała do mnie po lekcji, zarzucając plecak na ramię. - Życzę również powodzenia z moim bratem i jego świtą.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

- Dziękuję, ale nie będę go potrzebować. Po prostu pójdę wykonać moją pracę.

- Cieszę się, że pani z nami jest. Bardzo nam pani pomogła swoimi występami na Uniwersytecie. Mam na myśli... mnie i mojej rodzinie. Tyrswi też. Jemu najbardziej.

Pokiwałam głową. Nie spodziewałam się tego usłyszeć i znacznie poprawił mi się humor. Pierwszy raz odkąd pojawiłam się w Twierdzy, poczułam, że moje dotychczasowe starania nie poszły na marne. Nie zamierzałam tak po prostu się poddać, bo Tyrś okazał się dupkiem, a społeczność Twierdzy pozowała na niewydarzonych bufonów i ignorantów.

- Jutro będzie pogrzeb o czternastej - poinformowała Artura od matematyki, zapijając pączek kawą.

Była kobietą w średnim wieku, trochę przy kości, z wysoko upiętym kokiem; niezbyt urodziwą, ale ewidentnie obdarzoną niezłomnym charakterem. Razem z nią siedziała nauczycielka od geografii, Aldona - drobna laleczka umalowana zieloną kredką pod ciemnofioletową spódnicę. Na tle jej czarnej skóry wyglądało to interesująco.

Weszłam do gabinetu z torbą na ramieniu, trzymając na rękach kilka opasłych antologii poezji wyspiarskiej, czyli pochodzącej z terenów byłego Królestwa Brytyjskiego i Republiki Irlandii. Zadałam już pracę domową w klasie Alicji. Wydali mi się najbardziej pojętni ze wszystkich, z którymi dotąd miałam lekcje.

- Czyj pogrzeb? - zapytałam swobodnym tonem.

Artura wyraźnie mnie nie lubiła. Udała, że nie słyszała pytania. Aldona poczuła się jednak zobowiązana odpowiedzieć.

- Tymona Bonniego z IV D. Był razem z Tyrsem i Tuluszem w trakcie ostatnich walk na pustyni. Rozszarpał go pterodaktyl.

Zapadła wymowna cisza. Położyłam książki na stole i przesunęłam wzrokiem po twarzach moich nowych kolegów z pracy. Wszyscy byli solidarnie oburzeni. Odniosłam wrażenie, że uważali mnie za współwinną tej sytuacji, jakbym z powodu przeprowadzenia paru otwartych wykładów stała się odpowiedzialna za każdy nieprzemyślany wybryk Tyrsa Molliny.

- Bardzo mi przykro to słyszeć.

- Tymon należał do Straży i kumpłował się z Tycjanem i Tyrsem. To znaczy chlali razem w porcie - wyjaśnił Tadeusz od techniki powietrznej i wynalazków. - Był też synem Trojana Bonniego, komendanta naszej miejskiej policji. Na pogrzebie będzie więc cała Straż z Treweriuszem na czele, burmistrz Teobald i trójka jego bestii. Pani dyrektor również otrzymała zaproszenie, ale nie ma z kim pójść. Akurat wszyscy jesteśmy jutro zajęci...

- Dobrze, ja pójdę. - Wzruszyłam ramionami.

Odwróciłam się do nich tyłem i zaczęłam wkładać moje tomiska do szafki. Cisza trwała jeszcze chwilę, a potem powrócił zwykły szum rozmów.

- Tyrs u mnie dzisiaj spał - pochwaliła się Aldona. - Od

razu przyjemniej się uczy.

- Nie przypominaj mi tego kretyna. Wczoraj przyszedł do mnie najebany na lekcję. Tycjan się trochę hamował, a ten jak zwykle chciał się popisać i wymyślił sobie, że będzie rozwiązywał zadania na tablicy. Ciekawe jakie, skoro jest wtórnym analfabetą. Matematyki nie umie zupełnie. Nie wiem, jak on te swoje pieniądze liczy, śmierdzący gad.

Niektórzy zaśmiali się ze złośliwości Artury, ja jednak nie mogłam tego słuchać. Postanowiłam, że wyjdę wcześniej na lekcję z IV A i wpuszczę ich do sali. Po trzech dniach pracy zbyt dobrze rozumiałam już podziały, o których opowiadała mi Aspazja. Teraz przyszedł w końcu moment skonfrontowania się z „bestiami Teobalda” w odmiennych okolicznościach niż te z początku mojego pobytu w Twierdzy.

Upadek Tuliusza widziałam jakby w zwolnionym tempie. Gips usztywniał mu nogę aż do połowy uda. Niezdarnie się poruszał, opierając ciężar ciała na kuli, i utrzymanie równowagi wymagało od niego wielkiego wysiłku. Krzywo postawił kulę i upadł prawie na twarz. Resztką sił zdążył zasłonić się ręką. Mógł jeszcze spokojnie złapać równowagę, ale albo był tak zadumany, albo mu nie zależało. Ta myśl wprawiła mnie w zakłopotanie.

Spodziewałam się, że przynajmniej jedna osoba z jego klasy pomoże mu wstać. Zauważyłam Tycjana Elasmosa przy drzwiach ubikacji, dosłownie z założonymi rękami obserwującego całe zdarzenie. Od czasu naszego spotkania

na schodach w willi Teobalda nie miałam okazji mu się przyjrzeć. Teraz rzuciło mi się w oczy, jak schludnie był ubrany – w jeansy i w granatową koszulę z krótkim rękawem; na jego lewym nadgarstku błyszczał srebrny zegarek. Tycjan zdecydowanie podobał się dziewczynom – skupionym na nim do tego stopnia, że ignorowały klęczącego Tulusza. Ich klasa też nic nie zrobiła, co już kompletnie mnie rozzłościło. Sama więc do niego podeszłam i przykucnęłam obok.

- Nic sobie nie zrobiłeś? – Wskazałam na jego dłoń, którą utrzymał ciężar ciała w trakcie upadku.

Tulusz łypnął na mnie jednym okiem spod pofarbowanych na czerwono włosów.

- Wszystko w porządku – odpowiedział tak cicho, że prawie go nie usłyszałam.

Musiałam się bardziej nad nim pochylić.

- Pomogę ci wstać.

- Kim pani jest?

Nie spodziewałam się tego pytania.

- Nazywam się Anna Guiteerez...

- Ach, biała kobieta, za którą ostatnio nadstawialiśmy karki...

- Tak, to ja. – Zdusiłam w sobie przekleństwo.

Komentarz Donnera w pełni uświadomił mi ciężar mojej odpowiedzialności. Musiałam odwdzińczyć się Straży za to, że posyłała swoich członków na śmierć, żebym ja mogła żyć. Może i Teobald był wyrachowanym politykiem, rozgrywającym swoje małe i większe gierki między warstwami społecznymi Twierdzy, ale jego Straż nie musiała

godzić się na moją ochronę. Nie mieli z tego żadnej korzyści. Wręcz przeciwnie - wynikały z tego same niedogodności. Gdzieś z tyłu głowy zaczęło mi świtać, czym był ten wspomniany honor Tyrsa.

Ujęłam Tulusza pod ramię i ostrożnie dźwignęłam go na nogi. Jeszcze się chwiał i niestety nie umiałam go utrzymać. Mimo drobnej figury okazał się niespodziewanie ciężki; jego ramię było twarde i umięśnione. Spoglądał na mnie, nie kryjąc zdumienia. Jego policzek oszpecony był sińcem, którego fiolet przechodził już w brzydką zieleń, a do tego wciąż czerwonymi zadrapaniami. Miał też przecięty łuk brwiowy i świeżo założony szew na brodzie. Poza tym Tulusz Donner był najpiękniejszym młodym mężczyzną, jakiego dotąd spotkałam. Nic dziwnego, że tak świetnie wcielał się w Tulię. Rysy twarzy miał typowo kobiece, a jego skóra przywodziła na myśl masę perłową o lekkim odcieniu kawy z mlekiem. Ciemnoniebieskie oczy otoczone były czarnymi rzęsami i brwiami, kontrastującymi z wściekłą czerwienią włosów. On też mi się przyglądał, korzystając z naszej niespodziewanej bliskości.

- Dziękuję - powiedział w końcu.

Uśmiechnęłam się do niego i nagle oboje się zachwialiśmy. Ciężar książek ciągnął mnie w jego kierunku. Miałam nadzieję, że moja błyskotliwa akcja ratunkowa nie skończy się wielką kompromitacją.

- Ty kretynie!

Tyrs Mollina jedną ręką złapał Tulusza w pasie i dzięki temu nie runęliśmy do tyłu jak kostki domino. Pan „wtórny

analfabeta” i „drapieżnik z krwią raptora” odebrał ode mnie Donnera i prawie go podniósł jedną ręką. Drugą miał usztywnioną w gipsie.

- Już dobrze, nic mi nie jest. Panna Guiteerez mi pomogła. - Tulusz cicho się roześmiał.

Pomyślałam, że był przyzwyczajony do tego, że jego dwaj silniejsi kumple go rozpieszczają - tym bardziej zaskoczyło mnie zachowanie Tycjana.

Tymczasem Tyrs posłał mi takie spojrzenie, że nagle zmiękły mi kolana i musiałam odwrócić wzrok. Wiedziałam, że od poniedziałku niedyskretnie mnie obserwował. Miałam nawet ochotę do niego podejść, ale zrezygnowałam z tego pomysłu, bo zwyczajnie nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Fakt pozostawał faktem, że jego pomarańczowe ślepie śledzące każdy mój ruch odbierały mi całą pewność siebie. Mógł mnie obserwować z wielu różnych powodów, z których fascynacja była chyba na szarym końcu, ale nie umiałam jej ostatecznie wykluczyć. Tyrs patrzył na mnie jak drapieżnik na swoją przyszłą ofiarę. Jego intencje były aż za bardzo czytelne. Zamierzał mnie upolować.

Tyrs nie uczestniczył w gorącej dyskusji na temat zachowania jego klasy wobec Tulusza, ale też nie próbował ze mną żadnych numerów, o których opowiadały mi nauczycielki. Owszem, nie miał zeszytu i książki, lecz nie zasnął w trakcie mojego wykładu, nie wstawał też z miejsca, żeby zrobić mi na złość. Po prostu siedział w pierwszej ławce

razem z przygaszonym Tuluszem i nie przestawał się we mnie wpatrywać. Od czasu do czasu uśmiechał się jednym kącikiem ust, kiedy zauważał moje zmieszanie. Jak na złość kartki leciały mi z rąk. Denerwowała mnie jego arogancja i tylko cieszyłam się w duchu, że Tycjan został w ostatniej ławce, skąd również nie próbował mi przeszkadzać. Widziałam wcześniej, jak kłóci się z Tyrsem – obaj byli wtedy agresywni, co bardzo mnie zaskoczyło, bo podobno powinni tworzyć wspólny front.

Pomijając moje trzy gwiazdy, IV A okazała się całkiem inteligentną klasą. No i nie spodziewałam się, że córka Aspazji też znalazła się w grupie z hybrydami. Pewnie jeszcze wiele rzeczy nie wiedziałam na temat mojej przełożonej.

Za karę zadałam im wielką pracę domową – opracowanie sonetów i lekturę opasłych powieści francuskich. Tulusz się przy tym bardziej ożywił; a zatem nie tylko Tulia gustowała w kulturze dawnej Francji.

- A, i jeszcze przypomnijcie sobie podstawy języka globalnego, bo od następnego tygodnia będę w nim prowadzić lekcje! – dodałam, kiedy już zadzwonił dzwonek.

- Bardzo ambitnie – skwitował Tycjan, stając obok mnie ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- Panowie, zostaniecie na chwilę po lekcji – odparłam.

Niestety, moja indywidualna rozmowa z chłopakami była raczej nieudana, chociaż wyraźnie zaplusowałam u Donnera.

Jeśli miał jakiś wpływ na swoich kumpli, może w przyszłości obędzie się bez gorszych numerów – bo że jakieś będą, zapewnił mnie sam Tyrś. Miałam już dość udawania, że nic się między nami nie wydarzyło. Też potrafiłam być złośliwa, a skonsternowana mina Tyrśa sprawiła mi większą przyjemność, niż się do tego przed sobą przyznałam.

W każdym razie cieszyłam się, że obyło się bez większego skandalu. „Jeśli Mollina chce się gapić, to przecież mu nie zabronię”, pomyślałam.

Spakowałam swoje rzeczy i zbierałam się do domu. Na szczęście w pokoju nikogo nie było, tak że uniknęłam niewygodnych pytań o wielkie trio. Kiedy mijałam salę od biologii Aspazji, zza drzwi dotarły do mnie strzępy gorącej dyskusji. Właściwie dyrektorka bardzo głośno się darła, żeby zagłuszyć któregoś z chłopaków. Nie byłam pewna którego, ale obstawiałam Tyrśa. Awantura była po prostu niewyobrażalna. Odsunęłam się od drzwi i z ciężkim westchnieniem ruszyłam w stronę wyjścia ze szkoły.

Wieczorem znowu siedziałam w ogrodzie Teobalda pod tym samym drzewem co wcześniej. Wyjęłam stopy z butów i skrzyżowałam je w kostkach. Za pierwszą wypłatę kupiłam sobie butelkę dobrego europejskiego wina; żeby je dostać, musiałam podjechać powietrznym tramwajem do portu. Było warto. W kuchni dostałam kieliszek i chyba nie potrzebowałam nic więcej do szczęścia. Twierdza wciąż wydawała mi się obcym, wrogim miejscem, lecz w końcu

odrobinę ją oswoiłam. Zaczęłam widzieć jakiś cel w moim pobycie tutaj. Szczerze liczyłam na to, że sprawa z Ruchem Obrony Ludu Pustyni nieco przycichnie i wkrótce będę mogła wrócić do domu, do Vintage.

Przez chwilę miałam ochotę zadzwonić do matki, jednak nie powinnam narażać jej na niebezpieczeństwo. Zresztą zamierzałam zapytać Teobalda, czy pozwoli mi na kontakt z Europą. Mogłam zrobić to już teraz, bo właśnie wracał znad zatoki, trzymając na ręce piknikowy koszyk. Towarzyszył mu Tycjan z dłońmi w kieszeniach krótkich spodenek. Był bez koszulki i nawet obserwując go z oddali, musiałam przyznać, że jego rozwinięta muskulatura wskazywała na to, że nie próżnował w Straży.

- Droga Anno, jak dobrze, że jesteś! - Teobald był w podejrzenie dobrym nastroju.

Tycjan też się do mnie uśmiechnął - całkiem serdecznie, tak że z wrażenia aż uniosłam brew.

- Napijecie się? - zaproponowałam, choć w sumie nie miałam ochoty dzielić się z nimi moim winem.

- Chętnie. Mam tego więcej w moim barku. Tycjan przyniesie nam jeszcze butelkę.

Burmistrz podał synowi koszyk piknikowy i wysłał go do willi. Sam usiadł naprzeciwko mnie przy ogrodowym stoliku i sięgnął do kieszeni po papierosy.

- Lubisz tutaj siedzieć.

- Tak, to moje miejsce. - Pokiwałam głową. - Dziękuję, że pozwoliłeś mi u siebie zostać.

Roześmiał się.

- Muszę mieć cię na oku. Poza tym ze mną na pewno jesteś bezpieczna.

- Cóż, miło mi to słyszeć.

Wydawało mi się, że Teobald już lekko się wstawił. Z ich koszyka wystawała sztyka butelki. Chyba nie pili wina, tylko jakiś miejscowy alkohol.

Burmistrz też był swobodnie ubrany - jedynie w rozpinaną koszulę w palmy i spodenki do kolan. Upalny dzień miał się wreszcie ku końcowi, wino smakowało domem i najprawdziwszymi malinami, przebijającymi się przez winogrona. Po tym, jak matka ponownie wyszła za mąż po śmierci mojego ojca, przeprowadziłyśmy się na plantację wina do dawnej Burgundii. Ojczym pracował w Ministerstwie Kultury i Dobrych Obyczajów. Parał się cenzurą, dzięki czemu do moich rąk trafiały bardzo dobre teksty w oryginale, zanim Cesarstwo wycinało im serca.

- Słyszałem, że idziesz jutro na pogrzeb - rzucił Teobald pozornie niezobowiązującym tonem.

Wymieniliśmy spojrzenia. Jak mogłam pomyśleć, że był podпиты? Teobald Elasmus nigdy nie opuszczał gardy.

- Tak. Czuję się odpowiedzialna za to, co zaszło na pustyni. Krokodyle zaatakowali Twierdzę, bo chcieli, żebyś mnie im oddał. Właściwie dlaczego tego dotąd nie zrobiłeś?

- Anno Guiteerez, znowu przeceniasz swoją wartość. - Teobald wzruszył ramionami. - Nie chodziło o ciebie, tylko o całkowite przejęcie Twierdzy przez siły cesarza. Jesteś tylko pretekstem. Powstrzymaliśmy ich kosztem sześciu poległych. Oni stracili znacznie więcej - cały dywizjon, ponad

czterdzieścioro wykwalifikowanych żołnierzy. Tak, to prawda, że dokonaliśmy tego przy wsparciu pterodaktyłów. Pozwolę sobie jednak podkreślić: przy wsparciu. Szóstka ludzi, prowadzona przez mojego raptora i asekurowana przez mojego pterodaktyla, położyła trupem przynajmniej połowę Krokodyli. Nieważne, co mówi społeczność tego miasta. Wygrywamy, bo mamy Tyrsa Mollinę. Dlatego chciałem ci podziękować za dzisiaj.

- To znaczy za co? I nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Za to, że się za nimi wstawiłaś.

- Za nikim się nie wstawiałam. Po prostu pomogłam Tuluszowi, kiedy się przewrócił, i skarciłam jego klasę za beczynność. To żaden wyczyn.

- Do tej pory nikt nie zrobił dla nich czegoś podobnego.

- Sugerujesz, że inny nauczyciel nic by na moim miejscu nie zrobił? - Spojrzałam na niego ze zdumieniem. - Chyba żartujesz.

- Wciąż niezbyt dobrze znasz realia Twierdzy... A wracając do twojego pytania: przydasz mi się promocyjnie - to raz. A dwa: jesteś popularna wśród strażników, jeśli jeszcze tego nie spostrzegłaś. Udział w pogrzebie to bardzo dobre zagranie.

- To nie było zagranie - zirytowałam się. - Czuję, że powinnam w nim uczestniczyć. A co do tego, czy dla Krokodyli jestem tylko pretekstem, nie byłabym tego taka pewna.

Teobald zaciągnął się dymem. Przesunął paczkę w moją stronę.

- Opowiesz mi o tym?

- Jeśli ty opowiesz mi o Arabelli Donner.

Zmarszczył brwi. Wciąż był pozornie wyluzowany i rozleniwiony.

- A zatem to sekret tego kalibru?

- Być może.

- Jaką mam pewność, że nie wykorzystasz tej historii przeciwko mojemu synowi?

- Jaką mam pewność, że nie wykorzystasz mojej znajomości z Tytusem Beringiem przeciwko mnie?

- Ach tak?

Teraz był niezmiernie zainteresowany.

Wrócił Tycjan z butelką wina i korkociągiem. Postawił drugi kieliszek przed ojcem i wyciągnął papierosa z jego paczki. Teobald nie zareagował, ciągle się we mnie wpatrując, jakby chciał przeniknąć moje myśli. Odwróciłam od niego wzrok, bo zaczęłam się bać, że posiada magiczną moc czytania umysłów. W jego przypadku nawet taki absurd wydawał się prawdopodobny.

Tycjan zapalił papierosa i wydmuchał dym na bok, tak żeby mnie nie dosięgnął. Dostawił sobie do nas krzesło.

- Spalę i spadam - obiecał, spoglądając na mnie kątem oka. - Nie chcę wam przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz - odparłam.

- Jak się pani podoba u nas w szkole? - zagaił, nieznacznie się uśmiechając.

- W porządku. Daję sobie radę.
- Zauważyłem.
- Uważnie mi się przyglądasz.
- Nie aż tak bardzo, jak Tyrs...

Jego słowa zawierały ukrytą aluzję, która mi się nie spodobała.

- Raptory mają lepszy wzrok niż elasmozauiry.

Cisza, która zapadła po moich słowach, była aż gęsta od nieprzyjemnego napięcia.

- Ale elasmozauiry o wiele chętniej wyrywają cięte języki nierozsądnym Europejkom - zripostował w końcu Tycjan i tym razem dmuchnął mi prosto w twarz.

Odgoniłam dym dłonią.

- Nie musisz się denerwować. Twój sekret jest ze mną bezpieczny.

- Kto pani powiedział?

- Aspazja Bree.

Tycjan i Teobald wymienili spojrzenia. Ich dobry nastrój minął jak ręką odjął.

- Nie chciałem, żeby Aspazja cię zatrudniała - wyjaśnił w końcu burmistrz. - Budzisz zbyt wielkie kontrowersje. Prawie tak wielkie jak Tyrs. Wolałem trzymać cię na uboczu przynajmniej do czasu, aż to zamieszanie z Krokodylami ucichnie. A już tym bardziej nie chciałem, żebyś poznała nasze tajemnice. Nikt poza mną, Aspazją, Tuluszem, Tyrsem i Treweriuszem ze Straży Wąwozu nie wie, że Tycjan jest hybrydą. Bez względu na to, jak Aspazja jest na mnie wściekła, nie powinna ci tego ujawniać.

Z przyjemnością upiłam łyk wina z kieliszka. Alkohol powoli uderzał mi do głowy. Podobało mi się wrażenie, jakie wywarłam na Teobaldzie i jego wrednym synalku. Okazało się, że ta „nierozsądna Europejka” też umiała dopieć.

- Jak powiedziałam, sekret Tycjana jest ze mną bezpieczny.

Nie byli przekonani. Przez chwilę w zamyśleniu palili papierosy. Zerknęłam na Tycjana, szukając w nim fizycznych podobieństw do elasmozaura, jednak wyglądał jak zdrowy, młody mężczyzna - żadnych łusek, żadnych kłów czy płetw. Ołówkowy kolor jego włosów w blasku zachodzącego słońca przechodził w nasyconą platynę. Poza nienaturalnie jasnymi włosami i odcieniem skóry nie umiałam dopatrzeć się w nim żadnych podobieństw do prehistorycznego gada.

- Tycjanie, zabierz Annę do jaskini. Będę tu na was czekał z drugim winem - postanowił w końcu Teobald.

- Jesteś tego pewien?

- I tak nie mamy nic do stracenia. Najwyżej od razu pozbędziemy się problemu.

- Jakiego problemu? - zaciekawiałam się.

- Pytałaś mnie o Arabelle Donner. Tycjan wyjaśni ci, kim była.

Nie chciałam iść sama z Tycjanem. Wciąż budził we mnie niechęć i ambiwalentne uczucia. Coś mi mówiło, że burmistrz poddawał mnie właśnie ważnemu testowi i od tego, jak go przejdę, zależało, czy nadal będzie mi pomagał.

Nie uśmiechała mi się perspektywa powrotu na pustynię. Równie dobrze mogłam od razu poddać się Tytusowi. Musiałam więc zachować spokój, bez względu na to, co czeka w jaskini.

Weszliśmy do willi. Tycjan otworzył drzwi do piwnicy i przepuścił mnie przodem. Przypomniałam sobie, jak szedł za mną w trakcie naszego pierwszego spotkania. Teraz czułam podobne przerażenie. Owiał mnie chłodny powiew i mimo panującego na dworze upału moje ręce pokryła gęsia skórka.

- Dokąd idziemy? - zapytałam.

- Słyszała pani: do jaskini. Musimy zejść na sam dół.

Chciałam go jeszcze wypytać, ale nagle poczułam jego nagie ramię na moich plecach. Wystraszyłam się, że zamierza mnie zepchnąć, i przyspieszyłam kroku. Jak zwykle panika zdecydowanie mi nie służyła. Poślizgnęłam się na stopniu i gdyby nie refleks Tycjana, skręciłabym sobie kark, spadając ze schodów. Złapał mnie za łokieć i przyciągnął do siebie.

- Widzę, że się pani spieszy.

Jego oddech był przesiąknięty alkoholem, a palce chłodniejsze od zatęchłego powietrza w piwnicy.

- Puść mnie - poprosiłam zdławionym głosem.

- Jak mi pani obieca, że nie spadnie. Tutaj są strome schody...

- Dam sobie radę, dziękuję.

Cofnął dłoń, a ja odetchnęłam i z całych sił starałam się uspokoić. Zaczęłam znowu schodzić w dół. Dopiero na końcu

schodów paliło się światło - obrałam je sobie za cel. Tycjan trzymał się blisko mnie, jakby się bał, że znowu poślizgnie mi się noga. W końcu dotarliśmy do piwnicy. Stamtąd poprowadził mnie jeszcze parę stopni niżej, aż znaleźliśmy się w jaskini do połowy wypełnionej wodą. Stałam przy samym kamienistym brzegu i spojrzałam na jej niezmaconą powierzchnię. Przy okazji zobaczyłam, że moją twarz wykrzywiał niezadowolony grymas, a z oczu wyzierała wrogość. Poprawiłam niesforne włosy nad czołem, próbując nieco wygładzić oblicze. Z marnym skutkiem.

Obróciłam się w stronę Tycjana i słowa zamarły mi na ustach. Rozebrał się do naga, zrzucając spodenki i bieliznę. Zaschło mi w gardle. Musiałam mieć bardzo głupią minę, bo aż zaniósł się śmiechem. Instynktownie cofnęłam się powodowana idiotycznymi myślami, takimi jak molestowanie nieletnich, niewinnych uczniów (tymczasem drań miał już swoje lata i przy tym boskie ciało - nie był ani nieletni, ani niewinny), i runęłam do tyłu prosto do wody. Zdążyłam tylko zauważyć autentyczne przerażenie malujące się na twarzy Tycjana, zanim jezioro się nade mną zamknęło.

Jeśli byłam choć trochę pijana, bardzo szybko wytrzeźwiałam. Od razu zorientowałam się, że nie znajdowałam się w jeziorze sama. Coś przepłynęło obok, ocierając się o mnie śliskim bokiem. Wzburzona fala ponownie zalała mi głowę, a płuca sparaliżował nagły braku tlenu. Rozpaczliwie młóciłam rękami wodę, aż w końcu udało

mi się złapać głęboki oddech. Zielona sukienka przylepiła się do mojego ciała jak motyli kokon, utrudniając ruchy. Zamrugałam, strząsając kropelki wody z rzęs. Przyglądała mi się para oliwkowych oczu osadzonych na długiej szyi elasmozaura; spod wody wyłaniał się także fragment jego grzbietu. Masywne płetwy utrzymywały go na powierzchni, wzbijając kolejne fale rozpryskujące się o ściany jaskini.

- Uznajmy, że oficjalną prezentację macie już za sobą - zażartował Tycjan, wypływając tuż obok mnie.

Wystraszyłam się go bardziej niż małego elasmozaura, który obserwował mnie ze wzrastającym głodem. Tycjan objął mnie ramieniem i pomógł utrzymać się na powierzchni. Niechętnie się o niego oparłam, zarzucając rękę na jego szyję. Coś mi mówiło, że syn Teobalda był mistrzem wykorzystywania takich okazji. Nie chciałam wiedzieć, o czym teraz myślał. Na pewno nie o słodkim, małym elasmozaurze.

- Przestań się o mnie ocierać - zażądałam, choć przeczuwałam, że niewiele mi to pomoże.

- Chyba ponosi panią wyobraźnia - powiedział prosto do mojego ucha. - Proszę poznać mojego brata bliźniaka, Tacjana. Tacjanie, to jest moja nowa nauczycielka literatury europejskiej, Anna Guiteerez.

- Żałuję, że nie chodzę do szkoły. Nieźle sobie poczynasz, Tycjanie - wysyczał gad i podpłynął bliżej nas.

Może i był elasmozaurem, ale na pewno synem Teobalda. Mimowolnie mocniej przytuliłam się do Tycjana. Nigdy nie znalazłam się tak blisko żadnego dinozaura. Teraz już

rozumiałam, dlaczego pierwszego dnia Tycjan był wściekły na Tyrsa za to, że zastrzelił jednego z elasmozaurów. Równie dobrze mógł mierzyć do jego brata.

Niepewnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam szyi Tacjana. Okazała się śliska i niespodziewanie miękka w dotyku. Wydawał mi się delikatnym zwierzęciem, lecz mimo to przerażały mnie jego całkiem ludzkie oczy i rozumny wyraz pyska. Wtedy w końcu dotarł do mnie ogrom szaleństwa Arabelli Donner i rozmiar krzywdy, jaką wyrządziła Teobaldowi. Musiała go bardzo nienawidzić. Tycjan wciąż był nieprzyzwoicie blisko mnie, ale nagle przestało mnie to obchodzić. Zaczęłam go lepiej rozumieć, a jego dotąd puste kontury wypełniło parę odcieni szarości, jak skóra elasmozaura pod pyskiem.

Tycjan pomógł mi wyjść z wody, chwytając mnie za biodra. Miałam ochotę uderzyć go z liścia w twarz, ale zanim odwróciłam się w jego stronę, zdążył odpłynąć od brzegu.

- Do zobaczenia w następny w czwartek! - Pomachał mi na pożegnanie i razem z Tacjanem zniknął pod powierzchnią.

Jeszcze chwilę czekałam, aż się wynurzy, jednak tafla wody pozostała niezmacona. Byłam cała mokra i bielizna prześwitywała mi przez materiał sukienki, zostawiłam więc Tycjana z jego bratem bliźniakiem i ruszyłam w drogę powrotną. Zajęła mi ona więcej czasu, niż planowałam, bo tym razem sama zachowałam podwójną ostrożność, uważając, żeby się nie poślizgnąć na schodach. Niosłam buty

w dłoni, zdecydowawszy się przejść ten odcinek boso.

Korciło mnie, żeby iść do siebie i się przebrać, ale ostatecznie zrezygnowałam. Byłam ciekawa reakcji Teobalda na moje spotkanie z jego drugim synem. Czekał na mnie dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, sukcesywnie opróżniając butelkę mojego wina. Na mój widok zagwizdał i z podziwem uniósł kieliszek.

- Z taką figurą zarwiesz wszystkich moich strażników!

- Wystarczy, że twój syn próbował mnie właśnie podrywać.

Wzięłam ze stołu kieliszek i stanęłam w słońcu, które prześwitywało spomiędzy gałęzi drzewka pomarańczowego. Grzało mnie w plecy, miałam nadzieję, że wysuszy też moją sukienkę.

- Który? - Teobald zachichotał.

- Podejrzewam, że obaj. Nie znam się na zwyczajach godowych elasmozaurów.

- Podobasz mi się, Anno Guiteerez - przyznał burmistrz, wygodnie wyciągając się na krześle. - Potrafisz zawstydzić moich chłopaków, a to już jest wielki wyczyn.

- Że niby wielką trójcę?

- Tak. - Teobald cicho się roześmiał, ale szybko spoważniał. - A teraz, skoro zdradziłem ci mój sekret, pora, żebyś odwdzieczyła mi się tym samym. Chcę wiedzieć wszystko o Tytusie Beringu. Musimy się dobrać do tego sukinsyna.

Wino miało cierpki smak; zdążyło się podgrzać w wysokiej temperaturze. Mimo to wychyliłam kieliszek do

dna. Nie wiedziałam, czy byłam w stanie spokojnie opowiedzieć o tamtym dniu na Uniwersytecie, kiedy w imię wyższej idei sprzedałam swoją moralność. To był moment, w którym ostatecznie zdecydowałam się związać moją przyszłość z Twierdzą Kimerydu. Pozostało mi tylko żywić nadzieję, że przyjmie mnie z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ 6

Tuliusz/Tulia

W dzień pogrzebu Tymona Bonniego zaczęło padać. Nie był to bardzo spektakularny widok – zaledwie zrosiło rozgrzane ulice i spieczoną ziemię w ogrodach Twierdzy. Mimo to nastroje były podniosłe nie tylko z powodu uroczystego pogrzebu, ale również dlatego, że do miasta powoli zmierzała pora deszczowa, aby na dwa krótkie miesiące nasycić nasze stale niezaspokojone pragnienie wody i chłodu.

Powietrze pachniało ozonem. Stałem na balkonie dawnej świątyni boga-raptora, pozwalając drobnemu deszczowi zmoczyć moją koszulę i ściągnięte szarfą jedwabne spodnie. Jedną rękę trzymałem na barierce, a drugą podpierałem się na kuli. Nie byłem w stanie wziąć udziału w żałobnym kondukcie. Mimo stałego zażywania serum przyspieszającego gojenie i zrastanie się kości wydawało mi się, że nic się nie zmieniło, odkąd wyszedłem ze szpitala. Poruszałem się z trudem i wolałem nie ryzykować kolejnego upadku, tak jak wczoraj w szkole. Wybiłem sobie palec i teraz miałem też zabandażowaną dłoń.

Przebudzenie po operacji pamiętałem jako ciąg

koszmarnych wydarzeń, które prawie doprowadziły mnie do szaleństwa. Budziłem się i zasypiałem, pamiętając wszystko, co zrobiła i powiedziała Tulia. Raz znalazłem się nawet w moim ciele, gdy przyjmowała w szpitalu jednego z kochanków. Mężczyzna się do mnie dobierał, więc krzyknąłem i szarpiąc się z nim na łóżku, spadłem z niego na podłogę, alarmując przy tym personel szpitala. Nigdy wcześniej nie przytrafiały mi się takie przebłyski świadomości i zdałem sobie sprawę, że wolałem nie wiedzieć, co się ze mną działo, kiedy Tulia przejmowała kontrolę.

Podjeżdżałem, że ten stan rzeczy był wywołany przebudzeniem się we mnie zewu pterodaktyla. Powiniennem podziękować za to Tyrswi. Chwilami napadał mnie tak fatalny nastrój, że wyobrażałem sobie własne samobójstwo. Brzydziłem się samym sobą. Wzbierało we mnie poczucie winy za wszystko, co robiła i myślała Tulia. Kiedy lepiej ją poznawałem, coraz bardziej docierało do mnie, że ja też byłem nią. Wyciągała moje najciemniejsze popędy i lęki na światło dzienne. Karmiła się moimi słabościami i wynaturzała je do rozmiarów przekraczających moją wrażliwość.

W szpitalu zdarzały się takie noce, że płakałem z rozpacz, szczerze siebie nienawidząc. Potrafiłem pokierować stadem pterodaktyłów, ale poskładanie własnej psychiki przekraczało już moje możliwości. Bardzo chciałem, żeby przyszedł do mnie Tycjan, lecz czas mijał, a on się nie pojawiał. Za to kilka razy odwiedził mnie Teobald i zaproponował, że na okres mojej rekonwalescencji zabierze

mnie do swojej willi. Odmówiłem, bo nieobecność Tycjana była aż nazbyt wymowna. Chyba wreszcie zrozumiał, kim jestem, i na zawsze się ode mnie odwrócił. Wczoraj spodziewałem się, że zostawi mnie samego, że wtopi się w tłum i ostatecznie weźmie ich stronę. Anna Guiteerez zmieniła wszystko. Tyrs i Tycjan znowu musieli ze sobą współpracować, jak zwykle udając przy tym, że nie sprawia im to żadnej przyjemności. A ja poczułem się częścią zespołu i to wystarczyło, żebym uzyskał chwilową emocjonalną stabilizację. Polubiłem za to Annę Guiteerez.

Kondukt żałobny przemieszczał się od garnizonu Straży Wąwozu w kierunku świątyni. Na jego czele szło trzech głównych kapłanów uniwersalnego boga (kiedyś służyli bogowi-raptorowi – Tel, Tal i Tyl trzy razy w roku składali mu ofiary z ludzi) w fioletowych żałobnych szatach. Tuż za nimi czterech strażników niosło trumnę z ciałem Tymona, a raczej jego szczątkami. Za trumną podążała rodzina Bonnich, za nimi zaś Teobald, Treweriusz, Aspazja i co ciekawe – Anna. Potem po kolei maszerowały oddziały Straży Wąwozu, począwszy od naszego oddziału A.

Z daleka kondukt metalicznie połyskiwał. Słońce odbijało się od zbroi strażników i ich posrebrzanych wykończeń. Między garnizonem a świątynią znajdowały się trzy duże ulice, przy których wybudowano kolorowe kamienice i wieżowce sięgające powietrznych tras tramwajów i samochodów. W zależności od dzielnicy żałobnicy mijali albo dobrze zadbane parki i budynki, albo obdrapane ściany domów, na których balkonach suszyły się niezliczone sznury

prania. Twierdza Kimerydu była miastem kontrastów i mieszających się ze sobą kultur. Rodziny strażników znacznie różniły się od rodzin miejskiej śmietanki, na którą składali się urzędnicy i kapłani, a już zupełnie odstawały od bogaczy z portu. Zadar Mellanito wysłał swojego przedstawiciela na pogrzeb w geście potwierdzenia niezachwianej współpracy cesarskiego dygnitarza i miejscowego burmistrza. Z perspektywy mojego balkonu Twierdza Kimerydu wydawała się bardziej zjednoczona niż zwykle. Przynajmniej w tej żałobnej procesji.

- Wejdiesz do środka? Niedługo tu będą. - Zza moich pleców wyłoniła się Alicja Mollina.

Opiekowała się mną w trakcie pogrzebu. Nie nalegałem na jej obecność, ale sama chciała mi pomóc. Nie do końca wiedziałem, co łączyło mnie z siostrą Tyrsa. Coś jakby sympatia, choć z jej strony podszyta niezdrową ciekawością. Wziąłem ją pod ramię i razem zeszliśmy z balkonu do głównej sali świątyni, gdzie na co dzień odbywały się bale. Dzisiaj była przemianowana na kościół uniwersalnego boga. Kiedy tylko mogliśmy, chowaliśmy ołtarz do sąsiedniej sali lustrzanej, zwanej też rupieciarnią, a kapłani tradycyjnie przeprowadzali obrzędy naszych bóstw. Tak mniej więcej wyglądał nasz mariaż z Europą.

Alicja założyła długą fioletową sukienkę pod biustem przewiazaną pomarańczową wstążką. W rozpuszczone włosy wpięła dorodny kwiat, a uszy ozdobiła długimi kolczykami z piór. Wyglądała olśniewająco i przyciągała wzrok zgromadzonych w sali przedstawicieli urzędów. Wiedziałem,

że część z nich uważała, że nie powinno mnie tu być. Nieważne, że moje pterodaktyle ochroniły Twierdzę - dla nich i tak pozostawałem synem *tej* kobiety, wykolejonym degeneratem szlajającym się po porcie. Prawie słyszałem ich myśli.

- Usiądźmy, nie dasz rady stać całą mszę.

Alicja poprowadziła mnie do przodu do drugiej ławki, gdzie mieli potem dosiąść się też Tyrs i Tycjan. Na podwyższeniu obok ołtarza przygrywała mała orkiestra. Pieśń była niby religijna, ale muzyków co jakiś czas ponosiła wyobraźnia i zmieniali ją na naszą modłę. W oczekiwaniu na kondukt wierni nawet wesoło podrygiwali w ławkach. Uniwersalny bóg był smutny, wiecznie pogrążony w żałobie. Może nasze bożki domagały się od wspólnoty ofiary krwi, ale z drugiej strony wykorzystywały też każdą okazję do zabawy. Pora deszczowa była świętem boga deszczu i jego pomocników, pływających chmur. Kiedyś z tej okazji topiliśmy pięcioro nieszczęśników w oceanie, teraz zadowalaliśmy się topieniem kukieł. Potem świętowaliśmy cały tydzień nad oceanem i nocami wypuszczaliśmy lampiony do nieba. Nie mogłem się już doczekać Deszczowego Tygodnia.

Tak jak się spodziewałem, msza okazała się okropnie nudna. Przetrwałem ją tylko dzięki głupim minom Tycjana, który naśmiewał się z drzemiącego Tyrsa. Tak, byliśmy bardzo religijni. Alicję oburzała lekceważąca postawa brata, ale nawet gdy go szturchała, tylko z irytacją ją od siebie

odpychał i drzemał dalej, opierając głowę na ramieniu Tycjana. Myślałem, że ze śmiechu spadnę z ławki, zwłaszcza że kapłani łypali na nas złymi spojrzeniami i pewnie marzyli o naszym rytualnym topieniu w oceanie. Nadawaliśmy się na ofiary dla bóstw. Kiedyś w ten sposób Twierdza pozbywała się odszczepieńców i jednostek zagrażających społeczności. Tycjana nie dało się utopić, więc pewnie porzuciliby go na pustyni na pożarcie raptorom, mnie wyrwaliby serce w trakcie żniw, a Tyrsa usmażyli żywcem na cześć boga słońca.

Na szczęście ceremonia dobiegła końca i mogliśmy teraz udać się nad ocean, żeby posłać trumnę łodzią w nieznane. Topiliśmy naszych zmarłych. Kiedyś chowaliśmy ich na wielkim cmentarzu za miastem, ale odkąd sprowadziły się tutaj dinozaury, zbyt często byliśmy świadkami, jak niektóre ich gatunki rozkopywały groby i żerowały na trupach. Zwłaszcza tych świeżych.

Nad ocean pojechaliśmy we czwórkę powietrznym samochodem Tycjana. Nie wszyscy uczestniczyli w ceremonii pogrzebowej, a ci, którzy się na to decydowali, docierali tam samochodami.

Trojan ostatni raz pochylił się nad trumną syna i dał znak do odepchnięcia jej na głębokie morze. Nad nami jak na złość krążyły pterodaktyle. Czuję się nieswojo pod oskarżycielskim naporem spojrzeń rodziny Bonnich.

Kiedy ginął ktoś ze Straży, zwykle to Tyrś wypuszczał

zapaloną strzałę na oddalającą się łódź. On też nadal nosił gips na ręce, dlatego tym razem oddał swój łuk Tycjanowi. Spod przymkniętych powiek przyglądałem się, jak ogień zajmuje pokrywę trumny i długimi językami rozprzestrzenia się na zdobiące ją kwiaty i burty łodzi, która po chwili zamieniła się w kulę ognia.

Wtedy mocno się rozpadało. Woda dosłownie lunęła z nieba, choć nic nie wskazywało na to, że będzie padać. Kapłani wzniesli ręce ku niebu, dając znak, że bóg deszczu do nas przemówił.

Objąłem się ramionami. W mgnieniu oka przemokłem do suchej nitki. Z moich włosów zaczęła kapać czerwona farba.

Nie rozumiałam, dlaczego Tuliusz nagle się wycofał, jednak po prostu to zrobił. Zamrugałam z dezorientacją, spoglądając na wykrzywioną złością twarz kobiety, za którą stał mężczyzna w mundurze policjanta. Po jego wysokim stopniu wyszytym na naramiennikach zorientowałam się, że to Trojan Bonni, komendant Policji Twierdzy. Nie rozumiałam, co się wokół mnie dzieje i dlaczego stoję pomiędzy kapłanami na brzegu oceanu. Siąpił deszcz, ale powoli tracił na sile. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się, że przejmowałam ciało w ciągu dnia, który należał do Tuliusza. Zwykle budziłam się i kładłam spać, zachowując pełną świadomość.

Obrzydliwe łapsko kapłana ścisnęło mi ramię i zrobiłam pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy. Wyrwałam się

z jego uścisku i strzeliłam mu z liścia, aż przyjemnie plasnęło. Moje zachowanie tak wszystkich zdumiało, że przez moment nikt się nie poruszył.

- No co się gapicie? Co to za zbiegowisko? Pogrzeb? - warknęłam, asekuracyjnie się cofając, żeby uniknąć ewentualnego rewanzu ze strony kapłana.

Niestety, zapomniałam o tym kurewskim gipsie zafundowanym nam przez Tulusza, i przewróciłabym się na plecy, gdyby nie ciężka dłoń Tycjana, która utrzymała mnie w miejscu.

- Witaj, Tulio - powiedział, karcąco patrząc mi w oczy. - Bądź tak łaskawa i się nie odzywaj.

Szybko rozejrzałam się po twarzach zgromadzonych wokół mnie ludzi i mój wojowniczy nastrój nieco opadł. Rzeczywiście, byłam na pogrzebie - w dodatku chyba na pogrzebie Tymona Bonniego. Spotykałam się z nim w moim mieszkanku w porcie. Miał bzika na punkcie moich ust. Zawsze się zastanawiałam, czy opowiadał o mnie Tycjanowi i Tyrswi, lecz wyglądało na to, że już się tego nie dowiem.

Zamieszanie, które wywołałam, mocno wzburzyło żałobników. Zaczęli coś między sobą krzyczeć, ale nie mogłam zrozumieć, o co im chodzi. Tycjan trzymał się blisko mnie, jakby chciał mnie ochronić, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

- Dlaczego przyprowadziłeś tego stwora na pogrzeb naszego syna?! - wrzeszczała kobieta w fioletowej szacie, najprawdopodobniej żona Trojana. - Nie potrafił nawet uszanować wyroku bóstw deszczu!

- Bardzo proszę o spokój, bo mamy chyba do czynienia z wrogą prowokacją. - Teobald zwrócił się do kapłanów: - Nie będziemy odprawiać teraz modłów ku czci bóstw deszczu, ponieważ ich kult prawie dwadzieścia lat temu został zakazany w Twierdzy. Wyznajemy jednego uniwersalnego boga, i tylko jego. Proszę zatem o przekazanie wiernym, co on chciał nam powiedzieć poprzez tę nagłą ulewę.

- Powinniśmy złożyć Donnera w ofierze! Śmierć za śmierć! - obruszył się gruby kapłan, którego uderzyłam w policzek.

- Natychmiast odwołaj swoje słowa, Tal, albo nie będziemy w tym roku świętować Tygodnia Deszczu, a informacja o waszych herezjach zostanie przekazana komandorowi Zadarowi.

- Bardzo się boimy niebieskiej mumii! - zaśmiał się drugi kapłan, dla odmiany chudzielec Tyl; był stałym bywalcem kasyn Zadara, parę razy widziałam go z ponętymi czarnoskórymi dziewczynami na kolanach.

- Za to powinniście bać się mnie! - Władcza nuta w głosie burmistrza uciszyła niezadowolone szemranie.

- Zawsze stajesz po stronie swoich dinozaurów - stwierdził Trojan, z dezaprobatą kręcąc głową.

- Nie tylko twoje dziecko zginęło w trakcie tej akcji - zripostował Teobald. - Wszyscy zgadzamy się, że to była tragedia, ale mieszkasz w Twierdzy i jesteś też komendantem Policji. Dobrze wiesz, że ponosimy ofiary.

Trojan więcej się nie odezwał. Objął płaczącą żonę

ramieniem i demonstracyjnie odwrócił się do burmistrza plecami. Rodzina Bonnich solidarnie odeszła razem z nimi, podobnie jak część urzędniczych rodzin, które również przybyły pożegnać Tymona. Kapłani chwilę podreptali w miejscu niepewni, co mają dalej ze sobą począć.

- Jeszcze jeden taki wybryk i cesarz dowie się o praktykowanym przez was pogaństwie. Z chęcią was za to powieszę - zapowiedział rozzłoszczony Teobald i gestem wskazał im, że mają się wynosić.

Nad wodą zostali teraz tylko strażnicy i dyrektorka Aspazja z Anną Guiteerez.

- Co się właściwie stało? - zapytałam Tycjana, przysuwając usta do jego ucha.

- Ty mi to powiedz.

- Nie wiem, po prostu nagle się tutaj znalazłam. Tuliusz zniknął.

Tycjan zmarszczył brwi. Jego mina wyrażała troskę pomieszaną z przerażeniem.

Niespodziewany powrót do ciała i całe to zajście nad oceanem bardzo mnie zmęczyły. Kazałam się więc zawieźć do mojego mieszkania w porcie. Tycjan z początku protestował, ale Tyrs się za mną wstawił, i wtedy jak zwykle musiał ustąpić. Zawsze mnie bawiło, jak zależni byli od siebie Tycjan i Tyrs, a jeszcze udawali przy tym, że było zupełnie na odwrót. Durne samce.

Moja mama zachowała kawalerkę, w której mieszkała na

początku swojego pobytu w Twierdzy. Przeprowadziłam się tam po jej śmierci. Miałam dwa pokoje, kuchnię i przestronną łazienkę. W dzisiejszych trudnych czasach dziewczyna powinna się sama utrzymywać. Ja sprzedawałam rozkosz, dzięki czemu nie narzekałam na brak pieniędzy. Założyłam sobie konto w portowym banku i sukcesywnie wpłacałam na nie moje zarobki. Zadar sprowadzał mi tylko lukratywnych klientów, sam też nieźle płacił. Pozostawałam więc niezależna od Teobalda, który nie ukrywał, że go to denerwuje. Wiele razy namawiał mnie, żebym przeprowadziła się do jego willi, ale nawet Tuliusz nie był już do niego entuzjastycznie nastawiony i szczęśliwie zostaliśmy w porcie.

Tylko Tycjan wszedł ze mną do domu, choć zapraszałam też Alicję i Tyrsa. Odpowiedzieli, że zaczekają, co miało mi jasno pokazać, że nie powinnam narzucać się Tycjanowi. Mogli być spokojni, bo nie zamierzałam tego robić. Odkąd uderzył moją głowę o ścianę, przestałam robić sobie płonne nadzieje. Mój pochmurny książę o smutnych, szarych oczach kochał tylko tego nieudacznika Tuliusza. Biedaczek nie wiedział przy tym, że bez wzajemności. Dziką satysfakcją sprawiała mi myśl, że może nawet nie był tego świadomy i tak jak ja wyobrażał sobie szczęśliwy finał swoich wysiłków.

Tycjan pomógł mi wejść po schodach, następnie położył mnie na kanapie w pokoju gościnnym. Królowały w nim: heban, kolorowe koraliki i wypolerowana kość słoniowa. Jeden z moich klientów przyniósł mi nawet skórę dinozaura, którą powiesiłam na ścianie. Była zielona w zygzakowate

wzorki. Uważałam, że to zabawne.

Drugą ścianę zajmowała półka z książkami i segment pod dotykowy telewizor.

- Mam ci w czymś pomóc? - zapytał, rozglądając się po mieszkaniu. - Może zrobić ci zakupy?

Powinnam wyrzucić go na zbity pysk.

- A Tyrś i Alicja? - mruknęłam zamiast tego, wymawiając sobie słabą wolę.

- Pojadą do domu tramwajem. Zresztą nie mają od ciebie daleko.

- Jak chcesz.

Chciał, bo napisał SMS Tyrśowi, po czym przystąpił do przeglądania zawartości lodówki. Wiedziałam, że świeciła pustkami. Ostatni raz byłam w domu przed tą feralną wycieczką na pustynię. Potem już wylegiwałam się w szpitalu ze złamaną nogą, która utrudniała mi pracę. Jadałam tylko paskudne szpitalne jedzenie, w większości smakujące tak samo.

- Jesteś głodna? - Tycjan spojrzał na mnie zza drzwi lodówki.

Było mu do twarzy w żalobnym fiolecie.

- Zawsze jestem głodna.

- Zrobię ci obiad.

- Dlaczego jesteś taki miły? - nie wytrzymałam.

- Potrzebujesz towarzystwa i dobrego obiadu.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Tycjan coś planował. Przewietrzył mieszkanie, zrobił zakupy i podlał usychające kwiatki. Przyniósł mi też poduszkę pod głowę i drugą pod nogę w gipsie, a na koniec uczesał włosy w nieforemny warkocz. Opiekował się mną jak małym dzieckiem. Ze wszystkich sił starałam się tego nie komentować, żeby nie zepsuć chwili. Wolałam się oszukiwać, że rzeczywiście ogarnęły go wyrzuty sumienia albo podskórna sympatia do mnie, o której wiedziałam, mimo że był mistrzem kontrolowania swoich emocji.

Na obiad zrobił mi sałatkę z owoców morza i usmażył ryby. Prawie nie rozmawialiśmy; włączył muzykę w kuchni. Słuchałam płyt francuskich piosenek o łamiących się, zachrypniętych głosach. Szybko go to znudziło i zmienił odtwarzacz CD na radio. Leżałam na kanapie z przymkniętymi powiekami, przez zasłonę rzęs obserwując, jak poruszał się w kuchni, a nad jego głową nieustannie obracał się wiatrak. Zaczęłam się pocić w męskiej koszuli; marzyłam o prysznicu i wślizgnięciu się w wygodną sukienkę.

Zjedliśmy w salonie na małym stoliku, przy którym o poranku pijałam kawę. Nie przywykłam do jedzenia obiadu w domu. Wstyd się przyznać, ale byłam kiepską kucharką. Tycjan naprawdę się postarał – ryba była chrupiąca i dobrze przyprawiona, a owoce morza świeże i miękkie, tak że rozpływały się w ustach. Zaproponowałam, byśmy napili się nieco wódki z agawy, podlanej sokiem bananowym. Bez

słowa sprzeciwu zrobił nam drinki. Alkohol za szybko uderzył mi do głowy i wiedziałam, że moje policzki pokryły się idiotycznymi rumieńcami. Tycjan czasami mi się przyglądał, ale nadal nic nie mówił. Może czekał, aż skończymy jeść.

W końcu zabrał nasze talerze i wstawił je do zmywarki. To wszystko wydawało mi się bardzo dziwne. Dopiłam mojego drinka, żeby zdobyć się na odwagę i w końcu coś powiedzieć, jednak Tycjan zdążył wrócić i usiadł blisko mnie na kanapie. Instynktownie się od niego odsunęłam. Teraz odcinał mi drogę ucieczki, a byłam dodatkowo unieruchomiona przez gips.

Dotknął dłonią mojego poharatanego policzka i przesunął ją niżej na szyję i wystający obojczyk. Przeszedł mnie dreszcz. Pożądałam go i równocześnie się go bałam. Mikstura tych uczuć podniosła mi tętno, moje serce niebezpiecznie przyspieszyło.

- Tulio, co ja mam z tobą zrobić? - zapytał po chwili napiętej ciszy.

Nie odważyłam się go dotknąć, choć bardzo chciałam.

- Wiesz co, ale ty wolisz Tulusza. Wydaje ci się, że go znasz i że chociaż w połowie odwzajemnia twoje uczucia. Tylko że... Tulusz tak bardzo nie wie, kim jest, że tym bardziej nie wie, kim jesteś dla niego ty. Więc może powinieneś zapytać jego, co on chce zrobić z tobą.

- A ty wiesz, kim jesteś?

- Tak, jestem kobietą, która cię kocha.

Tycjan otrząsnął się, jakby właśnie wyszedł z wody. Zszokowałam go, choć pewnie się tego domyślał. Wzięłam go

za rękę i uniosłam ją do ust. Spojrzałam mu w oczy. Zmiękł. Pochylił się nade mną, poczułam jego oddech na policzku, zanim nasze wargi połączyły się w pocałunku. Wnętrze jego ust przypominało mięsistą małżę z ukrytą w środku perłą języka.

Całowaliśmy się jak w moich ulubionych książkach o europejskiej miłości - długo i namiętnie. Żyłam w przeświadczeniu, że tylko w Europie kobiety miały starannych i wrażliwych kochanków. Byłam ciekawa, czy mój pochmurny książę też taki będzie - staranny i wrażliwy. Jeszcze nie trafił mi się taki mężczyzna.

Wsunęłam palce w jego zmierzwione włosy i przyciągnęłam go do siebie. Wolną dłoń przesunęłam po jego umięśnionych plecach i bokach, aż w końcu wyjęłam mu koszulę ze spodni. Brzuch miał gorący w dotyku. Chciałam więcej. Pociągnęłam guzik jego spodni i wsunęłam w nie palce. Wtedy się wystraszył. Czar prysnął.

Wyplątał się z mojego uścisku i stanął na drżących nogach. Zatoczył się przy tym, jakby był pijany. Pozwoliłam mu na ucieczkę. Na razie. Miałam pewność, że mnie pragnie.

Oboje z trudem oddychaliśmy. W myśli przeklinałam gips, bo gdyby nie on, tak łatwo by mi się nie wymknął...

- Wiesz, dlaczego Tuliusz cię wpuścił? - wypalił Tycjan zdyszczanym głosem. - Bo kapłani chcieli go wrzucić do oceanu jako ofiarę dla bóstw deszczu. Uważali, że ta nagła ulewa to święty znak.

- Myślał, że zrezygnują, jak zmieni osobowość? - Parsknęłam śmiechem.

- Musisz uważać, co robisz. Uaktywniony gen pterodaktyla w każdej chwili może cię stąd wyrzucić i przywołać Tulusza. Dopóki nie nauczycie się tego kontrolować, proponuję, żebyś ograniczyła swoje wypadki do portu. Tak będzie lepiej dla was obojga.

Jego sugestia mnie rozgniewała.

- Dziękuję ci bardzo za wszelką pomoc, ale teraz myślę, że powinieneś już iść - powiedziałam lodowatym tonem. - Nie będziesz mi mówił, jak mam żyć, tylko dlatego, że masz ruchliwy język. Nie robi to na mnie większego wrażenia, Tycjanie. Do widzenia.

Był aż purpurowy na twarzy, ale przestałam się go bać. Prędzej czy później do mnie wróci. Pterodaktyle są cierpliwe - nawet gdy ich potencjalni kochankowie zatrząskują za sobą drzwi.

W spokoju przeżyłam dwa następne dni. Poruszałam się z trudem, ale regularnie brałam serum przeciwbólowe i umiałam sama zadzwonić po jedzenie na wynos. Słuchałam więc francuskich płyt, oglądałam filmy na bezdotykowym DVD i czytałam lektury na zajęcia z literatury europejskiej. Znalazłam ciekawe notatki w zeszycie Tulusza i postanowiłam, że jeśli Tulusz nie przejmie mojego ciała do następnego czwartku, będę się starała sama przykuśtykać na lekcje z Anną. Byłam jej ciekawa, zwłaszcza że wszyscy moi

znajomi strażnicy nie przestawali o niej opowiadać. Zanim zabierali się ze mną do rzeczy, kilkakrotnie powtarzali: „a Anna powiedziała dzisiaj, że w Europie...”, „a Anna miała dzisiaj taki różowy szal ze straganu od starej Atalii...”, „a Anna to chyba nie ma faceta, ciekawe, czy któremuś z naszych się uda”, „a Anna musi być bardzo mądra, bo wie takie rzeczy, że nawet Aspazja pewnie o nich nie słyszała” i tak w kółko. Wreszcie mieliśmy swoją lokalną gwiazdę.

Po pogrzebie Tymona chłopcy przestali jednak przychodzić. Telefon też milczał; nawet Tyrs się nie odzywał. Przeczuwałam, że wyniknęła z tego grubsza afera, dlatego wszyscy woleli trzymać się ode mnie z daleka. Jak zwykle intuicja mnie nie myliła. Trzeciego dnia do moich drzwi zadzwonił Zadar Mellanito.

- Robisz się naprawdę sławna, kochanie.

Zadar pocałował mnie w policzek na powitanie i rozsiadł się w fotelu przy mojej kanapie. Okupowałam ją od dwóch dni i nie zamierzałam się z niej przenosić tylko dlatego, że odwiedził mnie komandor Mellanito.

- Na pewno nie bardziej niż Anna Guiteerez.

- Kapłani złożyli na ciebie skargę.

- Do kogo? Do Teobalda? - Parsknęłam śmiechem. - A może do ciebie?

- Te pokraczne kreatury boją się do mnie zbliżyć. Uważają, że jestem nieczysty.

- Mają rację, rzadko się myjesz.

- Teraz przesadziłaś.

- A zatem złożyli skargę do Teobalda, i co z tego?

- Nic, stary lis myśli, jak to rozwiązać. Ale ja przyszedłem do ciebie z inną sprawą.

- Domyślam się.

Wyjadałam resztki jogurtu obłożona książkami i notatkami z literatury francuskiej. Zadar przyglądał mi się z zagadkowym wyrazem twarzy. Zwykle przychodził do mnie ubrany na luzie - w spodniach i koszuli zamiast w swoich słynnych błękitnych szatach. Niebieskie włosy upiął w wysoki kok ręcznie malowaną spinką, która bardzo mi się spodobała.

- Gdzie kupiłeś? - zapytałam.

- Posłałem moich chłopaków na targ i wypatrzyli parę błyskotek. Od jakiegoś czasu przekonuję się do tutejszego folkloru.

- Niedługo poczujesz się u nas jak w domu - żartowałam, a Zadar przewrócił oczami.

Nie cierpiał Twierdzy Kimerydu z jej zatwardziałymi podziałami, pogaństwem i brakiem tolerancji. Wywodził się z południowych rejonów Europy, a dokładnie z dawnej Jugosławii. Zanim został zesłany do Afryki, mieszkał w pięknej willi nad Adriatykiem i poszerzał swój mecenat na sąsiednie miasteczka. Był miłośnikiem awangardowej sztuki i nietuzinkowego piękna, a jego szeroko zakrojona działalność stręczycielska sprawiła, że dorobił się pokaźnej fortuny. Cesarz chciał położyć na niej łapę, dlatego któregoś dnia Zadar został aresztowany za seks z nieletnim, cały jego majątek zaś przeszedł na własność Cesarstwa. Jedynie

wstawiennictwo jego wysoko postawionej rodziny uchroniło go przed stryczkiem. Agenci cesarza dopatrzyli się oszustw w jego księgach podatkowych, a kiedy uzyskali dostęp do kont, okazało się, że Zadar okradał Skarb Cesarstwa, zatrudniając wykwalifikowanych hakerów.

Podobno Brytanik uznał jego poczynania za zabawne, więc zamiast wysłać go do więzienia w Europie, nadał mu port w Afryce i wystawił dożywotni wilczy bilet. Zadar nie mógł wrócić do Europy, nie mógł też odciąć się od Cesarstwa jako jego przedstawiciel i zarządca portu. Sprowadził więc grono swoich dekadentkich znajomych i zamienił port Twierdzy w jeden wielki dom rozrywki. Do Twierdzy zaczęli przyplýwać Europejczycy skuszeni seksturystyką i gorącym klimatem, a także najznakomitsi przedstawiciele nowoczesnego kina i teatru europejskiego, w których Zadar inwestował duże pieniądze. Sam był niespełnionym aktorem, żyjącym w przekonaniu, że gdyby nie jego zbyt wysokie urodzenie, zrobiłby błyskotliwą karierę w wytwórni filmów w Vintage.

- Zawarłem układ z Teobaldem - powiedział w końcu, nerwowo podrygując stopą. - Wypożyczam od niego Tulusza. Chcę go pokazać na paru imprezach i zaproponować udział w przedstawieniach z moimi artystami cyrkowymi.

Tak, Zadar miał też własny cyrk i własny teatr, jak również własne kino. Strażnicy wawozu nie stronili od tych rozrywek w porcie, za to urzędnicy oraz kapłani omijali je z daleka jako siedlisko największej rozpusty i europejskiego

zepsucia.

- Przecież ty nawet nie znasz Tuliusza.

- Ale znam ciebie.

- I co z tego? Mam się czuć zazdrosna, bo chcesz pokazać Tuliusza swoim aktorom z Europy?

- Nie tylko im. Będą też przedstawiciele kilku znakomitych rodów...

- Gratuluję.

Zadar pochylił się w moją stronę, opierając łokcie na kościstych kolanach. Zazdrościłam mu tego, że był taki szczupły i mieścił się w każdej sukience. Drażniły mnie moje drobne mięśnie na ramionach i brzuchu, które nadawały mi ostatecznie męski kształt. Zadar miał taką figurę, że nie dało się jednoznacznie stwierdzić, jakiej był płci, szczególnie gdy ubierał się w te swoje workowate szaty. Dlatego każdy damski ciuszek leżał na nim idealnie.

- Chcę cię poprosić, żebyś na jakiś czas ustąpiła mu miejsca.

- Dlaczego miałabym znowu ulegać temu pokracznemu nieudacznikowi? - warknęłam. - I dlaczego muszę słuchać, jak kolejna osoba, którą darzyłam jakąś sympatią, przedkłada go ponad mnie?

- Tulio, nie przedkładam go ponad ciebie. Po prostu chcę go wykorzystać do swoich celów. Dam ci za to świetne zlecenia. Sama europejska śmietanka...

Osunęłam się na poduszki i przymknęłam powieki. Zadar umilkł. Chyba zorientował się, że posunął się za daleko. A może zbyt wiele od niego oczekiwałam? Nie był moim

przyjacielem. Owszem, był moim pierwszym kochankiem i wprowadził mnie w tajniki profesjonalnej prostytucji. Zapomniałam jednak, że przede wszystkim miał swoje polityczne priorytety, a ja jako jedyne ogniwo spajające go z Teobaldem mogłam okazać się dla niego podstawowym źródłem informacji na temat Straży Wąwozu i burmistrza. Zachciało mi się płakać. W najbardziej żenujący sposób na świecie jedna łza wymknęła mi się spod powieki i spłynęła po policzku.

Zaliczyłem tak gwałtowne przebudzenie, że aż zachłysnąłem się przy tym powietrzem. Wydawało mi się, że wciąż byłem nad oceanem i trwał pogrzeb, ale szybko wyprowadziłem się z tego błędu. Przede mną siedział Zadar z bardzo skonsternowaną miną, a jego zwyczajne ubranie podpowiedziało mi, że być może przyszedł tutaj spotkać się z Tulią.

W panice rozejrzałem się po kawalerce mojej matki, którą Tulia zamieniła na swoje gniazdo rozkoszy. Straciłem rachubę czasu. Musiałem jakoś wrócić z pogrzebu i dojechać do mieszkania. Spojrzałem na swoją dłoń. Miałem pomalowane na czerwono paznokcie. Zaczęło narastać we mnie gwałtowne przerażenie.

- Czy wszystko w porządku, Tulio? - zapytał Zadar. - Przepraszam, jeśli cię obraziłem. To było małosłowne z mojej strony prosić cię o ustąpienie miejsca Tuluszowi.

Jego zmodyfikowana, odmłodzona twarz naprawdę miała

teraz jakiś wyraz - szczerze się smucił, że uraził swoją przyjaciółkę.

- Chyba cię posłuchała - prychnąłem. - Czego ode mnie chcesz, Mellanito? Co tutaj robisz i co najważniejsze: skąd ja się tutaj wziąłem?

Zadar przyglądał mi się przez chwilę z niezrozumiałym dla mnie zadowoleniem.

- Wychodzi na to, że bardzo naturalnie zamieniacie się z Tulią miejscami. Kiedy na brzegu oceanu zostałeś zaatakowany przez kapłanów, w obawie przed ich krwawym odwetem wpuściłeś Tulię. A gdy ja uraziłem jej uczucia, odeszła, żeby okazać mi, jak bardzo jest mną rozczarowana.

Oddychałem coraz szybciej. Serce chciało wyskoczyć mi z piersi.

- Ona może w każdej chwili przejąć kontrolę nad moim ciałem!

- Niekoniecznie. Musisz nauczyć się nad sobą panować. To ty wyzwoliłeś zew pterodaktyla, a nie Tulia, to ty jesteś gospodarzem tego ciała, a ona jest pasożytem. Możesz odwrócić tę słabość na swoją korzyść.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Zadar uśmiechał się do mnie, czekając, aż pojmem jego zachowanie. Zaschło mi w ustach. Oblizałem wargi, ale wciąż wydawało mi się, że najadłem się popiołu.

- Dlaczego się tym interesujesz? Po co tu właściwie przyszedłeś?

- Żeby ci powiedzieć, że Tulia zniknie, ale dopiero wtedy, gdy ją zaakceptujesz i zaczniesz też oglądać świat jej oczami.

A interesuję się tym, ponieważ jesteś dla mnie ważny. Tulia jest dla mnie ważna, to znaczy, że ty też.

- Bzdura! Nie mam z nią nic wspólnego, a ty nawet mnie nie znasz!

- Nie, to ty się mylisz. Ty i Tulia stanowicie jedno.

Zrobiło mi się niedobrze, jakbym miał zaraz zwymiotować. Złapałem się oparcia kanapy i usiadłem, rozrzucając wokół siebie notatki Tulii.

- Nie będę tego słuchał.

- Wręcz przeciwnie. Skoro w końcu udało nam się spotkać, zabieram cię na krótki spacer po porcie. Wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

Zadar podał mi rękę i postawił mnie na nogi. Jego obślizgłe, kościste palce zamknęły się na moim nadgarstku. Chciałem mu się wyrwać, lecz niebieska mumia okazała się ode mnie silniejsza.

- Przed kamienicą czeka na nas samochód - powiedział. - Uwierz mi, że ta przejażdżka dobrze ci zrobi.

Zadar zabrał mnie na duże molo wcinające się daleko w głąb oceanu. Nie wiedziałem, co się ze mną działo i dlaczego tak często wymienialiśmy się z Tulią rolami. Byłem zmęczony myśleniem, ale najbardziej - wzbierającym we mnie poczuciem winy. Czułem się winny, że tak mocno angażowałem Tycjana w moje problemy psychiczne. Czułem się winny, że nie potrafiłem poradzić sobie z własnym życiem.

Kiedyś tak nie było. Może nigdy nie miałem predyspozycji, żeby zostać ulubieńcem tłumu, jednak obracałem się w towarzystwie zdolnych dzieciaków, z którymi dyskutowaliśmy nad zdobyczami nowoczesnej medycyny i techniki, zamiast upijać się do nieprzytomności w porcie. Tycjan też poświęcał mi dużo czasu, lecz wtedy po prostu świetnie się razem bawiliśmy. Teraz nie mogliśmy patrzeć sobie w oczy. On nie wiedział, jak mnie uratować, a ja nie chciałem, żeby w ogóle to robił. Uważałem, że zasługuję na potępienie. Tylko Tyrs zdawał się rozumieć moją sytuację i nie narzucał mi się ze współczuciem. Może zwyczajnie dlatego, że go nie czuł.

Powoli brakowało mi sił. Nie ufałem Zadarowi, lecz mimo to byłem gotów go wysłuchać.

Wzmógł się wiatr, szarpiąc skraj mojej krótkiej sukienki. Nie przebrałem się przed wyjściem z domu. Gips utrudniał mi swobodną zmianę ubrań. Zadar przykucnął przy skraju molo i zwilżył dłonie w wodzie. Potem opłukał twarz i kark. Po chwilowym ochłodzeniu w dniu pogrzebu Tymona upał znowu się wzmógł. Czułem, jak pot spływał mi wzdłuż kręgosłupa. Kleiły mi się dłonie.

- Twoje problemy z podwójną osobowością przypominają rozdwojenie jaźni. Leczyłeś się klinicznie?

- Tak. Rok temu odstawiłem leki. Nic mi to nie dawało. Byłem tylko otumaniony i powolny. Praktycznie nie ruszałem się z domu, a kiedy Tulia przejmowała kontrolę, szalała na całego. Miała nade mną przewagę. Leki zdawały się działać tylko na mnie i znacznie osłabiały mój wpływ na życie. Potem

bałem się, że będzie gorzej, ale prawie nic się nie zmieniło. Poza tym, że znowu byłem zdolny do pracy w Straży Wąwozu i wróciłem do szkoły.

- Chcę zrozumieć, na czym polega twoja przemiana w pterodaktyla - wyjaśnił Mellanito, zwracając się w moją stronę.

Kropelki wody srebrzyły mu się na rzęsach. Zachowywałem między nami dystans. Staralem się nie myśleć o tym, że był kochankiem Tulii i wiele razy dotykał mojego ciała w miejscach, które powinny należeć tylko do mnie.

- Nie odtworzysz szczepionki mojej matki - domyśliłem się, uważniej przyglądając się jego modyfikowanym tęczęwkom. - Teobald zniszczył jej laboratorium i wszystkie notatki.

- Czy tak byś właśnie postąpił, będąc Teobaldem? - Jego pionowe źrenice dzikiego kota lekko się zwężyły.

Nagle zrozumienie sytuacji zaparło mi dech w piersi. Zadar czarująco się do mnie uśmiechnął.

- Po twojej minie wnioskuję, że nie. Może notatki twojej matki nie zawierają żadnych przydatnych wskazówek, ale zawsze jest to jakiś krok do przodu. Potrzebujesz sam coś zdziałać we własnej sprawie. Zbyt mocno oparłeś się na innych ludziach.

- Gdyby coś ważnego znajdowało się w notatkach mojej matki, Teobald na pewno by mi je udostępnił...

Zadar parsknął śmiechem.

- Tak jak sprzedał Tyrzowi ziemię w mieście?

- To była inna sytuacja. Kapłani postawili mu ultimatum...

- Nie, kochanie, taka sama. Skąd wiesz, jaki zawarł układ i z kim, żeby praca twojej matki nie dostała się w niepowołane ręce?

- Na przykład w twoje.

- Na przykład w moje. Tylko widzisz, różnica między mną a Teobaldem jest taka, że ja mówię ci wprost o moich intencjach. Możemy sobie wzajemnie pomóc, Tuluszu. Sam nie będziesz umiał skorzystać z obliczeń Arabelli i zdobyć odpowiednich składników. Ja mam zasoby i ludzi, którzy zrobią z nich pożytek.

- Namawiasz mnie do zdrady!

- Nie, namawiam cię do współpracy.

- Co chcesz zrobić z notatkami mojej matki? Gen pterodaktyla nie jest tolerowany przez każdy ludzki organizm. Wielu młodych ludzi umarło, zanim trafił do mojej krwi.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego akurat tobie udało się przeżyć?

Wymownie milczałem.

- Tak myślałem.

Spojrzałem na niebo w oddali zlewające się z oceanem w nieprzebrany błękit.

- Nie zostanę twoim królikiem doświadczalnym - zapewniłem.

- Raczej pterodaktylem. - Zadar znowu się roześmiał.

Coraz bardziej drażnił mnie jego sposób bycia.

- W każdym razie najwyższa pora na zmiany - dodał. - Podwieźć cię dokądś? Obawiam się, że mam ważne spotkanie i nie mogę poświęcić ci więcej czasu.

- Nie, dziękuję. Zostaw mnie samego.

Zadar więcej mi się nie narzucał. Po prostu odszedł, a ja nawet się nie obejrzałem. Stałem na końcu molo, podpierając się na kuli. W końcu przyłożyłem dłonie do ust i wydałem z siebie przeciągły okrzyk pterodaktyla. Odpowiedział mi ten, który znajdował się najbliżej mnie, i po chwili ujrzałem czarny punkt na horyzoncie. W błyskawicznym tempie zbliżał się w moim kierunku.

- Chciałbym u ciebie przenocować - poprosiłem w odpowiedzi na pytające spojrzenie Tyrsa, kiedy otworzył mi drzwi swojego domu.

Zmierzył mnie wzrokiem, unosząc brew na widok mojej sukienki, ale ostatecznie wzruszył ramionami.

- Jasne, stary.

Odsunął się i wpuścił mnie do środka.

- Nie wziąłem moich leków. Masz jeszcze serum uśmierzające ból?

- Mam całą apteczkę.

Pozwolił mi samemu wejść do przedpokoju, choć z trudem opierałem się na kuli. Czułem się tak okropnie, jak wyglądałem. Tyrs zamknął za mną drzwi i poprowadził mnie do obszernego salonu usytuowanego przy schodach na piętro. Dzieci akurat oglądały film rysunkowy na wielkim

telewizorze dotykowym. Taniel pomachał mi ręką, obdarzając mnie jednym ze swoich popisowych słodkich uśmiechów. Aneta nawet na mnie nie spojrzała – tak była pochłonięta filmem. Dzieciaków pilnował dzisiaj Terra, przelotnie zerkając na telewizor w trakcie czytania książki. Jego podzielność uwagi zawsze mnie zadziwiała.

Przestronny salon Mollinów urządzone z iście europejskim minimalizmem. Poza półokrągłą białą kanapą oraz dwoma fotelami, gustownie prezentującą się biblioteczką i kwiatami pokojowymi, znajdował się tu tylko zawieszony na ścianie telewizor. Od razu było w tym widać rękę Tycjana, bo Tyrs nigdy nie umieściłby książek w widocznym miejscu.

- Zrobisz mi teraz zastrzyk? – poprosiłem.

Przyjaciel już pozbył się swojego gipsu i miał założony tylko usztywniający bandaż. Jego kości zrastały się szybciej niż kości zwykłego człowieka.

- Chodź ze mną na dół.

Tyrs poprowadził mnie schodami do piwnicy, gdzie w pierwszym pomieszczeniu znajdował się jego domowy szpital, a w drugim osobista zbrojownia. Usiadłem na skraju kozetki okrytej białym prześcieradłem i czekałem, aż Tyrs przygotuje zastrzyk. Podziwiałem jego skrupulatność we wszystkim, co robi, i wręcz pedantyczne umiłowanie porządku. Zresztą wiele razy powtarzał, że dobra organizacja i pracowitość przyniosły mu samodzielność. Jego szafki były więc wypełnione uporządkowanymi butelkami i pudełkami z lekami i serum odwróconymi do przodu kolorowymi

etykietkami, a bandaże i prześcieradła aż pachniały czystością.

- Wszystko u ciebie w porządku? - zapytał, odwracając się do mnie z przygotowanym zastrzykiem.

Jego szerokie ramiona zasłoniły światło żarówki osadzonej w szklanym kloszu. Jasność obrysowała jego sylwetkę, chowając twarz w cieniu.

- Nie - odpowiedziałem po prostu, nie siląc się na wyjaśnienia.

Delikatnie ujął moje ramię i wbił w nie igłę. Zacisnąłem powieki, żeby na to nie patrzeć. Poczułem, jak lekarstwo rozlewa się po moim ciele, a puls nieznacznie przyspiesza. Tyrs zgiął mi rękę w łokciu i kazał ją tak przez chwilę przytrzymać. Wciąż miałem zamknięte oczy, kiedy powiedziałem:

- Zdejmij mi gips.

- Popierdoliło cię? - Podziwiałem też jego wrodzoną uprzejmość.

- Ty go już nie potrzebujesz.

- Tak, ale mam silniejsze kości i lepszą przyswajalność serum. Poza tym moje złamanie nie było otwarte, a twoje tak.

- Zdejmij mi ten cholerny gips!

Samego mnie zdziwił mój rozkazujący ton i przebijająca z niego wściekłość. Tyrs starannie umył ręce i usiadł przy mnie na kozetce. Nie patrzył na mnie, tylko na swoje zaostrzone paznokcie, i marszczył brwi. Nie obchodziło mnie, co myślał. Liczyłem, że mogę oczekiwać od niego braku litości. Dlatego przyleciałem do niego, a nie do Tycjana.

Zresztą potrzebowałem kogoś, kto będzie ze mną brutalnie szczery, a nie znałem nikogo bardziej szczerego od Tyrsa.

- Zrobisz sobie większą krzywdę - powiedział w końcu z wyraźnym trudem.

- Na pustyni cię to nie obchodziło. Ryzykowałeś wtedy moim życiem, a teraz nagle boisz się ryzykować moim zdrowiem?

- Ty najwidoczniej się nie boisz, a powinienes.

Położyłem dłoń na jego pokrytej łuskami ręce. Zrobił sobie tatuaże, żeby je zamaskować, i czasami zastanawiałem się, czy tego żałował. Był w końcu tak pewny siebie i dumny ze swojej raptorzej natury, że nie powinien zakrywać jej fizycznej manifestacji rysunkami wzburzonego oceanu.

- Wystarczająco długo się bałem. Dlaczego masz wyrzuty sumienia?

- Zawsze je mam, nie zawsze je okazuję.

Mocniej ścisnąłem jego rękę.

- Dziękuję, ale jeśli naprawdę uważasz się za mojego przyjaciela, zdejmij mi gips i pomóż przyspieszyć regenerację. Wiem, że to potrafisz.

- Tak, ale to nie jest szczególnie przyjemny proces. Innymi słowy: będzie kurewsko bolało.

- Nie szkodzi. Naucz mnie.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Prawie słyszałem jego myśli. Nie bał się o mnie, bał się o Tycjana; bał się o naszą przyjaźń; bał się, że ta jedna decyzja będzie go kosztowała kruchą stabilizację, na którą tak ciężko pracował. Tyrz Molina stanął przed wyborem zaryzykowania praktycznego,

acz nie do końca uczciwego, układu z Teobaldem Elasmosem, żeby strącony z nieba pterodaktyl znowu nauczył się latać.

- Zawołam Terrę. Będzie mi asystował - zdecydował w końcu, a ja przytuliłem się do jego kontuzjowanego ramienia.

Bez słowa pogłaskał mnie po głowie.

ROZDZIAŁ 7

Tyrs

„Nie cierpię, kiedy ojciec wyjeżdża do portu”.

SMS od Tycjana zastał mnie przed domem na mojej strzelnicy za ogrodem, gdzie ćwiczyłem celność w strzelaniu do rozstawionych tarcz. Każda miała inny kształt i była ustawiona w różnej odległości od stanowiska strzelniczego. Z perspektywy tego placu dobrze widziałem ocean i dziką plażę pod moją skarpią.

Ćwiczyłem osłabione złamaniem ramię, bo starałem się utrzymać celność przy użyciu zarówno prawej, jak i lewej ręki. Zmuszanie zastanych mięśni do wysiłku sprawiało mi ból, ale dawno nauczyłem się go ignorować, jeśli nie mogłem skorzystać z serum.

W ogrodzie huśtała się Aneta, podśpiewując sobie którąś ze swoich ulubionych smutnych piosenek o miłości. Jej czysty, dziewczęcy głosik napawał mnie melancholią. Przypominał mi ostatnie dwa dni, które spędziłem z Tuliuszem na długich rozmowach i trudnym dla nas obu procesie składania jego nogi. Czułem się nieswojo, bo nie powiedziałem o tym Tycjanowi i pierwszy raz w życiu miałem przed nim poważny sekret.

Poza tym moje przymierze z Donnerem nie powinno się w ogóle wydarzyć. Nie chciałem być odpowiedzialny za jego przemianę ani mieszać się w prywatne sprawy Teobalda. Niestety, Arabella Donner była jego prywatną sprawą. Jako jedynej udało jej się doprowadzić go do ruiny i na pewno tego nie zapomniał, a już tym bardziej nie zapomniał, że Tulusz to jej syn. Domyślałem się, że miał do niego ograniczone zaufanie i chronił go tylko ze względu na uczucia Tycjana. Nie wątpiłem też, że zachował notatki Arabelli niezależnie od tego, jak mocno go zraniła. Teobald był diabelnie praktyczny. Ba. Bardziej praktyczny niż ja, a przecież w jego żyłach nie płynęła domieszka raptorzej krwi.

Z drugiej strony nie potrafiłem odmówić Tuluszowi. Przez ostatni rok stał mi się prawie tak samo bliski jak Tycjan. Budził we mnie instynkt opiekuńczy, podobnie zresztą jak w Tycjanie, tylko że ja w odróżnieniu od niego zauważałem, że Tulusz był dorosły. Miałem też własną teorię na temat jego drugiej osobowości i nie do końca podobało mi się ustawianie go tylko w roli ofiary. Przeczuwałem, że prawdziwy Tulusz Donner był wszystkim innym, tylko nie ofiarą.

Naciągnąłem łuk i powoli wymierzyłem w tarczę w kształcie człowieka.

Strzała utkwiała tuż obok serca i zakląłem. Spadła mi kondycja. W toku ząartej bitwy nie mogłem sobie pozwolić nawet na drobny błąd.

Na chwilę odłożyłem łuk i wyprostowałem się, aż coś

przeskoczyło mi w kręgosłupie. Od oceanu wiała przyjemna bryza, która ochładzała powietrze, sprawiając, że trening na zewnątrz w kolejny upalny dzień był całkiem znośny.

„Teobald też potrzebuje czegoś od życia. Nie tylko my możemy zabawiać się z laseczkami”, odpisałem Tycjanowi.

Burmistrz nie uznawał już stałych związków, co nie oznaczało, że zrezygnował z przelotnych romansów i seksu. Tycjan utrzymywał, że w trakcie swoich wypadów do portu kompletnie się szmacił, ale ja nie umiałem sobie wyobrazić zeszmaczonego Teobalda. Chyba że robił to w jakimś celu... a tego już zdecydowanie nie wykluczałem.

- Czy Tulia wróci? - Zadrzałem, słysząc głosik Anety tuż za plecami.

Nie zorientowałem się, kiedy porzuciła huśtawkę i podeszła do mnie od tyłu. Nikt nie skradał się tak cicho i umiejętnie, jak Aneta. Czerpała niezdrową przyjemność ze swojej przewagi i mogłem ją sobie wyobrazić, jak rozszarpuje niczego nieświadomą ofiarę swoimi monstrualnymi zębami. Co przypomniało mi, że wciąż nie znalazłem dla niej odpowiedniego dentysty.

- Nie wiem, kłapko - odpowiedziałem beznamiętnym tonem, żeby nie dać jej poznać, jak zły byłem na siebie za to, że jej nie usłyszałem.

Z całego rodzeństwa to szczególnie Aneta musiała pamiętać, kto tutaj rządzi. A miała wyraźne problemy z akceptacją wyższości osób, które dały jej się zaskoczyć. Przyznawałem jej cichą rację.

- Już nie kłapię zębami. - Obraziła się i usiadła na skraju

mojego stanowiska strzelniczego, podkurczając pod siebie nogi. - Tulia zawsze wie, kiedy nadchodzę. Ty jesteś za bardzo skupiony na sobie.

Jej uwaga mnie zastanowiła. Wybrałem następną strzałę i zwróciłem się na zachód, żeby wycelować do tarczy w kształcie pochylonego raptora. Tak, strzelałem też do raptorów - zwłaszcza do tych poddanych Abbie.

W kieszeni moich spodni zawibrowała komórka. Zanim odczytałem wiadomość od Tycjana, wypuściłem strzałę. Prawa ręka spisała się znacznie lepiej. Bełt utkwił w tylnej łapie gada, dokładnie tam gdzie był oznaczony cel. Nigdy nie zabijałem raptorów - w przeciwieństwie do ludzi.

„Na pewno nie jeździ tam tylko z powodu kobiet. Chodzi o to, że nie mówi mi całej prawdy”.

„Czy to coś nowego w waszym wypadku?”, zadrwiłem.

- Ale, kłapko, przecież ostatnio odwiedził nas Tulusz, nie Tulia.

- Nie, to była Tulia. Tulusz nie potrafi mnie usłyszeć, ona tak. Za każdym razem kiedy się do niej zbliżam, od razu mnie wyczuwa.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Dokładnie to, co już powiedziałam, wielki kłapie - obraziła się siostrzyczka. - Gościliśmy Tulię. Ani razu jej nie przechytryłam.

Rozmyślanie o Donnerze i jego podwójnej osobowości zaczęło mnie męczyć. W końcu zrozumiałem, dlaczego

Tycjan nie radził sobie ani z określeniem granic w ich relacji, ani ze swoimi uczuciami wobec niego. Moim zdaniem był w nim po prostu zakochany, ale prędzej odgryzłbym sobie język, niż mu to głośno powiedział. Zwłaszcza że nie miało to żadnej przyszłości. Obserwacja Anety sprawiła, że teraz bardziej martwiłem się o Tycjana. Zew pterodaktyla wyzwolił w Tuluszu jego prawdziwy charakter i podejrzewałem, że niedługo stanie się podobny do Tulii.

Postanowiłem skupić się na strzelaniu. Przestałem zwracać uwagę na SMS-y od Tycjana, zamiast tego musiałem uważać na Anetę, bo nie chciała odejść ze stanowiska strzelniczego. Przyglądała się, jak kolejno celuję do tarcz, i entuzjastycznie klaskała, gdy trafiałem.

- Jak będę taka duża jak ty, sama zacznę zarabiać - powiedziała nagle, akurat kiedy wymieniałem strzały na te z niewielką domieszką materiałów wybuchowych.

Strzelałem z nich na większą odległość prosto do oceanu. Bełty eksplodowały w kontakcie z wodą, barwiąc na czerwono jej powierzchnię.

- Na pewno znajdę coś dla ciebie w garnizonie - obiecałem.

Posłałem strzałę w stronę linii horyzontu, wyciągając ramię na całą jego długość.

- Nie chcę pracować w garnizonie. Wolałabym śpiewać w nocnych klubach w porcie.

Mała eksplozja wzbiła fontannę wody w kierunku nieba. Zmrużyłem oczy. Cień rzucany na nas przez starą sosnę przesunął się w stronę kamieni. Mój podkoszulek był cały

wilgotny od potu.

W pierwszej chwili chciałem ją brutalnie uświadomić, że z takimi zębami, ale przede wszystkim z powodu jej pochodzenia, nigdy nie zostanie uznana wykonawczynią smutnych piosenek o miłości – nawet w porcie Twierdzy Kimerydu. Potem jednak przemyślałem swoją odpowiedź. Nie nadawałem się do funkcji ojca, chociaż musiałem pełnić ją wobec moich maluchów. Pomyślałem o tym, jak mnie traktowano, gdy byłem w jej wieku, i że nigdy nie miałem żadnych marzeń poza chęcią przeżycia kolejnego dnia i zapewnienia sobie i Alicji bezpieczeństwa. To moje wysiłki i poświęcenie sprawiły, że Aneta mogła teraz wyobrażać sobie siebie w roli piosenkarki.

- Tak się składa, że Zadar Mellanito wiele razy wysyłał mi zaproszenie do swojego domu rozrywek. Może warto je w końcu przyjąć.

- Wolę sama zapracować na moją sławę. - Jej odpowiedź całkowicie mnie zaskoczyła.

Odłożyłem łuk na pulpit przy stanowisku i na wszelki wypadek schowałem strzały w komorze pod pulpitem. Istniała szansa, że pojawi się tutaj Taniel, a wolałem, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Czasami wpadał na szalone pomysły.

- To będzie trudne zadanie – orzekłem, siadając obok niej ze skrzyżowanymi nogami.

- Mogłabym najpierw nagrywać w internecie.

- Internet niesie za sobą niebezpieczeństwo braku anonimowości – zauważyłem. - Wiele razy tłumaczyłem wam,

dlaczego wolę, żeby świat się o was nie dowiedział, zwłaszcza Cesarstwo.

- Może jesteś przewrażliwiony.
- Nie jestem. Musisz mi zaufać.
- Ufam ci, Tyrs. Wszyscy ci ufamy.

Z uśmiechem podałem jej rękę.

- Przejdźmy się na dół. Będzie nam tam chłodniej.
- Nie lubię wody. - Wzdrygnęła się.
- Przecież nie musisz do niej wchodzić.

Położyliśmy się na piasku w cieniu skarpy. Wiał silniejszy wiatr i było nam tam razem dobrze. Aneta śpiewała piosenki, które kleiły mi rzęsy, tak że wzmagająca się senność w końcu wygrała z moim poczuciem obowiązku. Nie wiedziałem, jak długo spaliśmy, w każdym razie obudziło mnie gwałtowne szarpnięcie. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą wykrzywioną w grymasie złości twarz Alicji.

- Wszędzie was szukałam! Myślałam, że coś złego stało się Anecie!

- Jak widzisz, nic nam nie jest - mruknąłem.

- Ane, uciekaj do domu, ale już! - nakazała siostra.

Uniosłem się na łokciach. Zza pleców Alicji wyłonił się Terra, który pomagał Anecie wstać.

- O co ci chodzi? Dlaczego się tak wściekasz? - zapytałem, nieprzyjemnie zdumiony napastliwością Alicji.

- Terra, zabierz stąd Anetę!

Mała tarła oczy, przeciągle ziewając.

- Mogliście dostać udaru! - Alicja nie przestawała na nas ujadać; miała szczęście, że wciąż byłem rozespany i nie chciało mi się z nią dyskutować.

- Nie przesadzaj - westchnąłem, podkładając ręce pod głowę. - Co cię ugryzło, Ali?

Terra wziął Anetę za rękę i zaczęli wspinać się w górę po skarpie. Mała pomachała mi na pożegnanie. Odmachałem do niej z uśmiechem. Byłem z siebie zadowolony. Wychowywanie dzieci sprawiało mi przyjemność, choć nigdy bym się do tego głośno nie przyznał. Musiałem dbać o mój starannie zbudowany wizerunek.

- Wiele rzeczy, Tyrs!

Zapowiadała się grubsza awantura.

- Siadaj, mamy dobry cień. Już i tak pewnie dzisiaj nic nie zrobię.

- Nie mam ochoty!

- Jak dla mnie możesz też stać, tylko w takim razie się streszczaj.

Zacisnęła dłonie w pięści. To prawda, że dawno nie rozmawialiśmy. Właściwie od momentu, gdy usłyszałem jej rozmowę z Tycjanem. Jemu zdążyłem to już kilka razy wybaczyć, ale moja sytuacja z Alicją była bardziej złożona. Aż na kilometr cuchnęło od niej Abbą.

- Mam cię po dziurki w nosie!

- To nie ja chodzę z wielkim fochem i udaję, że nic się nie wydarzyło.

- A co się takiego twoim zdaniem wydarzyło, Tyrs?

- Ja mam to powiedzieć? Serio?

- Serio, kanalio.

Roześmiałem się z jej nieudolnej złośliwości.

- Myślę, że i tak wszystko sprowadza się do tego, że za moimi plecami utrzymujesz kontakt z Abbą.

Przykucnęła obok mnie i z bliska spojrzała mi w oczy. Jej miały ten sam kolor, co matki i Anety - ciemną zieleń przy źrenicach rozświetlaną żółtymi refleksami.

- Czy choć raz pomyślałeś, dlaczego to zrobiłam?

- Nie, odpowiedź jest chyba oczywista.

- Oświeć mnie.

- Co powiesz na: jesteś fałszywą i niewdzięczną suką?

Wydała z siebie gardłowe warknięcie raptora. Odpowiedziałem jej tym samym, ale była szybsza ode mnie. Zacisnęła palce na moim gardle i z siłą, o którą jej nawet nie podejrzewałem, przycisnęła mnie do ziemi. Zabrakło mi tchu, nie spodziewałem się tak szybkiego i bezwzględного ataku. Nie pozostawiła mi wyboru. Podziwiałem jej odwagę - zdecydowała się rzucić mi wyzwanie, mimo że wiedziała, że jestem od niej silniejszy i zwinniejszy.

Kopnąłem ją w brzuch tak, że uścisk od razu zelżał. Jedną ręką złapałem ją za kark i odciągnąłem jej głowę do tyłu. Moje wysunięte pazury pozostawiły krwawe ślady na jej skórze. Nie poddawała się metodycznie skupiona na moim gardle. Przekręciłem się na brzuch i teraz znalazła się pode mną. Rąbnąłem ją łokciem pod mostkiem, aż pękło jej żebro. Jęknęła z bólu, który na chwilę pozbawił ją przytomności. Wyplątałem się z jej kleszczowego uścisku. Miałem ściśnięte gardło, jak w imadle.

Złapałem ją za kark i pociągnąłem do wody. Kiedy się ocknęła, trzymałem ją pochyloną nad falami. Końcówki jej włosów były już mokre i układały się w niewielkie kędziory. Odkaszlnęła krwią, która spłynęła jej po brodzie aż po dekolt wykrojonej bluzki. Przy samych piersiach kremowy materiał zmienił kolor na rozcieńczoną czerwień.

- Widzisz, Ali, teraz sobie porozmawiamy jak kulturalni ludzie, a nie jak raptory. Co ty na to?

- Pierdol się, Tyrs.

Ciężko westchnąłem. Wsadziłem jej głowę pod wodę. Uderzała rękami o powierzchnię, szarpiąc się przy tym jak ryba w sieci. Trzymałem ją w żelaznym uścisku. Odczekałem, aż jej mięśnie zwiotczeją, i dopiero wtedy wynurzyłem jej głowę. Z trudem łąpała powietrze. Była cała mokra, z wysiłku drżały jej ramiona.

- Co obiecała ci Abba? - zapytałem.

- Władzę w mieście - wycharczała.

Parsknąłem śmiechem. Zrobiło mi się jej żal, że uwierzyła w takie fantazje. Musiała być naprawdę zdesperowana.

- Alicjo, prędzej wyschnie ocean, niż Abba przejmie władzę w Twierdzy Kimerydu. Nie chodzi nawet o Teobalda, ale o to, jak są tutaj zbudowane układy. Myślałem, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- A ty z tego, że nie nadajesz się do kierowania tą rodziną. Umiesz zdobywać pożywienie, ale na tym twoje umiejętności się kończą.

Prychnąłem.

- Dziękuję ci bardzo. Rzecz w tym, że na razie wymieniasz puste frazesy zamiast konkretnych argumentów.

Puściłem ją i odwróciłem się w stronę plaży. Byliśmy po kolana w wodzie. Alicja ciężko oddychała, krztusząc się krwią.

Ta sytuacja pokazała mi, że nie powinienem lekceważyć Abby. Nie mogłem doprowadzić do rozłamu w mojej rodzinie, chociaż po tej bójce wszystko niebezpiecznie do tego zmierzało.

- Wiesz, jakie są konkretne argumenty? - krzyknęła za mną łamiącym się głosem. - Nie jesteśmy ci do niczego potrzebni! Sam wybrałeś sobie rodzinę, a są nią: Tycjan, Tulusz i Teobald!

- Aha, więc ciągle trawisz ten sam temat, tak? Mój wkład w promowanie Straży Wąwozu w Europie? Zrobiłem to tylko dla pieniędzy i dla Taniela. Nie było nas na niego stać!

- Wolałabym, żebyś jednak udusił go poduszką, niż pozwolił mu żyć w świecie, w którym nigdy nie będziemy nikim więcej poza służącymi! Dzikie drapieżniki na krótkiej smyczy Teobalda Elasmosa! Wmówił ci, że nie ma dla nas żadnego innego miejsca poza Strażą Wąwozu, że musimy dla niego zabijać i walczyć, żeby zasłużyć na skrawek ziemi dla siebie. Tymczasem to my powinniśmy rządzić miastem!

- Więc idź rządzić, Alicjo. Proponuję ci od razu skierować się prosto do kapłanów i zaproponować im swoją kandydaturę na stanowisko burmistrza. Kiedy cię wybiorą, możemy znowu wrócić do tego tematu, ale nie wcześniej.

Zaczekałem na brzegu, aż siostra wygramoli się z wody.

Przemieszczała się na kolanach, sztywno wyprostowana. Złamane żebro musiało sprawiać jej ból. Dopiero gdy wyszła na piasek, ująłem ją pod ramię i wziąłem na ręce. Nie protestowała. Walka ze mną ją wykończyła.

Wiedziałem, że ta rozmowa jeszcze nie dobiegła końca. Za ledwie dotknąłem wierzchołka góry lodowej.

W domu czekała na nas matka. Z troskliwą miną odebrała ode mnie Alicję i zaniósła ją do salonu na kanapę. Taniel i Aneta obserwowali nas ze szczytu schodów. Pewnie Terra kazał im zostać w ich pokojach, ale go nie posłuchali.

- Co jej się stało? - zapytała matka, posyłając mi płochliwe spojrzenie przez ramię.

Czarne kędziory opadły jej na czoło. Łuski ciągnęły jej się przez szyję i dekolt, ale ręce miała pokryte normalną skórą. Nosila złote bransolety na nadgarstkach i okrągłe kolczyki w uszach. Jej przewiewna żółta sukienka była wyszywana czerwoną nitką w nieforemne kwiaty, te same, które uprawiała w naszym ogrodzie na skarpie. Włosy upięła czerwoną chustką w wysoki kok na czubku głowy. Wydała mi się teraz podobna do Alicji, a zarazem bardziej krucha niż Aneta, której stanowcze rysy utwardzały oblicze, współgrając z upiorną klawiaturą zębów wystających jej z ust.

- Niech sama się pochwali - zakpiłem.

Poszedłem prosto do łazienki, nie odwracając się za siebie. Jedną ręką puściłem wodę pod prysznicem, a drugą zdjąłem podkoszulek i wrzuciłem go do pralki.

- Tyrs, nie możesz więcej jej tak traktować. One nie są gorsze, bo są kobietami.

Terra wgramolił się za mną do łazienki.

- Chcę się wykąpać - oznajmiłem chłodnym tonem.

- Nie wyjdę, dopóki nie porozmawiamy.

Zacząłem rozpinąć spodnie.

- Jesteś upartym małym draniem - uświadomiłem go, wchodząc pod prysznic.

Oczy brata rozbłysły takim samym pomarańczem jak mój. Opanował się resztką silnej woli i tylko jego mina powiedziała mi, jak bardzo chciał mi skoczyć do gardła. Idealnie dobrali się z Alicją. Zasunąłem mu drzwi od kabiny przed nosem.

Zimna woda spłynęła mi po głowie i karku; westchnąłem zszokowany różnicą temperatur. Dopiero po chwili, gdy chłodny strumień rozprzestrzenił się po moim ciele, prysznic sprawił mi przyjemność.

- Nie zamierzam zniżyć się do twojego poziomu.

- To po co tu za mną wlałeś, panie profesorze?

- Alicja uważa, że powinniśmy dołączyć do Abby na pustyni.

- Sądzę, że mają tam dużo interesujących książek w miejscowej bibliotece - zakpiłem.

Nalałem sobie szamponu na głowę; pienił się pod palcami.

- Nie powiedziałem, że się z nią zgadzam. Nie cierpię pustyni i nie wyobrażam sobie siebie ani wśród ludzi Abby, ani tym bardziej w roli strażnika wawozu, w morderczym

upale gotującego się w zbroi.

- Wiem, że jesteś leniem, Terra - uświadomiłem go znowu, przekrzykując szum prysznic.

- Uderzyłeś Alicję.

- Chciała mnie udusić.

- Wszyscy czasami chcemy. Tyrs, ja nie chcę skończyć tak jak ty. Chcę się dalej uczyć. Mógłbym się uczyć całe życie.

- Jak Anna Guiteerez - zażartowałem. - A teraz do rzeczy. Co obiecała ci Abba?

- Mnie nic nie obiecała. Próbowala, ale jestem od niej mądrzejszy. - Drwiąca nuta w głosie brata sprawiła, że wyjrzałem zza drzwi prysznic i obdarzyłem go zaciekawionym spojrzeniem, unosząc brew.

- To znaczy?

- No wiesz... - Terra przewrócił oczami. - Ona nie jest zbyt odcytana ani nie zna się na europejskiej kulturze. To po prostu kobieta z nizin społecznych, która nie jest w stanie zbyt wiele mi zaoferować. Nie chcę władzy w mieście, nie chcę się mścić ani udowadniać społeczności Twierdzy naszej wyższości. Za to chcę więcej wiedzieć i po szkole wyjechać na Uniwersytet. Nie marzę o Europie, choć ma wspaniałą historię i wydała na świat wielu ważnych naukowców i artystów. Wystarczy mi Afryka. Szkoda, że Miasto Krokodyli zamknęło Uniwersytet, ale za to my możemy otworzyć swój.

Piana z szamponu spłynęła mi wzdłuż karku i kręgosłupa aż do pośladków. Uwiesiłem się parawanu, bo z wrażenia zabrakło mi sił.

- Marzysz o własnym uniwersytecie w Twierdzy Kimerydu? - upewniłem się.

- Sam powiedziałeś, że jestem jak Anna Guiteerez. *À propos*, od pewnego czasu zbieram się, żeby cię poprosić, byś zapisał mnie do niej na dodatkowe lekcje. W zamian za to przestanę kontaktować się z Abbą.

- Mały intrygant.

- Uczę się od najlepszych. - Wyszczerył zęby w uśmiechu. - Mam na myśli: po co mam bratać się z innym analfabetą, skoro mniej więcej oswoiłem ciebie?

- Mały, bezczelny intrygant.

- A wracając do tematu: musisz popracować nad swoimi kontaktami z kobietami. Są fatalne, źle z nimi postępujesz.

- Mały, bezczelny i arogancki intrygant.

- To jak będzie, Tyrs? Zapytasz o mnie Annę?

- Już, kurwa, biegnę.

Uśmiechnął się do mnie najszczęśliwszym uśmiechem świata.

- Dziękuję, Tyrs, na ciebie zawsze można liczyć! I zamknij drzwi od prysznic, bo parujesz na całą łazienkę!

Pomachał mi na pożegnanie, a ja rzuciłem w niego gąbką.

„Wielki naukowiec, a gównieście o życiu! - pomyślałem. - I ja nie umiem postępować z kobietami? Proszę bardzo, jak jest słodko!”

Matka masowała mi stopy, a Anetka piłowała paznokcie

u lewej dłoni. Prawą sprawdzałem SMS-y. Aż pięć od Tycjana i nawet jeden od Teobalda (więc od prawie wszystkich członków mojej domniemanej rodziny). Trzy od nieznanymi numerów. Najpierw sprawdziłem te nieznanne.

„Tyrs, dlaczego nie odbierasz moich telefonów? Odezwij się do mnie, cała płonę! Aldona”. Kurwa, zdążyłem zapomnieć, że przespałem się z babką od geografii.

Jak nakabluje Aspazji, będę musiał się tłumaczyć wszystkim znanym osobom w mieście, a Teobald obetnie mi pensję. Musiałem coś odpisać. W sumie mogłem ją jeszcze raz stuknąć dla świętego spokoju i potem na przykład odstąpić Tycjanowi.

„Spotkamy się jutro po lekcjach. Dzisiaj nie mogę, spędzam czas z rodziną”.

„Założę te czerwone majteczki, które tak ci się podobały”, odpisała od razu.

Przyjąłem to do wiadomości i otworzyłem następny SMS.

„Tyrs, przemyślałam twoją propozycję. Możemy wybrać się na spacer po molo w porcie. Arleta”.

Och, to interesujące. Podbijałem do Arlety od pierwszej klasy liceum i dopiero w ostatniej zdecydowała się mi ulec. Na stówę była dziewczicą. No, ale była też córką dyrektorki. Poświęcę się dla dobra ludzkości i wszystkich raptorów afrykańskich.

„Jutro dogadamy szczegóły w szkole. Dzięki, cześć!”

Arleta nie odpisała, i bardzo dobrze. Przynajmniej nie zaśmiecała mi skrzynki.

„Może będziesz chciał towarzyszyć naszemu wspólnemu

znajomemu Tuluszowi Donnerowi w trakcie jego występu z pterodaktylami w moim domu rozrywek? Obowiązuje strój wieczorowy. Tym razem zapraszam cię z osobą towarzyszącą. Zadar Mellanito”.

Jeszcze jego mi tutaj brakowało! W pierwszej chwili zamierzałem skasować ten SMS, ale ze względu na Tulusza postanowiłem to jednak przemyśleć. W tym wypadku koniecznie powinienem podzielić się tą informacją z Tycjanem. A właśnie, Tycjan.

Aneta skończyła piłować mi ostatni paznokieć i zaczęła się domagać, żebym wymienił rękę. Przełożyłem więc komórkę do lewej dłoni i włożyłem prawą do wody z solą zmiękczającą naskórki.

„Ty lepiej dogadujesz się z moim ojcem” – odczytałem odpowiedź Tycjana na mój ostatni SMS.

„Boję się tego, co dzieje się z Tuluszem. Albo raczej co dzieje się ze mną”.

„Całowałem się z Tulią”.

„Czy z tego powodu nie zamierzasz się teraz do mnie odzywać?”

„Wrócił ojciec. Jest pijany jak świnia i dobijał się do pokoju Anny Guiteerez. Posłała go do wszystkich diabłów”.

Nadmiar rewelacji mnie przytłoczył, a jeszcze czekał mnie SMS od Teobalda, prawdziwa torpeda:

„Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, Tyrs”.

Matka przyniosła mi drinka z zielonych bananów. Wypiłem

go duszkiem i poprosiłem o następnego. Bolała mnie głowa. Zaczynałem myśleć, że w porównaniu z moimi przyjaciółmi byłem ostatnio aż podejrzanie bezproblemowy. Nagła deklaracja ze strony pijanego Teobalda wyprowadziła mnie z równowagi – nie wiedziałem do końca, jak się z nią czułem. Z jednej strony nie umiałem mu wybaczyć, że nie chciał mi sprzedać ziemi w mieście, a z drugiej jego rola w moim życiu najbardziej odpowiadała roli ojca. Tak naprawdę wszystko mu zawdzięczałem: gdyby się mną nie zaopiekował i nie zaproponował pracy w Straży Wąwozu, pewnie skończyłbym jako profesjonalny żebrak pod świątynią uniwersalnego boga, a Alicja jako portowa dziwka, podobnie jak nasza droga babka. Terra, Aneta, a tym bardziej Taniel nie mieliby żadnych szans na przeżycie.

Zadzwoiłem do Tycjana. Odebrał dopiero po piątym sygnale.

- Przepraszam, miałem awanturę z Alicją. Chciała mnie udusić.

- Widzę, że nie tylko ja mam dzisiaj kiepskie popołudnie.

- Jak się czuje Teobald?

- Położyłem go spać, ale zrzędzi i się wygraża. Wspomina też moją matkę, a tego nie potrafię znieść.

- Dobra, zaraz przyjadę, pogadamy.

- Dzięki, stary.

Rozłączyłem się i wstałem z fotela. Przez cały ten czas matka stała obok mnie i przyglądała mi się, przekrzywiając głowę. Jej figlarny, dziecięcy wzrok wzbudzał we mnie złość. Z taką samą beztroską pieprzyła się z facetami i zabijała

własne dzieci. Z taką samą bez troską odejmowała nam jedzenie od ust, żeby miała siłę ruszyć do miasta i nadal wabić do siebie facetów.

Dużo czasu zajęło mi jej wychowanie - była w lekkim stopniu upośledzona umysłowo, ale też w typowo gadzi sposób egoistycznie nastawiona do swojej roli w stadzie. Kilka razy proponowała mi już seks, żeby zostać moją prawną partnerką. Taki mały szczegół, że była moją matką, a poza tym szczerze jej nie znosiłem. Nie mogłem nawet na nią spokojnie patrzeć. Terra nie rozumiał tego, co przeżyłem, nie wiedział, do czego była zdolna jego biedna, stłamszona mamusia, która tylko czekała na odpowiednią okazję, żeby zerwać się ze smyczy.

- O coś ci chodzi? - zapytałem, tłumiąc w sobie warknięcie.

- Dlaczego pobiłeś Alicję?

Dziwki zawsze trzymają się razem.

- Nie pobiłem Alicji. To ona mnie zaatakowała i się broniłem.

- Jesteś od niej silniejszy, wiedziałeś, że zrobisz jej krzywdę. Chciałeś to zrobić.

- Tak, chciałem. Jesteś zadowolona?

- Następnym razem przegryzę ci gardło we śnie.

„O co im chodzi z tym moim biednym gardłem? Nie mogła na przykład powiedzieć, że wyrwie mi serce?“, pomyślałem.

Podszedłem do niej i złapałem ją za kark. Skuliła się w sobie. Groziła mi, mimo że się mnie bała.

- Proszę bardzo, a potem wszyscy zacznijcie prostytuować się w porcie - wyszeptałem jej do ucha i odepchnąłem ją od siebie, z obrzydzeniem ocierając dłonie o uda.

Wieczorem paliliśmy z Tycjanem papierosy na balkonie dobudowanym do jego pokoju. On popijał też drinka z lodem w szklaneczce z rżniętego szkła, nerwowo odgarniając grzywkę z czoła. Przejmował się swoim ojcem prawie tak samo jak Tuliuszem - bez względu na to, jak bardzo udawał, że było inaczej.

- Wiesz co, ja nie mam pomysłu, jak wyjaśnić twoją relację z Tuliuszem. Albo, stary, mam, ale nigdy nie chciało mi to przejść przez gardło.

- Teraz proszę cię o szczerość. W końcu w tym jesteś najlepszy.

Papieros przestał mi smakować. Gryzłem jego gorzkawą końcówkę. W oddali migotały światła miasta, a elasmozaurowe rozpoczynały swój nostalgiczny koncert w zatoce. Pomyślałem o Anecie i jej zamiłowaniu do smutnych piosenek o miłości, których nigdy nie pojmowałem, a przy których Tycjan czasami się wzruszał jak dziewczyna przed pierwszym stosunkiem. Tulia też lubiła słuchać płyt Francuskich, tak jak Tuliusz.

- Tycjan, czuję się niezręcznie, że ja ci to muszę powiedzieć. Obiecuj, że kiedyś zrobisz to samo dla mnie.

- Ale budujesz napięcie - zakpił, krzywiąc się od

mocnego drinka.

- Zakochałeś się w Tuluszu Donnerze. Sądzę, że już dawno temu, zanim zamienił się w pterodaktyla.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, a potem Tycjan parsknął śmiechem. Śmiał się tak długo, że aż jego śmiech przeszedł w łzy, a on osunął się na balkonowe płytki, przyciskając czoło do barierki. Zgasilem niedopałek papierosa i wyrzuciłem go w ciemność.

Nie mieliśmy z Tycjanem nastrojów do prowadzenia rozmów. Jakiś czas w milczeniu posiedzieliśmy więc na balkonie, a potem schowaliśmy się w jego salonie i do późnych godzin nocnych oglądaliśmy filmy. Byłem potwornie zmęczony, kleiły mi się oczy. Tycjan zasnął w trakcie ostatniego filmu z głową wspartą na moim kolanie. Nie miałem zamiaru wychodzić z jego pokoju, ale było mi duszno; ogarnęła mnie też ciekawość, jak się trzymał Teobald. Zostawiłem więc przyjaciela drzemiącego na kanapie, podłożywszy mu pod głowę poduszkę.

Wyszedłem na klatkę schodową i skierowałem się do góry w stronę pokoju Teobalda. Przy ołtarzyku raptora natknąłem się na Annę Guiteerez, drżącą dłonią popijającą wodę ze szklanki. Siedziała na ściiennej półce pod ostrym łukiem zdobionym kolorowymi freskami. W pierwszym momencie zrobiłem ruch, jakbym zamierzał się wycofać, ale zdążyła mnie zauważyć i utkwić we mnie spłoszone spojrzenie. Zamarłem bez ruchu i ostrożnie przestąpiłem

z nogi na nogę.

- Dobry wieczór - burknąłem, bo nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

- Dobry wieczór, Tyrs.

Nasze milczenie było aż nazbyt wymowne. Nic nie potrafiłem na to poradzić, że Anna Guitierrez mnie onieśmiałała. Pewnie chodziło o to, że była tak wykształcona i pewna siebie i że pisała o mnie artykuły, i zainicjowała asymilacyjną konferencję... Asymilacyjna. Co to w ogóle za słowo? Tak przerażająco akademickie, że może pasowało tylko do kochanego Terry, ale na pewno nie do mnie. Nie kłamałem, mówiąc, że jej starania nie miały nic wspólnego z prawdziwym życiem i że śmiałem się z treści jej wykładów na mój temat. Mimo to szanowałem jej inność i odwagę w mówieniu prawdy.

Sam fakt, że cesarz krwawo stłumił kierowane przez nią pokojowe ruchy, świadczył o tym, że miała przebicie i ludzie słuchali jej słów. Zauważyłem to też na lekcjach. Nie żebym nie chciał się zdrzemnąć, ale po prostu mówiła w tak ciekawy sposób, że mimowolnie patrzyłem na ścianę, gdzie wyświetlała zdjęcia i filmy o wybranej epoce literackiej, albo, co gorsza, patrzyłem na nią, bo lubiłem na nią patrzeć. Było w niej coś tak pociągającego, że nie umiałem jej ignorować, nie umiałem być wobec niej chamski, chociaż czasami bardzo się starałem. Daleko mi było jednak do szczytów mojej arogancji i wszyscy to zauważyli. Szczególnie Aspazja, która gratulowała mi silnej woli i w coraz bardziej różowych barwach widziała moje przyszłe czerwcowe egzaminy. Chyba

jej się coś przyśniło.

W każdym razie Anna była Anną i to w pewnym sensie czyniło ją nietykalną.

- Dlaczego pani jeszcze nie śpi? Jest bardzo późno - powiedziałem, odchrząkując dla dodania sobie animuszu.

- Obchodzi cię to? - Zaczepna odpowiedź nieco zbiła mnie z pantałyku.

- Szczerze powiedziawszy, nie, ale staram się być uprzejmy - zauważyłem z wyrzutem.

- Rzeczywiście, Tyrs, uprzejmość to twoja mocna strona.

- Tak, zaraz po rycerskości.

Nawiązałem tym do tego, jak wyłudziłem od niej pieniądze w pierwszy dzień jej pobytu w Twierdzy, a także do tego, jak ostatnio zupełnie przypadkiem nakryła mnie i babkę od geografii na szkolnym strychu. Przyszła tam po zapasowy projektor, bo ten z jej klasy się zepsuł. Z kamienną twarzą poprosiła mnie, żebym zniósł go na dół. Zrobiłem to, choć nie do końca wiem dlaczego. Podejrzewam, że swoją niezłomnością Anna po prostu mnie zawstydziła. Albo zwyczajnie nie umiałem jej się oprzeć - nawet w takiej sytuacji, a może zwłaszcza w takiej...

- Twój urok osobisty zapiera mi dech w piersi - zakpiła. - Usiądziesz?

Wskazała dłonią miejsce obok siebie. Właściwie mogłem sobie na chwilę usiąść. Wielkie mi co. Pewnie Teobald smacznie spał.

- Dobrze, ale jak pani wie, nie jestem też najmiłym rozmówcą.

Przesunęła się na skraj półki i usadowiłem się obok niej. Nagle zaczęły mi przeszkadzać dziury na kolanach moich jeansów i pognieciony podkoszulek: zwyczajny, czarny, bez żadnych bajerów. Też mi się to nie podobało.

- Nie szkodzi. Potrzebuję towarzystwa. Nadajesz się.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo jesteś moim Tyrsem Molliną i to ja cię odkryłam. Może nawet gryziesz, jak na prawdziwego raptora przystało, ale to wciąż nie zmienia faktu, że po prostu cię lubię. Od czasu do czasu, kiedy nie wystawiasz kłów.

- To chyba bardzo rzadkie momenty. - Wzruszyłem ramionami mile połączony jej komplementem i również tym, że nazwała mnie swoim Tyrsem. - Ale dziękuję.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie wiedziałem, co zrobić z oczami. Najchętniej gapiłbym się na jej dekolt, i to nie tylko gapił. Teraz pomyślałem, że Terra jednak miał rację - faktycznie nie radziłem sobie z kobietami.

- A właśnie - dodałem olśniony - mój brat dzisiaj o panią pytał.

- Tak? A w jakim celu? Marzy o wygodnym miejscu do spania?

Tym razem to ja się uśmiechnąłem.

- Wcale tak często u pani nie śpię. Może z raz mi się zdarzyło. Potem mnie w snach prześladują angielscy poeci.

- Przykro mi, że wprowadzam dyskomfort w twoje uporządkowane życie.

- To dobrze, że dostarcza mi pani jakiejś rozrywki - ciągnąłem tym samym nonszalanckim tonem. - A wracając

do tematu: Terra ma dziesięć lat i już przeraża mnie jego żądza wiedzy. Interesuje się szczególnie językiem globalnym. Prosił mnie, żebym załatwił z panią lekcje. Zapłacę.

Spoglądała na mnie z powątpiewaniem, ale w końcu cicho się roześmiała.

- Ty dla odmiany chcesz płacić mnie? Chyba nie przepuszczę tej okazji. Podeślij do mnie tego młodzieńca. Jak rozumiem, też jest takim gentlemanem jak jego starszy brat?

- Właśnie nie. Myślę, że będzie pani zachwycona Terrą. Idealnie do siebie pasujecie.

- Idealne dopasowanie jest nudne, panie Mollina. Dobrej nocy. Będę czekać na młodego Terrę i już się cieszę na to spotkanie.

Wstała i z uśmiechem skierowała się w stronę swojego pokoju. Utkwiłem wzrok w jej pośladkach, ale niewiele zobaczyłem z powodu szerokiego szlafroka. Żałowałem, że już sobie poszła, i w panice przeszukiwałem myśli, żeby coś jeszcze powiedzieć. Coś błyskotliwego, jak to sam określiłem przy naszym pierwszym spotkaniu. Niestety nic takiego nie przyszło mi do głowy i po raz pierwszy w życiu żałowałem, że byłem tak nieokrzesanym prostakiem.

- Dobranoc - mruknąłem.

W pokoju Teobalda wręcz cuchnęło alkoholem. Do tej pory nigdy nie widziałem, żeby był pijany. Ba, do tej pory nie widziałem, aby okazywał jakąkolwiek słabość. Gdy tylko go zobaczyłem, zrozumiałem, że nie powinno mnie tutaj być.

Nie zasługiwałem na to, żeby oglądać go w takim stanie. To było zbyt intymne - jak przebieranie gorączkującego, spoconego Taniela w nocy albo bolesne czyszczenie zębów Anety z resztek jedzenia.

Burmistrz szperał w szufladach swojego biurka, rozrzucając papiery po pokoju. Chwiał się przy tym, jakby ziemia się pod nami ruszała. Mamrotał coś do siebie, co chwila używając przekleństwa zamiast przecinka. Przewrócił fotel i stolik, na którym stały kwiaty w wazonie. Leżały teraz podeptane na dywanie, a z potłuczonego naczynia sączyła się woda.

Podszedłem do niego i ująłem go pod ramię. W pierwszej chwili zamierzał mnie odepchnąć, ale mnie rozpoznał i tylko z kolejnym przekleństwem na ustach wrócił do przetrząsywania papierów w szufladzie.

- Gdzieś tutaj były... - mrucał.
- Czego szukasz? Pomogę ci - zaproponowałem.
- Listów Arabelli od jej siostry Cery.

Uniosłem brew. Przez moment rozważałem, czy naprawdę chciałem być w to zamieszany, żeby ostatecznie stwierdzić, że w ewentualnej rozgrywce przeciwko Teobaldowi przyda mi się każdy as w rękawie.

Przykucnąłem obok niego i wyjąłem drugą szufladę z szyn. Burmistrz wszystkie dokumenty trzymał w teczkach oznaczonych kodami. Otworzyłem pierwszą z brzegu i akurat trafiłem na zrobione z bardzo bliska zdjęcie Anny. Stała za katedrą w granatowym zakiecie i pokazywała wskaźnikiem na wyświetlane na ścianie zdjęcie. Teobald przykleił do niego

małą żółtą kartkę z komentarzem „Skąd pochodzi Anna Guiteerez?”.

Pogłaskałem zdjęcie palcem wskazującym i otrząsałem się, jak po wyjściu z wody. Siadało mi na głowę. Musiałem dostać udaru, śpiąc na plaży z Anetką. Przewróciłem stronę i zobaczyłem mapę Europy z oznaczonymi na niej granicami nieistniejącego już kraju podpisanego jako Polska. Anna pochodziła z jakiejś Polski. Musiałem ją o to koniecznie zapytać. Koniecznie w trakcie lekcji, żeby nie umiała się wykręcić od odpowiedzi.

- Znalazłem! Tyrs, przynosisz mi szczęście! - krzyknął Teobald, machając mi przed oczami plikiem kopert zaadresowanych wyraźnym, pochylonym pismem.

Wydało mi się dziwnie znajome. Zaintrygowany odłożyłem teczkę Anny do szuflady, ale zapamiętałem jej oznaczenie: AYG 15 75.

- Skończ już ze składaniem kretyńskich deklaracji - zirytowałem się i pomogłem mu wstać. - I tak ci nie wierzę, a co ważniejsze: ty sam sobie nie wierzysz.

Parsknął śmiechem, po przyjacielsku klepiąc mnie po ramieniu. Jego elegancka koszula była pognieciona i śmierdziała alkoholem, a jedwabne spodnie rozdarły się w nogawkach, jakby burmistrz nieumiejętnie wspinał się po drzewach, co - zważywszy na jego kiepski stan - wydawało się całkiem prawdopodobne.

- Ale to prawda. W tym mieście tylko ciebie jednego jestem pewny. Wierzę w ciebie, Tyrs.

- Powinieneś raczej być pewny Tycjana. Ja mam własne

interesy. – Uznałem, że to był po prostu taki dzień szczerości i wszyscy na nią zasługiwali – począwszy od Alicji poprzez Terrę, matkę i Tycjana, na samym Teobaldzie skończywszy.

– Tycjan jest skażony. – Burmistrz objął mnie ramieniem.
– Jest potworem, którego stworzyła Arabella. Nie umiem traktować go jak syna, chociaż nie robię nic innego, tylko ciągle się staram, by było inaczej. Dałem mu wszystko, co tylko ojciec może dać synowi, ale to niczego nie załatwia. Jestem pusty w środku. Rozumiesz? Rozumiesz, Tyrs?

– Być może – odpowiedziałem, lekko go od siebie odsuwając; jego oddech cuchnął alkoholem. – Jesteś pijany. To rozumiem na pewno. Chodź, położymy cię do łóżka.

Pozwolił mi się prowadzić. Był posłuszny jak małe dziecko. Kurczowo ścisnął w dłoni pęk listów spiętych czerwoną gumką.

– Tutaj jest wszystko. Cała prawda o Arabelli i jej knowaniach w Twierdzy – wymamrotał sennym głosem.

Przeprowadziłem go do drugiego pokoju i od razu skierowaliśmy się do łóżka, które przezornie było naszykowane do spania.

Pomyślałem, że powinienem zainteresować się tymi listami i choć na chwilę rzucić na nie okiem, kiedy burmistrz zaśnie. Na razie skupiłem się jednak na szczęśliwym doprowadzeniu go na posłanie. Kurczowo uczeplił się mojego podkoszulka, zwijając dłoń w pięść.

– Przypomniało mi się, kiedy rzucałem kostką w kasynie Zadara. Arabella często opowiadała mi o swojej siostrze, która została w Europie. Zdolna tak jak ona, odcytana tak jak

ona i podobno tak samo przemądrzała. Ich ojciec pracował w Ministerstwie Zdrowia i Zaawansowanej Farmaceutyki, ale zginął w trakcie zamieszek w jakimś mieście na wschodzie Europy. Matka ponownie wyszła za mąż za głównego dostawcę narkotyków na dwór cesarza. To dzięki niemu Arabella osobiście poznała cesarza i dostała się do ścisłego grona jego naukowców...

- Jak na pijanego mówisz niezwykle składnie - zadrwiłem.

- Poznałem ją, Tyrs. To ona.

- Kto? - zapytałem.

Jego odpowiedź zagłuszył odgłos eksplozji. Obaj zamarliśmy w bezruchu. W oknie rozbłysła czerwona łuna, która objęła sporą część miasta. Teobald usiadł na skraju łóżka i oparł łokcie na kolanach. Drżały mu ręce. Możliwe, że właśnie w ekspresowym tempie wytrzeźwiał. Podszedłem do okna. Odtworzyłem w głowie mapę Twierdzy i chociaż miałem ochotę się uśmiechnąć, stłumiłem w sobie wesołość, gdy pomyślałem o konsekwencjach podpalenia świątyni boga-raptora. Kapłańska część miasta została pochłonięta przez ogień. Rozdzwonił się telefon Teobalda. Nie umiał wyciągnąć go z kieszeni spodni, więc mu pomogłem i przelotnie zerknąłem na wyświetlacz. Zadar Mellanito. Cudownie. Gdyby tylko burmistrz był w stanie odebrać...

- Tyrs, musisz mnie zastąpić. - Teobald oddał mi telefon.
- Wróć do Straży i pokieruj Treweriuszem i Policją Trojana. Uspokój Zadara.

- Jesteś, kurwa, pijany! - Nie wierzyłem własnym uszom.

- Poza tym Tycjan...

- Nie, nie Tycjan. Ty. W pierwszej szufladzie mojego biurka znajdziesz mój pierścień burmistrza. Do jutra sprawujesz władzę w tym mieście.

- Wysyłasz półraptora do gaszenia ognia w dzielnicy kapłanów?! To oni w religijnym akcie wygnali moją babkę na pustynię na pewną śmierć!

- Powinieneś być im za to wdzięczny, czyż nie? A teraz idź. Twierdza płonie.

Położył się na łóżku i podkurczył nogi. Zapomniał o pliku listów, który zsunął się na podłogę. Jego głowa ciężko opadła na poduszkę; szarpałem go za ramię, lecz nie reagował. Ze złości wyjąłem jeden list z pakietu spiętego gumką i wsunąłem do kieszeni jeansów. Skoro już Teobald dzielił się ze mną władzą, mógł też podzielić się ze mną swoimi tajemnicami.



Oddzwoniłem do Zadara z komórki burmistrza.

- Nareszcie! Podobno Krokodyle podłożyli ładunek

wybuchowy pod świątynią. Musisz natychmiast zareagować!

- Jeśli to prawda, Straż Wąwozu będzie cię potrzebować, komandorze Mellanito - odparłem.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Zadar nie umiał odzyskać głosu.

- Ale jak...?

- Do jutra ja zajmuję się porządkiem w Twierdzy. Kiedy potwierdzę, kto stoi za zamachem, będę cię prosił, żebyś połączył się z cesarzem i przekazał mu wieści.

- Tyrs Mollina - wypowiedział Mellanito takim tonem, jakby właśnie ogłaszał zmianę na stanowisku europejskiego cesarza.

W jego głosie poza zaskoczeniem wyraźnie pobrzmiwało też zadowolenie. A potem się rozłączył.

ROZDZIAŁ 8

Tycjan

Śniłem dziwny sen o oceanie, którego dno pokrywały wystające płyty nagrobkowe. Pamiętam, że się zdziwiłem, płynąc nad nimi razem z Tacjanem, bo przecież przestaliśmy grzebać zmarłych. Jedna z płyt należała do Arabelli Donner. Miałem piętnaście lat, kiedy mój ojciec skazał ją na śmierć. Powieszono ją na placu przed świątynią boga-raptora, ale wcześniej zdążyła jeszcze wykrzyczeć nacjonalistyczne hasła i szydzić ze społeczności Twierdzy, którą nazwała „hołotą w służbie cesarza”. Jeden z kapłanów zripostował:

- Widzisz tu gdzieś cesarza? Właśnie - i nie zobaczysz!

Po czym opuścił zapadnię i Arabella zaczęła się dusić na sznurze. Najzwyczajniejszym sznurze bez żadnych genetycznych modyfikacji, jak to kiedyś określił ów kapłan na swoim kazaniu, *notabene* przy okazji święta uniwersalnego boga. Cała świątynia zaniosała się śmiechem, a Tulusz wyszedł w trakcie odśpiewywania psalmów. Ruszyłem jego śladem i zaproponowałem, że pojedziemy do portu do któregoś z teatrów Zadara obejrzeć przedstawienie i o wszystkim zapomnimy.

- Wolałbym zostać teraz sam - powiedział wtedy, jednak

nie uszanowałem jego nastroju.

Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym opuścić go w takiej chwili.

- Zobaczysz, że będzie fajnie.

Nic nie odpowiedział, bo nie umiał mi się przeciwstawić. O to właśnie chodziło. Tak naprawdę Tulusz nie chciał być ze mną - po prostu nie umiał mi się przeciwstawić.

Kamienna płyta się odsunęła i trup Arabelli podpłynął w moim kierunku.

- Tacjan! - zawołałem brata, ale gdy się wokół siebie rozejrzałem, okazało się, że dawno odpłynął.

Odwróciłem się w stronę Arabelli. Znajdowała się blisko mnie. Jej falowane kasztanowe włosy unosiły się na wodzie jak skrzydła płaszczy. Doskonale widziałem jej twarz, chociaż ostatni raz z takim przejęciem patrzyła na mnie chyba wtedy, gdy wprowadzała się do naszej willi. Była podobna do Tulusza - albo raczej do Tulii. Wtedy zrozumiałem, że Tulia wybrała rudy kolor włosów, aby upodobnić się do matki. Wydało mi się to tak oczywiste, że aż roześmiałem się do siebie we śnie, nie pojmując, dlaczego wcześniej tego nie spostrzegłem.

Zanim zdążyłem jednak wykonać obrót w wodzie, Arabella chwyciła moją rękę i pociągnęła mnie w swoją stronę. Próbowałem się wyrwać, jednak okazała się bardzo silna. Ciągnęła mnie za sobą w głąb piaszczystego dna. Drobinki piasku wbijały mi się w skórę, wpadały do nosa i ust, sklejały rzęsy, aż w końcu nic już nie widziałem. Czuję tylko, jak porusza się po mnie ziemia, a ja powoli

przeistaczam się w morskie dno.

Obudził mnie odgłos eksplozji. Mój pokój nagle zalała czerwona łuna, rozbłyskując pod moimi powiekami jak noworoczne fajerwerki. Uniosłem się na łokciu zdumiony, że nie pochłonał mnie piasek. Bolał mnie kark od niewygodnego leżenia w jednej pozycji. Sturlałem się z kanapy na dywan i otarłem twarz dłońmi. Podszedłem do okna na czworakach. Wciąż nie wiedziałem jeszcze, co tak naprawdę się dzieje. Widok ognia trawiącego świątynię raptora otrzeźwił mnie bardziej niż najchłodniejszy prysznic. Część dzielnicy kapłanów również stanęła w płomieniach.

A ojciec leżał pijany w swoim pokoju.

Z trudem przełknąłem ślinę. To była katastrofa!

Chwiejnym krokiem wyszedłem na korytarz. Z góry wychylała się Anna Guiteerez i kiedy skrzyżowała swój wzrok z moim, przyzwała mnie dłonią. I tak zmierzałem w jej kierunku. Ojciec mieszkał dwa piętra nad nią.

- Co się dzieje? - zapytała, zastępując mi drogę.

- Świątynia płonie. Muszę obudzić ojca.

- Nic z tego. Teobald nie wstanie - odpowiedział Tyrus i oboje z Anną spojrzeliśmy na schody nad nami.

Przyjaciół trzymał w dłoni komórkę mojego ojca. Od razu rzuciło mi się w oczy, że założył na szyję łańcuch z sygnetem władzy burmistrza.

- Rozum ci odebrało? - warknąłem rozdrażniony tym widokiem.

- Nie mnie, tylko Teobaldowi. Do jutra sprawuję władzę w mieście w jego imieniu. Zbieramy się do garnizonu. - Tyrs nieznacznie wzruszył ramionami, jakby nic się nie wydarzyło.

Spoglądałem na niego z niedowierzaniem, które powoli zastąpiła uraza, a potem wściekłość.

- Nie, to ty się zbierasz do garnizonu. Ja jestem odsunięty od spraw Straży za to, że uderzyłem Zadara w twarz.

- W takim razie dzięki mojej przejściowej władzy przywracam ci wszystkie twoje uprawnienia i obowiązki - odparł. - I rozkazuję ci towarzyszyć mi i pomagać, zanim Teobald przejmie od nas z powrotem pierścienie. Pomyśl, ile nam to daje możliwości...

- Zamknij się, Tyrs!

Miałem ochotę pięścią zetrzeć mu ten obrzydliwie zakłopotany wyraz z twarzy, a potem wywlec ojca z łóżka i wsadzić mu pierścień do gardła.

- Miasto płonie, a wy się obrażacie o to, komu Teobald okazał większą łaskę? - wtrąciła Anna. - Już widzę, jak będzie przebiegała wasza wspólna akcja ratunkowa.

Jej szydery ton na nas obu podziałał jak płachta na byka.

- Z jakiej racji się pani wtrąca? - burknął Tyrs i to wszystko, na co było go stać wobec tej kobiety. Wielki, zły raptor tracił zęby.

- Ktoś musi się wami zająć, bo zrobicie coś głupiego - zripostowała.

- Na pewno nie zabierzemy pani do garnizonu -

oznajmiłem stanowczym tonem. – To, że może pani robić z Tyrsem, co jej się tylko podoba, nie oznacza, że również ze mną!

– A co ja takiego robię z Tyrsem? – Wyraźnie się obruszyła. – To już kolejna taka sugestia z twojej strony, która zdecydowanie mi się nie podoba!

– Właśnie, kurwa, weź wyluzuj! – wtrącił Mollina, stając dokładnie naprzeciwko mnie. – Ale panna Guiteerez ma rację, w takim tempie nie będziemy nawet na miejscu na czas, żeby przejąć Trojana i wystraszonych kapłanów. Poza tym dzwoni po Tulusza. Jego pterodaktyle mogą nam się przydać.

– Nie zadzwonię po Tulusza!

– To ja, kurwa, zadzwonię.

– Nie, masz rację, ja zadzwonię – warknąłem przez zaciśnięte zęby.

Anna była już kilka kroków przed nami.

– Co pani robi? – zapytał skonsternowany Tyrs. – Przecież Tycjan mówił, że...

– Wystarczy już tej dyskusji, gówniarze!

Nie miałem siły kłócić się z Anną. Może dlatego, że zaledwie parę godzin wcześniej pomagałem jej pozbyć się wrzeszczącego ojca z pokoju. Nie rozumiałem, co w niego wstąpiło. Wrócił z portu pijany jak żebrak sprzed świątyni i skierował się prosto do niej. Pomagałem mu wchodzić po schodach, bo co chwila potykał się o własne nogi. To, co

mówił do Anny, nie miało dla mnie najmniejszego sensu, ale w pewnym momencie ona mocno zbladła i kazała nam się wynosić. Nie zwracałem uwagi na to, co paplał ojciec; byłem przyzwyczajony do jego pijackich stanów. Zwykle schodził wtedy do piwnicy pobawić się z Tacjanem albo opowiadał mi czasy swojej młodości, kiedy kapłani prawie codziennie składali jakieś krwawe ofiary z ludzi, on na własną rękę uczył się języka globalnego, żeby wyjechać do Europy na stypendium, a moja przyszła matka podrywała go kuszącym tańcem brzucha na portowym molu.

Pierwszy raz widziałem, żeby pod wpływem alkoholu zaczepiał obcą osobę i opowiadał jej takie farmazony.

- Wrocław! Mieszkaliście we Wrocławiu! - darł się na zakończenie, gdy dosłownie złapałem go wpół i wyniosłem za drzwi.

Anna przekręciła za nami klucz w zamku. Teraz przyglądała mi się z perspektywy tylnego siedzenia. Jej wzrok był potępiający. Nie lubiła mnie, ale ja też nie zabiegałem o jej sympatię. Mógłbym ją stuknąć na złość Tyrswi, choć z drugiej strony zabrałoby mi to za dużo czasu i wymagałoby szczególnego uwodzenia, które stosowałem tylko wobec wyjątkowo rzadkich kwiatów. Anna się do nich nie zaliczała. Wolałem więc, żeby nasze relacje wyglądały tak, jak wyglądają teraz. Przynajmniej pilnowałem zdrowego rozsądku Tyrsa i mogłem się z niego naigrawać.

- Pani obecność jest zbędna. - Mollina jeszcze raz spróbował wyperswadować jej podróż do garnizonu, chociaż mijaliśmy już przedmieścia Twierdzy.

- Uwierz mi, że mogę się wam przydać. Poza tym ja też jestem teraz częścią tej społeczności i musicie jej bronić z mojego powodu.

- Nie wiem, czy raczej nie będzie pani powodem awantury. Urzędnicy pani nie lubią.

- Podobnie jak hybrydy człowieka i raptora, która właśnie zastępuje burmistrza.

- Nie cierpię tego słowa. Co to w ogóle znaczy? Nie ma żadnej styczności z prawdziwym życiem. Hybryda to może sobie być w próbowce! - Tyrs zawsze denerwował się trudniejszymi słowami.

- Przepraszam.

Mollina się zamknął wyraźnie poruszony, a ja udawałem, że tego nie dostrzegam. Chyba wcześniej, niż się tego spodziewa, odwdzięczę mu się brutalną szczerością.

Skupiłem się na drodze. Powietrzna trasa była zatłoczona samochodami mknącymi od strony dzielnicy kapłanów. Ludzie uciekali przed ogniem, ale na miejscu na pewno zostali główni kapłani, Tel, Tal i Tyl, oraz ich przyboczna gwardia, która musiała zajmować się gaszeniem pożaru. Skręciłem w stronę garnizonu i w końcu połączyłem się z Tuluszem przez automatyczny telefon w moim powietrznym samochodzie. Odebrał po drugim sygnale, mimo że była trzecia w nocy. Nie rozmawialiśmy od chwili, gdy całowałem się z Tulią. Właściwie nie wiedziałem, kto odbierze - Tulusz czy Tulia.

- Już jestem w garnizonie - powiedział, zanim w ogóle zdążyłem się odezwać.

- To dobrze. Zaraz tam będziemy. Jak twoja noga? - spytałem.

Odpowiedziało mi milczenie.

- Spotkamy się na miejscu.

Rozłączył się. Tak mnie to zaskoczyło, że aż chciałem podzielić się tym z Tyrsem, ale był zajęty obdzwanianiem wszystkich ważnych urzędników. Okazało się, że ojciec miał nawet numer do Tela - najmniej fanatycznego kapłana z całej trójki. Z tego, co słyszałem, nie ucieszył się, że musiał rozmawiać z Tyrsem. Wymienili kilka mało przyjemnych epitetów. Potem Tyrs nagle spowaźniał.

- W takim razie od razu tam jedziemy! - powiedział i wskazał mi dłonią, żebym zawrócił na główny powietrzny pas i pojechał pod prąd prosto pod koła uciekających w panice samochodów.

- Świątynia się zawaliła. Kapłani częściowo ugasili pożar, ale częściowo rozprzestrzenił się na budynki świeckich pomocników kapłanów i ich prywatne domy. Ludzie są przygnieceni gruzem. Musimy im pomóc - wyjaśnił i od razu wybrał numer Treweriusza. - Rusz się, stara beczko! Co? Będę cię obrażał, bo jestem dzisiaj, kurwa, bezkarny, czaisz? Wszystkie oddziały Straży mają być w rejonie świątyni w ciągu piętnastu minut. Weźcie jeepy. Korytozaury wystraszą się ognia. Co? Tak, to jest rozkaz samego Teobalda!

- Powiedz mu, że znowu przejmę oddział A - rzuciłem, żeby zmniejszyć między nimi napięcie. - I pomogę mu rozegrać to taktycznie.

- Słyszałeś, grubasie? - warknął do słuchawki.
- Tak się nadajesz na burmistrza jak do chóru świątyni - parsknąłem.
- Chór świątyni przestał istnieć.

Lubiłem być liderem. Zostawiliśmy samochód w pobliżu najmniej zniszczonego domu w dzielnicy kapłanów. Ja czekałem, aż oddział A podjedzie jeepami, i skierowałem ich do pomocy przy ewakuowaniu domów położonych najbliżej świątyni. Bałem się ognia; byłem istotą wodną i gdy tylko poczułem żar na skórze, w pierwszej chwili zamierzałem uciekać ile sił w nogach w stronę samochodu. Przemogłem się jednak, bo znowu miałem za sobą mój oddział, znowu stanowiłem część Straży. Treweriusz przywiózł ze sobą dwa wielkie wozy strażackie i przy ich pomocy zabraliśmy się do gaszenia ognia.

Przestałem być senny, ulotnił się też mój fatalny nastrój i skupiłem się na zadaniu. Specjalny kombinezon, który przywieźli strażnicy, chronił przed napierającymi płomieniami, ale i tak sam się sobie dziwiłem, że wystarczyło mi odwagi, żeby wchodzić do sypiących się domów w poszukiwaniu uwięzionych ludzi. Przez moment pomyślałem nawet, że szukałem śmierci, a może po prostu chciałem się poparzyć, poczuć kły życia wbijające mi się w delikatne tkanki. Nie byłem tylko synem mojego ojca, niewolnikiem Tulusza, elasmozaurom z zatoki skazanym na wieczną samotność. Byłem też kimś więcej. Kimś, kto bez

wahania wchodził w ogień, ciągnąc za sobą innych. A potem z niego wychodził. Bez szwanku.

Tyrs pomagał przy odgruzowywaniu świątyni. Widziałem z daleka, jak uwijał się na czele oddziałów B i C, wydając rozkazy. Z trudem oddychałem przez maskę tlenową. Pociłem się tak, że czułem, jak koszulka przylepia mi się do pleców. Powoli zbliżaliśmy się w stronę głównego budynku. Bolały mnie ręce od ciągnięcia węża z wodą i kark, bo sztywno trzymałem głowę, żeby cały czas się rozglądać.

Nagle nocne niebo przykryły łopoczące skrzydła pterodaktyłów; komunikowały się między sobą, donośnie skrzecząc. Stałem pomiędzy moimi strażnikami i spojrzałem w górę. Wtedy spadł na nas drobny deszcz. Nie było go tak dużo, żeby od razu ugasił pożar, ale przynajmniej największe płomienie przygasły. Zdałem sobie sprawę, że to pterodaktyle w jakiś sposób przyniosły ze sobą wodę. Szum skrzydeł się wzmocnił, kiedy zawróciły w stronę portu.

- To bóstwa! - powiedział stojący obok mnie strażnik po tym, jak zdjął maskę tlenową z twarzy.

- Nie, to Tulusz Donner - wyjaśniłem.

Nie usłyszał mnie z powodu maski. Bałem się ją ściągnąć, bo powietrze było aż gęste od żrących oparów. Tyrs, ubrany w kombinezon, gołymi rękami przenosił gruz zalegający w miejscu, gdzie jeszcze parę godzin wcześniej mieściła się nasza świątynia. Gwardia kapłanów obserwowała go z wielkim zainteresowaniem w oczekiwaniu,

aż oczyści dla nich teren. Podejrzewałem, że pierwszy raz widzieli go z bliska i była to dla nich większa atrakcja niż pożar.

Za moimi plecami załopotwały skrzydła pterodaktyla. Wzdrygnąłem się, gdy poczułem czyjąś dłoń na ramieniu.

- Ale masz ryj - zaśmiał się Tulusz.

Spojrzałem na niego zza maski i mimowolnie się uśmiechnąłem. Wyciągnąłem do niego rękę schowaną w gumowej rękawicy. Uścisnął ją swoją, pozbawioną zabezpieczeń, i splótł ze mną palce.

- Wolę mieć ryj, niż się udusić dymem.

Też mnie nie usłyszał i pokręcił głową.

- Podoba ci się, co zrobiłem? - zapytał.

Jego oczy rozjaśnił błysk entuzjazmu, którego nie widziałem od czasu, kiedy Arabella wszczepiła mu geny pterodaktyla. Jakbym patrzył na mojego dawnego Tulusza. A może to tylko złudzenie optyczne? Płomienie odbijające się od srebrnych łańcuszków na jego szyi?

Zdjąłem maskę z twarzy, mrużąc oczy od światła. Miałem zaczerwienioną skórę i spocone czoło. Tulusz otarł mi je drugą dłonią.

- Dziękuję, znacznie przyspieszyłeś naszą akcję. Jako dowódca twojego oddziału oficjalnie cię chwalebę, strażniku.

Zamrugalem, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wyglądał dobrze. Nie widziałem po nim oznak zmęczenia ani wysiłku fizycznego, więc wnioskowałem, że kontrolowanie pterodaktyłów przychodziło mu z łatwością. Miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem z napisem „Urodziłem się

w Straży Wąwozu” i jeansowe spodnie do kolan. Przesunąłem wzrokiem w dół, ale nie miał już gipsu. Przerzucił ciężar ciała na drugą nogę, mimo to stanie nie sprawiało mu problemu.

Zakrył mi usta dłonią, zanim zdążyłem to skomentować.

- Nie martw się o mnie, Tycjanie. Jestem silny. Naprawdę.

Przysunął twarz do mojej i pocałował zewnętrzną stronę swojej dłoni. Ciemne rzęsy zakryły mu oczy i nie zobaczyłem w nich niczego poza tym, co chciał mi pokazać. Dlatego ja też przymknąłem powieki, żeby nie widział mojego przerażenia. Bałem się, ponieważ Tyrś miał rację, a ja nie wiedziałem, co mam począć z tą miłością.

Pterodaktyle zrobiły jeszcze dwie rundy, zanim ogień całkiem zgasł. Nad Twierdzą wstawało słońce, przynosząc ze sobą poranny skwar. Trzymałem się resztką sił. Za Tuluszem ciągle chodził pochylony pterodaktyl, który straszył gwardię kapłanów i rozśmieszał strażników. Akcja ratunkowa była wyjątkowo udana. Grupa Tyrśa wyciągnęła spod gruzów pięciu żywych ludzi, jedynie trzech strażników zostało rannych w trakcie gaszenia pożaru, a przyczajony na tyłach akcji Treweriusz zdołał opatrzyć rannych i stworzył prowizoryczny szpital w jednym z najmniej dotkniętych ogniem budynków.

Pomagała mu Anna, lawirując między nim a rodzinami kapłanów, które nie ruszały się z miejsca, czekając na wieści

o swoich bliskich. Widziałem, jak ich pociesza, a potem rozmawia ze strażnikami o ludziach, których znaleźli pod gruzami, dopasowując zaginionych do opisów ich bliskich. Zajmowała się tym, o czym nikt z nas nie pomyślał - zbudowaniem więzi wzajemnej zależności i wdzięczności między Strażą Wąwozu a nieprzychylną im grupą miejscowych duchownych.

Niechętnie przyznałem, że osiągnęła pewien sukces, bo kapłan Tal podszedł do Tyrsa i przy wszystkich podał mu rękę. Wywołało to większe kontrowersje niż latające nad spopielonym terenem pterodaktyle.

Usiedliśmy we trójkę na schodach prowadzących do prowizorycznego szpitala Treweriusza. Tyrś drżącymi dłońmi rozpieczętował świeżą paczkę papierosów, którą dostał od komendanta. Wyciągnął z niej ustami pierwszego papierosa i podał ją mnie.

- Ja pierdolę - stwierdził niewyraźnie, co doskonale oddało zdarzenia tej nocy.

Przez moment paliliśmy w milczeniu. Jednak trochę się poparzyłem, co doprowadzało mnie do napadów paniki, której starałem się nie okazywać. Miałem rękę oblepioną chłodzącymi plastrami i bolesne oparzenia na szyi tuż obok skrzeli. Nie pozwoliłem się opatrzyć, żeby nikt ich nie zauważył; zamierzałem poprosić o to Tulusza, kiedy sytuacja trochę się uspokoi.

- Telefon Teobalda nie przestaje dzwonić - dodał

Mollina. - Nie miałem kiedy go odebrać, a teraz okazało się, że dzwoniła co najmniej połowa urzędników Twierdzy z Trojanem Bonnim i Aspazją Bree na czele. Myślicie, że powinienem się tym zająć?

- Urzędnicy są płótkami. - Wzruszyłem ramionami. - Najważniejsze, żebyś oddzwonił do Zadara.

- Za wcześnie, żeby kogoś oskarżać - zauważył Tulliusz.

Jego pterodaktyl siedział za naszymi plecami, co chwila ze zniecierpliwieniem machając skrzydłami.

- Obstawiam, że to Krokodyle - podsunął Tyrs.

- I niby jak to zrobili? - zaprotestowałem.

- Mogli mieć swoich szpiegów w mieście.

- Przedstaw mi dowody.

- Właśnie, nie mamy dowodów - poparł mnie Tulliusz. - Nie chcę was straszyć, ale moim zdaniem to był ktoś z Twierdzy.

Wypowiedział na głos to, co nas najbardziej martwiło. Kapłani mieli wielu wrogów nie tylko wśród strażników, ale również wśród urzędników i przede wszystkim w porcie. Sam Zadar mógł mieć interes w wysadzeniu świątyni - ostatniego symbolu starego porządku.

- Nieważne, jaka jest prawda - uparł się Tyrs. - Ważne jest to, co by zrobił Teobald. Jaki powinien być wynik śledztwa, żeby układ siły w Twierdzy pozostał bez zmian?

- Nie jestem do końca przekonany, czy podoba mi się twój sposób myślenia - powiedziałem wprost.

- A ja myślę, że tego właśnie oczekuje po mnie Teobald.

- A ja myślę, że kompletnie ci odbiło.

- To nie znaczy, że nie przeprowadzimy śledztwa. Najlepiej naszego własnego, bez wtajemniczenia w nie Teobalda. - Tyrs był sobą zachwycony.

- Ależ z ciebie domorosły polityk. Nie poznaję cię. - Tulusz cicho się zaśmiał, chociaż jemu też nie podobała się nagła metamorfoza Molliny.

Tyrs wziął telefon Teobalda i zszedł parę stopni niżej. Ze wzrastającą zgrozą przysłuchiwaliśmy się jego rozmowie z Zadarem. Poradził mu, żeby odpowiedzialnością za pożar obarczyć Miasto Krokodyli i tym samym uniknąć wzajemnego oskarżania się grup społecznych Twierdzy.

- Przecież on zrzuca część winy na Annę Guiteerez - zauważył Tulusz. - To z jej powodu Krokodyle chcieli nas zaatakować.

- Nie wiem, nie mam siły się nad tym zastanawiać.

Przyjaciel przyglądał mi się z zastanowieniem.

- Mogę opatrzeć ci szyję?

- Zauważyłeś? - ucieszyłem się.

- Już dawno. Zaczekaj, wezmę apteczkę od Treweriusza.

Tulusz założył mi plastry chłodzące na poparzenia i zrobił zastrzyk z serum przyspieszającego gojenie. W międzyczasie opowiedział mi, jak postanowił pozbyć się gipsu i jak ważne było dla niego odnalezienie notatek jego matki. Przez cały ten czas myślałem o moim śnie z kamiennymi płytami na dnie oceanu i płynącą w moją stronę Arabellą Donner.

Kiedy skończył, wziąłem go za rękę i głęboko

odetchnąłem. To nie był najlepszy moment na powiedzenie mu prawdy, ale wątpiłem, żeby kiedykolwiek taki nastąpił.

- Tuluszu... - zająknąłem się, unikając jego wzroku.

Cierpliwie czekał, aż znajdę odpowiednie słowa, lecz te nadal nie chciały mi się ułożyć w głowie. Tylko on sprawiał, że czułem się taki bezradny.

- Dziękuję, że przyleciałeś - zacząłem okrężnie.

- To mój obowiązek. Jestem strażnikiem wąwozu, tak jak ty. - Przyglądał mi się z wyrozumiałością.

- Dużo ostatnio myślałem...

- Ja też. - Pokiwał głową. - O czym?

- O nas, o mnie i o tobie.

Tulusz pokiwał głową.

- Ja też. Ty pierwszy.

- Myślę, że nie byłem z tobą do końca szczery. W trakcie mojego ostatniego spotkania z Tulią coś się wydarzyło... Pocałowałem ją i... - Urwałem, obawiając się jego reakcji.

Jego oczy nieznacznie się rozszerzyły. Starał się nie okazać nieprzyjemnego zdumienia, jednak zbyt dobrze go znałem.

- Dlaczego ją pocałowałeś? - Jego ton się zmienił; nagle bardzo się ode mnie zdystansował, nawet przesunął się w stronę barierki, żeby więcej nie dotykać mojego uda swoim kolanem.

- Bo powiedziała, że mnie kocha - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Donner spojrział przed siebie tępym wzrokiem. Podkurczył pod siebie kolana i objął je ramionami.

- A ty ją kochasz, Tycjanie?
 - Nie, kocham ciebie. Kocham cię, Tuluszu.
 - No tak, w końcu trochę razem mieszkaliśmy...
 - Nie, mam na myśli inną miłość. Zakochałem się w tobie
- wyrzuciłem to z siebie i zaległa okropna cisza.

Za naszymi plecami Tyrs dyskutował z Treweriuszem i Trojanem Bonnim, który zdążył do nich dołączyć na sam koniec akcji. Liczyli zniszczenia i zastanawiali się nad kolejnym krokiem Teobalda wobec Krokodyli. Nad zgliszczami świątyni powoli wstawało słońce. Pomarańczowe i czerwone promienie obrysowywały zalegający gruz i rozstawione jeepy Straży.

- Dlatego bardzo chciałbym ci pomóc, ale już wiem, że tego nie potrafię. Boli mnie, że za każdym razem mnie odtrącasz, choć tak naprawdę to moja wina, bo nie rozumiem, co się z tobą stało, i nie umiem przyjąć do wiadomości, że się zmieniłeś. Po śmierci twojej matki przystąpiłem do wzmożonej akcji ratunkowej. Udawałem, że nic się nie stało, pokazałem ci Tacjana i opowiedziałem o moim zwierzęcym pochodzeniu, starając się ciebie przekonać, że posiadanie krwi dinozaura to żaden problem i można z nią normalnie żyć. A potem w desperacji zaproponowałem ci leki psychotropowe, które miały zabić twoją drugą osobowość. Tylko że zabijałeś nimi samego siebie. Kiedy Tyrs zabrał cię na akcję Straży na pustynię, byłem na niego wściekły, bo zwrócił na ciebie uwagę miasta i naraził cię tym na ogromne niebezpieczeństwo. Wtedy gdy upadłeś na korytarzu, chciałem się na tobie odegrać... Sam

nie wiem za co.

- Tycjan...

- Pozwól mi skończyć. Uważam, że sam powinieneś zdecydować, jaka będzie twoja przyszłość, i nie wiem, czy powinieneś ją wiązać ze mną...

- Idiota! - warknął. - Ostatni raz pozwoliłem ci myśleć!

Pokręciłem głową. Obaj wiedzieliśmy, że miałem rację. Mimo to on zamierzał o mnie walczyć. Objął mnie i mocno do siebie przytulił.

- Nie wyobrażam sobie, jak bym mógł bez ciebie żyć - powiedział mi do ucha.

Przez dłuższy moment trwaliśmy tak w bezruchu - niemi i spleceni ze sobą jak dwie winorośle. Narastał we mnie smutek i jak zawsze w takiej chwili marzyłem o tym, żeby zejść na samo dno oceanu i zasnąć wgnieciony w piasek. Może dno rzeczywiście było naszym cmentarzem? W końcu posyłałiśmy zmarłych w stronę horyzontu i patrzyliśmy, jak płoną ich ciała, a popiół rozplywa się w wodzie.

Następny dzień spędziłem w garnizonie, jak za dawnych czasów pomagając Treweriuszowi w zarządzaniu Strażą. Teobald w końcu wytrzeźwiał i zjawił się w spopielonej dzielnicy kapłanów. Jego rozmowy z duchownymi wciąż trwały. Mieli negocjować wybudowanie nowej świątyni już w całości poświęconej uniwersalnemu bogowi. Twierdza szykowała się też na wojnę.

Teobald był raczej zadowolony z decyzji Tyrsa.

Słyszałem, jak pochwalił jego udział w akcji ratunkowej i koordynację oddziałami Straży. Gratulował mu też dobrego kontaktu z Zadarem i nawiązania tymczasowego przymierza z kapłanami, które dało mu teraz podstawy do prowadzenia z nimi rozmów. W żaden sposób tego nie skomentowałem, chociaż ojciec poprosił mnie o opinię. Nie chodziło o to, że byłem zazdrosny o jego łaskę, jak to stwierdziła Anna Guiteerez. Po prostu nie podobało mi się jego niedojrzałe zachowanie i dzielenie się władzą pod wpływem alkoholu. W ogóle nie powinien być wtedy pijany.

Nad Twierdzą zbierały się burzowe chmury. Parę minut temu zaczęło padać i siedziałem przy oknie, wsłuchując się w odgłos spływającego z rynny deszczu. Wybuch świątyni i pożar w dzielnicy duchownych negatywnie wpłynęły na rozpoczęcie żniw. Większość mieszkańców uprawiała rośliny na dachach swoich domów. W ten sposób byliśmy w miarę niezależni od dostaw z Europy, co było jednym z osobistych natręctw Teobalda. Jakby nigdy nie opuszczało go przeświadczenie, że cesarz w końcu przestanie tolerować naszą odrębną społeczność i żeby złamać nasz opór, odetnie nas od portu.

Straż też wykorzystywała dachy budynków w garnizonie do hodowania roślin. Treweriusz nie przestawał się ekscytować, że wreszcie udało nam się otrzymać owoce z europejskich drzew, które zasadzono na dachu kwatery dowódców w specjalnej, codziennie zraszanej wodą szklarni.

- Zobacz, Tycjanie, prawdziwe jabłka!

Postawił przede mną tacę z żółtymi, okrągłymi owocami.

Usadowiliśmy się przy stoliku w jego gabinecie z widokiem na główny plac garnizonu. Podparłem głowę na rękę i obserwowałem, jak rozkrzyczane dziewczyny ze szpitalnej pomocy uciekają przed deszczem pod dach Urzędu Rekrutacyjnego.

- Gratuluję udanego eksperymentu. - Uśmiechnąłem się do niego.

Podstawił mi tacę pod nos i nie miałem wyboru, musiałem spróbować. Zagłębiłem zęby w jabłku zdumiony jego cierpkim smakiem. Zdecydowanie wolałem soczyste pomarańcze z naszego ogrodu.

- Nie chcę cię martwić, ale wyglądasz okropnie - powiedział komendant, przeżuwając żółtą skórkę.

- Nie miałem czasu się przebrać. Właśnie wybierałem się pod prysznic, kiedy do mnie przyszedłeś - wyjaśniłem.

- To prawda, jesteś wyraźnie zmęczony, ale to chyba nie jest główny problem.

Wzruszyłem ramionami. Treweriusz bardzo dobrze mnie znał. Właściwie uważałem go za mojego zastępczego ojca, bo to jemu zwierzałem się z moich gadzich rozterek. To on zawoził mnie do szkoły, kiedy byłem mały, a Teobald nie miał dla mnie czasu bądź unikał mojego towarzystwa. To on zabierał mnie do sklepu i pozwalał wybierać ubrania, które potem mi kupował. To on chodził ze mną do restauracji i do kina. To on rozmawiał ze mną o faunie i florze oceanu, a potem opowiadał mi o swoich przygodach w marynarce wojennej Cesarstwa. Pochodził z biednej rodziny. Kilka pokoleń wstecz kapłani składali takich ludzi w ofierze.

Zebrali, żeby pić; pili, żeby kraść; kradli, żeby pić – i tak koło się zamykało.

Trudno było uwierzyć, że Treweriusz był w wieku Teobalda, bo wyglądał na znacznie starszego. Szybko osiwiiał, beztrudno się też roztył, chociaż jako komendant Straży powinien prezentować nienaganną sylwetkę i niezłomną, surową postawę wobec swoich podwładnych. Tymczasem z wręcz demonstracyjną przyjemnością obżerał się niczym wygłodniały raptor, a strażników traktował jak synów. Twierdził, że coś mu się od życia należy po wykańczającej służbie w cesarskiej marynarce i późniejszej walce o władzę w Twierdzy. Razem z Teobaldem pojechał bowiem na stypendium do Europy i wrócił stamtąd jako jego najzagorzalszy poplecznik. Nigdy do końca mi nie opowiedział, na czym polegała ta ich specyficzna przyjaźń.

- Ostatnio sobie nie radzę – przyznałem, bo tylko jemu mogłem się do tego przyznać. – Ojciec okropnie mnie drażni, Tulusz próbuje sam ustabilizować swoją naturę pterodaktyla i nie mam już żadnego wpływu na jego wybory. Zresztą już tego nie chcę. Przez jedną durną chwilę w życiu miałem rodzinę i zniszczyło mnie to bardziej, niż gdybym w ogóle jej nie miał.

- Musisz żyć swoim życiem. – Treweriusz oparł skrzyżowane stopy w skórzanych sandałach o skraj parapetu. – Teobald zawsze cię przytłaczał, a Tulusz zniewalał.

W milczeniu przyznałem mu rację. Wyjątkowo mocno zdałem sobie z tego sprawę w trakcie akcji ratunkowej.

- Chcę wrócić do służby w Straży i znowu wyjeżdżać na

patrole po okolicy i do portu – wyznałem.

- Postaram się namówić Teobalda, żeby cofnął ci tę irracjonalną karę. Swoją drogą nie potrafię zrozumieć jego sojuszu z Zadarem. Wiem, że są sobie potrzebni, lecz mimo wszystko Mellanito jest naszym naturalnym wrogiem. Sprzeda nas cesarzowi, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Deszcz się wzmaczał. Miarowym ciągiem bębnił w metalowy parapet naszego uchylonego okna. Do środka wpadał powiew świeżego powietrza. Wyobrażałem sobie, że zmiękczał spaloną ziemię w dzielnicy kapłańskiej, a zczerniałe zgliszcza wydzielały parę ulatniającą się nad obszarem pożaru.

- Nie wiem, czy ja w ogóle poznaję jeszcze twojego ojca – podjął Treweriusz. - Wiem za to, że od pewnego czasu uparcie dąży do rzucenia otwartego wyzwania cesarzowi Europy. Doprowadzi tym do precedensu na skalę światową i wszystkie elementy domina zaczną się sypać jeden po drugim. Szkoda tylko, że ceną będzie nasze życie. My jesteśmy jego Strażą Wąwozu. Jeśli sprowokuje cesarza, zginiemy w pierwszych szeregach.

Nie odpowiedziałem. Przytłaczała mnie świadomość, że Treweriusz miał rację, że ojciec coś bardzo umiejętnie rozgrywał, wplątując w to losy swoich bliskich, i że może tylko ja umiałem mu w tym przeszkodzić.

Dopiero późnym wieczorem wróciłem do willi, gdzie byłem w stanie tylko rozebrać się ze śmierdzących ubrań i paść na

łóżko. Piekły mnie oparzenia, ale nie miałem siły zmienić opatrunków. Zasnąłem ciężkim, głębokim snem, który nie generował żadnych marzeń ani koszmarów. Obudziłem się, kiedy już słońce prześwitywało między zasłonami. Spałem przy otwartym oknie i czułem zapach zatoki przebijający się przez rześkie, deszczowe powietrze. Powinienem wstać i przygotować się do szkoły. Zerknąłem na wyświetlacz komórki. 9.15. Oho, czyli nic z tego. Lekcje już dawno się zaczęły. Przy okazji odczytałem SMS od Tyrsa:

„Gdzie jesteś, stary? Szykuję dla ciebie babkę od geografii”.

Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze i rzuciłem telefon z powrotem na komodę. Wtuliłem twarz w poduszkę, opatulając się kocem. Noc była naprawdę chłodna. Po niekończącej się fali upałów nagły spadek temperatury do siedemnastu stopni mógł wręcz doprowadzić mnie do przeziębienia. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz byłem przeziębiony. Chyba jako małe dziecko.

Ktoś przysiadł na skraju mojego łóżka i miałem szczerą nadzieję, że to nie ojciec. Czyjaś dłoń dotknęła mojego nagiego ramienia i przesunęła się niżej, na łopatkę.

- Jak się czujesz? - usłyszałem głos Tulusza tuż przy swoim uchu.

- Ujdzie - odpowiedziałem w poduszkę.

- Zmienię ci opatrunki.

- Skąd się tutaj wzięłeś?

- Przyleciałem... A poza tym chciałem się z tobą zobaczyć. Nie skończyliśmy rozmawiać.

Uniosłem się na łokciach i w końcu przekręciłem się w jego stronę, rozkładając ręce po obu stronach tułowia. Ziewnięcie zamarło mi na ustach. Tulusz się zmienił. Przede wszystkim obciął na krótko włosy i zrobił sobie czarne pasemka na rudych włosach. Jego niebieskie oczy podkreślała czarna kredka, nadając im niespodziewanie powabny wyraz. Miał na sobie krótkie jeansowe szorty z łańcuszkami przy kieszeniach i rozciągnięty czarny podkoszulek, który odsłaniał jego ozdobione ramiona i fragment wytatuowanego na piersi pióra. Nie wyglądał już jak Tulusz, którego znałem, choć nie przypominał też Tulii.

Nie wiedziałem, jak mam to skomentować. Nagle poczułem się nieswojo w jego towarzystwie, jakbym właśnie poznawał całkiem nową osobę: Tulio-Tulusza.

Zdjąłem z szyi wysuszone opatrunki i odłożyłem je na komodę obok komórki. W tym czasie on sięgnął po swoją torbę i przysunął się do mnie, żeby założyć świeże plastry. Pachniał subtelną wonią kobiecych, kwiatowych perfum. Z wrażenia zakręciło mi się w głowie. Zwłaszcza że nie odsunął się ode mnie po opatrzeniu oparzeń. Położył dłonie na moich nagich obojczykach i z bardzo małej odległości spoglądał mi w oczy.

- Myślę, że już wszystko sobie powiedzieliśmy. - Odchrząknąłem.

Znowu *to* się ze mną działo. Siedział za blisko mnie, podniecając mnie samą swoją obecnością, i łamał moją silną wolę na kawałki.

- Nie, nie wszystko. Jak pamiętasz, ja też dużo myślałem.

Od wczoraj szczególnie o tym, że całowałaś się z Tulią i że nie chcę, żebyś to więcej robił. Jeśli się dowiem albo mi się jeszcze raz przyznasz, wyrwę ci język, żebyś nie miał się czym z nią lizać.

Przełknąłem ślinę. Tulusz przybrał tak poważną minę, że zabrakło mi odwagi, żeby nawet się zaśmiać.

- Ale to tak, jakbym całował się z tobą - sprowokowałem jednak.

- Zdecydowanie nie.

- To jest jakaś różnica?

- Różnica jest diametralna!

Przeciągnąłem się na łóżku, posyłając mu wyzywający uśmiech.

- Udowodnij mi.

Zmarszczył brwi. Przez moment przyglądał mi się ze skupionym wyrazem twarzy.

- Nigdy się z nikim nie całowałem. To znaczy Tulia się całowała i nie tylko całowała. A ja nie.

- W takim razie twoja strata. Dlaczego zatem mówisz mi, że wyrwiesz mi język, jeśli ją jeszcze raz pocałuję?

Obserwowałem, jak się do mnie przysuwa i ostrożnie dotyka ustami moich warg. To było tylko lekkie muśnięcie, ale ogarnęła mnie ta sama żądza, która prawie popchnęła mnie w ramiona Tulii w jej mieszkaniu w porcie. Złapałem go w tali i odwzięczyłem się bardziej wygłodniałym pocałunkiem. Mój język zawędrował do jego ust. Zdumiony odsunął się ode mnie, ale wciąż go trzymałem, dotykając teraz jego bioder. Skóra była tam ciasno naciągnięta na

sterczących kościach. Mocno zacisnąłem na nich palce.

Szybko oddychał, mrugając zmieszany moją śmiałością.

- Jak było? - zapytał niepewnie.

- Dobrze. Spróbujemy jeszcze raz i będzie lepiej.

Nie był do końca przekonany, czy powinien mi ulec, ale w końcu znowu mnie pocałował - równie nieśmiało i delikatnie. Dałem mu moment na oswojenie się z nową sytuacją, aż sam położył się obok mnie na łóżku, nie odrywając ust od moich. Wplotłem palce w jego włosy, przeciągając pocałunek, aż zabrakło mu tchu. Wtedy się odsunąłem i musnąłem jego przymkniętą powiekę, policzek i ucho, którego płatek na koniec przygryzłem. Tuliusz cicho jęknął.

- Kocham cię. Bądź mój - powiedziałem pod wpływem chwili.

Tuliusz poczerwieniał na twarzy.

- A jeśli ja nie kocham ciebie? Nie do końca wiem, kim jestem.

Pogłaskał mnie po policzku.

Zamiast odpowiadać, położyłem mu dłoń na brzuchu i powoli przesunąłem ją na jego szorty. Do połowy sztywny członek wypychał ich jeansowy materiał i aż się prosił, żebym go oswobodził. Ten argument wystarczył. Tuliusz pociągnął mnie w ramiona i namiętnie pocałował.

Odplątałem się z koca. Drżały mi dłonie, kiedy wyciągałem buteleczkę z lubrykantem z szuflady nocnej szafki. Zbyt długo na to czekałem. Zsunąłem mu z bioder szorty, a później bieliznę, i niecierpliwie zacząłem pieścić

jego odbył zwilżonymi palcami. Wiercił się na pościeli, łapczywie wciągając powietrze. Jego ciało unosiło się i opadało w odpowiedzi na jednostajny ruch moich palców. Nie pamiętałem dokładnego momentu, w którym się w niego wsunąłem. Poruszałem się jak w gorączce, napędzany pożądaniem i potrzebą jak najszybszego spełnienia tak długo odwlekanych pragnień. Dopiero gdy zgrałem się z nim w jeden rytm, Tulia i Tulusz naprawdę stali się jedną osobą.

Podkoszulek zawinął mu się do góry, odsłaniając jego płaski brzuch i zakończenie wytatuowanego pióra. Wszedłem w niego tak głęboko, jak tylko mi pozwolił, a przy silniejszym pchnięciu mieściłem się w nim cały, uderzając biodrami o jego pośladki. Nie sprawiał mi większego oporu i łatwość w poruszaniu się w jego odbycie zarazem mnie gniewała i szalenie podniecała. Brałem go od przodu, wysoko unosząc mu uda. Instynktownie ułożył się tak, żeby było mu wygodnie. Przyglądałem się jego twarzy wykrzywionej grymasem bólu i rozkoszy, ale nawet na chwilę nie zwalniałem, całując jego drżącą łydkę z blizną po ostatnim złamaniu.

Doszliśmy prawie równocześnie - obaj zdyszani i niemiłosiernie zmęczeni, jak po długim biegu. Powoli się z niego wysunąłem, obserwując, jak jego ciało wiotczeje i opada z niego napięcie.

- Dziwnie... - powiedział potem, opierając brodę na mojej piersi.

Rysował koła opuszką palca na moim brzuchu. Słońce przesunęło się z łóżka na dywan. Nastąpiło popołudnie, ale za nic nie zamierzałem się ruszać z mojego miejsca; byłem dokładnie tam, gdzie powinienem być. Równie dobrze mogłaby teraz spłonąć szkoła i nawet garnizon Straży, a ja nie kiwnąłbym palcem.

- Co, kochanie?

- Dziwnie znajome jak na pierwszy raz.

Jego komentarz mi się nie spodobał, bo implikował oczywistą prawdę, że mimo jego obecnego oddania, póki istniała Tulia, nigdy nie będę jego jedynym partnerem. Od teraz musiałem liczyć się ze znaczną konkurencją. Sam też nie byłem świętoszkiem, ale dla niego mógłbym zrezygnować ze wszystkich pańienek Twierdzy i babek od geografii.

- Wiem, o czym teraz myślisz - stwierdził, spoglądając mi w oczy.

- Więc o czym myślę?

- O Tulii i o tym, że nigdy nie będziemy naprawdę razem. Nie potrafię ci tego obiecać i nawet nie przyszłoby mi do głowy żądać od ciebie wytrwałości.

- Jakbym do tej pory nie wykazał jej zbyt wiele - zadrwiłem.

Zamknął oczy. Jego dłoń znowu powędrowała asekuracyjnie między moje nogi; ponownie zagłębiłem się w przyjemności.

Zasnąłem. Było już chyba późne popołudnie, lecz po

wczorajszym maratonie z gaszeniem pożaru wciąż wygrywało ze mną zmęczenie. Nie zmienił tego nawet dobry seks. Ponownie pływałem w oceanie, pod sobą mając cementarz, a nad sobą wodę, przez którą prześwitywały promienie słoneczne. Ze strachem zerkałem na kamienne płyty w oczekiwaniu na Arabellę. Rzeczywiście, pojawiła się, rozgrzebując piasek. Płynąłem coraz szybciej, żeby mnie nie dogoniła. Panika cofała mi powietrze do płuc, bo zapomniałem, że powinienem oddychać przez skrzela. Dusłem się z braku tlenu.

Złapała mnie za łydkę i tak jak we wcześniejszym śnie pociągnęła w dół. Obróciłem się i zamarłem. Arabella miała twarz Tulusza.

Obudził mnie natrętny dźwięk przychodzącego SMS-a. W pokoju było ciemno. Leżałem sam w łóżku. Tulusz zniknął. Niezadowolony sięgnąłem po telefon. Wiadomość od Tyrsa. A to ci niespodzianka!

„Wyłaż, leniu! Dzisiaj wieczorem Zadar wydaje przyjęcie, na którym Tulusz będzie tresował swoje pterodaktyle. Dostałem zaproszenie z osobą towarzyszącą. Ty nią będziesz, bo przecież na pewno nie chcesz przegapić tej okazji. Czekał na ciebie przed willą!”

ROZDZIAŁ 9

Anna

Wydawało mi się, że powoli zaadaptowałam się w Twierdzy, a moja neutralność dała mi uprzywilejowaną pozycję osoby niezaangażowanej w miejscowe układy, sympatie i antypatie. Dzięki temu w trakcie pożaru świątyni okazałam się bardzo przydatna. Koordynowałam kontakty Straży z gwardią kapłanów, rozmawiałam z rannymi i donosiłam Treweriuszowi o postępach akcji ratunkowej. Staralam się być w kilku miejscach równocześnie, żeby chociaż na chwilę zapomnieć o fatalnym w skutkach starciu z pijanym Teobaldem. Możliwe, że mój czas w Twierdzy dobiegał końca i już powinnam mieć jakiś plan awaryjny. Było mi jednak zbyt dobrze; bezpieczeństwo, które gwarantowała mi Straż Wąwozu, zwyczajnie mnie rozleniwiło.

Pod koniec akcji podszedł do mnie Tyrs. Nie spodziewałam się jego nagłego zainteresowania, zwłaszcza po tym, jak zastałam go w niedwuznaczonej sytuacji z Aldoną na strychu; a już na pewno nie spodziewałam się, że będzie chciał wysłać do mnie swojego brata. Aspazja miała rację, twierdząc, że Tyrs zachowywał się na moich lekcjach naprawdę przyzwoicie; robił nawet jakieś notatki (kiedyś

przeszłam się po klasie, żeby zobaczyć je na własne oczy, i okazało się, że pisał sobie pojedyncze słowa, które go zaintrygowały, i dopisywał do nich ich synonimy. Czasami rysował też nieudane sylwetki kobiet na marginesach, kolorując ich sterczące włosy na czerwono, w związku z czym podejrzewałam, że mogło mu chodzić o mnie).

- Jak się pani czuje? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- W porządku, dziękuję za troskę.

Przestępował z nogi na nogę. Przygryzał w zębach końcówkę do połowy spalonego papierosa i przyglądał mi się tym swoim diabelskim wzrokiem. Teraz wiedziałam już, że pod tatuażami ukrywał gadzie łuski, a jego paznokcie były naturalnie zaostrome, jak pazury raptora. Pozbył się kombinezonu chroniącego przed ogniem, a jego podkoszulek wydawał się jeszcze bardziej pognieciony niż wcześniej. Pod tym względem kontrastował z Tycjanem, który nawet do gaszenia ognia wyszedł w idealnie wyprasowanej koszuli z krótkim rękawem i dobrze skrojonych spodniach.

- Zabiorę panią jeepem Straży do domu - zaproponował.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki uprzejmy? - zapytałam wprost.

- I tak muszę zajrzeć do Teobalda. Mam nadzieję, że do tego czasu zdążył wytrzeźwieć. Mam dość jego bałaganu.

Intuicja podpowiadała mi, że powinnam odmówić. Poza tym chciałam też wykorzystać sytuację i porozmawiać z Tuluszem. Wolałam, żeby o pewnych sprawach dowiedział się bezpośrednio ode mnie. Obróciłam się, szukając go;

akurat przytulał się do Tycjana na schodach prowizorycznego szpitala. Tyrs podążył za moim spojrzeniem.

- Woli pani wrócić z Tycjanem? - zapytał, lekko się uśmiechając.

- Dobrze, pojedę z tobą - zgodziłam się.

Jego czujność mnie rozbawiła, ale nie dałam mu tego po sobie poznać. Znowu mi się przyglądał, jakbym była jego ulubionym obiektem obserwacji, co właściwie mogło być prawdą, zważywszy na to, że dokądkolwiek bym się ruszyła, ciągle napotykałam jego zaciekawione ślepie. Dobrze by było go o to zapytać, choć to trochę tak, jakbym wywoływała wygłodniałego raptora z sawanny. Przeczuwałam też, że w ten sposób dam mu satysfakcję, a nie chciałam dawać satysfakcji Tyrrowi Mollinie.

Nasz jeep sunął przez opróżniony kanał powietrzny. Z jego okien obserwowałam wschód słońca i latające w oddali pterodaktyle. Po kolei mijaliśmy czubki najwyższych wieżowców Twierdzy: począwszy od siedziby firmy kosmetycznej, poprzez magistrat i ratusz, na firmie farmaceutycznej skończywszy. Jeszcze zanim Arabella się tutaj pojawiła, było to ulubione miejsce inwestycyjne europejskiego Ministerstwa Zdrowia. Dzięki krwawej religii i składaniu ofiar lekarze i naukowcy mieli swobodny dostęp do ludzi, których mogli wykorzystywać do eksperymentów. Kapłani stawiali im tylko jeden warunek - w dniu święta

ofiary miały wyglądać normalnie. Podobno pomysłowość Europejczyków nie miała granic i przerastała okrucieństwo w imię religii.

Zerknęłam na Tyrsa, jednak skupiał się na drodze. On też był owocem tego krwawego mariażu europejskiego biznesu i afrykańskiej religijności. Zawsze mnie ciekawiło, co na ten temat myślał, i uznałam to za dobry pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

- Nie przeszkadza ci, że pomagales kapłanom?

Nawet na mnie nie zerknął.

- Taka praca. A pani to nie przeszkadza?

- Staralam się zrobić coś dobrego dla Twierdzy...

- Nonsens.

Uniosłam brew. Tyrś wlepił we mnie pomarańczowe ślepią. Wyczytałam w nich wręcz niepasującą do okoliczności psotliwość. Rozbawiony drapieżca. Pierwsza odwróciłam wzrok.

- Naprawdę nie spodziewałem się tego po pani.

- Nie wiem, o czym mówisz, Tyrś.

Skupiał się na wymijaniu pierwszych samochodów, które o tak wczesnej porze zdecydowały się wyjechać na drogę. Ogarnęła mnie pulsująca panika. Myślałam o kilku rzeczach naraz, chaotyczne obrazy przesuwaly mi się przed oczami. Widziałam ojca pogrążonego w pracy w laboratorium, fragment odciętej ręki na progu sali operacyjnej, gdzie jego lekarze przeprowadzali eksperymenty; zielone wstążki w rudych włosach Patricii, kiedy bujała się na ogrodowej huśtawce przed naszym drzewem. W jego korze pozostały

ślady pierwszych liter naszych imion: C i P. Potem mignęła mi pustynia okrążająca Twierdzą i cień pterodaktyla, który szybował nade mną w poszukiwaniu łatwego łupu. Okazało się, że nadal nim byłam...

W milczeniu przebyliśmy trasę do willi. Tyrs obniżył lot i w końcu osadził jeepa w ogrodzie. Jeszcze w locie niepostrzeżenie odpięłam pasy, co dało mi chwilę przewagi. Popchnęłam drzwi i wypadłam na zewnątrz. Może nie było to najmądrzejsze rozwiązanie, ale jedyne, które przychodziło mi do głowy. Nie wiedziałam, jak dyskutować z dowodami, którymi na pewno dysponował Teobald, jak im wytłumaczyć, że nie byłam moją siostrą...

Zaczęłam biec. Zmęczone mięśnie gwałtownie zaprotestowały, a myśl, że właśnie uciekam przed półraptorem, który dotąd jasno okazywał mi, że tylko wyczekiwał odpowiedniej okazji, żeby mnie upolować, prawie wyparła moje pierwsze symptomy tchórzostwa. Jednak nogi poniosły mnie same. Chyba chciałam sprawdzić, jak szybko mnie złapie.

Zdażyłam dobiec do gaju pomarańczy. Tyrs chwycił mnie w pasie i z niezwykłą siłą unieruchomił. Poczułam przyływ bólu, kiedy wbił zęby w moje ramię; krzyknęłam i zaczęłam się szarpać. Wierzgałam nogami i młóciłam rękami powietrze, jednak uścisk jego zębów nie zelżał. Wręcz przeciwnie - miałam wrażenie, że za chwilę odgryzie mi kawałek skóry. Głośno płakałam, ale dopiero kiedy się poddałam i moje mięśnie zwiotczały, Tyrs odsunął twarz od mojego ramienia. Zawisłam na jego rękach, wsłuchując się

w gwałtowne bicie własnego serca i urywany oddech. Z jego gardła wydobyło się pojedyncze warknięcie. Poza tym był podejrzenie cichy. Bałam się odwrócić głowę, zresztą nie miałam na to siły. Trwaliśmy więc w tym dziwnym uścisku, gdy na horyzoncie słońce przesuwawało się coraz wyżej.

Tyrs dmuchał mi w szyję, wciągając powietrze nozdrzami. Przeraziło mnie, że w pewnym momencie zaczął zlizywać krew z mojej rany i ślinić jej brzegi, jakby to miało przyspieszyć gojenie. I może rzeczywiście tak było. To przeraziło mnie bardziej.

Czułam się schwyтана, bo i zostałam schwyтана. Wcześniej prawie udało się to tylko mojemu koledze z sąsiedztwa. Tak się złożyło, że naszym ówczesnym sąsiadem był sam minister zdrowia z arystokratycznego rodu Hornów. Na szczęście wysokie urodzenie nie przeszkadzało jego synowi Daryłowi przynosić mi słodyczy i bukietów polnych kwiatów, które zbierał po drodze na nasze randki przy ujściu rzeki przecinającej obie posesje. Miło było przez chwilę hołubić ten przebrzmiały romantyczny obrazek. Czuć na skórze promienie bladego europejskiego słońca i wchłaniać zapach wilgoci. Ziemia przy samym brzegu była miękka i gliniasta, odkształcała się za każdym razem, kiedy Darył mnie na niej kładł i znaczył pocałunkami moją szyję i wystające obojczyki. Lubił mnie brać tak, żebym czuła pod sobą przesuwającą się glinę, jakby lada moment zamierzała mnie pochwycić i wessać pod powierzchnię.

A potem Patricia wróciła ze studiów i zanim wyjechała do Afryki kontynuować swoje eksperymenty, zdążyła wyjść za mąż za naszego sąsiada i zostać europejską arystokratką z prawdziwego zdarzenia - lady Patricia Horn, żoną przyszłego ministra zdrowia i farmaceutyki lorda Daryla Horna.

Cóż, można się przyzwyczaić. Miałam na to całe życie. Na to i na pogodzenie się ze świadomością, że moja siostra mną pogardzała, tak jak i tym specyficznym, gorszym gatunkiem ludzi, których uważała za niewolników europejskiej arystokracji. Była ślepo zapatrzona w cesarza Brytanika, tego sukinsyna ze sztucznie zmodyfikowanymi skórą i oczami. To ona utopiła Europę Środkową we krwi, kiedy nasz ojciec zginął w zamachu podczas inspekcji szpitali w dawnej Polsce. Cesarstwo zamieniło te tereny w wielki obóz koncentracyjny i na potrzeby kosmetologii i farmaceutyki miało ludzi jak w gigantycznej maszynie do mięsa. Ruch oporu był tam też najsilniejszy. Ojciec stanowił ich naturalny cel - wzorowy pracownik ministerstwa zdrowia, wybitny lekarz i naukowiec. To on wybierał, do których obozów wysyłano ludzi po tym, jak już zostali skazani.

- Tyrs... - powiedziałam błagalnym głosem. - Już nie mogę. Puść mnie.

- Nie - warknął.

Napięłam mięśnie pleców. Od razu wzmocnił uścisk. Dzielił nas tylko materiał mojej bluzki i jego przepoconego podkoszulka. Podświadomie zdawałam sobie sprawę, że

uruchomiłam w nim jego pierwotne instynkty i najprawdopodobniej sam nie wiedział, jak to wszystko między nami się skończy.

- Dlaczego uciekałaś? - zapytał z ustami przy moim uchu. - Uważasz, że zamierzam wykorzystać twój mały sekret przeciwko tobie?

Przełknęłam ślinę.

- Uciekałam, żebyś mnie złapał.

- Przestań kłamać.

- Nic na to nie poradzę. To prawda.

Prychnął mi w szyję.

- Ale jak cię złapałem, przestało ci się podobać, co?

- Dlaczego? Mam ochotę na kolejną rundę.

- Nie prowokuj mnie, Anno Guiteerez.

- Mam na imię Cera - powiedziałam.

- Wiem. Czytałem jeden z twoich listów do Arabelli Donner.

- A zatem Teobald naprawdę wie wszystko.

- O wszystkich. Odpowiedz na moje pytanie. To dla mnie ważne.

- Co? To, czy ci ufam?

- Właśnie.

- Sam przed chwilą stwierdziłeś, że kłamię...

Puścił mnie. Prawie poleciałam do tyłu, straciwszy nagle oparcie. Zachwiałam się na nogach i obróciłam w jego stronę, jednak on zmierzał już szybkim krokiem w stronę samochodu. Teraz to ja go goniłam. Ślad po ugryzieniu pulsował otrzeźwiającym bólem.

- Uciekałam, bo się boję! Boję się tego, co zrobią ze mną władze Twierdzy, kiedy dowiedzą się, że jestem siostrą Arabelli Donner. A właściwie Patricii Tharen. Zmieniła imię, kiedy wygnano ją do Afryki. Donner to panieńskie nazwisko naszej matki, Tharen to nazwisko naszego ojca, a Guiteerez – mojego ojczyma. Przed wyjazdem Arabella była mężatką, miała dwóch synów. Młodszy został w Europie, a starszego mąż pozwolił jej zabrać ze sobą.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? – zapytał Tyrs, posyłając mi rozgniewane spojrzenie przez ramię. - Jak wy się tam w tej Europie nie mylicie, skoro jedna osoba może nosić aż trzy zupełnie różne nazwiska?

Mimowolnie się zaśmiałam. Jak zwykle do bólu praktyczny Tyrs zwrócił uwagę na naszą irytującą rodzinną potrzebę zmiany wcieleń, jakby nowa tożsamość wymazywała przeszłość. Ale nie wymazywała. Wiedziałam to lepiej od Patricii.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Nie wiem, dlaczego życie jest takie, jakie jest. Nie wiem, dlaczego urodziłam się córką mojego ojca.

Przyglądał mi się z konsternacją, przekrzywiając głowę. Nie czułam już tak intensywnego bólu ramienia. Może jego ślina rzeczywiście zawierała jakieś substancje lecznicze?

Chciałam, żeby Tyrs mi uwierzył. Chciałam, żeby był po mojej stronie. Chociaż jeden sprzymierzeniec. Wyjątkowo kusząca myśl, za którą od razu się skarciłam. Ja nie miałam sprzymierzeńców. Raczej współpracowników i partnerów – albo przeciwników w postaci upartych mężczyzn toczących

ze mną z pozoru nieistotne dyskursy naukowe. W moim mniemaniu sprzymierzeniec był kimś jeszcze innym. Kimś, kto też może być współpracownikiem, partnerem i w niektórych przypadkach przeciwnikiem, ale - co najpiękniejsze - wcale nie musi.

Od tamtej rozmowy czas uciekał mi przez palce. Teobald nie wydał mnie kapłanom, ale też nie okazywał mi większego zainteresowania, chociaż był jak zwykle uprzejmy, kiedy zdarzało nam się mimochodem spotkać na klatce schodowej. Wydawało mi się, że zdarzenia feralnej nocy, kiedy świątynia boga-raptora wyleciała w powietrze, w ogóle nie miały miejsca. Gdyby nie to, że miasto szykowało się do wojny, a na moim ramieniu pozostały ślady po ugryzieniu, mogłabym nawet myśleć, że wszystko mi się tylko przyśniło.

Tyrs obserwował mnie, jeśli nadarzyła mu się okazja - w przeciwnym wypadku raczej mnie unikał. Przestał też chodzić za mną po szkole, parę razy go zresztą nie było; podobno pomagał Teobaldowi przy kreśleniu wojennych planów. Co więcej, krążyła plotka, że do miasta w końcu przybyła Abba i mimo dzielących ją z Teobaldem różnic zamierzała wspomóc go w walce z Krokodylami. Zagraniczne i lokalne media aż kipiały od spekulacji, jak na ten konflikt zareaguje cesarz. Już ponoć słał do Zadara ponagląjące depeche z apelami o zachowanie zdrowego rozsądku i spokoju. Żadne groźby z jego strony nie padły, ale w powietrzu wisiało napięcie.

Przynajmniej ciągle padało. Pora deszczowa na dobre zagościła w Twierdzy i mimo trudnej sytuacji niektórzy zdecydowali się na jej świętowanie. Dostałam nawet zaproszenie od nauczycielki geografii, Aldony, na wieczorny spacer po plaży, gdzie miał odbyć się również koncert i tradycyjne wypuszczanie lampionów życzeń w niebo. To wydarzenie zbiegło się w czasie z zapowiadaną imprezą Zadara w porcie z udziałem Tulusza Donnera. Nie byłam zaproszona na pierwszy pokaz jego umiejętności, od czasu pożaru nie nadarzyła mi się też okazja, żeby z nim porozmawiać. Przestał przychodzić na lekcje, a moje pytanie o jego nieobecność Tycjan zbył niegrzecznym warknięciem. Nawet mnie zaskoczył jego impertynencki ton.

- Tulusza nie ma i nie będzie. Wątpię, żeby kiedykolwiek do nas wrócił.

Przypominałam sobie wściekły wyraz jego twarzy, kiedy powolnym krokiem mijałam stragany ustawione na plaży. Była wypełniona ludźmi, w większości młodzieżą z liceum i strażnikami, którzy może ostatni raz przed wojną przyszli się odprężyć. Aldona dotrzymywała mi kroku, ale niezbyt uważnie słuchałam tego, co mówi. Irytowało mnie, że miałam teraz najlepszy kontakt z Tycjanem, choć wciąż pałaliśmy do siebie podskórną niechęcią. Z jakiegoś powodu został odsunięty od głównego toku wydarzeń i w milczeniu znosił to, że Teobald faworyzuje Tyrsa, a Tulusz bawi się z pterodaktylami na imprezach Zadara. Chciałam z nim o tym porozmawiać, jednak Tycjan wolał nie zwierzać mi się ze swoich problemów. Trzymał dogodny dystans i jedynie

silił się na sarkastyczne komentarze.

- Dzisiaj nastąpią główne obchody Tygodnia Deszczu. Kapłani odprawiają modlitwy na brzegu, a na zakończenie wypuścimy lampiony do nieba. Każdy lampion symbolizuje życzenie, które ma się spełnić do końca tego roku. Szczególnie młode pary uczestniczą w tej tradycji. Bóstwa deszczu sprawią, że w krótkim czasie wezmą ślub - wyjaśniła Aldona.

Przystanęliśmy przy jednym ze straganów. Strażnik wąwozu kupował właśnie pomarańczowy lampion chichoczącej dziewczynie. Rozpoznałam w niej koleżankę Alicji Molliny i moje myśli znowu skierowały się w stronę Tyrsa. Byłam ciekawa, czy go w końcu spotkam. Okazja wydawała się idealna.

Szare smugi przecinały wieczorne niebo zlewające się z oceanem. W pobliżu brzegu majaczyły sylwetki elasmozaurów - niewielkie stado rozpoczynało śpiewy, wprowadzając powietrze w drganie. Od wody wiał przyjemny, chłodny wiaterek. Mocniej opatuliłam się oliwkowym szalem, który niedawno kupiłam na rynku Twierdzy. Coraz częściej myślałam o ucieczce; wystarczyłoby tylko przemknąć do portu i wsiąść na odpowiedni statek... Jeszcze wszystko można było zmienić, jeszcze mogłam z tego wyjść bez najmniejszego szwanku.

- Puszczając kiedyś lampiony, Aldono? - zapytałam, odwracając wzrok na moją towarzyszkę.

Roześmiała się z wyraźnym zakłopotaniem.

- I to nie raz, ale nigdy nie poszczyło mi się w miłości.

Bóstwa deszczu mnie nie lubią. Za każdym razem mój wybranek mnie zostawiał albo sprytnie wykręcał się od zamążpójścia do końca roku.

- Wierzysz w to? - Uniosłam brew.

- Czemu nie. To chyba nie jest najbardziej niemożliwa rzecz, jaka mogłaby się przytrafić w Twierdzy, prawda?

W milczeniu przyznałam jej rację.

- Dzień dobry, czy panie też kupują lampiony? - zagadła do nas Alicja, która nagle pojawiła się przy swojej koleżance i jej chłopaku.

Aldona wdała się z nią w rozmowę, a moją uwagę przyciągnął obrazek za jej plecami. W niewielkim oddaleniu po plaży spacerował Tyrś w towarzystwie starszej kobiety odzianej w długą suknię z peleryną. Tuż za nimi podążał przygarbiony chłopak, trzymając za rękę ciemnowłosą dziewczynkę o upiornym uśmiechu. Zrobiłam krok w ich stronę, ale zderzyłam się z rozzłoszczoną kulką, która odbiła się od moich nóg i runęła na tyłek. Kulka wybuchnęła głośnym płaczem i z ciekawości pochyliłam się, żeby jej się bliżej przyjrzeć. Okazało się, że była małym chłopcem o burzy ciemnych loków i bardzo pojemnych płucach. Nieznośny wrzask zaalarmował wszystkich w promieniu kilometra.

- Przestań się wydzierać! - warknęła Alicja gdzieś przy moim prawym uchu, ale nie zrobiła nic, żeby rzeczywiście uspokoić małego.

Przykucnęłam więc przy nim i wyciągnęłam do niego rękę. Wtedy on najzwyczajniej w świecie ugryzł mnie w nią

z taką siłą, że aż łzy stanęły mi w oczach. Efekt był taki, że on przestał wrzeszczeć, za to ja zaczęłam. Miał bardzo silną szczękę – raczej jak drapieżca niż nieporadna kulka.

- Taniel!

Tyrs uklęknął na jedno kolano obok dzieciaka i położył dłoń na jego głowie. Jego zbroja strażnika wydała przy tym metaliczny dźwięk. Mały potwór zerknął na niego kątem oka, ale ani myślał rozluźnić szczęki.

- Kochanie, zrobisz tej pani krzywdę – ciągnął niewzruszony, uspokajająco głaszcząc monstrum po zwichrzonych lokach.

- Tej pani? – krzyknęłam zezłoszczona.

Tyrs odpowiedział mi uśmiechem.

- Weź go na ręce – rozkazała Alicja.

- Żeby odgryzł jej kawałek skóry? – zadrwił Mollina, czym chyba podsunął kulce paskudny pomysł.

Widziałam już białe plamy przed oczami. Ból był nie do zniesienia. Nie rozumiałam, dlaczego Tyrs na to pozwala, i nagle przypomniałam sobie, jak sam mnie ugryzł w ramię. Chociaż nie zrobił tego tak mocno jak ten mały, oznaczył mnie, okazał mi siłę i uznał mnie za swoją własność. Puścił dopiero wtedy, gdy się poddałam. Postarałam się więc rozluźnić na tyle, na ile było to możliwe z piranią wczepioną w rękę, i wyglądać przy tym jak najbardziej uległe.

- To nie zadziała – skomentował Mollina. - Taniel nie chce cię poskromić ani się tobą opiekować. Zamierza po prostu odgryźć ci rękę.

Byłam oburzona jego nonszalancją. Na szczęście dla

mnie i dla obu gadów podeszła do nas kobieta w sukni i jednym stanowczym uderzeniem otwartej dłoni zmusiła kulkę, żeby rozwarła zęby. Przy okazji w ten sam sposób trzepnęła Tyrsa w głowę, aż ten zasyczał i zacisnął dłonie w pięści.

- Nie możesz go tak rozpieszczać - powiedziała, ze spokojem odpowiadając na jego wyzywające spojrzenie. - Jest młodym raptorem i tylko czeka na okazję, żeby przejąć od ciebie władzę!

Tyrs podniósł się i wyprostował. Był co najmniej o głowę wyższy od odważnej kobietki.

- Jest też małym chłopcem i sam się musi nauczyć panować nad swoimi instynktami.

- A ty się nauczyłeś? - zadrwiła, opierając dłonie na biodrach. - Ile razy pozwoliłeś, żeby kierowała tobą zwierzęca natura?

Mollina spojrzał na mnie, marszcząc brwi. Chyba wreszcie wróciła mu pamięć. Odsunęłam się najdalej, jak mogłam, od tego małego potwora i starałam się nie ruszać dłonią. Krew spływała na piasek. Ze zgrozą zauważyłam, że przez ranę prześwitywała kość.

- Zabiorę cię do siebie i opatrzę - zaproponował Tyrs po chwili wahania.

Pokręciłam przecząco głową.

- Wystarczy mi gadzich wrażeń! - zaprotestowałam, ale na niewiele się to zdało, bo już przyciągnęłam uwagę

kobiety.

Była drobna i szczupła, jej twarz okalały siwe włosy z czarnymi pasemkami. Miała bardzo ciemny odcień skóry, w uszach kolczyki pod kolor miedzianej sukni i bystre, uparte spojrzenie Tyrsa, choć jej tęczęwki nie były pomarańczowe, tylko zwyczajne, ciemne. Kojarzyły mi się z dnem wykopanej studni. Zmarszczki na jej twarzy utworzyły się głównie wokół ust i oczu i sugerowały, że była osobą obdarzoną poczuciem humoru, niestroniącą od uśmiechu. Nie czułam podniecenia ani mrowienia w palcach, że w końcu poznałam Abbę Mollinę – kobietę, która założyła ród półraptorów. Może dlatego, że kulka prawie odgryzła mi dłoń.

- Mój wnuk z własnej woli chce zabrać kobietę do swojego gniazda? - Abba przeniosła wzrok na Tyrsa, który tylko wzruszył ramionami, jakby się bronił przed nachalnym oskarżeniem pobrzmiewającym w jej głosie.

- Rzeczywiście jest to wydarzenie - sarknęłam.

Wstałam i zdrową dłonią otrzepałam nogawki jeansów. Wtedy kulka złapała mnie za nogę, wbijając zaostrome paznokcie w kolano.

Krzyknęłam z bólu. Alicja chwyciła chłopca za ramię i odciągnęła ode mnie, sycząc przy tym i warcząc. Maluch na dobre się rozplakał, robiąc z nas widowisko na całą plażę - o ile już nim nie byliśmy.

- Twoja rana wygląda strasznie - szepnęła mi Aldona do ucha. - Poszukajmy lekarza.

Dyskretnie zaczęłyśmy się wycofywać. Opuściła mnie ochota, żeby lepiej poznać rodzinę raptorów. Babka Abba

odprowadziła mnie uważnym wzrokiem, zakładając ręce na piersi. Po kilku krokach dogonił nas Tyrś.

- Niech pani pozwoli sobie pomóc - zaproponował znowu. - Cierpi pani z powodu mojego brata. Chcę to pani przynajmniej częściowo wynagrodzić...

Z bardzo bliska spojrzał mi w oczy, nie zważając na zawstydzoną Aldonę. Zastygłam w pół ruchu, wyrzucając sobie naiwność, że podoba mi się ciepło w jego oczach i ukrywający się pod nim cień obietnicy. Musiałam sama się przekonać jakiej.

Rozpadało się. Wielkie krople deszczu odbijały się od szyby i powierzchni oceanu widocznego za oknem. Rozluźniłam się na tyle, żeby bez nadmiernej ostrożności oprzeć skroń o ramię Tyrśa. Od jakiegoś czasu leżeliśmy w jego łóżku. Lizał moją ranę, a potem ją opatrzył, na dobre tamując krwawienie. Urządził sobie cały lekarski gabinet w piwnicy, czym wprowadził mnie w zdumienie - nie wiedziałam, na jak wielu rzeczach się znał. Pokazał mi wszystkie pomieszczenia w swoim domu, po drodze częstując słodką nalewką z kaktusa. Alkohol uśmierzył ból, ale też uderzył mi do głowy. Nie wiedziałam, kiedy zaczęłam się przyzwyczajać do kontaktu z Tyrsem, jego ramienia oplatającego mnie w talii i dłoni wędrującej pod moją koszulą do zapięcia stanika. Nie rozbierał mnie do końca, nie był natarczywy w okazywaniu seksualnego zainteresowania, ale nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że właśnie o to mu chodzi. Stopniowo

pograżałam się w jego bliskości jak w ruchomych piaskach, które cierpliwie wciągały mnie pod powierzchnię. Z trudem łapałam oddech, gdy Tyrs przesuwiał dłoń po moim brzuchu, wytyczając ścieżkę między uda.

Resztki zdrowego rozsądku znowu kazały mi uciekać. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia, zawieszona między poczuciem obowiązku a kuszącą przyjemnością. Miałam tylko obserwować i wyciągać wnioski z zachowania mojego raptora, nie zaś do niego podchodzić, a już na pewno nie tak blisko... Coś mi mówiło, że dla niego to było znacznie ważniejsze niż dla mnie. Ugryzł mnie, żeby przypieczętować naszą dziwną relację, jasno naznaczyć jako swoją. Dlatego oprowadził mnie po domu, opowiadał o rodzeństwie i pracy w Straży Wąwozu, dlatego zignorował ciekawość Abby i roszczenia małego Taniela.

Wybrał mnie zamiast ich. Nie zasłużyłam na te przywileje - bez względu na to, jak niezwykła mogłam mu się wydawać. Dzieliło nas parę lat życia, pochodzenie i doświadczenie. Byłam kobietą z Europy, która przybyła do Twierdzy odkryć prawdę o swojej dawno utraconej siostrze. Powinnam trzymać dystans, przynajmniej na tyle, by nie dzielić z nim intymności, nie pozwolić mu przesunąć językiem wzdłuż mojego brzucha aż do najbardziej czułego miejsca, w którym zagłębił się jak w różowym kawałku świeżego mięsa. Bałam się jego zębów, które tak łatwo mogły mi teraz sprawić niewyobrażalny ból. Na pewno były silniejsze i bardziej zabójcze niż zęby jego malucha. Myślałam o tym, zaciskając palce na pościeli. Balansowałam na skraju orgazmu,

pozbawiona odrębnych myśli, a moje wspomnienia z Europy wymazywał miarowy, precyzyjny ruch jego języka.

- Jak zapamiętałaś ojca? - Zaskoczył mnie tym pytaniem.

Zastygłam między potrzebą wdrapania się na jego pierś i pozostania na niej w nieruchomej pozycji do końca świata a paniką wywołaną wskrzeszeniem Baila Tharena w pamięci. Spojrzałam na Tyrsa spod rozczochranej grzywki. Delikatnie dotknął mojego policzka i odsunął mi włosy z twarzy; nie miałam już za czym się schować. Moje ubrania leżały porozrzucane wokół łóżka i tylko ciepło jego piersi i chropowatych ramion pokrytych tatuażami utrzymywało temperaturę mojego ciała.

- Był porządnym facetem. Dbał o mnie i o moją mamę. Przywykłyśmy do luksusu. Tylko Patricia nie lubiła czuć się od niego zależna. Szybko zamieniła więc jego wysublimowane maniery i godną pozazdroszczenia pracowitość na podobne cechy swojego męża Daryła.

- To nie jest żaden obraz. Raptory myślą obrazami.

Tyrs obrócił się na bok i oparł głowę na rękę, eksponując zaokrąglony kształt bicepsa. Dotknęłam jego piersi na wysokości obojczyków samymi opuszkami palców. Przez chwilę podziwiałam proporcjonalną budowę i wyrzeźbione mięśnie.

- Podobno starasz się walczyć ze swoją zwierzęcą naturą.

- Uśmiechnęłam się, składając lekki pocałunek na jego ustach.

Smakował pożądaniem, które ponownie mnie rozgrzało, wzburzyło mi krew w żyłach.

- Mam słabą wolę.

- Ty? Nie powiedziałabym.

Tym razem to ja schodziłam niżej. Obserwował mnie spod przymkniętych powiek. Zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę, że jestem z nim nieszczerą; korzystam z uroku chwili, kąpię się w jego potrzebie dawania i brania ode mnie przyjemności, wyznaczam nową jakość jego nienawiści do ludzi.

- Ojciec dużo pracował. Osobiście nadzorował prace fabryk i laboratoria. Uwielbiał swoje eksperymenty, zwłaszcza te, które przeprowadzał na ludziach. Marzył o stworzeniu idealnego żołnierza wzmocnionego genami drapieżników. Takie zresztą zadanie otrzymał od cesarza. Brytanik bywał w naszym domu, przyjaźnił się zarówno z moim ojcem, jak i matką. Jeden z moich starszych braci ożenił się z jego ulubioną kuzynką, za to Patricia zasłużyła na zaszczyt prywatnych audiencji. Była ulubienicą cesarza, a co za tym idzie, również ulubienicą mojego ojca.

Przerwałam na chwilę i wzięłam końcówkę jego członka do ust. Tyrs wyprężył się, a potem wyprostował pod moim dotykiem. Niecierpliwy ruch jego bioder uświadomił mi, jak bardzo podniecony był. Ssałam i lizałam go, mocno trzymając przy samej nasadzie. Okrężne ruchy mojego języka wyrywały mu głośne jęki z gardła. Natarczywie myślałam o tym, że kochałam się ze stworzeniem, o którego powstaniu marzył mój ojciec, i dlatego była to szczególna chwila. Ciekawiło

mnie jego nasienie – jego kolor, zapach i smak.

Doszedł w moich ustach. W pierwszej chwili zadławiłam się spermą. Musiałam się odsunąć i odkaszać. Przysiadłam na skraju łóżka, ocierając wargi wierzchnią stroną dłoni. Jednak sperma to sperma.

Siedziałam tak przez chwilę, aż Tyrś podniósł się za moimi plecami i na nowo przyciągnął mnie do siebie. Oparłam się plecami o jego pierś, odchylając głowę. Nasze usta złączyły się w niedbałym, leniwym pocałunku.

Nie miałam ochoty się ubierać i wychodzić na dwór. Wolałam leżeć w zmiętej pościeli i jeszcze raz zrobić mu laskę, ale Tyrś uparł się, że chce wypuścić lampion. Bawiła mnie myśl, że może łudził się, że do końca roku zostanę jego żoną.

Mimo to wcisnęłam się znowu w jeansy i kraciastą koszulę. Lustro w łazience pokazało mi twarz zmęczonej kobiety o spuchniętych ustach i pogryzionej szyi. Spojrzałam na opatrzoną dłoń. Przez biel bandaża prześwitywały plamy krwi. Wzdrygnęłam się na wspomnienie ugryzienia raptorzego dziecka i pierwszy raz pomyślałam, że Mollinowie stanowili konkretne zagrożenie.

Zeszliśmy z Tyrsem po wydmie, na której zbudował dom. Piasek wsypywał się do moich źle zawiązanych butów, drgały mi mięśnie nóg, a krople deszczu, sklejące rzęsy, ograniczały widoczność. Na szczęście Tyrś trzymał mnie za zdrową rękę i gdybym się potknęła, mogłam liczyć, że mnie złapie. Chłodny deszcz przyjemnie otrzeźwiał – skleił mi

kosmyki włosów i ochłodził rozpaloną skórę. Moje ubranie w mgnieniu oka stało się mokre, podobnie jak zmięty podkoszulek Tyrsa i jego rozciągnięte dresowe spodnie. Zatrzymaliśmy się przy skałach, które zasłoniły nas od wiatru i deszczu.

Wpatrywałam się we wzburzone fale wyrzucające kamienie i muszle na poszarpany brzeg. Tyrś przygotowywał lampion, jednak nie zwracałam na niego uwagi. Myślałam o pytaniu, które mi zadał, zanim zaczęliśmy się kochać. Obraz mojego ojca. Ojciec w fotelu w swojej biblioteczce z kieliszkiem brandy w dłoni, pustym wzrokiem wpatrujący się w przestrzeń. Przez jego policzek przebiegł skurcz. Podłużna zmarszczka oszpeciła nieskazitelne czoło. Ojciec w laboratorium z notesem przyciśniętym do piersi, z wielkim zainteresowaniem obserwujący poród kobiety, która miała wydać na świat pierwszą hybrydę człowieka i dzikiego zwierzęcia. Dziecko zmarło po kilku tygodniach, ale eksperyment ojca uznano za przełom w dziedzinie badań genetycznych. Cesarz oddał mu całe terytorium, na którym mógł swobodnie powtarzać próby. Szkoda, że nie doczekał chwili, kiedy zacofani wyznawcy boga-raptora dokończyli za niego pracę. Wyobraziłam sobie, że by go to rozbawiło. Ciekawe, czy Patricia myślała podobnie, gdy przybyła do Twierdzy. Musiało jej się to spodobać, w innym wypadku nie podjęłaby się własnych eksperymentów. Rozumiałam, że chciała zadrwić z Teobalda Elasmosa, ale dlaczego jej własny syn? Dlaczego Tuliusz? Co nią powodowało? Musiałam jak najszybciej odnaleźć wyniki jej badań i porozmawiać

z Tuliuszem Donnerem.

- Gotowe - powiedział Tyrs, wyciągając przed siebie ręce, w których trzymał niebieski lampion. - Zapal go od środka.

Wyciągnęłam zapalniczkę z jego kieszeni i otworzyłam okrągły lampion, chroniąc knot przed zacinającym deszczem. Światelko rozbłysło nieśmiałym blaskiem. Wtedy Tyrs podrzucił lampion do góry i siła wiatru uniosła go w przestworza. Mimo niesprzyjającej pogody poszybował w stronę chmur, chwiejąc się na boki. Zza skarpy wyłaniały się pojedyncze punkciki świecące na różne kolory. Po chwili całe niebo zakryły lampiony - część z nich spadała do oceanu, nie wytrzymując naporu wiatru i deszczu, ale część dzielnie szybowała dalej. Nasz lampion zwrócił się w odwrotnym kierunku niż większość. Obserwowaliśmy go, trzymając się za ręce. Byłam już przemoknięta do suchej nitki. Ubranie przyklejało się do mojej skóry, drżałam z zimna.

Tyrs otoczył mnie ramieniem.

- Kładź się - zarządził.

Nie podobał mi się jego władczy ton, choć nie zamierzałam też z nim dyskutować. Zrobiłam więc, co kazał. Piasek był mokry i nieprzyjemny w dotyku. Czułam się znowu jak nastolatka, pogrążona w miękkiej ziemi z mężczyzną nad sobą, który dążył tylko do tego, żeby wbić mnie w mokre podłoże, rozerwać od środka i zawłaszczyc. A nikt tak nie zawłaszczzał, jak Tyrs Mollina.

Abba przyszła w środku nocy i obudziła mnie, mocno szarpnąwszy za ramię. Byłam zawinięta w pościel Tyrsa, jego czerwone prześcieradło stanowiło moje jedyne ubranie. Straciłam rachubę, ile razy kochałam się z nim w ciągu tego popołudnia i wieczoru. Deszcz przestał padać i jego ponure pomruki zastąpił szum wzburzonego oceanu. Nadchodził sztorm.

Podciągnęłam pod siebie nogi i oparłam plecy o pogniecione poduszki. Abba założyła nogę na nogę, zapaliwszy wcześniej papierosa. Oświetlała ją tylko lampka włączona przy łóżku. Widziałam jej szczupłe, pomarszczone palce i zarys paznokci. Zupełnie zwyczajnych, ludzkich.

- Świetny seks, prawda? - zapytała, odwzajemniając moje spojrzenie.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Włączył się mój wewnętrzny system alarmowy.

- Możesz sobie tylko wyobrazić, jak to jest z prawdziwym raptorem... Uzależnia od adrenaliny pompowanej do krwi i ekscytującego strachu, czy na pewno seks zakończy się tylko orgazmem... Długo pracowałam na swoją pozycję w stadzie. Żyję, żeby przypominać społeczności Twierdzy, że w końcu spotka ją sprawiedliwość. Jeśli nie boska, to przynajmniej zwierzęca...

Dym przysłonił jej twarz. Czekala. aż się odezwę, ale ja myślałam tylko o ucieczce. Pomysł powrócił do mnie już trzeci raz w ciągu jednego dnia, chociaż chyba nie chciałam

wiedzieć, co zrobi Abba, jeśli nagle rzucę się do balkonowych drzwi i wyskoczę przez barierkę. Zbyt dobrze pamiętałam zęby Tyrsa wbite w moje ramię.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytałam więc, próbując dostrzec wyraz jej twarzy w tym słabym świetle.

- Najbardziej życzyłabym sobie, żebyś zostawiła nas w spokoju. Europejka nigdy nie zrozumie naszego stylu życia, naszych wyborów. Co najwyżej może nas tylko pograżyć. Ostatnimi czasy nie mam najlepszych kontaktów z Tyrsem, ale to nie znaczy, że mi na nim nie zależy.

- Rozumiem, że to taka rozmowa zaniepokojonej babki z nieodpowiednią dziewczyną jej wnuka - zadrwiłam, chociaż wcale nie miałam ochoty zadzierać z tą kobietą.

- Przyjechałaś tutaj, żeby głosić idee pacyfistyczne i w Mieście Krokodyli prawie udało ci się wywabić mnie na otwartą przestrzeń. Tymczasem nikt z moich wysłanników nie przeżył ataku cesarskich żołnierzy. Teobald Elamos tylko cudem uciekł, zanim dopadły go tajne oddziały policji Krokodyli. Skąd tak dobrze wiedzieli, w którym miejscu go szukać? Zaoferowałaś bezpieczeństwo wszystkim uczestnikom konferencji. To twoja obecność miała zagwarantować, że wrócimy do domu i że uda się podpisać traktat pokojowy. Może się zdziwisz, ale przez jakiś czas rozważałam twoją koncepcję. Strefa wolna od przemocy, pojednanie wszystkich sił w południowej Afryce. Silny region rządony przez suwerenne władze, mogący się przeciwstawić ingerencji cesarza. Ewenement na skalę światową.

Zadrzałam pod naporem jej oskarżycielskiego spojrzenia.

Przybliżyła się do mnie, przenosząc ciężar ciała na zgiętą rękę.

- Jestem tylko niewykształconą dziwką, którą dobre czterdzieści lat temu kapłani Twierdzy złożyli w ofierze krwawym bogom, ale jak nikt inny potrafię przejrzeć oszustwo. Przyszedłam ci powiedzieć, że wiem. Bez względu na to, co postanowi Tyrs czy Teobald, masz pamiętać o tym, że ja wiem. A moja władza jest inna niż polityczna przewaga burmistrza. Płynie z natury i jest niewzruszona. Nikt mi jej nie odbierze, chyba że sama z niej zrezygnuję. Chyba że sama zechcę przekazać ją komuś lepszemu od siebie. Od dzisiaj zacznij się mnie bać. Jeśli choć przez chwilę czułaś niewyobrażalny ból, kiedy mały Taniel ugryzł cię w rękę, zacznij się mnie bać. Moje raptory nie mają w sobie nic ludzkiego.

Abba próbowała mnie zastraszyć. Powoli nudziło mnie bycie ofiarą. Przysunęłam się więc do niej tak blisko, że mogliśmy teraz bez problemu spoglądać sobie w oczy.

- Ludzie są bardziej przerażający od zwierząt. Dlatego rządzą światem.

Cofnęła się nagle i ze świstem wypuściła dym z płuc.

- Dobrze rozegrane - przyznała.

Do pokoju wrócił Tyrs. Trzymał przed sobą tacę z filiżankami parującej herbaty. Abba spojrzała na niego przez ramię.

- Cokolwiek mówię temu chłopakowi, zawsze odnoszę przeciwny skutek - powiedziała z namysłem. - Dlatego tym razem nie powiem nic.

Wstała, powłócząc skrajem miedzianej sukni. Jej długie szare kędziory rozsypały się na plecach. Mimo swojego podeszłego wieku wciąż była piękną kobietą, choć paradoksalnie wydawała mi się najbardziej podobna do Tyrsa. Widziałam to teraz bardzo wyraźnie, kiedy stanęła obok niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Spojrzał na nią niechętnie, mój osobisty bóg seksu ubrany tylko w rozwleczone spodnie dresowe. Mieli ten sam złośliwy grymas ust, to samo spojrzenie dominujących drapieżników. Abba wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Potem pochłonęła ją ciemność za jego plecami. Trzasnęły drzwi.

Herbata była gorzka w smaku, ale już wcześniej zauważyłam, że to odpowiadało Tyrsovi. Siedział obok mnie na łóżku z wyciągniętymi przed siebie nogami. Przez chwilę był nieobecny, całkowicie skupiony na sączeniu herbaty. W drugiej dłoni trzymał telefon i obracał go w palcach. Światło lampki nocnej wydobywało granatowe refleksy z jego ciemnych, krótko obciętych włosów i przyciemniało niebieskie tatuaże na ramionach. Maskowały gadzie łuski, choć niezbyt umiejętnie. Wiedziałam już, w których miejscach przez rysunki prześwitywały zygzakowate fale.

Przysunęłam się do niego. Jego tęczówki nieznacznie zwróciły się w moim kierunku, ale nie obrócił przy tym głowy. Był to mało ludzki gest. Przeszedł mnie dreszcz.

- A tobie z jakim obrazem kojarzy się babka? - zapytałam.

- Z urwiskiem skąpanym we krwi. Pierwszy raz zapolowałem wtedy z raptorami na ludzi. To byli miejscowi bandyci. Zasadzali się przy drodze na podróżnych. Własnoręcznie zabiłem wtedy jednego z nich. Czysta robota: jeden umiejętny ruch noża i po sprawie. Wtedy raptory rzuciły się, żeby go pożreć. Stałem tam jak wryty i czułem, jak podnosi mi się jedzenie w żołądku. Abba podeszła do mnie i szeptem namawiała, żebym się dołączył, że to moja natura, że jestem idealnym, niewzruszonym mordercą, pozbawionym wad i słabych punktów, i powinienem zająć należne mi uprzywilejowane miejsce w świecie.

- I co zrobiłeś?

- Uciekłem. Pierwszy i ostatni raz w życiu uciekłem. Skierowałem się prosto do willi Teobalda. Drzwi otworzyła mi Arabella Donner, twoja siostra. - Jego tęczęwka na dobre zadomowiła się w kącie oka. - Spytała, co mi się stało i dlaczego płaczę, ale nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Czułem tylko wszechogarniający mnie wstręt i taki nieznośny żal, który właśnie był najgorszy. Dopiero po dłuższym czasie zdałem sobie sprawę z tego, co mi się wtedy przytrafiło...

- To znaczy?

- To znaczy zrozumiałem, że nie należę do rodziny. - uśmiechnął się, odsłaniając zaostrome zęby. - Wolę być człowiekiem. Tak też starałem się wychować moje rodzeństwo. Tamtego popołudnia Teobald bez słowa mocno mnie objął i godzinami tulił, kiedy wypłakiwałem sobie oczy. Dlatego jestem z nim, a nie z Abbą. Dlatego podążam własną drogą, a nie tą, którą dla mnie przygotowała. Jestem wolny.

To dla mnie najważniejsza wartość. Jeśli chcesz, podzielę się nią z tobą.

W końcu zwrócił twarz w moją stronę. Był całkowicie skupiony na mnie. W tym momencie niewiele dzieliło mnie od tego, żeby mu wszystko opowiedzieć. Zdać się na jego siłę, nie tę fizyczną, pochodzącą od prehistorycznego gada, ale tę wewnętrzną, zmuszającą go do ciągłego podejmowania wyzwania, ustalania własnych reguł, oznaczania i pilnowania terytorium. Jak zwykle jednak zabrakło mi odwagi. Nie wierzyłam, że istniała potęga większa niż potęga cesarza. Może w innym, lepszym świecie, gdzie nie istniało Cesarstwo, Tyrs Mollina mógłby być mężczyzną mojego życia. A tak był po prostu skazany na zagładę. Nie dlatego, że urodził się wybrykiem natury, ale dlatego, że jak każdy kawałek łamigłówki, który nie pasował do całości, wymagał natychmiastowego wyeliminowania. Tak by puzzle ponownie złożyły się w jednolity obraz.

- Wierzę w twoją wolność, Tyrs - powiedziałam mimo to i przytuliłam się do jego boku.

- Ale nie wierzysz w swoją.

- Ponieważ moja wolność nie istnieje. Nie zauważyłeś?

- Widzę to od samego początku i czasami mi ciebie żal.

Uniosłam głowę i spojrzeliśmy sobie w oczy. Nie skomentował tego, co zobaczył w moim spojrzeniu, chociaż zmarszczył brwi i pierwszy odwrócił wzrok. Trwało to dłuższą chwilę, aż w końcu powiedział:

- Muszę iść. Teobald mnie potrzebuje. Zostań tutaj, ile chcesz. W moim domu jesteś bezpieczna.

Położyłam głowę na jego piersi i w milczeniu nakazywałam mu zmienić decyzję. Nic nie było już w stanie zmniejszyć coraz bardziej dzielącego nas dystansu. Oboje dokonaliśmy wyboru.

Wziął mnie za rękę i pogrążyliśmy się w objęciach.

ROZDZIAŁ 10

Tulia/Tuliusz

Krew, która nie przestawała wypływać z mojego boku, zabarwiała wodę na ceglastą czerwień. Nad moją głową rozpościerał się przybrudzony błękit nieba. Chmury były ciężkie, wypełnione niewylanym deszczem. Krążyły nade mną pterodaktyle - bardzo nisko, z ciekawością kręcąc łbami. Nie wiedziałem, czy chciały mnie ochraniać, czy też wręcz przeciwnie: zrobić sobie posiłek.

Myśli miałem równie ociążałe, co płynące nade mną chmury. Niby pamiętałem cały ciąg wydarzeń, które doprowadziły mnie do tego miejsca, niby oswoiłem ból, ale moja świadomość powoli drętwiała.

Na powierzchni wody unosiły się strącone lampiony, symbole niespełnionej miłości; przypominały wielokolorowe płaszczki. Nie umiałem w całości wyczołgać się z wody. Moje nogi co chwila zalewały fale, od pasa w dół tkwiłem w miękkim, mokrym mule. Dłonie zanurzyłem w piasku, jednak nie dawał on żadnej stabilizacji. Mięśnie ramion odmówiły mi posłuszeństwa.

Nie powinienem był łamać jego serca. Już bez tego Tycjan ledwo się trzymał. Teraz odszedł i nie wiadomo, czy

ktokolwiek go znajdzie. Nawet Tyrs będzie miał z tym problem. Pamiętałem takie sytuacje, gdy smutny bądź obrażony Tycjan schodził na dno oceanu i zostawał tam przez wiele dni. Teobald i moja matka bezskutecznie próbowali go stamtąd wywabić, ale on miał swoje sposoby na zachowanie prywatności. Wówczas rzeczywiście przeistaczał się w elasmozaura.

Wydawało mi się wzruszające, że martwiłem się o niego w takim momencie - sam ledwo utrzymując się przy życiu. Może naprawdę go kochałem - nie tylko jak brata. Teraz to i tak bez znaczenia, bo tutaj umrę. Pchnięty nożem przez cień mojej matki. Zawsze przeczuwałem, że ona to zrobi: wysię całą krew z mojego ciała, obgryzie kości z resztek wiszących mięśni i z uśmiechem przetrąci mi kręgosłup. Umiała przerażać i jak widać, potrafiła to robić nawet z za grobu.

Powierzchnia oceanu srebrzyła się w promieniach zachodzącego słońca. Wyglądała trochę tak, jakby nieuważny malarz naznaczył ją pojedynczymi pociągnięciami pędzla po samą rękę umorusanego biało-srebrną farbą. Dlatego gdy obróciłem głowę, widziałem drgający, wyblakły turkus na pomarszczonej tafli wody. Fale były niewielkie, ale liczne. Jedna za drugą postępowały w szybkim marszu do brzegu. Słońce kryło się za grubym błękitem chmur, pozostawiając wyraźną pomarańczową plamę na pelerynie oceanu. Co chwila mała fala płucała muł z mojej zasychającej krwi. Przez

zasłonę rzęs obserwowałem szarość chmur rozpostartych na czystym niebie.

Przerażało mnie, jak rzeczywistość zlewała się ze wspomnieniami. Mamrotałem coś pod nosem - wydawało mi się, że rozmawiam z duchem matki. Patrzyła na mnie tym szczególnym ironicznym wzrokiem, przeznaczonym dla największych naiwniaków. Tej nocy, gdy przespałem się z Tycjanem, wykradłem jej korespondencję z siostrą Cera z Europy i wszystkie prywatne zapiski, które pozostawiła u Teobalda. Treść jej listownych rozmów z siostrą dogłębnie mną wstrząsnęła, choć dysponowałem tylko odpowiedziami Cery.

„Afryka nie może być aż tak złym miejscem, jak piszesz. Zresztą jak dobrze pamiętasz, mieliśmy otrzymać okolice Namibii jako naszą rodzinną kolonię za wszystkie zasługi dla Cesarstwa. Może gdybyś odniosła sukces w swoich badaniach, Brytanik dotrzymałby słowa i to Tharenowie rządząliby Twierdzą Kimerydu, a nie miejscowy awanturnik.

Prawdziwa władza jest przelotnym przywilejem i tylko nieliczni nauczyli się z niej korzystać tak, by nie przeciekała im przez palce. Chwała Brytanikowi i wszystkim jego prowincjom, które złączone w jedno stanowią nasze Cesarstwo. Tak, nasze. On uwielbia się wszystkim dzielić”.

„Matka wyjdzie za Guiteereza bez względu na wszystkie Twoje protesty. Zresztą - jaką władzę mają dzieci nad rodzicami? Matka boi się zostać sama, boi się, że cesarz

skonfiskuje resztki naszego uszczuplonego majątku, chociaż kiedyś tak bardzo przydatni mu byliśmy. Boi się, mimo że Twój były mąż obiecał nam protekcję. Patrick szybko rośnie. Ma twoje włosy i podobno jest tak samo uparty. Rzadko go widuję. A jak się miewa Daniel? A nie - przepraszam. Tulusz?”

„Nie odważyłabym się przeprowadzać eksperymentów na dzieciach. A już na pewno nie na własnym synu. Może masz rację i obce geny stopniowo podawane do organizmu człowieka mają szansę się przyjąć i mutować bez szkodliwych efektów ubocznych. Tylko dlaczego to musi być Twój syn? Dlaczego podejmujesz takie ryzyko? On ma trzy latka. Co zrobisz, jeśli doprowadzisz go do śmierci? Będziesz w stanie z tym żyć?”

Przynajmniej wiedziałem już, dlaczego przeżyłem morderczy zastrzyk mojej matki. Przygotowywała mnie do tego momentu, odkąd tylko przybyliśmy do Afryki. Moi koledzy dostali te same zastrzyki, ponieważ chciała sprawdzić, czy miała rację. Byłem jej udanym eksperymentem, chociaż nie najlepszym - najlepszy był Tycjan. Idealna hybryda powstała kosztem jego brata bliźniaka Tacjana. Otrzymali geny dinozaura od razu w łonie matki; oczywiście, że Arabella musiała śledzić ich rozwój. Tak ją to wciągnęło, że w pewnym momencie straciła dystans. Potrzebowała stać się częścią ich życia. Podanie genów elasmozaura dzieciom Teobalda Elasma uważała za nie tylko wyrachowane, ale

też zabawne. W pewnym momencie naprawdę zakochała się w Teobaldzie, ale było już dla nich za późno.

Na moje policzki spadły pojedyncze krople. Przez chwilę myślałem, że zaczyna padać, że te ciężkie, deszczowe chmury doczekały się ukojenia, jednak słońce wciąż świeciło mi prosto w twarz. Poruszyłem powiekami i lekko je uchyliłem. Jak przez mgłę zobaczyłem zarys podłużnego pyska raptora. Krew kapłała spomiędzy jego zaostrzonych zębów, a pomarańczowe źrenice obserwowały, jak moja pierś unosi się w ciężkim oddechu. Nie atakował, chociaż powinien. W pobliżu musiał więc znajdować się ktoś z rodziny Mollinów. To jedyne wyjaśnienie, jakie znalazłem, mimo że nawet oni nie mieli takiej władzy nad raptorami. Może rzeczywiście był to dobry moment na śmierć? Bałem się jej mniej niż życia.

Wtedy czyjaś mała dłoń ujęła mnie za rękę. Poczułem, jak jej palce zaciskają się na moim nadgarstku.

- Bardzo boli? - zapytał ktoś dziecięcym głosem.

- Bardzo.

- Nie mam siły cię podnieść, ale moje raptory ci pomogą.

Otworzyłem szerzej powieki. Dzieciak wciąż pozostawał jednak poza zasięgiem mojego wzroku.

- Taniel? - zapytałem.

- Tak, to ja.

Coś mocniej pociągnęło mnie za ramiona. Ostre kły zacisnęły się na mojej skórze, ale jej nie naruszyły. Dwa raptory najdelikatniej, jak potrafiły, zaczęły ciągnąć mnie w stronę suchego lądu, nie zważając na opór, jaki stawiał im

wilgotny piasek. Świat zamienił się w rozmazane smugi. Szarość pysków raptorów, intensywna czerwień krwi, jasny błękit nieba pociągnięty brudną bielą chmur, fragment ciemnego różu na koszulce Taniela i jego opalona twarzyczka, która pojawiała się i znikwała pomiędzy ciekawskimi pyskami transportujących mnie gadów, tworzyły razem surrealistyczny obraz.

Miałem wrażenie, że godzinami sunąłem po piasku z rękami luźno złożonymi wzdłuż tułowia, zewsząd bombardowany wrażeniami, które oddziaływały na moje zmysły w zwolnionym tempie. Wesoły śmiech Taniela górował nad pomrukami zwierząt wyraźnie zniecierpliwionych jego kaprysem, żeby zaopiekować się rannym człowiekiem, zamiast go pożreć. To było zresztą tak nierealne i pozbawione sensu, że wydawało się częścią snu – jakbym doświadczał ostatnich omamów przed całkowitym pogrążeniem się w ciemności. Raz poczułem jednak niewielki ciężar w okolicach talii, niebezpiecznie blisko mojej rany. Sprawiał mi ból, na chwilę wybijając z odrętwienia. Taniel siedział na mnie z podwiniętymi pod siebie nogami i wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. Nie uśmiechał się, nie wykazywał żadnej reakcji. Wyglądał trochę jak drapieżnik, który żałował swojej decyzji, żeby podzielić się z innymi świeżym mięsem.

Nie wiedziałam, czy lubię Tyrsa i jego rodzinę. Tyrś nie był wobec mnie tak bezwzględny jak Tycjan, lecz mimo to w jego

towarzystwie czułam się bardziej niezręcznie. Wolałam się chyba bać i w kółko przeżywać palący wstyd, że nie byłam Tuluszem, że byłam gorsza od niego, bo Tycjan nie chciał patrzeć na mnie tak, jak patrzył na niego. W taki nastrój zwykle wprowadzał mnie mój srebrnowłosy książę o smutnych oczach. Współczucie Tyrsa i jego ledwo okazywana, acz wyczuwalna, życzliwość czyniły ze mnie prawdziwą osobę, kogoś, kto zasługiwał na coś więcej niż pogarda i odrzucenie. Ale ja się z nimi godziłam - nie uważałam, bym zasługiwała na jego litość. Jednocześnie zażarcie walczyłam o swoją odrębność. Stanowiłam część Tulusza, a zarazem nie, choć ostatnio robił wszystko, żeby mnie wchłonąć. Tak, Tulusz chciał mnie wchłonąć, był gotowy stać się mną. W ten sposób poświęcał część siebie, zmuszając mnie do tego samego. Niewygodny, lecz praktyczny kompromis. Jedno w miarę ustabilizowane, pozbawione konfliktu życie zamiast dwóch przeciwstawnych, niszczących siebie nawzajem. Kiedy zamieszkiwało się razem jedno ciało, to pierwsze rozwiązanie wydawało się rozsądniejszą opcją.

Tulusz zdołał mnie nieco do niej przekonać, aczkolwiek wątpiłam, żeby pogodził się z moją ekstrawagancją. Nie byłam w stanie z niej zrezygnować, a on raczej nie potrafił na nią przystać. W geście przyjaźni zmienił nasz wygląd tak, by pasował jak najbardziej do nas obojga; uwzględnił w nim moją miłość do przepychu i swoją dbałość o szczegóły. Moje rude włosy i swoje czarne; moje skóry i ćwieki, a swoje zamiłowanie do wygody. Część mojego makijażu i swoją bladą cerę bez domieszki pudru czy różu. Moje zamiłowanie

do seksu i swoją romantyczną, refleksyjną naturę. Im dłużej nad tym myślałam, tym bardziej odnosiłam wrażenie, że mogło nam się udać, że sama chciałam, żeby nam się udało. Że może mogłam mu wszystko opowiedzieć, bo był gotowy mnie wysłuchać.

Wtedy wydarzyło się to, co się wydarzyło. Migoczące światła portu, wstrętny zapach spoconych ciał, trzymane na specjalne okazje kolorowe narkotyki z barku Zadara; mięsiste dłonie najznakomitszych członków widowni, które koniecznie chciały znaleźć się na naszych pośladkach, żeby potem dosiąść prawdziwego pterodaktyla. Brzęczące monety wysypane na nasze plecy, przeraźliwie suchy dźwięk rozpościerania skrzydeł pterodaktyla (tak, to był suchy dźwięk, przypominający pocieranie drewnianego parapetu papierem ściernym); twarz Tyrsa i Tycjana na widowni i ten okropny, okropny wyraz oczu mojego srebrnowłosego księcia (do diabła, przecież uwielbiam pieprzyć się na scenie, nie wiedziałeś?); burza oklasków. Poślizgnęłam się na brokacie, moje kolano spuchło, ale wytrzymało napór jeszcze jednego widza, który z pasją złapał mnie za biodra i już prawie, prawie poczułam go w sobie, ale publiczność zamarła, a cisza w sali wyłożonej kryształami odbijającym światło jak kalejdoskop zabiła nastrój świętowania, nastrój orgii tak cierpki, że osiadł niczym skondensowana rtęć na moim języku.

Obróciłam głowę, żeby od razu z rozpaczą schować ją w dłoniach. Tycjan odepchnął mnie z taką siłą, że stłuczone kolano nie wytrzymało i uderzyłam głową o podłogę. Nikt nic

nie powiedział, nikt nic nie zrobił. Było tak przeraźliwie cicho i nieruchomo, że myślałam, że w tym jednym momencie świat się zatrzymał.

A teraz leżałam na twardym stole w piwnicy Tyrsa, jednym uchem słuchając jego przekleństw, gdy łątał mi bok. Ach, tak, nieszczęsny bok. Mnie bardziej bolało kolano. Rozmowa z ciotką Cerą nie miała dla mnie większego znaczenia, mówiła przecież to, co już od dawna wiedziałam. Tulusz był tym jednak bardziej zszokowany niż namiętną nocą u Zadara z tak tragicznym finałem. Gdyby wcześniej zapytał mnie o naszą matkę, o naszą ciotkę, o naszą rodzinę z Europy – wszystko bym mu opowiedziała. Przypomniałam sobie wcześniej od niego, chociaż podobnie jak on nie spodziewałam się, że Anna Guiteerez jest siostrą naszej matki. Nie zareagowałabym taką paniką jak Tulusz i przede wszystkim nie pozwoliłabym jej się pchnąć. Oj, na pewno nie tak łatwo... Nie bałam się Anny, bałam się Arabelli. Na szczęście była martwa, a martwi przychodzą do nas tylko w snach.

- Muszę iść, przepraszam, Tulio. - Tyrś pochylił się nade mną i odsunął mi włosy z policzka. - Teobald mnie potrzebuje. Już od dobrej godziny powinienem być w garnizonie.

- Podobaliśmy ci się na scenie? - zapytałam, odnajdując jego speszone spojrzenie. - Widzę, że tak. To był najlepszy erotyczny taniec, jaki udało mi się dotąd wykonać. -

Zaśmiałam się na widok jego zdumionej miny. – Szkoda, że jesteś taki... przyzwoity. Świetnie byśmy się ze sobą zabawili...

– Uważasz, że jestem przyzwoity? – Nie wierzył własnym uszom.

– Jesteś najbardziej przyzwoitym człowiekiem w tym mieście. Uwierz doświadczonej dziwce.

Roześmiał się i pochylił nade mną. Poczułam dotyk jego warg na czole. Wezbrał we mnie szloch, ale go powstrzymałam, zakrywając usta dłonią.

– Odpocznij, Tulio, jesteś rozpalona. Alicja i Terra będą nad tobą czuwać.

– A Taniel?

– Co: Taniel? – Zerknął na mnie przez ramię, sponad wystających z jego kołczanu lotek.

Kierował się już do wyjścia.

– Gdzie on jest?

– Jak to: gdzie? W swoim łóżku. Śpi. Majaczysz, Tulio.

Nie majaczyłam. Ale zamiast coś dodać, po prostu obdarzyłam Tyrsa serdecznym uśmiechem. Zasługiwał na niego.

Zostałam sama z kiwającą się nad moją głową żarówką. Rzuciła na ściany nierówne światło. Domyślałam się, że Tyrś nie miał zielonego pojęcia, co się działo z jego młodszym bratem. Wspomnienia Tulusza wleczonego przez raptory do domu Mollinów rezonowały w moim umyśle, ale byłam na nie obojętna. Byłam obojętna na wszystko, co nie dotyczyło Tycjana. Straciłam go na zawsze. My go straciliśmy.

Eksperymenty genetyczne nie miały przy tym żadnego znaczenia, a już tym bardziej nie miał go mały chłopiec obdarzony niezwykłym talentem do tresowania zwierząt. A może po prostu był jednym z nich - bardziej niż ja, Tycjan czy Tyrś.

Spotkałyśmy się w salonie Mollinów. O własnych siłach wyszłam z piwnicy; byłam bardzo słaba, ale nie mogłam znieść drgającej żarówki, a nikt z rodzeństwa Tyrśa się nie zjawiał. Chociaż serum uśmierzające ból, które mi zaaplikował, dodawało moim ruchom większej pewności, i tak nie miałam szans, jeśli Anna postanowi mnie znowu zaatakować. Obie nie spodziewałyśmy się tutaj spotkać, nie o tak późnej porze, kiedy zegar już dawno wybił północ. Raptory ciągnęły mnie przez jakieś dwie, trzy godziny, chociaż nie byłam tego do końca pewna. Straciliśmy przytomność. Obudziłam się dopiero na stole Tyrśa. Tuliusz uparcie milczał.

A zatem byliśmy tu tylko ona i ja. Ciocia Cera i słodka Tulia.

Złapałam się oparcia fotela i z trudem się w nim usadowiłam. Ona ciągle tkwiła obok przejścia prowadzącego do korytarza, niedbale ubrana, nie do końca zapięta, blada i widocznie przerażona. Przypominała teraz siebie z pierwszego dnia w Twierdzy, gdy Tycjan wprowadził ją do pokoju, w którym rozmawiałam z Tyrsem. Zaszczuta myszka, mała ofiara przyłapana na gorącym uczynku.

- Jak to dobrze, że obie wciąż żyjemy - odezwałam się pierwsza.

Nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Po prostu na mnie patrzyła gotowa do ucieczki.

- Nie chcesz skończyć tego, co zaczęłaś? - zaciekawiałam się.

- Rana musiała być płytka, skoro nadal żyjesz. - Wskazała palcem na bandaż ciasno opinający mnie nieco powyżej talii.

- Doprawdy jesteś łaskawa, ciociu.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Ale nią jesteś. Jesteś też kłamczuchą, wiesz? Co tutaj robisz o tej porze?

- A ty?

- Przeżyłam dzięki pomocy raptorów Tyrsa - skłamałam gładko. - Potrafi nimi sterować lepiej, niż się pieprzy.

Milczała. Jej spojrzenie stawało się trudne do zniesienia. Obie rozważałyśmy nasze szanse. Tyrs wiedział, że znajdowałam się w jego domu, dodatkowo powiedziałam jej, że pomogły mi jego raptory. Pewnie sądziła, że w każdej chwili mogły ją zaatakować, wyskakując z któregoś z ciemnych kątów. Jeśli spróbuje mnie teraz zabić, ktoś się o tym dowie. Może nawet Abba Mollina. Och, to by było wyśmienite...

- Tyrs nie komunikuje się z raptorami. Odrzucił łączącą go z nimi więź.

- Jak myślisz, komu powiedział prawdę? Swojemu długoletniemu przyjacielowi czy kobiecie, którą wreszcie

zaciągnął do łóżka, bo tak sobie zaplanował?

Połknęła haczyk. Niech się boi Tyrsa. Musi się go bać, żeby dała mu spokój. Nie chciałam, żeby go zraniła, żeby była zagrożeniem również dla niego i jego rodziny. Wycofała się do korytarza ciągle zwrócona do mnie przodem. Nie ruszyłam się z fotela, aż usłyszałam trzaśnięcie drzwi.

- Żegnaj, suko - powiedziałam w pustą przestrzeń.

- Cześć, Tulio. - Jednak ktoś czaił się w tych ciemnych kątach.

Zaknęłam pod nosem. Terra Mollina wyglądał na zmęczonego, ale jego zielone oczy płonęły ciekawością. Usiadł na skraju ławy blisko mnie, zakładając ramiona na piersi.

- Teraz wszystko mi opowiesz od samego początku. A ja obiecuję, że nie podzielę się tą wiedzą z Abbą ani z Tyrsem. Jesteś słaba. Nie masz żadnego kontrargumentu. Jeśli zaprotestujesz, Abba dowie się o twoim pokrewieństwie z Anną, która jest siostrą Arabelli Donner, jak dobrze rozumiem?

- Kto cię nauczył tak dobrze formułować groźby, mały?

- W tym domu mam świetnych nauczycieli.

A zatem sam początek. Port, moje ulubione miejsce na mapie Twierdzy Kimerydu. Port, a w nim wszystkie cuda tego świata. Na widowni Zadara same zaciekawione twarze; nie znałam większości z nich, a ich nienaturalne grymasy, dziwne fryzury i kolorowe tatuaże na policzkach i czołach

nadal wywoływały we mnie mdłości. Nie umiałam się przyzwyczaić do wszystkich tych upiększeń, choć tacy klienci płacili ekstra za gorącą noc ze mną, a już najbardziej lubili oglądać mnie na scenie. Teraz w dodatku towarzyszyły mi dwa pterodaktyle. Tulusz skulił się w sobie. Blask reflektorów go onieśmielił.

- Co robić? - pytał w kółko bezradny wobec planów Zadara, bezradny wobec tego, co dla nas przygotował, i wobec tego, że Teobald bez mrugnięcia okiem uczynił z niego rozrywkę.

- Zdaj się na mnie - odpowiedziałam, i tak też zrobiliśmy: zdaliśmy się na mnie.

Zadar podszedł do nas za kulisami i wcisnął nam do ręki pojemniczki z tabletkami.

- Pięknie dziś wyglądasz, to będzie wspaniały wieczór - obiecał. - Weź je ze mną.

- Nie chcę - sarknął Tulusz. - Wolę być trzeźwy.

Zadar objął nas ramieniem i z głośnym cmoknięciem pocałował w policzek.

- Uwierz mi, że raczej nie.

Tulusz udał więc, że połyka te tabletki, a powinien był je połknąć dla świętego spokoju - mojego i swojego. Wtedy nie pamiętalibyśmy o Tycjanie w jednym z pierwszych rzędów ani o jego wtargnięciu na scenę i upokorzeniu, którego oboje doświadczyliśmy. Wtedy też spotkanie Tulusza i Cery by się nie odbyło - bylibyśmy na to zbyt naćpani. Kto powiedział, że narkotyki są złe? Patrzysz na mnie ze znużeniem, myślisz, że wszystko tak dobrze wiesz. Jesteś przemądrzały

i arogancki, Terro Mollina. Tyrs jest inny - nie boi się przyznać, że czegoś nie wie, że nie we wszystkim jest najlepszy, choć powinien być. Ale to nie o was chodzi, nie będę więc się wypowiadać, w końcu wcale nie chcesz tego słuchać.

Tego wieczoru zarobiliśmy porządne pieniądze. Tulusz był jednak tak zdruzgotany, że nie zadbał o to, żeby je zebrać ze sceny. Zrobił to za nas Zadar. Pod tym kątem jest bardzo uczciwy, mogliśmy więc liczyć na swoją dolę. Tymczasem Tulusz wybiegł na zewnątrz. Kierował się śladem Tycjana, ale nie zdążyliśmy go dogonić, zanim ten zniknął między falami. Ocean był wczoraj wzburzony, bardziej szary niż błękitny, ale słońce świeciło tak samo ostro jak zawsze. Pomarańcz, fiolet i rozcieńczona żółć wytyczały horyzont. Tulusz biegł brzegiem oceanu, rozbryzgując wodę pod stopami. Wtedy jakby bardziej zdystansowałam się do niego, nie miałam siły uczestniczyć w tej scenie, zresztą z nas dwojga on zawsze lepiej radził sobie z uczuciami.

Po dłuższym czasie Tulusz dobiegł do mniejszej promenady. Od waszego domu dzieliły go teraz cztery kilometry. Nie przestawał nawoływać Tycjana, ale za jedyną odpowiedź służył mu szum oceanu i silniejszy powiew wiatru. Narastała w nim panika i poczucie klęski; żałował, że się nie zbuntował, że przystał na propozycję Zadara i pozwolił, żeby Teobald zdecydował za niego. Wciąż łudził się, że był kimś więcej niż portową dziwką, kimś, kto zasługiwał na szacunek i miłość innych bez względu na swoje pochodzenie czy rodzinę determinującą go do podejmowania złych decyzji.

Wykrzyczał to wszystko falom, lecz nikt mu nie odpowiedział. Przez kolejną dłuższą chwilę siedział więc na początku promenady z podkulonymi pod siebie nogami. Jego oddech zdawał się nie opuszczać płuc i tylko lekko rozchylone usta świadczyły o tym, że wciąż żyje.

Anna podeszła do niego od tyłu. Najpierw dotknęła jego ramienia, żeby dać mu znać, że przy nim jest. Wzdrygnął się i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Co pani tutaj robi? - zapytał.

- Szukałam cię. Ludzie z kasyna Zadara powiedzieli, że pobiegłeś w stronę wody. Szłam za tobą po śladach na piasku. Dobrze się czujesz?

- Przepraszam, ale nie mogę teraz z panią rozmawiać.

- Mimo to musimy.

- Dlaczego?

- Nie wiem, jak mam to powiedzieć, więc po prostu to zrobię: nazywam się Cera Tharen, jestem siostrą twojej matki.

Tuliusz spoglądał na nią bez wyrazu, a potem powoli zaczynał ożywać. W myślach śledził fragmenty korespondencji naszej matki, z której dowiedział się nowych rzeczy o sobie i przypomniał te, które jego umysł sprytnie przed nim ukrył.

- To do ciebie pisała listy? Czytałem tylko twoje odpowiedzi.

Anna skinęła głową, jakby się tego spodziewała.

- W tych listach nie ma wszystkiego.

- Jest wystarczająco dużo. Wiem o eksperymentach

matki, wiem, że eksperymentowała głównie na mnie, dlatego jestem taki, jaki jestem. Nie tylko wykończyła mnie fizycznie, ale też nadwerężyła moją psychikę.

- Mówiłam ci, że to nie wszystko.

- Może być gorzej?

Wówczas się dowiedział, wówczas przypomniał sobie te wszystkie dziwne zachowania naszej matki, jej łzy, jej rozpacz i bezsenne noce. Nie mógł jej uwierzyć, nie wiedział też, co zrobić i co to właściwie zmieniało. Jeszcze nie stało się dla niego jasne, dlaczego Anna Guiteerez albo Cera Tharen przybyła do Afryki. Jeszcze przez dłuższy moment błądził myślami po zapomnianych ścieżkach własnej pamięci. Arabella miała specjalny pokój, w którym trzymała wszystkie pamiątki po swoim kochanku. Pokazywała je nam, kiedy byliśmy mali, a potem też po przemianie Tulusza i wypuszczeniu mnie na wolność. Prosiła, żebym o nich nie zapomniała, żeby zostały na swoim miejscu. Kilka książek w czerwonych skórzanych oprawach, biżuteria w szkatułkach, pęk listów związanych czerwoną wstążką, nóż z ozdobną rękojeścią - podobno uwielbiał się nim posługiwać, wycinał nim serca upatrzonym ofiarom - strzępy szaty o złożonych rękawach i nawet diadem z diamentem, który nosił na oficjalnych państwowych uroczystościach. Wszystko to spłonęło razem z częścią osobistych rzeczy Arabelli.

- Twoja matka została wygnana z wielu powodów. Nieudane eksperymenty na żołnierzach cesarza były oczywiście najważniejszym z nich. Pozwolono jej zabrać

ciebie. Daryl Horn, jej mąż, oficjalnie prosił cesarza, żeby mogła wyjechać razem z tobą. Twój młodszy brat Patrick został jednak przy jego boku. Wiesz dlaczego?

- Bo Daryl Horn nie był moim ojcem. - Tulusz spojrział Annie w oczy.

Splotła palce na kolanach. Kropelka potu spłynęła jej po czole i skleiała niesforne kosmyki.

- To kto nim był? Cesarz? - Tulusz zaśmiał się nerwowo.

- Gorzej. Wicecesarz Sin, następca Brytanika.

On wciąż nie dostrzegał faktów. Zresztą oddajmy mu sprawiedliwość: Anna zrobiła wszystko, żeby prawdziwy cel jej obecności w Twierdzy nigdy nie wyszedł na jaw.

- A ty jesteś tutaj z jego rozkazu? - strzelił Tulusz.

- Nie, to przecież Sin zaatakował mnie w Mieście Krokodyli. - Oblicze Anny wykrzywiło się w grymasie wstrętu. - Zresztą zawsze uważałam Sina za potwora, krwiożerczego psychopatę. Przyjechałam dowiedzieć się, co dokładnie stało się z Arabellą i z tobą, żeby zaspokoić moją ciekawość, ale też ciekawość cesarza. Widzisz, Brytanik zorientował się, jaki jest jego syn. Sam nie grzeszy dobrocią, ale przynajmniej jest sprawiedliwy, stara się wyznaczać nowe trendy w zastanej polityce europejskiej. Sin wolałby się cofnąć do korzeni, wprowadzić stary terror i niepodzielną władzę arystokracji. Otwarcie rzuca też ojcu wyzwanie. Brytanik nie może tak po prostu go zabić. To jest o wiele bardziej skomplikowana historia, nie musisz jej poznawać. Najistotniejsze jest jednak to, że nie wolno ci dalej żyć, Tuluszu. Sin nie może mieć dzieci, ale kiedy jeszcze był

z Arabellą, mógł. Jesteś jego jedynym i ostatnim potomkiem. Cesarz wolałby, żebyś zniknął.

Wtedy dotarło do niego, co zaraz się wydarzy. Zdążył jednak zadać jej jeszcze jedno pytanie:

- A Tyrs?

- Tyrs jest najwspanialszym odkryciem cesarza, dlatego zjawi się tu po niego osobiście. Nie martw się, zrobię wszystko, żeby o niego zadbać.

Anna nie umie posługiwać się nożem. A może chciała, żebyśmy przeżyli? Wiesz, myślę, że jest słabą kobietą. Myślę, że wielka polityka ją przerosła i nie ma w sobie krzty charyzmy Arabelli. Ale dla nas to akurat dobrze. Mogę tu bowiem siedzieć i opowiadać ci o rzeczach, o których tak naprawdę wiedzieć nie chciałeś i z którymi być może nigdy sobie nie poradzisz. Będziesz taki jak Anna.

Plama słońca przesunęła się w stronę mojej twarzy. Leżałem w łóżku w jednej z sypialni Tyrsa na piętrze. Nade mną miarowo kręcił się wiatrak, ochładzając powietrze. Umknął mi gdzieś duży fragment ubiegłej nocy. Z tyłu mojej głowy kołatała myśl, że wydarzyło się coś ważnego, że ja zrobiłem coś ważnego, co w tamtym momencie uznałem za błąd. Starłem się to sobie przypomnieć, ale ospały umysł ciągle wracał do odkrycia dokonanego w gabinecie Teobalda.

Nie do końca rozumiałem, dlaczego poszedłem do łóżka z Tycjanem. Częściowo kierowały mną wyrzuty sumienia, częściowo zupełnie nielogiczna potrzeba odebrania Tulii

przewagi. Odkąd tylko się pojawiła, krążyła wokół Tycjana, chciała z nim być bez względu na moje uczucia. Wydawało mi się, że jasna deklaracja mojego zainteresowania i oddania raz na zawsze rozwiąże nasze problemy, przywróci zszarganą relację do początkowego stanu, kiedy nie widzieliśmy poza sobą świata, kiedy nasza przyjaźń napędzała nas do życia i dawała nam obu mocne oparcie.

Rzecz w tym, że nie byłem jego kolejną dziewczyną, nie wyobrażałem sobie nas w związku. Kochałem go, lecz nie byłem w nim zakochany. Na pewno nie tak, jak Tulia. Za późno zrozumiałem, że nic już nie cofnie czasu, że ja i on diametralnie się zmieniliśmy od chwili, gdy jako dzieci otoczyliśmy się wzajemnie opieką, zaufaliśmy sobie i otworzyliśmy dla siebie serca. Wyobrażałem sobie, że seks mi go zwróci takim, jakim go pokochałem. Okazało się to tak samo naiwne jak wiara w dobre intencje Teobalda. Oczywiście, że zajmował się mną tylko dlatego, że miał z tego korzyść.

Tycjan w końcu zasnął, po tym jak nasycił się moim ciałem. Uszczęśliwiłem go. Leżałem na boku, przyglądając się jego twarzy o mocno zarysowanym podbródku i przymkniętym powiekom, pod których osłoną nieznacznie poruszały się źrenice. Przesunąłem dłonią po jego ramieniu, opuszkami palców dotknąłem wydętych skrzeli poszarpaną linią znaczących smukłą szyję i przestrzeń między obojczykami a gardłem. Po prostu przy mnie był. Jedyne człowiek, którego określałem mianem mojego przyjaciela i który stracił umiejętność widzenia mnie takim, jakim byłem

naprawdę. Nie mogłem już z nim zostać. Pochyliłem się i pocałowałem go w czoło.

Potem zacząłem się pospiesznie ubierać. Pokoje Teobalda znajdowały się na najwyższym piętrze. Schody skrzypiały pod moim ciężarem. Od czasu rozmowy z Zadarem skupiałem się na rozwijaniu umiejętności w tresowaniu pterodaktyłów. Intensywnie rozmyślałem też nad tym, co powiedział o zapiskach mojej matki i o tym, że Teobald na pewno zachował najważniejszą dokumentację. Dotąd nawet nie przyszło mi do głowy, żeby włamać się do jego gabinetu. Kwestionowanie jego lojalności wobec mnie zabolalo chyba bardziej niż schyłek mojej relacji z Tycjanem.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę, ale drzwi ustąpiły przede mną, jakby ktoś czekał w środku. Ostrożnie rozejrzałem się po wnętrzu, wypatrując Teobalda. Paliły się lampki oświetlające jego biblioteczkę i jedna pochylona lampka na biurku. Przez otwarte okno dobiegał nocny koncert elasmozaurów. Przemknąłem na palcach w stronę jego biurka, zastanawiając się, od czego powinienem rozpocząć moje poszukiwania. Widok starannego, pochylonego pisma Teobalda na kartce pozostawionej na stosie dokumentów zatrzymał mnie w pół kroku. Przysunąłem kartkę do światła.

„Drogi Tuluszu!

Jeżeli to czytasz, to znaczy, że wreszcie zebrałeś się na odwagę i postanowiłeś poszukać odpowiedzi. Nie wszystkie będą takie, jakich się spodziewasz. Jedne będą lepsze, inne

zapewne gorsze, ale wszystkie znajdziesz w tych teczkach. Piszę do Ciebie, ponieważ podjąłem decyzję i nikt nie jest już w stanie przekonać mnie do jej zmiany. Ten list powinien być adresowany do Tycjana, ale sam wiesz, jak kiepsko się dogadujemy. Czasami wyobrażam sobie, jak by się między nami układało, gdyby żyła jego matka. Moja Anita była słodką, dobrą kobietą. Niezbyt inteligentną, niezbyt wykształconą, jednak nie to się dla mnie liczyło. Kochała mnie i oddałaby dla mnie życie. Właściwie w pewnym sensie to zrobiła, rodząc moich synów. Twoja matka była jej całkowitym przeciwieństwem. Pojawiła się, gdy opuściły mnie ostatnie złudzenia na temat świata, w którym przyszło nam żyć.

Kiedy byłem w Twoim wieku, nie lubiłem polityki. Swobodnie przemieszczałem się w bańce bezpieczeństwa zbudowanej przez moich szacownych rodziców. Zajmowali się handlem ręcznie tkanymi strojami i materiałami Twierdzy, z których nasze miasto zasłynęło nawet w Europie. Byłem tym zachwycony - a już najbardziej tym, że sam cesarz zaczął lansować afrykańską modę na dworze. Zależało mi na tym, żeby go poznać. Tak bezinteresownie - nie chodziło o zaszczyty ani o wspomnianą politykę. Pomyślałem, że chciałbym mu podziękować za to, co dla nas zrobił. Za to, że jego zainteresowanie pobudziło również zainteresowanie Europy. Wielkie koncerny zaczęły otwierać filie swoich firm w południowej Afryce, a turyści zjeżdżali do Twierdzy i w jej okolice, żeby lepiej nas poznać. Przestaliśmy być tylko wielkim śmietnikiem Europy, jak lubiły nas nazywać

podręczniki do historii. To był najlepszy okres w moim życiu. Pamiętam, jak bardzo się cieszyłem, że dostałem się do programu stypendialnego do samego Vintage, stolicy Cesarstwa.

- Koszmarnie mi się nudzi. Potrzebuję towarzystwa kogoś z zewnątrz, kogoś, kto nie będzie rozmawiał ze mną o Cesarstwie i nie będzie prosił mnie o przysługi. Jestem cesarzem, do jasnej cholery, to mnie powinni je wyświadczać! - powiedział do mnie Brytanik po wieczorze zapoznawczym na jego dworze.

Sam do mnie podszedł. Sam okazał mi łaskę. Jego najbliżsi współpracownicy patrzyli na mnie ze wzrastającą wrogością. Nie pojmowałem, dlaczego akurat ja doczekałem się tego zaszczytu. W tamtej chwili uznałem, że po prostu powiedział mi prawdę. To było zresztą tak niespodziewane, że mogło nią być. Wiesz, Brytanik nie sprawiał wrażenia sympatycznej osoby. Coś na nim ciążyło, coś na kształt głębokiego cienia, który podążał za nim, gdziekolwiek się kierował.

Ludzie boją się Brytanika, ale nie dlatego, że jest potworem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Brytanik jest raczej potworem, który przebiera się za twojego przyjaciela. Co więcej, on najprawdopodobniej szczerze lubi rządzenie, szczerze lubi swoich poddanych i pewne decyzje podejmuje z ciężkim sercem. Ale to robi. Ostatecznie o tym, kim jesteśmy, decydują nasze uczynki, a nie nasze myśli czy tym bardziej słowa. Ach, słowa. Brytanik nie rzuca słów na wiatr. Mówię Ci o tym, żebyś przekazał to Tycjanowi, może też

i Tyrrowi. Kiedy tutaj przybędzie, a mnie już z Wami nie będzie, ta wiedza uratuje Wam życie.

Okazało się, że Brytanik potrafi być wspaniałym kompanem. Rozmawialiśmy całymi nocami, chłonał każde moje słowo na temat Afryki, przerzucał się ze mną pomysłami, jak rozwinąć port Twierdzy, jak zbudować lojalne wojsko, jak rozwiązać problem kapłanów i podporządkować sobie urzędników. Uwielbiał moje opowieści na temat naszej historii i kultury, zachwycał się dinozaurami, wypytywał mnie o elementy fauny i flory. Chciał wiedzieć dosłownie wszystko. Ożywiał się przy tym jak małe dziecko. Widziałeś kiedyś podobiznę Brytanika? Zwykle przedstawia enigmatyczną, przepiękną istotę ubraną w płynne złoto.

W rzeczywistości Brytanik był schludnym mężczyzną o przeciętnej urodzie. Nosił ciemnoczerwoną cesarską tunikę zdobioną tylko złotymi wstawkami na piersi. Lubił ubierać się w skromne stroje dopasowane do jego bladej karnacji – demonstracyjnie gardząc arystokratycznym przepychem. Jego przydługie kasztanowe włosy układały się w nieforemne loczki, ale podobno nie kręciły mu się naturalnie. Na początku jego panowania oczekiwano, że przefarbuje włosy na blond, żeby dopasować się do wymagań czystej rasy. Brytanik cenił sobie jednak najbardziej te cechy, które odróżniały go od innych. Mawiał, że cesarz powinien być unikatowy. Wiesz, co jest chyba najgorsze? Piszę to wszystko i wciąż powraca we mnie tamto uczucie. Całkowicie i niezmiennie wielbię Brytanika. Dlatego muszę mu się przeciwstawić.

- Żegnam cię jako przyjaciela i chciałbym cię znowu spotkać, mogąc cię nim nazywać. - Cesarz podał mi dłoń, zanim wsiadłem na statek, który miał mnie zabrać w drogę powrotną.

Nie lubiłem jego oczu - miały genetycznie modyfikowany wrzosowy kolor. Z bliska wyglądały jak dwie rozmazane plamy na sztaludze malarza.

- Do tego czasu na pewno nim pozostanę - obiecałem.

Tuliuszu, musisz mi uwierzyć, że nigdy bym Cię nie porzucił. Nawet po tym, co stało się z Arabellą. Mam nadzieję, że teraz lepiej rozumiesz jej śmierć i co więcej - mój związek z nią. Opierał się na szacunku, potrzebie pokonania samotności, ale przede wszystkim wskrzeszał w naszych sercach cesarski dwór oraz wszystko to, co nam dał, i to, co nam odebrał. Potrzebowaliśmy o nim rozmawiać, potrzebowaliśmy żyć wspomnieniem Brytanika. Kochałem Arabellę do samego końca. Tego jednego możesz być pewien.

W pierwszej teczce znajdują się odpowiedzi siostry Arabelli, Cery Tharen, na jej listy, które regularnie wysyłała do Europy, zwierając się jej ze swoich myśli, problemów i postępów w eksperymentach na ludziach. W drugiej znajdują się jej obliczenia i wnioski, które wyciągnęła z badań w swoim laboratorium. Może pomogą Ci zapanować nad Twoją chorobą. Cokolwiek postanowisz, nie oceniaj mnie zbyt surowo. Żyjemy w trudnych, okrutnych czasach. Wyznacznikiem naszej wartości jest już tylko odrobina przyzwoitości, którą jeszcze zachowaliśmy w zakamarkach naszych serc. Albo i nie.

Teobald Elasmus”.

Wiatrak nie przestawał się obracać. Uniosłem się na łokciach, ale zabrakło mi sił, żeby się podnieść. Powiniennem być gdzieś indziej, powiniennem powiedzieć komuś o Annie i jej planach. Najlepiej Tyrswi. Gdyby jednak był w domu, na pewno by przy mnie czuwał. Powróciło do mnie znajome uczucie bezsilności. Ciągle musiałem na kimś polegać: najpierw na mamie, potem na Tycjanie - głównie na Tycjanie - Teobaldzie i nawet na Tyrsie. Uważali mnie za kogoś słabszego od siebie, kogoś kruchego i delikatnego. Pomyślałem, że Tulia radziła sobie lepiej ode mnie. Pierwszy raz przyznałem jej nad sobą wyższość.

Tulia była podobna do matki. Arabella lubiła kolorowe ubrania, zwiewne tkaniny, złote wzory na chustach, które nosiła na włosach, i biżuterię wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Wybierała najbardziej wystawne stroje, kiedy wychodziliśmy na spacer. Dreptałem przy niej w za dużych sandałkach, kurczowo ściskając jej wypielegnowaną dłoń. Intensywność barw kimerydzkiego rynku mnie przytłaczała. Smakowite zapachy mieszały się z zapachami perfum i skóry, z której robiono kołczany do strzał, buty i torby. W tłumie mijali nas zaciekawieni ludzie - przeważały ciemne, afrykańskie twarze, ale od czasu do czasu matka też wymieniała ukłony ze znajomymi Europejczykami mieszkającymi w Twierdzy.

Przystanęliśmy przy jednym ze straganów. Przyglądałem

się, jak ciemnoskóry sprzedawca ważył dla nas owoce. Dwa melony, trzy pomarańcze i jeden wielki arbuź. Ślina napłynęła mi do ust. Oblizalem się, stając na palcach. Chciałem jak najwięcej zobaczyć. Matka roześmiała się i złapała mnie w pasie. Bez trudu uniosła mnie do góry. Objąłem ją rękami za szyję, wiodąc przestraszonym wzrokiem po okolicy. Na końcu alejki dwóch ciemnoskórych mężczyzn zaczęło grać na bębenkach, a silny kobiecy głos zaintonował smutną pieśń. Mocniej przytuliłem się do matki. Złowrogi ton zawarty w tej muzyce wzbudził we mnie nieuzasadnioną panikę.

Arabella obróciła się wokół własnej osi, pokazując mi drugą część targowiska. Smuga dymu z palącego się grilla unosiła się do nieba. Woń piezzonego mięsa dotarła do moich nozdrzy. Wolałem arbuź. Gdzieś w naszym pobliżu rozległ się głośny śmiech. Mężczyźni wymieniali niepoehlebne uwagi na temat naszych kapłanów. Za nimi kobiety mierzyły nowe szale i sukienki. Matka wzięła pod pachę torbę z owocami i wciąż trzymając mnie na ręku, skierowała się w stronę straganu z ubraniami. W ruchu zarzuciła sobie ciemnozielony, zwiewny szal na ramię i zapłaciła uśmiechniętej sprzedawczyni. Arabella słyęła z podejmowania szybkich, acz celnych, decyzji, zwłaszcza dotyczących mody i urody.

- Podoba ci się ten szal, Danielu?

- Tutaj ciągle nazywasz mnie Tuliuszem... - zauważyłem.

- Nie odbieraj mi tych małych przyjemności, synku.

Szal był pokarbowany, przesyty złotą nicią. Podobny do

pozostałych szali w jej obszernej szafie.

Okazało się, że bardzo polubiła ten szal. Po paru latach zapakowała go do swojej walizki, którą zabrała do domu Teobalda. Wprowadziliśmy się do niego na zakończenie pory deszczowej. Teobald namówił mamę, żeby razem z nim wypuściła lampion. Zawsze opowiadała o nim z entuzjazmem nastolatki. To był już ten czas, kiedy zacząłem się czuć od niej dojrzały, kiedy zacząłem uważać, że powinienem otoczyć ją opieką. Dziwne, że tylko raz w życiu czułem się taki dojrzały i w dodatku miałem wtedy tylko dwanaście lat.

W willi Teobalda często przebywaliśmy w jego ogrodzie blisko gaju pomarańczowego. Cień drzew chował nas przed najgorszym słońcem, a słodki arbuź łagodził pragnienie. Tego dnia Arabella miała na sobie tylko zielony kostium kąpielowy; w pasie zawiązała tamten zielony szal ze złotą nitką. Służył jej jako nieforemna spódniczka. Tycjan siedział z podwiniętymi nogami na krześle i wpijał się w arbuź, wysysając jego sok. Rzuciłem w niego moją wyjedzoną skórka. Wymruczał coś gniewnie pod nosem i wzmógł wysiłki, żeby uwinąć się ze słodkim miąższem. Przydługie srebrnoszare włosy zebrał w mały kucyk na wysokości karku, żeby mu nie przeszkadzały w jedzeniu. Już wtedy był większy i silniejszy ode mnie, ale to wciąż ja byłem dojrzały. Strasznie lubiłem tę świadomość. Strasznie lubiłem tamten świat, bo było w nim inaczej.

- Nie zadław się pestkami! - Arabella pogłaskała Tycjana po głowie.

- Nie jestem już dzieckiem. - Odessał się od arbuza

i spojrział na nią z ukosa.

- Dla mnie zawsze nim będziesz.

- Nie udawaj, że jesteś moją matką...

- Nie udaję. Jestem nią - parsknęła władczo.

- Nie kłóćcie się - wtrąciłem z uśmiechem. Gdybym wtedy zdawał sobie sprawę z tego, że powiedziała prawdę, że to ona odpowiadała za stworzenie Tycjana...

- Niech się kłóca. Nikt tak jak Arabella nie potrafi radzić sobie z tym uparciuchem.

Teobald objął ją ramieniem i pocałował w policzek.

- Chodźmy się przejść - zaproponował.

Razem z Tycjanem obserwowałem, jak objęci w pół powolnym krokiem ruszyli w stronę plaży za rezydencją. Wyjedzona skórka arbuza wylądowała na moim policzku. Tycjan mi się zrewanżował, mściwie się przy tym śmiejąc. Wówczas nasza relacja miała sens. Razem byliśmy sensowni.

Matka została powieszona w tamtym zielonym szalu. Zabrała go ze sobą na szubienicę. Miasto postawiło ją na głównym placu w pobliżu targowiska. Powietrze nadal pachniało tam wszystkimi przyprawami świata, skórą i odurzającymi perfumami. Wydawało mi się, że nie oddychałem, kiedy kat wprowadzał ją na podwyższenie. Tłum skandował jej imię i nienawistne hasła. Teobald stał w pobliżu, ale się nie poruszył, nie zrobił nic, żeby jej pomóc. Do ostatniego momentu byłem przekonany, że ją uratuje, że zaryzykuje wszystkim dla naszego wspólnego szczęścia. Już wtedy byłem gotowy jej wybaczyć. Tak bardzo ją kochałem, że aż stworzyłem Tulię. Pojawiła się w ten dzień na

targowisku, kupowała arbuza przy jednym ze straganów w kwiecistej sukience Arabelli, z włosami swobodnie opadającymi jej na ramiona. W chwili gdy Arabella dusiła się na sznurze, Tulia obróciła się w moją stronę i pomachała mi z serdecznym uśmiechem na ustach.

- Twoja matka zawsze już z tobą zostanie - obiecała. - Tylko mnie ze sobą zabierz.

Nadal leżałem na łóżku w domu Tyrsa, a nad moją głową obracał się wiatrak. Powinienem być gdzieś indziej, powinienem powiedzieć komuś o Annie i o jej planach. Tak, właśnie ja. Ja, a nie Tulia.

- Idziesz? - Na skraju mojego posłania niespodziewanie zmaterializował się Taniel.

Może był tu od samego początku, gdy Anna wbiła nóż w mój bok na pomoście. Może z daleka nas obserwował, zastanawiając się, czy powinien się wtrącić. Nie wiedziałem tego na pewno.

- Pomożesz mi? - zapytałem. Mały zaczął budzić we mnie respekt.

- Tak, ale się pośpiesz. Nie chcę, by alfa o nas wiedział.

- Alfa?

- Tak babcia Abba nazywa Tyrsa.

Z trudem się podciągnąłem i usiadłem. Taniel znowu wpatrywał się we mnie tym nieruchomym wzrokiem wypranym z emocji. Mała bestia. Nie musiałem go pytać, dokąd chciał mnie zabrać. Zamierzał zabić Annę. Wiedział

o niej i mimo młodego wieku zamierzał chronić swoje gniazdo.

- To kim ty jesteś? - zaciekałem się.

- Beta. Babcia mówi, że jestem małą beta.

ROZDZIAŁ 11

Tyrs

- Twoje raptory wróciły do Lasu Kalahari. Nasze stado przepędziło je jeszcze dalej na wschód. Nie wiem, czy będziesz w stanie przywołać je z powrotem w pobliże Twierdzy. Teobald pozbawił cię największej przewagi. Myślę, że nie chodziło mu o jakąś wymyślną karę. On po prostu coś rozgrywa. Szykuje atak na Krokodyle i nie chce przy tym korzystać z twoich umiejętności.

Abba stała nade mną z rękami skrzyżowanymi na piersi. Goniła mnie od jakiegoś czasu, mimo że starałem się biec najszybciej, jak tylko potrafię. Jej niezłomność zasługiwała przynajmniej na odpowiedź, ale brakowało mi sił. Siedziałem więc z podkurczonymi nogami na piasku, przed sobą mając bezkres pustyni, a za plecami majaczące kontury mojego domu. Nad nami świeciły jasne gwiazdy, całą ławicą zaścielając ciemnobrązowe, czyste niebo.

Wyszła za mną na dwór, kiedy szykowałem się do wyjazdu na wezwanie Teobalda. Jak zawsze pokłóciliśmy się o wszystko - począwszy od jej podjudzania mojego rodzeństwa, poprzez moją zdradę i negatywne stanowisko wobec Ludu Pustyni, na tym jej niechcianym przyjeździe

skończywszy. Czekałem, aż poruszy temat Anny. Właściwie zdumiało mnie jej wymowne milczenie, powinna wytknąć mi romans ze starszą kobietą, w dodatku Europejką i specjalistką od mieszanych gatunków.

W końcu się zatrzymałem, ale nie dlatego, że nie miałem już siły biec – wręcz przeciwnie. Pomyślałem za to, że prędzej czy później musi dojść między nami do tej konfrontacji; chciałem jej. Jeszcze parę miesięcy temu wolałbym chyba rzucić się na pożarcie elasmozaurom w zatoce, teraz coś się we mnie zmieniło. Przybycie Anny, przemiana Tulusza i podpalenie świątyni uświadomiły mi, że wszystko może się zmienić, że ja się zmieniłem i że teraz, silniejszy i bardziej niebezpieczny, nie miałem już powodów, żeby bać się Abby i jej Ludu Pustyni.

- Kiedy wreszcie przejrysz na oczy? Teobald jest człowiekiem cesarza Brytanika. Kiedyś czciliśmy bogów z głowami raptorów, teraz kłaniamy się przed europejskimi bożkami. Skupiam wokół siebie ludzi, którzy tak jak ja padli ofiarami systemu i nie chcą się więcej kłaniać. Powinieneś stać po mojej stronie. Nie dlatego, że jesteś moim wnukiem, ale dlatego, że dysponujesz niezwykłą siłą. I nie chodzi mi o siłę fizyczną, tylko psychiczną. Lud Pustyni potrzebuje takiego przywódcy. Spójrz na mnie, jestem stara. Bez względu na to, jak niezwyciężona i okrutna ci się wydaję, jestem tylko starą kobietą, a moja śmierć to już teraz kwestia czasu.

Miała rację, nigdy nie myślałem o niej w ten sposób. Nikt do końca nie wiedział, ile liczyła sobie lat. Wyglądała na

kogoś, kto raczej dopiero rozpoczynał jesień życia, a nie się z nim żegnał. Abba pod wieloma względami była niezwykła – odkąd wyrzucono ją z Twierdzy, mieszkała w lesie w namiotach, przemieszczając się ze swoimi ludźmi z miejsca na miejsce. Podporządkowała sobie przyrodę, uczyniła z niej swoją broń. Ten specyficzny styl życia ujmował jej lat, byłem też przekonany, że zdobywała skądś odmładzające europejskie serum, ale mimo to nawet ona nie mogła pokonać czasu.

Odchrząknąłem.

- Dziękuję, że tak uważasz – powiedziałem. - Schlebia mi twoja wiara w moje umiejętności. Nie rozumiesz jednak podstawowej różnicy między mną a tobą. Ja nie jestem w stanie poświęcić wszystkiego dla zemsty ani tym bardziej dla bliżej nieokreślonej idei. Nie jestem też raptorem. Przekonałem się, że nie potrafię zabijać tak jak one, nie potrafię na zawołanie zmienić się w bestię, a potem wrócić do normalnego życia jako człowiek. Postawiłaś mnie kiedyś przed tym wyborem i wybrałem moje człowieczeństwo. Podążam za Teobaldem, ponieważ on woli mnie widzieć człowiekiem. Nie wymaga też ode mnie, żebym opowiedział się po którejś ze stron. Jestem najemnikiem, Abbo. Służę w Straży, bo dzięki temu mam się z czego utrzymać, dzięki temu mogę wyżywić moją rodzinę. Mój świat opiera się na moich wartościach.

- Ale nie będziesz w stanie ignorować rzeczywistości, kiedy wkradnie się do twojego świata.

- Jeśli dojdzie do takiej sytuacji, na pewno ją rozwiążę.

W końcu potrafię radzić sobie z tobą.

Abba uśmiechnęła się ironicznie.

- Jestem nikim w porównaniu z cesarzem.

- Może też zbyt nisko się cenisz?

Wyciągnąłem do niej rękę.

- Siadaj. I tak jestem spóźniony.

Zmarszczyła brwi, przyglądając się mojej dłoni.

- Nigdy nie byłeś wobec mnie taki hojny.

To prawda - byłem spóźniony. Wychodziłem z sypialni, kiedy Alicja zaalarmowała mnie o przybyciu Tuliusza. Pomyślałem, że przyszedł prosić mnie o pomoc w poszukiwaniach Tycjana. Cała ta sytuacja w rezydencji Zadara napawała mnie wstrętem. Wiedziałem, że tak się to w końcu skończy. Starłem się im pomóc najlepiej, jak potrafiłem, chociaż tak naprawdę żaden z nich nie chciał mnie słuchać. Albo coś bierzesz, albo zostawiasz to w spokoju. Proste. W życiu wygrywa się konsekwencją.

Tymczasem okazało się, że Tuliusz był ranny i majaczył coś o Annie i o raptorach. Nie mogłem go zrozumieć, bo mieszały mu się sylaby i co chwila mdlał na moim stole. Opatrzyłem go i wyszedłem przed dom, żeby się przekonać, czy rzeczywiście w pobliżu kręciły się dinozaury. Ich ostry zapach od razu uderzył w moje nozdrza. Pochodził z kępy drzew przy siatce. Raptory przekazywały sobie sygnały dźwiękowe, a na mój widok pokazały kły. Dreptały w miejscu, ale nie odważyły się zaatakować. Było ich dokładnie pięć

i nie należały do mnie. Ten najbardziej agresywny z czerwoną pręgą na pysku skoczył w moją stronę. Posłałem w niego strzałę z usypiającym bełtem. Trafiła go w pierś. Zaskrzeczał, otrząsnął się i kontynuował szarżę. Zdążył zrobić jeszcze dwa kroki, zanim zarył pyskiem w piasek. Jego powieki mimowolnie się zamknęły.

Pozostałe raptory rzuciły się do odwrotu. Przykryła je ciemność, choć jeszcze długo słyszałem ich skrzeczenie. Wtedy podszedłem do nieprzytomnego gada i zaciągnąłem go do szopy za domem. Umieściłem go w zamkniętym boksie, żeby móc potem do niego wrócić i zbadać jego pochodzenie. Obstawiałem, że po drodze Tulusz po prostu natknął się na raptory towarzyszące Abbie, chociaż nigdy nie widziałem tego czerwonego pyska w jej pobliżu.

- Co się stało Tuluszowi? - zapytała teraz Abba.

Siedziała obok mnie, spoglądając na rozgwieżdżone niebo. Nie miałem ochoty z nią o tym rozmawiać. Tulusz najprawdopodobniej nie pamiętał, dlaczego i jak otrzymał ten cios nożem. W jakiś sposób dowiedział się o Annie i chciał mi o tym powiedzieć. Jediną prawdziwą zagadkę stanowiło dla mnie to, jak mu się udało przebyć drogę z portu do mojego domu.

- Nie wiem.

- Nie zamierzasz go o to zapytać?

- Był nieprzytomny.

- Przyjaciół przychodzi ranny do twojego domu, a ty nie zamierzasz go zapytać, co mu się stało? Nie sądzisz, że to nieostrożne?

- Abbo, twoja dociekliwość cię kiedyś zgubi. Sam mi to powie, kiedy lepiej się poczuje. Tulusz cierpi na rozdwojenie jaźni. Nawet jeśli teraz przyszedł do mnie i był sobą, nie oznacza to, że w ogóle będzie pamiętał wypadek. Mógł mu się przytrafić, kiedy wcielał się w Tulię.

Nie była przekonana, ale nie zamierzałem kontynuować tego wątku. Moją głowę całkowicie zaprzętała Anna. Właściwie brała mnie coraz większa ochota, żeby zawrócić do domu i zaszyć się z nią w sypialni...

- Pojadę z tobą do Teobalda. - Abba ponownie włamała się do moich myśli.

- W jakimś konkretnym celu? - Uniosłem brew. - Oczywiście poza podniesieniem mu ciśnienia?

- Teobald może potrzebować mojej pomocy.

Chwilę przetrawiałem jej propozycję, aż w końcu się podniosłem i znowu podałem jej dłoń.

- Dobrze, zabiorę cię, ale nie licz na nic więcej.

Świtało. Różowe słońce wyłaniało się zza poszarpanych, ciemnych chmur nad garnizonem Straży Wąwozu. Mimo wczesnej pory dziedziniec był w całości wypełniony strażnikami. Wszyscy spieszyli do swoich obowiązków ubrani w kompletne zbroje, tylko niektórzy się zatrzymywali i wymieniali krótkie uwagi, żeby potem płochliwie się rozproszyć. Gdzieś w samym środku tego bałaganu słyszałem donośny głos Treweriusza, który poganiał najbardziej opiesziałych i wydawał rozkazy nerwowym tonem.

Abba trzymała się za moimi plecami. Założyła kaptur na głowę, żeby nikt jej nie rozpoznał, za to moja sylwetka przyciągała wzrok strażników. Wymieniłem kilka ukłonów, większość mijanych znajomych była jednak wyraźnie czymś poruszona i spoglądała na mnie z dystansem. Nieważne, ile razy się dla nich poświęcałem, nieważne, że w trakcie pożaru przewodziłem im w akcji ratunkowej. Raptor pozostał raptorem. Złościłem się z powodu tej myśli, ale okazała się tak natrętna, że nie chciała mnie zostawić. Mimowolnie przypomniał mi się raptor z czerwoną pręgą na pysku, którego zostawiłem w mojej szopie. Byłem teraz do niego podobny - odsłonięty i wrażliwy na ludzką niechęć, gotowy, by zaatakować, jeśli ktoś odważy się rzucić mi wyzwanie. Abba zdawała się wyczuwać mój nastrój. Przelotnie dotknęła mojego ramienia i jak za dotknięciem magicznej różdżki się uspokoiłem. Pierwszy raz zabrałem ją ze sobą do garnizonu. Wydawało mi się, że będę tego żałować, a tymczasem jej obecność napawała mnie dziwną pewnością siebie. Przybywałem ze wsparciem.

Przecisnąłem się do Treweriusza. Uznałem, że będzie wiedział, gdzie powinienem szukać Teobalda. On także powitał mnie chłodnym spojrzeniem.

- Gdzie się podziewałeś? Posłaliśmy po ciebie przed północą. - Demonstracyjnie zerknął na zegarek połyskujący mu na nadgarstku. - A teraz jest wpół do piątej...

- Miałem problemy - wyjaśniłem krótko. - Musiałem się zająć rannym Tuliuszem.

Treweriusz nieznacznie wzruszył ramionami. Nie

skomentował tej informacji, nie zapytał też, czy z Tuliuszem wszystko w porządku. W ten sposób jasno okazał swoją niechęć wobec niego.

- Gdzie on teraz jest? - zapytał za to.

- Zostawiłem go w mojej piwnicy. Co się dzieje?

Treweriusz zmarszczył grube brwi.

- Sytuacja jest poważna. Wszystkiego dowiesz się od Teobalda, o ile w ogóle będzie chciał z tobą rozmawiać... Nie powinieneś był zabierać Tycjana do portu...

Dowódca spojrzał mi w oczy z taką mocą, że aż cofnąłem się o krok. Wtedy wreszcie przez moją nonszalancję i rozmarzenie przebił się niepokój. Tycjan. Możliwe, że jeszcze nie wrócił z oceanu. Możliwe, że w ogóle nie zamierzał tego robić. Nawet ja nie do końca wiedziałem, co czasami w niego wstępowało. Jego wodny zew bywał tak silny, że nie przemawiały do niego ani zdroworozsądkowe argumenty, ani troska najbliższych o stan jego umysłu. Czyżbym nie doceniał wpływu, jaki miało na niego nieodwzajemnione uczucie do Tuliusza? Myślałem, że Tycjan był twardy, że mimo wszystko nie tak łatwo ulegał depresyjnym nastrojom i radził sobie na tyle, na ile potrafił. Zawsze.

- Gdzie on teraz jest?

- Teobald ci powie. Ja mam ochotę rozbić ci głowę z powodu twojej lekkomyślności. Nie widzisz nikogo poza czubkiem własnego nosa. Ta sytuacja doskonale to potwierdza.

- Przestań być taki tajemniczy. - Poprawiłem kołczan ze

strzałami na plecach.

Łuk ciążył mi na lewym ramieniu, a napierśnik nieprzyjemnie wbijał się w skórę na bokach i przy ramionach.

- Kto z tobą jest? - Treweriusz zajrzał za moje plecy.

Abba nieco odchyliła kaptur i uśmiechnęła się do niego samymi kącikami ust.

- Witaj, Treweriuszu, kopę lat.

Tym razem to on cofnął się z wrażenia.

- Wprowadziłeś *tę kobietę* na teren garnizonu?

- Ma sprawę do Teobalda.

Rozejrzałem się dookoła. Strażnicy szykowali się do walki.

- Jak widzę, jej pomoc może nam się teraz bardzo przydać.

Treweriusz nie był zachwycony.

- Zobaczymy, co postanowi Teobald.

Posłał mi ostatnie spojrzenie.

- Co się stało Tuliuszowi? Schwytali go razem z Tycjanem?

Zabrakło mi tchu.

- Kto miałby go niby schwytać? Tuliusz był nieprzytomny, kiedy wychodziłem. Tylko Tulia się obudziła. Pewnie i tak nic by nie wiedziała...

- Jak to: kto? Krokodyle.

Zacząłem wyzywać się w myślach od ostatnich idiotów. Zwróciłem się w kierunku wyjścia, instynkt podpowiadał mi, że powinienem natychmiast wracać do domu i bronić go

przed niebezpieczeństwem. Tulusz mógł paść ofiarą Krokodyli. Na szczęście Abba wciąż nade mną czuwała. Z niezwykłą siłą osadziła mnie na miejscu.

- Co się z tobą dzieje, Tyrs? Nie myślisz - syknęła mi do ucha. - Idziemy do Teobalda - oznajmiła głośno. - Gdzie go znajdziemy?

- Jest w swoim biurze na piętrze pawilonu dowódców. - Treweriusz obrócił się do nas plecami. - Myśli, że ciebie też porwali.

Wymieniłem spojrzenia z babką. Nie przestawała ścisnąć mojego przedramienia.

- Nie czas teraz na rozdrapywanie ran. Musimy działać.

Skinąłem głową. Tak mocno zacisnąłem zęby, że przygryzłem sobie miękką tkanę wyścielającą policzki. Cierpki smak krwi w ustach trochę mnie otrzeźwił. Tak, zdecydowanie nie myślałem.

W drodze do pawilonu dowódców rozmyślałem nad wszystkim, co się wydarzyło od momentu, gdy Anna zdradziła mi swoje pokrewieństwo z Arabellą Donner, matką Tulusza. Nie chodziło o ten mały brudny sekret, a raczej o to, w jakim kierunku zaczęła zmierzać nasza relacja. Na swój przewrotny sposób od zawsze podkochiwałem się w Annie. Ona w ogóle nie umiała ze mną postępować - począwszy od momentu, gdy spotkałem ją zmęczoną i przerażoną na pustyni, aż do śmiesznego pościgu między kwitnącymi pomarańczami. Smak mojej krwi przypominał mi

smak jej krwi, która wtedy zalała mi usta. Przebiłem zębami delikatną skórę i jak prawdziwy drapieżnik dobrałem się do jej wnętrza. Nawet teraz tamto uczucie euforii i spełnienia bardzo mnie podniecało.

Odetchnąłem głęboko. Nie chodziło o gest przynależności, a raczej o to, że pierwszy raz pozwoliłem sobie na tak daleko posunięty akt agresji wobec człowieka. I ogromnie mi się to podobało. Byłem zwycięzcą, wygłodniałą bestią, która za chwilę rozszarpie swoją ofiarę na kawałki. Gdybym tylko miał kły... Za to pozostała we mnie pustka, tęsknota za zerowaniem. Nie umiałem się pozbyć widoku pterodaktyłów Tulusza żerujących na niedobitkach żołnierzy Krokodyli. Pragnąłem być jednym z nich.

Anna zaczęła mnie prosić, żebym nie robił jej krzywdy. Jej głos podziałał na mnie kojąco, głód i żądza mordy przeminęły, zastąpił je wstyd, a potem rozbrajające uczucie wdzięczności. Byłem wdzięczny Annie za to, że przywróciła mnie do normalności. Pokochałem ją za to, zupełnie świadomie podejmując decyzję, że chcę z nią być. Ten gest przynależności nabrał zupełnie innego znaczenia.

Od tamtej chwili zacząłem jeszcze intensywniej marzyć o Annie, o jej smukłym ciele i gęstych rudych włosach. Wyobrażałem sobie, że na wiele różnych sposobów czyniłem ją moją, brałem wszystko, co chciałem, nie napotykając żadnego oporu. Tak mnie to wykańczało, że musiałem doprowadzić do finalizacji moich fantazji. Niestety Anna zaczęła mnie unikać, więc ja też zacząłem unikać jej. Nie potrafiłem znieść myśli, że mógłbym się jej narzucać. Brałem

dotatkowe dyżury w Straży, prawie na krok nie odstępowałem Teobalda, który po swoim powrocie za stery nie przestawał mnie chwalić i okazywać mi daleko posuniętych gestów zaufania i przyjaźni. Podwoił też moją pensję.

- Potrzebowaliśmy wroga, który nas zjednoczy. Krokodyle doskonale się do tego nadawali. Sam bym tego lepiej nie wymyślił.

- Wiesz, kto naprawdę podpalił świątynię i dzielnicę kapłanów? - zapytałem przekonany, że mi odpowie. - Naprawdę sądzisz, że moja wersja wydarzeń ma sens?

- Naprawdę podpalili ją Krokodyle. Sam przekazałeś taką informację Zadarowi, sam kazałeś uwierzyć w nią urzędnikom i Straży Wąwozu. Mnie przy tym nie było. Odpowiedzialność spoczywa na twoich barkach, Tyrs, więc lepiej, żeby nie okazało się, że jest inaczej.

Ukryta groźba w przyjaznym tonie Teobalda była ledwo słyszalna, ja znałem go jednak na tyle dobrze, żeby zadudniła mi w uszach jak potężny dzwon. Ufałem mu, wspierałem go mimo wielu dzielących nas różnic, liczyłem na jego lojalność. W zwolnionym tempie dotarły do mnie jego prawdziwe intencje. Na jeden wieczór oddał mi władzę nad miastem, bo wiedział, że po opanowaniu pożaru będę pierwszą osobą, która zacznie zadawać mu niewygodne pytania. Owszem, nie lubiłem kapłanów, byliśmy wrogami, ale eksterminacja ich przywódców moim zdaniem nie była właściwą metodą. Czyniła nas raczej podobnymi do nich.

Byłem na siebie podwójnie wściekły. Przejrzałem

manipulację Teobalda. Dał mi to, czego zawsze od niego chciałem - poczucie docenienia, przywilej wydawania rozkazów Tycjanowi i Treweriuszowi, radość z udanej akcji ratunkowej, której sam przewodziłem. Innymi słowy, sprawdziłem się w terenie w roli przywódcy, a ceną za to było zatajenie prawdy o eksplozji.

Na domiar złego moje odkrycie zbiegło się w czasie z przyjazdem Abby. Przyciągnęła ze sobą całe stado raptorów z Lasu Kalahari, wzbudzając tym popłoch wśród urzędników i władz miasta. Teobald poprosił mnie, żebym dowiedział się, jaki miała interes w swojej dalekiej podróży do Twierdzy, oczywiście poza przypomnieniem ludziom o swoim nienawistnym istnieniu i wtrącaniem się w sprawy mojej rodziny. Nie zamierzałem pozwolić jej zostawać w moim domu nad oceanem, ale Alicja i matka na to nalegały. Terra też wtrącił swoje trzy grosze, więc uległem woli większości. Zresztą Abba rzadko przebywała w domu. Załatwiała swoje sprawy w Twierdzy i przekonałem się, że miała tam więcej popleczników, niż myślał Teobald. Chociaż czy ja w ogóle wiedziałem jeszcze, co myślał Teobald? Czy ja kiedykolwiek wiedziałem, co myślał Teobald?

Biuro dowódców mieściło się na końcu korytarza, ale na miejscu okazało się, że burmistrz poszedł medytować na dach, gdzie mieściły się szklarnie z drzewami owocowymi z Europy. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać, ale zignorowałem jego życzenie.

- Zostaniesz tutaj - powiedziałem Abbie, wskazując jej fotel dla gości. - Sprowadzę go z powrotem. Nie będzie zachwycony, jeśli zabiorę cię ze sobą do szklarni.

Abba miała tę sceptyczną minę jasno wskazującą, co myśli na temat formalnego lidera, który w chwili powszechnej mobilizacji zaszywa się w ustronnym miejscu, żeby medytować.

- Masz piętnaście minut. Później moja oferta pomocy przestanie obowiązywać.

Wzruszyłem ramionami, ale przyspieszyłem kroku. Wdrapałem się po metalowej drabince na dach. Szklarnie były odsłonięte przed deszczem, mogłem więc podziwiać przeróżne sadzonki europejskich warzyw i owoców znajdujące się w równych liniach na starannie zadbanych grządkach. Teobald sam doglądał tego ogrodu; zdarzało się, że rozmawialiśmy, kiedy on grzebał dłońmi w ziemi. Wiele razy wspominał, jak bardzo uspokaja go ta czynność, i polecał mi założyć własny ogródek. Wolałem jednak tradycyjny las kaktusów i agaw za domem. Alicja z Terrą zaś hodowali kukurydzę na bardziej żyznej ziemi w pobliżu skał. Ja pozostawałem jednak nieufny wobec europejskiej tradycji.

Tym razem Teobald zbierał truskawki z krzaków. Klęczał na jednym kolanie, pochylając się nad roślinami. Jego dłonie schowane były w gumowych rękawiczkach. Prostokątny wiklinowy koszyk był już prawie całkowicie wypełniony owocami. Przystanąłem przy nim z rękami skrzyżowanymi na piersi. Burmistrz uniósł głowę i spojrzał na mnie z dołu. Na jego twarzy wyraźnie odmalowała się ulga.

- Już myślałem, że straciłem cię razem z Tycjanem...

- Nie, jestem tutaj. Przepraszam, miałem... dziwny wieczór i potem dziwną noc. W biurze czeka Abba. Zabrałem ją, bo obiecała nam pomóc.

Na dźwięk jej imienia Teobald zmarszczył brwi.

- Treweriusz wspominał, że Krokodyle uprowadzili Tycjana - ciągnąłem. - Jak to w ogóle możliwe?

- Okazało się, że od samego początku mieliśmy szpiegów z Miasta Krokodyli w Twierdzy.

Wstał i otrzepał dłonie. Starannie zdjął rękawiczki i wsadził je do kieszeni wytartych jeansów.

- Dowiedziałeś się, kim są?

- Spłonęli w pożarze świątyni. - Spojrzał mi głęboko w oczy.

- Kapłani szpiegowali dla Krokodyli? - Nie mogłem w to do końca uwierzyć. - Przecież Krokodyle są proeuropejscy, rządzi nimi teraz przedstawiciel wicecesarza Sina...

- Kapłani i część naszych urzędników chcieli w ten sposób pozbyć się Anny Guiteerez i tym samym podważyć moją władzę i usunąć mnie z urzędu. Tyrs, oni byli potrzebnym poświęceniem, złem koniecznym. Ci, którzy pozostali przy życiu, nie stanowią już żadnego zagrożenia. Nawet sami zwrócili się do mnie po pomoc i opiekę. Cały ten zamach na świątynię od początku do końca był moim pomysłem.

- Ktoś musiał ci pomagać, skoro nie wtajemniczyłeś w to Straży Wąwozu ani mnie i Tycjana.

- Tak, zaplanowałem to razem z Zadarem Mellanito.

Od intensywnego myślenia rozboleła mnie głowa.

- Ostatni raz widziałem Tycjana na imprezie u Zadara. Około północy przyszedł do mnie ranny Tulusz. Ktoś dźgnął go nożem w bok...

Teobald utkwiał wzrok w jaśniejącym niebie. Przez jego czoło przemknęła podłużna zmarszczka. Zadar znalazł się teraz w kręgu jego podejrzeń. Pewnie zastanawiał się, czy pozwolił mu się sprytnie oszukać.

- Jaka jest jego wersja wydarzeń?

- Był nieprzytomny, kiedy wychodziłem. Majaczył coś o Annie i o raptorach...

- Może to Abba go zaatakowała?

- Dlaczego od razu Abba? Raptory nie zawsze muszą oznaczać jej udział.

Nie odpowiedział. Podniósł koszyk z truskawkami.

- Porozmawiajmy z nią o tym. Poślę ludzi do twojego domu, żeby zabrali Tulusza. Szukałem też Anny, ale po wczorajszym wypuszczaniu lampionów podobno nie wróciła do mojej willi...

Odchrząknąłem - zwłaszcza że Teobald zmierzył mnie badawczym wzrokiem.

- Jest u mnie. Niech ją tutaj przywiozą razem z Tuluszem.

- Ona jest siostrą Arabelli - powiedział, jakby to stanowiło rozwiązanie, i tak, w pewien sposób wyjaśniało wiele spraw, choć nie wszystkie.

- Wiem.

Burmistrz pokiwał głową ze zrozumieniem. Mimowolnie

poczułem się niezręcznie. Nie przywykłem do roli czyjegoś mężczyzny, a już tym bardziej do mniej lub bardziej otwartego przyznawania się do tego innym. Teobald bardzo dobrze mnie znał. Nie potrzebował więcej wyjaśnień. Nie sprowadzałem kochanek do mojego domu. Kropka. A skoro sprowadziłem Annę, to znaczy, że myślałem o niej poważnie.

- Anna musi wreszcie zabrać głos w sprawie aktualnych wydarzeń. W końcu to ona jest powodem naszego konfliktu z Miastem Krokodyli. Jej bliskie pokrewieństwo z Arabellą na pewno ma też jakieś znaczenie...

- Niby jakie?

- Przekonajmy się.

Wydawało mi się, że wiedział więcej, niż chciał mi to okazać. Ponadto wyczuwałem, że skłamał przynajmniej w sprawie kapłanów. Wierzyłem Annie, wierzyłem, że cokolwiek by się okazało, nadal będzie niewinna. Że przyjechała do Afryki tylko po to, żeby dowiedzieć się prawdy o swojej tragicznie zmarłej siostrze i... spotkać mnie.

Abba zdążyła się rozgościć. Usiadła w fotelu Teobalda, opierając stopy o brzeg blatu jego biurka. Zdjęła płaszcz z kapturem, prezentując kamizelkę chronioną srebrnymi łuskami. Jej nagie ramiona były lekko umięśnione, opięte cienką, spaloną słońcem skórą. Na jednym z nich połyskiwała złota bransoleta.

- Witaj, Abbo. Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt? - zapytał Teobald.

- Podobno szykujesz się na wojnę.
- Krokodyle zaatakowali naszą świątynię...

Lekceważąco machnęła ręką.

- Nic nieznaczący epizod, który ma odciągnąć uwagę od twoich prawdziwych planów. Mówiłam o tej prawdziwej wojnie.

Teobald zmarszczył brwi. Przyglądałem im się z perspektywy progu. Nie miałem ochoty wchodzić dalej i stawać im na drodze do konfrontacji.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Mówię o wojnie z Cesarstwem. Jak już pozbędziesz się obstawy Sina w Mieście Krokodyli, przyjdzie czas na Zadara w porcie. Zamierzasz oczyścić region z sił europejskich. Chętnie pomogę. Dysponuję sporą armią, w dodatku chętną do walki z Sinem.

Zerknąłem na burmistrza. Postawił koszyk z truskawkami na biurku. Jego ruchy były płynne, zrelaksowane. Przez chwilę odnosiłem wrażenie, że będzie upierał się przy swojej wersji, ale zaskoczył zarówno mnie, jak i Abbę.

- Czego oczekujesz w zamian?

- Oddasz Tyrswi zarządzanie portem.

Zamarłem z wrażenia, ale zanim zdążyłem zaprotestować, Teobald wszedł mi w słowo.

- Zgoda. Coś jeszcze?

- Przemyślisz swobodne przemieszczanie się Anny po Twierdzy. Ona może być agentką cesarza.

- Też mi to przyszło do głowy.

- O ile ty nim nie jesteś.

- Co natomiast przyszło do głowy tobie, ale pokusa wyjścia z lasu jest dla ciebie zbyt wielka. Rozumiem, że zamierzasz zasiedlić port Ludem Pustyni w miejsce wygnanych Europejczyków ze świty Zadara?

- Właśnie tak.

- Poczęstuj się truskawką.

- Poczęstuję.

Wybrała największą truskawkę z koszyka i wessała się w nią jak pijawka.

- A czego chcesz dla siebie?

- Już mówiłam. Portu dla Tyrsa. Myślę o emeryturze.

- Zgoda.

- Tak po prostu zgoda? - zdziwiła się chyba dla przyzwoitości.

- Tak po prostu.

Byłem tym zdruzgotany.

- Chwileczkę! Nie chcę żadnego portu, a już tym bardziej nie chcę kierować Ludem Pustyni!

- To już nie będzie Lud Pustyni - zauważyła Abba - tylko mieszkańcy dzielnicy Twierdzy, którą będziesz zarządzał. A to istotna różnica. Przemyśl tę propozycję. Konfrontacja z siłami cesarza jest nie do uniknięcia. Mamy nad nim przewagę, a są nią nasze umiejętności tresowania dinozaurów, odwaga i poświęcenie Straży Wąwozu oraz bezkompromisowość Ludu Pustyni. Co więcej, cesarz jest od nas bardzo daleko. Jeśli pozbedziemy się Europejczyków z Miasta Krokodyli, społeczność miasta nas poprze

i będziemy mogli połączyć z nimi Twierdzę. To będzie zaczątek nowych Złocistych Piasków. Prawdziwa polityczna siła, która odgryzie Brytanikowi najmniejszy palec u stopy, ale jednak odgryzie, i to bardzo boleśnie.

- Wolność wymaga poświęceń. Z tym jednym zgadzamy się z Abbą.

Patrzyłem na nich i nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego, że Abba i Teobald tak łatwo dojdą ze sobą do porozumienia. Usiadłem na jednym z krzeseł i podparłem głowę dłońmi. Żle zawiązany napierśnik wciąż uwierał mnie w bok. Mimowolnie przypomniałem sobie, jak Anna pomogła mi go włożyć w trakcie naszego pierwszego spotkania, po tym jak wyłowilem ją z wody. Potem uderzyła we mnie kolejna oczywistość. Abba i Teobald znali się od wielu lat, ba, znali się, jeszcze zanim się urodziłem. Abba była świadkiem, jak Teobald odpływał do Europy i jak z niej powrócił. Obserwowała jego pierwsze lata sprawowania władzy i oczyszczania Twierdzy z fanatyków. Obserwowała, jak jego prywatne szczęście się rozpadło z powodu bezwzględnych eksperymentów medycznych mściwej kobiety z Europy.

Kapłani i raptory byli naszymi własnymi zagrożeniami. Elementami krajobrazu, z którymi nauczyliśmy się żyć. Oswoiliśmy raptory, pozbyliśmy się kapłanów - to Europejczycy stanowili źródło prawdziwego niebezpieczeństwa. Nie pasowali do kolorowej mozaiki Twierdzy, a co za tym idzie, wprowadzali w nią niepotrzebne ryzyko. Mieli swojego fanatycznego cesarza,

przewartościowaną kulturę i maniackie eksperymenty dążące do stworzenia serum wiecznej młodości, a nawet do pokonania śmierci. Jakby tego było mało, pragnęli całkowicie podporządkować sobie świat. Do tej pory lekceważyli Afrykę, bo im na to pozwalaliśmy.

Kiedy mój pierwszy szok minął, dotarła do mnie słuszność wszystkich argumentów przytoczonych przez Abbę. Istniała poza tym spora szansa, że ich plan mógł się udać. Musieliśmy tylko działać szybko i sprawnie.

- Nie obiecuję, że zostanę zarządcą portu. Zadar wciąż żyje i ma się bardzo dobrze - powiedziałem w końcu, wiodąc zdeterminowanym wzrokiem od Abby do Teobalda. - Nie ufam żadnemu z was. Daliście mi ku temu poważne powody. Wiem za to, że Krokodyle porwali mojego przyjaciela, zranili drugiego, zaatakowali moje miasto, więc są też w stanie zagrozić mojej rodzinie. To realne niebezpieczeństwo, a nie jakieś dyrdymały o cesarzach i ich zbyt małych fiutach.

Teobald wymownie odchrząknął, a Abba zakrztusiła się śmiechem.

- Z tego powodu będę walczył.

- Niczego więcej od ciebie nie oczekujemy - zapewnił burmistrz.

- A wracając do tematu raptorów, moje nadal pozostają poza obrębem Twierdzy. Abba powiedziała, że zapędziły się w okolice Lasu Kalahari. Skąd zatem wzięły się zupełnie obce raptory na moim podwórku?

- Nie są moje. Zabroniłeś mi je wprowadzać do domu - przypomniała babka.

- Raptor z czerwoną szramą na pysku nie jest twój? - Oniemiałem.

- Zdecydowanie nie. Znam tylko jednego gada o takim wyglądzie. Został wypędzony z mojej sfory. To urodzony morderca, jest bardzo agresywny...

- A ja zostawiłem go w mojej szopie...

- Strażnicy go ustrzelą - obiecał Teobald. - Poza Anną i Tuliuszem przetransportujemy tu również twoje młodsze rodzeństwo. A teraz pora skupić się na planie odbicia Tycjana. Przed paroma godzinami dostaliśmy przesyłkę od samego Tytusa Beringa, burmistrza Miasta Krokodyli, w której wzywa nas do poddania się. Do jego nagrania został dołączony fragment ubrania Tycjana i jego paznokiec...

- Jego paznokiec?! - warknąłem. - I dopiero teraz mi to mówisz?

Zbyt dużo rzeczy działo się równocześnie. Mój umysł za tym nie nadązał. Cesarze, paznokcie, lampiony, rozchylone kobiece uda, raptory z czerwonymi szramami na pyskach, pijani goście Zadara na cyrkowym pokazie Tuliusza, roześmiana Abba, początek świtu zamieniający się w regularny poranek. Spędziłem cały dzień i całą noc na podwyższonej adrenalinie. Te wszystkie intrygi i dramaty były ponad moje siły. Wolałbym już walczyć i zabijać wroga, niż tak beczynnie uczestniczyć w zawieraniu i zrywaniu układów. Miałem tylko nadzieję, że moje rodzeństwo było bezpieczne. A jeśli nie, że umiało sobie poradzić. Liczyłem na

Alicję, nawet na Terre, najbardziej bałem się za to o Taniela. Aneta potrafiła odstraszać od siebie ludzi, jej kły mogły jej się wreszcie do czegoś przydać, za to Taniel był całkowicie bezbronny, w dodatku słodki i ufny – idealna ofiara dla wygłodniałych raptorów i kroczących na nas Krokodyli.

Tymczasem Teobald wrzucił mnie w sam środek przygotowań do wojny, starałem się więc nie myśleć o moim zmęczeniu, Annie i dzieciakach. Miałem ważniejsze rzeczy do roboty, chociaż tak naprawdę nie było dla mnie nic ważniejszego od nich.

Ponura przesyłka od Krokodyli dotarła do garnizonu około godziny 23. Zanim poszedłem z Abbą i rodzeństwem obejrzeć puszczanie lampionów nad oceanem, po raz kolejny zabrałem Tycjana na przedstawienie Tulusza do portu. Uparł się, że chce to oglądać, jakby się w ten sposób za coś karał, podsycił w sobie ból i upokorzenie. Nie komentowałem tego, po prostu z nim byłem. Wiedziałem, że tego ode mnie oczekiwał i że przyjaźń czasami objawia się w takich właśnie dziwacznych gestach solidarności. Chcesz się torturować? Postoję z tobą i na to popatrzę; zgodzę się, że jest źle, i pogłaszczę cię po głowie, kiedy będziesz się mnie trzymał – niemiłosiernie pijany i nieprzytomny, epatujący emocjami, przeklinający cały świat i samego siebie, że przyszło ci w nim żyć. Ostatnio tak właśnie wyglądała moja przyjaźń z Tycjanem.

Nie zdziwiłem się, że wyszedł wtedy na scenę. Zadar posunął się za daleko, chociaż ja widziałem to trochę inaczej – to Tulusz posunął się za daleko. Nie poznawałem go

i bałem się, że taki był naprawdę: bezkompromisowo zapatrzony w samego siebie, okrutny, rozpustny, zaciekawiony wynikiem własnej prowokacji. Tym razem boleśnie się przeliczył. Nawet ja miałem go dość. Dlatego nie zapytałem, co mu się stało. Dlatego zostawiłem go samego w piwnicy, nie wymuszając od Tulii zwierzeń. A teraz Tycjan był w rękach Krokodyli, a ja zaniedbałem śledztwo, bo przypadkiem obraziłem się na jednego z moich przyjaciół. Takie zachowania nie były w moim stylu. Potrafiłem odsunąć od siebie osobiste animozje i depresyjne stany ducha, żeby nie przysłaniały mi prawdziwego odbioru rzeczywistości. Straciłem obiektywizm.

Powinienem był poszukać Tycjana po tym, jak uciekł od Zadara, ale uznałem, że pewnie zszedł na dno oceanu i nieprędko stamtąd wróci. Tym razem moje założenie okazało się błędne. Krokodyle musieli go dorwać, zanim dotarł do wody. Czekali na niego w porcie. Śledzili nas. Czy to sam Zadar ich tam wpuścił? Nigdy nie układało mu się z Tycjanem, rywalizował z nim o względy Tulii, Tycjan zawsze wypowiadał się o nim negatywnie przy Teobaldzie i udawało mu się nastawiać ojca przeciwko niemu. Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - pozbyć się irytującego elasmozaura i podsycić konflikt Twierdzy z Krokodylami... Wszyscy zrzucali swoje ciemne sprawy na Krokodyle; aż kusilo mnie, żeby z nimi o tym porozmawiać. Ciekawe, co Tytus Bering sądził o swoim wpływie na politykę Twierdzy. Dziwne, że choć pozostawaliśmy w tym samym stanie wojny, szpiedzy Twierdzy jakoś nie mieszały się w sprawy publiczne

Miasta Krokodyli... Bo może nie musieli albo w ogóle ich tam nie było. Obstawiałem tę drugą opcję. Jeśli tak, to znaczy, że również w Twierdzy nie było szpiegów Krokodyli. Musiałem dowiedzieć się prawdy. Dobrze, jeśli jeszcze za jednym zamachem uwolnię Tycjana...

Około szóstej strażnicy przywieźli moje rodzeństwo i matkę do garnizonu. Alicja była blada i wystraszona, kiedy wyszła mi na spotkanie.

- Co się dzieje? - zapytałem. - Co masz taką minę?

- Taniel zniknął. Nie mogliśmy też znaleźć Tulusza...

- Jak to: zniknął?! - krzyknąłem na cały plac. - Sprawdzałaś w szopie? - Głos mi drgał ze zdenerwowania.

- Sprawdzałam.

- I co? Był tam ten raptor?

- Nie... Jaki raptor? Nikogo nie było w szopie. Ani Taniela, ani tym bardziej raptora...

Nogi się pode mną ugięły. Alicja złapała mnie za ramię, żeby mnie podtrzymać, ale ją odepchnąłem.

- Jasna cholera! - wrzasnąłem i z nowo odzyskaną energią wróciłem w kierunku biura dowódców.

Teobald nie protestował, kiedy oznajmiłem, że mam zamiar sam wyruszyć negocjować o życie Tycjana.

- Mogłoby cię to trochę bardziej obchodzić! - warknąłem do niego, nie do końca nad sobą panując. Wiadomość o zniknięciu Taniela zadziałała na mnie tak, jakby ktoś nagle podał mi truciznę, na którą nie było antidotum.

- A co się stało z Anną? - Abba musiała o nią zapytać, po prostu nie mogła odmówić sobie tej przyjemności. - Tulusz jest jej siostrzeńcem, prawda? A co, jeśli razem uknuli spisek i zabrali Taniela, żeby cię szantażować?

- Po jaką cholere miałoby mnie szantażować! Tulusz przyszedł do mojego domu ranny i zmęczony! Ledwo kontaktował! Lepiej mi wyjaśnij, co te obce raptory robiły przed moim domem, bo przysięgam, że za siebie nie ręczę!

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Zamarłem z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Przepraszam, ale muszę porozmawiać z Tyrsem. To ważne. - Przez uchyloną szparę w drzwiach zajrzał Terra.

Powiódł spłoszonym spojrzeniem po biurze, krzywo uśmiechnął się do Teobalda, ale wyminął świdrujący wzrok Abby, czym jasno zasygnalizował mi, że ona nie powinna wiedzieć tego, co chciał mi przekazać. Zanim więc któreś z nich zdążyło zareagować, złapałem małego za ramię i niedelikatnie wypchnąłem go na korytarz, zamykając za nami drzwi.

Siedzieliśmy razem na jednej z kamiennych ławek przed pawilonem służb medycznych Straży Wąwozu. Od pewnego czasu Terra zaczął się kręcić. Niezbyt dobrze znosił milczenie - zwłaszcza moje. Przyzwyczailem go do ekspresyjności, szczególnie wobec niego byłem hałaśliwy, uparty i cyniczny. Tylko że teraz naprawdę nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Po tym, jak ułożyłem plan działania,

zadowolony ze swojej dedukcji, nie powinienem pozwolić, żeby ogarnął mnie stan odrętwienia. A jednak tak właśnie było. Anna zdradziła mnie tego samego wieczoru, w którym wpuściłem ją do mojego domu. Tulusz mógł już być martwy, mogła przecież wrócić i dokończyć swoje dzieło. Taniel mógł być już za to na statku do Europy: najnowsza zabawka cesarza, cenny towar w luku bagażowym. Ta myśl tak mnie wściekła, że nagle wstałem i zawyłem jak ranne zwierzę.

- Tyrs, przestań! - Brat zerwał się na równe nogi i złapał się mojego ramienia. - Myśl logicznie! Skup się na tym, co możesz teraz zrobić! Zawsze nam to powtarzasz!

Złapałem go za kark i szarpnąłem nim, jakby był szmacianą lalką. Terra skulił się w sobie i zastygł w uległej pozie. Opanowała mnie żądza mordy. Moja rodzina była dla mnie najważniejsza. Chciałem uczynić Annę jej częścią, ale ona zamiast tego odebrała mi braciszka i zamordowała przyjaciela. Nie obchodziło mnie, czyim synem był Tulusz, rodzice nie powinni mieć aż takiego wpływu na swoje dzieci - zwłaszcza nie ci, którzy nawet nie byli obecni w ich życiu. Kolejny powód do tego, żeby dobrać się Europejczykom do skóry. Nagle z wielką ochotą zapragnąłem przyjąć ofertę Abby. Mogłem zostać jej wymarzonym przywódcą.

- Komu jeszcze o tym mówiłeś? - zapytałem, stawiając Terrę na ziemi.

Nawet nie zauważyłem, że go podniosłem, boleśnie ściskając za ramię.

- Nikomu. Tylko tobie. - Jego zielone oczy zaszklily się od łez.

Szybko pożałowałem swojego okrucieństwa. Terra nie był winien temu, co się stało. Właściwie tylko dzięki jego przytomności umysłu dowiedziałem się prawdy. Okazał się skuteczny tam, gdzie ja nawaliłem.

- Bardzo dobrze. - Uklęknąłem przy nim i spojrzałem mu w oczy. - Dziękuję, że się tego dowiedziałeś, postąpiłeś słusznie. Teraz znowu będę potrzebował twojej pomocy. Nikomu nie mów tego, co mi powtórzyłeś. Sam muszę uporać się z Anną. To wszystko moja wina, bo straciłem przy niej czujność. Taniel mógł zostać przez nią porwany i to ja jestem za to odpowiedzialny. Zamierzam wyruszyć na spotkanie z Krokodylami. W tym czasie masz uważać na nasze rodzeństwo. Będziesz robił to, w czym jesteś najlepszy, to znaczy będziesz obserwował i wyciągał wnioski, a potem zrobisz wszystko, żeby ochronić nasze gniazdo. Na swój sposób, inteligencją i przebiegłością. To jest twoja broń, Terra.

Miał nadąsaną minę, ale skinął głową.

- Tyrs, myślisz, że po nas przyjdą? - zapytał.

- Kto?

- Żołnierze cesarza...

- Niech spróbują.

Teobald pokazał mi nagranie z przemówieniem Tytusa Beringa.

- Sprawia wrażenie zdeterminowanego - skomentowałem, zerkając na burmistrza kątem oka.

Wzruszył ramionami.

- Co to zmienia?

- Myślę, że możemy się z nim dogadać.

- A ja myślę, że on i tak musi zginąć.

- Może sobie z tego zdawać sprawę, dlatego nie tak łatwo odda nam Tycjana.

- Zamierzałem wyruszyć na niego z najlepszymi jednostkami Straży Wąwozu.

- Tycjan może tego nie przeżyć... Pozwól mi to załatwić samemu.

- Tycjan powinien wiedzieć, jak utrzymać się przy życiu! Jeśli tam pójdziesz i oni cię zabiją, stracę przewagę, jaką gwarantuje mi twoja obecność!

Teobald pokręcił głową ze złością, a potem ścisnął skroń palcami.

- Grunt osuwa mi się pod stopami. Czuję, jak się w nim zapadam po samą szyję.

- Nie tylko tobie, jemu też.

Wcisnąłem przycisk ponownego odtwarzania. Spokojny, prawie melancholijny głos Tytusa znowu poleciał z głośników.

Drogi Teobaldzie Elasmosie. Pomijając wszelkie grzeczności i w tym momencie całkowicie niepotrzebne zapewnienia o wzajemnym szacunku, chcę zwrócić twoją uwagę na jedną rzecz - nie znamy się. Nie znamy się zupełnie. Fakt, jestem zwolennikiem cesarza, zostałem burmistrzem Miasta

Krokodyli po tym, jak Cesarskie Siły Zbrojne siłą stłumiły pokojową konferencję na temat asymilacji Ludu Pustyni. Zanim do tego doszło, byłem oddelegowany na konferencję jako jeden z żołnierzy cesarza mający strzec porządku. Przez jakiś czas przebywałem w Europie, mój ojciec pochodził z kręgów arystokratycznych, jednak nie jestem stuprocentowym Europejczykiem. Urodziłem się w Mieście Krokodyli, ojciec zdradził swoją żonę z miejscową dziewczyną na jednym ze służbowych wyjazdów. Na dworze cesarza zajmował się rolnictwem. Mówię o nim w czasie przeszłym, ponieważ od paru lat nie żyje. Został zamordowany przez swojego konkurenta. To powszechne i w pewnych kręgach wręcz aprobowane zachowanie, ale cóż mógłbyś o tym wiedzieć. W końcu spędziłeś u nas tylko pięć lat, w dodatku w roli cesarskiego faworyta. Jesteś zatem gwiazdą, szczęściarzem. Dużo już udało ci się osiągnąć, choć lubisz chować się za plecami swoich dinozaurów. Słyszałem, że poza raptorami i pterodaktylami poskromiłeś też elasmozaury. Cieszę się więc, że Miasto Krokodyli nie ma dostępu do oceanu. Pozostając w temacie elasmozaurów... Odkryłem dzisiaj, że twój syn Tycjan posiada skrzela. Bardzo intensywnie rozmyślam nad tym, czy mu je wyciąć. Myślisz, że to przeżyje? W każdym razie nasza obecna sytuacja rysuje się następująco: mam twojego syna i zamierzam zrobić z nim, co tylko mi się podoba, chyba że zdecydujesz się poddać i oficjalnie ogłosisz swoją decyzję. Oddam ci wtedy Tycjana w stanie, powiedzmy, prawie nienaruszonym - dowód otrzymujesz razem z moim nagraniem. Wybacz, po

prostu nie umiałem się powstrzymać, jest naprawdę przystojny, aż się prosi, żeby zrobić mu krzywdę... - nie będę miał też żadnych roszczeń wobec Twierdzy Kimerydu. Brytanik pozostawia mi dużą swobodę działania i zamierzam z niej skorzystać, oczywiście ku chwale naszego Cesarstwa. Proszę cię jednak, żebyś przemyślał przekazanie mi Anny Guiteerez, choć jest już naszą wspólną przyjaciółką. Myślę, że Jego Cesarska Mość bardzo pragnie ponownie ją zobaczyć. Ja mniej, ale cóż zrobić - nie zawsze udaje nam się spełnić nasze pragnienia, prawda? W każdym razie serdecznie cię pozdrawiam i czekam na twoją odpowiedź. Jestem niecierpliwy, może odetnę Tycjanowi palec, skoro już nie ma na nim paznokcia...

- Bering powiedział, że nie będzie miał żadnych roszczeń wobec Twierdzy. Powinien chcieć się nas wszystkich pozbyć, ale zamiast tego proponuje pokojowe rozwiązanie. Bo to jest pokojowe rozwiązanie, pomijając w tym udział Tycjana. Jak ma się do tego spiskowanie Beringa z kapłanami? - Wymierzyłem palec w burmistrza.

Ironicznie prychnął.

- Masz tylko jedną szansę, żeby z nim porozmawiać i odzyskać Tycjana. Potem zaatakuję. Pamiętaj, że docelowo zamierzam zająć cały ten region. Konfrontacja z Krokodylami jest więc nieunikniona.

Pokiwałem głową. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu zacząłem się zbierać. Już i tak straciłem mnóstwo

czasu. Im dłużej pozwalałem, żeby sytuacja rozwijała się bez mojego wpływu, tym więcej problemów napotykałem. Teraz przyszła pora je rozwiązać tak, jak umiałem najlepiej – po kolei i metodycznie, po drodze zabijając paru przeciwników. Może Tytus Bering był jednym z nich.

– Jak mnie nie będzie, obiecaj, że dowiesz się, co się stało z Tanielem i Tuluszem. Myślę też, że powinieneś wysłać oficjalny list gończy za Anną...

– Już to zrobiłem. – Teobald posłał mi ostatnie spojrzenie znad biurka.

Siedział nad nim pochylony, z dłońmi splecionymi pod brodą. Chciałem powiedzieć coś, żeby go pocieszyć, ale wiedziałem, że żadne słowa nie były w stanie wyrazić naszej więzi. Wiedziałem, że mogliśmy czasami nie zgadzać się w różnych kwestiach i krytykować swoje wybory, mimo to zawsze stawaliśmy za sobą.

– Twoja rodzina będzie miała najlepszą opiekę – zapewnił mnie jeszcze.

– Wiem. I dziękuję. Za wszystko.

ROZDZIAŁ 12

Tycjan

Myślałem o koszmarze, który nękał mnie prawie każdej nocy; wszystko zmierzało do jego finalizacji. To nieprawda, że byłem przerażony albo że cierpiała moja duma - nie, ogarnęło mnie raczej dojmujące poczucie klęski. Minione cztery lata spędziłem na ściganiu Tulusza. Sądziłem, że sprowadzam go do świata żywych, że utwierdzając go w mojej miłości, łagodzę jego ból po stracie matki i niweluję skutki powolnego, acz nieuchronnego, przeistoczenia. Tak bardzo pragnąłem go uratować, że umknął mi moment, gdy zacząłem pogrążyć się razem z nim. Teraz, kiedy on zawrócił w pół drogi i płynął ku jasnemu światłu na powierzchni wody, ja nie przestawałem ciężać w stronę dna. Centymetry dzieliły mnie od jego mulistej konsystencji i może chciałem się w niej zagłębić. Może chciałem, żeby mu zalepił mi oczy, wypełnił usta, przedarł się do krtani i ostatecznie mnie udusił.

Tyrs znosił to wszystko z godnym pozazdrosczenia stoicyzmem. Chodził ze mną do portowych barów, podrywał ze mną kolejne turystki, brał i pił ze mną wszystko, co tylko podstawiałem mu pod nos. Pewnie zażyłby nawet truciznę

i nie mrugnął przy tym okiem. Co nie zmieniało faktu, że bawił się gorzej ode mnie. Upijaliśmy się więc na smutno, a wtedy zwykle robiliśmy się agresywni. Nie lubiłem się bić, a już tym bardziej rzucać ciężkimi przedmiotami, żeby poprzeć swoją rację. Tymczasem odnajdowałem w tym pewną przyjemność. Bijatyki w barach były specjalnością Tyrsa, ale tym razem to on musiał dotrzymać mi kroku. Robiliśmy wokół siebie dużo szumu. Wracałem do domu pijany i wściekły, chwiejąc się na nogach. Ojciec próbował ze mną rozmawiać. Odwracałem się do niego plecami i trzaskałem mu drzwiami przed nosem. Wiedziałem, że poważnie go zaniepokoiłem. Na szczęście mój niedorozwinięty brat elasmozaur witał mnie z typowym dla siebie optymizmem i radością. O wiele bardziej polubiłem teraz jego towarzystwo. Prostota myślenia Tacjana działała na mnie kojąco. Poza tym nie musiałem przed nim udawać, że jestem normalny, że wszystko ze mną w porządku.

Nie, już nic nie było w porządku. Czasami żałowałem, że Arabella tak po prostu udusiła się na sznurze. Ja bym ją torturował - dniami i nocami - i czerpałbym sadystyczną przyjemność z jej krzyków i błagania o litość. Ostatnio pływając razem z Tacjanem w Zatoce Kimerydu, wyobrażałem sobie, że byliśmy normalnymi ludźmi. Przyzwyczailem się do roli tego bystrzejszego bliźniaka, miałem jednak solidną przewagę nad moim bratem, który prawie w stu procentach urodził się zwierzęciem. Od pozostałych gadów odróżniała go tylko umiejętność posługiwania się kaleczonym językiem i przewrotne, ludzkie

myślenie. Nawet gdyby urodził się upośledzony, ale jako człowiek, mielibyśmy większe szanse się zżyć. Traktować się jak prawdziwi bracia. Tacjan był raczej moim pupilem, ulubionym zwierzakiem, i dokładnie taka łączyła nas więź.

Jaki byłby Tulusz, gdyby Arabella nie podawała mu genów pterodaktyla? Czy miały one jakiś wpływ na jego zachowanie? A może okazały się taką samą zdradliwą suką? Wydawało mi się, że to wytrzymam - obiecałem mu, że wytrzymam. Oszukiwałem tylko samego siebie, bo jemu najprawdopodobniej było to obojętne. W trakcie jednej z portowych pijatyk Tyrs zadał mi pytanie, które wyprowadziło mnie z równowagi.

- Nie żałujesz, że tak mocno zbliżyłeś się do Tulusza?

- Jesteś głupi, Tyrs. Tak cholernie głupi! - warknąłem, pochylając się w jego stronę nad dzielącym nas stołem i dzbanem wódki z agawy.

Lepki alkohol rozlał się na stół, ochlapał kolorową koszulę Tyrsa i jego dłoń, w której trzymał kieliszek. Posłał mi gniewne spojrzenie.

- Ja chciałem się do niego zbliżyć, nie potrafiłem tego zrobić inaczej. Trzymanie się na dystans, pilnowanie własnych spraw, zajmowanie się sobą... To rozwiązania, które są dobre dla ciebie, które ty celebrujesz każdego dnia. Patrzysz na innych z góry. Kocham Tulusza i nie zmieni się to nawet teraz.

- Dobrze więc, wypijmy za to, męczenniku. - Tyrs uniósł kieliszek z alkoholem do ust i wychylił go jednym haustem.

- Pierdol się, Tyrs.

- Dziękuję, ale nie zamierzam tak jak ty płakać po kątach i tęsknić za jednym tyłkiem. Nie będę się pierdolił sam.

Rzuciłem w niego dzbanem, w końcu i tak wódka się wylała. Odchylił się z godnym pozazdroszczenia spokojem. Niestety dzban roztrzaskał się na głowie siedzącego za nim Europejczyka.

- Nie pozwolisz mi po prostu posiedzieć, prawda? - westchnął Tyrs.

Prawie puściliśmy ten bar z dymem. Koledzy Europejczyka okazali się niezłymi osiłkami, mieliśmy więc godnych przeciwników.

- Oduść, Cjan. - Przyjaciel złapał mnie w pasie i siłą wyprowadził na świeże powietrze.

Akurat zamierzałem rzucić zapałkę, po tym jak przytaszczyłem do baru bak z benzyną. W tym czasie Tyrs rozprawiał się z niedobitkami.

Dawno nie słyszałem już, żeby tak skracał moje imię. Wpadliśmy na to w ostatniej klasie gimnazjum. Bardzo się wtedy buntowaliśmy, że wszystkie męskie imiona w Afryce musiały zaczynać się na T, bo tak zażyczył sobie cesarz. Zostałem więc Cjanem, a Tyrs - Rysem. Przetawiłem literki, bo męczyłem się Rsem albo Yrsem.

- Powinniśmy spalić tę budę, Rys - odpowiedziałem, bezwładnie wisząc na jego ramieniu. - A potem samego Zadara w jego jedwabnych pościelach.

- To się da zrobić - zauważył Tyrs tym niezobowiązującym tonem, który tylko jego przyjaciele rozpoznawali jako zaproszenie do awantury.

Pochyliłem się i zwymiotowałem mu na buty.
- Kurwa, serio, Cjan?

Zabrał mnie więc na kolejne przedstawienie Tulusza do rezydencji Zadara. Byliśmy razem na pierwszym i wspominałem to gorzej niż mój koszmar z nagrobkami na dnie oceanu. Obiecałem sobie, że więcej się tam nie pojawię, że właściwie nie może być gorzej... Ale było. Mimo wypitego alkoholu nie mogłem znieść tej scenicznej rozpusty. Tyrś mnie nie powstrzymał. Widziałem pełne poparcie w jego oczach. Nie tylko ściągnąłem Tulusza ze sceny i rzuciłem nim o ścianę, aż się od niej odbił i zatoczył na najbliższy stół, zrzucając z niego zastawę i alkohole, ale także dopadłem osłupiałego Zadara i tak, pobiłem go do nieprzytomności. Nie zajęło mi to wiele czasu - był pijany i najwyraźniej pod wpływem jakiegoś narkotyku. Wystarczyło kilka silnych uderzeń pięścią w twarz i solidne przyłożenie jego głową o marmurową posadzkę. Miałem nadzieję, że złamałem mu nos.

Na sali wybuchła panika. Ludzie zaczęli przepychać się w stronę wyjścia, pterodaktyl Tulusza pozbawione jego przywództwa rzuciły się na pechowych gości. Wrzask i harmider zagłuszały krzyk Tyrśa, który próbował mi coś przekazać. Rozejrzałem się za Tuluszem, ale zniknął mi z oczu, żeby potem pojawić się w pobliżu pterodaktyłów i przywrócić dyscyplinę. Ogarnęło mnie szaleństwo na myśl, że znowu go uderzyłem, że od jakiegoś czasu często to

robiłem. Nie zasługiwałem na niego. Nigdy na niego nie zasługiwałem. Nasza relacja była skażona. Nie było już czego na niej budować...

Musiałem od tego uciec. Nogi poniosły mnie same. Przebiegłem przez scenę i trafiłem za kulisy. Zacząłem przeciskać się w stronę tylnego wyjścia, odgarniając ręką kotary zagrządzające mi drogę. To się stało tak szybko, że nie utrzymałem równowagi. Ktoś uderzył mnie czymś ciężkim w tył głowy. Poleciałem do przodu, chwytając się materiału, ale wciąż miałem siłę, żeby się obrócić i zaatakować. Wtedy skończyła się swoboda moich ruchów. Zostałem złapany od tyłu za ramiona przez dwóch napastników, a trzeci poprawił swój pierwszy cios, celując tym razem w moje czoło.

Utonąłem w ciemnościach.

Proces mojego trzeźwienia przebiegał co najmniej boleśnie. Trzęsło mną, jakbym dostawał chorobliwych drgawek, ale po jakimś czasie zorientowałem się, że był to efekt transportu wyboistą drogą. Byłem gdzieś przewożony skrupowany mocnymi więzami. Moją widoczność ograniczała przepaska na oczach, ale i tak nie robiło mi to większej różnicy. Głowa bolała mnie tak, jakby zaraz miała mi pęknąć. Budziłem się i odpływałem w otchłań pijackiej wyobraźni. Tym razem na dnie oceanu pływały rekiny. Ten paskudny gatunek z białymi pasami na bokach, który atakował małe elasmozaury na pełnym oceanie, przez co te chroniły się w zatoce. Panicznie bałem się rekinów, jak na małego elasmozaura przystało.

Ogromne rozwarte szczęki zbliżały się w moim kierunku. Pomiedzy kłami pozostały resztki poszarpanych tkanek. Małe czarne oko poruszało się w wydrążonym oczodole, śledząc kierunek ruchu mojego ciała. Wydawało mi się, że było zrobione z waty cukrowej - delikatne i wiotkie, w każdej chwili mogące się rozpaść na malutkie chmurki. Zmutowany rekin pożerający watę cukrową.

Nie cieszyłem się z tego, że do naszego domu wprowadziła się ta kobieta. Nie lubiłem Arabelli Donner. Prowadziła swoją aptekę we wschodniej dzielnicy miasta i pracowała w miejscowym szpitalu. Ojciec powierzył jej tajemnicę mojego pochodzenia, dlatego od moich najmłodszych lat przychodziła mnie badać, pobierała mi krew i próbki DNA, ale też po prostu przepisywała leki, kiedy złapałem przeziębienie. Niczego jej nie ułatwiałem - wręcz przeciwnie, byłem tak uparty i złośliwy, jak to tylko możliwe. Wszystko jednak się zmieniło, kiedy razem z Arabellą wprowadził się do nas Tulusz. Do tej pory znaliśmy się tylko przelotnie ze szkoły; Tulusz zawsze zachowywał się uprzejmie wobec mnie i Tyrsa, ale raczej się nie przyjaźniliśmy. Wywodziliśmy się jakby z dwóch różnych światów. On nie był skłonny ryzykować tak dużo jak my, trzymał się na uboczu, lubił się uczyć i ewidentnie miał swój świat. Tyrs mówił, że to taki typ szalonego naukowca.

Potrzebowałem ciepła i spokoju Tulusza. O ile obecność Arabelli odczuwałem jak ukłucie igły w bolące, posiniaczone miejsce, o tyle Tulusz po prostu wpłynął do naszego domu jak kojąca fala na przyływie. Jego obecność wydawała się

wręcz naturalna, aż dziwiłem się, że dopiero teraz się odnalazł. Od razu się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Tyrs z początku podchodził do sprawy nieufnie, przekonał się jednak do tego spokojnego naukowca w za dużych koszulach w kratę i otoczył go swoją szorstką raptorzą opieką.

Ktoś wylał mi na głowę zimną wodę. Syknąłem i otrząsnąłem się. Spróbowałem usiąść podtrzymywany czyjaś silną ręką. Już dawno przestaliśmy się poruszać, wnioskowałem więc, że dotarliśmy na miejsce. Miałem związane ręce i nogi. Czyjaś dłoń odsunęła przepaskę. Zamrugąłem - oczy szczypały mnie od ostrego światła. Poruszyłem wargami, przesuwając językiem po suchym podniebieniu. Widziałem przed sobą żółtą połąć pozbawioną kształtów. Pustynia.

- Witaj w Mieście Krokodyli - usłyszałem, zanim dwóch żołnierzy wyciągnęło mnie na zewnątrz z furgonetki.

Ulice Miasta Krokodyli charakteryzowały się symetrią i uporządkowaniem. Zabudowania i okrągłe kopuły tutejszych świątyń w większości pomalowano na biało; framugi okien, wykończenia i freski ozdobiono za to domieszkami prawdziwego złota. Miasto to słynęło ze swojego artystycznego zacięcia. Kształciło zdolnych malarzy, architektów i pisarzy, którzy swoimi dziełami dokonywali apoteozy afrykańskiej kultury. Porządek i czystość Miasta Krokodyli kontrastowały z chaotyczną architekturą Twierdzy, złożonej w większości z różnych stylów łączących afrykański

przepych i zamiłowanie do nasyconych kolorów z europejską precyzją i smutnymi, identycznymi wieżowcami. Nawet willa Teobalda została wybudowana na tę modłę.

Dopiero w głębi domostw Krokodyli można było dostrzec fragmenty bogatych ogrodów zaprojektowanych przez najlepszych ogrodników z Wydziału Botanicznego tamtejszego uniwersytetu. Mimowolnie myślałem o tym, jak bardzo zmieniła się mentalność mieszkańców po tym, jak pokojowa konferencja Anny została stłumiona przez siły cesarza. Krokodyle pozostawali trochę w cieniu Twierdzy mającej nad nimi znaczną przewagę, chociażby geograficzną – dzięki zatoce i dostępowi do oceanu. Tutaj natomiast było już czuć suchy, kontynentalny klimat, podwyższający temperaturę co najmniej o kilka stopni. Poza granicami miasta ciągnęła się pustynia, która nieco dalej przechodziła w słynną Pustynię Kalahari. Krokodyle handlowali z zamieszkującymi ją rdzennymi mieszkańcami i podobnie jak Twierdza, nie stronili też od kontaktów z Ludem Pustyni, nieoficjalnie kryjącym się w zakamarkach Lasu Kalahari.

Żołnierze w łuskowatych krokodylich zbrojach prowadzili mnie jedną z głównych ulic. Ludzie obserwowali nas z okien, niektórzy nawet wylegli przed swoje domy. Ruch uliczny na chwilę zamarł. Odwdzięczyłem się im takim samym zainteresowaniem. Dotąd miałem rzadkie okazje, żeby tutaj przyjeżdżać, chociaż Miasto Krokodyli było oddalone od Twierdzy niecałe sto kilometrów. Od dawna obie społeczności dzieliła wzajemna niechęć. Co prawda Krokodyle posiadali artylerię pozostawioną im przez

wicecesarza Sina, ale nie specjalizowali się w prowadzeniu wojny. W porównaniu z Twierdzą byli bardziej zamkniętą, spokojną społecznością, rozwijającą handel i gloryfikującą sztukę. Twierdza nie łączyła z nimi zbyt dużego zamiłowania do nauki, Straż Wąwozu wprowadzała zaś popłoch pośród tutejszych kupców. Poprzedni burmistrz wielokrotnie słał apele do Teobalda, żeby rozwiązał przynajmniej część swojego wojska. Poza tym Krokodyle panicznie bali się dinozaurów i wszelkich anomalii płynących z natury, nazwa ich społeczności zaś wzięła się od kamiennej fontanny na ich głównym placu, którą zdobiły rzeźby krokodyli i ludzi z ich głowami. Tak im to jednak weszło w krew, że uczynili z tych drapieżnych gadów swój symbol, używany na ich fladze i oficjalnej pieczęci. Ojciec opowiadał mi kiedyś o rzeźbiarzu odpowiedzialnym za powstanie tej fontanny, ale nie umiałem sobie teraz przypomnieć jego imienia. W każdym razie wydarzyło się to bardzo dawno temu, kiedy rodzice Teobalda byli jeszcze małymi dziećmi.

Przesunąłem wzrokiem po twarzach ludzi. W większości byli przerażeni moim widokiem. Starali się trzymać w cieniu i odwracali głowy, kiedy napotykali moje spojrzenie. Pomyślałem, że bali się odwetu Teobalda i wejścia kolejnego najeźdźcy w granice ich miasta, do ich domów i pracowni. Nie byli odważnymi ludźmi, którzy chwyтали za broń przy byle okazji, tak jak buńczuczna mieszanka kulturowa Twierdzy. Krokodyle przede wszystkim pragnęli spokoju. Zapewne doskonale pamiętali bitwę na pustyni, podczas której pterodaktyle Tulusza zdziesiątkowały ich ludzi, dobrze

uzbrojonych i przygotowanych do konfrontacji. Nikt z nich nie chciał, żeby to się powtórzyło. Widziałem to ich oczach. Dawało mi to zatem pewną przewagę w negocjacjach. O ile w ogóle zamierzali ze mną negocjować.

W końcu skręciliśmy w boczną uliczkę. Po paru minutach spaceru dotarliśmy do bramy o żeliwnych wykończeniach, zdobionej malowidłami strzelistych wieży. Strażnicy wpuścili nas do zacienionego ogrodu, prawie w całości składającego się z dużych kaktusów obsypanych czerwonym i żółtym kwieciem oraz z niskich drzew o gałęziach rosnących ku ziemi. W cieniu jednego z takich drzew siedział mężczyzna, opierając łokieć o blat stolika. Co chwila unosił dłoń do ust. Nad jego głową formowała się niewielka chmura dymu, co z tej odległości utwierdzało mnie w przekonaniu, że palił.

Żołnierze pozwalali mi teraz iść w miarę swobodnie. Wcześniej rozcięli więzy krępujące moje nogi. Mogłem w każdej chwili obrócić się i uciec. Powstrzymywały mnie tylko karabiny w ich dłoniach, bo poza tym nie wyglądali szczególnie groźnie.

Na mój widok mężczyzna wstał z krzesła. Spodziewałem się zobaczyć kogoś w oficjalnych szatach urzędników Miasta Krokodyli albo przynajmniej kogoś ubranego w schludniejszy strój. Tymczasem Tytus Bering nie za bardzo przejmował się etykietą. Miał na sobie tylko szary podkoszulek wciągnięty w ciemnoczerwone luźne spodnie w afrykańskim stylu i do tego skórzane sandały. Strzepnął popiół na kamienną ścieżkę i ponownie uniósł papierosa do ust.

- Proszę, proszę, kogo ja widzę. Tycjan Elasmos, obraz

nędzy i rozpaczy.

Burmistrz Krokodyli odezwał się pierwszy. Zwróciłem uwagę na jego zachrypnięty głos nałogowego palacza i sposób, w jaki wykrzywił kąciki ust, kiedy zaciągał się dymem. Nie wiedziałem, co mam mu na to odpowiedzieć. Ogromnie bolała mnie głowa, byłem skacowany i pobity. Moja niebieska koszula z krótkim rękawem dawno przestała być świeża, właściwie chyba na nią zwymiotowałem, bo cuchnęła alkoholem i nieprzetrawioną sałatką z ostrym pieprzem.

- Wygodnie ci się jechało? - ciągnął Bering, kiedy nie doczekał się ode mnie odzewu.

- Szczerze to niewiele z tego pamiętam. - Zamrugąłem. Oczy piekły mnie od słońca, cieszyłem się więc tą odrobiną cienia. - Czego ode mnie chcesz? Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, jak wielki popełniłeś błąd...

Tytus nie przestawał palić papierosa. Obszedł mnie wokoło, jego skórzane sandały wydawały przy tym stłumione dźwięki. W końcu stanął dokładnie naprzeciwko mnie i wydmuchał dym prosto w moją twarz. Nawet nie drgnęła mi powieka, ale jego zachowanie zaczynało być irytujące. Nie potrafiłem przejrzeć jego intencji. Wydawał się zbyt mocno skupiony na wywieraniu wrażenia człowieka pewnego swoich wyborów i racji - w rzeczywistości mogło być więc zupełnie odwrotnie.

- Czy wszyscy w Twierdzy Kimerydu są tacy aroganccy? Nie, nic nie mów. To było pytanie retoryczne, przecież znam odpowiedź.

Pstryknął palcami i towarzyszący nam żołnierze zwrócili się w przeciwnym kierunku, choć wykazywali przy tym wahanie. Zaczekałem, aż się oddalą, i z całej siły natarłem na Beringa ramieniem. Zamierzałem przygnieść go do ziemi, a potem zręcznym ciosem w skroń pozbawić przytomności, lecz on cofnął się, obrócił bokiem i z siłą, o którą go nie podejrzewałem, popchnął mnie do przodu. Wylądowałem twarzą w trawie, zdzierając przy tym skórę na policzku. Ręce wciąż miałem skrępowane za plecami. Zakląłem pod nosem, w tej chwili żałując swojego posunięcia. Bering sprawił jednak, że pożałowałem go bardziej. Poczułem jego ciężar na swojej talii. Chwycił moje skrępowane ręce. Rozległ się jakiś metaliczny dźwięk i wrzasnąłem z nieprawdopodobnego bólu. Z początku myślałem, że odciął mi kawałek palca.

- Nie ruszaj się, bo bardziej cię zabolii. Czy teraz zdajesz sobie wreszcie sprawę, z kim masz do czynienia?

Z trudem łapałem powietrze. Ogarnęła mnie wściekłość. Zacząłem się szarpać i poruszać biodrami, żeby go z siebie rzucić. Tym razem położył ciężką rękę na moim karku i docisnął mi twarz do ziemi.

- Tycjan, mów głośniej, nie dosłyszałem twojej odpowiedzi.

Uparcie milczałem. Drugą dłonią pogłaskał mnie po rozwichrzonych włosach. Przesunął nią wzdłuż mojej szczęki i szyi, aż natrafił na skrzele. Tym razem zalała mnie fala paniki.

- Pokaż: co tam masz? - zapytał figlarnym tonem.

- Zdaję sobie sprawę i nie będę więcej się stawiał -

wycharczałem. - Zostaw mnie.

- Oj, nie, Tycjanie, wzbudziłeś już moją ciekawość.

Pochylił się nade mną i odsunął moje włosy, wykrzywiając mi prawy bark tak, aby mógł pod niego zajrzeć.

- Zdumiewające - westchnął; poczułem jego przesiąknięty papierosem oddech tuż przy uchu. - Jesteś pełen tajemnic, Tycjanie Elasmos. Chyba zachowam sobie ciebie na dłużej.

Bering podniósł mnie i posadził na sąsiednim krześle, jakbym nic nie ważył. Czulem strużkę krwi spływającą po moich skrępowanych dłoniach. Nie ruszałem się, kiedy rozerwał mi z przodu koszulę i z fascynacją zaczął przyglądać się moim skrzelom. Zdążył zgasić papierosa. Zamiast niego bawił się teraz chirurgicznymi nożyczkami. Na stoliku leżał też myśliwski nóż i skalpel. Szybko przekonałem się, że ten facet ciągle musiał mieć coś w rękach. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie osoby nieszkodliwej, o czym decydowały chyba miękkie rysy twarzy i łagodne spojrzenie artysty. Był młodszy, niż przypuszczałem, atletycznie zbudowany, ale średniego wzrostu. Zaczesała na bok kasztanowa grzywka przysłaniała mu prawą brew. Obcinał się na europejską modę, zostawiając dłuższe włosy z przodu i krótsze z tyłu. Dopiero teraz dostrzegłem, że były też odrobinę wygolone na jednym boku.

- Mój drogi Cjanie. - Zaśmiał się na widok mojej miny. -

Od twojego zachowania zależy teraz, czy twój tatuś dostanie ode mnie tylko twój paznokieć, czy też uraczę go również jednym z twoich pięknych skrzeli. Widzę, że ta perspektywa robi na tobie wrażenie, a zatem może uda nam się dojść do jakiegoś porozumienia.

Wytrzeł dłonie w chusteczkę i zaczął nożyczkami wydłubywać sobie moją zaschniętą krew z paznokci.

- A więc? Będziesz grzeczny?

Pokiwałem głową.

- Bardzo dobrze. Lubię grzecznych chłopców. Ładniutki jesteś. Spodobałbyś się cesarzowi.

Tytus ustawił drugie krzesło naprzeciwko mnie i wyciągnął przed siebie nogi. Przyglądał mi się z rozbawionym wyrazem twarzy. Nie doceniłem go. Z całą mocą dotarło do mnie teraz jak bardzo.

- Co słyhać u mojej słodkiej Anny? Jest bardzo miła, prawda? Ja też byłem dla niej bardzo miły. Lubiliśmy się do momentu, w którym oboje przekonaliśmy się, jacy jesteśmy naprawdę. I że ani ja, ani ona w rzeczywistości nie jesteśmy mili. Ani trochę. Będę więc z tobą tak szczery, jak się tylko da. Wasza Anna, albo raczej moja Anna, służy cesarzowi. Tak jak i ja. Różnica jest natomiast następująca: ja robię to otwarcie, a ona dla niego szpieguje. Kropka.

- Nigdy jej nie lubiłem - prychnąłem. - Przejdź do meritum.

Tytus znowu się zaśmiał. Chyba naprawdę go bawiłem.

- Zaufałem jej, a ona mnie zdradziła.

Nagle wstał i ściągnął podkoszulek przez głowę. Przez

jego pierś ciągnęły się czerwone ślady po poparzeniach. Obrócił się wokół własnej osi i pokazał mi plecy. Znaczyły je grube bruzdy w miejscach, gdzie cienki bat dosięgnął skóry.

- Wiedziałem za dużo, a ona zamierzała dostać się do Twierdzy. Myślała, że jeśli wyda mnie na Uniwersytecie i podjudzi ludzi, żeby mnie zamęczyli na śmierć, nikt nie dowie się o jej prawdziwych zamiarach. Był taki harmider, że nikt nie zwracał uwagi, kto zginął, a kto jeszcze utrzymywał się przy życiu. Prognozuję wam podobny scenariusz.

Usiadł z powrotem i wyciągnął papierosy z kieszeni spodni. Nie mogłem oderwać wzroku od postrzępionych blizn poniżej jego lewego sutka. Skóra spaliła mu się tam jak wosk.

- To niegrzecznie tak się gapić, a my ustaliliśmy już, że jesteś grzecznym chłopcem, prawda?

Wzdrygnąłem się i przeniosłem spojrzenie na jego oczy. Pierwszy raz zauważyłem, że miały miodową barwę. Kojarzyły mi się z żywicą. Poza rozbawieniem odnalazłem w nich również skupienie i napięcie. Tytus Bering zdecydowanie stresował się naszym spotkaniem, jednak świetnie to ukrywał, za co zyskał odrobinę mojego szacunku.

- Miałeś przejść do meritum. - Wytrzymałem jego spojrzenie.

Znowu zapalił.

- Przyjechaliśmy tutaj razem. Ja i Anna. Znamy się jeszcze z czasów studenckich. Uczęszczaliśmy na te same zajęcia z cesarskiej propagandy. To przedmiot obowiązkowy dla wszystkich studentów w Europejskim Cesarstwie. Bardzo

się zdziwiliśmy, że w Mieście Krokodyli nikt go nie wykłada. Ba, właściwie nikt tutaj nie rozmawia o Cesarstwie, chociaż oficjalnie jesteśmy jego częścią. Skądinąd wiem, że podobna sytuacja panuje w Twierdzy. Dla mnie to naprawdę odświeżająca odmiana. Wiesz co, lubię Krokodyle i lubię to, że mimo upokorzenia, które zgotowała mi Anna, wynikło z tego coś dobrego dla mnie. Cesarz zupełnie niespodziewanie ustanowił mnie burmistrzem tego miasta. W ten sposób chciał dać jasny sygnał Annie, że nadal patrzy jej na ręce. Mieliśmy tutaj pilnować się nawzajem. A skoro ona próbowała się mnie pozbyć, to znaczy, że jej intencje mogą nagle przestać podobać się cesarzowi. To znaczy, że Anna być może myśli o zdradzie.

Powoli, jakby z zastanowieniem wypuścił dym.

- Meritum jest mianowicie takie, że chcę z wami negocjować. Chcę zobaczyć, co jeszcze mogę dla siebie utargować. A ty przy okazji przekonasz się, jak bardzo jesteś cenny w oczach twojego ojca.

Odkaszlałem. Poruszyłem językiem po podniebieniu. Nie miałem nawet kropli śliny w ustach.

- Gorzko się rozczarujesz. Nie stanowią żadnej wartości dla mojego ojca.

- To trochę smutne, nie uważasz?

Jego pogardliwy uśmiezek zaczynał mnie drażnić.

- Poza tym absolutnie nie stoisz na żadnym stanowisku, żeby z nami negocjować. Widziałem twoich ludzi. Oni się nas boją. Macie broń, ale nie umiecie walczyć. Jeśli Teobald tutaj wkroczy, a robi to bez względu na to, jak ze mną postąpisz,

to będzie prawdziwa masakra.

Jego wyraz twarzy na chwilę się zmienił. Nie był już taki wyluzowany i pewny siebie. Zobaczyłem jego prawdziwe emocje - Tytus Bering był naprawdę przejęty losem Miasta Krokodyli, chociaż nie powinno go to nic obchodzić. Przyjechał do niego z Europy i miał wykonać konkretną misję.

- Masz rację, będzie. I to kolejna. Po tym, co wydarzyło się na Uniwersytecie, i po ataku pterodaktyłów panuje ogólna panika. Moi ludzie są przekonani, że ich zostawię i że lada moment cesarz wkroczy do Twierdzy i wyrzniemy się wzajemnie. Dla dobra wszystkich mam więc nadzieję, że się dogadamy i że jeśli nawet twój ojciec nie dba o twoje życie i zdrowie, zależy na tobie komuś innemu. Komuś, kto interesuje mnie o wiele bardziej niż Teobald. Porwałem cię z jego powodu, Cjan. - Znowu się uśmiechnął tym paskudnym, krzywym uśmiechem.

- Tyrs.

- Tak, lubię też niegrzecznych chłopców. - Przekrzywił głowę. - Może się czegoś napijesz? Zaczekamy na odpowiedź tatusia, a do tego czasu nic nie stoi nam na przeszkodzie, żeby się trochę zrelaksować, prawda? Jak sądzisz, Cjan?

- Przestań mnie tak nazywać! - nie wytrzymałem. - Kto was wpuścił do Twierdzy?!

- Och, na pewno nie wasi biedni kapłani. Oni po prostu padli ofiarą zemsty twojego tatusia. Nawet ja to wiem, chociaż przyglądam wam się z daleka.

- To kto?!

- Naprawdę tak wolno myślisz, Cjan? Swoją drogą uważam, że to brzmi bardzo uroczo. Tycjan. Cjan. Prawie nie słysząc różnicy, a „prawie” robi w tym wypadku dużą różnicę...

- Jesteś poetą? - strzeliłem. Od początku zauważyłem, że wypowiadał się w specyficzny sposób.

- Cieszę się, że zauważyłeś. Punkt dla ciebie, Cjan. A zatem? Kto nas wpuścił do Twierdzy? Tutaj mała podpowiedź: do *portu* Twierdzy.

- Zadar Mellanito - warknąłem, odczuwając nieprawdopodobną satysfakcję, że tak mocno go wtedy uderzyłem.

Tytus uśmiechnął się do mnie z niekłamana sympatią.

- Naprawdę będę żałował, jeśli będę musiał wyciąć ci te piękne skrzela... Zapewne nie opowiesz mi o tym, jak stałeś się ich szczęśliwym posiadaczem?

- Nie wierzę ci i nie, to zdecydowanie historia, która nie jest przeznaczona dla twoich uszu.

Nieznacznie wzruszył ramionami. Znowu nie wyglądał na szczególnie przejętego. Serce bardzo szybko pompowało mi krew do skroni. Miałem wrażenie, że za chwilę pęknie mi głowa. Może było to w tym momencie najlepsze dla mnie rozwiązanie.

Zamknęli mnie w jednym z pokoi Tytusa na parterze. Zdziwiłem się, że zostawili mi też czyste ubrania i butelkę wody. Jedna z zajmujących się mną służących przetarła mi

twarz chłodną szmatką, zmywając z niej ślady kurzu i krwi, a potem przecięła moje więzy i natychmiast schowała się za drzwiami. Rozprostowałem dłonie. Środkowy palec lewej dłoni nie przestawał krwawić. Ból niebezpiecznie eskalował, bałem się, że zemdleję, a musiałem pozostać przytomny. Opłukałem ręce z krwi wodą z butelki, a resztę wypięłem duszkiem, nie odrywając od niej ust. Zielona koszula dziwnie na mnie leżała - była trochę zbyt luźna jak na mój gust, ale nie zamierzałem wybrzydzać. Zmieniłem też przepocone jeansy na zwiewne spodnie o identycznym kroju jak spodnie Tytusa.

Na koniec zawiązałem dłoń w czystą chusteczkę i uważnie rozejrzałem się po pokoju. Był bez okna, skromnie urządzone, jakby specjalnie stworzone do przetrzymywania w nim niewygodnych gości. Przeszedłem go dookoła, rozmasowując nadgarstki. Kac sprawił, że opadły mi emocje - ich miejsce zajęło dojmujące zmęczenie. Przemogłem je jednak i zacząłem z większą energią poszukiwać czegoś, czego mogłem użyć jako broni, sprawdziłem też drzwi, ale były dokładnie zaryglowane. W końcu się poddałem i położyłem na kanapie, wyciągając przed siebie nogi. Chyba za bardzo podobała mi się ta niewola. Pozwalała mi odpocząć od samego siebie i przede wszystkim od Twierdzy. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo miałem wszystkiego dość. Oczy zamknęły mi się same.

Płynąłem między wodorostami, wykonując sprężyste ruchy. Fale napędzały moje mięśnie, rozczesywały włosy i rozchylały powieki, docierając do oczu. Przemienne poczucie

wolności wprawiało mnie w dobry nastrój. Przez wodę prześwitywało słońce. Zmieniłem kierunek i zacząłem płynąć w jego stronę. Wynurzyłem głowę i wyciągnąłem ręce ku ciepłym promieniom. Uśmiechnąłem się, wzbijając fontannę wody. Wtedy zorientowałem się, że ta jasność wcale nie była słońcem. Na wodzie unosiła się płonąca benzyna. Ogień wypełniał całą przestrzeń oceanu aż po sam horyzont. Krzyknąłem; nieznośne gorąco rozlało się niebezpiecznie blisko mojej twarzy, a drażniący zapach wypełnił mi nozdrza. Zawróciłem i spróbowałem ponownie się zanurzyć, ale woda nie chciała mnie przyjąć. Choć walczyłem z jej naporem, ciągle wypychała mnie w górę. Tymczasem ogień zajął moje włosy, prześlizgnął się na ubrania, jakbym ja też był cały w benzynie. Krzyczałem po pomoc, szarpałem się i pływałem na oślep w poszukiwaniu schronienia, aż w końcu czyjeś dłonie złapały mnie w talii i pociągnęły w dół w stronę chłodnej, kojącej toni. Zrzuciłem ramiona na szyję Tyrsa i się obudziłem.

Nie potrafiłem uspokoić oddechu. Tyrś trzymał mnie w delikatnym, opiekuńczym uścisku. Byłem cały mokry od potu, włosy skleiły mi się nad czołem. Z bardzo bliska spojrzałem w jego pomarańczowe oczy i wreszcie dotarło do mnie, że to nie był sen. Tyrś klęczał przy moim łóżku.

- Co tutaj robisz? - wymruczałem prawie niezrozumiale. Znowu okropnie chciało mi się pić.

- Przyjechałem po ciebie.

Podał mi butelkę z wodą. Wypiłem łąpczywie, a reszkę wylałem sobie na głowę. Odrobinę mnie to ochłodziło, choć nadal ciężko oddychałem. Byłem odwodniony i słaby.

- Zrobił ci coś poza tym paznokciem? - zapytał, ujmując moją zabandażowaną dłoń.

Przez materiał przebijała krew. Ostrożnie odwinął opatrunek, przemył ranę i założył świeży bandaż.

- Nie wiem. - Nieprzytomnie rozejrzałem się po moim zaduszonym więzieniu; ból dłoni jakby osłabł, za to zrobiło mi się nieznośnie gorąco. - Która jest godzina?

- Z tego, co się orientuję, spałeś ponad dobę.

Dotknął mojego policzka.

- Jesteś rozpalony. Możesz wstać?

Odsunął się ode mnie, żebym mógł wstać o własnych siłach. Moja słabość mnie zawstydziła. Drżały mi mięśnie.

- Przegrzałem się. Muszę jak najszybciej wejść do zimnej wody - powiedziałem. - Jestem bliski wstrząsu termicznego.

Przyjaciel wstał i podał mi rękę.

- Wskakuj mi na barana. Zaniosę cię do basenu.

Z trudem się na niego wdrapałem. Wyniósł mnie na korytarz, gdzie powietrze też wydawało się prawie nieruchome, ale nie było tam takiego zaduchu jak w pokoju bez okien i klimatyzacji. Odetchnąłem pełną piersią. Tyrs przeniósł mnie przez zacieniony salon, kolejny korytarz i fragment ogrodu. Skuliłem się w obawie przed słońcem. Basen znajdował się na tyłach domu pod bambusowym zadaszeniem. W jego środku tętniła fontanna.

Zagłębiłem się w wodzie z taką ulgą i przyjemnością, że

zapomniałem zapytać, gdzie podziewał się Tytus Bering. Mało mnie to zresztą obchodziło, równie dobrze mógł być dla mnie martwy. Nurkowałem jak szalony, strząsając z siebie wcześniejsze odrętwienie. Woda również była ciepła, ale moja skóra jej potrzebowała. Usiadłem na betonowym dnie, pozwalając skrzelom pooddychać. Otworzyłem oczy i przyglądałem się miarowemu falowaniu turkusowi. Żadna siła nie mogła mnie teraz wyciągnąć na powierzchnię. Dopiero po dłuższej chwili zaczęły powracać do mnie strzępy wspomnień. Moje porwanie na przedstawieniu Tulusza, litry wypitego alkoholu, podróż do Miasta Krokodyli i potem jego ulicami aż do domu Tytusa. Wynurzyłem się, dopiero kiedy przypomniałem sobie jego groźby. Skoro Tyrs tak swobodnie mnie uwolnił, przewidywałem, że musiał raz na zawsze pozbyć się burmistrza Miasta Krokodyli, tego małego sadysty.

Jakie więc było moje zdumienie, gdy zobaczyłem Tyrsa w jego towarzystwie na brzegu basenu. Bezgłośnie ich obserwowałem, zanim pozwoliłem, żeby mnie dostrzegli. Tyrs miał na sobie zbroję strażnika wąwozu. Nie zdjął też łuku i strzał z pleców, ale siedział na przeciwległym do Tytusa krześle i pił wodę z wysokiej szklanki, beztrąsco machając stopą. Znałem to jego beztrąskie machanie stopą. Tak naprawdę wciąż badał grunt. Drukowanymi literami mówił to też zresztą jego łuk, ciągle w zasięgu ręki i gotowy do użycia. Bering z nieodłącznym papierosem w dłoni co chwila strzepywał popiół do popielniczki. Obaj byli naszykowani, żeby rzucić się sobie do gardeł, jeśli tylko ta

druga strona popełni najmniejszy błąd.

Podpłynąłem do brzegu basenu i wystawiłem łokcie ponad jego krawędź.

- Zawarłeś swój upragniony sojusz, Bering? - zapytałem.

Tytus uśmiechnął się do mnie tym swoim przyjacielskim, złudnym uśmiechem.

- Na to wygląda, choć każdy musi zachować sobie jakieś zabezpieczenie, prawda?

- O czym mówisz? - zapytałem, kątem oka zauważając, że mięśnie twarzy Tyrsa stężały.

- Podąłem ci rozpuszczone leki w wodzie, którą wypieś, zanim poszedłeś spać. Nic wyjątkowo szkodliwego dla organizmu... Żołnierze cesarza łykają te tabletki garściami, kiedy są wysyłani na misje na któryś z biegunów... Zestaw witamin i minerałów podkrecony ulepszaczami naszych niezawodnych genetyków, który o kilka stopni podwyższa temperaturę ciała. Na Antarktydzie sprawia, że można spacerować po śniegu i mrozie bez przymusu noszenia grubych, ciężkich kozuchów. Nie potrzeba też zażywać antidotum... Wiesz, co mam na myśli, prawda? Jesteś przecież bystry, Cjan...

- Ty skurwielu!

- To zbyt ostre słowo. Jeszcze cię nie zabiłem ani nie wyciąłem ci skrzeli. Ranisz moje uczucia.

- Wystarczy. - Tyrś wszedł mi w słowo. - Pozwól nam zostać samym. Wiesz przecież, że go ze sobą nie zabiorę. To zbyt wielkie ryzyko. Na pustyni na pewno umrze z przegrzania.

Bering wzruszył ramionami.

- Macie co najwyżej pół godziny. Później liczę, że zaczniesz wypełniać postanowienia naszej umowy.

Wstał i prawie tanecznym krokiem skierował się do sąsiedniego pomieszczenia.

Wciąż pływałem w wodzie. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym z niej teraz wyjść, choć po pewnym czasie zaczęło mi się wydawać, że była podgrzewana i lada moment ugotuję się we wrzątku.

- Gdyby nie było mi tak gorąco, powiedziała by ci coś w rodzaju: „A nie mówiłem” albo „Trzeba było ją zostawić na pożarcie moim elasmozaurom”. Albo, kurwa, sam nie wiem. Rozmiar tej katastrofy przerasta moje skromne wyobrażenie. Nie umiem jej objąć rozumem.

Tyrs siedział ze skrzyżowanymi nogami przy krawędzi basenu i spoglądał na mnie zamyślonym wzrokiem.

- Byli równocześnie w moim domu - Anna i Tulusz - i zniknęli w tym samym momencie razem z Tanielem. Abba twierdzi, że uknuli to razem.

- Ja pierdolę, od kiedy to słuchasz Abby? Jak mam być szczery, to nie wiem, serio, nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Wychodzi na to, że Tulusz jest jakimś... księciem?

- Chuj wie, jakie oni tam mają jeszcze tytuły. Anna sama opowiedziała mi o swoim pokrewieństwie z Arabellą i przy okazji wymieniła kilka imion i nazwisk, których używa. To

jest, kurwa, dla mnie za trudne. Ledwo pamiętam moje jedno nazwisko, a jakbym miał na przykład pięć plus nazwy urzędów i dziedziczne tytuły? Nie wiedziałbym, że ktoś się zwraca akurat do mnie...

- Anna opowiedziała ci o Arabelli, żeby uśpić twoją czujność. Najlepsze kłamstwo to półkłamstwo - zauważyłem.

Tyrs ścisnął palcami skroń.

- Tycjanie, posłuchaj... Obiecuj mi, że nie będziesz robił żadnych głupstw, nie dasz mu się sprowokować. - Wymownie zerknął przez ramię. - Spaceruję teraz po bardzo cienkiej linii. Muszę przekonać Teobalda, żeby wstrzymał odwetową inwazję na Miasto Krokodyli, muszę odnaleźć Taniela i dogadać się z Abbą...

- Treweriusz uważa, że polityka Teobalda doprowadzi do zbrojnej interwencji cesarza w Twierdzy. Po tym, co mi powiedziałeś o jego sojuszu z Ludem Pustyni i Abbą, jestem przekonany, że tak właśnie będzie. Nasz port jest przeładowany Europejczykami, Zadar nie pozwoli się tak po prostu zabić, a Tytus Bering... cóż, to zupełnie inna sprawa. Miasto Krokodyli jest jeszcze innym miejscem niż port czy poszczególne dzielnice Twierdzy. Zjednoczenie będzie bardzo trudne.

- Ale nie jest niemożliwe. - Przyjaciół spojrzeli mi w oczy. - Straż Wąwozu jest silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Mamy raptory, pterodaktyle i elasmozaurowe, ale przede wszystkim poparcie większości mieszkańców Twierdzy. Teobald pozbył się największej opozycji wśród kapłanów.

- Wielu niewinnych ludzi zginie, dlatego że mój ojciec

pragnie udowodnić coś Brytanikowi.

- Powiedział, że prawdziwa wolność wymaga poświęceń...

Zanurzyłem się w wodzie. Włosy przylepiły mi się do policzków i czoła. Krążyłem tak przy samej powierzchni, intensywnie myśląc o tym, co właśnie powiedział Tyrs. On się już prawie zdecydował uczestniczyć w planie Teobalda, zgadzając się przy tym na wszystkie czekające go przeciwności i ofiary, które będzie musiał zlikwidować po drodze. Zauważyłem w nim tę przemianę podczas akcji ratunkowej przy świątyni. Zasmakował we władzy, odnalazł swoje miejsce w życiu, choć nic nigdy nie wskazywało, że mu się to uda. Ale urodził się wojownikiem. Przeciwności raczej go motywowały, niż spowalniały. Miał też tę samą smykałkę do polityki, co Teobald. Nic dziwnego, że ojciec cenił go sobie bardziej ode mnie. To Tyrs przyjechał mi na pomoc i negocjował o moje życie. W porównaniu z nim byłem lekkomyślny i nie radziłem sobie nawet z pozostawaniem żywym. Właściwie zawsze tak było - ta przybłęda, ten brudny raptor, jak nazywali go mieszkańcy Twierdzy, miała ode mnie więcej siły, więcej odwagi, a to dzięki prostej umiejętności akceptowania życia takim, jakie było.

Wynurzyłem się tuż obok jego nóg i wyciągnąłem do niego zdrową rękę. Tyrs delikatnie ujął ją w swoją.

- Co chcesz, żebym zrobił? Powiedz mi, będę cię słuchał.

- Zostaniesz tutaj tak długo, jak będzie tego wymagała sytuacja, aż Tytus poda ci antidotum... Przez ten czas spróbujesz go wybadać, ile się tylko da. Obserwuj jego świętę,

wyciągaj wnioski. Zaufaj mi.

Skinąłem głową.

- Co mu obiecałeś w zamian za moje życie?

- Sojusz z Twierdzą. Bering chętnie odłączy się od Cesarstwa, nie ma tam czego szukać.

- Dlaczego?

- To będzie twoje zadanie. Dowiedz się.

- Hmm - mruknąłem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, trzymając się za rękę. Martwiłem się o Tulusza. Mimo kolejnej okropnej awantury między nami nie mogłem sobie wyobrazić, że Anna tak po prostu zaatakowała go nożem. Wzbierał we mnie ogromny gniew na tę irytującą kobietę z Europy, która myślała, że mogła tak bezkarnie między nami rozgrywać. Na szczęście nie była już moim zmartwieniem. Zerknąłem na zamyślonego Tyrsa. Miałem nadzieję, że będzie potrafił sobie z nią poradzić, że uczucia nie wezmą nad nim góry i nie zrobi jakiegoś głupstwa. Głupstwa były w końcu moją specjalnością.

- Jeśli przez następne trzy dni nic się nie zmieni, spróbuj uciec - dodał Mollina i puścił moją dłoń. - Powodzenia.

- Tobie bardziej się przyda.

Wstał i uśmiechnął się do mnie krzywo, spoglądając na mnie z góry.

- Damy sobie radę. Zawsze sobie dajemy.

Nie wiedziałem, czy teraz próbował oszukać mnie, czy samego siebie. Zawinąłem się niepokojem jak grubym kocem aż po samą szyję. Przymknąłem powieki, przez zasłonę rzęs

przyglądając się, jak Tyrs odchodzi. Obcasy od jego sandałów stukały w posadzkę. Powoli zacząłem zagłębiać się w wodzie, aż jej powierzchnia całkowicie się nade mną zamknęła i wygładziła na podobieństwo płyty grobowca.

ROZDZIAŁ 13

Anna

Spotkałam raptory przed domem Tyrsa. Od razu przypomniało mi się, co powiedziała Tulia – że Mollina umie nimi kierować – w podtekście, że być może razem z nimi polował. A jednak go nie doceniłam. Umiał kłamać. Z moich założeń wynikało, że trzeba było mieć niesamowicie bliską więź z tymi zwierzętami, aby słuchały twoich rozkazów, trzeba było więc na przykład razem z nimi polować i się pożywiać. Tyrś powiedział mi, że nie przeszedł tego testu, chociaż Abba go namawiała. Jeśli zatem wzmocnił swoją więź z raptorami, jego konflikt z babką w ogóle nie istniał, a co za tym idzie – on też sympatyzował z Ludem Pustyni.

Najciszej, jak potrafiłam, wycofałam się z jego posesji i pobiegłam w stronę wybrzeża, żeby na pobliskim przystanku złapać powietrzną taksówkę. Dom Mollinów był oddalony od cywilizacji, zajęło mi więc około dwudziestu minut, zanim dotarłam do bocznej drogi powietrznej prowadzącej na wybrzeże. Brnęłam przez plażę, przemykając między karłowatymi drzewami porastającymi wydmy. Co chwila oglądałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy raptory nie powędrowały moim tropem, tym razem miałam

jednak szczęście. Nawet jeśli poczuły mój zapach, były zajęte czymś innym albo tak bardzo słuchały rozkazów swojego pana, że nawet perspektywa wieczornego posiłku nie mogła ich odciągnąć od wyznaczonych zadań.

Nie mogłam już wrócić do willi Teobalda; nie po tym, co próbowałam zrobić Tuluszowi. Nie żałowałam tego, jego śmierć wiele by rozwiązała. Nie musiałabym teraz wracać do Zadara i meldować cesarzowi o niepowodzeniu mojej misji.

Oczywiście Brytanik wiedział, że Teobald Elasmus dążył do przejęcia pełnej władzy w rejonie Żłocistych Piasków. Kiedy przyjrzałam się Twierdzy Kimerydu od wewnątrz, zrozumiałam, że cesarz dotąd nie reagował, ponieważ najprawdopodobniej zamierzał dać mu na to przyzwolenie. Silna, dobrze prosperująca wyspa na tym morzu chaosu i biedy z pewnością przyniosłaby wiele korzyści Cesarstwu. Brytanik lubił to robić – pozwalał rozkwitnąć rewolucjom, żeby potem w strategicznym momencie ponownie przejąć władzę, ale już w podbudowanym, odrodzonym państwie. Uważał, że ludzie potrzebowali nadziei, potrzebowali się kąpać w jej ciepłym blasku, żeby później wydajniej pracować ku chwale Cesarstwa. Był tak pewny siebie i swojej potęgi, że nie obawiał się skutków przejściowej wolności. Dzięki niej ludzie utwierdzali się w przekonaniu, że mniejsze zło było i tak lepsze niż większe dobro. Ostatecznie systemowe rozwiązania Cesarstwa były najlepsze na świecie.

Może była to prawda. Nie wiedziałam. Naprawdę nie wiedziałam. Wsiadłam do taksówki i się rozplakałam; kierowca tego nie skomentował. Przykleiłam twarz do szyby

i tępym wzrokiem wpatrywałam się w nocne niebo – zawierało w sobie wszystkie odcienie granatu i refleksy czerni, jakie tylko można sobie wyobrazić. Myślałam o Arabelli – mojej siostrze Patricii – i o jej spapranych życiu. Myślałam o Tyrsie i o szczerej obietnicy w jego oczach. Potrafiłby o mnie zadbać, tak jak potrafił dbać o swoją rodzinę. Ale czy to była miłość, której szukałam? Czy to w ogóle była miłość, czy jego instynktowne dążenie do oznaczania swojego terytorium? Był o wiele młodszy ode mnie, poza tym aż do momentu naszego spotkania w realnym świecie traktowałam go tylko jako moje antropologiczne odkrycie, doskonały temat do rozważań nad udoskonaleniem armii cesarza, pomysł na wzmocnienie hegemonii Europy. Nikt nie oparłby się oddziałowi żołnierzy obdarzonych fizycznymi cechami Tyrsa, z jego rozwiniętym talentem do przewodzenia najbardziej brutalnym i bezwzględnym mordercom na ziemi. Idea, która dosłownie zawładnęła Sinem. Na szczęście Brytanik był bardziej sceptyczny, wysłał mnie więc z misją zbadania sytuacji w rejonie i zdementowania bądź potwierdzenia plotek o hybrydach ludzi i dinozaurów.

Od tamtego czasu wiele się zmieniło, cztery lata mojego pobytu w Mieście Krokodyli i ostatnie miesiące w Twierdzy Kimerydu odcisnęły na mnie niezatarte piętno. Po pierwsze ostatecznie przekonałam się, że nie chcę mieć nic wspólnego z Sinem. To on wysłał za mną Tytusa Beringa i jego ludzi, to on pokrzyżował mi szyki, kiedy już prawie zdobyłam pełne zaufanie Teobalda i Abby. Teraz wzmocnili swoje pozycje;

odkąd tylko przybyłam do Twierdzy, nie miałam już szansy wrócić do starego planu działania.

Pozostawało mi tylko pozbyć się Tulusza. Było mi go żal, jak nikt inny zdawałam sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządziła mu własna matka. Ale jego śmierć zadowoliłaby Brytanika, przynajmniej na jakiś czas odroczyłaby wyrok, który wydał na Twierdzę Kimerydu. Może byłoby to wystarczająco dużo czasu, żebym przekonała Tyrsa, by razem ze mną porzucił Straż Wąwozu i swoje rodzinne miasto. Istniało tak wiele zakątków Cesarstwa, gdzie nikt by nas nie znalazł, nikt by o nas nie pytał, gdzie zbudowalibyśmy nasz własny dom i nasze własne szczęście. W tym samym momencie przypomniałam sobie braciszka Tyrsa o zabójczych zębach, szarpiącego mi rękę z czystą, nieposkromioną nienawiścią w oczach. Oszukiwałam samą siebie. Ta opcja nigdy nie wchodziła w grę. Mollinowie trzymali się razem. Gdyby Tyrś musiał wybierać pomiędzy mną a słodkim Tanielem, nie byłam już taka pewna jego lojalności.

Chciałabym, żeby potrafił porzucić swoją rodzinę i zwierzęce pochodzenie i zostać ze mną do końca świata i dzień dłużej. Odsunęłam się od szyby i bezwładnie oparłam o tylne siedzenie taksówki. Trudno, stało się. Twierdza poległa. Podniebny i morski atak Cesarstwa zamienił to miasto w zgliszcza. Pozostawało się skupić na tym, jak ocalić resztki z nadchodzącej pożogi. W końcu Brytanik nie musiał zabierać Tyrsa; zależało mu na hybrydzie raptora i człowieka. Gdyby dostał któreś z jego rodzeństwa... Sin

byłby zachwycony sadystycznymi zapędami ślicznego Taniela. Elokwentny Terra, którym tak bardzo chwalił się kiedyś Tyrse, zadowoliliby za to intelektualne zachcianki Brytanika. Powabna Alicja zagrzałaby miejsce w przerażającej sypialni Sina, a upiorna Aneta zabawiałaby Brytanika swoim kuriozalnym użębieniem. Tak, to był doskonały sposób na zrealizowanie mojego marzenia o wspólnym życiu z Tyrsem. Wystarczyło tylko przekonać cesarza, że młodszy raptor był łatwiejszy do wytresowania. Tyrse był wychowankiem Teobalda i na pewno nie pozwolił ot tak trzymać się w niewoli.

Pokrzepiona tą myślą otarłam łzy z policzków. Życie toczyło się dalej. Zaakceptowałam to, co nieuniknione, zamierzałam też podjąć ostatnią próbę sprzeciwu. Nie mogłam stanąć po stronie tej rewolucji. Po prostu nie wierzyłam w jej powodzenie, zbyt blisko przyglądałam się tym mechanizmom na cesarskim dworze.

Zapłaciłam kierowcy i wysiadłam w pobliżu rezydencji Zadara. Mieściła się pomiędzy kolorowymi neonami nocnych barów i kasyn na pomoście wcinającym się w błękitne wody oceanu. Otworzyły mi osiłki z jego osobistej straży, bez słowa wpuszczając mnie do środka. Przeszłam przez obszerny, wyłożony luksferami korytarz i dwa wystawne salony, aż dotarłam do biblioteczki, gdzie zarządca portu leżał na szeslongu, przykładając sobie do twarzy worek z lodem.

- Wyglądasz jak kupa gówna - oznajmiłam. - Nie zapytam, co ci się stało.

Usiadłam przy biurku i zapaliłam przy nim lampkę.

- Nadal chcesz zabić moją najlepszą rozrywkę? - zagadnął niewyraźnym głosem. - A ja się tak dobrze bawiłem...

- Widzę. Kto ci przestawił szczękę? Tycjan czy Tyrs?

- Tycjan. Wydałem go Tytusowi. Zrobi z nim należyty porządek.

Obróciłam głowę w jego stronę i posłałam mu groźne spojrzenie.

- Bez mojej wiedzy kontaktowałeś się z Beringiem?

Zadar wzruszył ramionami.

- Nie musisz się tak szarogęścić, lady Tharen. Gniję na tej prowincji od wielu bolesnych lat. Nieślubny syn Sina w roli mojej sekszabawki to moja jedyna rozrywka i szansa na dokonanie małej zemsty.

- Nie, ty po prostu lubisz Tulusza w roli swojej sekszabawki, a to diametralna różnica. Zmienia wydźwięk ewentualnej zemsty. Kochasz się w nim i chcesz go ruchać bez końca. Przykro mi, ale to coraz mniej realne.

- Tak jak twoje niedoszłe eksperymenty na Tyrsie. Za to słyszałem, że on chętnie przeprowadziłby jakieś eksperymenty na tobie w sypialni.

Warknęłam pod nosem. Nie cierpiałam Zadara Mellanito i te parę miesięcy naszej współpracy w Twierdzy były dla mnie prawdziwą męczarnią. Doskonale odpowiadał opisowi „mierny, ale wierny”. Miałam nadzieję, że Tycjan w końcu na dobre zrobi z nim porządek, bo z niezrozumiałych dla mnie powodów Teobald się do tego nie kwapił. Chyba odpowiadał mu taki przeciętny nieudacznik w roli zarządcy portu, bo nie

wtrącał się w jego twarde rządy miastem.

- Pora zadzwonić do Brytanika. Ogarnij się i postaraj wyglądać w miarę normalnie.

Zadar wyprostował się na szezlongu i odsunął worek z lodem od twarzy. Oba jego policzki były oszpecone sińcami, miał podbite oko i zabandażowany nos. Mimowolnie się wzdrygnęłam. Te obrażenia robiły upiorne wrażenie w połączeniu z jego niebieskimi włosami.

- Wzięłeś serum przyspieszające gojenie? - zapytałam.

- Tak, ale i tak zacznie działać dopiero za parę godzin. Mogłabyś popracować nad czymś skuteczniejszym.

- Patricia i ojciec przesiadywali w laboratorium. Ja wolę wychodzić w teren.

Wzruszył ramionami.

- Zauważyłem. To dzwoń już do swojego ukochanego cesarza. Chcę mieć już za sobą oglądanie tego, jak się do niego podlizujesz.

- Nie podlizuję się do niego. - Zmarszczyłam brwi.

Brała mnie ochota, żeby do niego podejść i poprawić to, co nie udało się Tycjanowi. Nie miałby prawa zaprotestować. Był arystokratą w niełasce, zesłanym na wygnanie, a ja oficjalną wysłanniczką cesarza, w której pokładał nadzieje na sukces swojej inwazji na Afrykę. Według praw dworu osoba o moim uprzywilejowanym statusie mogła bez przeszkód torturować, a nawet w uzasadnionych przypadkach zabić, takiego arystokratę. Brytanik słynął ze swojej nienawiści do arystokracji. Zwłaszcza tej w jego niełasce...

- Akurat. Żałuję, że Teobald tego nie widzi. Od razu

skręciłby ci kark.

Stłumiłam w sobie agresję. Pobicie tej śmiesznej parodii człowieka było poniżej mojej godności. Liczyłam, że Brytanik sam każe mu się wynieść po wymianie tytułarnych grzeczności.

Cesarz odebrał po pierwszym sygnale. Obraz na przenośnym komputerze Zadara zamigotał, a potem się wyostrzył, ukazując wnętrze jego sypialni. Na jednej ze ścian wisiała skóra tygrysa; światło padające z przeciwległego okna wydobywało rude refleksy z pomarańczowego włosa. Brytanik siedział na jej tle, podjadając mięsiste borówki z wysokiego kryształowego kieliszka. Jego wrzosowe oczy wpatrywały się we mnie z typowym dla niego ironicznym zaciekawieniem. Znowu postawił na swobodny strój. Zwyczajna biała koszula zawiązywana pod szyją była rozchełstana na piersi i odsłaniała spory fragment kredowobiałej skóry i różowy sutek przekłuty błyszczącym kolczykiem z perłą. Leniwe rysy twarzy cesarza nie nosiły żadnych śladów upływu czasu. Wyglądał dokładnie tak samo, kiedy go poznałam, będąc małą dziewczynką. Jego kasztanowe kędziory zlewały się ze skórą tygrysa w jednolitą pomarańczową plamę. Przefarbował włosy. Miały teraz odcień bardziej przypominający mój i Patricii. I Tulusza.

- Witaj, o Jaśnie Panie, gwiazdo zaranna Cesarstwa i wszystkich jego kolonii i rozległych posiadłości, do których nawet nie dociera słońce. Witaj, o Jaśnie Panie,

najcudowniejsza planeta w galaktycznych systemach...

Prychnął.

- Kupić ci statek kosmiczny?

Wyraźnie był nie w humorze. Stawiałam, że pokłócił się z Sinem albo niedawno brał udział w posiedzeniu rządu razem ze wszystkimi ministrami z arystokratycznych rodów, których wiele razy chciał wymienić na specjalistów z ludu i którzy to ministrowie wiele razy odpierali jego ataki. Niestety nie istniało coś takiego jak pełnia władzy w naszym światłym Cesarstwie.

- Byłbyś zbyt łaskawy, mój panie - odparłam jednak, składając mu przepisowy ukłon przed komputerem.

- Co tu jeszcze robisz, Mellanito? - Brytanik zauważył zarządcę za moimi plecami. - Tym razem będzie to prywatna audiencja.

Przyglądałam się, jak cesarz patrzy na Zadara kłaniającego mu się na pożegnanie. Mięśnie twarzy odrobinę uniosły mu kąciki ust, co zważywszy na to, jak nieruchome zwykle pozostawały, stanowiło niezły wyczyn. Irytujący fiolet jego oczu zasnęła szczerą pogarda. Brytanik nie był piękny, nie był też męski ani tym bardziej przystojny w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Brytanik był fascynujący i przerażający w swojej niezwykłości.

- Słucham cię, o Wielki Panie.

- Najdroższy, jedyny, najwspanialszy panie - przedrzeźnił mnie.

- Najukochańszy, najcudowniejszy...

- Weź się zamknij.

Zrobiłam, co kazał. Aha, czyli dzisiaj zapowiadała się audyencja w nieformalnym, luźnym stylu. Trzeba było uważać z nadmiernym luzem w obecności cesarza i wprowadzać go w życie, tylko gdy sam wyraźnie na to zezwolił. Potrafił być bardzo bezpośredni, wręcz prostacki w swoich wypowiedziach, a potem nagle przeskoczyć w formalny ton i surowo karać, jeśli się nie podążyło za nim z nastrojem.

- Sin naciska mnie na tę inwazję. Nie mam siły go dłużej powstrzymać. Szkoda, bo Teobald Elasmus jest inteligentny, tak diabelnie inteligentny, że aż próbuje oszukać samego siebie. - Na chwilę się rozmarzył. - Nadaje się na mojego ministra.

- Kto jeszcze naciska na inwazję? - zapytałam ostrożnie.

- Wszyscy. Minister propagandy przeprowadził nawet sondaż w Vintage. Dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa opowiedziało się za pacyfikacją. Ludzie boją się dinozaurów, dasz wiarę?

- Jest czego. - Skinęłam głową. - Może to rozsądne rozwiązanie.

Podparł głowę na rękę i wpatrzył się we mnie tym drapieżnym wyrazem oczu, który przybierał za każdym razem, kiedy prześwietlał myśli swojego rozmówcy. Z trudem przełknęłam ślinę. Pociły mi się dłonie.

- Co zrobiłaś ze swoim siostrzeńcem? - zapytał powoli.

- Uciekł.

- Zabrakło ci jaj?

Przygryzłam wargę. W tej chwili nienawidziłam go z całych sił.

- Twoja matka wyjechała na urlop z Guiteerezem - dodał, wrzucając sobie jagodę do ust. - Myślisz, że wróci?

- Zostaw moją matkę w spokoju. Ona nie musi w tym uczestniczyć - nie wytrzymałam.

- A twój drogi Patrick? Pamiętasz go jeszcze? Ma już dwanaście lat. Cztery lata nie widział swojej ciotki, bo zaszyła się w Afryce i robi co? Właściwie co ty tam robisz, Cero? Może jego też wyślę na urlop? Podobno to mały buntownik... Wdał się w matkę.

Zacisnęłam dłonie w pięści.

- Och, doprawdy, szkoda, że siebie teraz nie widzisz, Cero. To jest za proste. Te moje mało pomysłowe groźby, ta twoja wykrzywiona buźka. Patricia była przynajmniej twardsza, nie pozwalała mi się tak łatwo przejrzeć. Mamy prosty i nieskomplikowany układ. Pracujesz dla mnie, a ja dbam o to, żeby twojej rodzinie nie stała się żadna krzywda. To naprawdę kwestia prostej matematyki. Jeśli nie pozbędziesz się Tulusza, ja pozbędę się Patricka. W każdym razie któryś syn Patricii zginie. Chyba że ty masz już inną rodzinę...

Miał rację. Byłam dla niego zbyt łatwym oponentem. Nienawidziłam siebie za to, że okazywałam mu słabość, że targały mną emocje za każdym razem, gdy przypominałam sobie, jak wielką władzę sprawuje nade mną.

- Tulusz potrafi kontrolować pterodaktyle... Byłby dla ciebie cennym nabytkiem.

- Nie, byłby cennym nabytkiem dla Sina. A Sin nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Ach, Cero, tak bardzo żałuję, że

nie jesteś Patricią...

- Wiem.

Potałam policzki w nerwowym geście. Cisza między nami była dla mnie trudna do zniesienia. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć, słowa grzęzły mi w gardle.

- Możesz wybrać sobie innego raptora. Ostatnio na Festiwalu Deszczu najmniejszy braciszek Tyrsa boleśnie mnie zaatakował. Myślałam, że odgryzie mi rękę. Jest bardzo młody, agresywny i pewnie wyrośnie na silnego, bezwzględnego mężczyznę. A przy tym wszystkim jest też urodziwy...

Brytanik parsknął śmiechem. Schowałam twarz w dłoniach.

- Dałaś się ugryźć dziecku? Serio?

Jego śmiech był okropny. Potrafił śmiać się w uroczy i przyjazny sposób, ale potrafił też epatować pogardą.

- Nie możesz zabrać ze sobą Tyrsa do Europy. Znienawidzi mnie.

- Zamierzam zabrać tylko jednego raptora. Reszta musi zginąć, żeby nie dostali się w ręce Sina. Jeśli zabiorę wszystkich, będą mogli mi zagrozić, jeśli jakimś sposobem się ze sobą ponownie spotkają. Takie niebezpieczeństwo trzeba od razu zlikwidować. Zatem wydaję rozkaz zabicia Tyrsa, a zabiorę jego małego braciszka. Przypomnij mi jego imię...

- Taniel... Taniel Mollina.

- Potem jest...?

- Aneta.

- A potem?

- Terra.

- A potem?

- Alicja.

- A potem?

- Tyrś.

- A potem?

- Ich matka Adelajda.

- A potem?

- Stado raptorów z Lasu Kalahari, z którego pochodzi raptor, z którym spółkowała babka Tyrśa, Abba Mollina.

- Właśnie. Abba Mollina i Lud Pustyni. Dobrze, że mi o nich przypomniałaś.

- Nie chcę, żeby Tyrś zginął - powiedziałam cicho. - Tyrś musi przeżyć. Weź sobie Taniela, ale pozwól odejść Tyrśowi.

- Tyrś zginie. - Brytanik pochylił się w moją stronę. - Rozumiesz, lafiryndo?

To było silniejsze ode mnie. Nacisnęłam Enter i połączenie zostało przerwane. Nie wierzyłam, że naprawdę to zrobiłam. Wpatrywałam się w ciemny ekran, który odbijał widok mojej przerażonej twarzy. Właśnie wydałam wyrok na moją matkę i Patricka. Nie udało mi się nikogo uratować. Mogłam za to jeszcze zawrócić i pozwolić się zabić razem ze Strażą Wąwozu. Jako istota ludzka, Anna Guiteerez, zamiast przeżyć jako pionek Brytanika - Cera Tharen.

Zerwałam się z krzesła i wybiegłam z biblioteki. Biegłam na złamanie karku, mijając kolejne pokoje Zadara, aż z pełnym impetem się z nim zderzyłam. Złapał mnie

w ramiona i potrząsnął mną, żeby przywrócić mi rozum.

- Co ty wyprawiasz?!

- Zabieraj łapska!

- Uspokój się. Znowu pozwoliłaś mu się wyprowadzić z równowagi.

Musiałam jak najszybciej dotrzeć do garnizonu Straży Wąwozu. Chciałam tam być. Chciałam przyjąć propozycję Tyrsa, nawet jeśli to oznaczało moją śmierć.

- Chodź, pokażę ci, co zrobiłem dla naszego cesarza.

Zadar objął mnie ramieniem. Mimowolnie poszłam razem z nim. Pomyślałam, że będzie to kolejna informacja, którą podzielę się z Teobaldem i Tyrsem.

- Brytanik powiedział mi ostatnio, że zamierza przyplłynąć do portu. Żeby umożliwić to naszej flocie, trzeba było się pozbyć największego zagrożenia w tej okolicy.

- Elasmozaurów? - zapytałam, nie rozpoznając własnego głosu.

Zadar poprowadził mnie na koniec pomostu, wciąż mocno trzymając w swoim uścisku. Pozwoliłam mu się bezwolnie prowadzić, żeby uspić jego czujność. Blask księżycy kładł się srebrzystą poświatą na powierzchni oceanu. Przetarłam oczy. Wydawało mi się, że pokrywało ją coś jeszcze poza refleksem księżycy.

Mellanito poświecił latarką. Różnica między ciemnym granatem nocnego oceanu a czernią plam ropy była prawie niewidoczna. Osunęłam się na kolana; wypuścił mnie ze

swojego troskliwego uścisku. Nie zaprotestował, gdy wyrwałam mu latarkę. Poświeciłam dalej, tym razem dostrzegając fragment płetwy elasmozaura. Ogromne zwierzę leżało na brzuchu. Woda wypierała je na powierzchnię. Nocne powietrze śmierdziało benzyną i czymś słodkim, a zarazem nieprzyjemnym, co w końcu zidentyfikowałam jako zapach rozkładającego się ciała.

- Zatrueś brzeg.

Roześmiał się. Był z siebie bardzo zadowolony. Najwidoczniej uważał to za doskonałą zemstę na Tycjanie. Przypomniałam sobie, jak bardzo się wściekł, kiedy Tyrus ustrzelił jego jednego elasmozaura, żeby mnie uratować w zatoce. Gdzieś tutaj wśród ciał martwych elasmozaurów mógł znajdować się również Tacjan Elamos.

Zadar rzucił zapaloną zapalniczkę do wody. Ocean w mgnieniu oka zajął się ogniem. Cofnęłam się przerażona nagłym wybuchem iskier w pobliżu mojej twarzy. Płomienie rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy. Noc zamieniła się w dzień - gorący, przerażający dzień, który nie powinien nadejść. Jasność sięgnęła horyzontu.

- Zabiłeś wszystkie żywe stworzenia w pobliżu brzegu. Zatrueś wodę. To okropna katastrofa ekologiczna.

- Cel uświęca środki.

Zwymiotowałam na deski pomostu. Smród palącej się nafty był nie do zniesienia. Jeśli miałam jeszcze jakieś wątpliwości, teraz zupełnie się rozwiały. To bezsensowne unicestwienie systemu ekologicznego wokół portu stanowiło ostatni dowód, że Cesarstwo nie zasługiwało na moją

lojalność.

Na czworakach odczołgałam się od Zadara. Nie zatrzymał mnie wpatrzony w horyzont zajęty ogniem. Europejska flota musiała już być w drodze. Na jej czele zapewne płynął wicecesarz Sin. Brytanik przyleci na sam koniec swoim małym odrzutowcem. Przemogłam ogarniającą mnie słabość i ponownie zerwałam się do biegu. Przypomniałam sobie moment mojego przybycia do Twierdzy. Tak jak wtedy byłam potwornie zmęczona i zmuszona do natychmiastowej ucieczki. Moje życie zatoczyło krąg.

Następna podniebna taksówka zabrała mnie prosto do garnizonu Straży Wąwozu. Ciągle zbierało mi się na wymioty. Pod przymkniętymi powiekami wyrył mi się obraz płonącej wody. Zadar unicestwił przynajmniej połowę stada elasmozaurów Twierdzy. Może jej mieszkańcy już nigdy nie usłyszą ich śpiewu przed snem.

Wbiegłam na dziedziniec. Właśnie świtało. Ktoś złapał mnie w pasie i zatrzymał. Gwałtownie się wyrwałam, przedzierając się aż do samego Treweriusza.

- Zadar zatruł ocean! Elasmozaury nie żyją! - krzyknęłam do niego.

Obrócił się i od razu mnie rozpoznał.

- Aresztujcie ją! - rozkazał.

Nie protestowałam, gdy któryś ze strażników zakładał mi kajdanki.

- Zaprowadź mnie do Teobalda! To nie wszystko! Cesarz lada moment zaatakuje!

Treweriusz wahał się przez chwilę. Pokręcił głową, jakby nie dowierzał własnej głupocie, lecz w końcu złapał mnie pod ramię.

- Idziemy - rozkazał.

Ciągnął mnie przez cały dziedziniec aż do najbardziej oddalonego od niego pawilonu. Nie skomentowałam, jak bardzo niedelikatny był wobec mnie, podejrzewając, że Tulusz dotarł tutaj przede mną.

Na schodach zarzucił mnie sobie na ramię, żeby szybciej wnieść do gabinetu Teobalda. Tam posadził mnie na jeden z wolnych foteli ustawionych naprzeciwko biurka burmistrza.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Mój wzrok od razu skrzyżował się ze spojrzeniem Abby stojącej przy oknie z ramionami założonymi na piersi. Teobald stał obok niej, popijając kawę z małej filiżanki. Na mój widok dosłownie opluł się wrzątkiem.

- Muszę przyznać, że jesteś mistrzynią wielkich wejść, Anno Guiteerez. Sądziłem, że będę musiał wykurzyć cię z nory, tymczasem zjawiasz się sama. Co chcesz z nami ugrać?

Nie wierzyli mi. Wiedziałam, że sobie na to zasłużyłam. Abba uważała, że był to kolejny podstęp z mojej strony, za to Teobald przyglądał mi się wszystkowiedzącym spojrzeniem, które znowu upodobniało go do cesarza. Przestałam słuchać

krzyżujących się opinii i kłótni dowództwa i całkowicie skupiłam się na burmistrzu. W swoim gabinecie zgromadził najważniejszych urzędników Twierdzy. Był tam też komendant Policji Trojan Bonni, dyrektorka liceum Aspazja Bree, dowódcy poszczególnych oddziałów Straży, Treweriusz i przedstawiciele kapłanów.

Prym wiodła Abba, z irytującą wyższością wygłaszając swoje kwestie. Możliwe, że całe życie czekała, żeby pokazać tym ludziom ich słabość, ich zależność od jej rebelianckiej organizacji i wytknąć im ten kolosalny błąd, jakim było wyrzucenie jej ze społeczności. Zdumiewały mnie siła i wigor tej kobiety, chociaż dobiegała już dziewięćdziesiątki. Tymczasem z portu wrócił zwiadowca, który miał potwierdzić bądź zdementować moją informację.

- Skala zniszczeń przekracza wszelkie wyobrażenia - powiedział drżącym głosem. - Mało tego: ktoś wpuścił raptory do portu...

Wyjrzałam przez okno na dziedziniec pokryty kałużami. Deszczówka błyszczała w słońcu jak poświata księżycy na tafli oceanu. Ten poranek i przedpołudnie były najgorszymi chwilami mojego życia, zaraz po krwawym stłumieniu konferencji asymilacyjnej w Mieście Krokodyli. W dodatku zaczęło padać.

W gabinecie rozpętało się piekło; ludzie przekrzykiwali się między sobą. Trojan rzucił się do gardła Abbie, która umknęła tylko dzięki interwencji Treweriusza. Teobald nadal milczał, błędząc gdzieś daleko myślami.

- To nie były moje raptory! Stacjonują w okolicach zatoki

od strony drogi do Miasta Krokodyli! Nie zapędziłyby się aż do portu! - zaprotestowała Abba.

- To dobrze, że raptory zaatakowały port, czyjekolwiek by one nie były - powiedziała, przerywając ten harmider. - Podczas gdy wy się kłócicie, Sin płynie do nas na nowoczesnych statkach Cesarstwa z zamiarem starcia Twierdzy Kimerydu z powierzchni ziemi. Zamierzacie stawić opór czy po prostu pozwolicie mu się zabić?

Teobald wstał ze swojego miejsca. Powiódł pewnym, spokojnym spojrzeniem po twarzach wszystkich zebranych w jego gabinecie.

- Oddziały B, C i D wyruszają do portu wspomóc raptory. Uważajcie na nie, nie są Abby, nie są też Tyrsa, czego jesteśmy pewni, ponieważ nie wrócił on jeszcze z Miasta Krokodyli. Mogą być zatem agresywne i atakować również nas. Macie więc ode mnie pozwolenie na ich zabijanie, ale tylko jeśli zajdzie taka potrzeba. Zabawa z Zadarem w kotka i myszkę niniejszym dobiegła końca. Bierzemy krwawy odwet za elasmozaury, macie oczyścić port z Europejczyków, ich majątki zostają skonfiskowane przez Twierdzę. Innymi słowy: bierzcie, co chcecie, ale wyrznicie ich w pień.

- A co z Zadarem? - zapytał Treweriusz.

- Zabij go.

- Z przyjemnością. - Dowódca Straży odwrócił się na pięcie i w towarzystwie szefów poszczególnych oddziałów opuścił gabinet.

- Aspazja, Trojan, wróćcie do miasta i razem z oddziałami E, F i G przygotujecie Twierdzę do obrony. Broń

ma być wydana wszystkim mieszkańcom. Dezercja będzie karana natychmiastową śmiercią. To nasz dom. Drogo sprzedamy naszą skórę.

Urzednicy również wycofali się do wyjścia. Obserwowałam to z niesłabnącym zdumieniem. Nie sądziłam, że Teobald tak szybko opanuje panikę i że jego ludzie tak po prostu go posłuchają. Rzeczywiście był podobny do cesarza.

- Abbo, podejrzewam, że zostawiłaś Lud Pustyni gdzieś w pobliżu zatoki. Wydasz im rozkaz pełnej mobilizacji i skierujesz do portu, a sama przeprowadzisz ze mną krótkie śledztwo, który z małych Mollinów sprzymierzył się z raptorami za plecami Tyrsa.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Sama jestem tego ciekawa.

- Zaczekaj na mnie w korytarzu. - Teobald wreszcie skierował na mnie wzrok. - Muszę jeszcze załatwić jedną sprawę.

Odwzajemniłam jego spojrzenie, prostując się na krześle, do którego przywiązał mnie Treweriusz.

- Jak długo to trwa? - zapytał.

Nie musiałam się upewniać, o co mu chodziło.

- Odkąd tylko przyjechałam do Afryki.

- Świetnie się maskowałaś. Przynajmniej kiedy pracowałaś na Uniwersytecie Miasta Krokodyli. Wtedy myślałam, że jesteś wolnomyślicielką, jak wielu innych

emigrantów z Europy, którzy masowo zjeżdżali do naszego portu czy kształcić się do Miasta Krokodyli.

- Gdyby nie ta nieszczęsna konferencja, nasza sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Nigdy nie zamierzałam doprowadzić do konfliktu zbrojnego w tym regionie.

- Chyba przeceniasz swoją wartość, Anno. Konflikt zbrojny był nieunikniony, szykuję się do niego od wielu lat, właściwie odkąd trafiłem na cesarski dwór.

- Więc wiesz, jak tam jest. To rozsądne rozwiązanie, szykować się na ich atak.

- Ja nie szykuję się na ich atak. Ja ich atakuję.

Zabrakło mi tchu. Teobald nie przestawał się we mnie wpatrywać.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego wmieszałaś w to Beringa. Chciałaś się go pozbyć?

- Tak, na dworze był jednym z pupili Sina.

- A to Sin wysłał wojsko do Miasta Krokodyli. Uznał, że uda mu się mnie schwytać i zabić za plecami Brytanika?

- Najprawdopodobniej. Taki właśnie jest Sin.

- Pamiętam.

- Jeszcze nikt nie wypowiedział wojny Cesarstwu. Nie macie żadnych szans.

- A co, jeśli to nie ma żadnego znaczenia? A co, jeśli liczy się sama nasza postawa i świadomy wybór, którego dokonujemy? Czy wolność zawsze oznacza wygraną?

Podszedł do mnie i rozciął moje więzy.

- Dzisiaj nad ranem widziałaś martwy, płonący ocean. Nie jesteś Arabellą. Nie możesz się na to zgodzić, choć twój

wewnętrzny głos mówi ci, że powinnaś się schronić w blasku cesarskiej potęgi.

Skinęłam głową. Odsunął się ode mnie i wskazał na swój komputer.

- Zrób to.

- Jesteś tego pewien?

- To nie jest kwestia tego, czy jestem pewien, czy nie. Czy tego chcę, czy nie. Ani nawet czy jestem gotowy poświęcić wszystko, co tutaj budowałem przez prawie całe życie, żeby udowodnić światu moją rację. Jesteśmy brutalnie podjudzani do zajęcia stanowiska. W tak beznadziejnej sytuacji liczy się tylko to, jak zareagujemy. Jestem tutaj liderem, więc to ja reaguję w imieniu całej Twierdzy. A teraz połącz się z Brytanikiem.

Nie chciałam, żeby Brytanik mnie zobaczył. Z drugiej strony czułam, że muszę być przy tej rozmowie. Skuliłam się więc w kącie. Z tej perspektywy widziałam tylko, że cesarz nie zmienił scenerii, odkąd z nim rozmawiałam. Nie sprawiał też wrażenia przejętego widokiem Teobalda, chociaż zważywszy na to, jak rzadko jakieś emocje malowały się na jego twarzy, mogło być dokładnie odwrotnie.

Burmistrz miał na sobie strój strażnika wąwozu, ale bez napierśnika i naramienników. Jego szerokie plecy przysłaniały fragment monitora.

- Postarzałeś się - stwierdził Brytanik. - Dlaczego nigdy sam nie zadzwoniłeś? Dałem ci przecież mój prywatny

numer.

- Zdaje się, że go zgubiłem. - Usłyszałam rozbawienie w głosie Teobalda.

Byłam przerażona jego nonszalancją, ale potem pomyślałam, że przecież i tak nie miał już nic do stracenia. Samopoczucie Brytanika nie było dłużej jego problemem. O ile kiedykolwiek się nim przejmował.

- Jesteś pierwszym człowiekiem, który zgubił mój numer.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz.

- Po co zatem dzwonisz teraz?

- Żeby ci powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy spotkamy się w Twierdzy.

Cesarz milczał dłuższą chwilę.

- Wciąż będziesz wtedy moim przyjacielem? - zapytał w końcu.

- Nigdy nie przestałem nim być.

- W takim razie do zobaczenia.

Brytanik rozłączył się pierwszy. Teobald opuścił monitor laptopa.

Przyglądałam się, jak burmistrz wkładał brakujące elementy zbroi strażnika wężowca. Był w dobrym nastroju. Odnosiłam wrażenie, że ta z pozoru uprzejma wymiana zdań pomiędzy nim a cesarzem znaczyła więcej, niż przypuszczałam.

W końcu Teobald odwrócił się w moją stronę.

- Dziękuję, Anno. Okazałaś się bardzo przydatna.

Wyciągnął sztylet zza pasa. Przełknęłam ślinę

i odsunęłam się pod samą ścianę.

- Zamierzasz mnie zabić?

- Jesteśmy na wojnie, a ty sobie na to zasłużyłaś. Myślę jednak, że gdybyś to nie była ty, to Brytanik znalazłby kogoś innego. Nie robi mi to więc żadnej różnicy, czy cię zabiję, czy nie. Jesteś tylko pionkiem w grze.

Podszedł do mnie i znowu mnie związał. Nie protestowałam, miałam dość uciekania.

- Chcę spotkać się z Tyrsem - powiedziałam.

- Prosisz mnie o zbyt wiele. Dawno wyczerpałaś moją gościnność.

Mignęło mi srebrne wykończenie jego pancerza, zanim uderzył mnie trzonem sztyletu w głowę. Runęłam na ziemię, tracąc przytomność.

Poznałam Beringa na studiach w Vintage. Skończyłam trzy kierunki, on ledwo radził sobie na jednym i już wtedy nabrał tak tępionego wśród studentów zwyczaju uciekania z nudnych zajęć. Bering szczególnie nie cierpiał wykładów z propagandy. Rektor nieustannie go za to karał, nawet z dwa razy wysłał do publicznego więzienia, ale na Beringu nie robiło to większego wrażenia. Układał sobie kalendarz, w którym brał pod uwagę, że może na parę dni zniknąć, żeby odbyć jakąś wymyślną karę. Tak też zwrócił uwagę Sina, który uznał, że ten syn zwyczajnego urzędnika z ministerstwa rolnictwa po prostu lubił ból. A Sin lubił go zadawać innym. Bering został jednym z jego ulubieńców,

jednak pod koniec studiów panowie nagle przestali się sobie podobać. Ojciec Beringa został zamordowany i ktoś inny przejął jego urząd, a pechowy przeciwnik propagandy dostał powołanie do cesarskiego wojska i popłynął razem ze mną do Afryki. Po śmierci mojej siostry Teobald nałożył sankcje na Europejczyków. Tylko port, będący oficjalną siedzibą europejskich urzędników, na stałe przyjmował uchodźców z Europy. Nie mogłam tam jednak przypląć, bo to by oznaczało, że nadal popieram politykę Brytanika, chociaż mnie wygnano. Prawdziwi wolnomyśliciele i rewolucjoniści skupiali się zatem w Mieście Krokodyli – miejscu nastawionym na rozwój nauki i sztuki, oazie afrykańskich artystów.

Bering twierdził, że wybrano go na tę misję, ponieważ sam też przejawiał niejaki zacięcie artystyczne. Ja go nie zauważyłam, ale może dlatego, że starałam się nie zwracać na niego uwagi. Schowałam się za zasłoną dymną złożoną z udawanej serdeczności, elokwencji i zamiłowania do nauki. Mimo to czasem natrafiałam na jego sceptyczne spojrzenie czy powątpiewający uśmiezek albo nadziewałam się na dwuznaczną uwagę. Wizualnie nie był wcale odpychający, wręcz przeciwnie: młody i przystojny oficer podobał się miejscowym kobietom. Z niektórymi umawiał się na randki i inicjował przelotne romanse. Nic nie wskazywało na to, że był wielbicielem ostrego seksu i masochizmu. Tak o nim myślałam, bo tylko taki człowiek mógł się przyjaźnić z Sinem.

Szybko zebrałam potrzebny wywiad na temat Tyrsa i Abby. Wysyłałam rdzennych Afrykanów z Miasta Krokodyli

do Twierdzy, żeby na moje zlecenie fotografowali Tyrsa i pozostałych członków Straży Wąwozu. Pewnego razu jeden z nich nakrył Tyrsa, gdy tresował raptora. Nieszczęśnik ledwo uszedł z życiem - gad odgryzł mu rękę razem z aparatem. W ten sposób Tyrs i Teobald dowiedzieli się o moim istnieniu. Postanowiłam iść za ciosem. Zaczęłam organizować wykłady z dziedziny antropologii, powołałam zespół ekspertów do spraw hybryd ludzi i dinozaurów, czym wzbudziłam niespodziewane zainteresowanie całego regionu. Miasto Krokodyli znalazło się w centrum coraz bardziej postępujących działań asymilacyjnych. Z Europy przyjeżdżali dziennikarze, żeby kręcić reportaże o Tyrście, co więcej - sprawą zainteresowała się nawet prasa i telewizja Azteków i Majów. Inkowie jak zwykle pogardliwie przemilczeli sprawę.

W ciągu jednego roku stałam się nową afrykańską gwiazdą. Pierwsza odezwała się do mnie Abba, wysyłając podziękowania za to, że przedstawiałam jej rodzinę w tak pozytywnym świetle. W darze podesłała mi ręcznie tkaną spódnicę wyszywaną diamentami. Do tej pory leżała gdzieś w odmętach mojej szafy w domu, który zajmowałam w Mieście Krokodyli.

Potem przyszedł czas na Teobalda. To on zaproponował spotkanie wszystkich zaangażowanych w sprawę stron. Uważał, że istniała szansa na pokojowe zjednoczenie południowej Afryki. Konferencja na Uniwersytecie wydawała mi się idealnym rozwiązaniem.

- Nie boisz się reakcji cesarza?

- Nie muszę mu się ze wszystkiego spowiadać. Mam mu po prostu dostarczyć żywą hybrydę raptora i człowieka.

Stałam na balkonie, popijając wino z kieliszka. Wieczór był gorący i znowu niewiarygodnie suchy. Podkoszulek lepił mi się do pleców. Współczułam Beringowi, który od samego rana musiał paradować w pełnym mundurze. Mój pokój miał widok na pobliski park, gdzie mieszkańcy przechadzali się pomiędzy niskimi drzewami albo schładzali w fontannie i pobliskim strumyku.

- Myślę, że posuwasz się za daleko. Nie chodzi nawet o twoją siostrę. Ty chcesz udowodnić, że jesteś równie ważna i zdolna, jak twój ojciec.

- Nie znałeś go, nie masz zresztą prawa poruszać ze mną jego tematu.

- Skąd wiesz?

- Słucham? - Oniemiałam.

- Skąd wiesz, że go nie znałem? - Wielka chmura dymu unosiła się nad jego głową.

Nie mogłam znieść tego smrodu w upale.

- Zajmij się swoimi sprawami, Bering.

- Ależ to są moje sprawy. Bo jeśli coś spieprzysz, polecą również moja głowa.

- Myślałam, że lubisz ból.

Nagle bardzo zbladł, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Powodzenia z konferencją - powiedział i zostawił mnie samą na balkonie.

Przez pierwsze dwa dni nic złego się nie wydarzyło.

Atmosfera była przyjemna i bardzo przyjazna. Do Miasta Krokodyli zjechali najbardziej liberalni dziennikarze z Europy, filozofowie, znani aktorzy i artyści, którzy popierali ideę asymilacji. Między obradami odbywały się koncerty i przedstawienia teatralne. Drugiego dnia do miasta uroczyście wjechał Teobald razem ze swoją przyboczną świtą. Urzędnicy i burmistrz Miasta Krokodyli nie byli zadowoleni z jego obecności. Od dłuższego czasu okazywali mi dezaprobatę i prosili, żebym ograniczyła kontakty z Twierdzą. Nie posłuchałam ich.

- Kogoś mi pani przypomina. - Teobald pocałował moją dłoń.

Pachniał wytworną wodą kolońską i pustynnym wiatrem. Wydał mi się bardzo atrakcyjny w jasnej koszuli i lnianych spodniach skrojonych w afrykańskim stylu. Silny, pewny siebie mężczyzna, który roztaczał dokoła aureę autorytetu.

- Tak? Mam podobne wrażenie dotyczące pana...

- Do kogo jestem podobny?

- Do naszego jedyne go prawdziwego pana, cesarza Brytanika.

Nagle jego oczy pociemniały, ale szybko się zreflektował. Uśmiechnął się szarmancko, biorąc mnie pod ramię.

- Dziękuję za szczodry komplement, panno Guiteerez. Bardzo się cieszę, że wreszcie panią poznałem. Niestety nie mogę zwrócić pani aparatu, choć ten raptor miał przez niego ciężką niestrawność.

Roześmiałam się mile zaskoczona jego otwartością. Pomijając wszelkie względy natury politycznej i jego talent

do manipulacji, Teobald Elasmos miał bardzo przyjazną osobowość. Potem myślałam, że zginął w trakcie zamieszek po wkroczeniu sił cesarza, i żałowałam jego dobrych manier i łobuzerskiego uśmiechu.

O wkroczeniu oddziałów Sina dowiedziałam się w trakcie wykładu, który prowadziłam na Uniwersytecie. Dzielnica, w której ulokowaliśmy zagranicznych dziennikarzy i gości, stanęła w ogniu. Żołnierze wywlekali ludzi na ulicę i zabijali ich strzałami w tył głowy. Podobny los spotkał burmistrza i najwyższych urzędników Krokodyli.

Bering przyszedł po mnie upewnić się, że byłam bezpieczna. Na jego widok krew zagotowała mi się w żyłach.

- To on odpowiada za inwazję Cesarstwa. Powinniśmy go przykładowo ukarać - powiedziałam do kolegów z Uniwersytetu i uciekinierów z zamieszek, chroniących się u nas przed kolejnym atakiem.

Nie spodziewałam się, że moje pochopnie rzucone oskarżenie będzie miało tak niespodziewany efekt. Ludzie złapali do rąk pierwszą rzecz, którą mogli zamienić w broń, i stawili czynny opór Beringowi i jego żołnierzom. Rzecz w tym, że on przyszedł nas obronić, a nie zamordować. Nie miałam jednak zamiaru wyprowadzać nikogo z błędu. Przeraziło mnie, że moi znajomi zabili podwładnych Beringa, a jego samego dla przykładu związali, pobili do nieprzytomności, a na zakończenie w okrutny sposób zgwałcili, ale myślałam, że to on zaalarmował Sina i że zasłużył sobie na takie traktowanie. Kiedy jednak ogarnęła mnie litość, przyszłam sprawdzić, jak się czuje, i przyniosłam

mu jedzenie.

- Przepraszam, Oliwier - zwróciłam się do niego jego europejskim imieniem.

Spojrzał na mnie ze wzrastającą złością. Jego oczy rozbłysły determinacją. Zrobił to. Wyrwał mi pistolet i wymierzył we mnie. To stało się tak szybko, że z początku nie poczułam bólu, gdy uderzyłam plecami o parkiet z raną postrzałową między żebrami.

- Przepraszam, Cero - zadrwił.

Nad moją głową rozpościerał się pomalowany na kremowo sufit. Leżałam z rękami rozrzuconymi wzdłuż ciała i bezwolnie krwawiłam. Gdybym wtedy umarła, może nie musiałabym umierać teraz.

Ocknęłam się, czując nieprzyjemny, ostry zapach. Kichnęłam. Łzy stanęły mi w oczach. Nie wiedziałam, gdzie się znajduję i dlaczego. Kręciło mi się w głowie. Z trudem uniosłam dłoń do czoła, na którym wyczułam ogromny guz. Pamięć wracała do mnie falami, mieszając się ze wspomnieniami z Miasta Krokodyli. Nieszczęsny Bering gwałcony przez profesora biologii specjalizującego się w afrykańskiej faunie. Teobald posyłający swoich ludzi na wojnę, jego rozmowa z Brytanikiem, do której doszło dzięki mojemu prywatnemu połączeniu, i obietnica, że nadal będą przyjaciółmi bez względu na sytuację. Plamy ropy na oceanie, ciała zatrutych elasmozaurów na powierzchni wody. Usta Tyrsa błędzące po moim brzuchu w poszukiwaniu tego najczulszego miejsca...

Ktoś mnie pociągnął i posadził, opierając o ścianę. Zamrugałam. Potwornie bolała mnie głowa. Mocny policzek całkiem przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Tyrs? - zapytałam nieprzytomnie.

- Tyrs Mollina? Nie martw się, lady Tharen, jeszcze dopadnę tego skurwiela.

Otworzyłam szerzej oczy. Umarłam i obudziłam się w piekle.

Jego dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce spoczywała na moim ramieniu. Kciukiem obrysowywał jego krągły kształt. Pozostałe palce podrygiwały w rytm tylko jemu znanej melodii.

- Ile czasu minęło? - Z trudem wydobyłam głos z gardła.

- Prawie tyle, żeby cię zabić, lady Tharen. Nie spodziewałem się, że jeszcze zobaczę cię żywą.

- To znaczy ile? - powtórzyłam.

- Tydzień, może dwa? Może trzy?

- Sin, proszę cię...

Nie uśmiechnął się. Robił to jeszcze rzadziej niż Brytanik. W przeciwieństwie do swojego ojca nie rozumiał ironii, nie doszukiwał się drugiego dna, nie znał się na podtekstach. Był za to nieskończenie złośliwy i co gorsza, lubił się przyglądać skutkom swojej złośliwości.

- Zostawili cię w garnizonie - wyjaśnił po chwili napiętego milczenia. - Byłaś nieprzytomna, moi ludzie opatrzyli ci ranę na głowie, ale nikt nie próbował cię ocucić. Zresztą nie miałem na to ochoty. Nie wiedziałem, czy jeszcze mi się do czegoś przydasz.

Oddychałam tak cicho i płytko, że moja pierś prawie w ogóle się nie unosiła. Bałam się choćby odrobinę energiczniej poruszyć. Sokoli wzrok Sina wypalał mi dziurę w głowie.

- A jednak - odpowiedziałam w końcu, bo wyraźnie czekał, aż to zrobię.

- Ojciec potrzebuje cię do tresowania raptora. Ja zresztą też. W końcu doszliśmy do porozumienia. Jeden dla mnie, drugi dla niego.

Serce stanęło mi w piersi. Miałam nadzieję, że już więcej nie przyspieszy, ale zrobiło to, cofając mój płytki oddech w głąb piersi. Nie umknęło to uwadze Sina. Przesunął dłoń dokładnie na wysokość mojego mostka i rozpostarł palce.

- Kogo wybrałeś? - zapytałam.

Nie umiałam powstrzymać łez. Popłynęły strumieniem po moich policzkach; poczułam ich słony smak na ustach, skapywały mi z brody na lamówkę podkoszulka. Nie odnajdywałam przyjemności w obserwowaniu mojej rozpaczki. Albo mu to nie wystarczało, albo było mu to obojętne. Ja byłam mu obojętna. Tak, to powód, dla którego naprawdę pozwolił mi żyć.

- Dziewczynkę. Chowwała się w bocznej uliczce. Ciemnoskóra, ciemnowłosa, ciemnooka. Ktoś ją tam chyba zostawił albo się zgubiła, kiedy przed nami uciekała. Zakochałem się w niej bez pamięci. Wiesz, jakie ma zęby?

Odsunął ode mnie dłoń, żeby podciągnąć drugi rękaw swojej skórzanej kurtki. Na jego przedramieniu pozostał solidny ślad ugryzienia, jakby walczył z dzikim

niedźwiedziem albo wilkiem.

- Aneta - powiedziałam. - Złapałeś Anetę.

- Mniejsza o jej imię. Nadam jej nowe.

- Dziewczynka nazywa się Aneta Mollina - powtórzyłam głośniej, pewniej.

Sin starannie opuścił rękaw.

- Dziewczynka nie ma imienia - uparł się przy swoim.

- Dziewczynka nazywa się Aneta Mollina. - Nie odpuszczałam.

Westchnął tym dobrze mi znanym westchnieniem. Uderzył mnie pięścią, tak że moja głowa odbiła się od ściany. Poczulałam krew w ustach. Nie patrzyłam już na niego, tylko w bok, na okno; przez szybę prześwitywało słońce. Upały wracały do Twierdzy.

- Dziewczynka nie ma imienia - podjął tonem swobodnej konwersacji. - Ojcu przypadł chłopak. Prawie już nastolatek. W jego typie. Poza tym bardzo dużo mówi, nie boi się nas. Zdaje się, że jest odcytany, wręcz uczony. - Prychnął z niedowierzaniem. - Uczone zwierzę.

- Terra. Terra Mollina - wyrzuciłam z siebie jak największe przekleństwo.

- Nie, lady Tharen, chłopiec ma na imię Selen. Ojciec długo myślał nad tym imieniem. Całą swoją podróż odrzutowcem z Europy.

Nie tak to sobie wyobrażałam. Odwróciłam oczy w jego stronę. Nie zmieniałam przy tym pozycji.

- A co zrobiliście z tym małym?

- Jakim małym? To był jeszcze jeden?

Otworzyłam usta i je zamknęłam.

- Mały chłopiec, kręcone włosy, pieprzyk na policzku, krwiożercza natura. Idealny dla ciebie. Taniel Mollina.

- Nie znalazłem żadnego chłopca, a uwierz mi, że w poszukiwaniu innych raptorów przetrząsnąłem całą Twierdzę...

Przełknęłam ślinę. Głowa opadła mi na pierś. Uderzenie Sina okazało się silniejsze, niż z początku myślałam. Ulatywała ze mnie przytomność.

- Znowu dostałeś to, czego pragnąłeś. Gratuluję - wymruczałam.

Ujął moją twarz w dłoń schowaną w rękawiczce. Przytrzymał ją chwilę pod brodą. Oczy uciekły mi w tył głowy. Zaklął pod nosem.

- Jak zwykle słaba. Nie będę cię niańczył, lady Tharen. Nie ja.

Usłyszałam, jak marszczy się skóra, w którą był ubrany. Wstał z mojego łóżka.

- Nie śpij za długo, śpiąca królewno. Pora wracać do domu.

ROZDZIAŁ 14

Tulia/Tuliusz

Taniel wsiadł na jednego ze swoich raptorów i jechał na nim jak na małym krwiożerczym kucyku. Spowalniałem pochód – rana zadana ręką Anny sprawiała mi ból przy chodzeniu. Czułem się tak źle, jakbym za chwilę miał zwymiotować własne wnętrzności. W połowie drogi powrotnej do portu pomyślałem, że to był zły pomysł pozwolić małemu wyjść z domu bez zaalarmowania jego starszego rodzeństwa.

Nie chciałem być odpowiedzialny za tę masakrę, nie chciałem potem stawiać czoła Tyrrowi. Mimo to wlokłem się razem z piątką raptorów Taniela. Fascynowała mnie jego więź z tymi drapieżnikami. Nie bałem się moich pterodaktyłów, choć też żywiły się mięsem. Były raczej padlinożercami, rzadko samodzielnie zdobywały się na ataki na ludzi, nadal oddając wyższość rybbim przekąskom. Raptory zaś mimo sprawowanej nad nimi kontroli, częściowo przez Tyrsa, a częściowo przez Abbę, wciąż były nieprzewidywalne. Zasmakowały w delikatnym ludzkim mięsie i nie zamierzały wyrzucić go z jadłospisu. Te, które szły w mojej obstawie, co chwila zerkały na mnie chciwym, wygłodniałym wzrokiem.

Poddałem się mniej więcej w połowie drogi. Pochyliłem

się i ciężko dysząc, oparłem dłonie na kolanach. Taniel obrócił swoją śliczną główkę w moim kierunku.

- Nie zatrzymuj się - powiedział.
- Wybacz, nie dam rady.
- Więc je przyzwij.
- Kogo?

Mały przewrócił oczami i mogłem w tej chwili przysiąc, że zrobił to w identyczny sposób co Tyrś.

- Twoje zwierzęta. Jesteś taki jak ja. Po prostu to umiesz.
- Mam talent?
- Chyba. Nie rozumiem, co to znaczy.
- Skąd o mnie wiesz?
- Widziałem. Słyszałem. Obserwowałem, jak któregoś razu z nimi przyleciałeś prosić Tyrśa o pomoc.
- Zostaw mnie tutaj. Dogonię cię w porcie.
- Będziesz leciał.

To nie było pytanie.

- Tak - potwierdziłem mimo to.
- Ja będę tam pierwszy.

Mały ścisnął boki raptora stopami, jakby ten naprawdę był kucykiem, i pomknął do przodu. Wszystkie jego bestie rzuciły się do szaleńczego biegu, wzbijając falę kurzu.

Nawet ostatnie wydarzenia nie były w stanie odebrać mi przyjemności z latania. Trzymałem mojego pterodaktyla za szyję, upajając się lotem i wiatrem płaczącym mi włosy. Zatoczyliśmy kręgi nad portem, dostrzegłem biegnące

raptory, które dopiero mijały bramę. Uśmiechnąłem się z satysfakcją. Pterodaktyle kontra raptory - 1:0.

Słońce głaskało mi dłonie i pieściło policzki. Ogarnął mnie dobry nastrój, więc skierowałem pterodaktyla w stronę oceanu. Chciałem poczuć jego rzeński zapach. Zamiast niego do moich nozdrzy dotarł okropny swąd spalenizny. Im dalej od wody się znajdowałem, tym bardziej wydawało mi się, że to poświata pomarańczowych promieni słońca kładzie się szerokim cieniem na jej powierzchni.

Kiedy się zbliżyłem, okazało się, że ocean stanął w ogniu. Zapach palącej się benzyny był nie do zniesienia. Musiało to trwać już jakiś czas. Ludzie zbierali się na plaży i komentowali rozmiary tej katastrofy. Najgorsze jednak było to, co zobaczyłem później. Na brzeg wypływały poćwiartowane ciała otrutych elasmozaurów. Mój pterodaktyl poszybował dalej - w kierunku czerwonego od ognia horyzontu - i wtedy okazało się, że skażenie sięga daleko w głąb oceanu, a jego skutki dosięgnęły nie tylko elasmozaurów, ale też ryb różnej wielkości i inne stworzenia zamieszkujące głębiny.

Z piersi wyrwał mi się pojedynczy szloch. Pterodaktyl podjął moje zawodzenie. Po chwili dołączyły do niego następne, aż całe niebo przykryła chmura rozkrzyczanych czarnych punktów.

Zawróciłem do portu. Pterodaktyle nie przestawały krążyć w pobliżu. Niektóre obniżały lot, żeby pożywić się padliną,

ale szybko rezygnowały niezadowolone z dziwnego smaku, którego nabrało mięso. W ten sposób mogły łatwo się otruć, więc wydałem im mentalny rozkaz, aby porzuciły żerowanie. Miałem nadzieję, że większość mnie posłucha i dzięki temu unikniemy strat w stadzie.

Obniżyłem lot, poszukując raptorów Taniela. Na ulicach portu podniosła się panika. Od zachodniej bramy wkraczały oddziały Straży Wąwozu; na ich czele rozpoznałem Treweriusza. Zadarł głowę, śledząc wzrokiem szybujące pterodaktyle. Pomachałem do niego ręką i wylądowałem tuż obok niego i paru innych strażników.

- Co tu robisz? - zapytałem.

- Powinienem zadać ci to samo pytanie. Tyrs podniósł alarm, gdy okazało się, że nie zostałeś u niego w domu. Gdzie się podziewałeś?

- Ruszyłem śladem Anny...

- Słyszałem, że cię zaatakowała.

Wskazałem palcem na opatrunek na boku.

- Tak, Tyrs mnie zaszył. Wyciek ropy zatrął całą linię brzegową...

- To zasługa twojego przyjaciela, Zadara Mellanito. Poza tym odpowiada za porwanie Tycjana przez Miasto Krokodyli...

- Co?! - Poczułem, jak podnoszą mi się włoski na rękach; w gardle uformowała się ciężka do przełknięcia gęstwa.

- Wysłali ultimatum Teobaldowi. Tyrs pojechał go uwolnić.

- A co wy tutaj robicie?

- Mamy spacyfikować port.
- Nie widzę, żeby ktoś próbował z wami walczyć...
- To ostateczny rozkaz Teobalda. Mamy też zabić Zadara Mellanito. Liczę, że pozostaniesz lojalny wobec Teobalda...
- Zawsze jestem lojalny wobec Teobalda - zirytowałem się. - Macie go zabić, bo wydał Tycjana Krokodylom?
- Nie, dlatego że zatruł ocean.

Treweriusz wyminął mnie i mojego zniecierpliwionego pterodaktyla, dając strażnikom znak do ataku. Obróciłem się, obserwując, jak kierują się prosto do europejskich osiedli. Siłą wyciągali ludzi z domów i podrzynali im gardła na ulicy. Ten przerażający pochód zmierzał w stronę rezydencji Zadara na pomoście. Stałem tak z opuszczonymi rękami i buntowałem się na myśl, że ci ludzie nie zasłużyli na tak beznadziejną śmierć. Podobnie jak nasze elasmozaurowe. Krew wsiąkała w wysadzone kostką chodniki i trawę w ogrodach na poukładanych portowych ulicach. Ktoś podpalił domy. Zapach benzyny i siarki mieszał się ze smrodem palącego się drewna. Ludzie krzyczeli, uciekając na oślep. W popłochu się ze sobą zderzali, niektórzy instynktownie szukali pomocy. Na domiar złego z zakamarków uliczek wyskoczyły raptory - ścigały swoje ofiary z radosnym piskiem, wreszcie uwolnione z więzów cywilizacji.

Druga część strażników wkroczyła do stacjonujących w porcie statków, gdzie już rozgrywały się regularne bitwy; co chwila rozlegały się strzały. Europejczycy zaczęli stawiać opór. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Pterodaktyle nadal krążyły nad zabudowaniami, wypatrując łatwych ofiar;

powstrzymywała je tylko moja obecność. Przyjechałem tutaj, żeby dogonić Annę, zapytać ją o wiele rzeczy związanych z matką i z moją rodziną z Europy, a potem oddać ją w ręce sprawiedliwości. Nie chciałem już zabijać ludzi. Nie tak jak wtedy na pustyni, kiedy całe moje stado żerowało na martwych żołnierzach z Miasta Krokodyli. Drugi raz nie byłem w stanie znieść tego ogromu okrucieństwa ani tym bardziej pogodzić się z tą niewielką częścią mnie, która pragnęła rozpętać piekło, dołączyć do strażników wąwozu i wypuścić pterodaktyle na wolność.

Drzwi do rezydencji Zadara były otwarte na oścież. Ostrożnie wszedłem do środka, rozglądając się za możliwym napastnikiem. W holu żerowały dwa raptory - rozszarpywały ciała ochroniarzy Zadara. Bezszelestnie je wyminąłem. Nawet nie podniosły łbów, choć jeden z nich posłał mi wymowne spojrzenie znad okrwawionego kawałka surowego mięsa, które kiedyś było człowiekiem.

Dobrze znałem rezydencję Zadara. Po tym, jak zaprosił mnie do siebie na występy razem z pterodaktylami, pozwalał mi szykować się u niego do przedstawień. Tulia zapewniała mnie, że nie ma drugiego tak gustownie urządzonego miejsca w Twierdzy, jak jego dom. Miękkie, grube dywany tłumili moje kroki. Przemykałem przy samych ścianach, rozglądając się uważnie na boki w obawie przed atakiem przyczajonych raptorów.

Moje serce biło tak głośno, jakby zaraz zamierzało

wyskoczyć mi z piersi. Myślałem o rzezi na ulicach i o cielskach martwych elasmozaurów, wypieranych do góry przez wodę. Te natrętne obrazy nie chciały mnie opuścić. W mojej skroni pulsował bolesny niepokój. Bałem się tego, co mogę zaraz zobaczyć. Wydawało mi się, że od ostatniego wieczoru Twierdzę ogarnęła plaga szaleństwa. Zadar był winny ogromnej katastrofy ekologicznej, o ile to, co mówił Treweriusz, było prawdą. Równie dobrze mogły być to przecież pogłoski. Zadar nie cieszył się w mieście popularnością, lubiono mu więc dopisywać negatywne historie, liczyłem jednak na zdrowy rozsądek Teobalda. Nie wysłałby Straży do ataku, gdyby opierał się tylko na jakichś pogłoskach.

Przemknąłem przez dwa korytarze i pokoje dla gości. Zajrzałem do biblioteczki, ale również była pusta. Zauważyłem za to krwawy ślad na wykładzinie, ciągnący się w kierunku wyjścia na werandę z widokiem na ocean. Ślad wyglądał trochę tak, jakby ktoś był siłą wleczony w ustronne miejsce. Zwolniłem kroku. Pot przykleił mi koszulę do pleców. Ogarnęła mnie słabość, a rana w boku ukłuła przelotnym bólem.

Stałem przy otwartych drzwiach na werandę, skąd dobiegło mnie głośnie mlaskanie. Wyjrzałem na zewnątrz. Raptor z czerwoną pręgą na pysku małymi kęsami wyszarpywał gorące wnętrzości z ciała ochroniarza. Podawał je siedzącemu przy nim Tanielowi, który wyciągał obszarpane surowe płaty spomiędzy jego kłów swoimi pulchnymi paluszkami i wkładał je sobie do ust. Przeżuwał je

ze smakiem, oblizując wargi z krwi i tłuszczu. Gad czekał, aż się pożywi, a potem podawał mu następny kawałek.

Siłą woli zmusiłem się, żeby odsunąć się od okna. Ta scena była prawie intymna. Raptor patrzył na małego z wręcz nieprawdopodobnym przywiązaniem i miłością. Cierpliwie przyglądał się, jak przeżuwa mięso.

Jedzenie podchodziło mi do gardła. Taniel nie reagował paniką ani obrzydzeniem na te niezwykle objawy miłości ze strony swojego gadziego towarzysza, co upewniło mnie w przekonaniu, że nie pierwszy raz z nim obiadował. Widok był naprawdę koszmarny. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co zrobi Tyrs, kiedy się o tym dowie.

Usiłowałem zatem nie myśleć i skupiłem się na poszukiwaniach Zadara. Zawróciłem i wdrapałem się na piętro. Po kolei zaglądałem do kolejnych pokoi. Do ostatniego zostałem dosłownie wciągnięty siłą. Zadar jedną ręką trzymał mnie za ramię, a drugą mierzył do mnie z pistoletu.

- To ja, proszę cię, puść mnie - powiedziałem, spokojnie spoglądając mu w oczy.

- Tulusz?

- Tak.

- Jesteś z Tulią?

- Być może. - Nieznacznie wzruszyłem ramionami; tego nawet ja już nie wiedziałem. - W twoim domu są raptory. Musiałeś niedawno gościć Annę Guiteerez. Przyszły specjalnie po nią. Za to po ciebie nadciągają strażnicy. Podobno zatrueś ocean. Czy to prawda?

Puścił mnie, ale nie przestawał mierzyć do mnie z broni. Cicho westchnąłem.

- Och, Zadarze...

- To i tak bez znaczenia. Lada moment przyplynie cesarz na czele swojej floty. Świat zapomni o tym, że Twierdza Kimerydu kiedykolwiek istniała.

- Wydałeś nas cesarzowi?

- Dlaczego miałbym tego nie robić? Nigdy nie byłem jednym z was. Ty zresztą też tutaj nie należysz. Jesteś Europejczykiem, w dodatku synem wicecesarza.

- Wiedziałeś o tym?

- Oczywiście, od samego początku - prychnął. - Nie jestem zwolennikiem twojego ojca. Może Brytanik jest tyranem, ale przynajmniej nie jest sadystą, w przeciwieństwie do Sina.

- Nawet go nie znam. Teobald jest jedyną osobą, którą odważyłbym się nazywać moim ojcem.

Uniosłem rękę. Odwzajemniłem jego rozogniony, zdesperowany wzrok.

- Czyje to są raptory? Tyrsa? On tutaj jest?

- Tak - skłamałem. Nie umiałem zdradzić Taniela, po prostu nie przechodziło mi to przez gardło - był na to zbyt młody, zbyt niewinny.

Nawet mnie trudno było się pogodzić z tym, że już teraz przeistaczał się w bestię.

- Cokolwiek zrobisz, i tak nie uda ci się uciec. Odłóż broń, to porozmawiamy - powiedziałem powoli.

Zadar uśmiechnął się do mnie ironicznie. Jego twarz była

spuchnięta i posiniaczona; został dotkliwie pobity. Przypomniałem sobie, jak Tycjan zepchnął mnie ze sceny. Kiedy się ocknąłem, Zadar leżał już nieprzytomny na ziemi z niebieskimi włosami rozrzuconymi wokół twarzy. Nigdzie nie mogłem też dostrzec Tycjana.

- Po co? Żeby pozwolić się pożreć raptorom albo pterodaktylom? Żałuję, że to wszystko się tak potoczyło... - Jego głos nagle się załamał.

Poczułem te dobrze mi znane wibracje w powietrzu, napięcie pokrywające skórę wilgotnym nalotem stresu. Chciałem mu coś jeszcze powiedzieć, może coś, co zmieniłoby jego decyzję. Może Tulia by to zrobiła, bo zwyczajnie wiedziałyby, jakich słów użyć. Mój język był za to sztywny, wysuszony ze śliny.

- Nie ufaj nikomu, mały pterodaktylu. Brytanik chce cię zabić, Sin uczyni z ciebie niewolnika. Teobald... kto wie, czego tak naprawdę chce Teobald?

Nie odpowiedziałem. Po prostu skinąłem głową. Wtedy on podniósł broń i strzelił. Kula roztrzaskała mu skroń. Na moją twarz prysnęły krew i kawałki mózgu. Wstrzymałem oddech. Drżały mi mięśnie ramion, jakbym zmusił je do niesamowitego wysiłku. A ja po prostu miałem dość tych niekończących się traum w moim życiu i pierwszy raz pomyślałem, że pragnę tylko świętego spokoju, że chciałbym stąd odejść i odnaleźć swoje miejsce.

To było bardzo w stylu Tuliusza - robił mi miejsce dopiero

w takich podbramkowych sytuacjach. Otarłam twarz z krwi i pochyliłam się nad ciałem Zadara; delikatnie wyjęłam mu pistolet z dłoni. Nie potrafiłam przyzywać pterodaktyłów, a wolałam nie wychodzić teraz na ulicę bez broni. Na dole grasowały raptory i pożywiały się świeżym mięsem. Istniała duża szansa, że mnie nie zaatakują, mimo to wolałam trzymać broń w gotowości.

Nie wiedziałam, gdzie się mam teraz udać. Tycjan był poza moim zasięgiem, Tyrs pojechał jego śladem, Teobald zapewne szykował się do wojny. Chciałam być jak najdalej od epicentrum. Tymczasem przykucnęłam przy martwym przyjacielu, przekładając w rękach broń śliską od krwi. Pogłaskałam jego niebieskie włosy. Wiele mu zawdzięczałam, pomógł mi utrzymać się w porcie, a w łóżku potrafił być świetnym kochankiem. Miał jednak jeden istotny mankament – nie był Tycjanem. Poświęcił też zbyt dużo czasu, żeby mi udowodnić, że Tycjan nie zasługiwał na moją miłość. Nawet jeśli, to był mój wybór. Ja decydowałam, kogo kocham, a kogo nie. A kochałam z różnych powodów, nie zawsze z tych najbardziej logicznych. Podświadomie lubiłam być raniona, odrzucana i potępiana. Podświadomie lubiłam cień, podczas gdy Tulusz ciążył w kierunku słońca. On pragnął pozytywnego zakończenia – różowego zachodu słońca w tle i wielkiego napisu „The End”.

Położyłam palec na spuście. Korciło mnie, żeby pójść w ślady Zadara. Wiem, nie miałam prawa robić tego Tuluszowi, nie miałam nawet prawa odebrać sobie życia...

- Jesteś pasożytem. Nie decydujesz o tym, czy będziemy

dalej żyć, czy umrzemy.

Rozejrzałam się wokół siebie. Głos Tulusza zarezonował mi w czaszce. Był jak natrętna mucha przyklepiona do mojego ucha. Otrząsnęłam się.

- Dlaczego to ja jestem pasożytem, a nie ty?

- *Dobrze wiesz dlaczego. Pojawiłaś się później.*

- Mimo to jestem silniejsza od ciebie.

- *Wiem. Lubię to w tobie.*

- A więc są też we mnie cechy, które lubisz? - zdziwiłam się szczerze.

- *Oczywiście. Jesteś odważna i bezpośrednia. Powiedziałbym nawet, że zbyt bezpośrednia.*

- Nie wiedziałam, że możemy ze sobą rozmawiać...

- *Nie, to ja rozmawiam sam ze sobą.*

- Rozmawiasz ze mną.

- *Bardzo mi przykro, Tulio, ale ty nie istniejesz. Nigdy nie istniałaś.*

- Jak to?

Popatrzyłam na swoje dłonie. Nie, na dłonie Tulusza.

- *Nie było mi łatwo zaakceptować tego, że dojrzewam i zaczynam pożądać przyjemności, które uważałem za złe i nienaturalne. Że pożądam Tycjana. Ale nie tylko jego, również wszystkich innych napotykanym mężczyzn. Chciałem być ich, ich wszystkich. Palące poczucie wstydu nie dawało mi spokoju. Kiedy potem opowiadałem o tym Tycjanowi, stwierdził, że to wina mojej mutacji, przemiany w pterodaktyla. Nie chciałem być pterodaktylem, a zarazem chciałem. Nie chciałem przerazić Tycjana i go od siebie*

odtrącić, a zarazem chciałem, by poznał tę moją drugą, ciemną stronę i zapragnął mnie jak jeszcze nikogo przedtem.

- Żałuję, że to wszystko się tak potoczyło - powtórzyłam słowa Zadara.

Z całej siły zacisnęłam palce na pistolecie, aż zbieleły mi kłykcie.

- Wreszcie zginęła moja matka. Wbrew pozorom bardzo ją kochałem. Karmiła mnie genami pterodaktyla, uważała, że w ten sposób uczyni mnie silniejszym. Wiesz, ona nie rozumiała, że niektórzy ludzie nie potrafią udźwignąć więcej siły, niż już sami mają. Że można ich złamać, wymagając od nich zbyt wiele. Teraz widzę to wyraźniej. Zapewne myślała, że skoro jestem synem wicecesarza Sina, przetrwam każde okrucieństwo, które mi zgotuje. Nie byłem gotowy na jej odejście. Dlatego pojawiłaś się ty. Jesteś idealną miksturą Arabelli i moich skrytych pragnień. Wydobyłaś je na zewnątrz, oswoiłaś i uczyniłaś z nich swój największy atut. Za to ci dziękuję, za to cię podziwiam.

- Ale to już koniec, prawda?

- Tak, to już koniec. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę taki, jakim wyobrażał mnie sobie Tycjan, nigdy nie będę taki, jakim wyobrażała mnie sobie matka. Nie potrzebuję cię więcej, żeby być sobą.

- Nie chcę odejść.

- Ale to zrobisz.

Przystawiłam sobie broń do skroni. Moja dłoń drżała. Tulusz podjął ze mną walkę. Jeśli nie było tu dla mnie miejsca, jeśli razem ze śmiercią Zadara skończyły się moje

przywileje i jeśli Tulusz uważał mnie za zbędną, równie dobrze mogę odejść, ale zabiorę go ze sobą. Tak, nacisnęłam spust i tak, dobrze wymierzyłam. Ale mała dłoń chwyciła mnie za nadgarstek i kula utkwiała w ścianie za moimi plecami.

Dzieciak potrząsnął moją ręką – a nie, przepraszam, ręką Tulusza – a potem wbił zęby w jego nadgarstek. Ból był tak otrzeźwiający, że wybił mnie z ciągu myślowego i sprawił, że w tej jednej chwili przestałam istnieć – a ja poczułem, że wreszcie jestem cały.

– Widzisz? Wcale nie chciałeś się zabić.

Taniel wypluł moją krew, a potem otarł sobie usta wierzchnią stroną dłoni.

– Najwidoczniej nie – odpowiedziałem.

Ślad po ugryzieniu pulsował bólem, ale takim oswojonym bólem, możliwym do zniesienia.

– Zbierz swoje zwierzęta, pobawimy się wreszcie tak, jak na to zasługują – zaproponował.

Złapałem oddech. Wydawało mi się, że pierwszy raz czułem, jak naprawdę się oddycha. Ze wzmożoną siłą powróciła do mnie ta stłumiona chęć pomocy strażnikom w utrzymaniu porządku w porcie. Już nikt mnie nie powstrzyma, bo sam tego więcej nie zrobię. Może właśnie byłem jak Taniel.

Pterodaktyle ruszyły do ataku. Z pomocą ich oraz grasujących raptorów, na czele z Czerwoną Pręgą,

Treweriusz dokonał eksterminacji portu w jeden dzień. To była już trzecia masakra, w której uczestniczyłem na przestrzeni ostatnich miesięcy. Wszystko zaczęło się od tego, że moja ciotka Anna Guiteerez – albo jak kto wolał: Cera Tharen – przybyła do Twierdzy. Walka z Krokodyłami na pustyni, pomoc przy gaszeniu pożaru świątyni, a teraz brutalne przejęcie portu z rąk Europejczyków połączone z silnym zatruciem linii brzegowej. Anna przynosiła nam pecha.

Latałem nad dzielnicami portu, siejąc zniszczenie. Ulice spływały krwią, strażnicy nie oszczędzali nawet dzieci. Już sam ten fakt był wydarzeniem historycznym. Dotąd nikt tak bezczelnie i okrutnie nie zaatakował Cesarstwa. Oczywiście wierzyłem Zadarowi, że siły cesarskie były już w drodze, ale to od nas zależało, co zastaną na miejscu.

Mniej więcej w połowie akcji odwetowej przyjechał Teobald, rozkazując zaprzestanie wszelkich działań i wzięcie pozostałych przy życiu na przesłuchania. Strażnicy wyłapywali więc Europejczyków i przyprowadzali ich przed oblicze burmistrza. Niektórzy niewiele wiedzieli, niektórzy byli po prostu niewinni, ale nie miało to znaczenia. Chodziło o propagandę. Teobald nauczył się ją wykorzystywać lepiej od profesorów cesarza wykładających w Vintage. Większość z pojmanych przeklinała Teobalda i Twierdzę, powoływała się na potęgę Cesarstwa, a to wystarczało, żeby trafili do oceanu z poderżniętymi gardłami. Burmistrz stanowczo zakazał rozprzestrzeniania się rzezi. Bał się, że do miasta dotrze jakaś zaraza. Nie mieliśmy czasu na oczyszczenie

portu z rozczłonkowanymi ciałami pomordowanymi.

Kiedy te przedstawienia się skończyły, Teobald podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Dziękuję ci za twoje wsparcie - powiedział, uśmiechając się do mnie w ten szczególny, ciepły sposób.

Tęskniłem za jego uśmiechem. Teobald był ze mnie dumny, ja też byłem z siebie dumny, chociaż już zaczynały pożerać mnie wyrzuty sumienia. Może jednak nie byłem taki jak Taniel.

- Ocean się wykrwawił. Nie mogłem tego pozostawić bez odpowiedzi.

Pokiwał głową. Czuję, że nie poruszy ze mną tematu Zadara.

- Jak twoja rana?

- Zagoi się.

- Musisz zmienić opatrunek i pokazać ją lekarzowi.

- Nie przeszkadza mi.

- Nie szkodzi, Tuluszu, ale przeszkadza mnie. Martwię się o ciebie.

Uśmiechnąłem się do niego samymi kącikami ust.

- Dziękuję.

- Jesteś jakiś inny... Dobrze się czujesz?

- Nigdy nie czułem się lepiej.

Teobald mruknął wymownie, ale tego nie skomentował.

- Wiesz już zatem, że nadciąga wojna? Jesteś gotowy?

- Tak, a ty?

- Jak nigdy przedtem. Będziesz dla mnie walczył?

- Oczywiście, że tak. Mam nadzieję, że Tycjan i Tyrs do

mnie dołączą - dodałem.

Teobald zmarszczył brwi.

- O ile wrócą...

Tym razem to ja położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Wrócą. Zawsze wracają.

Teobald zwołał naradę wojenną w jednym z opuszczonych i niezdemolowanych domów na granicy, która oddzielała miasto od wejścia do portu. Treweriusz obejrzał moją ranę i oddał mnie w ręce swoich medyków. Punkt medyczny też mieścił się w tym domu. Niektórzy strażnicy zostali ranni w potyczkach na statkach w porcie i z załogą tankowca, który wypuścił ropę do oceanu. Bilans był jednak dodatni dzięki przewadze, jaką gwarantowały nam moje pterodaktyle i raptory Taniela. Pod koniec akcji włączyły się w nią również oddziały Ludu Pustyni w charakterystycznych czerwonych chustach, asekurowane przez raptory z Lasu Kalahari. W tej zawierusze niewielka grupa Taniela zdążyła się ulotnić, a razem z nimi najmłodszy Mollina. Za to razem z Abbą do portu przybyła Alicja - ona również założyła czerwoną chustę, jakby chciała w ten sposób podkreślić swoje poparcie dla babki. Siedziała teraz w pokoju narad przy jej boku i od czasu do czasu posyłała mi badawcze spojrzenie.

Usadowiłem się w wykuszowym oknie jak najdalej od głównych obrad, popijając wodę z butelki. Bez przerwy chciało mi się pić. Nad Twierdzą znowu zapadała ciężka noc. Moje pterodaktyle żerowały na resztkach ciał

pozostawionych na ulicach. Mieszkańcy miasta barykadowali się w domach, a ci, którzy zostali wyznaczeni do walki, zgłaszali się do punktu poborowego, którym zarządzał teraz Treweriusz. Straż Wąwozu i miejska policja zostały postawione w stan najwyższej gotowości. Lud Pustyni miał walczyć z nimi ramię w ramię, a Alicja Mollina – odpowiadać za poprawną komunikację między obiema stronami.

Teobald pochylał się nad mapą Twierdzy i wyznaczał kierunki ofensywy.

- Musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Zamiast najbardziej uczęszczanej drogi morskiej Sin może równie dobrze wypłynąć z któregoś azjatyckiego portu. Cesarstwo ma tam najsilniejsze kolonie, w które dużo inwestuje, żeby odgrodzić się od topornej potęgi Sowietów. Podzielimy więc nasze siły na dwie części. Wykorzystamy też zajęte statki, żeby nimi ewentualnie zaatakować bądź odeprzeć atak przy samej linii brzegowej.

- Martwe elasmozaurowy znacznie ograniczają nam pole manewru – zauważył Treweriusz.

- Niekoniecznie – odezwał się jeden z generałów Abby, wysoki ciemnoskóry Mattias obdarzony typową afrykańską urodą. – Moi ludzie mogą uczynić z nich atut. Jeśli ten wyciek przeszkadza nam, pomyślcie, jak bardzo będzie przeszkadzał im.

- Jesteś pewien, że potrafisz sprawnie poprowadzić akcję na morzu? – upewnił się Teobald. – Większość cumujących w porcie statków to jednostki handlowe bądź pasażerskie. Sin przyplynie na czele krążowników i na pewno weźmie też

ze sobą łodzie podwodne. Naszą przewagą nad nim jest jednak to, że Sin jest zarozumiały. Jeśli nas zlekceważy i zmniejszy ilość swojego oddziału, mamy pewne szanse odeprzeć go w porcie...

- Zostałem skazany na ciężkie więzienie i śmierć w kamieniołomach za piractwo i łupienie europejskich statków na drogach handlowych między Państwem Azteków, Afryką a Europą. Woda nie ma dla mnie żadnych tajemnic, chyba że w swoich głębinach ukrywa elasmozaury, jak w tych okolicach.

Teobald z szacunkiem skinął mu głową. W odpowiedzi Mattias pokazał białe zęby w uśmiechu.

- Mamy też duże szanse na zaskoczenie, skoro Zadar nie żyje, a Anna jest uwięziona i nieprzytomna w garnizonie. Jeśli mieliśmy szczęście, sygnał alarmowy nie dotarł do Cesarstwa, zanim podpaliliśmy zasilanie prądu w porcie - wtrącił Treweriusz.

- Nie liczyłam na aż takie szczęście - zripostowała Abba. - Jestem pewna, że cesarz i Sin wiedzą już o masakrze w porcie i może zmieniają strategię ataku na ostrzejszą. My też musimy być na to przygotowani.

- Zgadzam się z Abbą. Czy pterodaktyle nadal patrolują ocean i przestrzeń powietrzną? - Teobald zwrócił się w moją stronę.

- Tak, będą to robić do samego rana. - Odsunąłem usta od butelki. - Kiedy tylko zauważą choćby najmniejsze zmiany na horyzoncie, będziemy o tym wiedzieć.

- Doskonale.

Teobald narysował coś czerwoną linią. Zeskoczyłem z parapetu i lepiej przyjrzałem się mapie.

- Zamierzasz rzucić jeszcze jakiś oddział na tyły Twierdzy? - zapytałem.

- Tak, na wypadek gdyby zaatakowało nas Miasto Krokodyli.

- Tyrs jeszcze nie wrócił? - upewniła się Alicja.

- Nikt go nie widział w trakcie walk - odparł Treweriusz.

Pogrążyłem się w znajomym strachu o życie przyjaciół. Miasto Krokodyli nie mogło ich tak po prostu pochłonąć.

- Tyrs miał wytargować neutralność Krokodyli. Byli skłonni z nami negocjować - wyjaśnił Teobald w odpowiedzi na pytające spojrzenia urzędników Twierdzy.

- Nigdy nie myślałam, że to kiedyś powiem, ale Tyrs jest nam potrzebny tutaj. On i jego raptory - odezwała się Aspazja.

Dotąd milcząco przysłuchiwała się rozmowie, krzyżując ramiona na piersi.

- To prawda, ale jeśli ktoś jest w stanie przekonać Tytusa Beringa do tego, żeby pożyczył nam trochę swojej europejskiej amunicji, to tylko Tyrs.

Abba wymownie prychnęła.

- Krokodyle ot tak nie dadzą nam amunicji!

- Nie, ale mogą ją sprzedać i wnioskując z tego, że Tyrs jeszcze się nie pojawił, zrobili to. Poprosiłem ich tylko o jeden wóz załadowany bronią. Treweriusz rozdał też strażnikom broń palną, którą znaleźliśmy w domach zlikwidowanych Europejczyków i w rezydencji Zadara. Może

to niewiele, ale zawsze coś.

- My też mamy trochę broni. - Mattias odchrząknął pod karcącym spojrzeniem Abby.

- Spodziewałem się tego. - Teobald nieznacznie się uśmiechnął. - Zamierzacie się nią podzielić?

Abba miała minę, jakby właśnie połykała kamień. Odezwała się jej słynna chciwość, ale najwidoczniej poczucie solidarności wzięło nad nią górę.

- Alicja zobaczy, ile sztuk broni jesteśmy w stanie wam... pożyczyć, a potem zdecyduje, czy to zrobimy.

- Przerzucasz odpowiedzialność. - Teobald nie mógł sobie darować tej uwagi, po prostu nie mógł. - Sprytnie.

- Nie, po prostu wdrażam wnuczkę do nowej roli - sarknęła.

- A jest nią...?

- Pomoc przy budowaniu strategii Ludu Pustyni - odpowiedziała Alicja, krzyżując ramiona na piersi.

Burmistrz ciężko westchnął.

- Wszyscy wiecie, co macie robić. Miasto musi być przygotowane do zabarykadowania się na wypadek naszej porażki w porcie i do ukrycia się w schronach. W każdej chwili myśliwce cesarza mogą nas też zbombardować.

Zapadła ciężka cisza. Do wszystkich dotarło wreszcie, że mieliśmy stoczyć walkę na śmierć i życie, bez możliwości liczenia na czyjąkolwiek łaskę. Cesarz zamierzał zabić nas wszystkich. Opozycja w mieście wobec Teobalda spłonęła w pożarze albo została zlikwidowana razem z Zadarem. Tkwiliśmy w tym wszyscy razem.

Pierwsza wstała Aspazja.

- Do zobaczenia. W następnym życiu.

Teobald podał jej dłoń na pożegnanie. Inni poszli w jej ślady, aż w końcu zostałem sam z burmistrzem.

- Chcę być pierwszą osobą, która dowie się o pojawieniu się statków Sina - przypomniał.

Potwierdziłem moją gotowość skinieniem głowy i on też wyszedł. Spojrzałem przez okno. Pierwsze gwiazdy pojawiły się na granatowym niebie nad Twierdzą. W porcie zrobiło się przeraźliwie cicho. Słyszałem tylko swój przyspieszony oddech.

Wczesnym rankiem horyzont wypełnił się okrętami wojennymi. Było ich dokładnie dwadzieścia; płynęły od strony zachodniej, co oznaczało, że Sin wybrał najbardziej uczęszczaną morską trasę. Świtało. Poranne słońce leniwie unosiło się nad powierzchnią martwego oceanu, zdobiąc ją poszarpanym wzorem pomarańczowych i czerwonych promieni. Wypuściłem dwa pterodaktyle na przespīgi. Jednego zestrzelili, drugi ledwo wrócił do portu poważnie ranny w bok.

- Spróbujesz ich zatrzymać? - zapytał Teobald.

- Nie będę próbował. Po prostu ich zatrzymam - obiecałem.

Tyrs przyglądał mi się z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Wrócił po północy z wozem wyładowanym automatyczną bronią. Tytus dorzucił mu nawet małe działko

na moździerze.

- Muszę o to zapytać. Co zrobiłeś z Tanielem? Nikt go nie widział od czasu, gdy zostawiłem cię z moim rodzeństwem.

Zawahałem się. Otworzyłem usta i znowu je zamknąłem. „Alfa nie może się dowiedzieć”.

- Taniel jest bezpieczny. Jestem tego pewien.

- Ale gdzie on jest? - powtórzył z naciskiem; w jego oczach pojawiła się desperacja. - Jeśli mi nie powiesz, nigdzie nie polecisz!

W tym momencie ogarnął mnie gniew. Pochyliłem się nad stołem w jego stronę i z bardzo bliska spojrzałem mu w oczy.

- Powinieneś być sprowadzić Tycjana z powrotem. Nie mogę się z nim nawet pożegnać!

- To twoja wina, że Tycjan trafił do Miasta Krokodyli! Gdybyś się nie gził u Zadara, nie musielibyśmy wdawać się w negocjacje z Beringiem!

- Nie gził się u Zadara? Tak mnie naprawdę oceniasz? - Nie wierzyłem własnym uszom.

Tyrs wstał z krzesła i nerwowo przeszedł się od okna do stołu i z powrotem. Zaciskał dłonie w pięści. Jego zbroja wydawała przy tym metaliczne dźwięki.

- Gziłeś się u Zadara - powtórzył. - Ty. Nie zwalaj tego na Tulię. Mogłeś z tym coś zrobić. Zaprotestować. Postawić na swoim. Ale ty ciągle wolisz być czyjąś marionetką. Myślałeś o tym, jak się poczuje Tycjan, gdy będzie zmuszony oglądać cię w takiej sytuacji?

- W jakiej sytuacji? Powiedz to głośno.

- Kiedy pozwalasz, żeby rżnęli cię obcy faceci, a inni się temu przyglądali! - Tyrś uderzył pięścią w stół. - Jesteś zadowolony?

- Twój brat jest bezpieczny - powtórzyłem niezłomnie, wytrzymując jego pomarańczowe spojrzenie. - Sam cię odnajdzie, jeśli będzie tego chciał.

- On ma pięć lat! Jest małym, bezbronnym dzieckiem! - krzyknął. - Jest głodny, zmęczony i wystraszony!

- Nie sądzę, żeby był głodny... - Zaśmiałem się ironicznie.

Tyrśa ogarnął szal. Przez chwilę miotał się po pokoju, wyładowując agresję na przypadkowych przedmiotach. Teobald taktownie milczał, choć uważnie nam się przyglądał gotowy wkroczyć do akcji, gdyby zrobiło się niebezpiecznie. Wszystko do tego zmierzało, bo nie zamierzałem ustąpić. Nie tym razem.

- Nie tylko ty dyktujesz warunki - powiedziałem. - Nie zawsze wszystko musi układać się po twojej myśli.

- Co to ma znaczyć?! Nigdy tak do mnie nie mówiłeś!

- Wiele razy mi pomagałeś. Wiele razy stałeś po mojej stronie, kiedy nawet Tycjan się ode mnie odwrócił. Jestem ci za to wdzięczny, ale przyszła pora na to, żebyś to ty mi zaufał. Potrafisz to zrobić, Tyrś?

Wpatrywał się we mnie rozszerzonymi oczami. Emanowały agresją i ukrywanym pod nią smutkiem.

- Ja ci ufam. Wiem, że Tycjan wróci do nas cały i zdrowy. Zrobiłeś dla niego wszystko, co mogłeś. Znam cię - ciągnąłem.

Tyrs potarł skroń palcami.

Bez słowa wstałem ze swojego miejsca i skierowałem się do wyjścia. Poprawiłem przy tym wiązania lewego naramiennika, bo się obluzowały. Wtedy poczułem dłoń Tyrsa na ramieniu; zatrzymał mnie i stanowczym ruchem podwiązał mi zbroję, tak że przestała się ruszać. Potem objął mnie ramionami w pasie, wtulając twarz w moje włosy. Trwaliśmy tak przez chwilę bez ruchu.

Myślałem o tej rozmowie, kiedy leciałem na czele mojego stada na spotkanie z okrętami Sina. Wszystkie były opancerzone i wyposażone w działa, wyrzutnie raketowe i przeciwokrętowe pociski manewrujące. Nie byłem na tyle głupi, żeby przypuszczać, że uda mi się je zatopić. Mój atak miał ich dezorientować i przygotować pole do popisu dla statków, które prowadzi Mattias z Ludu Pustyni.

Wziąłem ze sobą plecak wypchany granatami Krokodyli. Tyrs wcisnął mi również pistolet, którego ciężar czułem teraz na udzie. Słońce leniwie przesuwało się na niebie. Zapowiadał się upał. Kark lepił mi się już od potu.

Obniżyłem lot i sięgnąłem po jeden z granatów. Wyciągnąłem zawleczkę zębami, zbliżając się do najbliższego okrętu. Odezwały się jego działa, ale załoga była zaskoczona widokiem pterodaktyłów i nie za bardzo wiedziała, jak ma reagować. Rzuciłem jeden granat na pokład i od razu sięgnąłem po następny. Rozległa się pierwsza eksplozja. Poderwałem pterodaktyla do góry, celując drugim granatem

w stacjonujące na statku śmigłowce.

Byłem już wysoko między chmurami, kiedy nastąpił wybuch. Dwa sąsiednie okręty zwróciły się w kierunku moich pterodaktyłów i wypuściły pociski naprowadzające. Część zwierząt z piskiem spadła do wody, a część utrzymała szyk i za moim przykładem schroniła się między chmurami.

Gwałtownie zawróciłem i zaatakowałem statki w środku formacji. Podlatywałem i wrzucałem na nie granaty, celując w śmigłowce. Pterodaktyle wlatywały na pokłady okrętów, porywały ludzi i wyrzucały ich do wody, inne dokonywały ataków samobójczych na wystawiane działka. Zastraszająca liczba pterodaktyłów widocznie wzbudzała przerażenie w Europejczykach. Miałem nad nimi przewagę taktyczną i psychologiczną. Nigdy wcześniej nie widzieli latających gadów, nigdy wcześniej z nimi nie walczyli. Zachęcony początkowym sukcesem wzmogłem wysiłki. Teraz nie było już okrętu, którego nie atakowałyby moje pterodaktyle. Pomyślałem, że Zadar istotnie uratował flotę Sina, ponieważ gdyby elasmozaury wsparły mnie teraz spod wody, żaden europejski okręt nie dopłynąłby w całości do brzegu.

Zanim cesarskie okręty spotkały się z naszą jednostką złożoną z portowych statków, udało mi się zatopić dwa okręty. Na moją korzyść nadal działała ludzka panika i nieprzewidywalność pterodaktyłów. Pozbyłem się całego plecaka granatów i żaden z nich nie chybił celu. Czułem się pewnie w swojej roli, nie obawiałem się też mojej

samotności. Podobnie walczyłem na pustyni z żołnierzami Miasta Krokodyli - wówczas musiałem uratować Tyrsa i ochronić Twierdzę przed krwawym odwetem Krokodyli. Właściwie teraz było podobnie. Panowałem nad sytuacją. Nabierałem wprawy w kierowaniu moimi zwierzętami i zacząłem czerpać z tego przyjemność. Pomyślałem o Tanielu, który uczył się tego od najmłodszych lat i doszedł do tak dużej perfekcji, że nie obawiał się posilać razem ze swoimi raptorami. Czy ja też mógłbym nawiązać taką więź z pterodaktylami? Czy tego właśnie chciałem? A może wzorem Tyrsa wolałem zachować bezpieczny dystans tresera wobec pięknego, acz zabójczego, dzikiego zwierzęcia? Być może najbliższe parę godzin o tym zadecyduje.

Powietrze przesiąknęły: dym, zapach ropy i metaliczna woń krwi. Mimo to odetchnąłem pełną piersią. Zawróciłem raz jeszcze, rozkazując zwierzętom obrać kurs na okręt, który już był trochę podtopiony. Wystarczyło jeszcze poprawić to, co już udało się zdziałać, i mogłem dodać kolejny statek wroga do mojej kolekcji.

Okręt, który płynął w samym środku, gwałtownie obrócił się wokół własnej osi - najszybciej, jak pozwalały mu na to jego rozmiar i ciężar. Wzbił przy tym sporą fontannę wody. Musiałem go wyminąć. Ostro skręciłem. Seria z karabinu maszynowego przeleciała tuż obok mojej twarzy. Wstrzymałem oddech, nie dowierzając, że miałem aż takie szczęście. Myliłem się. Seria przeszła delikatne skrzydło mojego gada, który rozpaczliwie pisnął. Pęd powietrza rozwiał mi włosy. Spadaliśmy - jak ciężki kamień do wody.

Złapałem go mocno za szyję i zmusiłem, aby resztkami sił poszybował nieco bardziej w lewo. Dzięki temu zamiast do oceanu spadliśmy na koniec pokładu atakującego nas okrętu.

Zeskoczyłem z grzbietu mojego przyjaciela i pożegnałem się z nim w myślach. Pterodaktyl oparł ciężar swojego ciała na krótkich nogach i ostrych zakończeniach skrzydeł. Nie miałem serca go zastrzelić. Wolałem, żeby bronił się do ostatnich sił i przy okazji zabrał ze sobą tylu wrogów, ilu jeszcze zdoła. Rozpędziłem się i pobiegłem na skraj pokładu przy samym dziobie, żeby przyzwać sprawnego gada i na nim odlecieć. Musiałem jednak wyhamować, bo na mojej drodze pojawił się mężczyzna. Zwróciłem się do niego bokiem i uskoczyłem przed strzałem. Nie mogłem teraz wyskoczyć za burtę – pterodaktyle oddaliły się od okrętu.

Mężczyzna opuścił broń i rzucił się za mną w pościg. Wyglądał na gotowego udusić mnie gołymi rękami. Nie zamierzałem stawiać mu czoła; zależało mi tylko na jak najszybszym zeskoczeniu z pokładu. Wokół nas zgromadzili się europejscy żołnierze. Mignęły mi ich czarne mundury ze złotymi wykończeniami. Żaden z nich mnie jednak nie atakował, akcja jakby uległa spowolnieniu, chociaż ja nie przestawałem uciekać. Problem polegał na tym, że traciłem skupienie, a co za tym idzie – połączenie z moimi gadami. Niektóre z nich zaczęły uciekać przed gorącym wytwarzanym przez opancerzone statki i przed świszczącymi w powietrzu kulami.

- Przestań biec, tchórze! - wrzasnął mój prześladowca.

Wróciłem do mojego rannego pterodaktyla i schowałem

się za jego dziobem wyposażonym w małe, ostre zęby. Zza jego kostnego grzebienia obserwowałem, jak mężczyzna do nas dociera i zatrzymuje się w pół ruchu; zwierzę wzbudziło w nim raczej ciekawość niż przerażenie. Nie wiedział, jak ma się zachować wobec niego.

Ja w tym czasie wyciągnąłem pistolet z plecaka. Krew pompowała mi adrenalinę do żył, szumiało mi w uszach. Starąłem się uspokoić oddech i odsunąć od siebie narastające przerażenie. Pozbawiony pterodaktyłów byłem praktycznie bezbronny.

Zerknąłem na mężczyznę. Był wysoki i silny. Coś w jego sylwetce przyciągało wzrok, a zarazem sprawiało, że miało się ochotę natychmiast zawrócić z drogi, na której się pojawił. Po prostu zbyt dobrze prezentował się w mundurze, jakby urodził się specjalnie po to, żeby go nosić. Nie dało się też spokojnie patrzeć na jego dziką twarz, przeciętą czerwoną blizną na prawym policzku. Przypominał mi wiernego raptora Taniela z prawie bliźniaczą pręgą na pysku.

Bałem się zaatakować go pierwszy. Wolałem czekać na jego ruch. Pomyślałem, że właśnie ten wybór odróżniał mnie od Tyrsa i Tycjana. Oni nie cofali się przed nikim.

Mężczyzna sięgnął do pasa po nóż. Mocno ścisnął go w dłoni ukrytej w czarnej skórzanej rękawiczce.

- Wykurzę cię stamtąd, mały pterodaktylu!

Błysnął nóż, popłynęła krew. Mężczyzna z niezwykłą precyzją zadrasnął gada w szyję, omijając jego niebezpieczne zęby. Ten przeraźliwie zaskrzeczał. Miał rozplataną tętnicę.

Europejczyk ponowił atak, tym razem wydłubując zwierzęciu oko. Odbezpieczyłem broń i strzeliłem zza skrzydła rannego pterodaktyla. Chybiłem. Kula utkwiała tylko w jego ramieniu, ale ani trochę go nie spowolniła. Udało mi się za to wreszcie przyzwać drugiego pterodaktyla. Skoczyłem na niego bez zastanowienia i uczepiłem się jego grzbietu jak ostatniej szalupy ratunkowej. Ostro zaprotestował, ale nie odważył się mnie zrzucić.

Już prawie pozwoliłem sobie na westchnienie ulgi. Już prawie wróciła mi jasność myślenia i zacząłem na nowo formować pterodaktyle w małe oddziały i posyłać je do ataku...

Seria z karabinu maszynowego rozerwała mojemu gadowi brzuch. Nie wznieśliśmy się zbyt wysoko, więc gdy spadłem z powrotem na pokład, drasnąłem się tylko w ramię, którym zamortyzowałem upadek. Tym razem mężczyzna od razu był przy mnie. Wyszarpnął mnie spod ciała gada i przygwoździł swoim ciężarem do desek pokładu.

Krztusiłem się własną krwią. Zbroja wytrzymała pierwszy cios. Nie spodziewałem się, że miał aż tyle siły. Okazał się wręcz nadludzko wytrzymały. Wykręcił mi nadgarstek dłoni, w której trzymałem broń, i przycisnął go do pokładu. Strzeliłem w powietrze, chybiając celu. Zaśmiał się gardłowo, jak rasowy drapieжник. Odebrał mi pistolet i odrzucił go w przeciwnym kierunku.

Upadek i szarpanina na nowo otworzyły mi ranę w boku.

Kręciło mi się w głowie od gorąca i wzmagającego się bólu. Nie poznawałem własnego ciała. Było potłuczone i spuchnięte. Chciałem się od niego oddzielić i pofrunąć do góry śladem pterodaktyłów. Mężczyzna uderzył moją potylicą o deski, aż pojawiły mi się mroczki przed oczami. Zacharczałem i wyplułem krew. Resztkami sił trzymałem się życia. Ostatni raz wezwałem mojego poranionego pterodaktyla, który przyczołgał się w naszą stronę, nie zważając na strzały oddane w jego kierunku przez obserwujących nas żołnierzy. Niektóre pewnie dosięgnęły celu. Jego twardy dziób trafił mojego napastnika w plecy. Zawył z bólu. Zdołałem się spod niego wyczołgać i na czworakach przebyć jeszcze niewielką odległość dzielącą mnie od burty. Zamierzałem rzucić się do wody.

- A jednak ciągle się nie poddajesz. Jesteś pierwszą osobą, która od bardzo długiego czasu zdołała tak bezpośrednio mi zagrozić - usłyszałem nad sobą.

Silne szarpnięcie obróciło mnie znowu przodem do mojego napastnika. Zauważyłem wreszcie, że jego nóż miał kształt fali, zdobiły go podłużne cięcia, które zapewne zdobył w niezliczonych walkach.

Z nieba lał się żar. Strach zacisnął swoje chude palce na moim sercu, prawie wyrwał mi je z piersi. Najbardziej przerażało mnie, że już nigdy nie zobaczę Tycjana i że ostatni raz spotkaliśmy się na scenie Zadara. Zapamięta mnie jako bezwstydną dziwkę, która wzgardziła jego miłością. Chciałem mu powiedzieć, że to nieprawda, że mimo wszystkich dzielących nas różnic i drażliwych sytuacji wciąż

bardzo go kochałem. Choć nie mogliśmy być razem. Ale czy to w jakikolwiek sposób zmniejszyło moją miłość do niego?

- To, co potrafisz... jest niesamowite. - W szarych oczach mojego napastnika pojawiły się iskierki żywego zainteresowania. - Jestem wicecesarz Sin i chcę cię mieć w swojej świątyni. Jak się nazywasz?

Jęknąłem. *Rozumiesz już, dlaczego nie powinieneś żyć? Jesteś przeklęty, Tuluszu.*

Łzy przysłoniły mi widok. Zdradliwe podszepty Tulii nie pomagały w podjęciu decyzji.

A mogłeś to już zrobić wcześniej. Wtedy u Zadara, kiedy zamierzałam to zrobić za ciebie. Ja zawsze wiem lepiej, Tuluszu... Mama zawsze wie lepiej...

- Zamknij się! - krzyknąłem.

Nie spodziewałem się, że złapię go za rękę, w której trzymał nóż, i zmuszę, żeby mnie nim dźgnął. W to samo miejsce, w które wcześniej zraniła mnie Anna - prosto między wiązania zbroi. Moje palce otoczyły jego dużą dłoń, z bardzo bliska spojrzałem mu w oczy. Zobaczyłem w nich najczarniejszą otchłań. Taką, w którą się wpada i z której już nigdy się nie wraca.

- Nazywam się... Daniel Donner.

ROZDZIAŁ 15

Tyrs

Stałem na końcu molo, opierając ciężar ciała na moim łuku. Zaciskałem palce na jego wypolerowanej rękojeści. Na plecach ciążył mi kołczan ze strzałami. Przygotowałem wszystkie kolory lotek - począwszy od tych z trującym gazem, na pokrytych trucizną skończywszy. Zamierzałem zabić tylu wrogów, ilu tylko zdołam. Przyszedł wreszcie ten moment, w którym nie musiałem okazywać nikomu litości. Byłem sam. Cholernie i bezpowrotnie sam.

Europejskie statki zbliżały się do portu. Przez dłuższy czas obserwowałem przez lornetkę bitwę z udziałem pterodaktyłów. Gdzieś w oddali mignął mi nawet Tulusz, ale potem nagle straciłem go z oczu. Jeszcze przed chwilą leciał na pterodaktylu, gdy po prostu zniknął mi z pola widzenia. Jego zwierzęta się rozproszyły. Jeden ze statków wykonał niebezpieczny manewr, niszcząc przy tym szlak bojowy.

Czułem to - bo takie chwile dzieliło się z przyjaciółmi. Bo w takich chwilach przyjaciele byli nimi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Do tej pory zapamiętałem bronienie swojego gniazda. Uważałem, żeby na pewno nikogo nie stracić, i kiedy to się w końcu stało, nie umiałem znaleźć

słów, które mogłyby wyrazić moje cierpienie. W mojej głowie rozległ się przeraźliwy wrzask; z całej siły zaciskałem zęby, żeby nie pozwolić mu się wydostać na wolność. Wydawało mi się, że gdy to zrobię, usłyszy mnie nawet wicecesarz Sin.

A zatem Tuliusz zginął. Nic innego nie tłumaczyło popłochu w stadzie pterodaktyłów. Uciekały na oślep w różnych kierunkach, ale żaden nie odważył się skierować do portu. One już wiedziały, że Twierdza Kimerydu za chwilę zamieni się w wielkie cmentarzysko. Wrócą dopiero, żeby pożywić się naszymi martwymi ciałami.

- To ty jesteś Tyrs? - Tuliusz Donner po raz pierwszy odezwał się do mnie w pierwszej klasie gimnazjum.

Dotąd tylko uważnie obserwował mnie i Tycjana zza szkielec swoich okularów. Wyglądał w nich bardzo poważnie. Mały pierdolony naukowiec - tak go właśnie nazywałem. Tycjan tylko wzruszał ramionami, już wtedy bowiem miał do niego słabość. Podobały mu się jego chude, drobne dłonie i duże, ciekawskie oczy, którymi ścigał nas na każdej przerwie i nawet w drodze do domu. Był w stanie uciekać przed swoją seksowną matką, żeby tylko śledzić nas ulicami Twierdzy. Wiedzieliśmy o tym i skrycie się z niego nabijaliśmy.

Tylko zerknąłem na niego spode łba. Leżałem na ławce, opierając głowę na rękach.

- Od podstawówki jesteśmy w jednej klasie - burknąłem.
- Nie znasz mnie? Serio?

- Oczywiście, że cię znam. Po prostu nie wiem, jak to się robi.

- Robi co?

- No wiesz... Zagaduje do straszego raptora.

Uśmiechnął się. Miał poczucie humoru. Na pewno nie tak zdrożne i pokręcone, jak ja i Tycjan, ale dobrze rokował. Poza tym uśmiechał się tak, że trudno było nie odwzajemnić jego serdeczności. Wtedy Tulusz po prostu to w sobie nosił, jak wielką tarczę przeciwko całemu światu - pogodę ducha. Był najlepszy z naszej trójki. I zawsze przez to cierpiał.

- Dobrze ci idzie. Przynajmniej teraz - zapewniłem. - Twoja matka wie, że za nami łąsisz?

- Och. - Zaczerwienił się i poprawił okulary na nosie. - Chyba się domyśla.

- Może ma ochotę na seks z nieletnim?

- Raczej nie. Ale przekażę jej, że jesteś zainteresowany.

- Lepiej nie. Jest dla mnie zbyt pieprzna. Nie do pieprzenia.

- To zabrzmiało prawie poetycko, panie Mollina. Prychnąłem.

- Dziękuję, panie Donner.

Tak, to był dobry czas. Kiedy byliśmy razem i nie byliśmy przy tym uszkodzeni. Tulia jeszcze nie istniała, Teobald kochał Arabellę, a Tycjan pierwszy i ostatni raz w życiu czuł się dobrze we własnej skórze. Za to ja nie podejrzewałem wtedy, że moja matka sprowadzi na ten świat jeszcze jednego raptora.

Mocniej zacisnąłem zęby, przygryzłem sobie przy tym

wnętrze policzka. Poczulem krew w ustach i to mnie wreszcie otrzeźwiło. Tulusz nie chciał mi powiedzieć, co się stało z Tanielem; musiał mieć ku temu swoje powody. On w przeciwieństwie do Tycjana dotrzymywał danego słowa, nawet jeśli oznaczało to postawienie relacji z innymi ludźmi pod wielkim znakiem zapytania. Żałowałem tego, co mu powiedziałem przed jego odlotem. Żałowałem tego, choć powiedziałem mu prawdę. Od dawna podejrzewałem, że Tulusz nie był ot tak, po prostu chory, że raczej pod postacią Tulii ukrywał samego siebie i swoje najskrytsze pragnienia. Mimo to wiedziałem już, że prawda nie zawsze popłaca. Pozostawiła zbyt gorzki posmak na moim języku.

Wolałem widzieć uśmiechniętego Tulusza i jeszcze tego Tulusza pochylonego nad swoimi książkami. O, i tego, gdy na pustyni stanął na wysokości zadania – poprowadził pterodaktyle do zwycięstwa nad Miastem Krokodyli. I tego, gdy przyleciał do mnie do domu późno wieczorem i poprosił mnie, żebym pomógł mu oswoić ból, otworzyć się na więź z jego zwierzętami.

Nie tego, który lekko przygarbiony odszedł walczyć w nierównym pojedynku i któremu wcześniej jego najlepszy przyjaciel przypomniał, że był dziwką. Nie tego, który zniknął mi z pola widzenia, kiedy śledziłem tor jego lotu przez lornetkę. Nie tego, którego pożarło Cesarstwo.

To Cesarstwo, które za to rozdrapię pazurami, rozerwę zębami i któremu wyrwę serce, żeby je potem zjeść. I któremu rozedrę brzuch – i wtedy odda mi Tulusza i wszystkich ukochanych, których mi jeszcze zdoła odebrać.

Taką przysięgę złożyłem sobie na końcu molo, opierając ciężar ciała na moim łuku.

Statki Mattiasa wypływały z portu na spotkanie okrętów Sina. Zanim przyszedłem na molo, żeby przyglądać się postępom Tulusza, natknąłem się na Alicję. Wyszła mi na spotkanie z portowego domu zajętego przez Lud Pustyni. Prawie jej nie poznałem. Miała na sobie ciężką zbroję strażnika wąwozu, ale jej gęste włosy podtrzymywała czerwona apaszka, taka sama, jaką nosili członkowie Ludu Pustyni. Prawdę mówiąc, nie myślałem o niej. Moją głowę ciągle zaprzętała tamta trudna rozmowa z Tytusem Beringiem i wszystkie obawy, które w związku z nią odczuwałem. Najbardziej martwiłem się jednak o Tycjana, pozostawiłem go w końcu w rękach przyczajonej bestii – nawet jeśli ta bestia próbowała postępować w cywilizowany sposób, przynajmniej w przyływie wyrzutów sumienia.

- Co robisz? - zapytałem tak zdumiony jej widokiem, że prawie się potknąłem o własne nogi, zatrzymując się w miejscu.

- Szukałam cię. Chciałam cię poinformować, że wypływam razem z Ludem Pustyni.

Nie patrzyła na mnie. Utkwiła wzrok w dalekim punkcie za moimi plecami.

- Słucham? - Zabrzmiałem głupio, nawet ja to usłyszałem.

Wtedy jej ciężkie spojrzenie wreszcie spoczęło na mnie.

Nigdy tak na mnie nie patrzyła. Tak oceniająco, prawie pogardliwie, a zarazem spokojnie i z pewnym szacunkiem. Mimowolnie się wyprostowałem.

- Tyrs... Dojrzałam do tego, żeby pójść własną drogą. Nawet jeśli doprowadzi mnie ona do porażki, nawet jeśli zginę w tej bitwie... To będzie moja decyzja. Nie możesz zmusić mnie siłą do jej zmiany. Wiem, że uważasz babkę za wcielenie zła i nie zamierzasz uznać jej racji. Wiem też, że nie przystąpisz do Ludu Pustyni. Co nie oznacza, że ja tego nie zrobię.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale uniosła dłoń i położyła ją na moich wargach.

- Zamknij się, głupku. Naprawdę tak ma wyglądać nasze pożegnanie? Będziesz mnie strofował i rzucał złośliwości, których później będziesz żałował?

Cofnęła rękę. W milczeniu się sobie przyglądaliśmy, jakbyśmy w ten sposób zapamiętywali najmniejsze zmarszczki na naszych twarzach, wszystkie niedoskonałości naszych fizjonomii, ale też zachwycali się naszą urodą. Alicja była zjawiskową młodą kobietą. I tak, miała wiele powodów, żeby mnie znienawidzić i odejść z Ludem Pustyni bez słowa pożegnania.

Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym ją stracić. Była podporą naszej rodziny... naszego stada. Moim zdrowym rozsądkiem, silną, terytorialną raptorzycą. Bez jej wsparcia nie zaszedłbym aż tak daleko. W ogóle by mnie tutaj nie było. Nadała sens mojemu życiu.

Ale musiała odejść. Byliśmy dla siebie zbyt silni, już

zaczynaliśmy walczyć o dominację i z czasem zapewne się to nie zmieni, a jeszcze zacznie eskalować i promieniować na całą naszą rodzinę. Wiedziałem, że jeśli los nie zdecyduje inaczej, już nigdy więcej jej nie spotkam, bo ona nie zamierzała do mnie wrócić. Albo zginie, albo odejdzie z Abbą i Ludem Pustyni. Naprawdę się żegnaliśmy.

- Taniel nadal się nie znalazł - oznajmiłem, przełykając ślinę.

Zmarszczyła brwi. Zbierała się w sobie, żeby coś powiedzieć. Coś ważnego, bo jej zmarszczka przerodziła się w niewielką bruzdę na czole.

- I może się nie znajdzie - wyrzuciła to z siebie, jakby sama się bała swoich słów. - Posłuchaj... w tym dziecku czai się mrok. Nie widzisz tego, bo owinął sobie ciebie wokół palca. Wybrał cię. Tylko ciebie słuchał, więc mogłeś nie zauważyć, jak traktował innych.

- Alicjo, do jasnej cholery! Taniel jest dzieckiem! Jest najmłodszy z nas wszystkich!

- To niczego nie zmienia.

Podeszła do mnie i położyła dłoń na moim ramieniu.

- Obiecuj mi, że będziesz uważał. Na siebie i na niego, jeśli cię znajdzie.

- Co to znaczy: jeśli *on* mnie znajdzie?!

- Bo nie znajdziesz go, jeśli nie będzie chciał, żebyś to zrobił. - Pokręciła głową. - Abba mówi, że dla Taniela nie ma nadziei...

- Zaraz od tego zwariuję! Co ona znowu wymyśliła za bzdury?! I ty mnie zostawiasz w takim momencie? Co będzie

z Terrą i Anetą?

Uśmiechnęła się. Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

- Dacie sobie radę. Zaopiekujesz się nimi. Dorosną i Terra zostanie wielkim myślicielem, może nawet pisarzem. Co o tym sądzisz? Profesor Terra Mollina na Uniwersytecie Krokodyli. - Zachichotała. - A Aneta będzie śpiewać. Zawsze najpierw dla ciebie, potem dla mnie. Będzie piękniejsza ode mnie, nawet mimo swoich zębów. Już jest ode mnie piękniejsza. Ma dużo naturalnego wdzięku, zauważyłeś? - Głos jej się załamał.

Mocno ją objąłem. Płakała. Ja nie mogłem, chociaż chciałem. Bardzo tego chciałem.

- To był dobry czas. Dziękuję, że się mną opiekowałeś. Dziękuję, że opiekowałeś się nami.

Odsunęła się ode mnie. Wziąłem ją za rękę i przytrzymałem w swojej. Odwróciła się. Ciemne loki rozsypały jej się na ramieniu. Dotknąłem ich i dopiero wtedy ją puściłem.

Potem starałem się zapanować nad myślami, skierować je w stronę działania. Krążyłem więc między stacjonującymi strażnikami wąwozu, chwilę porozmawiałem z Teobaldem i Treweriuszem na temat obrony wybrzeża; poczułem się odrobinę lepiej. Znowu byłem w ruchu. Nadzorowałem rozdawanie broni, pożegnałem się z Tuliuszem i wyposażyłem go w amunicję, zanim odleciał na

pterodaktylu w kierunku horyzontu. Nowy dzień wstawał z impetem. Słońce niemiłosiernie prażyło i pokrywało moją wysuszoną skórę nową warstwą potu.

Uciekałem przed odpowiedzialnością. Ja - wielki, straszny raptor, podpora rodziny, harujący nastolatek doroślejszy od własnej matki, wychowujący nieletnie rodzeństwo, niedoszły, domorosły bohater Straży Wąwozu i pupil Teobalda Elasmosa. Ja. Nie umiałem się pogodzić z tym, że Alicja odeszła. Jakaś część mnie nadal wewnątrz warczała. Szeptala mi do ucha, żebym za nią pobiegł i nakazał, aby czuwała nad Terrą i Anetą i w razie potrzeby oddała za nich życie. Najmłodszy byli najważniejsi. Zapewniali przedłużenie gatunku. Tak, byliśmy już odrębnym gatunkiem: przebrany w ludzką skórę i w miarę cywilizowanym, ale nie byliśmy ludźmi. Nigdy nie byliśmy ludźmi.

W końcu zebrałem się w sobie i do nich poszedłem. Matka roztaczała wokół siebie niebezpieczną aurę. Była skłonna rzucić się na mnie z pazurami, ale ostatecznie na mój widok schowała się w sąsiednim pokoju. Nadal budziłem jej paniczny strach. Adelajda, Terra i Aneta znajdowali się w tej grupie, którą Teobald rozkazał ewakuować z powrotem do miasta i ukryć w kanałach w razie porażki sił Twierdzy Kimerydu na oceanie.

Aneta rozplakała się na mój widok. To była jej standardowa reakcja na kryzys, więc paradoksalnie ponownie ogarnął mnie spokój. Wszystko było na swoim miejscu. Wziąłem ją na ręce i mocno do siebie przytuliłem.

- Spociłam się i nie mogę zmienić sukienki! - chlipnęła. - Nikogo nie obchodzi, że tak fatalnie wyglądam!

- Kupię ci całą szafę nowych sukienek, kiedy to wszystko się skończy - obiecałem.

- Wszyscy są tutaj bardzo nieuprzejmi i wrogo na nas patrzą! - skarżyła się dalej.

Demonstracyjnie rozejrzałem się po ludziach szykujących się do ewakuacji. Odwrócili wzrok. Bali się mnie, tak jak moja własna matka. I bardzo dobrze.

- Widzisz, już się nie odważą wam dokuczać. - Pocałowałem siostrzyczkę w czoło; było spocone, ale chłodne. - Jak się czujesz?

- Niezbyt dobrze... Chyba mam dreszcze.

Zakląłem w myślach. Aneta źle znosiła stresujące sytuacje. Od razu reagowała infekcją. Potrafiła się rozchorować z powodu ostrej kłótni. Jeśli nie wykończą jej monstrualne zęby, to na pewno zrobią to zbyt silne emocje.

- Opanuj się, Ane, twój brat i matka są z tobą. Musisz cały czas trzymać się Terry, rozumiesz? Co by się nie działo, nie wolno ci spuścić go z oczu. Ja zajmę się teraz oczyszczeniem portu z naszych wrogów i dopiero wtedy do was wrócę. Ale zrobię to. Zrobię to na pewno.

Odchyliłem ją tak, żeby mogła mi spojrzeć w oczy. Tarła swoje do czerwoności zaciśniętymi piąstkami.

- Wierzysz mi?

- Zostawiasz nas, jak Alicja. Ona powiedziała, że na pewno nie wraca.

Jeszcze raz bezgłośnie zakląłem. „Wielkie dzięki, Alicjo”,

pomyślałem.

- Albo zgubisz się jak Taniel i nie będziesz chciał się odnaleźć. Na pewno umrzemy - dodała tym dobrze mi znanym pesymistycznym tonem, który zwiastował jej kolejną długą chandrę.

Potrząsałem nią mocniej, aż pisnęła.

- Nie umrzemy, słyszysz! Kurwa, nie umrzemy! Będziesz bezpieczna i wrócimy do domu! Wszyscy! Ja, Alicja, Terra, ty i Taniel!

To zawsze pomagało. Tym razem też tak było. Uspokoila się i powoli, poważnie pokiwała głową.

- Zgnijesz, jeśli nie dotrzymasz słowa, Tyrsie Mollina. - Zrobiła się arogancka; odetchnąłem z ulgą.

- Zgniję, jeśli nie dotrzymam słowa. - Uroczyście uniosłem rękę.

Zachichotała.

- Wyobraziłam sobie, jak gnijesz.

Postawiłem ją na ziemi. Złapała Terrę za rękę. On nic nie mówił. Nie musiał. Ja też nie musiałem nic mówić. Bo on wiedział, jak marne mieliśmy szanse, i nigdy nie umiałem go w żaden sposób oszukać.

- Abba proponowała mi, żebym dołączył do Alicji - powiedział jednak.

Skinąłem głową.

- Mówiłem ci. - Uśmiechnął się łobuzersko, jakby wiedział, o czym myślałem. - To nie dla mnie. Wiesz, Lud Pustyni, Straż Wąwozu, dowodzenie armiami... Jestem na to zbyt leniwy.

- Teraz, o dziwo, bardzo się z tego cieszę. - Ścisnąłem jego ramię. - Bądź przebiegły - przypomniałem. - Nigdy nie rezygnuj ze swojego sprytu.

Skinął głową. Ten mój niesforny brat.

- Będę się rozglądał za Tanielem - powiedział. - A ty z powrotem sprowadź Alicję. Wiem, że to potrafisz.

Zaśmiałem się. Nie spodziewałem się tak dużego wsparcia z jego strony. Z matką się nie pożegnałem. Zwyczajnie dlatego, że tego nie chciała. I ja tego nie chciałem.

Stałem na końcu molo, opierając ciężar ciała na moim łuku. Statki Mattiasa zacięcie się broniły, ale mimo to linia frontu przesuwała się w stronę wybrzeża. Wiedziałem już, że nie dotrzymam danego Anecie słowa i zgniję. Alicja mogła już dawno nie żyć trafiona jednym z pocisków licznie wypuszczanych przez okręty Sina.

Sięgnąłem po strzałę z ładunkami wybuchowymi, nałożyłem ją na łuk i odczekałem, aż jeden ze statków wroga znajdzie się w moim zasięgu. Zwolniłem cięciwę. Pomarańczowe światło poszybowało w stronę pokładu. Wiatr zniósł je trochę bardziej w pobliże zacumowanych na nim helikopterów. Eksplozja zajęła połowę pokładu. Wycelowałem i strzeliłem jeszcze raz. Tym razem cały okręt stanął w ogniu.

Sąsiedni statek Sina skierował we mnie działa. Zanim wystrzeliły, zdążyłem posłać w niego dwie strzały. Obie

dosięgnęły swoich celów, wzbijając fontannę ognia i iskier.

Obróciłem się i zacząłem biec w stronę plaży. Akurat zdążyłem w momencie, gdy pocisk wyrwał fragment molo i zatopił go w martwym oceanie. Wyhamowałem na plaży i jeszcze w ruchu sięgnąłem po kolejną strzałę. Ta była wyposażona w trujący gaz. Wybrałem sobie cel, w duchu prosząc uniwersalnego boga i wszystkie bożki afrykańskie o pomyslność wiatru. Trucizna uaktywniała się przy zetknięciu z pokładem. Lepiej, żeby nie wylądowała na którymś ze statków Mattiasa. W pobliżu spadł następny pocisk, wznosząc gejzer piasku; obsypał mnie, drobne ziarenka przykleiły mi się do spoconego karku i policzków. Nie straciłem jednak celu z oczu. Wciąż stałem w tym samym miejscu, czekając na odpowiedni moment. Rozległa się eksplozja - tym razem za moimi plecami. Poczulem piasek we włosach, smagnął mnie też po plecach, jakby ktoś strzelił z bicia.

Puściłem cięciwę. Strzała z pomarańczową lotką poszybowała w stronę najbliższego okrętu wroga. Widziałem, jak znika za jego burta, a chwilę potem nad statkiem zaczęła unosić się trująca, pomarańczowa chmura chemikaliów. Ludzie w popłochu rzucali się do wody. Odwróciłem się w stronę portu, ale tym razem siła uderzenia zwała mnie z nóg. Na plaży wykwitł ogromny krater. Trzymałem się za głowę, z trudem łapiąc powietrze w skurczone płuca. Zrewanżowali się podobnym trującym gazem, ale ich atakował wzrok i układ nerwowy. Zawróciłem w kierunku wody. Na jej powierzchni nadal unosiły się plamy ropy. Nie

lubiłem pływać i wzdrygnąłem się, kiedy zalała mi kostki, a potem nogi aż do połowy ud. Ocean znowu stanął w ogniu. Byłem w potrzasku. Rozejrzałem się za możliwą drogą odwrotu i puściłem się biegiem wzdłuż linii brzegowej. Deptałem przy tym ryby i inne morskie stworzenia, które zginęły w wyniku wypuszczenia ropy do oceanu. Odnosiłem wrażenie, że załoga jednego z ocalałych okrętów Sina wzięła mnie sobie za cel. Wokół latały kule, rozpryskując dokoła słoną wodę i piasek. Lada moment coś we mnie trafi i rozerwie na kawałki. Byłem zbyt odkryty. Na szczęście zbliżałem się do miejsca, gdzie stacjonowali strażnicy obsługujący działko z moździerzami, które dostaliśmy od Tytusa Beringa.

Nigdy wcześniej nie byłem w Mieście Krokodyli. Teobald trzymał mnie z daleka od tego miejsca, z uśmiechem twierdząc, że na pewno mi się w nim nie spodoba. Nawet kiedy już Anna pojawiła się w naszym regionie, zbywał moją ciekawość ironicznym komentarzem albo udawanym rozbawieniem. Dopiero teraz zrozumiałem, co konkretnie chodziło mu wtedy po głowie. To miasto było cholernie uporządkowane, jednolite i czyste. Ludzie wyglądali tak, jakby Bering trzymał ich tutaj zamkniętych w sekcie. Wszyscy ubrani w podobne stroje, poważni i kulturalni, a w moim mniemaniu - po prostu nadęci i zadufani w sobie. Nad Miastem Krokodyli unosił się nieznośny opar przejrzałego intelektualizmu, na kształt ropienia, który tylko

czekał, żeby przebić go szpilką. Nie zamierzałem w tym uczestniczyć. Brzydziłem się bowiem ropą.

Moje obawy wobec nadmiernie wykształconych ludzi sprawdziły się w stu procentach w przypadku Anny, kiedy więc Tytus pochwalił się, że pisze wiersze, zacząłem niedyskretnie rozglądać się za alkoholem. Podał mi go bez mrugnięcia okiem, uśmiechając się przy tym z tą wkurwiającą wyższością, którą serwowali mi nauczyciele i wyżsi urzędnicy Twierdzy za każdym razem, kiedy nie potrafiłem się wypowiedzieć na jakiś zupełnie irracjonalny literacki bądź kulturalny temat.

- Rozumiem, że nie jesteś wielbicielem poezji, panie Mollina - stwierdził Bering, popijając tę samą wódkę z agawy, którą wcześniej poczęstował mnie.

- A ja rozumiem, że nie ściągnąłeś mnie tutaj, żeby prezentować mi swoją twórczość na wieczorku poetyckim - zadrwiłem. - Tycjan musi wrócić do Twierdzy.

Bering zapalił papierosa, przyjacielskim gestem podsuwając mi papierośnicę. Nie pogardziłem jego serdecznością. Papieros smakował niesamowicie. Wypełnił moje płuca słodkim, leniwym dymem. Oblizałem wargi.

- Dobry, prawda? Smakowa nikotyna z domieszką marihuany.

Skinałem głową.

- Jesteś konkretną i do bólu praktyczną osobą, panie Mollina - powiedział. - Dlatego zagram z panem w otwarte karty: wesprę Twierdzę w potyczce z Cesarstwem. Mam swoje powody - jednym z nich jest nasza wspólna

przyjaciółka Anna Guiteerez, a drugim... powiedzmy, że nie chcę więcej spotkać wicecesarza Sina na swojej drodze. Dobrze mi się tutaj żyje, jestem teraz osobą szanowaną, rządę w bogatym i ludnym mieście, które wszystkimi siłami wzdryga się przed wojną... Wolę, żeby moim sąsiadem był Teobald Elasmos, który potrafi czarować dzikie, pustynne bestie i przy okazji otoczy opieką również swojego nowego sprzymierzeńca...

- Ale? - zapytałem wprost, bo zawsze musiało być jakieś ale.

Roześmiał się.

- Lubię cię, panie Mollina. Uważam, że to straszne, bo ciężko tak szybko przekonać mnie do obdarzenia kogoś sympatią. Skądinąd na fali panującej ostatnio mody na raptory... postanowiłem, że też chcę mieć swojego. - Wymownie spojrzał mi w oczy. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Mam, kurwa, nadzieję, że nie. - Ze złością odstawiłem kieliszek z wódką.

Tytus uniósł ręce w obronnym geście.

- Jaką mam mieć gwarancję, że Twierdza nie postanowi kiedyś zaatakować Krokodyli, skoro nie będziemy się w ogóle integrować? Dlatego podeślesz do mnie jedno ze swojego rodzeństwa na... wychowanie i naukę. Mamy tutaj najlepszych nauczycieli, artystów, pisarzy, malarzy...

- Twoje, kurwa, niedoczekanie - warknąłem.

- Pokój za jednego dzieciaka, który będzie strzegł naszych bram. - Bering uparł się przy swoim. - To nie będzie niewola, będziecie mogli się swobodnie widywać, ale

dzieciak przysięgnie lojalność Miastu Krokodyli i uczynię z niego mojego osobistego obrońcę. Wciąż pamiętam, co zrobiliście z moimi oddziałami na pustyni. A przecież to nie były jakieś niewiniątka, baby i dzieci z kijami, tylko jednostka doborowych żołnierzy, uzbrojona po zęby! Przyszłość Afryki leży w kontrolowaniu dinozaurów. Miasto Krokodyli musi mieć swojego raptora. Albo się zgadzasz, albo własnoręcznie poderżnę gardło Tycjanowi. Koniec dyskusji.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Byłem pod ścianą. Ale tak, nie mogłem odmówić słuszności jego wywodowi. Tytus doskonale ocenił swoje szanse, dokonał też rozsądnego oszacowania motywacji Teobalda. Któryś z małych Mollinów gwarantował mi moje wsparcie i pewność, że Teobald nie odważy się sięgnąć po bogactwa i ziemie Miasta Krokodyli.

Odchrząknąłem.

- Mój młodszy brat Terra mógłby się nawet ucieszyć z tej propozycji - powiedziałem, wściekając się na siebie, że odczuwam przy tym ulgę. - Ale nie wyjadę stąd z pustymi rękami. Daj mi amunicję do walki w porcie.

Bering teatralnie zatarł ręce.

- Bierz, co chcesz, panie Mollina! Twój mały Terra będzie miał u nas raj na ziemi!

Tak po prostu sprzedałem Terrę. Oddałem go za wóz wyładowany karabinami i prochem. Chociaż jakie to miało teraz znaczenie? Śmierć dosięgnie nas szybciej niż Tytus Bering.

Walczyłem już od dobrych paru godzin. Część statków Mattiasa uciekła przed nadciągającymi okrętami Sina, które mnożyły się na horyzoncie; pozostawało nam tylko spróbować odeprzeć ich na lądzie. Pierwsze cesarskie oddziały, którym udało się wylądować na brzegu, zostały dosłownie zmiażdżone przez siły Straży Wąwozu. Plaża i port znowu spływały krwią. Abba wypuściła swoje raptory, w ich tłumie rozpoznałem też kilka moich. Zdążyły już jednak o mnie zapomnieć i nie chciały poddać się mojej władzy. Wyminęły mnie pogardliwie, wydając z siebie przeciągłe wrzaski. Pewnie powinienem był wyruszyć na pustynię i ich poszukać, i w normalnych okolicznościach tak bym właśnie zrobił, ale wydarzenia ostatnich miesięcy tak mnie zajmowały, że rzadko zapuszczałem się na dalekie patrole, a co dopiero w okolice stacjonowania Ludu Pustyni.

Owszem, raptory przydałyby mi się w walce, ale tak naprawdę nie lubiłem ich do tego wykorzystywać. Robiłem to wcześniej, mimo to bałem się, że uzależnię się od przewagi, którą dawały ich ostre kły i pazury, odbierając mi przy tym wolę walki i odsuwając mnie w cień. Moja rola ograniczała się wtedy tylko do architekta zdarzeń. Z tego powodu czułem się od nich zależny, a każda zależność w życiu miała swoją cenę. Przekonałem się o tym już od najmłodszych lat, choć nie udało mi się uniknąć zobowiązań w relacjach z innymi ludźmi. Chociażby z Teobaldem, Tycjanem czy Tuluszem. Chociażby z moją przeklętą matką i rodzeństwem. Raptory zaś miały się trzymać ode mnie z daleka. Wyobrażałem sobie, że będę ich używał do woli, ale nigdy nie pozwolę, żeby

przyszły upomnieć się o zapłatę za swoją służbę. Cieszyłem się więc, że odeszły i zapomniały o mnie w Lesie Kalahari, podporządkowując się nowej hierarchii narzuconej im przez Abbę. Jeśli sytuacja mnie do tego zmusi, znajdę sobie nowe stadko, które uzna moją władzę nad sobą i będzie mi służyć.

Na przemian strzelałem z łuku i ciętym nożem, nie zważając na śmigające wokół raptory. Poruszałem się jak w gorączce albo w surrealistycznym śnie. W pewnym momencie zorientowałem się, że brakowało mi strzał w kołczanie. Przestałem więc w ogóle strzelać, pozostawiając trzy strzały z różnymi lotkami do wykorzystania w naprawdę trudnych sytuacjach. Walczyłem teraz tylko krótkim mieczem, co chwila sięgając po któryś z moich puginałów doczepionych do pasa. Znaczyłem za sobą krwawą ścieżkę.

Nie liczyłem, ilu żołnierzy cesarskich zginęło z mojej ręki. Poruszałem się szybko i jednostajnie, zdecydowanie szybciej niż oni, co niektórych napawało przerażeniem osłabiającym ich ruchy. Ich wahanie było moją przewagą i bezpardonowo ją wykorzystywałem. Wreszcie zmieniłem miejsce wzmożonej aktywności, z plaży przenosząc się na ulicę portu, gdzie udało mi się spotkać z najbliższą ochroną Treweriusza i częścią strażników z mojego oddziału A. Zostałem z nimi, wspomagając ich w walce. Treweriusz sam wcisnął mi karabin do ręki. Moja szybkość w połączeniu z doskonałą celnością działała cuda. Formacje Sina musiały się przegrupować i na jakiś czas zaprzestać ataku.

Zapadła dziwna cisza. Rozglądałem się uważnie w oczekiwaniu na pojawienie się wroga. W tym czasie

strażnicy Treweriusza umacniali barykady w wąskiej uliczce, w której się znaleźliśmy. Wygodniej i bezpieczniej było nam strzelać, chowając się za fragmentami muru i starymi drzwiami.

- Chcemy negocjować - rozległ się głos z drugiego końca.

Treweriusz ironicznie prychnął.

- To rzeczywiście historyczny moment - skomentował, zwracając się w moją stronę.

Nic im nie odpowiedzieliśmy. Przyłożyłem lornetkę karabinu do oka i śledziłem ruch na przeciwległej ulicy. Mężczyzna wyszedł na jej środek. Trzymałem go na muszce, w przybliżeniu dostrzegając czarny mundur cesarskiego oficera i surową, wręcz statyczną twarz z czerwoną pręgą na policzku. Miał jasne, proste włosy sięgające do końca karku, gładko zaczesane do tyłu.

- Tyrsie Mollina, masz szansę uratować swoją ukochaną Twierdzę Kimerydu. Wyjdiesz do mnie?

Treweriusz położył dłoń na moim ramieniu.

- Tyrs, nie rób tego. Teobald wiele razy pokazywał mi go na telewizyjnych transmisjach z Europy. - Zniżył głos, pochylając się nad moim uchem. - To wicecesarz Sin.

Diabeł wyskoczył z pudełka - trzeba było go złapać i ukrećić mu łeb albo z powrotem tam wsadzić. Decyzja właściwie podjęła się sama. Myślałem o tym, co opowiedział mi Terra, szczególnie o tym, że Sin to najprawdopodobniej ojciec Tulusza. Potem przypomniałem sobie, że Tytus Bering był gotowy spiskować z Twierdzą, byle tylko znowu nie trafić

w ręce wicecesarza. Ja nie zamierzałem się go bać. Podniosłem się, ciągle trzymając broń na wysokości strzału. Treweriusz uczeplił się mojego ramienia.

- Na litość boską, Tyrs! Posłuchaj mnie! Zrób to chociaż raz w życiu! On cię zabije!

Zerknąłem na dowódcę Straży Wąwozu, uśmiechając się pod nosem.

- Albo to ja zabiję jego. Właśnie o to chodzi.

- Jesteś nam potrzebny. - Treweriusz uparł się przy swoim. - Bez ciebie i bez raptorów już przegraliśmy. Nie musisz nikomu niczego udowadniać!

- Ależ muszę.

- Nie będę cię osłaniał!

- Więc tego nie rób. - Wytrzymałem jego władcze spojrzenie. - Nie będę przed nim uciekał. Właśnie na to liczy.

Ostrożnie wyszedłem za linię barykady. Myślałem, że rozlegną się strzały albo uderzy we mnie granat, jednak nic takiego nie nastąpiło. Sin nadal na mnie czekał w nieruchomej, niezłomnej pozie, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż tułowia.

Zbliżałem się w jego kierunku z opuszczoną bronią, ale nadal trzymałem ją przed sobą, żeby w razie potrzeby móc po nią natychmiast sięgnąć. Przyglądał mi się z taką uwagą, że aż marszczył brwi. Ja też na niego patrzyłem, chociaż nie umiałem wyrobić sobie na jego temat zdania. Przypominał idealnie wyrzeźbiony posąg - bezduszny, choć intrygujący. Jego aura była jednoznacznie ciemna, prawie wyczuwałem pod palcami jej smolistą konsystencję. Nie tworzyło jej po

prostu jakieś tam sobie zło, ale zło doskonałe, takie oparte na braku jakiegokolwiek wrażliwości i zdolności do współczucia. Wicecesarz Sin był zwichnięty w najgorszy z możliwych sposobów - ledwo widoczny, powleczone mgiełką spokoju i charyzmy. Mogłem uwierzyć, że ludzie z radością pozwalali mu się zabijać albo szli na śmierć w jego imieniu. Paradoksalnie zaciekało mnie, co go takim uczyniło.

Stałem w niewielkim od niego oddaleniu. Serce biło mi bardzo szybko, jakbym miał zaraz rzucić się do ucieczki albo rozpocząć walkę na śmierć i życie.

- Inaczej sobie ciebie wyobrażałem. Gdzie twoja gadzia skóra i ogon? - zapytał Sin, lekko przekrzywiając głowę.

Nie było w tym ani krzty wesołości. On naprawdę poważnie zastanawiał się nad tym pytaniem, co mnie rozbawiło; miałem ochotę sobie z niego zadrwić.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem. - Wzruszyłem ramionami. - Gadzia skóra i ogony są niestety przereklamowane.

Nawet nie drgnęła mu powieka. Nie uśmiechnął się. Co za pajac. Nie, nie lubiłem go, i to serdecznie. Jak bardzo nieszczęśliwą i żalospną istotą musiał być, przejawiając cechy socjopaty, w dodatku bez odrobiny poczucia humoru? To przekraczało moją podobno ograniczoną raptorzą wyobraźnię.

Wtedy rozległ się wybuch. Gwałtownie odwróciłem się do tyłu i uniosłem karabin, było już jednak za późno. Barykada płonąła poszarpanym ogniem. Za jej osłoną jeszcze chwilę

wrzeszczeli ludzie, aż zapadła przerażająco wymowna cisza. Nad murem i pozostałościami drzwi unosiła się teraz zielona chmura oparów; ktoś rzucił w nich biologicznym granatem. Sin specjalnie mnie stamtąd wywabił. W pierwszej chwili zamierzałem z powrotem obrócić się w jego kierunku i natychmiast do niego strzelić, szybko jednak się opanowałem. Z jakiegoś powodu chciał mnie żywego. Nie pozwolę, żeby Treweriusz zginął na marne.

Powoli uniosłem obie ręce i dopiero wtedy spojrzałem na Sina. Mrużył oczy. Wciąż nie zmienił pozycji ani nie wykonał najmniejszego ruchu, za to za jego plecami żołnierze mierzyli do mnie z karabinów. Jeden fałszywy ruch mógł mnie kosztować życie. Położyłem broń przed swoimi stopami.

- Grzeczny chłopiec. Jestem pod wrażeniem - skomentował wreszcie Sin. - Zabieram cię ze sobą do Europy. Ale najpierw oddaj mi łuk.

Ach tak, marzył mu się osobisty raptor, tak jak Beringowi w Mieście Krokodyli. A jednak przemoc i okrucieństwo zawsze będą w cenie. Ogarnęło mnie uczucie bezsilności. Nie umiałem się zdobyć na to, żeby sięgnąć do pleców i zdjąć z nich łuk razem z kołczanem. To była moja broń, zbyt osobista rzecz, żeby tak zwyczajnie mu ją oddać. Wtedy czarno na białym dotarła do mnie powaga mojej sytuacji. Albo zginę, albo zostanę jego niewolnikiem. Nie poruszyłem się więc, czekając, aż rozerwą mnie kule.

- Hmm... Zamierzasz zrobić to samo, co ten chłopak pterodaktyl? Wolisz śmierć niż służbę dla Cesarstwa? To przecież nieprawdopodobny zaszczyt.

- Tulusz. Miał na imię Tulusz. - Uśmiechnąłem się na myśl, że przynajmniej wiedziałem już, jak zginął, i że do końca pozostał sobą. - Tulusz Donner.

- Był synem lady Donner, prawda? Przedstawił mi się swoim europejskim imieniem.

Skinąłem głową.

- Jesteś w Twierdzy Kimerydu. My przed nikim nie zginamy karku. Zabij mnie.

- Wszystko mi jedno. Jeśli nie ciebie, zabiorę któreś z twojego rodzeństwa. Tak, o nich też wiemy. Od Anny. - Sin wreszcie się uśmiechnął i był to najpaskudniejszy grymas, jaki w życiu widziałem.

Adrenalina uderzyła mi do głowy. Sam pomysł, że któreś z mojego rodzeństwa miałyby trafić w ręce tego popaprańca, wzburzył mi krew w żyłach. Bardzo chciałem go teraz zabić.

Patrzyliśmy sobie w oczy. W uszach słyszałem dudnienie serca, które zagłuszało resztki mojego zdrowego rozsądku. W końcu zdecydowałem, że rzucę się na niego z gołymi rękami. I tak nie zdążę sięgnąć po puginał ani tym bardziej po łuk.

Raptor z czerwoną pręgą na pysku dosłownie zeskoczył z najbliższego dachu i powalił Sina. To było tak niespodziewane, że zdążyłem tylko instynktownie położyć się na ziemi, zanim rozpętało się piekło.

Pamiętałem tego raptora. To był ten sam, który czał się przed moim domem, ten sam, którego zamknąłem w szopie

i który jakimś cudem zdołał stamtąd uciec. Raptory pojawiły się wszędzie. Były większe od gadów Abby, bardziej wojownicze i agresywne. Nie zważały na strzały z karabinów, parły do przodu jak pod wpływem magicznego zaklęcia. Z ich oczu wyzierała żądza mordu. Były szybkie i bezwzględne.

Na moich oczach Sin zrzucił z siebie Czerwoną Pręgę i nożem o falowanym ostrzu dźgnął go pod pyskiem, naruszając tętnicę. Potem w mgnieniu oka podniósł się z ziemi i utykając, skierował w stronę swojego oddziału. Dwóch żołnierzy zaczęło go osłaniać, odganiając od niego najbardziej zażarte bestie. Tylko rzuciłem na nich okiem, zanim złapałem karabin i zastrzeliłem potężnego ciemnowłosego mężczyznę ochraniającego Sina od lewej strony.

- Skurwiel - warknął drugi żołnierz, długowłosy blondyn o orlim nosie.

Strzelił mi prosto w pierś. Nabój stracił impet, natrafiając na moją zbroję, ale i tak ją przebił i płytko utkwiał między moimi żebrami. Blondyn chciał strzelić do mnie jeszcze raz, kiedy zaatakował go następny raptor, kłapiąc pyskiem. Wymierzył więc w niego. Głowa gada eksplodowała jak przejrzały arbuz.

- Zostaw go, L! - Sin uścisnął ramię swojego ochroniarza. - Musisz mnie stąd wydostać!

Blondyn posłał mi mordercze spojrzenie. Zamierzałem rzucić w niego puginałem i dostać się do wicecesarza. Gdyby tylko tak bardzo nie rozmazywał mi się widok... Wciąż uważałem, że nie byłem poważnie ranny. Wyciągnąłem przed

siebie rękę, a raczej wydawało mi się, że to zrobiłem. Czas nagle zwolnił, po czym przyspieszył, zmieniając toczącą się przed moimi oczami bitwę w mozaikę złożoną z kolorowych smug. Powietrze cuchnęło krwią i rozrywaniem wnętrzościami.

Chyba na chwilę straciłem przytomność. Albo na taką dłuższą chwilę, bo gdy się ocknąłem, szeroko otwierając oczy, wszędzie wokół mnie zerowały raptory. Świat zabarwił się na czerwono. Opierałem się na rękach, kucając w wielkiej kałuży krwi; bałem się, że była moja. Głowa kiwała mi się na boki, pierś emanowała obezwładniającym bólem. Rozejrzałem się przytomniejszym wzrokiem. Raptory nie zwracały na mnie uwagi - były zajęte posiłkiem. Sin i jego jasnowłosy ochroniarz jakimś cudem zdołali się ewakuować. Nie dostrzegałem ich ciał pośród tych pożeranych przez raptory, niektóre były jednak tak rozczłonkowane i niekompletne, że mogłem ich po prostu nie rozpoznać.

Poczułem dotyk czyichś palców na swoich włosach. W pierwszym momencie myślałem, że znowu coś mi się wydaje, że to wina rany postrzałowej.

- Możesz wstać, Tyrs?

Uniosłem głowę, nie dowierzając głosowi, który usłyszałem. Ale stał tam - mój mały braciszek z ciemnymi loczkami i pieprzykiem na prawym policzku. Umorusany krwią i brudny jak mały diabełek w ubrankach aż szarych od kurzu i pyłu. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Kochanie, to naprawdę ty?

- Ja. - Uśmiechnął się promiennie, tak jak tylko on

potrafił. - A teraz powiedz, czy możesz wstać. Bo jak nie, któryś z moich raptorów ci pomoże.

Przełknąłem ślinę.

- Co to znaczy: któryś z twoich raptorów?

- A co to ma niby znaczyć, Tyrs? Daj spokój, nie spowalniaj nas.

To była wypowiedź dorosłego. Taniel pierwszy raz zwrócił się też do mnie tak lekceważącym tonem.

- Raptor z czerwoną pręgą na pysku... jest twój?

- Tak, on kieruje moim stadem raptorów, tak jak ty kierujesz moim stadem ludzi. A teraz obaj jesteście poważnie ranni. - W jego głosie wreszcie pojawiła się jakaś emocja.

Dotknął mojego policzka.

- Jesteś rozpalony. Raptory ci pomogą - zdecydował w końcu za mnie.

Nie wierzyłem, że to działo się naprawdę. Dwa gady bez żadnego sprzeciwu stanęły po moich obu bokach. Niepewnie chwyciłem się ich grubej, chropowatej skóry i wreszcie podniosłem się z kolan. W głowie pulsowała mi krew. Oparłem się na nich najmocniej, jak potrafiłem, i pozwoliłem, żeby mnie prowadziły. Taniel zwinnie wskoczył na grzbiet innego raptora i gestem nakazał reszcie ruszyć naszym śladem. Poruszał się przy tym tak, jakby nie miał kręgosłupa, a jego stawy były zrobione z gumy. Rozumiałem już, dlaczego Tulusz nie chciał mi powiedzieć, co się z nim działo. Na pewno wyruszyłbym go szukać, a wtedy dzieciak jeszcze bardziej by się przede mną schował. Znalazł mnie, bo tego chciał - tak jak przewidywała Alicja. Uratował mi życie. Mój

pięcioletni brat Taniel uratował mi życie, odkrywając przede mną swój niezwykły talent. Jak mogłem kiedykolwiek pomyśleć, że był najbardziej ludzki z całego naszego rodzeństwa?

Czas się dla mnie zatrzymał. Pamiętałem tylko, że nad portem rozbłysły światła. Tak jak wcześniej spłonął ocean, teraz płonęło niebo. Lał się z niego żar, który zmieniał zabudowania w gruzowisko. Samoloty bojowe Cesarstwa warczały przy tym jak rozwścieczone raptory Taniela, kiedy dziesiątkowały oddział Sina.

Braciszek poprowadził mnie do piwnicy pod zniszczonym kasynem Zadara. To miejsce wyglądało zresztą na opanowane przez jego gady, bo zdecydowanie czuły się tutaj jak w domu. Wymościły sobie nawet gniazdo z eleganckiej czerwonej kanapy dla gości kasyna i dwóch foteli. Musiały je tutaj przyciągnąć z góry.

Taniel pomógł mi się położyć na jednym z tych foteli. Potem na chwilę zniknął i wrócił, dźwigając apteczkę. Zdumiewała mnie jego siła, ale chyba bardziej przedsiębiorczość. Urządził tę piwnicę tak, żeby niczego w niej nie brakowało; większość rzeczy pochodziła z kasyna, ale koc i poduszkę musiał zabrać z jakiegoś domu. Wzdrygnąłem się na myśl, co musiał tam robić. Co jakiś czas traciłem przytomność. Było mi właściwie wszystko jedno. Mój waleczny duch opadł. Staralem się bronić moich najbliższych, chciałem, żeby mieli to, czego mnie zabrakło -

ciepły dom pełen osób, które będą ich kochać i wzajemnie się o siebie troszczyć. Nie mogłem pojąć, dlaczego tak szybko się to rozpadło. Dlaczego wystarczył jeden mocniejszy wstrząs i moja rodzina przestała nią być. Alicja odeszła, Terra i Aneta uciekli w głąb miasta, a Taniel... no właśnie, Taniel. Kim on, do diabła, był? Myślałem o tym, jak przyszedł na świat i że przecież pilnowałem matki, żeby nie zaszła w kolejną ciążę. Dostawała tabletki antykoncepcyjne, miałem ją na oku w garnizonie Straży Wąwozu, gdzie pracowała jako sprzątaczką. Żaden mężczyzna się do niej nie zbliżał. A jeśli nawet, nie istniała najmniejsza szansa, żeby zaszła w ciążę. Ojciec Taniela musiał pochodzić ze Straży Wąwozu, musiał też wiedzieć, kiedy nie zwracam na nią aż takiej uwagi, żeby wykorzystać okazję. Do tej pory chętnie dopadłbym tego skurwiela i rozplątał mu gardło.

Taniel urodził się niespodziewanie. Matka nie przytyła, właściwie nie donosiła tej ciąży do końca; dzieciak miał tego nie przeżyć. Był maleńki i chudziutki. I zmusił mnie do podjęcia wielu drastycznych decyzji. Przez narodziny Taniela ostatecznie wydorosłałem. Przez narodziny Taniela ostatecznie określiłem swoją tożsamość i lojalność wobec ludzi, a nie wobec dinozaurów. Poszedłem odwrotną drogą, niż teraz szedł on.

- Jak to w ogóle możliwe? - Alicja kursowała od ściany do ściany w dusznym pokoju na parterze z małą Anetką na rękach.

Ta gapa znowu ryczała, jakby to ona się właśnie urodziła, a nie ten malutki chłopiec, który leżał skulony na

okrwawionym kocu przy oknie. Chował buzię w dłoniach. Od samego patrzenia na niego bolało mnie serce.

- Ty mi powiedz, ty jesteś kobietą, kurwa mać.

Zaskrzybiały drzwi. Obejrzałem się. Do środka zajrzał Terra ubrany w idiotyczną pizamę w czerwone róże, jak pierdolony małeletni uwodziciel. Zamierzałem to nawet skomentować, bo już wtedy dokuczałam bratu przy każdej najmniejszej okazji. Zauważyłem, że dobrze mi to robiło na nerwy.

- Wszyscy tutaj krzyczą poza tym małym - zauważył jak zawsze celnie.

Nasz ukochany pan profesor.

Pochyliłem się nad stołem, na którym leżało zakrwawione zawiniątko.

- Już teraz ledwo wiążemy koniec z końcem. Nie skończysz budować tego domu. Całe piętro jest w rozsypce. Będziesz musiał sprzedać część naszych sprzętów, odwołać prace murarskie, a ja chyba znowu zacznę żebrać... - Alicja pochyliła się nad moim uchem.

- Nie będziesz znowu żebrać! - wściekłem się, zaciskając palce na brzegu stołu, aż zbiełały mi kłykcie.

- Więc wiesz, co musisz zrobić. I tak jest mały. Dusiliśmy większe dzieci matki. Ta sytuacja nie różni się bardziej od wcześniejszych. Nie stać nas na niego, Tyrs. Ledwo dajemy sobie radę z Terrą i z Anetą.

Alicja zawsze wypowiadała na głos to, o czym tylko myślałem. Tak, dusiliśmy dzieci Adelajdy, ale wtedy żyliśmy w innym świecie, byliśmy zbyt mali, żeby walczyć o nasz byt.

Byliśmy zbyt mali, żeby walczyć o samych siebie. Teraz sytuacja była diametralnie inna. Pracowałem na moją rodzinę, wymyśliłem sposób, żeby nie musieć ich po kolei zabijać. To fakt, nie było nas stać na kolejne dziecko. Może jednak istniał sposób, żeby wyjść z tej sytuacji obronną ręką. Nie powinniśmy postępować jak raptory, skoro żyliśmy wśród ludzi – skoro nimi byliśmy.

W końcu sięgnąłem po dziecko. Wyczułem jego drobne kosteczki przez cienki materiał koca. Nadal nie odsuwało dłoni od buzi, ująłem więc jedną jego rączkę w swoją. Wtedy wreszcie na mnie spojrzał. Miał głębokie czarne oczy i długie rzęsy. I uroczy pieprzyk na policzku. Uśmiechnął się do mnie, tak że nie mogłem nie odwzajemnić jego uśmiechu. Taki już był mój Taniel, moje słońce i moja gwiazda. A teraz także mój potwór.

Ocknąłem się z poczuciem, że umknęło mi coś ważnego. Że o czymś myślałem i że dotyczyło to Taniela. Byłem jednak bardziej przytomny niż kiedykolwiek wcześniej. Uderzył we mnie odór rozkładającego się surowego mięsa; zapach podrażnił mój pusty żołądek i z trudem pohamowałem odruch wymiotny. Rozejrzałem się dookoła i jednak nie wytrzymałem. Pochyliłem się nad oparciem fotela i zwymiotowałem na ziemię samą żółcią i krwią. Uścisk na piersi przypomniiał mi o mojej ranie. Otarłem usta i odsunąłem koc, który przykrywał mnie aż po samą szyję. Miałem opatrunek na ranie; był przyklejony niewprawną

dłonią, nieco krzywo i pod dziwnym kątem, ale mimo to się trzymał. Przesiąknął starą krwią. Na szczęście nowa nie wypływała z rany. Powoli odkleiłem opatrunek, żeby się jej przyjrzeć. Była dobrze zasklepiona, choć nieumiejętnie zszyta. Ktoś usunął ze mnie kulę i zostawił takie śmieszne zszycie, po którym zostanie mi blizna w kształcie zygzaka.

Wtedy go zauważyłem. Spał obok mnie w fotelu skulony tak, jak wtedy gdy się urodził, i zasłaniał twarz obiema rękami. Był ciasno wtulony w mój bok. Rozejrzałem się uważnie po piwnicy. Raptory drzemały w jej kątach, niektóre do siebie przytulone, inne w pojedynkę bądź zajmując przy tym bardzo dużo miejsca z rozrzuconymi kończynami. Tylko Czerwona Pręga przycupnął naprzeciwko mojego fotela i obserwował moje poczynania, co chwila zezując w stronę Taniela. Miał podobny do mojego, nieumiejętnie założony opatrunek na szyi. Niektóre raptory przywlekły ze sobą fragmenty obiadu i dlatego tak cholernie cuchnęło.

Staralem się o tym nie myśleć. Zamiast tego namierzyłem torbę lekarską. Ktoś wypatroszył jej zawartość i poustawiał w małych rzędach. Przypomniałem sobie, jak Taniel lubił wyciągać w kuchni przyprawy w małych kolorowych buteleczkach i ustawiać je w identyczne rzędy. Wreszcie uważniej przyjrzałem się mojemu strojowi. Taniel musiał odwiązać mój napierśnik i naramienniki, bo leżałem tylko w zakrwawionym, podwiniętym podkoszulku. Części mojej zbroi były oparte o fotel. Gwałtowniej się podniosłem.

Czerwona Pręga ostrzegawczo warknął, budząc tym samym pozostałe raptory. Uniosłem ręce w obronnym geście,

zapominając, że one tego pewnie nie rozumieją. Szturchnąłem więc braciszka, żeby się obudził. Zamruczał przez sen.

- Tani, wstawaj.

- Mhm.

- Kochanie, wstawaj.

Otworzył jedno oko. Wyraźnie był w figlarnym nastroju.

- Muszę stąd wyjść - powiedziałem do niego powoli. - Teobald mnie potrzebuje.

- Ja też cię potrzebuję.

- Terra i Aneta ukrywają się gdzieś w Twierdzy... Nie wiem, czy udało im się wydostać...

- Udało. Obserwowałem ich - odpowiedział, leniwie się przeciągając.

Przełknąłem ślinę. Z całej siły starałem się zachować spokój.

- Co ty w ogóle robisz? - zapytałem wreszcie.

- A jak myślisz?

- Taniel, to nie pora na żarty...

- Nie wiem, czym się tak znowu przejmujesz - zirytował się, co od razu odbiło się na nastroju jego raptorów.

Z niepokojem po sobie popatrzyły.

- Zapytałem, co robisz. Zapytałem, co się z tobą dzieje. Masz mi odpowiedzieć. - Zmieniłem ton na bardziej stanowczy.

Taniel prychnął, choć nie wykręcał się więcej od rozmowy.

- Głównie polowałem. Potem zrezygnowałem, bo nie

umiałem jej znaleźć. Trop urwał mi się w porcie. Chciałem polować dalej, ale wszystko zaczęło się dziać równocześnie. Ludzie zaczęli się wzajemnie zabijać, więc dołączyliśmy do zabawy.

- Na kogo polowałeś?

- Na Annę Guiteerez. Jeszcze ją złapię i pożrę. - Przeciągnął się znowu, aż coś przeskokczyło mu w kościach. - Będzie pierwszym człowiekiem, którego upoluję i zjem w całości.

- Taniel, my nie jemy ludzi. - Odchrząknąłem.

- Ja jem. Wielkie mi co.

Patrzył na mnie prowokująco. Serce dudniło mi w piersi. Przypomniały mi się ostrzeżenia Alicji o tym, że dla Taniela nie ma już nadziei. Narastał we mnie gniew. Nie zamierzałem tak łatwo się poddać. Nie, kiedy wreszcie się odnaleźliśmy, nie, kiedy dwa razy z rzędu uratował mi życie. Wciąż był przecież dzieckiem i uznawał moją wyższość.

- Porozmawiamy o tym później - zdecydowałem, wyciągając do niego rękę.

Zmarszczył brwi. Jego oczy się zwiężyły. Wyglądał tak, jakby zamierzał mnie ugryźć.

- Taniel... Dziękuję, że mi pomogłeś. Nie tylko uratowałeś mi życie, ale jeszcze nastraszyłeś tych dupków z Europy. Od teraz będziemy ich razem zabijać - obiecałem, próbując przywołać uśmiech na usta.

- I jeść - dodał tym dobrze mi znanym zaczepnym tonem.

- Raptory będą ich jadły - odparłem dyplomatycznie.

- My też jesteśmy raptorami.

- Po części tak. A po części nie.

Otworzył usta i je zamknął. Podsunąłem mu idealny temat do rozważań. Wytrąciłem go tym samym z jego morderczego ciągu myślowego. Wygrałem.

- Taniel, kochanie, pomożesz mi jeszcze?

Obruszył się.

- Oczywiście, że ci pomogę. Jestem twoją betą. Nie musisz mnie o to prosić.

- A ja jestem alfą? - upewniłem się.

- No przecież. - Szczerze go rozbawiłem. - Abba ma rację. Jesteś ślepy. Nawet nie dostrzegasz hierarchii.

Pierdolona Abba. Pierdolone raptory. Miałem ochotę porządnie nim potrząsnąć. Nie dam się zwariować, o nie. Zbyt długo się opierałem, żeby ot tak posłuchać marudzenia mojego malucha. Nawet jeśli polował z raptorami i próbował ludzkiego mięsa.

Wyszliśmy razem na ulicę. Ja, stadko Czerwonej Pręgi i Taniel. Nie pozwoliłem mu jednak jechać na grzbiecie któregoś z raptorów; zamiast tego wziąłem go na rękę, ignorując swoją ranę.

- Zmęczysz się - zauważył praktycznie.

- Ja jestem alfą, tak?

- No tak. Ale to nie zmienia faktu, że się zmęczysz.

A Abba mówi, że moją rolą jest mówić ci prawdę.

- Dlaczego, do jasnej kurwy?

- Bo mnie bardzo kochasz i będziesz mnie słuchać.

Świetnie.

- Co ci jeszcze mówiło to głupie babsko?

- Niewiele. Więcej mówiła Alicji. Zresztą ona nie wie o moich raptorach, nie wie o Czerwonej Prędze. Wypędziła go ze swojego stada. Teraz on tworzy moje.

- Coś o tym wspominała - pociągnąłem ostrożnie.

- Tak, raptory nie lubią Abby. Szczególnie te dominujące.

- Taniel potarł oczy, wyraźnie chciało mu się dalej spać.

- Dlaczego?

- Bo z nimi trzeba umieć postępować. Traktować je z szacunkiem. Stado Abby to teraz głównie same omegi, jest kilka bet, ale też mają jej dość. Najokrutniejsze i najsilniejsze alfy przychodzą do mnie.

- Niby czemu miałyby być tobą takie zauroczone? - zadrwiłem.

- A czemu ty jesteś?

- To co innego. Jesteś moim małym braciszkiem.

Zaśmiał się.

- Jesteś ślepy, Tyrs. Ślepy, ale kochany. - Przytulił się do mnie.

Wiedziałem, że nic już więcej od niego nie wyciągnę. I tak powiedział mi więcej, niż zapewne zamierzał. Nie poznawałem go. Był zbyt dojrzały jak na swój wiek. Nie mogłem pojąć, dlaczego tego wcześniej nie dostrzegalem. Tak dobrze się maskował czy to ja wolałem ignorować prawdę? W każdym razie nie był to najlepszy moment, żeby to dalej roztrząsać.

- Dlaczego Alicja nie jest betą? - zaciekawilem się

jeszcze.

- Bo jest omegą.
- Serio?
- Mhm. Aneta jest beta.
- Aneta?!
- Tak. Mniej dominującą beta, ale beta.
- A Terra?

- Jest gamma. Przecież zawsze stoi pośrodku. Gammy są rzadkie w stadach i najmniej terytorialne ze wszystkich raptorów. Nie przywiązują się więc do miejsc i do konkretnego stada. Nie rządzą, ale za to radzą sobie w każdych warunkach. Umieją się przystosować.

Bolało mnie ramię. Przystanąłem, łapiąc zduszony oddech.

- Mówiłem ci, że się zmęczysz. Postaw mnie.
- Nie.
- Już chyba wiesz, że jestem silny. Prawie tak silny jak ty.

Trzymałem go kurczowo w pasie. Nie mogłem się z tym pogodzić. Bardzo chciałem zachować jego niewinność, nawet jeśli była tylko złudzeniem. Był dzieckiem i tak powinienem go traktować.

Brnęliśmy do przodu w iście apokaliptycznej scenerii. Cała dzielnica portowa została zrównana z ziemią. Najpierw przeorali ją strażnicy wąwozu, potem wojsko Sina, a teraz zbombardowały ją cesarskie samoloty. Nad gruzami budynków unosił się dym. Wszędzie leżały jakieś

rozcłonkowane ciała - ludzi albo raptorów, a nawet jakichś pechowych pterodaktyłów. Wybrzeże zamieniło się w wielkie, niekończące się cmentarzysko.

Staraliśmy się przemykać między ścianami i trzymać się jak najdalej od ewentualnych skupisk ludzkich, ale tak naprawdę nie wiedziałem już, co powinniśmy zrobić. Wszystko wskazywało na to, że Teobalda nie było już w porcie. Mógł zginąć albo przedostał się do Twierdzy i jakimś cudem ewakuował ludzi poza mury miasta. A potem co? Gdzie mieli się schronić? Gdzie by ich zabrał? W głąb pustyni? Do Lasu Kalahari? A może... do Miasta Krokodyli? Co się działo z Tycjanem i Tytusem Beringiem?

Przystanęliśmy nieopodal bramy do miasta. Była patrolowana przez cesarskich żołnierzy z karabinami na ramionach. W końcu skapitulowałem i Taniel jechał teraz na grzbiecie Czerwonej Pręgi. Patrzył dokładnie w tym samym kierunku co ja. Jego raptory niecierpliwie podrygiwały w miejscu gotowe do ataku. Razem tworzyły bardzo nietypowe stado. Gromadziły się wokół Taniela i to on zdawał się być tym czynnikiem, który je spajał. Wszystkie otrzymały jakieś razy w stoczonych bitwach - z człowiekiem albo z innymi dominującymi dinozaurami. Wyglądały groźnie, nawet jak na raptory.

Uniosłem rękę, dając małemu znak, żeby powstrzymał się przed atakiem.

- Zrobimy to po mojemu - rozkazałem.

Sięgnąłem po jedną z trzech pozostałych strzał w moim kołczanie. Napiąłem cięciwę nieco zestresowany faktem, że

wszystkie gady razem z Tanielem wpatrywały się we mnie jak urzeczone, a potem równocześnie obróciły głowy, śledząc wzrokiem kierunek lotu strzały z pomarańczową lotką.

Trujący gaz w mgnieniu oka uśpił żołnierzy, spowolnił też tych, którzy przybiegli im na pomoc. Dopiero wtedy raptory wyskoczyły z ukrycia. Czerwona Pręga został na miejscu razem ze mną. Przyglądaliśmy się we trójkę, jak stado rozrywa atakujących ich ludzi i z radosnym piskiem rzuca się na kolejne ofiary. Dopiero kiedy oczyścili teren, zdecydowałem się skierować w stronę bramy.

Miasto również zostało zbombardowane. Przemknęliśmy przez parę kolejnych uliczek. Wszystkie były wyludnione, nie zauważyłem też cesarskich żołnierzy. Dopiero przy kolejnym zakręcie na nasze powitanie wyszedł mężczyzna z wysoko uniesionymi rękami. Zwolniłem, sięgając po karabin. Kilkakrotnie zamrugłem. W mojej piersi odezwał się przeszywający ból. Uniosłem wizjer karabinu do oka. Tycjan. Już dawno tak bardzo nie cieszyłem się na jego widok.

Opuściłem broń i wyszedłem mu na spotkanie. Raptory poruszały się długimi, bezszelestnymi krokami tuż za moimi plecami.

Tycjan miał na sobie zbroję Krokodyla - długą i zdecydowanie cięższą niż zbroja strażnika wąwozu. Zdziwiłem się na ten widok, ale tego nie skomentowałem. Tycjan miał swoje sposoby, żeby pozostać przy życiu. Musiał przekonać Tytusa do współpracy.

- Nie myślałem, że jeszcze cię kiedykolwiek zobaczę - powiedział na powitanie.

Wyciągnąłem do niego rękę. Pojedynczy skurcz pojawił się na jego twarzy, wykrzywając ją w grymasie cierpienia. Zaraz potem jego oblicze znowu się wygładziło. Pociągnął mnie w ramiona i mocno do siebie przytulił.

ROZDZIAŁ 16

Tycjan

Miałem kiedyś takie przeczucie, że wszystko się skończy, że cały świat dotrze do punktu, z którego jedynym wyjściem będzie jego całkowite unicestwienie. To wreszcie rozgrywało się na moich oczach i nie wiedziałem, co mam robić. Jaka postawę przyjąć, kim się stać, a kim zdecydowanie nie. Jeszcze zanim dotarliśmy do Twierdzy, byłem bardziej zdeterminowany, energiczny. Pokrzykiwałem na Beringa i nawet drwiłem z jego powolności i ostrożnej natury. Zresztą Bering i jego ostrożna natura to temat na inne rozważania. Poświęciłem im już wystarczającą ilość czasu.

Teraz liczyło się tylko to, że odzyskałem Tyrsa. O ile coraz bardziej traciłem nadzieję, że Tuliusz przeżył, o tyle rosła we mnie pewność, że Tyrś musiał. Zniszczone miasto wydawało się jego naturalnym środowiskiem. Mimo to poruszał się z mniejszą precyzją niż zwykle. Miał niedbale założony napierśnik, jakby nie chciał urazić wrażliwego miejsca.

- Jestem ranny - wyjaśnił. - To nic poważnego. Miałem szczęście. - Wymownie zerknął na towarzyszące mu raptory.

- To twoje? - zapytałem.

- Nie...

Wtedy zza jego pleców wyłonił się wielki brązowy raptor z czerwoną pręgą na pysku. Na jego grzbiecie siedział Taniel. Gwałtownie wypuściłem powietrze z płuc. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem. To była dziwna chwila ciszy. Nawet raptory nie wydawały z siebie żadnych dźwięków.

- Gdzie są pozostali? - zapytałem.

- Alicja wypłynęła razem z częścią oddziału Ludu Pustyni walczyć z okrętami Sina. Nie wiem, co się z nią stało. Terra i Aneta razem z matką ewakuowali się do miasta... A Tulusz... nie żyje. - Przełknął ślinę.

- Tak przypuszczałem. Ojciec mi powiedział. - Skinąłem głową.

- Gdzie on jest?

Odchrząknąłem. To był ten moment, w którym musiałem mu powiedzieć.

- Kazał ci przekazać, że jego matka była kobietą niezwyklej urody, ale ona także wyemigrowała do Afryki, kiedy była bardzo młoda. Z Państwa Azteków.

- Co? No i co z tego? Po co mi to mówisz?

Spojrzałem na Taniela, który zdawał się być niezainteresowany naszą rozmową. Wodził zaniepokojonym wzrokiem za moimi plecami, jakby spodziewał się, że lada moment zostaniemy zaatakowani.

- Miała pieprzyk na prawym policzku.

Tyrs i Taniel równocześnie na mnie spojrzeli. Dzieciak był skonsternowany, za to Tyrs wyglądał tak, jakby ktoś

uderzył go w twarz.

- To nie wszystko. Powiedział, że zrobił to, żebyś go znienawidził, i że masz bez wyrzutów sumienia i oglądania się za siebie zabrać ocalałych ludzi z Twierdzy i przeżyć. Masz przeżyć, Tyrs.

- Gdzie on teraz jest? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

Podszedłem do niego i położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Tam, gdzie cię zaraz zabiorę...

- Co to wszystko znaczy, Tycjan?!

- Musiałem to zrobić - wyjaśniłem, unikając jego wzroku.

- Taki był plan Teobalda. Zaufaj mi.

- Przestań, kurwa, mówić zagadkami! Właśnie powiedziałaś mi, że Teobald jest ojcem Taniela, a teraz kręcisz coś o jakichś planach!

- Bering obiecał Sinowi, że cię przyprowadzę. Dlatego jeszcze żyję.

Tyrs potarł czubek nosa nerwowym gestem. Czerwona Pręga ostrzegawczo warknęła. Raptory się niecierpliwiły, a Taniel patrzył na mnie takim wzrokiem, że mimo jego niewielkiej postury i młodego wieku wzbudził we mnie strach. Nie wiedziałem, czy chciałem się przekonać, na jakiego wyrośnie mężczyznę.

- A co tam robi Teobald? Popija herbatkę z Sinem?

- Nie, raczej z cesarzem. I czeka na egzekucję.

Tyrs pozwolił mi się prowadzić. Musieliśmy zadbać o odpowiednie wrażenie. Poruszaliśmy się bardzo powoli.

Rzeczywiście był poważnie ranny. Łapał zduszony oddech, jego pierś unosiła się i opadała, ale w nierówny sposób. Podszedłem do niego i bez słowa ująłem go pod ramię. Miło było go tak prowadzić, jakby nic złego się nie działo, jakbyśmy spędzali kolejny dzień na służbie u Treweriusza i Teobalda, odliczając minuty do jej końca, żeby móc swobodnie zabawić się w porcie. Zacisnął dłoń na mojej ręce.

- Cokolwiek się zaraz wydarzy, wciąż uważam, że było warto - powiedział, uśmiechając się ciepło, tak jak prawie w ogóle się nie uśmiechał.

Odwzajemniłem jego uśmiech. Nie wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć. Nie potrafiłem znieść kolejnego pożegnania. To z ojcem wykończyło mnie psychicznie. Właściwie było mi już wszystko jedno. Docierałem do niebezpiecznej granicy, po której przekroczeniu nic się już nie czuło. Umierało się od środka, usypiając tę abstrakcję zwaną duszą. Może stanę się podobny do Beringa. Będę z uśmiechem wyższości obserwował ludzi, którzy jeszcze coś czuli, rozmieniali się na drobne, kierując emocjami, i zapominali przy tym, co tak naprawdę było ważne. To znaczy umiejętność przetrwania za wszelką cenę.

- Co zrobimy z Tanielem i z raptorami? Sin je zabije.

Tyrs jeszcze zwolnił kroku.

- Kurwa mać. Nie oddam im Taniela, choćby nie wiem co.

Jego krótko przystrzyżone włosy pokrywała warstwa potu. Pocił się bardziej niż zwykle, pewnie z powodu rany. Oddał mi puginały, miecz i karabin, zachował za to łuk i dwie

strzały. Nie nalegałem, bo wiedziałem, jak ważna była dla niego ta broń.

Na budynkach wzdłuż ulicy, którą szliśmy, przyczaili się snajperzy w zbrojach Krokodyli. Tytus czekał na nas na jej końcu, nerwowo podrygując nogą. Znowu palił. Nad jego głową unosiła się chmura dymu. Przekładał papierosa z ręki do ręki. Na widok zmierzających w jego kierunku raptorów zapobiegawczo cofnął się o krok.

- Co to znaczy, do cholery? - zapytał.

Tyrs odsunął się ode mnie i sam do niego podszedł, lekko chwiejąc się na nogach.

- Bering...

- Mollina?

- Pamiętasz, jak się ostatnio umawialiśmy?

Tytus uniósł brew.

- To znaczy?

- Chciałeś swojego raptora.

Otworzyłem szerzej oczy. Zamierzałem się wtrącić, ale Tyrs był ode mnie szybszy.

- Weź Taniela.

Bering wreszcie zauważył chłopca na grzbiecie raptora. Mocno zaciągnął się papierosem, kolejno przyglądając się członkom stada Czerwonej Pręgi. Razem było ich dokładnie osiem i każdemu czegoś brakowało. A to oka, a to kawałka krótkiej łapy, a to skóry na ogonie bądź na bokach, a to zębów albo pazurów. To były wojownicze i twarde gady. Bestie wśród bestii. Na ich tle słodki Taniel wyglądał komicznie i jeszcze bardziej niewinnie.

- Razem z tymi rozrabiakami?

- Razem z nimi.

Tytus potarł grzbiet nosa dwoma palcami. Zauważyłem, że robił to za każdym razem, kiedy głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Będą mnie słuchać? - zapytał wreszcie.

- Słuchają Taniela, a Taniel będzie słuchał ciebie - zapewnił go Tyrs.

- Hmm, na pewno? - Bering podejrzliwie spojrzał na dzieciaka.

Jego mina się nie zmieniła. Z powątpieniem mierzył Tytusa wzrokiem, lekko unosząc górną wargę. Tyrs obrócił się w jego stronę.

- Chodź do mnie, Tani.

- Nie.

- To ja jestem alfą, tak?

Mały ześlizgnął się z grzbietu raptora i z nadąsaną miną podszedł do starszego brata. Ten wziął go na ręce i zbliżył się z nim do Beringa.

- Będiesz słuchał tego pana, aż do ciebie przyjdę i wtedy ustalimy, co zrobimy dalej.

- Nie.

- Tani, to nasza jedyna szansa. Chcesz, żeby twoje zwierzęta zginęły? Są silne i zaprawione w walce i tym bardziej nie zasługują na upokarzającą śmierć z ręki europejskich tchórzy.

- A co będzie z tobą? - Taniel zwrócił na niego swoje ciemne spojrzenie.

- Wrócę po ciebie.
- Kłamiesz.
- Alfa nigdy nie kłamie.
- Wolę zostać z tobą.
- A ja wolę, żebyś był wolny.

Mały zaprzestał kłótni. Zamiast tego mocno się do niego przytulił, chowając twarz w dłoniach. Tyrś pogłaskał go po splątanych włosach.

- Jesteś wspaniałą, Tani, jesteś słońcem mojego życia. Nie ochronię cię przed cesarzem. Nie mam już siły. Nie wiem, czy Terra i Aneta przeżyli, nie wiem, czy Alicja wróci z oceanu. Może będziesz ostatnim półraptorem z naszego rodu. Dlatego masz słuchać Tytusa Beringa i wtopić się w tło Miasta Krokodyli. Będziesz się uczyć i malować, i pisać, i rzeźbić, i co tylko przyjdzie ci do głowy...

- Po co mam malować i pisać, i rzeźbić? - zdziwił się.
- Żeby... świat dowiedział się o raptorach. O nas.

Mały nadal nie był przekonany.

- Mówiłeś, że zawsze będziesz mi pomagał. Pomóż mi, Tani, nie kłóć się ze mną, uznaj moją decyzję za ostateczną.

W końcu Taniel pokiwał głową. Odsunął dłonie od twarzy i posłał Tytusowi tak zniewalający uśmiech, że aż trudno było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą emanował wobec niego wrogością. Bering zresztą też wyglądał na zdumionego.

- Odwołaj swoje raptory - dodał Tyrś.

Mały przeciągle warknął, wymownie spoglądając na Czerwoną Pręgę przez ramię. Gady wydały z siebie zezłoszczone pomruki; nie za bardzo miały ochotę posłuchać

rozkazu swojego tresera. Niezdecydowany Czerwona Pręga dreptał w miejscu. Taniel jeszcze raz na niego warknął. Tym razem gady bez żadnego sprzeciwu zawróciły i zgodnie schowały się w ruinach portu. Straciłem je z pola widzenia.

Tyrs dosłownie odczepił od siebie małego i podał go Tytusowi.

- Proszę, jest twój. Tak jak obiecałem. A czy ty dotrzymasz słowa?

Europejczyk z lekkim zawstydzeniem przyjął dzieciaka z jego rąk. Taniel wciąż się uśmiechał i bez skrępowania objął go za szyję.

- Będę dla niego bardzo miły - zadeklarował.

Tyrs roześmiał się i ostatni raz poczochnął mu włosy.

- Bardzo dobrze.

- Tak, dotrzymam - mruknął w końcu Bering i podał jedną rękę Tyrsowi, drugą podtrzymując dzieciaka.

- Pamiętaj, że mój brat sam umie się o siebie zatroszczyć.

- Zauważyłem.

Od głównego placu dzieliła nas jeszcze tylko jedna ulica. Oddział Krokodyli wciąż nas pilnował. Na dachach kimerydzkich kamienic przyczaili się snajperzy w każdej chwili gotowi nas zastrzelić, gdybyśmy zaczęli uciekać albo spróbowali ich atakować. Na chodnikach stali zaś cesarscy żołnierze. Wszyscy oni patrzyli na nas z takim zaciekawieniem, jakbyśmy rzeczywiście byli dinozaurami.

Zostaliśmy tylko we dwóch. Ja i Tyrs. Jak za dawnych lat. Myślałem o tych wszystkich chwilach między nami – tych dobrych i tych złych, w których albo był moim najlepszym przyjacielem, albo największym wrogiem. Tylko Tyrs potrafił być równocześnie jednym i drugim. Prawda była taka, że zazdrościłem mu kontaktu z moim własnym ojcem, wiele razy winiłem go za to, że mnie od siebie odsuwał, że wołał jego – tego smutnookiego przybłądę z najgorszej portowej nory, który miał szczęście urodzić się z domieszką krwi raptora.

Jeśli Tyrs domyślał się moich uczuć, nigdy nic o nich nie mówił. Temat Teobalda wisiał między nami jak zasuszony trup na szubienicy. Niby już nie straszył, ale gdy się go przez przypadek potrąciło, kruszył się i posypywał włosy i ramiona zatechłym proszkiem. Trudno mi było się pogodzić z tym, że Tyrs zawsze wiedział lepiej. Brakowało mi jego cierpliwości, ale też nonszalancji opartej na brawurowej pewności siebie. Wiele razy powtarzał, że kiedy już dotkniesz dna, możesz się tylko od niego odbić. On osiągnął swoje w bardzo wczesnej młodości i od tamtej pory tylko piał się w górę. Szukał sposobów wyjścia z trudnych sytuacji, a nie ich powodów. Powody zostawiał mnie. W tym duecie to ja wszystko nadmiernie analizowałem, starałem się wyciągać wnioski i dostosowywać do nich strategię. Tyrs tylko działał. Może to jego raptorza krew sprawiała, że doskonale potrafił rozpoznać problem, a potem zaproponować co najmniej trzy jego rozwiązania. Twierdził, że nie dało się zmienić rzeczywistości, za to można było zmienić siebie. Ja nie

umiałem tak łatwo się przystosować. Byłem w końcu zwierzęciem wodnym.

Przy samym wejściu na plac liczba żołnierzy się zagęściła. Rozstępowali się przed nami, zapobiegawczo kładąc ręce na broni. Podszedł do mnie jeden z wyższych dowódców i odebrał mi puginały i karabin Tyrsa, ale też mój pistolet i dwa noże. Nie dopominał się za to o łuk i strzały. Kiedy tylko napotkał groźny wzrok Molliny, zrezygnował z podejmowania dyskusji.

- Co zrobiłeś? - zaciekawilem się. - Boją się ciebie jak ognia.

- Nie do końca ja. Raczej Taniel.

- Hm?

- Atak jego raptorów prawie załatwił Sina.

Westchnąłem z podziwem.

- Szkoda, że tylko prawie.

- Nie mamy już nic do stracenia. Jeszcze możemy go zabić.

Wiedziałem, że mówił poważnie. Tyrz Mollina był dzisiaj gotowy na śmierć. Planował tylko, kogo jeszcze zabierze ze sobą.

- Masz żyć. To ostatni rozkaz Teobalda. A ja mam przypilnować, żeby tak się właśnie stało.

- Szkoda, że nie ma z nami Tulusza. Wyperswadowałby ci te głupie pomysły z głowy.

- Nienawidzę cię. Musiałeś go teraz przypomnieć?

- Musiałem. Jest nam potrzebny.

- Co nie zmienia faktu, że już nigdy do nas nie wróci.

Zapadła między nami ta ciężka, zła cisza. Zbliżaliśmy się do miejsca naszego przeznaczenia, najprawdopodobniej do miejsca naszej śmierci, i zaczynaliśmy się ze sobą kłócić. Tak, to było w naszym stylu.

Niebo było zachmurzone. Gorące popołudnie zamieniało się właśnie w równie gorące późne popołudnie. Powietrze cuchnęło dymem i gazem. Szare chmury przysłaniały ostre, czerwone słońce, ale na ich tle nie latały żadne pterodaktyle ani inne latające gady. Oddały swoje królestwo maszynom.

Z całej siły starałem się nie myśleć o Tuluszu ani o chwili, w której dowiedziałem się o jego odejściu; resztką woli zmuszałem się do skupienia na tym, co działo się tu i teraz. A działo się dużo. W miejscu dawnej nieodbudowanej świątyni boga-raptora postawiono podwyższenie, na którym montowano szubienicę. Z budynku ratusza wyniesiono wygodne krzesła i biurko Teobalda, przy którym zasiadł cesarz Brytanik i popijał parującą kawę z małej filiżanki. Ojciec siedział obok niego z dłońmi związanymi w nadgarstkach i wydawał się całkiem zadowolony z tego towarzystwa.

Zerknąłem kątem oka na Tyrsa; rozglądał się dookoła, przybierając bezosobowy wyraz twarzy. Jego pomarańczowe oczy przesuwały się po czarnych mundurach cesarskich żołnierzy, których ustawiono w równych rzędach i postawiono na baczność. Między nimi kursował Sin, tak

samo wyprostowany i idealnie wymuskany jak jego żołnierze. Tuż za nim krok w krok maszerował długowłosa blondyn. Ciągle trzymał dwa pistolety w dłoniach – w każdej chwili gotowy strzelić do osoby, która odważyłaby się za bardzo zbliżyć do jego dowódcy. Tytus mi o nim wspominał. Liam Lawless, zwany po prostu L, nawet przyjaźnił się z Beringiem, kiedy obaj służyli Sinowi. Teraz Bering bał się w ogóle pokazać swoim dawnym znajomym i ukochanemu dowódcy zadowolony, że pozwolono mu zostać na obrzeżach miasta.

Sin nagle zawrócił i przeciął nam drogę. Zatrzymaliśmy się. Tyrs odwzajemnił jego palący wzrok.

- Żałuję, że moje raptory cię nie pożarły – powiedział, z ironicznym uśmiechem zerkając na zestresowanego L, który niecierpliwie poruszył kciukami na spustach.

- Mało brakowało, Tyrsie Mollina. Nie mogę się już doczekać, kiedy dostanę cię w moje ręce. – Sin złożył mu lekki ukłon, czym zaskoczył nawet swojego najbliższego podwładnego.

Tytus Bering ostatecznie zmienił zdanie. Pływałem w basenie, śledząc wzrokiem każdy najmniejszy ruch w jego domu. Pamiętałem, że Tyrs dał mi trzy dni na rozeznanie się w sytuacji. Drugiego dnia Bering sam do mnie przyszedł i bez ostrzeżenia rzucił mi kapsułki z lekiem.

- Weź je i przebierz się w suche ubranie. Musimy porozmawiać.

- Skąd mam wiedzieć, czy to znowu nie jest jakiś podstęp?

- Zaryzykuj.

Zostawił za sobą otwarte drzwi. Jeszcze chwilę pływałem w basenie, zaciskając palce na fiolce. Ciekawość wzięła jednak górę nad moją ostrożnością. Łyknąłem dwie tabletki i wyszedłem z wody. Temperatura mojego ciała była jeszcze wysoka, ale przynajmniej skóra przestała mnie piec. Zmieniłem mokre ubrania i rozprostowałem i zgiąłem palce, aż przeskoczyło mi w stawach.

Tytus czekał na mnie w sąsiednim pomieszczeniu, gdzie służące pomagały mu włożyć łuskowatą zbroję Krokodyla. Stałem w progu, zakładając ramiona na piersi. Przyglądałem się, jak kobiety zawiązują mu zbroję w łokciach i na bokach. Wreszcie złożyły Beringowi niskie ukłony i szybko minęły mnie w drzwiach.

- Dostaniesz podobną - zapewnił mnie, obracając się wokół własnej osi. - Nigdy do nich nie przywyknę. W Europie po prostu nosimy mundury. Choć to prawda, że bardzo rzadko posługujemy się białą bronią. Broń palna jest o wiele efektywniejsza, acz mniej elegancka.

Ponuro milczałem.

- Twój przyjaciel obiecał mi własnego raptora. Może ty obiecasz mi elasmozaura?

- I co byś z nim zrobił na pustyni? - zapytałem.

- Fakt, raptor jest jednak praktyczniejszym rozwiązaniem.

- Czego ode mnie chcesz?

- Wiem, że wicecesarz Sin zmierza ze swoją flotą do portu Twierdzy.

Zmarszczyłem brwi.

- A wiesz to, ponieważ...?

- To nie twoja sprawa, Cjan.

- Oczywiście.

Bering nerwowym gestem sięgnął po papierosa.

- Zabieram cię ze sobą. Przydasz mi się w roli zakładnika, bez względu na to, czy trafię na cesarza, czy na twojego ojca. Chociaż już teraz możemy spokojnie ustalić, że Twierdza nie ma większych szans w potyczce z Cesarstwem.

Przekrzywiłem głowę.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Bering - oznajmiłem w końcu. - Twoja motywacja jest co najmniej dziwna, niezależnie od tego, co zrobiła ci Anna.

- Cóż, powiedziałbym raczej, że ciągle się zmienia. Jeszcze parę godzin temu nie wiedziałem, że Sin znowu wybiera się w rejs do Afryki. Miałem nadzieję, że ostatecznie zostawi mnie w spokoju...

- Boisz się go, prawda?

Oczy Beringa nagle się rozszerzyły. Obrócił się do mnie plecami, żebym nie widział jego miny.

Krokodyle nie byli zadowoleni, że znowu musieli szykować się do wojny. Sam byłem świadkiem, jak Bering przekonywał starszyznę miasta, żeby przychyliła się do jego rozwiązania. Zamierzał poprowadzić dwa dywizjony, ale użyć ich tylko

w przypadku, gdyby siły cesarskie bądź siły Twierdzy ruszyły do ataku. Uważał, że obecność Miasta Krokodyli w trakcie bitwy była bardzo ważna, bo zapobiegała inwazji Cesarstwa.

- Uwierzcie mi na słowo, że nie chcecie, żeby to Brytanik i Sin sami sobie o nas przypomnieli, zwłaszcza że ostatnio dokonali pacyfikacji konferencji na naszym Uniwersytecie. Powinniśmy im pokazać naszą gotowość do współpracy i wsparcie. W przeciwnym wypadku nic nie będzie stało im na przeszkodzie, żeby uznali nas za współwinnych buntu Teobalda.

Słuchałem go z zastanowieniem, trzymając dłonie w kieszeniach spodni. Skorzystałem z jego oferty i założyłem część łuskowatej zbroi Krokodyla. Była cięższa od zbroi strażnika wąwozu i zdecydowanie lepiej chroniła przed ranami ciętymi, pewnie również nabój nie był w stanie jej przebić. Zmniejszała za to możliwość swobodnego ruchu, co dla strażników wąwozu było podstawą w walce. Czuję się więc w niej nieswojo.

- Pojedziemy jeepem - rzucił Bering. - Szykuj się do wyjazdu.

- Dostanę broń?

- Na broń trzeba sobie zasłużyć.

Myślałem o tym, kiedy mknęliśmy jeepem przez pustynię. Niestety, system dróg między miastami nie był wyposażony w powietrzne tunele. Właściwie tylko w Twierdzy można było poruszać się powietrznymi samochodami. Jedna przejezdna trasa z Miasta Krokodyli do Twierdzy Kimerydu swego czasu bez przerwy była obstawiona raptorami Tyrza, ale teraz,

skoro nie wróciły do miasta, istniała szansa, że żaden większy drapieżnik nam nie zagrażał. Czasami też na niebie pojawiały się pojedyncze pterodaktyle albo inne gady latające. Tym razem jednak niebo było puste, zalane pomarańczem i żółcią bez szansy na choć odrobinę błękitu. Pociłem się w zbroi, co chwila natrętnie sprawdzając, czy jej kołnierz nie dotykał moich skrzydeł.

W samochodzie oprócz mnie jechał jeszcze kierowca, ochroniarz Beringa i sam Bering na siedzeniu pasażera z przodu. Ja siedziałem z tyłu obok jego ochroniarza. Jedną rękę przykuł mi kajdankami do fotela, drugą mogłem bez przeszkód poruszać. Rozglądałem się więc za jakimś sposobem oswobodzenia. Przez chwilę rozważałem nawet, żeby wyrwać pistolet z kabury ochroniarza i strzelić mu w głowę, ale bałem się, że nie zdążę wystarczająco szybko zareagować.

Z pomocą przyszedł mi dimorfodon. Ten latający gad nadleciał właściwie znikąd i z rozpędem wylądował na przedniej szybie naszego jeepa. Kierowca ostro skręcił, żeby zrzucić go z maski. Jeep niebezpiecznie przechylił się na prawy bok. Dimorfodon podniósł się do lotu, ale ponownie wylądował na szybie i tym samym zepchnął samochód z drogi. Jeep ostatecznie przewrócił się na bok i zarył w piasku. Miałem szczęście w nieszczęściu - zostałem przygnieciony do ziemi. Gad chwycił szponami ochroniarza Beringa i wzleciał z nim w górę. Mężczyzna głośno wołał o pomoc.

Tytus wychylił się zza siedzenia i strzelił do niego

z pistoletu. Krzyki ustały. Wtedy obrócił się w moją stronę. Ciągle trzymał pistolet w dłoni. Powoli wymierzył go we mnie. Odwzajemniłem jego skupiony wzrok.

- Zabij mnie albo daj mi broń - warknąłem w końcu.

Bering nie zareagował. Dopiero po dłuższym momencie opuścił pistolet. Sięgnął do kieszeni i podał mi klucz do kajdanek.

- Jeśli spróbujesz uciec, strzelę ci w plecy.

Tytus sam wy dostał się z samochodu i sztywnym krokiem ruszył w kierunku czekającego na nas oddziału. Ruszyłem śladem jego i jego kierowcy i dogoniłem ich w połowie drogi. Kierowca się nie zatrzymał, za to Bering zwrócił się do mnie przodem. Pot sklejał jego kasztanowe włosy nad czołem.

- Musisz mi zaufać - powiedziałem. - Jestem ci potrzebny, ale ty też jesteś potrzebny mnie. Krokodyle i Twierdza razem mają szansę odeprzeć ewentualny atak Cesarstwa...

- Co ty mówisz, Cjan? Po pierwsze nie ewentualny, tylko pewny! Po drugie... NIE DA SIĘ ODEPRZEĆ ATAKU CESARSTWA. Nikomu to się jeszcze nie udało i nikomu się nie uda. Cesarstwo jest potęgą, bo jest nieskończenie złe. Wiesz, co to znaczy?

Wzruszyłem ramionami na tyle, na ile pozwoliła mi na to twarda zbroja Krokodyla.

- Zapewne zaraz mi powiesz, że w Europie macie inną definicję zła...

Zbliżył się do mnie, tak że aż widziałem odcień ciemnej czerwieni w jego brązowych oczach. Lufa pistoletu wbiła się w moją zbroję.

- Żebyś wiedział.

Nagle zakrył nas znajomy cień. Szarpnąłem go za rękę, żeby zwrócić jego uwagę na dimorfodona. Wycelował lufę do góry. Gad gwałtownie skręcił. Kula przeleciała tuż obok niego, ale go nie zraniła. Potem wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Pterozaur zawrócił i powalił Beringa na ziemię. Uczepił się pazurami jego ramion mimo twardej zbroi, którą ten miał na sobie, i pociągnął go po piasku. Tytus wierzgał nogami i kręcił się, próbując go z siebie rzucić. Niestety, bez skutku. Po drodze pistolet wypadł mu z dłoni.

Obserwowałem tę scenę coraz bardziej świadomy tego, że dimorfodon za chwilę porwie go w górę, a wtedy żadna siła nie odbierze mu jego zdobyczy. Nie miałem więc nawet czasu na podjęcie decyzji, zadziałałem instynktownie. Rozpędziłem się i z całych sił uczepiłem wleczonego Beringa; zawył z bólu. Pazury zwierzęcia musiały ranić mu barki do krwi. Spowolniło to jednak ruch gada. Zirytowany trzepotał skrzydłami, ale nie potrafił unieść takiego ciężaru. Nie poddawał się, musiał być bardzo głodny i gotowy, żeby się trochę zmęczyć, zanim przystąpi do żerowania.

- Nóż, weź nóż!

Przesunąłem wzrokiem po zbroi Tytusa. Pochwa z nożem wisiała przy jego pasie. Wyszarpnąłem ostrze i z całej siły ciąłem nim opierzone szpony dimorfodona. Zaskrzeczał, lecz

wciąż się nie poddawał. Ponowiłem atak, tym razem przecinając mu ścięgno. Dinozaur zerwał się do lotu z niewładną łapą, wyjąc tak, że chyba usłyszano go nawet w Twierdzy.

Pozbawiony tchu leżałem na Beringu, zasłaniając go własnym ciałem przed kolejnym atakiem dimorfodona. Kurczowo ścisnąłem w dłoni rękojeść noża. Jego ostrze było zakrwawione, krew prysnęła również na nasze twarze i skleiła mi włosy na czubku głowy. Mocniejszy podmuch wiatru uniósł drobinki piasku, zasłoniłem przed nim oczy i starłem krew z policzka grzbietem dłoni.

- Dlaczego tego nie zrobisz? - zapytał Tytus niewyraźnym głosem.

- Czego?

Parsknął śmiechem.

- Jesteś słodki, Cjan.

- A ty co najmniej dziwny.

Z trudem się z niego podniosłem i wyciągnąłem do niego rękę. Spoglądał na nią z taką miną, jakby ciągle wietrzył jakiś podstęp. W końcu przyjął moją pomoc i stanął na drżących nogach, ciężko oddychając. Podałem mu nóż.

- Zachowaj go. Właśnie zasłużyłeś na swoją broń.

Od tamtej pory stosunek Beringa do mnie znacznie się zmienił: mężczyzna nie był już tak ironiczny i na siłę agresywny. Właściwie ten Bering wydał mi się całkiem inną osobą, łagodną w obejściu i sympatyczną. Jego Krokodyle

odnosili się do niego z szacunkiem, ale on też okazywał im troskę i zainteresowanie, jak na prawdziwego lidera przystało. Miałem do niego dużo pytań. Wstrzymywałem się jednak, bo z wyraźną niechęcią mówił o swoim życiu w Cesarstwie, wspominał tylko o przybocznym oddziale Sina, do którego swego czasu należał, a swoich towarzyszy broni uważał za przyjaciół. Nie powiedział mi, w jakich okolicznościach z niego odszedł i dlaczego tak bardzo nie chciał mieć nic do czynienia z Sinem, że aż rozważał przymierze z Teobaldem. Nie naciskałem. Wydawało mi się oczywiste, że nie były to dla niego dobre wspomnienia. Fakt pozostawał faktem, że z Beringiem i Krokodyłami mieliśmy pewną nikłą szansę, żeby obrócić sytuację na naszą korzyść.

Następnego dnia dotarliśmy do Twierdzy od strony zatoki. Horyzont pokrywała szara smuga. Smród ropy dotarł aż na pustynię, niesiony silnym wiatrem znad oceanu. Ogarnęło mnie wzrastające przerażenie, które tylko eskalowało na widok ludzi w popłochu uciekających z miasta brzegiem zatoki. Niektórzy ładowali część swojego życiowego dobytku na grzbiety korytozaurów, inni porzucali zbędne na pustyni samochody powietrzne i przesiadali się do starych autobusów wyprowadzonych z garaży garnizonu Straży Wąwozu. Jeszcze w czasach panowania lokalnych bożków służyły naszym kapłanom do transportu ludzi z sąsiednich wiosek i miast, którzy chcieli złożyć dary i pokłony bogu z głową raptora w naszej głównej świątyni. Po tym, jak Teobald zmienił religię, Twierdza zaczęła się coraz bardziej separować. Teraz utrzymywała tylko jakieś stosunki

z Miastem Krokodyli i to tylko dlatego, że została do tego zmuszona przez Annę Guiteerez.

Tytus zwrócił naszego jeepa w stronę najbliższego skupiska ludzi. Z daleka rozpoznałem zbroje strażników wąwozu. Zwrócili się w naszym kierunku, sięgając po broń. Pierwszy wyskoczyłem z jeepa, kiedy tylko wyhamował. Na moje spotkanie wyszedł znajomy strażnik z oddziału B.

- Tycjan! - przywitał się ze mną, nie kryjąc zdumienia. - Byliśmy już przekonani, że nie żyjesz!

- Co się tutaj dzieje? Gdzie znajdę mojego ojca?

- Trwa ewakuacja Twierdzy. Tuliusz Donner poleciał ze swoimi pterodaktylami na pierwszą linię frontu. Za nimi popłynęły oddziały Ludu Pustyni. Tyrs i Treweriusz zostali na brzegu, żeby odeprzeć pierwszą linię ataku na lądzie. Okręty Cesarstwa przebiły się już przez pterodaktyle. Część przedostała się na brzeg.

Zaschło mi w ustach na samą myśl, że Tuliusz sam jeden poleciał walczyć z wrogiem na pełnym oceanie.

- Co to znaczy, że przebiły się przez linię pterodaktyłów?! - powtórzyłem. - Co to, kurwa, znaczy?!

- Tycjan... - Zza pleców strażnika wyłonił się Teobald.

On także założył zbroję strażnika wąwozu. Wiatr rozwiewał jego kręcone czarne włosy. Nie uśmiechał się; był poważny i skupiony na swoich myślach. Spojrzał na Beringa, który stał za mną z rękami założonymi na piersi.

- Jednak sprawiłeś mi niespodziankę - powiedział, kiwając w jego stronę głową. - Nie wszyscy Europejczycy kochają Cesarstwo.

- Teobald Elasmos. Wreszcie się spotykamy. - Tytus pierwszy podał mu rękę.

Ojciec uścisnął ją bez chwili zastanowienia.

- Ta bitwa nadal nie jest jeszcze przegrana.

Przysłuchiwałem się rozmowie Teobalda z Beringiem, ale nie do końca rozumiałem, co zamierzali zrobić. Siedziałem w jeepie, ściskając skroń palcami. Próbowałem sobie wyobrazić mojego brata Tacjana schwytanego pod grubą warstwą ropy wylanej na powierzchnię oceanu. Ocalały tylko elasmozaurowe, które zdołały przemknąć się do zatoki; Tacjana nie było wśród nich. Zadar odciął nam możliwość walki za pomocą morskich dinozaurów, mogliśmy korzystać tylko z pterodaktyłów i raptorów. Abba Mollina przyprowadziła ze sobą całe stado z Lasu Kalahari. Z tego, co opowiadał Teobald, wynikało jednak, że gdy tylko flota Ludu Pustyni zaczęła przegrywać, jej lądowy oddział zwrócił się do ucieczki. Właściwie mnie to nie dziwiło. Abba nie była lojalnym sprzymierzeńcem. I tak zrobiła już więcej, niż zapewne zamierzała. Tyrs potrafił wzbudzić w niej wyrzuty sumienia.

Z niedowierzaniem słuchałem pomysłu Teobalda, żeby odesłać ocalałych z Twierdzy na pustynię pod osłoną części oddziału B i C oraz Krokodyli. Podejrzewałem, że istniała szansa na połączenie ich z Ludem Pustyni, więc mieli się kierować w stronę Lasu Kalahari. Jeśli ktoś umiał przemówić ojcu do rozsądku, byłem to tylko ja. Wsiadłem więc z samochodu

i podszedłem do niego i do Tytusa, kiedy pochylali się nad mapą okolicy i ustalali najlepsze drogi odwrotu.

- Zamierzasz tak po prostu uciec? - zaatakowałem. - Już nie rozumiem, co ty w ogóle chcesz osiągnąć! Swego czasu planowałeś zniszczyć Miasto Krokodyli, obarczyłeś ich winą za podpalenie świątyni boga-raptora. Teraz ot tak, po prostu prosisz ich o pomoc przy ewakuacji mieszkańców?

- Tycjanie, daj nam jeszcze chwilę. Zaraz porozmawiamy - obiecał takim tonem, jakby odganiał się od namolnej muchy.

Krew zawrzała mi w żyłach. Wysłał Tulusza i Tyrsa na pewną śmierć, chciał mnie poświęcić w Mieście Krokodyli, byle tylko osiągnąć swoje niezrozumiałe dla innych cele. Może urodziłem się jego synem, ale miałem dość tych niekończących się intryg. Podszedłem do maski samochodu, przy której rozłożyli mapę, i strąciłem ją ręką na ziemię. Tytus przewrócił oczami, ojciec zaś złapał głęboki oddech, jakby miało go to uspokoić.

- Nie ignoruj mnie, do diabła!

- Przepraszam - zwrócił się do Beringa. - Ta sprawa będzie musiała chwilę poczekać.

Tytus bez słowa odszedł porozmawiać ze swoimi dowódcami. Teobald pochylił się i podniósł pogniecioną mapę.

- Zachowujesz się jak dziecko.

- Jakby mnie obchodziło, co o mnie myślisz!

- Zawsze tak zresztą było, czyż nie?

- Jesteś zdumiony?

- Nie. I bez względu na wszystko cieszę się, że żyjesz.
Zmarszczyłem brwi.

- Gdzie jest Tulusz?

Obrócił się w moją stronę i złożył mapę na małe prostokąty.

- Najprawdopodobniej nie żyje. Zginął jak bohater.

Wydałem z siebie dźwięk, który najbardziej przypominał wycie. Rzuciłem się na niego z pięściami. Nie zareagował, gdy uderzyłem go w twarz, ale zatoczył się do tyłu i chwycił maski samochodu. Złapałem go za kark i jeszcze raz uderzyłem - tym razem w drugi policzek.

- Wystarczy - wycharczał, ocierając krew z kącika ust.

- Wątpię, żeby kiedykolwiek było mi mało!

Wyprostował się i w końcu mi oddał. Tym razem to ja straciłem równowagę. Oparłem się plecami o drzwi jeepa. Spoglądaliśmy na siebie wrogo, obaj ciężko dysząc.

- Nie wybaczę ci, że wysłałeś Tulusza do walki.

- To była jego decyzja, Tycjan. Zarówno on, jak i Tyrs rozumieli, że walczymy tutaj o coś więcej niż tylko niezależność Twierdzy Kimerydu.

- Tak? To oświeć mnie wreszcie o co, bo niestety się pogubiłem!

Ojciec złapał mnie za ramiona i mocno mną potrząsnął.

- Walczymy o naszą godność i o naszą wolność.

Oparł swoje czoło o moje. Trzymał mnie tak długo, aż przestałem się szarpać i uległem jego stanowczemu dotykowi. Pozwoliłem emocjom mną zawładnąć. Jednocześnie kochałem go i nienawidziłem. Kiedyś myślałem

jeszcze, że był po prostu taką osobą – tajemniczą, skupioną na swoich sprawach, pozbawioną umiejętności i chęci komunikowania się z innymi. Odkąd w naszym życiu pojawił się Tyrs, a później Arabella, zrozumiałem, że się myliłem. Teobald się mnie bał. Albo, co gorsza, byłem mu zupełnie obojętny.

- Chcę, żeby mieszkańcy Twierdzy przeżyli, dlatego przy pomocy Beringa i jego Krokodyli przetransportujesz ich w głąb pustyni i znajdziesz dla nich nowe miejsce do życia. Abba wam pomoże, obiecała, że to zrobi. To ma się teraz stać twoim nowym życiowym celem. Dlatego zapomnisz o Tuliuszu, o Tacjanie i o wszystkich, którzy oddali życie w tej wojnie. Zapomnisz też o mnie.

Nie umiałem złapać powietrza w płuca. Łudziłem się, że to dlatego, że ojciec trzymał mnie tak mocno w swoim uścisku. Tak naprawdę dostałem ataku paniki.

- Nie wrócisz sam do Twierdzy – postanowiłem, łapiąc wreszcie pełny oddech. – Pójdę tam razem z tobą.

- Masz żyć, Tycjan. Ci ludzie potrzebują silnego przywódcy. Jeśli Tyrs przeżył i się odnajdziecie, dopilnujesz, żeby zajął należne mu miejsce dowódcy wojskowego. Ty będziesz nimi zarządzał. Zbudujecie swoje własne miasto.

- Dlaczego tak bardzo chcesz się zabić?

- A widzisz jakieś inne rozwiązanie? To moja Twierdza Kimerydu i jeśli mam umrzeć, umrę z jej powodu. Brytanik leci tutaj specjalnie dla mnie. Zamierza utopić mnie we własnej krwi. Sprawię mu ten zawód i wyjdę mu naprzeciw. W tym czasie będziecie mogli się spokojnie ewakuować... To

będzie moje prawdziwe zwycięstwo. - Pochylił się do mojego ucha. - To wy możecie naprawdę zagrozić Cesarstwu. Jesteście silniejsi od zwykłych ludzi, jesteście inną rasą. Lojalność waszych zwierząt zawsze będzie waszą przewagą bez względu na to, jak wielką broń stworzą, żeby was zniszczyć. Ten świat potrzebuje zmiany. Bądźcie nią.

- Ty dążyłeś do tego, by nas zaatakowali. Zabiegałeś o to, odkąd tylko przejąłeś władzę w Twierdzy Kimerydu. - Zrozumiałem w końcu.

- Tak, choć zupełnie inaczej planowałem rozegrać to starcie. Przyznaję, że dałem się pokonać Arabelli i jej siostrze. Powinienem był zabić Annę Guiteerez, kiedy tylko jej stopa stanęła na naszej ziemi. Najwidoczniej sytuacja z Arabellą niewiele mnie nauczyła. - Roześmiał się z samego siebie. - Wciąż jednak mogę wygrać to rozdanie. Moja śmierć na chwilę nasyci cesarza, zrobi się leniwy, zadowolony z siebie, poczuje się nieomylny. Spowolni też Sina. Bo tak, Sin będzie natychmiast chciał posprzątać resztki. Puści się w pościg, będzie sprawdzał każdy najmniejszy trop. To jego przede wszystkim powinniście się obawiać.

Moją odpowiedź zagłuszył odgłos eksplozji. Na naszych oczach wille mieszkalne nad zatoką zamieniły się w kule ognia. Całe niebo zajęły ciemne punkty bojowych samolotów Cesarstwa. Rozpoczęło się bombardowanie Twierdzy.

W drodze do miasta ojciec podzielił się ze mną wszystkimi znanymi mu sekretami. Uważał, że ta wiedza może mi się

w przyszłości przydać.

- Tyrs nie powinien mnie ratować, ty też nie. Pozwólcie mi odejść. Tyrs bywa nieprzewidywalny, dlatego powiesz mu, że jestem ojcem Taniela. Wtedy na pewno zostawi mnie za sobą.

- A jesteś nim? - zapytałem zdumiony.

- Tak.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Tyrs i jego rodzeństwo stanowią duże zagrożenie dla każdego, kogo uznają za swojego wroga. Może nie będę oryginalny. Chciałem mieć swojego raptora, stać się częścią ich rodziny. Zachować bezpieczeństwo. Poza tym Tyrs wahał się wtedy nad propozycją Abby, czy przystąpić do jej Ludu Pustyni. Potrzebował czegoś, co zatrzyma go w Straży Wąwozu i przy mnie...

- Nie umiem się pogodzić z tą myślą...

- No cóż, wychodzi na to, że Taniel Mollina jest twoim przyrodnim bratem.

Teobald był tym rozbawiony, ja zdecydowanie mniej. Bering prowadził nas na spotkanie cesarza. Miał mu uroczyście przekazać Teobalda Elasmosa i tym samym na nowo wkupić się w jego łaski.

Gdzieś na samym końcu drogi do miasta przystanąłem. Ojciec zatrzymał się krok przede mną.

- Coś się stało? - zapytał beztrosko, jakbym właśnie nie oddawał go na pewną śmierć w ręce Brytanika.

- Zbuduję dla ciebie to miasto, stary sukinsynie - wyrzuciłem z siebie jak najgorsze przekleństwo. - Będzie

lepsze od Twierdzy Kimerydu, bo nikt go nigdy nie zdobędzie.

- Nazwiesz je Twierdzą Kimerydu II i postawisz mi pomnik na głównym placu - zażartował.

- Tak właśnie, kurwa, zrobię.

Uśmiechnął się.

- Jestem z ciebie dumny, Tycjanie.

Brytanik podniósł się z krzesła i wyszedł nam na spotkanie. Nie zbliżył się do nas, po prostu pokazał się w całej okazałości. Sin w towarzystwie swojego jasnowłosego ochroniarza podszedł do niego i rozejrzał się swoim orlim wzrokiem po siłach cesarskich ustawionych w równych rzędach na placu. Moje serce biło bardzo powoli, jakbym miał za chwilę osiąść na dnie i wprowadzić się w stan hibernacji.

Cesarz przyleciał razem ze swoimi najwierniejszymi dziennikarzami z Europy, którzy mieli transmitować jego afrykański triumf.

Patrzyłem na niego. Na jego czerwoną szatę do ziemi ze złotymi lamówkami, wystającą spod złotego pancerza. Na jej długie rękawy, które zasłaniały mu prawie całe dłonie. Na drobne stopy w sandałach i w końcu też na rudawe włosy układające się w nieforemne loczki nad prostym, gładkim czołem. Cesarz Brytanik miał uderzająco pospolitą twarz, tak różną od charakterystycznej twarzy jego syna. Sin nie był do niego podobny - wysoki, dobrze zbudowany, nawet całkiem

przystojny, jeśli nie zwracało się uwagi na ponury wyraz twarzy i bliznę na policzku. Brytanik był zaś średniego wzrostu, a przy tym kościsty i wiotki. Czerwona szata wisiała na nim jak na wieszaku.

- Tak kończą wszyscy wrogowie Cesarstwa! - oznajmił Brytanik donośnym głosem.

Czułem, dosłownie czułem, jak ciało Tyrsa tężeje. Staliśmy prawie na środku placu, zakuci w zbroje, po lewej mając żołnierzy z oddziałów Krokodyli, po prawej zaś ocalałe jednostki cesarskie. Nie istniała nawet najmniejsza szansa, żebyśmy wyszli z tego w jednym kawałku. Na chwilę przymknąłem oczy. Skoncentrowałem myśli na Tuluszu. Bardzo chciałem, żeby teraz był tutaj z nami. Wiedziałem, że Tyrś też. Bez niego byliśmy niepełni, bezbronni, samotni...

- Cjan... - usłyszałem szept Tyrśa. - Osłaniaj mnie.

Krew uderzyła mi do głowy. Odebrano mi broń poza małym pistoletem, który zachowałem w rękawie mojej łuskowatej zbroi. Nie wiedziałem, co Tyrś zamierzał teraz zrobić, za to wiedziałem, że na pewno to nastąpi.

Skupiłem się na przemowie cesarza. Zwykły stek propagandowych bzdur, który miał podnieść na duchu jego zmęczonych żołnierzy. Sin spoglądał w naszą stronę. Zobaczyłem, jak wyciąga swój nóż o falowanym kształcie. Gdzieś umknęło mi napięcie między nim a Molliną i stało się dla mnie boleśnie jasne dopiero, gdy Sin w połowie przemówienia swojego ojca jednym brutalnym ruchem podciął Teobaldowi gardło. Cesarz urwał zdanie i obrócił się, żeby na nich spojrzeć. Wówczas strzała z zieloną lotką trafiła

go w lewy bark w miejscu, w którym łączył się z szyją. Tyrś wymierzył dokładnie tam, gdzie pancerz nie osłaniał jego ciała.

To, co wydarzyło się potem, pamiętam już tylko jako jeden wielki chaos. Krokodyle niespodziewanie zaczęli strzelać do sił cesarskich. Sin wymierzył w Tyrśa, ale zdążyłem powalić go na ziemię, zanim kula dosięgnęła celu. Pamiętam, jak złapałem przyjaciela za ramię i resztką sił zacząłem ciągnąć go w stronę kawałka muru, który osłoniłby nas przed strzelaniną. Kule latały wokół nas, niektóre odbijały się od naszych zbroi, niektóre pozostawiały płytkie rany na niewielu odkrytych fragmentach naszych ciał. Tyrśowi pozostała jeszcze jedna strzała w kołczanie, ale już po nią nie sięgnął. Kurczowo przyciskał do siebie łuk. Na ten jeden straszny moment straciłem z nim kontakt. Śmierć Teobalda wstrząsnęła nim bardziej niż mną, a ja pierwszy raz w życiu pomyślałem, że obojętność jest dobrą emocją, bo eliminuje ryzyko cierpienia. O wiele szybciej pomaga też pogodzić się ze stratą bliskich, choć z drugiej strony sprawia też, że mamy ich niewielu. A im mniej słabych punktów posiadamy, tym silniejsi jesteśmy. Możemy nawet wyciągnąć rannego przyjaciela z ostatniej okrutnej bitwy o Twierdzę Kimerydu, która pogrzebała swojego największego architekta i osłabiła swojego największego oprawcę.

Tyrś zainspirował wtedy Krokodyle Tytusa Beringa do walki. Długo potem zainspirował też Lud Pustyni, żeby dołączył do ocalałych z Twierdzy Kimerydu, samego Beringa zaś – do uznania jego władzy i wcielenia Miasta Krokodyli do

naszego dopiero formującego się państwa. Ale to i tak nie było jego najważniejszym osiągnięciem. Ponieważ tego dnia w Twierdzy Kimerydu jego strzała z zieloną lotką zainspirowała też zupełnie obcych ludzi na dalekim kontynencie do podjęcia walki o wolność.

Ja dla nikogo nie stanowią inspiracji – zamiast tego robię swoje i nie zazdroszczę Tyrswi tego, że stał się ikoną dla Europejczyków i dostaje listy miłosne z dołączoną do nich bielizną nawet z konserwatywnych krajów Indian. Jak zawsze lubię mu za to dokuczać. Ostatnio moim ulubionym sposobem na dręczenie go jest bolesne przypominanie, że niedługo Taniel zajmie jego miejsce w roli najbardziej pożądanego kochanka świata. Gnojek ma dopiero piętnaście lat, a wygląda na dwadzieścia pięć i jest diabelnie przystojny. Jestem przekonany, że ostatecznie to on nas obu wykończy – psychicznie. Do tego czasu mamy jednak tyle roboty przy budowaniu Twierdzy Kimerydu II, że na pewno nie będziemy się nudzić. Jednego Teobald nie przewidział: że będziemy się przy tym tak dobrze bawić, że zamarzy nam się odebranie władzy cesarzowi.

EPILOG

Selen/Terra

Tego dnia obudziłem się zupełnie nie w humorze. Nie żebym szczególnie dobrze sypiał w Vintage. Ostatnio zacząłem się przyzwyczajać do wczesnego wstawania. Brytanik lubił zabierać mnie wtedy ze sobą na spacer ulicami miasta; twierdził, że o tej godzinie najlepiej mu się myślało. Czasem ze sobą rozmawialiśmy, czasem po prostu uprawiał ze mną seks.

Trudno określić mój stosunek do Brytanika. Skrzywdził mnie już na tyle możliwych sposobów, że było mi właściwie wszystko jedno, co jeszcze zamierzał wymyślić. Nie nudziło go dręczenie mnie; uważał, że to największy dowód jego miłości. Najprawdopodobniej znałem go najlepiej ze wszystkich osób obracających się w jego towarzystwie od ostatnich dziesięciu lat. Złożyło się na to kilka czynników. Lubiałem myśleć, że chodzi o mój intelekt, błyskotliwość i wręcz niewiarygodną umiejętność przystosowywania się do najbardziej absurdałnej sytuacji. Takie były podszepty mojej próżności – zdrowy rozsądek zaś bardzo jasno przypominał mi, że chodzi o moją inność i silny organizm, który sprawiał, że Brytanik mógł na mnie do woli eksperymentować.

Bardzo źle znosiłem jego pierwsze próby zmiany mojego DNA. Prawie cały czas byłem chory i bezbronny, co tylko prowokowało go, żeby jeszcze bardziej mnie męczyć. Odciął mi ręce i wymienił je na sztuczne implanty wyposażone w zakończenia nerwowe, dzięki czemu czułem zadawany mi ból. Fragmenty mojego szkieletu zostały wzmocnione metalowymi kośćmi, ale i tak najbardziej wkurwiał mnie przekaźnik wmontowany w korę mózgową. Brytanik twierdził, że został tam wprowadzony na stałe, żeby mógł mnie w każdej chwili zabić, jeśli tylko w jakiś sposób go sprowokuję. W rezultacie robiłem to cały czas.

Raptory były bardzo przekornymi stworzeniami, a ja urodziłem się jednym z nich. No, prawie jednym z nich.

Czy nienawidziłem Brytanika? Nie, raczej nie. Nienawiść była emocją, która świadczyła o wpuszczeniu kogoś na stałe do naszego życia. Dawała władzę nad nami. Więc nie. Nasza relacja była zresztą o wiele bardziej skomplikowana. Brytanik lubował się bowiem w seksie z nieletnimi. Poznaliśmy się, gdy miałem dwanaście lat, i od razu zostałem jego kochankiem. Teraz miałem dwadzieścia dwa. W sumie osiągnąłem już ten wiek, w którym cesarzowi nudziły się jego ukochane laleczki i wymieniał je na nowe, młodsze, bardziej soczyste. Nigdy nie uważałem się za jakąś wielką piękność i nie zmieniło tego nawet niezmiennie zainteresowanie Brytanika. Ba, tak w ogóle nie interesowałem się mężczyznami. Ale nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia, podobnie jak i w wielu innych.

Mimo to zdobyłem sobie pewien szacunek na dworze,

zwłaszcza w koterii przeciwnej Sinowi. Bo i ja byłem przeciwny Sinowi i umiałem mu się skutecznie postawić dopingowany ironicznymi komentarzami Brytanika. Zresztą to odrębny temat na całkiem inną historię.

W każdym razie tego dnia obudziłem się zupełnie nie w humorze, co zmieniło się jednak po południu. Nic nie zapowiadało tej medialnej bomby, chociaż już od paru miesięcy siły cesarskie ciągle przegrywały w bitwach w Afryce. Nikt już nie chciał prowadzić tej wojny. Europa coraz bardziej pogrążała się w upalnym klimacie Afryki i nieznośnych, nieprzerwanych atakach odwetowych raptorów pod wodzą Taniela Molliny. Na dworze nazywaliśmy go Czarnym Księciem – chyba za sprawą jego pieprzyka. Nie mogłem się nie uśmiechnąć, ilekroć pojawiała się o nim jakaś wzmianka. Wciąż był moim najlepszym wspomnieniem z Twierdzy Kimerydu.

Ach, i jeszcze ocean. I nasz dom na jego brzegu. Mój pokój na piętrze z widokiem na najbliższe molo i spacerujące po nim kobiety. Moja własna półka, na której pieczołowicie ustawiałem książki i słowniki od Tyrsa. Taniel przychodził do mnie i głośno je wszystkie liczył, a kiedy czytałem mu najbardziej wciągające opowiadania, chował twarz w dłoniach i spoglądał na mnie przez palce. Aneta wolała poważne powieści dla dorosłych.

Jeśli już płakałem w Vintage, to tylko na jej wspomnienie. Aneta była najśłabsza z nas wszystkich. Mazała się z każdego najmniejszego powodu, bała się ciemności i stale sprawiała Tyrswi problemy, ale i tak wszyscy ją kochaliśmy. Dodawała

kolorytu naszej morderczej rodzinie.

Zgubiłem ją. Po prostu ją zgubiłem. Ale wtedy podczas ewakuacji wszystko potoczyło się bardzo szybko. Aspazja Bree powiedziała, że nas nie zabiorą, że mamy radzić sobie sami, bo skoro cesarz przylatuje tutaj specjalnie po nas, to powinni nas oddać, żeby zostawili ich w spokoju. Razem ze swoją córką Arletą odpędzała naszą matkę, ale ona za każdym razem wracała i głośno na nie warczała. W końcu Aspazja wyciągnęła nóż i dźgnęła matkę w szyję; obserwowaliśmy to razem z Anetą. Obserwowaliśmy, jak umiera, i nie mogliśmy nic zrobić. W tym jednym momencie przyznałem rację Tyrsowi we wszystkim, co mówił o ludziach i w każdej sytuacji, w jakiej walczył o nasz byt. W porównaniu z nim byłem śmiesznym gnojkiem i byłem słaby.

Dużo myślałem o Tyrsie, odkąd dostałem się do niewoli u cesarza - odkąd zostałem jego nadworną zabawką. Poradził mi wykorzystywać mój spryt, więc to robiłem. Jego słowa często pomagały mi pozostać na powierzchni, pozostać sobą mimo całego tego szajsu, w którym tkwiłem po same uszy. Tylko że od dziesięciu lat nie potrafiłem znaleźć Anety. Byłem przekonany, że żyje, w końcu dzieci raptorów były zbyt cennym nabytkiem dla genetyków cesarza. Niestety Aneta miała większego pecha ode mnie. Trafiła w ręce Sina.

- Szanowni członkowie dworu cesarza Brytanika, szanowny cesarzu i wicecesarzu. Na początek się z wami przywitam i przedstawię tym z was, którzy mnie jeszcze nie znają. Nazywam się Tyrs Mollina, jestem waszym ulubionym

afrykańskim watażką, jak lubicie mnie nagminnie nazywać w waszych programach telewizyjnych.

Popołudniowy serwis informacyjny został nagle przerwany niewyraźną transmisją. Siedziałem w sali tronowej Brytanika i zajadałem się malinami. Cesarz uwielbiał owoce, ja też musiałem je zatem uwielbiać. Na dźwięk głosu mojego starszego brata wstałem z fotela i podszedłem aż do samego migoczącego obrazu. To był pierwszy tak wyraźny wizerunek Tyrsa, który zobaczyłem od dziesięciu lat. Nie postarzał się, raczej wydorósł. Nosił też dłuższe włosy, splecione w małe warkoczyki – tak jak ja, gdy mieszkałem w Afryce. Odniosłem za to wrażenie, że skóra mu ściemniała, wydobywając ostrzejszy pomarańcz z jego oczu.

Jego zbroja była przerobioną, unowocześnioną wersją zbroi strażnika wąwozu. Wyglądał w niej dostojniej. Siedział przy okrągłym stole, na którego blacie leżał jego łuk i kołczan z jedną strzałą z czerwoną lotką.

– Zachowałem tę ostatnią strzałę. Czeka na odpowiedni cel, a ja od dziesięciu lat na okazję. Wkrótce będę miał ich całe mnóstwo. Przesyłam gorące afrykańskie pozdrowienia.

Transmisja się urwała. Zostałem sam przed drżącym obrazem. Wrócił serwis informacyjny.

Ciekawe, co zrobi Tyrs, kiedy się dowie, że wciąż żyję...

Obróciłem głowę. Niektórzy wpatrywali się we mnie ze strachem, niektórzy z pogardą. Wszyscy jednak byli przekonani, że i tak opłaca im się mnie zabić. Tylko jedno spojrzenie wyrażało współczucie. Uśmiechnąłem się do niej

krzywo. Przypomniałem sobie, jak Taniel ugryzł ją w rękę podczas festiwalu w Twierdzy.

Ciekawe, co zrobi Taniel, kiedy się dowie, że Anna Guiteerez wciąż żyje...

Twierdza Kimerydu

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-525-2

© Magdalena Pioruńska i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Aleksandra Machłaj

KOREKTA: Paulina Zyszcak, Małgorzata Szymańska

OKŁADKA I ILUSTRACJE: Anna Niemczak

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



Publikacja została dofinansowana przez Urząd Miasta Krakowa w ramach projektu: „Upowszechnianie literatury i działalność wydawnicza – Organizacja wydarzeń literackich i wydawniczych”.